



**Luanne Rice**

**Kraina snów**

Tytuł oryginału: *Dream Country*

***Dla Boba***

**PODZIĘKOWANIA**

*Za dwadzieścia jeden lat pomocy i przyjaźni dziękuję wszystkim pracownikom Jane Rotrosen Agency: Andrei Cirillo, Jane Berkey, Donowi Cleary'emu, Stephanie Tade, Meg Ruley, Ruth Cagle, Annelise Robey, Peggy Gordijn i Barbarze Goodwin. Nitcie Taublib i Tracey Devine dziękuję za cierpliwość, intuicję i przewodnictwo. Jestem głęboko wdzięczna Heather McNeil, doktor Elizabeth Moreno, Sherry Kon i Robowi Monteleone. Karen LeSage Stone dziękuję za rozmowy pod numerem 104 i wiele więcej. Rosemary i Maureen: kocham was.*

O siódmej rano Daisy Tucker stała u podnóża schodów, odychając zapachem trzymanego w rękach prania. Wstała godzinę wcześniej niż zwykle, by uprać ubrania córki. Do płukania dodała większą porcję środka do zmiękczenia tkanin, bo Sage takie właśnie pranie lubiła.

Weszła na górę, zastanawiając się, dlaczego serce bije jej mocno jak nigdy. Denerwowała się zupełnie tak, jakby szła na spotkanie w sprawie nowej pracy, a nie na piętro, żeby obudzić szesnastoletnią dziewczynę i przynieść jej do sypialni czyste ubranie.

Zalany promieniami porannego słońca dom był cichy, spokojny. Czekać na koniec prania, Daisy poszła do pracowni, w której przygotowywała bransoletkę. Miała zamiar wykończyć ją dziś po południu, ale była zbyt zdenerwowana, by skupić na niej uwagę.

Matka i córka mieszkały same, nikt więc nie słyszał, jak późnym wieczorem Daisy wrzeszczała na całe gardło, rwąc sobie włosy z głowy niczym filmowy szaleniec. Nikt nie widział Sage siedzącej w dmuchanym fotelu, z potarganymi czarnymi włosami opadającymi na twarz, obserwującej matkę pięknymi, obojętnymi zielonymi oczami, i nikt nie widział, jak ten pozorny spokój kruszy się pod ciężarem jej słów.

Sage miała na sobie to ubranie, które Daisy niosła teraz na górę. Było ubłocone i kompletnie mokre. Wróciła do domu po północy, choć obiecała, że będzie o dziewiątej. Wraz z przyjacielem Benem Davisem wybrała się na spływ kajakowy. Kajak prze-

wrócił się. Październik był zimny, wręcz mroźny, więc przez cały wieczór Daisy wyobrażała sobie, że oboje utonęli, nie zauważeni w ciemności przez nikogo.

Zadzwoił telefon. Nie wypuszczając ubrania z rąk, Daisy weszła do swej sypialni. Nie wiedziała, kto dzwoni, ale na wszelki wypadek postanowiła ostro rozprawić się z Benem.

— Halo? — rzuciła do słuchawki.

— Jak się miewa moja zbuntowana siostrzenica?

— Śpi. — Daisy poczuła ulgę, słysząc głos siostry. — Ale wczoraj w nocy starcie było naprawdę ostre. Kiedy weszła do domu, obdarta i ociekająca wodą, miałam ochotę ją zabić.

— Zabić? — zdziwiła się Hathaway. — To dość mocne określenie. Nie chciałaś przypadkiem powiedzieć „zbić”?

— Och, Hath. — Daisy z trudem opanowała śmiech. Rozmowy z siostrą uspokajały ją jak nic na świecie. — Sage z pewnością się nie popisała, aleja zachowałam się jeszcze gorzej. Górę wzięło moje szalone *alter ego*. Stałam nad nią, wrzeszcząc jak wściekła... piana dosłownie ciekła mi po brodzie...

— I póki nie zda na studia, wszystkie wieczory ma spędzać w domu? Nie myślę się?

— Owszem. Powiedziałam jej także, że tylko idiotki spędzają całe noce z chłopcami. — Daisy przypomniała sobie własne słowa i ton swego głosu, i aż się skuliła. — Idiotki i puszczałskie.

— Spodziewam się, że zabroniłaś jej także widywać się z Benem. — Hathaway wiedziała, że — przynajmniej do ostatniej nocy — jej siostra lubiła Bena. Był uprzejmy, uczył się pilnie, choć może wydawał się zbyt... jak by to powiedzieć... intelektualny, by wzbudzić w Sage gwałtowne uczucie.

— Oczywiście, że tak. — Daisy opuściła wzrok na trzymane w ręku pranie, wiedząc, że nadeszła godzina prawdy.

— Trzeba przyznać, że rzeczywiście późno wróciła do domu — powiedziała Hathaway. — W tygodniu, nie w weekend. Rano zauważyłam, że w poidle dla ptaków zamarzła woda; warstwa lodu była cienka, ale jednak była. W taką noc... nic dziwnego, że straciłaś cierpliwość.

— Nienawidzę się za to, że nazwałam ją puszczałską.

— Ależ nie. Porównałaś ją do puszczańskiej, a to różnica.

— Mimo to czuję się okropnie.

Daisy stała wówczas nad milczącą nastolatką, patrzyła w jej wielkie nieruchome oczy i czuła, że serce pęknie jej lada chwila. Była nadopiekuńcza matką i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Bliźniaczy brat Sage znikł, mając trzy lata, i to zdarzenie miało wpływ na wszystkie jej decyzje dotyczące córki. Myślała przecież tylko o tym, by chronić dzieci. Tymczasem smukła zielonooka Sage o pełnych, zmysłowych ustach z całą pewnością przestała już być dzieckiem. Ale matka pod jej urodą szukała śladów tego niemowlęcia, które przywiozła z mężem ze szpitala przed szesnastu laty.

— Nie chcę, by coś się jej stało — powiedziała.

— Wiem — odparła łagodnie Hathaway.

— Ale mówiłam straszne rzeczy. Po tym, jak na mnie patrzyła, widziałam, jakie były straszne. Muszę ją obudzić. Zrobiłam pranie, a teraz pragnę tylko przysiąc na krawędzi jej łóżka...

— ...i powiedzieć, że ją kochasz...

— I że każdemu wolno się pomylić.

— Ale jeśli znów zrobi coś takiego, do końca życia wieczory będzie spędzać w domu.

— Oczywiście. — Daisy wreszcie się roześmiała.

Kiedy się rozłączyły, poczuła się odrobinę lepiej. Rozmowa z Hathaway pozwoliła jej spojrzeć z dystansu na całą sprawę. Samotna matka wychowująca inteligentną córkę... nic dziwnego, że całą uwagę skupiła na zachęcaniu Sage do nauki i zniechęcaniu jej do chłopców. A przecież pokolenia dziewcząt wracały spóźnione ze spotkań z przyjaciółmi, zdarzało się też, że wpadały do spokojnych rzek. Nie oznaczało to, że są złymi córkami ani też, że mają złe matki. Od śmierci Jake'a minęło wiele lat, Daisy miała czas, by się z tym pogodzić, wytłumaczyć sobie, że nie ona jest wszystkiemu winna.

Padające przez okno sypialni słońce oświetlało hol na piętrze. Drewniana podłoga lśniła jak lustro. Idąc do pokoju Sage, Daisy myślała o tym, jaki ładny mają dom. Niewielki, bezpieczny i przy-

tulny, z widokiem na głęboki wąwóz. Kupiła go z własnych pieniędzy, które zarobiła, sprzedając biżuterię i skrupulatnie oszczędzając. Sage mogła sobie marzyć o konnych wyprawach w góry i życiu na wsi, Daisy wiedziała jednak, że dobrze wypełniła swój obowiązek, osiedlając się z nią tu, na Pumpkin Lane, i była to myśl pocieszająca.

Odetchnęła głęboko. Położyła dłoń na klamce drzwi do sypialni córki, odmawiając krótką modlitwę o dar cierpliwości — niezależnie od tego, co się stanie — a także o to, by nie dać się złapać na żadną ze sztuczek, jakich może próbować dorastająca dziewczyna, czy to z premedytacją, czy ze zdenerwowania. Przecież nie prowadziły wojny... a że ich starcie było do wojny podobne, no cóż, spowodowała to wyłącznie matczyna miłość.

Zmuszając się do uśmiechu otworzyła drzwi.

Sypialnia Sage była pusta. Dziewczyna nawet nie spała w łóżku, porządnie zasłanym indiańskim kocem. Pozostał na nim odisk jej ciała, widocznie położyła się na chwilę. Uchyłona szuflada świadczyła, że spakowała ubrania.

Ściany pokoju wyklejone były plakatami z Wyoming: fioletowe szczyty pasma Windy River, Medicine Bow, Wielkie Rogi, Góry Śnieżne, duże powiększenia kowbojów na koniach, zagród dla bydła, galopujących mustangów. Ojciec przysłał jej kilka jelenich poroży; powiesiła je na ścianie i zmieniła w kapliczkę. Pośród nich znajdowało się jedyne zdjęcie taty, a także turkusowe korale, podkowy, futro zająca i niebieskie, robione na drutach kaptcie braciszka.

Na biurku leżała karteczka. Daisy jęknęła cicho na jej widok. Upuściła na podłogę pranie, położyła dłoń na piersi.

Drżącymi rękami uniosła karteczkę.

Sage musiała być zdenerwowana, kiedy ją pisała — świadczyły o tym wydłużone, nierówne litery, ślady atramentu rozlewającego się ze stalówki pióra, no i skąpa treść, niezwykła u dziewczyny, która zawsze lubiła dużo mówić.

Nie było w tym liście „Droga Mamo”, nie było „Kocham Cię. Sage”, lecz zaledwie dwa słowa, które Daisy przeczytała z uczuciem, że świat wokół niej się wali. MUSZĘ ODEJŚĆ.

\*

Przede wszystkim zadzwoniła do Hathaway. Czekając na przyjazd siostry, niecierpliwie chodziła po domu. Nagle poczuła niezwykły przypływ energii. Miała wrażenie, że serce zaraz jej pęknie. Jednocześnie intensywnie myślała, oczywiście o tym, gdzie jest teraz Sage. Czwartek; powinna być w szkole. Czy to możliwe, by tym krótkim liścikiem informowała, że poszła do szkoły?

Na wszelki wypadek zadzwoniła do sekretariatu gimnazjum w Silver Bay. Sage była w trzeciej klasie; pierwszą skończyła z wyróżnieniem, drugą na samych piątkach... a w zeszłym tygodniu dostała dwie dwójki. Daisy czytała uwagi nauczycieli chemii i historii wytracona z równowagi, a nawet przestraszona. Jej córka, pilna i inteligentna, nie mogła przecież tak nagle upaść aż tak nisko.

— Dzień dobry, pani Wickham — odezwała się, słysząc w słuchawce głos sekretarki. — Mówi Daisy Tucker. Chciałam... to znaczy...

— Dzień dobry, pani Tucker. Właśnie miałam telefonować do pani. Doprawdy, oczekujemy, że rodzice wcześniej uprzedzą nas o planowanej nieobecności dziecka w szkole, po prostu dlatego...

— Przepraszam. — Daisy pochyliła się, zakryła oczy i odłożyła słuchawkę. To przecież oczywiste, zupełnie oczywiste, że Sage nie pojechała do szkoły. Zaniepokojona, zdenerwowana, natychmiast zadzwoniła do Bena, potem do Zoe, Amandy i Robin.

Nikt nie podnosił słuchawki.

Hathaway pojawiła się wreszcie, wysoka, spokojna, jak zwykle panująca nad sytuacją. Przytuliła siostrę, nim ta zdążyła wypowiedzieć choć jedno słowo. Daisy rozplakała się w jej objęciach, z mokrym policzkiem przyciśniętym do jedwabnej niebieskiej bluzki. Kiedy się wreszcie od niej oderwała, Hath nieco skonsternowana przyjrzała się mokrej plamie. Ale zaraz przeniosła wzrok na młodszą siostrę.

— Przecież... przecież tylko się pokłóciłyśmy — zaczęła Daisy. — Strasznie, owszem, ale to była tylko kłótnia. Jak wiele innych. Dlaczego napisała, że musi odejść?



— Gdzie jest ten list? — spytała Hathaway, jakby spodziewała się znaleźć w nim jakąś odpowiedź. Daisy poczuła, że budzi się w niej nagle nadzieja. Być może siostra coś w nim znajdzie? Sama jej obecność i rzeczowe podejście do sprawy uspokajały.

— Tu. — Podała jej kartkę, wyrwaną z jednego z bloków Sage.

— To ma być list?

— Przecież ci mówiłam. — Daisy byłaby znacznie szczęśliwsza, gdyby córka pozostawiła po sobie cały blok wypełniony pretensjami i żalami pod adresem życia w domu i szkole, gorzkimi słowami podyktowanymi gniewem. Szesnastolatki przeżywają ciężkie, bolesne chwile, a ona należała do matek gotowych stawić temu czoło.

— Do kogo dzwoniłaś? — spytała Hathaway.

— Do Bena, kilku przyjaciółek, do szkoły.

— Dowiedziałaś się czegoś od Bena?

— Zgłosiła się automatyczna sekretarka. Wiem, że jego matka pracuje w banku, ale nie wiem w którym. Rozwiodła się z mężem, który mieszka teraz w Bostonie.

— Ten list... — Hathaway zmarszczyła brwi. Była wysoką, dobrze zbudowaną elegancką kobietą. Prowadziła butik na nabrzeżu. Nazywał się „Rodeo Kowbojki”; sprzedawała w nim skórzane kurtki, zamszowe koszule i biżuterię siostry. Z jakiegoś powodu turyści przyjeżdżający na wybrzeże Atlantyku chętnie wydawali pieniądze na pamiątki rodem z Dzikiego Zachodu. Wpadła na pomysł sklepu podczas wizyty u Daisy i Jamesa w Wyoming.

— Krótki, prawda? — Daisy spróbowała się roześmiać. Hathaway w milczeniu przyglądała się kartce.

— Muszę odejść — przeczytała głośno.

— Uciekła, to wszystko. — Daisy ze wszystkich sił starała się zachować spokój, lecz głos jej drżał. — Kiedy byłam młoda, sama uciekałam, i to nieraz. Zaczęłam, mając pięć lat, pamiętasz? Spakowałam myjkę, zabrałam pluszowego psa i postanowiłam zamieszkać w dziupli sosny. Potem, kiedy miałam dziewięć lat, znów uciekłam, to było zaraz po śmierci taty, nie chciałam iść na cmentarz...



— Sage ma szesnaście lat, a nie pięć czy dziewięć.

— To dobra dziewczyna. Ona nie... — Daisy czuła się tak, jakby lada chwila miała oszaleć. Próbowwała myśleć o wszystkim naraz, byle tylko nie myśleć o tym, że jest piętnaście po dziewiątej rano, że jej córka nie spała we własnym łóżku i że nie wie, co się z nią w tej chwili dzieje. — Przecież zostawiła list. Krótki, oczywiście, widać, że się zdenerwowała, pokłóciłyśmy się wczoraj jak nigdy w życiu. Wściekłam się na nią, przyznaję. Ona wie, czym było dla mnie zniknięcie Jake'a. Nie zrobiłaby mi czegoś takiego...

— Sprawa wygląda poważnie. — Hathaway ujęła dłoń siostry.

— Och...! — jęknęła Daisy. Tylko jęknęła, nie potrafiła zdobyć się na zadanie pytania: „Jaka sprawa?”.

Tą sprawą był oczywiście Ben. Dopiero za czwartym razem trafiła na właściwy bank. Paulina Davis kierowała znajdującym się na nabrzeżu oddziałem Southern Connecticut Bank & Trust. Akurat miała klienta; recepcjonistka obiecała, że oddzwoni. Daisy odczekała całe dziesięć minut i zatelefonowała znowu.

— Halo? — usłyszała w słuchawce. Głos zdradzał lekką irytację.

— Dzień dobry, mówi Daisy Tucker — powiedziała niepewnie Daisy. Kobiety nie przyjaźniły się, ale od ostatniego lata, kiedy Sage i Ben zaczęli się tak często spotykać, kilkakrotnie rozmawiały przez telefon.

— Dostałam twoją wiadomość — odparła Paulina.

— Czy Ben...? — Daisy urwała. Jak to powiedzieć, żeby nie urazić jego matki? Czy Ben jest dziś w szkole? Czy uciekł z domu? Czy zostawił składający się z dwóch wyrazów list, który przeraził cię do szaleństwa?

— Czy Ben i Sage wyrócili wczoraj kajak? Tak — odezwała się Paulina. — Czy przed chwilą zadzwoniono do mnie ze szkoły? Tak. Wiem, że zwagarował. Jestem wściekła, Daisy.

— Na Sage? — Poczwała, jak jej policzki robią się gorące. Czy to Sage miała być wszystkiemu winna?

— Ben jest w ostatniej klasie. Zawsze był dobrym uczniem, a w tym roku został jeszcze kapitanem drużyny piłki nożnej. Zawsze o tym marzył, jednak wczoraj opuścił mecz. Powinien odwiedzać licea, robić plany na... — Musiała przerwać, głos łamał się jej z wściekłości. — Kiedyś zabroniłam mu spotykać się z Sage i tym razem postawię sprawę na ostrzu noża.

— Kiedy zakazałaś mu spotkań z Sage? — Teraz to ona była wściekła, żadna matka nie miała prawa mówić takim tonem o jej córce.

— Miesiąc temu. Ale mnie nie posłuchał.

— Ty mnie posłuchaj. Sage też jest dobrą uczennicą. Jest najlepsza. — W słowach Daisy brzmiała niepowstrzymana pasja. — Mnie też nie zachwyca, że spędza z Benem każdą minutę, chyba to rozumiesz. Ufałam im, nie protestowałam, bo to dobre dzieci, zwłaszcza Sage...

— Dobrze, przepraszam. Jestem zdenerwowana. Spotkania w czasie wakacji to jedna sprawa, ale teraz najważniejsza jest nauka. Z pewnością przyznasz mi rację. Trzeba po prostu ustalić jakieś zasady, no i przestrzegać ich. Moim zdaniem...

— Czy po telefonie ze szkoły pojechałaś do domu?

— Nie, oczywiście, że nie. Pracuję do... O co ci chodzi?

— Moim zdaniem oboje uciekli z domu.

— Uciekli?

— Sage z pewnością. — Mówiąc te słowa, Daisy drżała. — Zostawiła list.

— Wspomniała o Benie?

— Nie.

— Ben nie uciekłby z domu — powiedziała Paulina pewnie. — Nie uciekłby.

— Nie uwierzyłabym, gdyby ktoś mi powiedział, że Sage ucieknie.

Ben nie zostawił listu, ale spakował trochę rzeczy do plecaka i zabrał namiot. Paulina natychmiast wróciła do domu i zadzwoniła, gdy tylko sprawdziła jego pokój. Krzyczała. Hathaway stała

oparta o lodówkę, zatykając sobie uszy, ale Daisy musiała jej wysłuchać. Nadal się denerwowała, lecz nie zaskoczyło jej, że dzieciaki uciekły razem.

— Ani jedno, ani drugie nie ma samochodu — powiedziała Paulina. — Co oni robią, łapią okazję?

— Zapewne tak, łapią okazję.

— Wspaniale. Wręcz cudownie. — Ton głosu Pauliny zdradzał, że jej zdaniem wszystkiemu winna jest Sage i tylko Sage. Daisy miała ochotę na nią nawrzeszczyć.

— Może powinniśmy... — Przez chwilę nie potrafiła dokończyć zdania. — Może powinniśmy zawiadomić policję?

— Policję? Po pierwsze, są wprawdzie nastolatkami, ale w wieku, w którym każdemu zdarza się zerwać ze szkoły. Twoja córka zostawiła nawet list! Policja nie poświęci tej sprawie nawet pięciu minut. Po drugie... po drugie, mój syn ma siedemnaście lat. Nie chcę, żeby policja zaczęła sobie coś wyobrażać.

— Jak to: „wyobrażać”?

— Nie chcę, żeby pomyśleli, że to był jego plan.

— Być może był. — Daisy przymknęła oczy. Wyobraziła sobie córkę skuloną obok niej na niskiej kanapie, jak czeka, aż matka zacznie bawić się jej włosami.

— Nie, Daisy. To niemożliwe. Jednego jestem pewna: mój syn nigdy nie uciekłyby z domu. Nigdy... chyba że ktoś by go do tego namówił. Jeśli ucieczka nie była pomysłem Sage, to... to nic już nie wiem. Więc nie próbuj mi tego wmówić. Jesteśmy ze sobą bardzo zżyci. On by mnie tak nie opuścił! — Paulina stłumiła szloch.

— Chcę zadzwonić na policję. — Daisy nie ośmieliła się otworzyć oczu. Poczowała, jak siostra ujmuje jej dłoń. Serce bolało ją teraz inaczej, mocniej i ostrzej. Musiała powiedzieć głośno te straszne słowa, że chce zawiadomić policję. Słyszała, jak Paulina Davis mówi z pełnym przekonaniem, że jej syn nigdy by tak nie zniknął. Oczyma wyobraźni widziała teraz Jake'a.

Jej trzyletni synek był taki silny, taki energiczny. Miał takie same ciemne włosy i zielone oczy jak jego siostra bliźniaczka, miał jej wesoły uśmiech i śmiał się równie zaraźliwie jak ona. Tak lubił obejmować ją, matkę, za szyję, kazał się podnosić i protesto-

wał, kiedy stawiała go na ziemi. Śmiał się z ustami przytkniętymi do jej ciała, a ona nie potrafiła się powstrzymać i także się śmiała. Mój Boże, nie wierzyła przecież, by mógł po prostu zniknąć. Nie wierzyła, by kiedykolwiek stała, patrząc w oczy męża mówiącego jej, że ich syn zginął, kiedy on się nim opiekował. Minęło trzy-  
naście lat, wszyscy uważali chłopca za martwego. A teraz znikła także Sage.

Zadzwoiła pod 911. Kiedy usłyszała w słuchawce głos oficera dyżurnego, z trudem skupiła się na tyle, by uświadomić sobie, co powinna powiedzieć.

— Moja córka... — zaczęła.

— Tak?

— Mów! — ponagliła ją Hathaway.

— Moja córka zaginęła. To znaczy, zostawiła list. Pokłóciłyśmy się, była bardzo zdenerwowana.

Policjant połączył ją z detektywem. Podał nazwisko, ale Daisy nawet go nie usłyszała. Od razu zaczęła mówić.

— Córka ma szesnaście lat — powiedziała cicho. Gardło miała ściśnięte. A jednak poczuła ulgę, słysząc głos nieznanego mężczyzny, który powinien odnaleźć jej dziecko, przywieźć je z powrotem do domu.

— Powiedziała pani, że się pokłóciłyście? Że zostawiła list? Czy to powiedziała pani dyżurnemu?

— No... tak. Ale...

— A więc nie zdarzyło się nic niezwykłego. — Policjant mówił powoli, spokojnie. — Mamy piękną pogodę, dziewczyna pragnie odrobiny swobody. Szesnaście lat to najlepszy czas na odrobinę swobody.

— Wiem, oczywiście. Zadzwoiłam do szkoły i rzeczywiście nie przysłała. Ale... ale to takie niepodobne do mojej Sage.

— Jest nastolatką — tłumaczył niewzruszony policjant.

— O tej porze roku pełno ich na farmach dyni. Przydają się na Halloween. Jest pani trzecią matką, która zgłasza dziś zaginięcie dziecka.

— Trzecią...?

— Rozumie pani?

Daisy oddychała z największym wysiłkiem. Spokój funkcjonariusza policji niemal ją zahipnotyzował. Policjant przemawiał tak rozsądnie. Przecież w wieku szesnastu lat jej samej zdarzało się wagarować. Uciekała ze szkoły nie raz i nie dwa, jeździła na plażę z Hathaway i jej przyjaciółmi. Ale ten list Sage... ten list był tak brutalnie krótki. No i raz już przeżyła coś bardzo podobnego: zaginięcie dziecka i rady ludzi powtarzających jej, żeby nie ruszała się z miejsca, uzbroiła się w cierpliwość i czekała, aż wróci ono do domu.

— Proszę — powiedziała do słuchawki. — Kiedy zobaczy pan jej list...

— Pani córka wróci do domu przed zmrokiem — odparł policjant.

— Skąd pan wie? — Daisy przymknęła oczy.

— Dzieci są tylko dziećmi. Powiedziała mi pani, że się pokłóciłyście. Jeśli córka nie wróci na kolację, proszę jeszcze raz do nas zadzwonić, dobrze?

— Och... — Serce Daisy biło tak szybko, jakby próbowało wyrwać się spod kontroli. Jakimś cudem udało się jej jednak zapanować nad sobą. — Dobrze — powiedziała po kolejnej długiej przerwie. Sama sobie tłumaczyła, że przesadza wyłącznie z powodu tego, co przydarzyło się jej synkowi przed trzynastu laty. Sage bardzo silnie przeżywała każde wydarzenie w życiu, lubiła dramatyczne gesty i miała szesnaście lat.

Godziny tego dnia płynęły powoli, jedna za drugą. Daisy wypełniła je pracą. Przez wychodzące na podwórko weneckie okna do pokoju wpadały promienie zachodzącego słońca. Na cienkich linkach wisiały pryzmaty, małe tęczowe tańczyły na podłodze i ścianach. Pokój dzielił się na dwie części; Daisy pracowała w tylnej, ciemniejszej, którą klienci, ci, co o niej wiedzieli, nazywali magiczną jaskinią.

Daisy Tucker tworzyła arcydzieła biżuterii, które przynosiły ludziom miłość. Nigdy świadomie nie stawiała sobie takiego celu i po dziś dzień nie rozumiała, jak to możliwe. Już jako mała dziewczynka lubiła nawlekać koraliki na sznurki i skręcać dru

ty. Przewiercała dziurki w kamieniach, monetach oraz muszlach, przywiązywała do nich sosnowe szyszki i żołądźcie. Obdarowywała swymi dziełami siostrę oraz jej przyjaciółki, a one natychmiast podbijały serca chłopców, o których marzyły. W poszukiwaniu natchnienia Daisy pojechała do Wyoming i tam spotkała Jamesa.

— Przyszła poczta — oznajmiła Hathaway. Zadzwoiła wcześniej do sklepu do sprzedawcy, by powiedzieć mu, że dziś nie przyjdzie, i teraz weszła do pokoju, trzymając w dłoni plik listów.

— Aha. — Daisy siedziała skulona nad warsztatem. Serce biło jej zbyt mocno; wiedziała, że nie uspokoi się, póki Sage nie przekroczy progu domu. Słyszała, jak siostra rozrywa koperty, słyszała jej westchnienia, gdy czytała któryś z listów.

— No i znowu — powiedziała Hathaway. — Znowu ci się udało. Mam przeczytać?

— Czytaj. — Daisy z rozpaczą w sercu czekała na coś, co oderwie jej myśli od nieszczęścia, które przydarzyło się dzisiaj.

— Droga Pani Tucker! — Hathaway niedawno rzuciła paleńnię, głos miała niski, schrypnięty. — Piszę, by poinformować Panią o cudzie, jaki mnie spotkał dzięki Pani. O Pani naszymi przyjaciółmi powiedzieli mi przyjaciele, ale sama musiałam doświadczyć ich działania, żeby móc uwierzyć. Tak długo byłam samotna...

Daisy, siedząc w ciemnym ciasnym pomieszczeniu, nie przerywała pracy. Lampa na stelażu rzucała krąg jasnego światła na warsztat zarzucony kamykami, kośćmi, bryłkami srebra i złota. Opuszki palców pokryte miała złotym pyłem. W skupieniu rzeźbiła w kawałku krowiej kości, wyczarowując podobiznę indiańskiego ducha.

Przy projektowaniu biżuterii źródłem inspiracji były dla niej mity, opowieści rodzinne i indiańskie legendy z Dzikiego Zachodu i Nowej Anglii. Ostroymi rylcami wyrzynała skomplikowane wzory, które następnie wypełniała czarnym tuszem, tak że przypominały tatuaże lub prymitywne rzeźby kościane. Układała wzory z kropek, kręgów i kropek oraz koncentrycznych kół, symbolizujących miłość, wieczność i duchowe wizje.

Gdy te rzeźbione w kości twarze oprawiała w osiemnastokaratowe złoto lub czyste srebro oraz łączyła z polerowanym granitem



i turmaliną, tworząc bransoletkę lub naszyjnik, jej dzieło wyglądało jak fragmenty totemu spojone złotą nicią.

— Zawróćcie ją z drogi — szeptała do kości. Klientki kupowały jej biżuterię, by na powrót scalić zerwane związki, odzyskać mężów, którzy je opuścili, i ukochanych, którzy odeszli do innej. Daisy modliła się o spełnienie ich życzeń, szeptała je, rzeźbiąc twarze, wypełniając cienkie linie i drobne punkty czarnym tuszem. Teraz jednak myślała tylko i wyłącznie o Sage.

— Nigdy nie sądziłam, że coś takiego może przydarzyć się właśnie mnie — czytała dalej Hathaway. — Nie podejrzewałam, że moje życie może się aż tak zmienić. Spojrzałam na Billa, potem w niebo i zdarzyło się coś, czego nigdy się nie spodziewałam. Nie sądzę, bym była w stanie zdjąć Pani naszyjnik, jak długo będę żyć.

Hathaway złożyła list. Powoli, starannie wygładziła go i równie starannie włożyła do koperty. Obejrzała ją dokładnie, sporo uwagi poświęciła znaczkowi pocztowemu.

— Przychodzą jeden za drugim — powiedziała.

Daisy przyjrzała się dokładnie twarzy, którą rzeźbiła. Zdawała sobie sprawę z tego, że siostra zbiera siły. Listy przemawiały do Hathaway niezwykle silnie. Podobnie jak przemawiały do niej samej. Na świecie istniało tyle rodzajów miłości. I pragnął jej każdy. Czy to kochać, czy leczyć złamane serca, łączyć rozbite rodziny.

— Ty nie masz klientów. Masz wielbicieli — powiedziała Hathaway.

Daisy potrząsnęła głową.

— Dobrze się czujesz?

— Nie wiem. Chyba nie.

— Wróci do domu. Nie tak jak Jake.

Daisy przytuliła siostrę. Przymknęła oczy. Myślała o tym, co zdarzyło się naprawdę: o trzyletnim synku, który znikł na pustyni, w kanionie, o córce, która uciekła z domu, o rozwodzie z ojcem obojga dzieci. Jej rodziną były duchy z kości. „Nie tak jak Jake” — powiedziała Hathaway.

— A jeśli nie wróci do domu tak jak Jake? — spytała Daisy, bojąc się otworzyć oczy.



\*

Czekały razem na szkolny autobus, ale nie było w nim Sage. Daisy zadzwoniła do Amandy, Zoe, Robin, Cale'a i Billy'ego; pytała, czy nie widzieli Sage lub Bena, czy nie słyszeli o „zaplanowanych” wagarach gdzieś w sadach. Nikt nic nie słyszał, nikt nic nie wiedział. Przyszła pora kolacji. Sage opuściła już trzy kolejne posiłki. Śniadanie, obiad, kolacje. Z nadzieją, że głód przygna córkę do domu, Daisy przygotowała jej ulubione danie: zapiekankę z tuńczyka z makaronem.

W kuchni pięknie pachniało. Październikowy wieczór był spokojny, mroźny. Daisy wyszła przez kuchenne drzwi, spojrzała na ogród, sosnowy las, zatokę. Próbowwała nie myśleć o tym, jak stojąc na progu w nadziei, że Jake sam trafi do domu, czekała niegdyś na rezultaty poszukiwań, na jeźdźców przeszukujących góry i doliny. Oczami wyobraźni widziała teraz Sage kryjącą się gdzieś w pobliżu, nadal zagniewaną z powodu kłótni i niesprawiedliwości matki. Poczuje zapach ulubionego przysmaku, wróci do domu.

— Zadzwonisz na policję czy ja mam to zrobić? — spytała Hathaway.

— Zaczekajmy jeszcze parę minut. — Daisy spojrzała na zegarek. — Bywa, że jemy kolację o...

— Robi się ciemno — zauważyła Hathaway.  
To przesądziło sprawę.

## 2

— Ma szesnaście lat — powiedziała Daisy, zwracając się do detektyw Barbary LaRosy i jej partnerki, detektyw Adeli Connelly. — To do niej całkiem niepodobne. Wiem, że wy widzicie to na co dzień, znacie dzieci, które piszą listy i uciekają, ale Sage jeszcze nigdy tego nie zrobiła. Jest inna!

Stały w kuchni Daisy. Tym razem, kiedy zadzwoniła pod 911, dyżurny zapewnił, że ktoś zaraz się zjawi.

— A jaka jest? — spytała detektyw LaRosa.

— No... niezwykła. Uwielbia pisać... Eseje, opowiadania. I poezje. Chce zostać pisarką...

— Jak wygląda?

— Ma metr sześćdziesiąt wzrostu. Waży pięćdziesiąt pięć kilogramów. Włosy kasztanowate, sięgające dotąd... — Dotknęła swego ramienia. — Oczy zielone... piwne... bardziej zielone niż piwne.

— W ciemności wydają się złote — wtrąciła Hathaway. — Wygląda wówczas jak czający się kot.

— Owszem. — Daisy przywołała w wyobraźni obraz córki siedzącej o zmierzchu na ławeczce w ogrodzie, piszącej pamiętnik, podnoszącej głowę, by spojrzeć na nadchodzącą matkę. — Bywają złote.

— Jest podobna do matki. — Hathaway podała policjantce szkolne zdjęcie Sage. — Kiedy była ona w jej wieku. Bardzo ładna.

LaRosa spojrzała na zdjęcie.

— Rzeczywiście — przytaknęła.

— Pod wieloma względami jesteśmy do siebie bardzo podobne — powiedziała Daisy.

— Emocjonalnie — dodała Hathaway. — Weźmy na przykład operę.

Nie sposób było temu zaprzeczyć. Daisy przypomniła sobie, jak wyraźnie twarz córki zdradzała uczucia, jak z radości rozbłyskiwały jej oczy, jak zmartwiona przygryzała dolną wargę. Wiedziała, że sama zachowuje się bardzo podobnie.

— A ojciec...?

— Ojca to nie dotyczy.

— Czy mogę zobaczyć jej pokój? — spytała detektyw LaRosa.

— Oczywiście. — Daisy poszła z policjantką do pokoju Sage. Gardło miała ściśnięte.

Sage kochała zwierzęta. Przerazał ją widok kalekich dzieci i ślepców. Co miesiąc dostawała od matki pieniądze, które wysyłała na konto „Save the Children”, organizacji wspomagającej dzieci będące ofiarami wojny i dzieci żyjące w nędzy. Płakała, słuchając pięknej muzyki, przede wszystkim operowej i tych zespołów rockowych, które wykorzystywały skrzypce. Daisy powiedziała o tym wszystkim detektyw LaRosie.

— Jest najlepszą uczennicą w klasie — dodała. — Ma same piątki. — Nagle przerwała. Czy mówiła o prawdziwej Sage? Przecież ostatnio córka miała coraz gorsze oceny, z dnia na dzień przestała interesować się szkołą.

Detektyw LaRosa była przystojną kobietą w wieku około pięćdziesięciu lat. Urody dodawały jej siwe pasemka w pięknych czarnych włosach. Ciemne oczy spoglądały na Daisy ze współczuciem, lecz bystro. Nie umknęła jej ta chwila zawahania.

— Czy zauważyła pani ostatnio jakąś zmianę w jej zachowaniu? Czy córka pije alkohol lub zażywa narkotyki?

— Nie, nie, skąd. Jest absolutnie przeciwna alkoholowi i narkotykom. Rozmawiamy ze sobą o wszystkim. To wspaniała dziewczyna — dodała, czując, jak coś dławi ją w gardle. — Tole-

ruje odmienne zachowania, ale wie dokładnie, co jej odpowiada, a co nie. W tym roku dostaje trochę gorsze oceny, ale...

— To częsta oznaka zażywania narkotyków. Nawet najlepsze dzieci...

— Nie moja Sage — przerwała policjantce Daisy, energicznie potrząsając głową.

Kiedy weszły do pokoju dziewczyny, Daisy poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Sage powinna siedzieć przy biurku, odrabiać lekcje po kolacji.

— Lubi Dziki Zachód — zauważyła LaRosa, przyglądając się plakatowi przedstawiającym góry, łosim rogom obwieszonym pamiątkami, kolekcji grotów strzał.

— Kocha Dziki Zachód.

— Dlaczego? — Policjantka przyglądała się zdjęciu czerwonych wzgórz na tle intensywnie niebieskiego nieba. — Spędzałyście tam wakacje?

— Urodziła się w Wyoming i mieszkała tam do czwartego roku życia. Potem wyjechałyśmy na zawsze.

— Jej ojciec został — wtrąciła Hathaway.

— Powiedziała pani, że jej ojca to nie dotyczy — zainteresowała się policjantka.

— Jesteśmy rozwiedzeni. On mieszka na ranchu. Przysłał jej te rogi na dziesiąte urodziny. Sage obwiesza je pamiątkami jak bożonarodzeniową choinkę. — Zrobiła krok w przód, pochyliła się i przyjrzała wiszącemu na niebieskiej wstążce zdjęciu Jamesa. Był już dla niej mężczyzną obcym, starszym, ale nadal szczupłym, opalonym, poważnym jak w czasach młodości.

— To on? — spytała LaRosa.

— Jego jedyne zdjęcie. Nie lubi się fotografować. Musiała o nie błagać, no i przysłał je na Boże Narodzenie. Przed kilku laty.

— Kontaktują się?

— Właściwie nie.

— Nie odwiedza jej?

— Właściwie nie.

Hathaway zrobiła krok w stronę siostry, jakby wyczuła, że potrzebuje ona wsparcia. Daisy patrzyła na Jamesa; gardło miała

ściśnięte. Bała się, że zacznie płakać, więc zamknęła oczy. Pojechała do Wyoming, spodziewając się, że znajdzie tam natchnienie wśród dzikiej, wolnej przyrody. A spotkała Jamesa Tuckera, mężczyznę dzikiego i wolnego.

— Dlaczego ojciec nie spotykał się z córką od czasu, gdy skończyła cztery lata? — spytała LaRosa.

— Ponieważ nie chce opuścić rancza. A ja nie chciałam, by Sage jeździła do Wyoming sama.

— Błękitne pantofle? — Detektyw LaRosa musnęła palcem niebieskie, robione na drutach kaptcie Jake'a.

— Należały do mojego syna — wyjaśniła Daisy. — Bliźniaka Sage. Zmarł, mając trzy lata.

Policjantka drgnęła.

— Jak umarł?

— Nie wiemy — powiedziała cicho Daisy. Policjantka milczała. — James... mój mąż... zabrał go ze sobą. Na spęd bydła; mnóstwo ludzi, straszne zamieszanie. Byli przy tym i on, i zarządca rancza. Zawsze zabierał ze sobą Jake'a, który kochał takie wyprawy. Był małym kowbojem, Ignął do ojca. James zsadził go z konia dosłownie na chwilę, powiedział, żeby nie ruszał się z miejsca, tylko siedział i patrzył... — Widząc wyraz twarzy policjantki, potrząsnęła głową. — Tak, wiem, że pani zdaniem to szaleństwo, ale myśmy po prostu tak żyli. Żyliśmy na ranczu, a tam zawsze wiele się działo. Uważaliśmy, że dzieci mają szczęście, w końcu chowały się wśród pięknej, nienaruszonej przez człowieka przyrody. Czyste powietrze, no i oboje tak bardzo kochali zwierzęta. Jake był grzecznym chłopcem. Zawsze robił to, co mu polecono...

— Więc mąż kazał mu nie ruszać się z miejsca? — przerwała jej policjantka.

Daisy skinęła głową.

— I co się później stało?

Hathaway przysunęła się bliżej siostry. Daisy z wysiłkiem przełknęła ślinę. Tak trudno było jej powiedzieć to, co musiała powiedzieć.

— Nie wiemy, co się później stało.

— Czy przeprowadzono śledztwo?

— Tak. Oczywiście.

Kanion był wielki, jego naturalne zagrożenia wydawały się oczywiste, ale policja z jakichś powodów zdecydowała się je wykluczyć. Natychmiast skupiła uwagę na Jamesie. Ci policjanci; pamiętała ich podejrzliwe spojrzenia, ostre głosy. Szalała z niepokoju, a oni traktowali ją jak żonę podejrzanego o morderstwo. Nie dopuszczali Jamesa do poszukiwań w ciągu tych kilku pierwszych, najważniejszych dni, bombardowali go pytaniami.

— Nie zdołali odnaleźć żadnych śladów — powiedziała Daisy. — Nie natrafili na żaden ślad po moim synku. Na miejscu, gdzie siedział, było mnóstwo odcisków butów i kopyt końskich, ale śladów Jake'a nie udało im się odnaleźć w ogóle. Sformowano oddziały poszukiwawcze, pomagał nam helikopter i szaman Szoszonów. Policja przesłuchiwała męża godzinami...

Detektyw LaRosa skinęła głową. Wiedziała, że ojciec zawsze jest pierwszym podejrzanym, niezależnie od protestów rodziny, choćby najgwałtowniejszych.

— Kiedy wreszcie męża puścili, był jak tornado. Powiedział, że nie wróci do domu, póki nie znajdzie Jake'a. Obiecał mi to. I pojechał na poszukiwania. — Daisy przełknęła ślinę z wysiłkiem. — Nie widziałam go przez piętnaście dni. Oddziały poszukiwawcze dawno wróciły do domu. James był chory, odwodniony; teść i zarządca farmy szukali go i wreszcie przywieźli do domu.

— Nie znalazł Jake'a?

— Nie.

— A co z Sage? Co się wówczas z nią działo?

— Była ze mną. — Daisy doskonale pamiętała, jak córka przez cały ten czas nie odstępowała jej na krok. Pamiętała, jaka była cicha, jakby rozumiała, że mama potrzebuje przede wszystkim spokoju i że nie otrzyma odpowiedzi na żadne pytanie, które miałyby ochotę zadać. W tym samym tygodniu Daisy zrobiła dla niej naszyjnik. Modliła się podczas pracy, zaklinając całą swą miłość w kość i kamień. Sage nadal nosiła ten naszyjnik. Nigdy go nie zdejmowała. — James nie wyjedzie z Wyoming. Czeka na powrót Jake'a.

— Czy ma jakiś powód, by wierzyć...? — spytała LaRosa.



Daisy potrząsnęła głową. Poczula na ramieniu dłoń Hathaway. Spojrzała na policjantkę, wracając myślami do tego wszystkiego, co brała pod uwagę całymi latami, od kiedy zniknął jej synek: sępy, niedźwiedzie, kojoty, grzechotniki. Szczeliny w czerwonej skale. Przepaście i jaskinie. Szerokie, otwarte przestrzenie. Głos wołającego o pomoc, którego nikt nie słyszy.

— A więc pani i mąż czujecie do siebie niechęć? — spytała policjantka.

— Tak. Chyba tak — odpowiedziała Daisy. — Chociaż nie wiem, czy „niechęć” jest właściwym słowem.

LaRosa skinęła głową. Stała nieruchomo, przyglądając się przedmiotom leżącym na biurku Sage. Przejrzała notatniki, zajrzała do szuflad. Otworzyła album na zdjęcia, powąchała go i odłożyła. Dotknęła wieczka drewnianej szkatułki; w ciemnym drewnie wyryta była postać kowboja ujeżdżającego byka.

W tej szkatułce Sage trzymała swe skarby: odcinki biletów, listy od ojca... wszystko, co było dla niej najważniejsze. Daisy przygryzła wargę, wiedziała, że policjantka szuka narkotyków.

— Jest piękna. — Policjantka podniosła bransoletkę, którą córka dostała od matki na Boże Narodzenie. Dotknęła delikatnych rzeźb, przesunęła palcem po czarnym wzorze. — Niezwykła.

— To dzieło Daisy — powiedziała Hathaway.

— Znam pani prace. — LaRosa uśmiechnęła się. — Siostra ma pani kolczyki. Nazywają się chyba „Boginie Księżycy”.

Daisy skinęła głową. Nadawała nazwy wszystkim swoim dziełom. Bransoletkę, która tak spodobała się policjantce, ochrzciła „Duchami Sosny”. Natchnienie czerpała z głosów, które słyszała w wietrze poruszającym gałęzie sosen; głosów szepczących „miłość”, „miłość”, nakazujących ludziom kochać swoje rodziny. Twarze duchów sosen były twarzami starych mądrych kobiet, zaklętych na wieczność w korze i igłach. Gdziekolwiek była teraz Sage, duchy sosny powinny być przy niej.

— Co to takiego? — Policjantka dotknęła cienkich koncentrycznych kręgów, wyrytych na twarzy jednego z duchów. — Na kolczykach siostry też są.

— Po prostu symbole.



— Daisy często używa kręgów w swych pracach — wtrąciła znów Hathaway, widząc, że siostra stoi wpatrzona w bransoletkę, niezdolna w tym momencie do wypowiedzenia choćby słowa.

— To pradawny symbol ochrony; klan gromadził się w krąg, by nie dopuścić do siebie wrogów, złych duchów, dzikich zwierząt...

— Intrygujące.

— Chcę tylko, by Sage była bezpieczna — powiedziała głośno Daisy.

— Czy ma ona jakieś przyzwyczajenia, czy są miejsca, które często odwiedza?

— Kocha przyrodę. Uwielbia wycieczki, pływanie kajakiem... zna wszystkie parki narodowe. Wyjeżdżałyśmy pod namiot do Vermont i Montany. Letnie wakacje przez trzy ostatnie lata spędzałyśmy w wynajętym domku w Maine.

— Gdzie dokładnie?

— Koło Mount Katahdin — odparła Daisy. Osobiście wybrała najdziksze miejsce, jakie udało się jej znaleźć w Nowej Anglii, najbardziej przypominające Wyoming. Widziały tam orły, łosie i czarne niedźwiedzie. W okolicy były wyłącznie gruntowe drogi. Nocą na czarnym niebie świeciły wielkie jasne gwiazdy; wydawały się takie bliskie. W nocy, kiedy Sage spała, Daisy często wychodziła na rozpadający się ganek i rozmawiała z Jakiem. Mogłaby przysiąc, że słyszała jego głos i że Jake jej odpowiada.

Detektyw LaRosa notowała pilnie.

— Ona kochała to miejsce — powiedziała z namysłem Hathaway, jakby zastanawiała się, czy Sage nie mogła przypadkiem uciec aż do Maine. Odwiedziła ich ostatniego lata, spędziły wspólnie pięć pięknych dni.

— To przecież tak daleko. Nie zdołałaby dotrzeć tam sama...

— zaniepokoiła się Daisy.

— Naprawdę tak uważasz? — spytała łagodnie Hathaway. Oczy Daisy napęłniły się łzami, bo przecież wiedziała, że jej córka poradzi sobie w każdej sytuacji. Miała sześć lat, kiedy została harcerką. Umiała rozpalić ognisko za pomocą dwóch patyków, bez kompasu wiedziała, gdzie jest północ, i nie potrzebowała ścieżki, by trafić do domu.

— Mount Katahdin — powtórzyła LaRosa. — Jak nazywa się najbliższa miejscowość?

— Millinocket.

— Proszę powiedzieć mi coś więcej o córce. — Policjantka zachowywała się i mówiła tak, jakby naprawdę zależało jej na Sage.

— Bardzo pilnuje wagi. Martwi się, że nie wygląda „doskonale”. Musiała nosić klamerki na zębach i nienawidziła tego. Kiedy miała cztery lata, zrobiłam jej naszyjnik. Nigdy go nie zdejmuję. Wysoko na prawym udzie ma znamię; jej ojciec twierdził, że wygląda jak mustang. Strasznie się jej to spodobało. Powtarzała, że kiedy dorośnie, chciałaby być kowbojką.

— To tak jak ty — uśmiechnęła się Hathaway i wyjaśniła: — Kiedy Daisy była mała, wygrała konkurs Nestle Quick. Dostała dziecinny, czerwony strój kowbojski.

— Jak wyglądał ten naszyjnik? — Policjantka nie zwracała uwagi na to, co dotyczyło matki, ale zapisywała wszystko, co dotyczyło córki. Daisy bardzo się to podobało.

— Jest długi, sięga dotąd — Daisy dotknęła miejsca między piersiami. — To kościany krąg w oprawie z białego złota, z czterema bryłkami złota zwisającymi z niego na łańcuszkach, także z białego złota. Kość wyrzeźbiłam z obu stron; to dwustronna twarz. Jedyna, jaką zrobiłam.

— Jak się nazywa? — LaRosa oderwała się na chwilę od notatek.

— Bliźnięta.

Daisy słyszała szelest, z jakim długopis przesuwiał się po papierze. Słyszała szum gałęzi poruszanych wiatrem. Okno było otwarte, słońce zachodziło, ptaki przestały śpiewać. Oczami wyobraźni widziała córkę, jak dotyka naszyjnika. Nosila go tak, by twarz chłopca, jej brata, przylegała do jej ciała na wysokości serca.

— Proszę powiedzieć mi coś o jej przyjacielu.

— Nazywa się Ben Davis. Zaprzyjaźnili się, kiedy Sage poszła do liceum. To dobry dzieciak... — Nie jak James — pomyślała. Nie jest niebezpieczny. W niczym nie przypomina milczącego kowboja o gniewnych oczach i brzuchu twardym jak skała. Miły

młody człowiek z przedmieścia, doskonaly z przedmiotów ścisłych, grający na trąbce w szkolnej orkiestrze. Nie zagrażał przyszłości, którą wymarzyła dla córki.

— Dobry dzieciak — powtórzyła detektyw.

— Oboje są dobrymi dziećmi. — Daisy teraz poczuła się lepiej, kiedy mogła o nich mówić. — Wczoraj wieczorem pływali kajakiem i stracili poczucie czasu. Przeżyli przygodę, aleja straciłam panowanie nad sobą. Przesadziłam. Popełniłam błąd. Zawsze przesadnie chroniałam córkę przed światem. To wszystko. Ona...

LaRosa przestała pisać. Wpatrywała się w szkatułkę. Odsunęła na bok kilka pierścionków — złoto i srebro zadzwoniło cicho. Daisy miała ochotę krzyknąć: „Nie znajdziesz tu żadnych narkotyków!”. Ale policjantka przyglądała się czemuś, marszcząc brwi. Wzięła do ręki cienką plastikową pałeczkę. Na jednym jej końcu znajdował się mały czworokątny otwór. Zabarwiony na niebiesko.

— Nie, nie... — szepnęła Hathaway.

Daisy podniosła dłoń do ust. Przyglądała się białej pałeczce. Domowy test ciążyowy. Choć minęło już szesnaście lat, pamiętała jakby to było wczoraj, jak sama go użyła. Na ranchu Tuckerów, we własnej łazience, użyła testu kupionego w aptece w Dubois. Nie chciała budzić w Jamesie płonnej nadziei, pewna, że jeden opóźniający się okres to nie powód, by podnosić alarm, ale jednak zrobiła sobie test.

— Ona jest w ciąży — szepnęła Hathaway.

— Nie potrafię teraz o tym myśleć — rozplakała się Daisy.

— Ja tylko chcę, żeby wróciła do mnie bezpiecznie.

Pochyliła głowę, wracając pamięcią do Wyoming sprzed wielu lat. Dowiedziała się, że jest w ciąży z bliźniakami, obserwując okienko plastikowej pałeczki. Było błękitne jak niebo nad Wind River Mountains, jak oczy Jamesa Tuckera, jak ocean, za którym tak tęskniła.

I tak błękitne jak okienko tego testu, testu Sage, dzięki któremu dowiedziała się, dlaczego jej szesnastoletnia córka uciekła z domu.

James Tucker jechał konno wąskim grzbietem górskim w chmurze pyłu wzbijanego końskimi kopytami. Czerwonej skały czepiały się z rzadka karłowate cedry, niżej rozciągały się pastwiska. Otoczony zboczami gór Wind River, pędził do domu na kolację.

Galopował wzdłuż łożyska wyschniętego strumienia, przecinającego wyprażoną jak na pustyni brązową ziemię. Ziemię przesiąkniętą krwią Indian, kowbojów i żołnierzy; tu powstawała historia Wyoming, tu mieszkał przez całe życie. Myślał tylko o bydłe i o wodzie: tego lata dotknęła ich susza, największa, jaką pamiętał. Teraz, w połowie października, było sucho jak w sierpniu.

Spędził w siodle długi dzień i był głodny.

Po lewej stronie miał strome zbocza wysokości trzystu metrów. Skręcił w mroczny, chłodny kanion; poczuł się w nim bardzo samotnie. Zachodzące słońce malowało sterczące skały na kolor krwi, ale tu, w cieniu, nie było nawet śladu letniego ciepła. Koń biegł lekko, równo. Podjechali łagodnym zboczem do wąskiej przełęczy i przez nią dostali się do doliny rzeki.

Tu wszystko wyglądało inaczej. Płynąca powoli rzeka wyrzeźbiła po obu brzegach strome zbocza, na których rosły potężne topole; dalej ciągnęły się suche pastwiska. James Tucker miał przed sobą jeszcze dziesięć kilometrów jazdy, ale kiedy twarz owiał mu ciepły wiatr, poczuł, że jest już prawie w domu, na ranczu DR,

nazwanym tak od imion jego rodziców: Daltona i Rosalind. Poczuli też — podobnie jak jego koń — że oddycha inaczej. Tak się dzieje, kiedy zna się swą ziemię, jest się jej częścią jak czerwone skały, strumienie i rzeki. Nowi przybysze nie mają tej zdolności. Na przykład hodowcy owiec, którzy pojawili się, kiedy jego ojciec był dzieckiem, ignorowali prawa hodowców bydła, omal nie zniszczyli pastwisk, uniemożliwiając jakąkolwiek hodowlę. Dziadek z największym trudem utrzymał się na własnej ziemi.

Prawo Tuckerów głosiło, że bydło jest dobre, a owce złe. Zamiast pluszowych niedźwiadków i baranków, ojciec Jamesa podarował bliźniakom w dniu ich urodzin maskotki — brązowe krówki. Sam James opowiadał dzieciom na dobranoc historie o ich pradziadku, który zabijał żarłoczne owce i spychał je z pastwisk w przepaść. Były to historie prawdziwe — tak Tuckerowie bronili swej ziemi przed przybyszami, owczarzami Rydellami. Jego żona nie przepadała za tymi opowieściami.

Daisy pochodziła z Nowej Anglii. W jej żyłach płynęła błękitna krew oceanu, nie rozumiała, do czego można się czasami posunąć, by utrzymać ziemię. James zabierał ją często na wyprawy konne, pokazywał jej czerwone skały, wspólnie szukali kości i drogich kamieni, które mogłaby wykorzystać przy projektowaniu biżuterii. Od Jamesa dostała kaniony, o których nikt nie wiedział, niebo płonące gwiazdami, ścieżki pustyni, pradawne malowidła naskalne w głębokich jaskiniach. Oboje dali sobie nawzajem bliźnięta, Jake'a i Sage, i to wystarczyło, by zatrzymać ją na zachodzie. Na jakiś czas.

Niektórzy ludzie rodzą się u siebie — pomyślał James. Czasami przenoszą się do innej doliny czy nawet innego stanu, ale czymś zupełnie innym jest przenieść ich do całkiem nowego świata. Daisy próbowała zapuścić tu korzenie. Znalazła natchnienie dla swej biżuterii i mogło się nawet wydawać, że wraz z mężem odnalazła w tym kraju coś znacznie ważniejszego.

A potem wydarzyła się tragedia i okazało się, że Daisy nie ma w sobie dość siły, by pogodzić się z utratą Jake'a. Musiała wyjechać. Ta kraina zabrała jej dziecko. James nie potrafił winić jej za decyzję, którą podjęła. Nowa Anglia była jej domem, tak jak

Wyoming —jego. Czasami wyobrażał sobie, że wraz z nią i Sage wyjeżdża na wschód, do Connecticut, ale byłoby to tak, jakby ktoś próbował zasadzić kaktus wśród jabłoni. Nie ma sposobu, żeby się przyjął. Były zresztą i inne powody, dla których James Tucker nie mógł opuścić swej ziemi.

Na tej ziemi pozostał Jake. Kiedy zaginał, miał trzy lata. Wyjechali na wiosenne pastwiska, na spęd bydła, ojciec i syn w jednym siodle. W spędzie uczestniczyło dwunastu kowbojów, tak wiele oczu obserwowało maleńkiego chłopca. Sage płakała, bo matka życzyła sobie, by pozostała przy niej. James czuł się bardzo źle, wyjeżdżając z domu, w uszach brzmiał mu histeryczny płacz córeczki, ale wkrótce potem miał za co dziękować losowi — przynajmniej jedno z ich dzieci pozostało przy życiu.

Nigdy nie znaleźli ciała Jake'a, nie mogli go więc pochować. Nie było grobu, na którym mogliby składać kwiaty. Dusza chłopca pozostała w kanionie, koło kamienia, na którym ojciec kazał mu usiąść; zostawił go na trzydzieści sekund, żeby dogonić i schwytać na łące byka. Minęło tyle lat; James wiedział, że Jake nie wróci, ale nie potrafił zostawić go w kanionie samego, bez opieki.

W tej chwili dostrzegł przed sobą zabudowania rancza. Mieszkał w drewnianym domu na skraju, ale postanowił sprawdzić najpierw, co słychać u ojca. Ruszył w kierunku dużego kamiennego budynku. Ziemia była sucha, twarda jak kamień. Przez cały dzień obserwował niebo, na którym zbierały się chmury burzowe, ale do tej pory nie spadła nawet kropla deszczu. Przyglądał się strumieniom nawadniającym pastwiska rancza i zauważył, że z płytkiej wody sterczą kamienie, co się jeszcze nie zdarzyło za jego życia. Jutro wypali rowy irygacyjne, przygotuje je na przyjęcie deszczu... jeśli kiedykolwiek nadejdzie deszcz.

Ściągnął wodze zmęczonego konia, zeskoczył z siodła i wpuścił go do korrala. W powietrzu czuł zapach kolacji, przygotowywanej przez Louise. Nie była jego macochą — ona i Dalton jakoś nigdy nie zdecydowali się na ślub — ale mieszkała z ojcem od dwudziestu lat. Louisa Rydell różniła się od jego matki, Rosalind Tucker, tak bardzo, jak tylko mogą się między sobą różnić dwie kobiety. James nigdy nie zaakceptował tego, że ktoś zastąpił jego



matkę u boku ojca, ale teraz, kiedy starzec coraz bardziej podupa-  
dał na zdrowiu, był niemal szczęśliwy, iż nie jest on sam.

Kilkakrotnie uderzył kapeluszem po skórzanych ochrania-  
czach na spodnie. Gruba warstwa pyłu pokrywała całe ubranie  
i skórę, czuł go nawet w gardle. Dłonie miał ciemne, spękane,  
palce bolały go od trzymania wodzy. W powietrzu nie było ani  
odrobiny wilgoci. Płacił za wodę dostarczaną ciężarówkami, więc  
przynajmniej koryta dla krów były pełne. Pochylił się nad jednym  
z nich i ostrożnie zaczerpnął dłonią wody. Najpierw się napił,  
a potem przetarł sobie kark. Wśród gałęzi drzew szumiała szarań-  
cza, śpiewał jakiś ptak.

James wiedział wszystko o występujących w okolicy ptakach,  
ale taki śpiew słyszał po raz pierwszy. Stał jak wryty. Rozejrzał  
się dookoła. Większość ptaków gnieździła się w krzakach; przyj-  
rzał się gęstemu skupisku karłowatych iglaków i kaktusów. Nie,  
ten śpiew dobiegał z domu i przypominał mu dźwięk z dawnych,  
bardzo dawnych czasów, sprzed piętnastu lat.

Mimo że minęło tyle lat, James Tucker nadal słyszał dziecięcy  
płacz, gdziekolwiek się obrócił. Ale to tylko dwa łuszczyki wyle-  
ciały spod dachu ganku i usiadły na gałęzi topoli. Przekrzykiwa-  
ły się głośno, napiły się wody, a potem wróciły na ganek. James  
potrząsnął głową i z sykiem wypuścił powietrze z płuc. Słyszał  
grające w domu radio, brzęk garnków. Zapach jedzenia był dobry,  
smakowity.

— Co to za piekielny hałas? — spytał Dalton Tucker, wycho-  
dząc na ganek. Był mężczyzną drobnym, szedł wolnym chwiej-  
nym krokiem. W dzieciństwie chorował na heinemedinę i jedną  
nogę miał krótszą.

— Ptaki, tato.

— Budują gniazdo pod dachem? W październiku?

— Sam tego nie rozumiem.

— I to ptaki zwiastujące zimę! W środku suszy! Czekają nas  
ciężkie czasy, ja ci to mówię, synu. — Stary człowiek potrząsnął  
głową. — Ptaki wiedzą. Ta susza to dziecinna zabawa w porówna-  
niu z tym, co nadchodzi. Łuszczyki pod dachem... widziałeś szron  
dziś rano?



— Widziałem, tato.

— W strumieniach nie ma wody, ale na dyniach jest szron. I ptaki pod dachem. Czeka nas rok zamieci, zapamiętaj moje słowa. Śniegu nawieje aż po sam dach. — Starzec zakaszłał i podszedłszy do barierki, splunął.

Kiedy tak stał, sprawiał wrażenie zagubionego. Twarz miał czerwoną, pomarszczoną i twardą niczym stara skóra. James wyobraził sobie jego oczy, bystre, pełne humoru. O tym energicznym, żywotnym kowboju myślał ostatnio coraz częściej. Tymczasem ojciec jeszcze raz splunął na ziemię, obrócił się i kiedy go dostrzegł, drgnął wyraźnie.

— Boże, ale mnie przestraszyłeś — powiedział.

— Nie chciałem — odparł powoli James.

— Co robisz w domu? — spytał stary, jakby wcale przed chwilą nie rozmawiali.

Jego syn stał, milcząc. Był piętnaście centymetrów wyższy od ojca i dwa razy szerszy w ramionach. Dalton zmrużył niebieskie oczy, jakby próbował coś sobie przypomnieć, jakby nie był w stanie połączyć w logiczny ciąg prostych faktów: widoku syna, który wrócił do domu, ptaków wijących gniazda, pory dnia. Im dłużej myślał, tym bardziej gniewna stawała się jego twarz. Oczy zasłyły mu mgłą. James zastanawiał się przez chwilę, co też się w nich kryje.

— Czas na kolację, tato — powiedział. Stary człowiek ożywił się na moment, jakby coś zrozumiał, ale oczy znów mu się zamglily. James odwrócił się, nie mogąc na to patrzeć. — Gdzie Louisa?

— Louisa?

I znów pozostawało tylko czekać. Kiedyś marzył o tym, by ojciec raz na zawsze zapomniał o Louisie Rydell, ale kiedy teraz o niej zapominał, przerażało go to. Ojciec też sprawiał wrażenie przerażonego, a gdy się bał, zawsze zaczynał się wściekać, oczy mu płonęły, zaciskał dłonie w pięści. Bronił się, atakując.

— Nie możesz mówić do mnie normalnie, jak człowiek? Nie bełkocz, przecież widzisz, że cię nie rozumiem. Zacznij od początku.

— Pytałem...

— Niech to diabli! — Dalton pociągnął nosem. W domu palił się chleb kukurydziany. Zapach był ostry, słodki, jak przy gotowaniu cukru na karmel. James minął ojca, wszedł do wypełnionej dymem kuchni. Patelnia w piecyku stała w płomieniach. Złapał rękawice, wyciągnął patelnię i wrzucił spieczony, szerniały chleb do zlewu.

W sąsiednim pokoju rozległy się krzyki dziecka. Louisa opiekowała się czasami małą Emmą, córeczką jej córki Ruthie. Przeklinając pod nosem, Dalton poszedł sprawdzić, co się stało. Pewnie miał pilnować pieca i zająć się dzieckiem, ale zapomniał o wszystkim, kiedy pojawiły się ptaki.

— Co się dzieje? Gdzie Dalton? — Louisa Rydell wpadła do domu. W rękę trzymała bukiet słoneczników.

— Wygląda mi na to, że chleb się spalił — odparł James. — Zostawiłaś kuchnię i małą pod opieką taty?

Kobieta spojrzała na niego, potem na czarną patelnię i bezradnie opuściła ramiona. Oddała kwiaty Jamesowi i zabrała się do czyszczenia zlewu. Poczerniałe resztki chleba powędrowały do kosza na śmiecie.

— Nie mów do mnie tym tonem, Jamesie Tucker! — prychnęła. — Wysłałam na chwilę nazbierać kwiatów.

— Nie powinnaś spuszczać dziecka z oka nawet na chwilę. Dom mógł się spalić.

— Uczysz mnie, jak być babcią?

— Ojciec nie radzi sobie sam ze sobą. Co tu mówić o dziecku.

— Posłuchaj tylko... — Oczy Louisy błysnęły niebezpiecznie.

— Dajcie spokój, to moja wina. — W drzwiach do kuchni pojawił się Dalton, trzymając na biodrze małą dziewczynkę, słodką, różowitką, jasnowłosą. Emma uśmiechała się do dziadka. Nie zwracała uwagi ani na spalony chleb, ani na kuchnię. — Niech to diabli. Poczulem spaleniznę i zupełnie zapomniałem, że mam się opiekować tym małym aniołkiem.

James milczał. Ojcu pomyliła się także kolejność zdarzeń, ale nie wydawało się to ważne. Emma trzymała Daltona za uszy,

próbowała spojrzeć mu prosto w oczy. Sage zachowywała się tak samo — pomyślał. Kochała dziadka, a dziadek ją uwielbiał.

— Nie przejmuj się, skarbie — powiedziała Louisa. Nadal wyglądała wspaniale, wysoka, opalona. Ubrana była w dżinsową spódnicę, lawendową jedwabną bluzkę i fioletowe buty. W uszach miała srebrne kolczyki, na szyi naszyjnik z turkusowych koralików. Gęste ciemne włosy swobodnie opadały jej na ramiona. Podniosła głowę, pogodnym uśmiechem dodała odwagi Daltonowi Tuckerowi.

— Mam się nie przejmować? — Starzec w tej chwili zajmował się wyłącznie dzieckiem. Emma miała dwa i pół roku, była tak jasna jak Sage ciemna. James zastanawiał się w duchu, czy jego ojciec nadal tęskni za wnuczką? Czy ją pamięta?

— Oczywiście. — W głosie Louisy słychać było nieklamana miłość. Jamesa obrzuciła groźnym, ostrzegawczym spojrzeniem. — Wszyscy jesteśmy z tobą. Emma czuje się świetnie, ty też, wszyscy czujemy się świetnie.

— Mogło dojść do nieszczęścia. — Dalton gładził Emmę po jasnej główce. — Cały cholerny dom mógł się spalić. Moja ma-  
leńka...

James nie wytrzymał. Odwrócił się na pięcie i odszedł. Miał na głowie dziesięć tysięcy sztuk bydła spragnionego wody. Po co czekać do jutra? Jeszcze dziś pojedzie wypalać rowy irygacyjne. Lubił Emmę, ale w tej chwili nie mógł po prostu patrzeć na ojca, przelewającego wszystkie swe uczucia na obce dziecko. Dawno, dawno temu miał dwoje wnucząt...

Może uda mu się złapać trochę deszczówki w miejscach, do których jeszcze nie dotarł. Wykopie nowe rowy, wypali kolczaste krzewy i biegacze pustynne, żeby nie tamowały przepływu wody. Trzeba będzie także wykopać kamienie, odtoczyć głązy, cały czas wystrzegając się grzechotników, których pełno podczas suszy. Wyostrzył łopatę; miał nadzieję, że usłyszy węża, nim poczuje na ciele jego ukąszenie.

Ranczerzy żyją wyłącznie nadzieją. Podczas suszy mają nadzieję na deszcz, podczas powodzi mają nadzieję na suszę. Mają nadzieję, że dochowają się mądrych koni, których nie trzeba bóść

ostrogami, i dobrych psów pasterskich, potrafiących zagonić stado. James doświadczył jednak czegoś, czego nie życzyłby nawet najgorszemu wrogowi: mężczyźni, którzy utracili synów, utracili też coś jeszcze — nie potrafią już żyć nadzieją. Źródło nadziei wyschło w jego sercu, suchym jak ziemia rancza. Ale deszcz w końcu zacznie padać i niech go diabli, jeśli nie będzie przygotowany na tę chwilę. Nagle przypomniał sobie prorocтва ojca dotyczące zimy i tylko potrząsnął głową.

Być może Daisy doskonale wiedziała, co robi, kiedy go opuszczała. W Wyoming cholernie ciężko jest żyć.

RS

Pociąg zakołysał się na zwrotnicy i Sage znów poczuła mdłości. Zapanowała nad nimi w ostatniej chwili, co wcale nie przyszło jej z łatwością. Na szczęście mogła patrzeć na Bena. Ben ją kochał, będą ze sobą, póki ich śmierć nie rozłączy. Powiedział jej to i powtarzał nieraz. Ona też bardzo go kochała. Ciągłe się dziwiła, że został jej chłopcem. Wiele dziewczyn miało na niego ochotę, a on wybrał ją.

Trzymali się za ręce... no, właściwie tylko dotykali się końcami palców. Jednego palca, wskazującego. Ben spał na twardej podłodze wagonu, otulony śpiworem, odwrócony przodem do niej. W wagonie towarowym było ciemno i chłodno. Był nieogrzewany, a poprzedniej nocy zrobiło się tak zimno, że widzieli, jak z ust leci im para.. Sage patrzyła na ich złączone dłonie, jakby były one symbolem ich związku; niech na zawsze pozostanie tak mocny jak teraz.

— Och! —jęknęła, czując nową falę mdłości.

— Co...? Tak...? — Ben obudził się i usiadł. Przetarł oczy pięścią, niczym małe dziecko. — Coś się stało? Znowu?

Skinęła głową, zawstydzona.

Chłopak ujął jej dłoń i uścisnął. Patrzył na Sage z czułością. Wiedziała, że jej stan go martwi, a przecież martwili się o tyle rzeczy: o swoje matki, porzuconą szkołę, racjonowaną wodę, chłód, jazdę pociągiem na gapę.

— Gdyby tylko ten pociąg tak się nie kołysał — westchnęła.

— Nie mogę przyzwyczać się do braku okien. Też mnie od tego mdli.

— Założę się, że wolałbyś być teraz w ciepłym, bezpiecznym domu — zaryzykowała, bojąc się, że odpowie „tak”.

— Pamiętaj, że to ja chciałem być z tobą.

Sage próbowała się uśmiechnąć, ale samopoczucie jej na to nie pozwoliło. Ben zdumiewał ją i zachwycił. Kiedy miała zamiar się z nim pożegnać, nie dopuścił do tego, aby się rozstać. Nie chciał zostawiać jej samej. A przecież Sage nigdy nie uważała się za dziewczynę urodziwą, wyjątkową i cudowną, taką, z którą ktoś chciałby być. Matka wprawdzie chwaliła ją, powtarzała, że zawsze trzeba być pewnym siebie, a ona bardzo pragnęła jej wierzyć, tylko że jakoś nie potrafiła. Jeśli jest takim cudem, czemu ojciec nigdy jej nie odwiedził?

— Och! — jęknęła znowu, trzymając się za brzuch.

Ben wstał.

— Chwileczkę, sprawdzę, gdzie jesteśmy.

Skinęła głową. Patrzyła za nim, kiedy podchodził do drzwi. Nie był w stanie pomóc jej, kiedy odczuwała mdłości, ale przynajmniej próbował coś robić. Znajdowali się w tej chwili w siedemnastym wagonie pociągu towarowego, jadącego powoli na zachód przez stan Nowy Jork. Wagon wypełniony był częściami do maszyn, wyprodukowanymi w New London w Connecticut, wysłanymi do Boise w Idaho. Sage kilkakrotnie sprawdzała miejsce przeznaczenia transportu, czuła także zapach smaru, którym części te były zabezpieczone — ciężki i słodki jak stare perfumy.

Jechała z Benem do Wyoming, by spotkać się z ojcem. Dokądś przecież musieli pojechać, a ona pamiętała — choć jak przez mgłę — ogromne ranczo, mnóstwo budynków i drewnianych chat. Nawet jeśli tata rzeczywiście nie chce się z nią widzieć, być może pozwoli jej zamieszkać z Benem w jednej z chat gdzieś wysoko w górach. Przynajmniej do czasu, aż urodzi się dziecko.

— Niewiele widzę. — Ben wyglądał przez szczelinę w zasuwanych drzwiach. Wagon był stary, zbudowany z żelaza i drewna porytego inicjałami. — Pola i drzewa przykryte śniegiem. A może to tylko szron? To rolnicza okolica, wszędzie stoją kopy siana.

— Ale nadal jedziemy na zachód?

— Jasne. Słońce jest przed nami. — Chłopak podszedł, usiadł i przytulił ją. Był harcerzem z wieloma sprawnościami, dużo wiedział i wśród dzikiej przyrody czuł się swobodnie, podobnie jak ona.

— Świetnie. — Sage oparła głowę na jego wątlej piersi.

To ona wpadła na pomysł podróży pociągiem. Gdy była jeszcze dzieckiem, zaraz po przybyciu do Connecticut, matka opowiadała jej wiele o starym Zachodzie. Mimo że była taka mała, zauważyła przecież, że matka mówiła wyłącznie o miejscu, które opuściły tak niedawno. Nie wspomniała jednak o tym ani słowem, ponieważ dzięki historiom o spędach, tańcach w saloonie i indiańskich ceremoniach czuła się bliżej ojca. Lubiła słuchać opowieści o koniach, kowbojach, szamanach, dobrych i złych ludziach, i włóczęgach podróżujących pociągami.

Linia kolejowa biegła przez Silver Bay. Od kiedy sięgała pamięcią, Sage widziała samą siebie jako włóczęgę, wyobrażała sobie, że wskakuje do pociągu towarowego i jedzie odwiedzić ojca. Skoro ludzie robili to kiedyś, ona może przecież zrobić to teraz, prawda? Marzyła o podróży nie dlatego, że nie kochała matki, lecz dlatego, że bardzo brakowało jej ojca. Gwizd lokomotywy pociągu ruszającego w drogę w środku nocy dawał jej złudzenie, że ciągle jest córeczką tatusia.

Mimo to zdumiało ją, jak łatwo wcielić w życie to marzenie. Przy starym dworcu towarowym stało sześć wagonów. Ben ukrył się za budynkami, a Sage obserwowała robotników ładujących skrzynie wózkami widłowymi. Jednego z nich zapytała po prostu, który z wagonów jedzie na zachód.

— Ten, panienko. — Stary robotnik roześmiał się, plując przed siebie sokiem tytoniowym. — Panienska ma zamiar zrobić karierę w Hollywood?

— Nie. Przygotowuję pracę na zajęcia z socjologii w szkole.

— To świetnie. — Mężczyzna skinął głową. — A o czym będzie ta praca?

— O tym, co przewozi się pociągami i jak długo to trwa.



— Aha. No więc, ten wagon, który panienkę interesuje, wiezie części do silników do Boise, w Idaho. Za parę godzin podjedzie skład z czwartej pięćdziesiąt dwie, z Worcester, to go do niego podczepimy. Podróż potrwa około tygodnia: pociąg jedzie przez Chicago, prerie, Góry Skaliste... wiezie części do silników, wapń, bazalt, mączkę rybną. Oj, obejrzałoby się taki kawałek świata.

Sage stała, opierając się o rower. Włosy zaplecione miała w warkocze, bardzo starała się wyglądać młodziej niż na szesnastcie lat, by robotnik przypadkiem nie odgadł jej prawdziwych zamiarów. Słuchała, jak mężczyzna, który mógłby być jej dziadkiem, radzi, by nie zaniedbywała nauki, tłumaczy, dlaczego pociągi są sto razy lepsze od ciężarówek i że jeśli naprawdę chce dowiedzieć się czegoś o transporcie transkontynentalnym, to najlepiej właśnie od niego. Obiecał nawet, że może przyjść do szkoły i wygłosić wykład przed całą klasą.

Sage podziękowała mu i odjechała.

Podczas przerwy śniadaniowej podjechała do wagonu od tyłu. Ben wtoczył rowery do wagonu po rampie, którą pozostawili robotnicy. Mieli ze sobą plecaki wypchane zapasami, śpiwory, namiot Bena. Miejsce na to wszystko znaleźli bez problemu, skrzynie bowiem ustawiono po cztery jedna na drugiej, więc kryjówek było mnóstwo. Skulili się oboje w ciemności, nasłuchując głosów mężczyzn kończących ładowanie, i czekali na szesnastą pięćdziesiąt dwie; poczuli drżenie, pociąg ruszył.

— Trzecia lekcja. — Ben spojrział na zegarek. — Nie ma mnie na historii. Świetnie.

— Obejrzymy więcej historii, niż potrafisz to sobie wyobrazić. — Sage bardzo starała się poprawić mu samopoczucie. Wiedziała, że jej chłopak lubi szkołę, ona jednak myślała tylko o dawnych walkach z Indianami, jakie toczono na jej rodzinnej ziemi. Ojciec przysyłał jej znalezione właśnie tam groty strzał; pojawiały się na pastwiskach i w korralach niczym duchy, pragnące opowiedzieć swą historię.

— Doprawdy? — Ben pocałował ją lekko.

— Tak. — Sage zamknęła oczy; nie chciała, by widział łzy, które się w nich pojawiły. Przecież sama nie wiedziała, co właści-

wie robi — ona, szesnastolatka w szóstym miesiącu ciąży; to było jak nie jej życie. Za ledwie trzy lata temu miała pierwszy okres, a teraz, proszę, rujnowała życie dwóm osobom.

— Myślisz, że nasze matki dostały już listy? — spytała.

— Dostaną dzisiaj.

— Przepraszam. Przeze mnie rzuciłeś' dom. I szkołę.

— Nie chciałem, żebyś jechała sama. Poza tym nie mam zamiaru siedzieć w domu i wysłuchiwać gadania matki na temat twojej ciąży. Mój tata ma przyjaciółkę, która jest z nim w ciąży, musieli więc szybko się pobrać, dlatego w sierpniu jechałem do Bostonu na ich ślub. Mama mówi o tym bez przerwy, można by pomyśleć, że sama będzie miała dziecko. Po co obciążać ją i tym?

Sage skinęła głową. Wolałaby, żeby nie wypowiedział tych słów: „Po co obciążać ją i tym?”. Pozwoliła mu się pocałować, choć nadal strasznie ją mdliło. Nie chciała, by dostrzegł panikę w jej oczach, a wiedziała, że nie potrafi tego ukryć.

Kocha mnie — upewniała się w myśli. Bardzo chciała jeszcze raz usłyszeć od niego te słowa, a dziś zdecydowanie za rzadko je powtarzał. Czasami nie musiał, po prostu wiedziała, co czuje.

Spotkali się, kiedy Sage była w pierwszej klasie, ale zakochali się w sobie trzynaście miesięcy temu, na górskim szlaku, gdzie przypadkowo przecięły się ich ścieżki. Ben uciekł przyjaciółom i poszedł za nią.

Było nam to przeznaczone — powiedziała sobie wówczas i powtarzała to teraz. Wysoko, prawie na szczycie, pocałowali się tego pierwszego dnia. Ben ujął ją za rękę, ich palce się splotły, pewne już miłości, tak jak ich serca. Potem śmiał się nawet, że nigdy nie mieli pierwszej randki. Spotykali się często, odwiedzali wiele interesujących miejsc, ale nigdy nie przeszli etapu nerwowych telefonów, czekania, zastanawiania się, co będzie, nie zapadała między nimi niezręczna cisza. Gdy byli razem, czuli się po prostu naturalnie. Nienaturalne wydawały się im godziny spędzane osobno.

— Przytul mnie — szepnęła teraz. Jej oczy napełniły się łzami.

— Kochanie — odszepnął, biorąc ją w ramiona. Jego uścisk był tak słodki, że Sage mogła się wreszcie rozplakać.

— Przepraszam cię — szlochała. — Przepraszam, przepraszam...

— Za co? Kocham pociągi.

Roześmiała się przez łzy.

— Nie kłamię, wiesz? Kiedy byłem mały, mój kuzyn miał prawdziwą wielką kolejkę, której strasznie mu zazdrościłem. Zabrałem nawet część torów i schowałem w garażu.

— Przecież nie trzeba rzucać szkoły, żeby przejechać się pociągiem.

— Nie. Ale pragnąłem być z tobą — szepnął jej do ucha. Czując na twarzy jego ciepły oddech, zadrżała i wtuliła się w niego jeszcze mocniej. Gładził ją po plecach; Sage czuła, jak strach znikną gdzieś, jakby nigdy się nie bała.

Dla obojga był to pierwszy raz. Sage zawsze pragnęła wziąć ślub jako dziewica, poczekać, aż miłość jej życia podejmie zobowiązanie, że pozostanie z nią na zawsze. Ben tak samo. Powiedzieli to sobie, tuląc się do siebie na starym materacu na strychu jego domu.

— Jesteś miłością mego życia. — Ben odgarnął wówczas włosy, opadające jej na oczy.

— Jesteś miłością mego życia — powtórzyła za nim.

I teraz, kiedy znów odgarniał jej włosy, kiedy całował ją w czoło, policzki i nos, wiedziała, że to prawda. W ostatnie święta Bożego Narodzenia, zdając sobie sprawę, że od małżeństwa dzieli ich jeszcze wiele lat, postanowili, że będą się kochać. Bo przecież darzyli się gorącym uczuciem i tak szybko stawało się ono coraz silniejsze, że nie potrafili za tym nadążyć.

Kochali się więc: podczas wakacji, w tygodniu między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Byli tak podnieceni, tak pewni swych uczuć. Kiedy rozbierali się na strychu, wiedząc, że matka Bena nieprędko wróci z pracy, cały świat należał do nich. Sage kochała dotyk jego ciała, tak gorącego pod grubą pikowaną kołdrą. Byli dla siebie po prostu stworzeni.

Ben kupił kondomy. Otwieranie opakowania i rozwijanie kawałka cienkiej gumy niesłychanie ich rozbawiło. Jakie znaczenie miały plastik i guma w ich magicznym łożu? Oboje kochali na-

ture; spotkanie ciał wydawało się im czymś najnaturalniejszym w świecie. Kondomy były nienaturalne. Przeszkadzały.

A jednak używali ich przez jakiś czas. To Ben je kupował i choć w portfelu między prawem jazdy i legitymacją szkolną. Inni chłopcy nosili je niczym odznaki, oznajmiające wszem i wobec, że nie są prawiczkami. On nie. Dla niego była to sprawa prywatna, osobista, coś prostackiego wprawdzie, lecz nieodzownego. Pewnego wiosennego dnia postanowili z nich zrezygnować. Wrażenie było cudowne, niezwykle, tak różne od wszystkiego, czego doznawali dotychczas: nieopanowane pożądanie, tajemna wilgoć, mrok...

— Mamy na sobie za wiele ubrań — szepnęła Sage, kołysząc się w rytm jazdy pociągu. Tak bardzo pragnęła, by leżeli teraz w magicznym łożu, nadzy, czując bicie swych serc.

— Wiem.

— Chcę czuć cię przy sobie.

— Ja też. — Ben rozpiął jej kurtkę, wsunął pod nią dłonie.

Koszula i sweter przeszkadzały, ale i tak poczuła się lepiej. Tak bardzo pragnęła czuć go blisko, tak pragnęła, by powiedział, że ją kocha. Jak nigdy dotąd potrzebowała zapewnień, bliskości, słów, dotyku ciał...

— Czy...? — spytała.

— Czy co?

Czy mnie kochasz? — pragnęła wyszeptać, ale powstrzymała się. To pytanie byłoby smutne, żalosne. Przecież wypowiedział te magiczne słowa zaledwie dziś rano. Jak często ma je powtarzać, by zabrzmiały przekonująco?

Tak strasznie trudno było jej uwierzyć, żeby wzajemna miłość, choćby i wielka, mogła przetrwać. Jej rodzice kochali się bardzo, wiedziała o tym, oglądając zdjęcia, wiedziała z opowieści matki, z tajemnic, które powierzyła jej ciotka... a jednak nie spotkali się od trzynastu lat.

Powoli, niezauważalnie wsunęła dłoń pod koszulę, na piersi. Oto naszyjnik z wyrzeźbionymi nań dwiema twarzami. Kamienie i kość promieniowały miłością — tę moc miały wszystkie dzieła matki. Choć mama twierdziła, że nie ma pojęcia, skąd się ona bierze, nie mogła zaprzeczyć temu, że istnieje. To właśnie matka

nauczyła Sage wystrzegać się fałszywej skromności. Jeśli masz dar, pielęgnuj go — mówiła — a nie udawaj, że nie istnieje. I powiedziała jeszcze, że w tym naszyjniku więcej jest mocy i miłości niż w jakimkolwiek innym jej dziele.

W tej chwili Sage nad tym się właśnie zastanawiała. Ma problemy, ale nie może zaprzeczyć, że ma także miłość — przecież Ben jest z nią, prawda? Ma również wspaniałą ciotkę, ma dziadka i przybraną babcię w Wyoming, ale... co z ojcem? Kartki, listy, pudła grotów, owszem, są, lecz dlaczego nie przysyłał jej biletów lotniczych, nie błagał, by wróciła? Z matką zaś ostatnio wyłącznie się kłóciła.

Myśl o matce była tak nagła i intensywna, że dziewczynie na moment zrobiło się ciemno przed oczami. Nie, nie zemdlą, po prostu poczuła, że zaraz będzie wymiotować. Wyrwała się z ramion Bena, pobiegła w przeciwny kąt wagonu i rzeczywiście wymiotowała do plastikowej torby. Miała w plecaku całą rolkę takich toreb — jako dobra harcerka była przygotowana na każdą ewentualność.

Nie potrafiła powstrzymać płynących po policzkach łez.

Mamusiu — pomyślała. Po raz pierwszy w życiu wymiotowała, gdy obok nie było mamy, która pottrzymałaby jej głowę. Dlaczego życie nie może być tak proste jak do tej pory? Dlaczego nie pozwolono jej pozostać dzieckiem? Dlaczego nie może być jednocześnie ukochaną córką mamy i dziewczyną Bena?

— Dobrze się czujesz? — spytał niepewnie Ben, nie ruszając się z miejsca.

— Dobrze — odpowiedziała, opierając się o skrzynię ze śrubami i nakrętkami. Zwinęła plastikową torbę, po czym włożyła ją ostrożnie do drugiej. Już wcześniej pośrodku wagonu znaleźli klapę w podłodze i otworzyli ją, wyciągając grubą zatyczkę. Przyglądali się migającym podkładowi zadowoleni, że mają wyjście awaryjne. Sage czuła się jednak zbyt słabo, by ją teraz podnieść.

W rogu wagonu znalazła dziurę w podłodze, niewielką i nieregularną, jakby wygryzioną przez uciekającego szczura. Ostrożnie, by nie podrzeć torby, wsunęła ją w otwór i wypchnęła na tory. Zaraz poczuła wyrzuty sumienia; nie powinna śmiecić.



Sage kochała naturę. Z czasów dzieciństwa pamiętała nauki ojca, że przyrodę należy szanować i dbać o nią, i że każde jej dzieło ma prawo do życia. Pamiętała, jak zbudował jej budkę dla ptaków i jak codziennie brał ją na barana, by mogła nasypać do niej karmy. Dotknęła naszyjnika i znów pomyślała o swym bracie bliźniaku. Tak bardzo kochał przyrodę, a pewnego dnia przepadł w niej gdzieś, by więcej nie powrócić.

— Jake — szepnęła.

Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedziała. Większość dzieci mówi „mama” albo „tata”, ona jednak wierzyła, że bliźnięta najpierw wzywają siebie nawzajem. Dotknęła jego twarzy wyrzeźbionej przez matkę; jego oczu, nosa, ust i zmówiła modlitwę.

Nie chciała uciekać z domu, ale przecież musiała. Wtedy, wieczorem, matka omal nie oszalała z gniewu — tylko dlatego, że zdarzyło się jej wpaść do wody. Nazwała ją „puszczalską” tylko dlatego, że wróciła później ze spotkania z Benem. Jak czułaby się teraz, co powiedziałyby o dziecku? A ciąży nie dałoby się dłużej ukrywać. Pomyślała o przejeżdżających niedaleko domu pociągach, o opowieściach matki o ludziach podróżujących swobodnie z miasta do miasta i wiedziała już, że musi pojechać na zachód. Napisała głupi krótki liścik, bo bała się, że jeśli zacznie pisać dłuższy, przerazi się i zostanie.

Jechała na rowerze przez oświetlone światłem księżycy ulice, z oczami spuchniętymi od płaczu, ale i z ulgą w sercu. Przynajmniej nie zobaczy twarzy matki w momencie, gdy zda ona sobie sprawę z tego, jak okropną ma córkę. Jechała pożegnać się z Benem, ale najpierw musiała jeszcze wspiąć się po kamiennym kominie do okna jego sypialni. Jakże była zaskoczona, szczęśliwa i zmieszana, kiedy powiedział, że pojedzie razem z nią. Miłość miłością, ale poświęcenie szkoły, domu i rodziny to przecież coś zupełnie innego.

Sage żałowała, że jest w ciąży, ale to przecież niczego nie zmieniało. Rosło w niej dziecko, które miało odmienić... już odmieniło... wszystko. Kiedy sześć miesięcy temu po raz pierwszy spóźniał się jej okres, myślała, że to tylko nerwy, szkolny stres. Brak drugiego położyła na karb nowej diety. Wymioty przypisy-



wała niepokojowi o uczucia Bena; pragnęła go przecież mieć zawsze przy sobie tak bardzo, że aż to bolało.

Poranne mdłości powinny ustąpić po trzech miesiącach, ale ona miała je nadal. Po części zapewne dlatego, że denerwowała się i czuła winna, ukrywając przed matką prawdę, żyjąc w ciągłym napięciu. O mdłości przyprawiały ją dźwięki, zapachy, strach, a poza tym jej wygląd, który już zaczynał się zmieniać — rósł jej brzuch i nawet najobszerniejsze dżinsy wkrótce okazały się za małe. Matka nie mówiła nic, lecz pewnego dnia z lodówki znikł chleb z rodzynkami i lody, zastąpione przez pieczywo pełnoziarniste i odtłuszczone jogurty.

Tak, owszem, modlitwy były jej teraz bardzo potrzebne. Odmówiła już jedną do swojego brata, do Jake'a. W pędzącym na zachód pociągu, w gorącej ciemności towarowego wagonu, świadoma obecności czekającego na nią w mroku ojca dziecka, ścisnęła w rękę naszyjnik z wizerunkiem brata.

— Niech będzie chłopiec — powtarzała cicho, żarliwie. Najpierw z jej życia znikł brat, gdzieś w kanionie, a potem z jej życia znikł ojciec. Znikł, nim jeszcze matka zdecydowała o wyjeździe na wschód. Sage miała dobrą pamięć i doskonale pamiętała, kiedy silny, cudowny, wesoły tata, kowboj, stał się nagle cieniem samego siebie.

Przez lata modliła się o powrót brata. Gdyby wrócił, być może tata przestałby być niewolnikiem swojego rancza. Mówił wprawdzie, że hoduje bydło, ludzie muszą jeść, ale ona wiedziała, że to nie to, że przemierza ścieżki, wędruje po górach w poszukiwaniu małego chłopca, który gdzieś się zagubił.

— Chłopiec — powtarzała, jedną ręką ściskając naszyjnik, a drugą dotykając brzucha. — Niech to będzie chłopiec.

— Co? — spytał Ben. — Nie słyszę cię!

— Nic takiego — odpowiedziała głośniejszym głosem. — Zaraz przyjdę. — Ale pozostała na miejscu, skulona w kącie, całą siłę woli skupiając na trzymanym w dłoni medalionie. Pod palcami czuła małą kościaną twarz. Jej wargi nadal poruszały się w modlitwie.

Może jeśli wyda na świat syna, wszyscy znowu będą szczęśliwi.

Był ranek następnego dnia po zniknięciu Sage. Daisy wyszła na tylny ganek. Przyglądała się złotym liściom spadającym z wierzb rosnących na wzgórzu. Połyskiwały w cieniu, niezmordowanie opadając na zimną ziemię. Tej nocy prawie nie spała, a teraz, choć patrzyła na liście, myślała o córce, samotnej w wielkim świecie.

Klon przy wjeździe był szkarłatny, tak jaskrawy, jakim go jeszcze nigdy nie widziała. Tej jesieni drzewa późno zaczęły zmieniać barwę, zapewne dlatego, że lato było niezwykle chłodne i deszczowe. Każdego roku ona i Sage czekały na „szczyt jesieni”, kiedy to przyroda przybiera najjaskrawsze, najwspanialsze barwy. Mocno objęła się dłońmi. „Szczyt jesieni” właśnie dziś nadszedł, a córka nie mogła go z nią oglądać. Ostry ból przeszył jej serce — silniejszy niż kiedykolwiek.

— Jak zimno — powiedziała Hathaway, podchodząc do siostry. — A ty nawet nie włożyłaś swetra.

— Nie zmarznę.

Hathaway roztarła jej dłonie, zimne, zdrętwiałe. Daisy nie zwróciła najmniejszej uwagi na ciepły dotyk palców, na dłoń, która delikatnie spoczęła na jej ramieniu. Bezwolnie dała się poprowadzić do kuchennych drzwi.

— Gdzie ona jest? — spytała bezradnie. — Nie zniosę tej niepewności, Hath. Może marznie?

— Nie. Ona o siebie dba. I o to właśnie chodzi. Musiała odejść z domu, by zdecydować, co powinna zrobić. Wróci, kiedy podejmie decyzję.

— Ale gdzie ona jest? — Daisy nie słyszała słów siostry, zagrożona we własnym bólu. Zadzwoiła na ranczo, żeby spytać Jamesa, czy ma wiadomości od córki, telefon jednak tylko dzwonił i dzwonił. Nie mieli automatycznej sekretarki, ale przecież ktoś — Dalton albo Louisa — powinien być w domu. — Myślałam, że może pojechała do ojca. Gdy tylko się zdenerwuje, zawsze mówi o tym, że chce do niego wrócić...

— Nie pojedzie do niego tak od razu...

— Bo jest w ciąży — dokończyła Daisy i podparła głowę rękami.

Jak to się stało, że nic nie wiedziała? Przecież zawsze były sobie bardzo bliskie, bywało, że wiedziała o czymś wcześniej, nim córka zdążyła się jej zwierzyć. Tej nocy, kiedy Sage zachorowała na wietrzną ospę, weszła do ciemnej sypialni i nim zapaliła światło, była pewna, że zobaczy wysypkę. A kiedy córka uratowała narciarza, który zaplątał się w linę wyciągu orczykowego na Sugar-dust Mountain, wcześniej pomyślała, że dziś córka ocali chłopcu życie.

— Tak strasznie żałuję, że nie pomyślała, że może mi o wszystkim powiedzieć. Nie powinna wyjeżdżać, próbować załatwić wszystko sama.

— Jest niezależna. I bardzo dobrze. Mówię ci, wróci do domu lada chwila. Próbuje wyprawy w nieznaną, oczywiście w sensie emocjonalnym. Chce się sprawdzić. Chciałabym być do niej podobna. A ty...

— Ja? — Daisy nieprzytomnie wpatrywała się w okno.

— Wskazałaś jej drogę. Pojechałaś na zachód sama jak palec, przejechałaś kraj wzdłuż i wszerz, szukając natchnienia do pracy. Sage jest twoją córką. Chce ci dorównać. Pragnie przeżyć przygodę.

— Ale mnie przecież wcale nie chodziło o przygodę. — Daisy nie odrywała wzroku od podjazdu, z nadzieją, że lada chwila dojrzy ciemną główkę nad bukszpanowym żywopłotem, jak za-

wsze, gdy córka wracała do domu. Obróciła się nagle, spojrzała w oczy siostry. — Bałam się wszystkiego.

Obie z Hathaway wychowane zostały w zwykłej, kochającej się rodzinie. Granice ich świata wyznaczały baśnie i książki. Ojciec był profesorem teatrologii, matka — nauczycielką angielskiego, osobą spokojną, łagodną i jednocześnie nieco ekscentryczną, tak jak ekscentryczny może być ktoś, komu los przeznaczył śmierć w trzydziestym szóstym roku życia. Córkom nadała imiona po jedynej prawdziwej miłości Szekspira, Anne Hathaway, i po Daisy Buchanan z „Wielkiego Gatsby'ego”. W tym uczonym domu niewiele było miejsca na przygody.

— Strach przed wszystkim uczy niektórych odwagi — zauważyła Hathaway. — Ruszyłaś na zachód, bo gdybyś tego nie zrobiła, bałabyś się w ogóle opuścić dom.

— Skąd wiesz?

— Bo ja nie opuściłam domu — powiedziała Hathaway. Podniosła palce do ust, jakby nadal trzymała w nich papierosa, a kiedy opuściła dłoń, w jej oczach błyszczały łzy. Wysoka, mocno zbudowana, o dźwięcznym głosie aktorki, może jednej z tych, o których uczył ojciec, w głębi serca była łagodna i skromna. — Sage jest jak ogień. Nie powstrzymałybyśmy jej, nawet gdybyśmy chciały.

— Uczyłam ją, by ufała sama sobie — westchnęła Daisy.

— Własnym instynktom, własnemu rozsądkowi. Kiedy straciłam Jake'a, tak bardzo...

— Wiem.

— ...I tak bardzo się bałam, że zaczniesz postrzegać świat jako zły. Niebezpieczny.

— Przecież także ją chroniłaś. To równowaga...

— Ale ona jest w ciąży. — Daisy drżała. Szok nie minął jeszcze. — Uciekła z domu i jest w ciąży!

Podjechał samochód pocztowy. Wysiadł z niego listonosz i zaczął się wkładaniem listów do skrzynek. Hathaway gestem nakazała siostrze, by zaczekała. Daisy była jej za to wdzięczna. Pragnęła pozostać w domu, żeby móc podnieść słuchawkę, gdyby zadzwonił telefon. Obserwowała siostrę, która podeszła do listonosza, zamieniła z nim kilka słów i zaczęła przeglądać listy i katalogi.

Wracała do domu wolno, lecz nagle przyspieszyła kroku. Zaczęła biec. Upuściła pocztę i nawet tego nie zauważyła. Machała trzymanym w rękę listem.

Daisy wiedziała, zanim jeszcze zobaczyła charakter pisma na kopercie. List od Sage. Otworzyła go drżącymi rękami.

***Kochana Mamo!***

***Przepraszam, że tak Cię przestraszyłam. Ben i ja nie chcieliśmy Cię zdenerwować, kiedy się spóźniliśmy po tym, jak przewrócił się kajak. Nigdy nie chciałam Cię denerwować. Tylko że kocham Bena. Wiem, powiesz, że jestem za młoda, żeby wiedzieć, co to miłość, ale ja wiem, że go kocham, tak jak Ty kochałaś tatę, i nie mów mi o rozwodzie, bo przecież rozwiedliście się przez tę tragedię. Przez Jake'a. Kiedy kajak się przewrócił, to Ben mnie uratował. Podpłynął i wyciągnął mnie z wody. Oczywiście sama świetnie pływam, ale moim zdaniem powinnaś wiedzieć, że on mnie postawił na pierwszym miejscu. Zawsze troszczy się przede wszystkim o mnie, ja o niego również- To właśnie jest miłość.***

***Wyjechaliśmy. Nie martw się o szkołę. Jest coś, o czym najtrudniej mi napisać... ale... będziemy mieli dziecko. Wydaje mi się, że widzę Twoją twarz. Jesteś wściekła. Wiem, bardzo Cię przepraszam. Chętnie cofnęłabym czas. Jesteśmy razem i tylko to się liczy. Gdybym została, oszalałabym. Naprawdę. Szczerze mówiąc i tak omal nie oszalałam. Teraz, kiedy piszę ten Ust, też czuję, że kręci mi się w głowie, jakbym zjadła coś niedobrego. Kocham Bena na śmierć i życie. Musimy być razem. On też tak bardzo mnie kocha. Nie bój się. Zadzwoń i będę do Ciebie pisała.***

***Kocham Cię. Sage.***

— O Boże! — westchnęła Daisy, czytając list po raz drugi.

— Gdzie go nadała? — spytała Hathaway.

— W Silver Bay. Przed wyjazdem.

— Sprytna dziewczyna. — W głosie Hathaway brzmiał podziw.

Daisy odwróciła kopertę. Zobaczyła odcisnięte na niej dwie twarze, niemal niewidzialne, niczym duchy wyglądające spoza

gałęzi drzew. Dostrzegła jednak oczy i usta, które wyrzeźbiła niegdyś w kos'ci, i mogła rozróżnić twarz chłopca i twarz dziewczynki.

Kiedy dotknęła znaków odcisniętych przez córkę, drgnęła, jakby poraził ją prąd. Zamknęła oczy, pozwoliła mu przepłynąć przez ciało, a kiedy zadzwonił telefon, wiedziała, że to nie Sage. Wodziła palcami po papierze, czuła w nich mrowienie i ciepło. Rozległ się kolejny dzwonek. Hathaway podniosła słuchawkę. Rozmawiała z kuchni, a kiedy się odwróciła, Daisy była już spokojna. Otworzyła oczy i dostrzegła łzy na policzkach Hathaway.

— Są na tropie — powiedziała Hathaway. Uśmiechała się z nadzieją i strachem jednocześnie. Drżały jej wargi. — Dzwoniła detektyw LaRosa. Przesłuchali jednego z robotników na dworcu towarowym. Dziewczyna odpowiadająca rysopisowi Sage wypytywała go o pociągi towarowe, przede wszystkim te, które jadą na zachód.

— Zachód...

— Pytała o ich trasy...

— Pragnie mieć ojca. Jedzie do Jamesa.

Ben widział kiedyś, jak kotka mamy, nim urodziła kocięta, krążyła po domu, budując sobie gniazdko z papierowych ręczników wyciągniętych ze śmieci, ze starych skarpetek znalezionych gdzieś pod łóżkiem i irchowych ściereczek, których używał do woskowania samochodu. Sage zachowywała się identycznie. Chodziła po wagonie, sprzątając miejsce, które wybrali sobie do spania, układając śpiwory, starając się uczynić ich kącik prawdziwie przytulnym za pomocą choćby i ścierek znalezionych w koszu. Ben obserwował ją, siedząc na skrzyni. Wolałby, żeby przestała się krzątać.

— Hej, Sage, podejdź do mnie, dobrze?

— Chwileczkę. Ta podłoga jest taka twarda. Chyba będzie ci się lepiej spało, jak podłożę ci pod śpiwór te stare ściereczki.

— Nie przejmuj się mną. — Ben ziewnął. Szkoda, że powiedział jej, że nie może spać. Zawsze, kiedy tylko wspomniał o jakiejś niewygodzie, jakimś problemie, Sage natychmiast próbowała



temu zaradzić. Początkowo zdumiewało go, że jego wygoda może kogokolwiek aż tak obchodzić. Jeszcze w Silver Bay ustępowała mu lepsze miejsce w restauracji, kupowała ciastka z porzeczkami, przyszywała oderwane guziki, dawała w prezencie rysunki i wiersze.

Teraz jednak pragnął tylko, by przestała się krzątać. Doprowadzała go do szaleństwa, próbując naprawić coś, czego naprawić się po prostu nie dało. Nawet gdyby podłożyła mu jeszcze tysiiąc szmat — nazwanie ich ściereczkami tylko pogarszało sytuację — to i tak twarda zimna podłoga nie byłaby ani odrobinę wygodniejsza. Ben był głodny, obolały, od domu dzieliło go z półtora tysiąca kilometrów i w dodatku oddalał się od niego z każdą minutą.

— Sage, przestań. Proszę.

Dziewczyna obejrzała się i popatrzyła na niego. Uśmiechała się, jej piegowata buzia jaśniała radością, bardzo starała się sprawić mu przyjemność, ale kiedy zobaczyła, jaki jest niezadowolony, natychmiast posmutniała. Żałował teraz, że nie może cofnąć czasu, zachować się inaczej, żeby znowu się uśmiechała.

Przygnębiona Sage ukłękła. Udawała, że poprawia Benowi poduszkę, ale tak naprawdę płakała. Nie widział jej twarzy, ale ramiona drżały jej w charakterystyczny sposób. Zeskoczył ze skrzyni, podszedł do niej i objął ją. Szlochała w milczeniu, tylko drżenie jej drobnego ciała świadczyło o tym, że jest jej bardzo źle.

— Wracajmy — szepnął. — To dla nas zbyt trudne. — Powiedział „dla nas”, ale pomyślał „dla mnie”.

— Chciałam... chciałam tylko, żeby spało ci się wygodniej. Zupełnie jakby nie słyszała, co powiedziałem — pomyślał

Ben. Przytulił Sage mocniej, potrząsnął nią lekko. Zakochał się w niej w zeszłym roku. Wspinała się po skalnej ścianie, mrużąc zielone oczy w poszukiwaniu uchwytów, a on podążał za nią zdumiony, że nie może jej dogonić. Ścigali się przez ostatnie dwadzieścia metrów, a kiedy znaleźli się na szczycie, padli zmęczeni na plecy, w pełnym słońcu. Pocałował ją wówczas, wydawało mu się to najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem.

— Powinniśmy wrócić — powtórzył.

— Ja nie mogę.

— Mama nie będzie się wściekać. — Ben pomyślał o swojej matce. Była tak bardzo rozczarowana, kiedy pogorszyły się jego wyniki w nauce. Chciała, żeby poszedł do Trinity, na uczelnię ojca, w przyszłym tygodniu mieli umówione spotkanie na temat warunków przyjęcia. — W każdym razie niezbyt długo.

— Przecież mieliśmy mieszkać na ranczu. Ty, ja, dziecko. Przytulił ją i pocałował w szyję. Serce biło mu mocno. Kiedy w środku nocy pojawiła się u niego — było to zaledwie trzydzieści

sześć godzin temu — i oznajmiła, że ucieka z domu, przeraził się. Sage sprawiała, że robił rzeczy, o których w innej sytuacji nawet by nie pomyślał, miłość do niej odczuwał jak tornado, wpadał i wydostawał się jakimś cudem z sytuacji, które niegdyś uznałby po prostu za nierealne.

Teraz jednak, kiedy półtora dnia spędził w śmierdzącym kwaśno wagonie, rzeczywistość wreszcie go dosięgła. Nieprzespana noc uświadomiła mu, że tak dalej być nie może. Sage wymiotowała niemal bez przerwy. Przez cały czas próbowała udawać, że bawią się, że to przygoda, ale w żaden sposób nie dało się ukryć faktu, że postawili na szali swą przyszłość. Ben musiał myśleć o studiach. Chciał zostać geologiem, badać skały, po których wspinał się podczas wycieczek. Zamknięcie w przepelnionym kwaśnym odorem wagonie towarowym przyprawiało go o utratę zmysłów.

— Ranczo jest piękne — powiedziała Sage. — Ze wszystkich stron otaczają je góry Wind River. Na szczyty można wjechać konno. Widzi się wówczas cały świat.

— Ile lat minęło od czasu, kiedy widziałas ojca po raz ostatni? — Ben starał się argumentować logicznie, skłonić Sage, by sama zdecydowała się na powrót do domu. — Skąd wiesz, że pozwoli ci zostać? Skąd wiesz, że to wszystko będzie dla niego łatwiejsze niż dla mamy?

— Urodziłam się tam. Ja i mój brat. Tata nigdy mnie nie wyrzuci.

— Więc dlaczego go nie odwiedzałaś? — Ben zadał to pytanie cichym, spokojnym głosem. Nie chciał zrobić jej przykrości. Pragnął tylko, by uświadomiła sobie fakty, rzeczywistość, a nie prawdę, którą sobie wymyśliła.

— Ojciec stoi na straży. — Sage znów się rozpląkała. — Cze-  
ka, aż wróci brat. To nie jest tak, że mnie nie chce, to mama nigdy  
nie chciała pozwolić mi na podróż...

— Ciii... Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Gładził ją po włosach, próbował uspokoić. Wiedział wszyst-  
ko o matkach nienawidzących ojców —jego własna mama niena-  
widziła taty do tego stopnia, że czerwieniała i zaczynała pluć na  
sam dźwięk jego imienia. Pomyślał o dziecku w łonie Sage — nie  
wiedział, czy pewnego dnia nie powie ono czegoś podobnego  
o nim i o niej.

Bo on nie był w stanie dotrzymać obietnicy.

Kochał Sage, nadal ją kochał, mimo że zachowywała się nie-  
normalnie i wygadywała bzdury, mimo że miała brudne włosy  
i duży brzuch, mimo że ubrana była w obszarpany sweter i nie  
pachniała najpiękniej. Nie miał jednak najmniejszego zamiaru  
mieszkać z nią na ranchu w Wyoming. Nagle zdał sobie sprawę,  
że w nocy dokonał wyboru. Oczywiście pojedzie z nią tak da-  
leko, jak będzie trzeba, odda ją w ręce ojca, a potem zadzwoni  
do matki, żeby przysłała mu pieniądze na drogę powrotną. Jakże  
żałował, że Sage jest z nim w ciąży! Już ją skrzywdził i skrzywdzi  
ją jeszcze bardziej! Sen o wspólnej przyszłości jej, jego i dziecka  
na ranchu miał na zawsze pozostać snem.

Zadrzał na tę myśl i Sage to wyczuła.

— Zimno ci? — spytała, podnosząc głowę.

— Nie. Wszystko w porządku.

— Na pewno? — Poglądziła go po ramieniu. — Bo mnie jest  
gorąco, mogę ci oddać jeden z moich swetrów...

— Nic mi nie jest, naprawdę — powtórzył, próbując nie  
okazać, jak męczy go ta jej ciągła troska i dbałość o jego wygo-  
dę.

Czuł się źle, bo przecież podjął już decyzję, wiedział, że za  
kilka dni ją opuści i że sprawi jej zawód. Pomyślał o bibliotece,  
koktajlach mlecznych, meczach piłki nożnej. Pomyślał o idiotycz-  
nych piosenkach dziewczyn dopingujących graczy, o nauczycie-  
lach wołających „Cisza!” na korytarzach. Słyszał głos matki pyta-  
jącej go, czy chce pizzę z pepperoni czy z parówkami.

Ben Davis pomyślał najpierw o tych wszystkich normalnych rzeczach, a potem rozejrzał się po mrocznym wagonie, uświadamiając sobie, że przez niemal dwa dni jadł wyłącznie wołowinę z puszki i wysokoenergetyczne płatki owsiane z rodzynkami. Doskonale wiedział, że to nie jest prawdziwe życie, że Sage Tucker nigdy nie będzie jego żoną, że ich dziecko to pomyłka, że nie ma zamiaru mieszkać z nimi na ranchu. Trzymał w ramionach drżącą dziewczynę, którą nadal kochał, i w tym momencie odkrył rzecz straszną: że miłość to nie zawsze wszystko.

RS

Bar był mroczny, zadymiony. Z szafy grającej dobiegał głos Loretty Lynn. Na ścianach nie pozostał nawet kawałek wolnego miejsca, wszędzie wisiały jelenie rogi i zawieszono na drutach tablice rejestracyjne z różnych stanów.

James stał sam przy barze, pijąc piwo. Siedzące obok małżeństwo kłóciło się, mężczyzna i kobieta warczeli na siebie jak dwa wściekłe psy. Wilton Stickle, ranczer z południa, na ladzie baru, na stosie monet położył kartę ubezpieczenia.

— Co ty wyprawiasz, człowieku? — spytał James. — Spodziewasz się, że cię dziś odwieżą do szpitala?

— Nie. — Wilton pogładził bujne wąsy. — Mam swoje powody.

James skinął głową. Przyjechał do baru „Stagecoach”, żeby napić się piwa i choć na chwilę oderwać się od myśli, które ostatnio nie były mu dobrym towarzyszem, atakowały z najmroczniejszych zakamarków umysłu: wstyd, gniew, poczucie winy... Martwił się o stado, które miało za mało wody, o ludzi, których zawiódł, o których nie umiał się zatroszczyć.

Młoda kobieta, której nigdy przedtem nie widział, podeszła i stanęła między nim a Wiltonem. Jej mocne ramiona okrywała zamszowa kurtka z frędzlami, długie jasne włosy opadały do połowy pleców. Przysunęła się. James poczuł zapach jej perfum; pochylił się, by poczuć go lepiej.

— Cześć. — powiedziała.

— Cześć.

— Napije się pani piwa? — spytał Wilton.

Kobieta uśmiechnęła się i spojrzała na Jamesa. Niczego jej przedtem nie proponował, ale teraz przesunął pięć dolarów po ladzie baru i kazał Joemu napełnić kufel. Kobieta wzięła go, napiła się piwa, spojrzała na kartę ubezpieczeniową Wiltona i obdarzyła go długim spojrzeniem. Życie na ranchu jest ciężkie, farmerzy nie mają ubezpieczenia w umowach o pracę. Podziękowała za piwo i podeszła do stołu bilardowego.

— Na ogół działa jak zakłęcie — zauważył Wilton.

— Sądysz, że jak dowiedzą się, że jesteś ubezpieczony, zaraz będą cię chciały za męża? — James uśmiechnął się.

— Jedna noc wystarczy — odpowiedział przyjaciel z uśmiechem.

James Tucker skinął głową i wrócił do swego piwa. Przyjechał do miasta, żeby z kimś porozmawiać, usłyszeć wesoły śmiech, ale teraz wcale nie był pewien, czy chce tu zostać. Praca trzymała go z dala od ludzi; czasami miał wrażenie, że samotność stała się jego drugą naturą.

Jedyną osobą, której udało się wyrwać go z tej samotności, była Daisy — pomyślał, ale z myślenia o Daisy od dawna nie wynikało już nic dobrego, więc odwrócił się od baru i spojrzał na stojącą przy stole bilardowym blondynkę, która nadal się do niego uśmiechała.

James Tucker zawsze chodził własnymi ścieżkami, nawet będąc wśród ludzi mieszkających i pracujących na ranchu. Potrzebował rozległych łąk porośniętych słodką trawą i mnóstwem polnych kwiatów, potrzebował także wysokich gór, stromych czerwonych skał strzelających w błękitne niebo. Potrzebował wokół siebie szerokiej przestrzeni, gdzie jego dusza próbowała uwolnić się od nigdy niegasnącego bólu.

Pracował samotnie ze zwierzętami lubiącymi samotność. Po wielkich pastwiskach krowy szły jedna za drugą, czasami rozłaziły się na boki, zostawały w tyle, zatrzymywały się i nie chciały ruszyć z miejsca. To dlatego spęd bydła był o wiele trudniejszy niż spęd bardziej społecznie usposobionych owiec. Kowboje pracowa-



li na tradycyjnych pozycjach: z przodu, z boków, z tyłu, i tylko dzięki nim stado bydła można było utrzymać w jakimś porządku. Ludzie ci, zajęci dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie mający do kogo otworzyć ust, własny głos zaczynali uważać za obcy.

Otworzyły się drzwi i James przestał interesować się blondynką. Do baru weszli jego ojciec i Louisa: on w czarnym ubraniu z cienkim krawatem, ona w skąpej kremowej bluzce i sutej czerwonej spódnicy, z rozburzoną imponującą grzywą kasztanowatych włosów. Dalton sprawiał wrażenie zagubionego, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje. Nie pojawiał się w „Stagecoach” od wielu miesięcy, stąd jego obecność wzbudziła zainteresowanie. Przy barze podniósł się gwar, podobnie jak przy stole bilardowym.

— Hej, Dalton!

— Gdzieś ty bywał, człowieku!

— Gdzie my jesteśmy, Louiso? — spytał stary mężczyzna i w jego głosie James usłyszał strach. Na jego oczach ojciec zdawał się kurczyć, głowę wciągnął w ramiona, nieprzytomnie rozglądał się na boki. Louisa dumnie wzięła go za rękę. Podeszli do baru. James już miał im wyjść na spotkanie, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

Louisa rozejrzała się po barze. Jej wzrok padł na Todda Rydella, bratanka, który zajęty był grą w strzałki. James widział, że Todd najchętniej uniknąłby spotkania, ale kiedy zorientował się, że został zauważony, pomachał do ciotki i ruszył w jej kierunku. Był wysoki, jasnowłosy — należał do tego rodzaju kowbojów, którzy osłaniają twarz od słońca i jeżdżą, słuchając muzyki z walkmana. Był potomkiem tych Rydellów, którzy kiedyś próbowali wypasać owce na ziemi przodków Jamesa, omal nie rozpoczynając tym wojny o pastwiska. Z Rydellów pochodziła też Louisa, ale Dalton ją kochał, więc James to uszanował. Z Toddem sprawa miała się zupełnie inaczej.

— Dalton, miło cię widzieć. — Młody kowboj potrząsnął dłonią starca, po czym pocałował ciotkę, która przytuliła go mocno. Szeptali coś do siebie; James dałby wiele, by wiedzieć, czego dotyczyła ta rozmowa.

— To Todd — powiedziała do Daltona.

— Po co tu przyszliśmy? — Stary mężczyzna sięgnął ręką do kapelusza, by upewnić się, że go nie zgubił.

— Żeby się zabawić. — Todd roześmiał się i klepnął go w ramię. — Piątkowy wieczór... będziemy mieli muzykę!

— Muzykę?

— Cześć, tato. — James Tucker uznał, że pora interweniować. Napięta twarz starego rozpogodziła się. Spojrzał na syna z uśmiechem, który tylko pogłębił zmarszczki. Skinął głową, uściśnął jego wyciągniętą dłoń.

James stał nieruchomo, w milczeniu, pośród nasilającego się hałasu. Obserwował ojca, widział, że jego oczy — niebieskie, zamglone — bez najmniejszej wątpliwości były szczęśliwe. Odetchnął głęboko i uspokoił się.

— Co cię sprowadza do „Stagecoach”? — spytała zimno Louisa, krzyżując ręce na piersiach. — Bywasz tu raczej rzadko.

— Owszem, rzadko. A ty? — James nie zamierzał oszczędzić jej złośliwości, do której jego ojciec nie był już zdolny.

— Ja śpiewam, synu — odparła z dumą. — Przecież wiesz, że mam zajęty każdy piątkowy wieczór. Jeśli zechcę.

Wiedział i wcale o tym nie zapomniał. Louisa śpiewała country and western, występowała w tym barze od trzydziestu lat. I tu właśnie spotkała się z Daltonem, który topił w alkoholu żal po śmierci żony. Podeszła do jego stołu w przerwie między występami, postawiła mu drinka. Była zima; na ranczo wprowadziła się przed wiosennymi roztopami.

Daisy uwielbiała jej słuchać. Raz, czasami dwa razy w miesiącu zostawiali bliźniaki pod opieką Betsy March, żony zarządcy rancza, jechali do „Stagecoach” i siadali tuż przy scenie. Louisa nie śpiewała wówczas ani dla Daltona, ani dla zgromadzonych przy barze mężczyzn, lecz właśnie dla niej. Daisy wcześniej straciła matkę, ona wtedy jeszcze nie miała córki; więź między nimi była bardzo silna.

— Chodź, Dalton. — Todd wręczył staremu strzałki. — Zagramy. Pobiję cię w równej walce.

— Nie dasz rady! — Dalton roześmiał się, jakby ubyło mu lat. — Trafiam w ogon jaskółki z zamkniętymi oczami.

— Pokaż mi, jak to robisz.

Odeszli. James poczuł, jak ściska go w żołądku. Nie lubił Todda i to nie tylko dlatego, że był on kiepskim kowbojem. Todd pracował dla niego przed laty i był razem z nim tego dnia, kiedy zniknął Jake. James i ojciec musieli odjechać, by złapać na łące byka, a małego Jake'a posadzili na wielkim kamieniu i przykazali mu czekać. Todd z kilkoma ludźmi jechał z tyłu; poganiał krowy, które przystanąły, by poskubać słodkiej trawy rosnącej wokół tego kamienia. James ufał, że kowboje zwrócą uwagę na jego syna.

— Co ty wyprawiasz? — spytał.

— Wyprawiam? — Oczy Louisy rozszerzyły się.

James patrzył na nią hardo, a przecież to nie ona ponosiła winę za to, że jej bratanek nie widział, dokąd odszedł Jake. Winę ponosił on, James, i tylko on. To on nie poprosił swoich ludzi o pomoc, więc skąd mieli wiedzieć, że jej oczekuje? Pół minuty, zaledwie pół minuty wystarczyło, by Jake Tucker zniknął z powierzchni ziemi. I nie był temu winien Todd Rydell... ale James nienawidził go mimo wszystko. Siebie jeszcze bardziej, ale to nie miało żadnego znaczenia.

— Jasne, że wyprawiasz. O co ci właściwie chodzi? Dlaczego przywiozłaś tu ojca?

— Chodzi mi o to, żeby się dobrze zabawił. Jeśli ci to nie przeszkadza...

— To chory człowiek, Louiso.

— Tylko trochę zagubiony w rzeczywistości.

— Cierpi na chorobę Alzheimera. Oboje wiemy to od lekarza.

— I co z tego? — Złote oczy Louisy zaśmiały się gniewem.

— Wszystko mu się myli. Wstydzi się, kiedy podchodzą do niego ludzie, a on nie pamięta ich imion. Poza tym tu jest strasznie głośno, a lekarze twierdzą, że powinien mieć spokój. Żal mi go, kiedy tak na niego patrzę...

— Mnie nie żal Daltona Tuckera — przerwała mu Louisa.

— Żal mi tylko tej biednej choroby! Nie sądzę, by Alzheimer zaatakował kiedykolwiek tak twardego człowieka. Jest jeszcze jedna sprawa, mój drogi...

— Chwileczkę! — James cofnął się o krok. Louisa natychmiast przysunęła się do niego. Odchyliła głowę, by móc spojrzeć mu prosto w oczy. Złapała go za poły koszuli, potrząsnęła mocno.

— Powinieneś uczyć się od swojego ojca — syknęła. — Słuchaj, co ci powiem. On się nie poddaje. Wie, co się z nim dzieje... a coś ty sobie myślał? Nie rozumiesz, że cierpi, ilekroć nazwie mnie imieniem twojej matki? Ale żyje i nie podda się, póki nie wyda ostatniego tchnienia, póki nie złożę go w ziemi. Powinieneś choćby spróbować zachowywać się tak jak on.

— Nie twoja sprawa, co...

— A właśnie że moja! Jesteś chodzącym trupem. To po prostu cud, że nie spadłeś z konia, nie wyrznąłeś się w łeb i nie umarłeś w jakimś odludnym kanionie. Straciłeś syna... wszyscy go straciliśmy... — Rozpląkała się, ostrożnie ocierając palcami oczy, by nie rozmazać makijażu — ...Ale zachowujesz się tak, jakbyś tylko ty cierpiał. Wygnałeś z rancza Daisy i małą córeczkę...

— Daj im spokój!

— Nawet nie próbuj mówić mi, komu mam dać spokój i dlaczego. Ja umiem kochać, Jamesie Tucker, ale ty nie rozpoznałbyś miłości, nawet gdyby objawiła się tu i teraz i ugryzła cię w tyłek. Nikt nie ma u ciebie szansy, cały świat to dla ciebie ty sam i twój mały synek. Od tego się zaczyna i na tym się kończy. A ojciec — o, tu jesteś wspaniały, taki opiekuńczy, taki troskliwy, ale odsuwałeś go od siebie przez trzynaście lat, jak i nas wszystkich!

— Skończyłaś? — spytał James i podał jej chusteczkę.

Louisa skinęła głową i głośno wytarła nos. Ich uwagę przyciągnął Dalton, który dokładnie na wysokości ucha trzymał gotową do rzutu strzałkę. Rzucił i trafił w sam środek tarczy. Otaczający go młodzi ludzie zgotowali mu owację, on zaś zamówił piwo dla wszystkich. Todd zerknął na ciotkę, a potem na Jamesa. James odpowiedział mu ostrym spojrzeniem, starając się jednak ukryć niechęć.

— Tylko na niego popatrz — powiedziała Louisa.

— Na kogo? Twojego bratanka?

— Nie! Na ojca.

— Nadal nic mu nie brakuje — przyznał James.

— Jest groźny jak pantera i ma oko orła.

— Umie trafić w to, w co chce trafić. Pamiętam, jak odstrze-  
lił łeb grzechotnikowi, którego trzymał w dziobie lecący jastrząb.  
— Mówiąc to, James zauważył, że ojciec szuka wzrokiem Louisy.  
Dostrzegł ją i uśmiechnął się dumnie.

— Nigdy nie twierdziłam, że jestem w stanie oswoić Daltona  
Tuckera — powiedziała kobieta i westchnęła lekko. — Prosiłam  
tylko Boga, żeby pomógł mi w tym dziele.

— Louisa! — zawołał ze sceny dźwiękowiec. Ludzie zaczę-  
li się odwracać, bić brawo, wywoływać jej imię. Młody chłopak  
podał jej gitarę. Podczas próby mikrofonu rozległy się zgrzyty  
i trzaski. James cofnął się o krok. Zerknął w stronę baru; chuda  
kobieta w średnim wieku z włosami ufarbowanymi na blond, wy-  
rażnymi brakami w uzębieniu, stała przy Wiltonie i gładziła go po  
ręku.

Najwyższy czas się stąd wynosić.

Włożył kurtkę. Poszukał wzrokiem ojca, chcąc się z nim po-  
żegnać, ale Dalton koncentrował się właśnie na kolejnym rzucie.  
W piątek do „Stagecoach” przyjeżdżali ludzie z całej okolicy,  
w barze było ciepło, przytulnie. Już miał wychodzić, kiedy usły-  
szał Louisę wołającą go po imieniu.

— Co? — zdziwił się.

— To samo dotyczy ciebie.

— Co takiego?

— To, co powiedziałaś o ojcu, sam, własnymi słowami.

James stał, marszcząc czoło. Nie mógł sobie przypomnieć.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Nadal nic mu nie brakuje — przypomniała mu Louisa  
z uśmiechem, a on odwrócił się i wyszedł z baru.

Od domu dzieliła go długa droga. Słowa Louisy dźwięczały  
mu w uszach. Prowadził pikapa drogami stanowymi, a potem  
skręcił na Przełęcz Rozłupanego Drzewa. „Nic mi nie brakuje”.  
Rzeczywiście, umiem jeździć konno, odebrać poród — kiedy  
cieli się krowa — zastrzelić kojota. Umiem uśmiechnąć się do  
dziewczyny, kupić jej piwo, zabrać do łóżka, skoro przecież oboje

wiemy, że odejdę przed wschodem słońca. Przejechał piętnaście kilometrów gruntową drogą, ciągnąc za sobą chmurę pyłu; myślał o tym, że istnieje więcej niż jeden rodzaj suszy.

Przejechał przez bramę DR Ranch, minął duży kamienny dom, w którym mieszkali jego ojciec i Louisa, i wąską ścieżką podjechał do małego drewnianego domku za zabudowaniami rancza, gdzie mieszkał. Wybudował go sam, szesnaście lat temu, z cedru, który wyciął w górach. Był to spóźniony prezent ślubny dla Daisy, a budowę zaczął w dniu, w którym powiedziała mu, że jest w ciąży. Zakończył ją tuż przed narodzinami bliźniąt.

Przystanął przed wejściem, przesunął dłonią po gładkiej powierzchni drewnianych bali. Czuł zapach szałwi. Na granatowym niebie płonęły gwiazdy, skądś dobiegał śpiew nocnego ptaka. James Tucker uniósł głowę. Góry wokół rancza były jak czarna dziura pośród świecących gwiazd; pomyślał, że tak przecież powinno być, bo tam, w górach, znikł Jake. Próbował patrzeć w niebo, ale czerń przyciągała jego wzrok z nieodpartą siłą. O tu, za tą przełęczą, znajdował się kanion, gdzie...

W tym momencie zadzwonił telefon. Niech sobie dzwoni. Domy podłączone były do jednej linii, pewnie to któryś z kuzynów Louisy. Powtarzający się sygnał przywołał go jednak do rzeczywistości. Wszedł do domu; stukot jego ciężkich butów o drewnianą podłogę odbił się głośnie echem.

— Halo?

— James?

Wypowiedziała jego imię, a on usłyszał jej głos!

— Czy to ty, Daisy? — spytał.

— To ja.

James Tucker czekał, z wysiłkiem opanowując przyśpieszony oddech. Daisy dzwoniła do niego raz, może dwa razy do roku, zawsze z jakimiś informacjami o Sage — dobre stopnie, artystyczne zdolności, artykuł opublikowany w miejscowej gazecie — i niezbyt przyjemnym tonem doradzała mu, by wysłał córce telegram, list, bukiet kwiatów, a być może nawet wsiadł w samolot i przyleciał ją odwiedzić. I choć spodziewał się tych rozmów, za każdym razem jej cichy głos przenikał go do szpiku kości, jakby słyszał



go po raz pierwszy... nie, jakby nigdy nie rozstali się choćby na jeden dzień.

— Jak tam Sage? — Nie miał wątpliwości, czego dotyczy ten telefon, wszystkie dotyczyły ich córki.

— Sage... — Daisy umilkła, ale połączenie nie zostało przerwane. Słyszał jej szybki oddech, tak wyraźny, jakby była tuż przy nim. — Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Znikła. Uciekła z domu.

— Znikła? — Tylko to słowo James Tucker wyłowił bezbłędnie.

— Zostawiła list. Właściwie nawet dwa listy. Policja jej szuka. Naszym zdaniem, chce się zobaczyć z tobą.

Co za ulga.

— Więc wiecie, gdzie jest?

— Nie, nie wiemy. Policja wpadła na pewien trop, nie mam wątpliwości, że kieruje się na zachód, ale...

— Sama? — Jakim cudem szesnastoletnia dziewczyna może przebyć drogę z Connecticut do Wyoming, nie doznając po drodze jakiejś krzywdy?

— Co masz na myśli? — spytała Daisy.

— Chodzi mi o to, że...

— Jest z nią chłopiec. — Daisy wycofała się natychmiast.

James milczał. Jego córka ma przyjaciela, a przecież kiedy widział ją po raz ostatni, właśnie miała zacząć chodzić do przedszkola. Milczenie podczas rozmowy telefonicznej, zwłaszcza między dwojgiem ludzi mających sobie tyle do powiedzenia co on i Daisy, działa czasem w dziwny sposób i Daisy zaczęła się denerwować.

— Zawsze chciała się z tobą zobaczyć. Wiem, myślisz, że powinnam wysłać ją do ciebie. Myślisz pewnie, że to wszystko przeze mnie, że gdybym pozwoliła jej spędzać letnie wakacje z tobą, nic takiego by się nie zdarzyło.

— Nie, ja tylko...

— Ale nie chciałam, żeby podróżowała sama, nie chciałam, żeby mieszkała na ranczu. Nie byłam w stanie znieść myśli o tym, że pojedzie tam, gdzie Jake...

— Rozumiem, Daisy.

— Mogłeś przyjechać do nas.

— Nie. Nie mogłem.

— On nie wróci, James. — Głos Daisy drżał. — Zrozumieliśmy to oboje, trzeciego, może czwartego dnia. Nasz syn nie żyje, ale nasza córka owszem i potrzebowała cię każdego dnia życia.

— Być może wróci. — James Tucker spojrział przez okno na ciemne góry, tak wyraźnie odcinające się na tle rozgwieżdżonego nieba. — Może odszedł stamtąd... gdziekolwiek to jest... być może szuka nas...

— Nie — przerwała mu Daisy, po raz setny. — Nie.

— Zostałem tu i tu będę. Na wypadek gdyby wrócił.

— Oszalałeś! Minęło trzynaście lat! A teraz twoja córka...

James zamknął oczy. Powiedziała: „oszalałeś”; nie mógł temu zaprzeczyć. Dziś nie miał zamiaru bronić się, jak to zwykle czynił, ale nie będzie przecież zmieniał planów i stylu życia, nawet jeśli nie jest całkiem normalny. Daisy też do normalności daleko. A w ogóle, czy są na świecie normalni rodzice, którzy stracili dziecko?

— Twoja córka — mówiła dalej Daisy — tak bardzo pragnie mieć kochającego ojca, że jedzie do niego w wagonie towarowym!

— Jesteś tego pewna?

— Nie! Przecież powiedziałam, że nie. — Słyszał i czuł, że Daisy traci panowanie nad sobą. — Ale pytała robotników na dworcu towarowym o drogę na zachód. Co do tego nie ma wątpliwości. Rozpoznali ją na zdjęciu.

— Jakim zdjęciu?

— A co to za różnica?

Dla niego była to różnica. James stał przy kominku, przyglądając się kolekcji zdjęć Sage, poczynając od dnia jej urodzin. Podniósł do oczu fotografię z ósmej klasy: zielone oczy, niepewny uśmiech, kasztanowate włosy.

— Zaalarmowano posterunki policji przy linii kolejowej. Mają sprawdzić pociąg na najbliższej stacji.

— Doskonale. — Odłożył zdjęcie. Oczy go bolały, a kiedy przetarł je dłonią, wszystko widział zamazane.

— Gdyby do ciebie zadzwoniła...

— Od razu cię zawiadomię.

— Dziękuję. — Głos Daisy był ostry, urywany, jakby powiedziała już wszystko, co chciała powiedzieć. Trzymał słuchawkę przy uchu z nadzieją, że usłyszy coś jeszcze, ale ona tylko pożegnała się z nim. Mimo to nie przerwał połączenia.

Odłożył szkolne zdjęcie córki na półkę nad kominkiem i zdjął z niej inne, zrobione znacznie wcześniej, o wiele lepiej mu znane.

Było małe, zwykłe, oprawione w ozdobną ramkę, którą Daisy zrobiła ze srebra, złota i kamyczków zebranych przez dzieci nad rzeką. Zdjęcie pochodziło sprzed czternastu lat. Przedstawiało Jamesa i Daisy Tuckerów na koniach — każde z nich trzymało przed sobą jedno z bliźniąt.

Daisy miała na sobie ochraniacze i niebieską flanelową koszulę, a na głowie biały kapelusz Stetson. Promieniała zdrowiem, które zawdzięczała latu spędzonemu w górach, ale jeszcze bardziej promienny był jej uśmiech. Obejmowała synka, wskazując mu aparat fotograficzny, żeby się do niego uśmiechnął. On trzymał Sage, a ponieważ bał się, że może spaść z konia, patrzył wprost na czubek jej głowy i przyciskał ją tak mocno, że widać było napięty biceps. Tak było niegdyś: miał rodzinę, miał się o kogo troszczyć i była to dla niego najważniejsza rzecz na świecie.

— Maleńka — szepnął. Tak kiedyś zwracał się do córki.

Jego maleńka jechała teraz do niego towarowym pociągiem przez cały kraj. Daisy zawiadomiła policję; policja z pewnością znajdzie Sage i odwiezie ją do matki. Tego chciał i o to się teraz modlił. Patrząc na zdjęcie, uświadomił sobie jednak, że jest coś, czego pragnie bardziej.

Pragnął, by jego córka wróciła bezpiecznie do domu, by Daisy przestała odchodzić od zmysłów ze zdenerwowania, ale marzył też, by móc przycisnąć Sage do serca.

Jeśli uda się jej dojechać do Wyoming, nagada jej tak, jak jeszcze żaden ojciec nie nagadał córce. Powie jej o szaleńcach, których mogła napotkać po drodze, o wypadkach, które zawsze przecież mogą się zdarzyć, nakrzyczy na nią za to, że omal nie

doprowadziła matki do szaleństwa. James Tucker zadrżał na myśl o tym, że jego córka jest gdzieś tam. Potrząsnął głową; musiał sam sobie tłumaczyć, że nie powinien życzyć jej, by wydostała się z sieci i dotarła na ranczo...

Z którego natychmiast odeśle ją na wschód.

RS

Minęły cztery dni bez Sage. Oczekiwanie było dla Daisy torturą nie do zniesienia. Co Sage je? Gdzie śpi? Jakich ludzi spotyka tam, w drodze? Ile czasu pozostało jej do porodu? Pytania te zadawała sobie bez końca. Pracowała, by od nich uciec, by uciec od rozmowy z Jamesem. Nie powiedziała mu, że Sage jest w ciąży; chciała chronić córkę przed twardą rzeczywistością tak długo, jak to tylko możliwe.

Kiedy po Silver Bay rozeszła się wieść, że Ben i Sage uciekli z domów, było tak, jakby w miasteczku pojawił się ktoś obcy, budzący ciekawość i grozę, choć ludzie czuli przede wszystkim smutek. Nie wszyscy wiedzieli o listach, lecz większość widziała policjantów z policji stanowej i psy, węszące przy torach kolejowych do późnej nocy.

Silver Bay było nowoangielskim miasteczkiem jak z pocztówki. Dwa białe kościoły były natchnieniem licznych malarzy, którzy przyjeżdżali tu specjalnie dla nich z całego kraju. Klub ogrodniczy ustawił na skrzyżowaniach kamienne donice, w których rosły powój, petunie i białe geranium, kwitnące przez całe lato. Szkoły były wspaniałe, przestępczość nie istniała. Daisy dorastała jakieś piętnaście kilometrów stąd i po rozwodzie zdecydowała się na powrót do Silver Bay, ponieważ uznała, że jej jedyńemu dziecku niebezpieczeństwo praktycznie tu nie grozi.

Inne matki myślały podobnie. Mimo to patrzyły dzieciom w oczy, sprawdzając, czy nie biorą narkotyków, przy pocałunkach wahały ich oddech, a kiedy rozmawiały o Sage Tucker i Benie

Davisie, podkreślały to, co różniło ich rodziny od innych, jakby pragnęły upewnić się dodatkowo, że im coś takiego po prostu nie może się zdarzyć.

Kiedy sąsiedzi i znajomi zatrzymywali się przy jej domu, przynosząc zapiekanki, domowe konfitury i mrożone lazanie, Daisy pracowała w swoim pokoju. Pochyliła nad stołem, skupiona na rzeźbieniu, ignorowała dzwonek do drzwi. Ten dźwięk przypominał jej, co działo się po zniknięciu Jake'a, przypominał o ludziach, którzy współczuli jej wprawdzie, ale jedzeniem próbowali uleczyć jej ból, jakby jakiegokolwiek jedzenie świata mogło zapełnić straszną pustkę po utracie dziecka.

Hathaway otworzyła drzwi własnym kluczem. Kiedy z koszem jabłek pojawiła się w drzwiach pracowni, Daisy uniosła głowę.

— Na progu spotkałam Felicity Evans. Powiedziała mi, że pracujesz, i prosiła, żebym ci to przekazała.

— Skąd wiedzą, że jestem w domu? — spytała Daisy obojętnie. Nie miała zamiaru się kryć. Po zniknięciu Jake'a także pracowała, więc uznano ją za matkę pozbawioną uczuć. Teraz miało się to powtórzyć. Wiedziała, że przez ucieczkę Sage w oczach miasteczka znowu będzie uchodziła za „inną” — utraciła najpierw jedno, potem drugie dziecko.

— Bo przed domem stoi twój samochód. Sądzą, że czekasz przy telefonie.

Daisy w skupieniu rzeźbiła w kości lewy policzek. Jej najnowsze dzieło miało nazywać się: „Samotna Dziewczynka”. Przedstawiało szczerą dziewczęcą twarz, otwartą i niewinną, daleką jak księżyc. Zamierzała oprawić ją w osiemnastokaratowe złoto, by podkreślić, jak jest dla niej cenna, i połączyć z okruchami polerowanego turmalinu symbolizującego cechy dziewczynki: odwagę, łagodność, inteligencję, wdzięk, tak by nawet samotna, była błogosławiona.

— Daisy? — Hathaway dotknęła ręki siostry, zmuszając ją do przerwania pracy.

— To Sage — powiedziała Daisy, wpatrując się w wyrzeźbioną w kości twarz, miniaturową, wielkości zaledwie trzech centymetrów, a jednak promieniującą duchem jej córki.



— Oderwij się od pracy. Porozmawiaj ze mną!

— Nie... — Choć głos miała spokojny, dłonie jej drżały. — Nie znoję tego dłużej, Hath.

— Doskonale cię rozumiem.

— Dzwoniłam do Jamesa. Powiedziałam mu, że Sage uciekła...

Hathaway milczała. Potrafiła udzielić wsparcia, nie odzywając się ani słowem, rozumiała duszę siostry i głębię jej bólu, niczego nie trzeba było jej wyjaśniać. Daisy nie musiała już udawać dzielnej, pozwoliła się przytulić, gładzić po głowie, pozwoliła się pocieszyć.

— Co powiedział James? — spytała Hathaway po długiej chwili.

— Nie uwierzysz, kiedy ci powiem.

— Zobaczymy. Powiedz.

— On nadal czeka na Jake'a. — Daisy odsunęła się, by spojrzeć siostrze w oczy. — Poza tym uważa, że Sage jedzie zobaczyć się z nim, więc na nią też czeka. A przecież tego nie wiemy na pewno, prawda? Tylko się domyślamy. Nie mamy żadnego dowodu. Ona może być wszędzie...

— Spokojnie, kochanie.

Daisy odetchnęła głęboko.

— James mi wierzy. Jest gotów przyjąć córkę, jeśli rzeczywiście jedzie do niego.

— Wieczne czuwanie — powiedziała Hathaway, wysoko unosząc głowę na smukłej szyi. Daisy wiedziała, że uważa Jamesa Tuckera za człowieka szlachetnego, choć także, więcej niż odrobinę, szalonego. Ilekroć ona, Daisy, robiła mu wyrzuty, że nie przyjmuje do wiadomości faktu, iż są rozwiedzeni, że nie przyjeżdża zobaczyć się z córką, której nie chciała wysłać na zachód, siostra zawsze brała jego stronę.

— Ciężko było mi opowiedzieć mu o tym.

— Każdemu byłoby ciężko, ale wam dwojgu w szczególności.

— Nie spotykamy się, we wszystkich ważnych sprawach jesteśmy odmiennego zdania. Jakim cudem wzięliśmy ślub?!

— Moim zdaniem... — Hathaway przerwała, nie kończąc zaczętej myśli.

— Byłam szalona, jadąc na zachód. I wychodząc za Jamesa. Próbowalam być kimś, kim nie jestem. Udawałam.

— Co takiego udawałaś? Że go kochasz?

Daisy potrząsnęła głową. Nie, miłości nie musiała udawać.

— Żyłam nie swoim życiem — tłumaczyła. — Pochodzę z Nowej Anglii, tu jest moje miejsce. Lubię bezpieczne życie. Wiesz, nasze małżeństwo nie miało szansy na przetrwanie. Widzę to teraz, ale wówczas nikt nie byłby w stanie tego mi wytłumaczyć.

Mówiąc te słowa, Daisy zdała sobie sprawę, że brzmią fałszywie. Pokochała Dziką Zachód, nadał on jej życiu głębię i znaczenie, o czym pamiętała do dziś. Dowodem na to była jej biżuteria... i sny. Nocami śniła o czerwonych skałach, górskich ścieżkach, wysokim, głębokim niebie, zapachu cedrów i szałwi, o ramionach tulącego ją do siebie Jamesa.

— Amerykanki poślubiają Francuzów — powiedziała łagodnie Hathaway. — Włoszki wychodzą za Anglików. Dlaczego katuszysz sama siebie za to, że wyszłaś za mąż za kowboja? Przecież zawsze uwielbiałaś konie i jazdę konną. Mnie wydaje się to całkiem naturalne, zwłaszcza że widziałam cię, kiedy jeszcze byłaś z Jamesem.

— Żyłam w świecie wyobraźni. — Daisy wypowiedziała te słowa tak, jakby chciała przekonać o tym samą siebie. — To wszystko. Uciekłam od rzeczywistości.

— Urodziłaś mu dwójkę dzieci. Mnie wydaje się to całkiem rzeczywiste.

— Czyżbym je przeklęła? — spytała Daisy i w jej oczach zabłyśły łzy. — Przez to, że byłam samolubna? Że zawsze robiłam to, co chciałam?

— Nie. Z całą pewnością nie.

— Tak bardzo bym chciała, żeby zadzwoniła policja. — Daisy spojrzała na telefon. — Przecież z pewnością znaleźli już ten pociąg. Z pewnością ustalili już, gdzie on teraz jest. Co będzie, jeśli nim nie jechała? Co będzie, jeśli pomyliliśmy się, a ona pojechała gdzie indziej?

— Zaufaj instynktowi. Przecież sama mówiłaś, że twoja córka jedzie na zachód.

— Ja już nic nie wiem. — Daisy przymknęła oczy.

— Pomyśl o tym, ile tysięcy kilometrów linii kolejowej muszą sprawdzić, ile pociągów w ciągu całej doby przemierza kraj. Sage ukryła się w jednym maleńkim wagonie. Policja potrzebuje czasu, żeby ją znaleźć. Ale w końcu to się jej uda.

— Nie mogę się doczekać, kiedy Sage wróci do domu.

— To tak jak ja.

Daisy pochyliła się nad stołem. Trzymała w ręku kościaną miniaturę przedstawiającą twarz córki. Ludzie twierdzili, że w swoją biżuterię potrafi tchnąć magię, że przepelnia ją miłość; jeśli rzeczywiście tak było, to w to dzieło włożyła wszystko, co była w stanie włożyć. Matki, które przyglądały się jej z niechęcią, które szeptały, że nie powinna pracować, skoro spotkało ją takie nieszczęście, nie rozumiały, że rzeźbienie w kości było jej formą modlitwy. James modlił się, jadąc w góry. Sage modliła się w lasach, ona modliła się, tworząc arcydzieła.

Pociąg zatrzymał się po północy, gdzieś wśród pól kukurydzy, w pobliżu Lone Tree w Iowa. Sage spała na boku, mocno przytulona do Bena. Śniło się jej, że galopuje przez rancho ojca na siwym koniu z rozwianą grzywą. Niebo było oślepiająco błękitne, a ona wracała już do domu, tak szczęśliwa, że serce wyrywało się jej z piersi... i nagle pociąg zaczął hamować z okropnym zgrzytem metalu o metal.

— Co się dzieje? — spytała przerażona.

— To... to katastrofa! — wykrztusił Ben. Chwycił ją i przytulił mocno do siebie. Oboje bali się, że za chwilę zginą. Pociąg parł przed siebie, drżąc, siłą rozpędu; hamulce lokomotywy nie były w stanie od razu zatrzymać wielu tysięcy ton składu. Sage zamknęła oczy, dłonie instynktownie przycisnęła do brzucha, ochraniając dziecko. Okropny hałas cichł, pociąg szarpnął raz i drugi, zwolnił i wreszcie się zatrzymał.

Zapadła głucha cisza. Ben i Sage najpierw spojrzeli na siebie, a potem wstali i szybko podeszli do przesuwanych drzwi wagonu.

Było ciemno, przez szczelinę wdarł się zimny wiatr. Sage dostrzegła jasne gwiazdy na niebie i ogromne pole kukurydzy. Prawdopodobnie przejechali już przez Iowę. Na drodze biegnącej wzdłuż torów stały policyjne samochody, błyskając niebieskimi światłami.

— Co się dzieje? — spytała. — Jesteśmy na stacji?

— Nie sądzę — odparł Ben.

Oczywiście miał rację. Podróżowali pociągiem od czterech dni; wystarczająco długo, by poznać jego rytm. Przed stacją maszynista hamował powoli, płynnie, a nie od razu, by jak najszybciej zatrzymać pociąg. Przy pierwszym przystanku Sage mocno się denerwowała, żołądek podchodził jej do gardła. Wcześniej jechała pociągiem tylko raz, z matką, z Old Saybrook do Bostonu, i miał on o przeszło połowę mniej wagonów niż ten.

— Zaczynicie z przodu! — krzyknął jakiś głos.

— Nie, podzielimy się — odpowiedział inny. — Drugi oddział zacznie od tyłu!

Sage spojrzała przez szczelinę w drzwiach. Wszędzie pełno było policjantów z latarkami. Świecili na wszystkie strony, głównie nisko, na tory. Dziewczyna próbowała wmówić sobie, że pociąg pewnie w coś uderzył — w krowę, jelenia, może nawet w człowieka — i policjanci szukają teraz ofiary, a tak naprawdę wiedziała przecież, że to oni są celem obławy.

— Co robimy? — spytała.

— Nie wiem.

Sage odsunęła się od drzwi. Spojrzała na swojego chłopca. Stał z policzkiem przytulonym do drzwi, wyglądając przez szczelinę. W ciągu ostatnich dwóch dni milczał właściwie cały czas, a kiedy udało się jej skłonić go, żeby ją przytulił, czynił to niechętnie. Ona natomiast przez cały czas była podenerwowana, jakby czekała na coś, co musi się zdarzyć, i jakby wiedziała, co się zdarzy, tylko bała się to sobie uświadomić.

— Kocham cię — szepnęła.

— Sprawdzają wagony — powiedział Ben, jakby w ogóle jej nie słyszał. — Połowa policjantów zaczęła od lokomotywy, druga połowa od końca.

— Szukają nas, prawda?

— Owszem. Tak mi się zdaje.

Sage trzymała się, najlepiej jak potrafiła. Bardzo pragnęła, by Ben powiedział jej, że wszystko będzie w porządku, że zdołają ukryć się wśród skrzyń, że dojadą do Wyoming. Serce biło jej tak mocno jak jeszcze nigdy, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Otworzyła usta, ale poczuła taką suchość w gardle, że nie była w stanie powiedzieć słowa.

— Myślisz, że nas aresztują? — spytał Ben, nadal wyglądając przez szparę. Przekrzywił głowę, żeby zobaczyć coś więcej.

O tym nie pomyślała. Spróbowała wziąć go za rękę, ale chłopak mocno ścisnął ją metalową sztabę drzwi.

— Ben? Ben!

— Są dwa wagony od nas. Może trzy.

— Kocham cię — powtórzyła dziewczyna.

— Och, Sage!

— Musimy dostać się na ranczo.

— To był tylko sen — powiedział Ben, nie odwracając głowy.

— Nie! — Sage odruchowo złapała się za brzuch. — To była prawda!

— Prawda... — powtórzył to słowo, jakby słyszał je po raz pierwszy.

— Mamy tam dom. Niebo jest takie wielkie, takie błękitne... gwiazdy wydają się spadać wprost na ziemię. Będziemy łowili ryby w strumieniu...

— Nasze matki zadzwoniły na policję — powiedział Ben łamiącym się głosem. — To dlatego nas szukają.

— Wiem — szepnęła Sage. Kolana się pod nią ugięły, usiadła, ukryła twarz w dłoniach. Rozpłakała się na myśl o matce. Wyobraziła sobie jej oczy i miała wrażenie, że teraz, w tej chwili, mama gładzi ją po głowie. Pamiętała noce, podczas których nie mogła spać — matka siadała przy niej, na łóżku, i godzinami opowiadała jej o stadach mustangów galopujących poprzez górskie kaniony. Wiedziała, że matka zawiadomi policję już pierwszego dnia, że nie spocznie, póki jej córka nie wróci bezpiecznie do domu.

Ben przysiadł koło niej.

— Chyba powinniśmy wrócić do domu — powiedział.

— Ja wracam do domu. — Oczywiście Sage miała na myśli Wyoming, nie Silver Bay. Siedziała z nogami podciągniętymi pod brodę, zamkniętymi oczyma i wyobrażała sobie zachód. Czerwone skały, pola po horyzont, góry na tle jasnego nieba. Znowu poczuła dotyk matki, zobaczyła oczy ojca — takie, jakie widziała na zdjęciu, które jej przysłał. Skuliła się z bólu.

Sage nie uciekała z domu. Uciekała do domu. Matka... mieszkała w jednej części kraju, ojciec w innej, ale coś, czego nie potrafiła nazwać, ciągnęło ją na zachód. Mimo że tuż obok była policja, która przybyła tu właśnie po nią i która miała dla niej zapewne darmowy bilet lotniczy na powrót do ciepłego, bezpiecznego miejsca, wiedziała, że z niego nie skorzysta.

— Przecież możemy to jakoś załatwić — powiedział Ben, biorąc ją wreszcie za rękę. — Możemy zrobić coś, od czego powinniśmy zacząć. Opowiedzieć o wszystkim naszym matkom, a potem poszukać...

— Tylko nie lekarza! — zaprotestowała natychmiast dziewczyna. — Nie mów mi o aborcji.

— Chodziło mi o pomoc. Tylko i wyłącznie o pomoc.

Policjanci przeszukujący wagony byli coraz bliżej. Sage słyszała, jak odsuwają, a potem zasuwiają drzwi. Dwaj stanowi funkcjonariusze zatrzymali się tuż obok nich, robiąc sobie przerwę na papierosa. Sage wstrzymała oddech — najciszej jak potrafiła, podpełzła do szczeliny i wyjrzała na zewnątrz. Mężczyźni stali w pewnym oddaleniu, przyglądając się akcji poszukiwawczej, zupełnie jakby nią dowodzili.

— Co za geniusz to wymyślił? — spytał jeden z nich. — Jeszcze parę kilometrów i ten cholerny pociąg i tak zatrzymałby się na stacji.

— Element zaskoczenia — odparł drugi, starszy. — Tutaj te dwa dzieciaki nie mogą nam uciec, bo i dokąd? W pole? W mieście mogłyby jakoś się wydostać i ukryć.

— Maszynista jest wściekły jak cholera.

— Ma facet pecha.



— Co to za dzieciaki? Nastolatki?

— Tak. Chłopak i dziewczyna.

— Romeo i Julia, co? — roześmiał się młodszy policjant.

— Pewnie tak, ale Romeo powinien jednak wykazać więcej rozsądku. Oskarżymy go o porwanie, gwałt z przyzwoleniem\*<sup>1</sup> i co się jeszcze da. Ma kłopoty.

— Z raportu wynika, że chodzą do tej samej szkoły i że rodziny dobrze się znają. Typowy przykład szczenięcej miłości...

— Sądy gównem obchodzi szczenięcą miłość, typową czy nietypową. Nie zatrzymuje się pociągu towarowego w środku nocy i nie angażuje sił policyjnych na taką skalę bezkarnie. Mały pójdzie siedzieć. Obaj o tym wiemy.

— No tak. Wiemy.

Sage obejrzała się na Bena, zamarłego w przerażonym zdumieniu, z szeroko otwartymi ustami. Omal nie krzyknęła: „Przećież on mnie nie porwał! To był mój pomysł! I jaki gwałt? My się kochamy!”.

Policjanci przydeptali niedopałki i ruszyli w stronę wagonu, który mieli właśnie przeszukać.

— Nie możemy dać się złapać! — szepnęła.

— Oni myślą, że to moja wina. — W głosie Bena słyhać było dziecinne zdumienie. — Pójdę do więzienia...

— Nie. Nie pozwolę im na to. Powiem im, że to przeze mnie, że tak bardzo cię kocham...

— Poddajmy się. — Ben drżał. — Wyjaśnimy im wszystko...

— Nie słyszałeś, o czym rozmawiali? — spytała błagalnie.

— Prawda nie obchodzi nikogo.

— Nie pójdę do więzienia. Miałem iść na studia!

— Musimy uciekać. — Sage podeszła do drzwi i spróbowała je rozsunać. Podróżowali tym pociągiem ponad cztery dni. Pierwotny plan zakładał, że dojadą nim aż do Boise w Idaho, a stamtąd pojedą do Wyoming na rowerach, nocując gdzie popadnie.

---

<sup>1</sup> \* Gwałt z przyzwoleniem (*statutory rape*) — w prawie amerykańskim przestępstwo polegające na stosunku płciowym z osobą nieletnią, nawet jeśli odbył się on za jej zgodą (przyp. tłum.).

— Oni mi uwierzą. — Ben spojrzał jej prosto w oczy. —  
Wiem, że tak.

— Nie chcę wracać. — Sage była bliska paniki.

— Ale ja chcę. Chcę wrócić do domu.

— Nie!

— Chcę wrócić do domu.

— Ben, proszę... — powiedziała, tłumiąc szloch.

— Przecież ty też chcesz wrócić. — Głos chłopca złagodniał.

— Wiem, że chcesz. Boisz się, że mama będzie na ciebie wściekła, ale...

— Nie o to chodzi. Muszę dojechać do Wyoming.

— Pojedziesz tam później. Tak jak trzeba.

— Jadę do ojca tak jak trzeba — szepnęła Sage. Serce miała złamane, wiedziała, że to koniec: koniec podróży przez cały kraj, koniec marzeń o nowej rodzinie. Ben zamierzał ją zostawić... nie, już ją zostawił. Poznała to po jego głosie i mogła sobie wyobrazić, jak to będzie w przyszłości, kiedy spotkają się następnym razem, będzie chłodny, daleki, przesadnie uprzejmy. Ile to już razy widziała, że tak właśnie kończy się znajomość: dziewczyna płacze przy szafce w szatni, chłopiec siada do niej plecami w stołówce.

Jeśli ten chłopiec nie pójdzie przedtem do więzienia.

— Nie — powiedział głośno Ben, trzymając ją za rękę. — Tak nie wolno.

Policja dotarła do sąsiedniego wagonu. Drewniane ścianki nagle wydały się jej cienkie jak papier. Słyszała głosy: rozmowę i głośny śmiech. Płakała cicho; nie chciała, by ktoś usłyszał jej szloch. Walczyła ze łzami, mrugając szybko, opuściła wzrok na ich złączone dłonie. Jeszcze jesteśmy razem — pomyślała. Ta chwila powinna trwać wiecznie. Dlaczego Bóg obdarza ludzi miłością, by potem im ją zabrać?

— Sage?

Widziała, jaki jest zdenerwowany, czuła, że jakaś wręcz fizyczna siła ciągnie go ku drzwiom. Chciał oddać się w ręce policji. Świadomość ta zmroziła ją. Oto przyszła chwila, o której tak często słyszała w piosenkach: jeśli kogoś kochasz, obdarz go wolnością. Kiedyś wydawało się jej to takie okrutne i jednocześ-

nie nieprawdopodobne. Myślała wówczas: to nigdy nie zdarzy się mnie i Benowi. Teraz wiedziała lepiej: nie zmusi go, by z nią pojechał, niezależnie od tego, jak bardzo by o tym marzyła.

— Kocham cię — szepnęła.

— Ja też cię kocham. — W jego oczach dostrzegła cierpienie.

— Zrobisz coś dla mnie?

— Oczywiście. — Ben otarł łzy.

— Powiedz im, że jesteś sam. Powiedz, że wysiadłam po drodze, w Chicago czy gdzieś tam. Przynajmniej trochę...

— Mam ich trochę zatrzymać, tak? — Ben zerknął na drzwi. Policjanci byli coraz bliżej, słyszał ich głosy z wagonu tuż przed nimi. Śmieli się, żartowali.

— Tak. — Sage oderwała się od niego i podeszła do klapy w podłodze. Odkryli ją już pierwszego dnia i uznali, że być może przyda się do ucieczki w razie niebezpieczeństwa. Teraz, kiedy już podjęła decyzję, wiedziała, że musi się spieszyć. Próbowwała wyrwać zardzewiały bolec, unieść klapę, ale Ben odsunął ją i zrobił to sam.

Klapa sprawiała wrażenie ciężkiej, ale Sage wiedziała, że poradziłaby sobie z nią. Jeśli postanowiła czegoś dokonać, nie było dla niej przeszkód. Dziura w podłodze miała może metr średnicy — rower i plecak zmieściły się w niej bez problemu. Zdecydowała, że wyslizgnie się z wagonu i położy na torach; poczeka, aż policja się oddali. Ben opowie im jakąś historyjkę, da jej trochę czasu, nim minie zamieszanie, ona zdoła ukryć się w polu.

— Uważam, że powinnaś pójść ze mną — powiedział Ben.

— Wiem, że tak uważasz. Ale nie pójdę. Nawet nie próbuj mnie namawiać.

— Ale...

— Proszę, Ben... — powiedziała cicho i w jej oczach zakręciły się łzy. — Nie mów nic. Zrób to dla mnie.

— Cholera. — Chłopak tylko potrząsnął głową.

— Tobie nic się nie stanie, prawda? — Słyszała, jak policjanci rozmawiali o aresztowaniu go, nie sądziła jednak, by do tego do-

szło. Był taki łagodny, taki dobry. — Powiem im, że nie zrobiłeś' nic złego. Kiedy tylko dojadę do taty...

— Poradzę sobie. Obiecuję.

Skinęła głową.

— Wiem, jak bardzo pragniesz spotkać się z ojcem. — Chłopak zrobił krok w jej stronę.

— Bardzo. — Tylko nadzieja na to spotkanie pozwoliła jej oderwać się od Bena.

Spojrzała w jego rozszerzone oczy, na które opadały kasztanowate włosy. Na szyi miał naszyjnik z niewyprawionej skóry, z zawieszonym na niej niedźwiedzim pazurem. Dostała go od ojca przed wieloma laty i był to jeden z jej najcenniejszych skarbów. Dotknęła go teraz palcem, jakby pragnęła zaczerpnąć siły od niedźwiedzia, ojca, Bena. Potem spojrzała na klapę, którą Ben pomógł jej otworzyć.

— Zrobisz dla mnie coś jeszcze? — szepnęła.

— Tak.

— Przytul mnie.

I Ben przytulił ją. Na włosach czuła jego ciepły oddech. Serca biły im równym rytmem, dziecko poruszyło się w niej, jakby przez skórę matki poczuło dotyk jego ciała.

— Mocniej — westchnęła. — Jakbyś miał mnie nigdy nie puścić.

— Jesteśmy za młodzi — powiedział Ben. — Nie chciałem, żeby tak to się stało.

Ale stało się — pomyślała Sage. Wiedziała, że na zawsze zapamięta dotyk jego dłoni, jego gorący oddech, zapach swetra, jego łzy na swoich włosach.

— Musisz iść — powiedziała.

— Wiem.

— Oszukaj ich. Niech cię nie zobaczą przy tym wagonie...

— Spróbuję.

Puścił ją i podszedł do otworu w podłodze. Najważniejsze, żeby teraz wysunął się na tory, przetoczył przez nie i zaczął uciekać wzdłuż pociągu najszybciej jak potrafi, odciągając od niej policję — myślała Sage. Zamknęła oczy i odwróciła się. Miała

wybór: mogła trwać przy nim i czekać, aż ją opuści, ale mogła też próbować zrealizować własne marzenie.

— Sage... — Czyżby zmienił zdanie? Nie, chciał tylko spojrzeć jej w twarz po raz ostatni.

— Odejdź — odparła przez łzy, nie odwracając się.

Słyszała, jak przesuwa się przez otwór w podłodze i zeskakuje na tory. Podeszła i wyjrzała za nim. Dziura miała tylko około metra średnicy, ale jej wydała się bezdenna. W ciemności i przez łzy nie widziała ziemi.

Usłyszała, jak pobiegł. Serce skurczyło się jej w piersi; nie wiedziała, czy jeszcze kiedyś go zobaczy. Tak bardzo kochała przecież ojca i brata, a obaj pewnego dnia zniknęli z jej życia. Wychyliła się znowu, tym razem spokojniejsza. Tak, na suchej ziemi między torami i za nimi widziała ślady stóp Bena. Rozległy się krzyki, tupot nóg biegnących ciężko mężczyźni, dochodzący ze wszystkich stron.

Objęła brzuch dłońmi i obiecała dziecku, że wszystko będzie w porządku. Już wkrótce znajdą się w Wyoming, na ranczu, we własnym drewnianym domu. Po drodze potrafi zadbać o nie i o siebie, dopilnować, by nic złego się im nie przydarzyło. Mówiła spokojnym głosem, bez zdenerwowania; chciała być jak najbardziej przekonująca. Dziwne, ale im pewniej przemawiała, tym bardziej wierzyła we własne słowa.

Odgłosy pościgu oddaliły się. Teraz miała szansę.

Serce waliło jej jak młotem. Jeszcze raz rozejrzała się po wagonie. Był to ich pierwszy dom: dziecka, Bena i jej. Miała tylko nadzieję, że nie będzie ostatni.

Opuściła się w otwór w podłodze wagonu, zawisła na chwilę na wyciągniętych rękach i zeskoczyła pomiędzy tory. Wylądowała miękko na plecaku, położyła się na wznak i rozejrzała wokół. Głosy dobiegały z lewej strony; popatrzyła tam i dostrzegła policjantów. Otaczali Bena; nasłuchiwała przez chwilę, ale jego nie usłyszała. Teraz miała szansę, dzięki niemu.

Wypelzła szybko spod pociągu, ciągnąc za sobą rower. Powietrze było suche i chłodne. Zzianiana założyła plecak i zacisnęła paski. Samochody policyjne stały po przeciwnej stronie pociągu,

widziała, jak ich migające niebieskie światła odbijają się w wiszących nisko chmurach.

Na horyzoncie ukazała się czerwona linia. Sage przyglądała się jej przez chwilę. Tam było słońce, którego jeszcze nie widziała. Rzuciło delikatną poświatę na granatowe chmury. Odetchnęła głęboko, wiedziała, że weszło już nad Silver Bay, że tam, w Connecticut, matka czeka i od chwili jej zniknięcia myśli tylko o niej.

Wspomnienie matki dodało jej sił. Wsiadła na rower i ruszyła przed siebie, byle dalej od wschodzącego słońca: na zachód. Nogi miała sztywne, ale szybko rozgrzały się od wysiłku. Jechała przez pole kukurydzy, częściowo już zebranej — najpierw po rzysku, a potem skręciła między brązowe suche rośliny. Rower podskakiwał na nierównościach pola. Ramionami ocierała się o liście, co przypominało jej dźwięk podobny do tego, jaki wydają karty do gry włożone między szprychy.

Ben został przy pociągu, umożliwiając jej ucieczkę. Głosy policjantów cichły z każdą chwilą. Jeszcze moment i słyszała już tylko bicie własnego serca i szum wiatru wśród rzędów kukurydzy. Pole było nierówne, rower chwiało się na boki, ale jej silne nogi pedałowały niezamordowanie, kiedy tak jechała pośród rzadniejącej ciemności.



Poprzedniej nocy James wypalał rowy melioracyjne w kanionie Red Mine. Stał z wiatrem, obserwując, jak dym wędruje ku górze po stromych kamienistych zboczach na szczyty pasma Wind River, purpurowego w blasku płomieni. Nagle usłyszał dzikie warknięcie i kiedy się odwrócił, dostrzegł górskiego rysia i uciekające przed nim ciele, które chwilę później spadło z wysokiego zbocza. Zbiegł na dół. Cielak leżał przy końcu ścieżki. Skręcił kark, ale poruszał się jeszcze, próbował nawet wstać, jakby wierzył, że jest w stanie biec. James przykucnął przy nim. Zwierzę miało sparaliżowane tylne łapy, przednimi przebierało bezradnie. Patrzyło na niego ciemnymi głębokimi oczami, przepelnionymi strachem. Każde stworzenie oprócz matki było dla niego wrogiem. Zaczął gładzić je po długiej szyi.

— Przykro mi — powiedział głośnie.

Cielak wydał z siebie cienki pisk, który miał być rykiem. Matka odpowiedziała mu z góry przeciągłym muczeniem, w którym brzmiał straszny smutek.

— Nie jesteś sam — powiedział James. Uważał, że zdychające zwierzę powinno o tym wiedzieć, że nie wolno dopuścić, by cierpiało w samotności. Wstał, wyjął rewolwer i strzelił, zabijając je na miejscu.

Teraz, siodłając konia do porannego objazdu, starał się myśleć o wszystkim, byle nie o wyrazie ślepi nieszczęsnego cielaka. Wiedział, że zwierzę ciągle ssało, że w chwili największego przeraże-

nia myślało wyłącznie o matce. Jak niczego w świecie pragnął, by oczy jego dzieci nigdy nie miały podobnego wyrazu.

— Będzie padać.

James Tucker obrócił się, słysząc głos ojca. Zajrzał do stajni — tam, w mroku, stał Dalton. Kiedy stary człowiek zrobił krok w jego stronę, okazało się, że jest ubrany jak do pracy, nałożył nawet ochraniacze i ciężkie buty.

— Dzień dobry, tato.

— Widziałeś te chmury nad rzeką? Dzisiaj z pewnością znacznie padać. Dokąd jedziesz?

— Na wschodnie pastwisko. Pomyślałem, że warto sprawdzić, co się tam dzieje.

— Co myślisz o towarzystwie?

James wahał się przez chwilę. Kiedy ostatnio pojechali razem, Dalton stracił orientację w rzeczywistości i zaczął się denerwować. Wziął syna za swego ojca, cofnął się w czasie o pięćdziesiąt lat. Był pewien, że trwa wojna z Rydellami, że ciągle muszą wyrzucać ich owce ze swej ziemi. Bełkotał coś o wrogach rodziny, o znaczeniu tradycji i o tym, że bydlę jest lepsze. Sporo wysiłku wymagało sprowadzenie go na powrót do rzeczywistości, uświadomienie mu, że ma dorosłego syna, że wojna skończyła się pokolenie temu i że żyje z Louisa Rydell, wnuczką swego największego wroga.

— Jasne — powiedział w końcu James. — Cieszę się, że będziesz przy mnie.

— Nie chcę wchodzić nikomu w drogę — burknął starzec.

— Nie ty.

Skończyli siodłać konie, wyprowadzili je ze stajni, dosiedli i ruszyli na wschód. Jamesowi nadal dźwięczał w uszach wrzask rysia, nie mógł też przestać myśleć o Sage. Od rozmowy z Daisy minęło kilka dni; przez ten czas właściwie wcale nie spał, lecz czekał na dzwonek telefonu. Miał nadzieję w każdej chwili usłyszeć jej głos, stanowczy i spokojny, informujący go, że nastąpiła pomyłka i Sage śpi bezpiecznie w swym łóżku.

— W życiu nie widziałem tak cholernej suszy — powiedział Dalton. Jadąc swobodnie, klusem, mijali właśnie kępę topoli. — Trwającej aż do października.

— Ale teraz przewidujesz deszcz.

— Twój ojciec potrafi przepowiadać pogodę, prawda? — Starzec zachichotał.

James nie odpowiedział. Przez całe lato modlił się o deszcz. Krowy były tak spragnione, że próbowały nawet pić pył suchej ziemi. Podchodziły niebezpiecznie blisko zboczy z nadzieją, że ściekająca nimi woda przyniesie im choć odrobinę ulgi. W zeszłym miesiącu zaczął sprowadzać wodę ciężarówkami. Bydło tłoczyło się przy korytach, silniejsze sztuki zadeptywały słabsze.

Tak, susza potrafi zabijać.

Ale taka pogoda to raj dla grzechotników. Dźwięk ich grzechotek, złowrogie „trrr... trrr...” niosło się nocami po górach; węże kryły się wśród kamieni, skał, w krzakach i między krokwiemi obór. Budynki, zwierzęta i ludzie... wszystko pokryte było cienką warstwą brązowego pyłu. Ale teraz jego córka była gdzieś w drodze i James nie mógł znieść myśli o tym, że może zmoknąć.

— Nauczyłem cię, jak nawadniać — odezwał się ojciec. — Stare sposoby są najlepsze.

— I najcięższe.

— Skarżysz się?

— Gdzież tam, ojcze.

Sąsiednie rancza miały skomplikowane systemy irygacyjne, pompy, spryskiwacze na pastwiskach, wszystko zautomatyzowane. Kiedy wyschła studnia, ciężarówki lub pociągi dostarczały im wodę. Te niezawodne systemy nadzorował oczywiście komputer.

Jednak James wołał tradycyjne sposoby Tuckerów. Nie były może najefektywniejsze, wymagały sporo wysiłku, ale dzięki nim praca ranczera wydawała mu się bardziej rzeczywista. Wiedział, co jest co. Dwa razy dziennie musiał siodłać konia, wyjeżdżać na pastwiska i własnoręcznie zmieniać wodę. Musiał chodzić po swojej ziemi, znał na niej każdy kamień, każde pęknięcie. Krowy reagowały na dźwięk jego głosu, nawet na stukot kopyt konia, na którym zawsze jeździł. Pocieszało go, że jest częścią tej ziemi; dzięki temu mógł być bliżej Jake'a. Niewielka to była pociecha, ale zawsze jakaś.

— Louisa powiedziała mi, że dzwoniła Daisy.

— Tak, dzwoniła. — James opowiedział jej o wszystkim, na wypadek gdyby Sage zadzwoniła na rancho i to ona właśnie była przy telefonie.

— Twoja córka uciekła z domu?

— Tak twierdzi Daisy. — James poczuł nagły ucisk w żołądku.

— Nastolatka! — Dalton wypowiedział to słowo i roześmiał się nagle, jakby było ono jednocześnie wyjaśnieniem, żartem i przekleństwem.

— Wiem.

— No to wiesz, że nastolatki nie znoszą siedzieć w domu. Myślisz, że nie pamiętam, jak kiedyś, po kolacji, postanowiłeś pożyczyć mojego pikapa i dojechałeś nim aż do Lander, bez prawa jazdy, bez niczego? Miałeś piętnaście lat.

— Pamiętam. — Było to wtedy, kiedy zginęła jego matka i kiedy ojciec zaczął się spotykać z Louisa. Myślał, że oszaleje, pił do świtu, uciekał ze szkoły, zabierał ojcu pikapa, kiedy tylko nadarzyła się okazja. A gdy Louisa zamieszkała z nimi, zrobiło się jeszcze gorzej.

— Więc wiesz, jak to jest. Nie marnuj czasu na wymyślanie najgorszych możliwych scenariuszy. Twoja córka nie cierpi na żadną chorobę, której nie wyleczyłoby dorastanie. Nie znikła i nie zginęła. Po prostu przysparza wszystkim kłopotów, dokładnie tak jak ty w jej wieku. Minie tydzień i będzie w domu.

— Tydzień? — zdziwił się James.

— Jasne. Siedem dni.

Dziwne, ale jakoś bez trudu przyszło mu uwierzyć, że ojciec może coś o tym wszystkim wiedzieć. Od ucieczki Sage minęło pięć dni, jeśli się nie mylił, a więc musi czekać jeszcze tylko dwa. Potem odezwie się do niego Daisy, a może nawet sama Sage, i wszystko będzie jak poprzednio. Kiedy był młody, słowo ojca było dla niego jak słowo Boga, choć zmieniło się to wraz z pojawieniem się Louisy. I zmieniało się coraz bardziej, stopniowo, dzień po dniu, wraz z postępami choroby, która otepiała ojca i odsuwała go od świata, aż James zaczął łapać się na tym, że traktuje go jak małe dziecko.

— Tato, słuchaj... — zaczął, nie wiedząc, jak to wyrazić. Chciał powiedzieć ojcu o dzieciach i o Daisy, o stratach, jakie ponieśli w życiu, o sprawach, o których nigdy z nim nie rozmawiał.

— Idą chmury. — Dalton jechał z głową uniesioną w górę. — Mam nadzieję, że Louisa pamięta o zdjęciu prania, bo będziemy mieli prawdziwą pompę.

W końcu James nie powiedział ojcu nic. Stary wyczuł, na co się zanosi, zmienił temat, uratował go od zrobienia głupstwa, a ich obu od zażenowania. Uderzył konia ostrogami i popędził jak szalony. Ziemia była tutaj równa, pylista i sucha. Biegacze pustynne zwinęły się w upale lata, leżały nieruchome, jak martwe. Dalton jechał tuż za nim, krzyczał, opowiadał, jak kiedyś zatkał dziurę w kanale melioracyjnym starą zardzewiałą lodówką, ale James popędzał tylko konia do szybszego biegu.

Tuckerowie nie rozmawiali o miłości. Nie płakali nad tym, co było, nie dzielili się marzeniami o przyszłości. Nigdy nie okazywali strachu ani wątpliwości, po prostu pilnowali swojej roboty. Tematem ich rozmów była natura: pogoda, konie, bydło. Umiejętność przewidywania deszczu uchodziła za cenną zdolność, a Dalton z całą pewnością ją posiadał.

Cielaki spadały ze zboczy wzgórz, atakowane przez oszalałe z pragnienia rysie. Ranczo bardzo potrzebowało deszczu, ale James akurat teraz go nie potrzebował, chętnie poświęciłby całe swoje stado po to tylko, by jego córka nie zmokła. Każde czworonogie stworzenie na jego ziemi mogło spokojnie zdechnąć, jeśli dzięki tej ofierze Sage nie cierpiałyby niewygody. Szkoda, że ojciec nie umie przewidywać losów ludzi tak bezbłędnie, jak zawsze przewidywał deszcz — pomyślał.

Myślał też o tym, jak Daisy zachowywała się po zaginięciu Jake'a. Pewnego dnia, jakiś miesiąc później, pojechała do kanionu i próbowała wyczuć jego obecność. Miała ten dar w odniesieniu do kości i kamieni, umiała znaleźć je w ziemi, pozornie martwe, i umiała wyczuć w nich życie. Był z nią, widział, jak klęka na ziemi w miejscu, gdzie siedzącego spokojnie chłopca widziano po raz ostatni, jak przesiewa przez palce piasek i drobne kamyki, raz za razem powtarzając imię syna.

— Przestań! — krzyknął wówczas i mocno złapał ją za ramiona.

— Chcę wiedzieć, gdzie jest.

— Nie znajdziesz go w ziemi!

— Być może to moja ostatnia szansa. — Przyłożyła policzek do błota, które przylgnęło jej do nosa i oczu. Zlizwała je z warg.

— Daisy...

— On tu jest — powiedziała wówczas jego żona. — Moje dziecko jest tu.

Deszcz padał od dwóch dni, ziemia był miękka, błotnista, krzaki zazieleniły się i rozrosły bujnie. James pamiętał, jak poczuł się wtedy chory, bo wszędzie wokół widział przejawy nieokiełzanego życia. Żyło wszystko, tylko Jake był martwy.

Daisy krzyknęła przeraźliwie, jakby w jednej chwili stała się jakimś prehistorycznym stworem. Objął ją, przytulił, kołysał w ramionach. „On tu jest, jest tu!” — powtarzała i wówczas zrozumiał, że ten jej krzyk był w istocie krzykiem strasznego żalu, który wyklął się gdzieś głęboko w niej, w miejscu, o którego istnieniu do tej pory nie miał pojęcia.

— Daisy...

— On tu jest!

— Daisy, przestań. Nie wiesz... — Ale James był zupełnie bezradny, nie miał pojęcia, jak powstrzymać ją od płaczu, od kurczowego ściskania rozmięklej ziemi w dłoniach, od wydawania tych strasznych dźwięków. Mógł tylko tulić ją, pozwolić jej płakać. Kołysał Daisy jak dziecko, słuchając wycia wiatru w skałach nad głową, wyczuwając rytm, jakim poruszały się ich złączone ciała. Po długiej chwili Daisy przestała płakać, ale on tulił ją nadal.

Galopując teraz przed siebie, myślał o tej spędzonej wspólnie chwili i o obietnicy, którą złożył sobie w duchu, słuchając, jak rozpacza po stracie syna. Obiecał sobie, że nigdy, jak długo będzie żył, nie porzuci syna. Cokolwiek miałyby się zdarzyć, on pozostanie tu, dla Jake'a. Daisy ryła paznokciami ziemię, przytulała się do niej twarzą w miejscu, gdzie chłopiec się bawił. On nigdy nie opuści tej ziemi.



A teraz... co może zrobić dla Sage?

Kiedyś, gdy był jeszcze bardzo młody, matka powiedziała mu: „Będziesz się modlił, nie bój się. Ale nie módl się, kiedy będziesz się bał”.

Bał się teraz i nic nie mógł poradzić, nie mógł także nic poradzić na to, że się modli. Pędził właśnie na wschodnie suche pastwisko, a za nim galopował ojciec. Czuł wiatr na opalonej twarzy. Nasunął kapelusz na czoło. Pył zasypywał mu oczy, niczego nie widział wyraźnie.

Z grzbietu wzgórza rozciągał się piękny rozległy widok na górskie kaniony, pastwiska, ranczo i strome zbocza, a scenę otaczały góry Wind River. Ilekroć tu stał, czuł zawsze, że coś znaczy, że ma miejsce, do którego może wrócić.

Czuł też, że jest człowiekiem bardzo samotnym. Nikt przecież nie wiedział, że tu jest, i nikogo to nie obchodziło. Czasami widział stąd ranczerów uwijających się przy cielecach i oczy zachodziły mu łzami. Takie właśnie jest przecież zadanie ojców: troszczyć się o to, co do nich należy.

„Matki i ojcowie, matki i ojcowie”: cóż właściwie miało to oznaczać? Tu, wśród szczytów wzgórz, widział wiele matek i ojców z młodymi: jelenie i łanie, krowy i cielęta, kojoty i szczenięta. Małe stworzenia powinny mieć szansę dorosnąć, ale nie wszystkim się to udawało. Życie na ranczu zawsze jest brutalne, a często kończy się śmiercią.

W gruncie rzeczy nic go już nie obchodziło. Siedział w miejscu w czasie licznych burz i czekał, by przeszły, choć mogło się wydawać, że będzie musiał czekać w nieskończoność. Huk grzmotów był dla niego wprost muzyką z marzeń. To przecież jego góry! Ile to już razy kołysały go do snu odgłosy natury. W dzikiej krajnie istnieją tylko te wygody, które ona sama zaoferuje człowiekowi.

Skulił się. Poczuł łzy na policzkach. „Jesteś dobrym chłopcem”. Słowa te dobiegły go z daleka, a wypowiedział je jakiś inny głos. Ktoś kiedyś nazwał go „dobrym chłopcem”; teraz nazywał tak sam siebie.

Skądś, z dołu, dotarł do niego odgłos końskich kopyt. Skulił się i przylgnął do skały. Nie był jeszcze gotów na to, by go zobaczono. Na ziemię opadały żółte liście. Być może pokaże się, kiedy przyjdą śniegi, kiedy góry skuje lód, a domy ogrzewać będzie ogień. Wówczas być może ujawni swą obecność, oznajmi, że te góry są jego domem. Huknął kolejny grzmot, mężczyzna skulił się mocniej na skalnej półce. Zawsze chciał w coś wierzyć i swą wiarę zawsze odnajdował tu, na ranczu.

Poczuł senność, położył się więc na suchym miejscu i czekał na muzykę snu. „Jesteś dobrym chłopcem” — usłyszał. „Jesteś dobrym chłopcem”.

Louisa Rydell stała na szerokim ganku z kubkiem kawy w rękę, obserwując stado antylop wspinających się po stromym zboczu. Próbowwała policzyć je, ale doszła do trzydziestu pięciu i się pogubiła. Przyglądała się także gęstym chmurom, napływającym nad dolinę. Były szkarłatne niczym unurzane we krwi, przywodziły na myśl biblijne opowieści. Dalton wołał o deszcz, ona sama wiedziała, jak bardzo ranczo go potrzebuje, i pragnęła, by nadszedł, ale nie teraz. Jeszcze nie.

Daisy i córka Jamesa z całą pewnością deszczu nie potrzebowały. Louisa nie widziała Sage od lat, ale były czasy, gdy myślała o niej jak o własnej wnuczce. Opiekowała się bliźniakami przy każdej okazji — dziewczynka często siadała jej na kolanach, bawiąc się wielkimi kolczykami i koralami, podczas gdy Jake szalał w trawie między domem a wybiegiem dla koni.

Stanowili wówczas jedną wielką rodzinę, jak z filmowego westernu, choć trochę, trzeba przyznać, zwariowaną. Ona i Dalton, choć nigdy się nie pobrali, byli patriarchami klanu — Rydellowie i Tuckerowie na tej samej ziemi. Jej ojciec nigdy by w to nie uwierzył. A przecież widziała, jak Dalton wynajmuje do pracy jej bratanków, Larry'ego i Todda, widziała, jak pełniąc obowiązki ojca, tańczy z jej córką Ruthie podczas rodzinnej zabawy.

Nawet James w końcu się przemógł. Nienawidził jej przez długie dziesięć lat, prawdopodobnie za to, że zajęła miejsce

jego matki w sercu ojca, lecz nagle zaczął ją szanować. Najprawdopodobniej uznał, że kobieta, wystarczająco dobra, by polubiła ją Daisy, przez niego powinna być co najmniej tolerowana. Nie da się ukryć, brakowało jej towarzystwa tej dziewczyny.

Westchnęła. Jeden z psów wyczuł kanapkę, którą zrobiła sobie na śniadanie, podbiegł do ganku i zaczął węszyć hałaśliwie.

— Czego chcesz? — spytała, jakby nie wiedziała, o co mu chodzi.

Pies polizał ją po ręce, a potem przewrócił się na grzbiet, wystawiając brzuch do podrapania. Ileż to dzieci siedziało ze mną na tym ganku — pomyślała Louisa — i ile psów drapałam tu po brzuchu. Chmury przykryły słońce, gdzieś daleko rozległ się grzmot świadczący o burzy. Potrząsnęła głową. Po tej stronie szczytu Gannet wilgotne były tylko jej oczy, a ona nienawidziła rujnujących makijaż łez.

— Do diabła z tym wszystkim! — powiedziała głośno i rzeczywiście miała na myśli wszystko.

Szkoda, że nie mogą powrócić dawne dobre czasy. Przecież kiedyś tyle było tu miłości. Kochające się pary, małżeństwa, dzieci... dorastające nowe pokolenia. A potem rozpadła się rodzina — pomyślała. Rodzina zaczęła się rozpadać trzynaście lat temu, gdy mały Jake tajemniczo znikł z powierzchni ziemi.

Im dłużej drapała psa, tym bardziej domagał się pieśszczot. Lewą tylną łapą komicznie machał w powietrzu. Louisa chciała się roześmiać, ale za bardzo bolało ją serce. Bała się, że oczy jej spuchną, a tego z całą pewnością sobie nie życzyła. Miała dziś pojechać z Daltonem do „Stagecoach” na kolację z przyjaciółmi. Bardzo pragnęła, by poproszono ją o zaśpiewanie kilku piosenek. To nie był jej wieczór, ale uwielbiała takie niespodziewane występy.

Nie — pomyślała — pieśszczoty z psem nie podniosą mnie na duchu. Wyprostowała się. Miała na sobie luźną niebieską spódnicę barwy górskich krokusów, makijaż zrobiła pod kolor. Na szyję założyła „Matkę Niedźwiedzicę”, naszyjnik, który Daisy zrobiła specjalnie dla niej z kości niedźwiedzia grizzly. Zabił go James

pewnej letniej nocy, gdy niedźwiedź zaatakował namiot, w którym spali całą rodziną.

Louisa wzięła naszyjnik w obie ręce. Na złoty łańcuszek naniżane były korale z polerowanego jaspisu, turkusa i niedźwiedziich kości; zęby i pazury otaczały medalion, jakby go chroniły. Kiedy James go zobaczył, powiedział, że nie przypomina innych prac jego żony, jest zbyt dziki, zbyt agresywny.

Louisa zrozumiała, że słowa te skierował do niej, czyniąc aluzję, iż tylko osoba tak nie na miejscu w tym domu jak ona mogła skłonić jego delikatną żonę do stworzenia dzieła tak groźnego w swojej wymowie i tak kojarzącego się z gwałtem, jak pazury i zęby niedźwiedzia. Wcale jej to jednak nie obeszło. Rozumiały się z Daisy i kochały, obie wiedziały, że na świecie nie ma istoty agresywniejszej niż matka. Ze matka zrobi wszystko, by chronić swoje dzieci.

Medalion opowiadał jednak inną historię. Wycięty został z kości niedźwiedziego żebra, tego najbliższego sercu. Na jego gładkiej powierzchni Daisy wyrzeźbiła niedźwiedzi pysk, ale była to maska śmierci, a nie agresji; spokojna, łagodna, kochająca. Bo po ataku i po śmierci niedźwiedzicy u stóp wzgórza znaleźli czekające na nią małe. Matka uznała, że są w niebezpieczeństwie, i zrobiła to, co musiała zrobić.

Daisy zrozumiała ją i opłakała. Przez kolejne kilka tygodni wysyłała męża na wzgórza na północy, by sprawdzał, czy niedźwiedziątka radzą sobie same. Zauważył je dwukrotnie, a potem już spotykał tylko jedno. Drugie znikło.

Naszyjnik symbolizował niezniszczalnego matczynego ducha. Dawał niedźwiedzicy grizzly władzę nad ranczem, nad górami i kanionami, by mogła chronić dzieci wszystkich matek. Córkę Louisy, Ruthie, bliźniaki Sage i Jake'a oraz małych Tuckerów i Rydellów mieszkających tu i dalej, aż po Dubois. Louisa nosiła go zawsze aż do dnia, w którym zaginął Jake. Wówczas zdjęła go, bo co komu po amulecie, który przed niczym nie chroni? Założyła go z powrotem dopiero dziś rano, z myślą o Sage. Na wszelki wypadek. Ta mała dziewczynka miała już szesnaście lat i przecież dorastała bez ojca. Ona i jej matka podobne były do siebie

jak dwie krople wody. A Louisa wiedziała, jak straszne rzeczy przydarzyć się mogą młodym kobietom pozbawionym ojcowskiej opieki. Sama doświadczyła niejednej z nich.

Myśląc o tym, westchnęła głęboko. Powietrze było ciężkie, nieruchome, w górach coraz częściej odzywały się grzmoty. Na suchą ziemię podwórza spadły pierwsze krople deszczu, rzadkie, wielkie, wznosząc chmurki pyłu.

Spędziła z ganku zakurzonego owczarka szetlandzkiego. Podjęła decyzję, wiedziała już, co musi zrobić. Czasami młode rodziny potrzebują pomocy z każdego możliwego źródła, nawet od nie lubianej przyrodniej babci, w rzeczywistości nie będącej przecież nawet przyrodnią babcią. Weszła do domu, by przeprowadzić rozmowę telefoniczną, która mogła okazać się bardzo trudna.

RS

Otulona szalem Daisy siedziała skulona w pracowni. Od zniknięcia Sage minęło pięć dni i w tej chwili nawet oddychanie sprawiało jej ból. Właśnie dzwoniła detektyw LaRosa z informacją, że Sage w pociągu nie znaleziono. Ben opowiedział policji historię o tym, jakoby wysiadła w Chicago. Policja nie uwierzyła mu, ale dziewczyny jeszcze nie odnalazła. Ponieważ Sage nie została porwana i nie była przestępczynią, w sprawę nie włączono FBI. Powodzenie śledztwa zależało teraz od zgranej współpracy wielu niewielkich sił policyjnych, z których żadna nie uznawała tropienia uciekającej z domu ciężarnej szesnastolatki za sprawę ważną i niecierpiącą zwłoki.

Paulina, która wcześniej szalała ze zdenerwowania, teraz stała się wręcz zimna. Oznajmiła Daisy, że Ben zadzwoni do niej, gdy tylko będzie mógł. Daisy wreszcie straciła do niej cierpliwość.

— Słuchaj! — powiedziała podniesionym głosem. — Wiem, że winisz Sage za wszystko, co się stało, ale mnie to nic nie obchodzi. Ben ma do mnie zadzwonić, gdy tylko przekroczy próg domu. — W tym momencie zaczęła krzyczeć. — Gdy tylko przekroczy próg domu! Rozumiesz?

Zadzwonił telefon. Spojrzała nań zaczerwienionymi oczami. Siedziała w bujanym fotelu, obejmując rękoma podciągnięte pod brodę kolana; sięgnęła po słuchawkę tak gwałtownie, że zaplątała się w okrywający ją szal. Być może dzwonił Ben, być może Hathaway, być może James, być może była to najgorsza nowina,



ale kiedy wreszcie udało się jej przyłożyć słuchawkę do ucha, wykrzyknęła w nią jedno słowo.

— Sage!

— Nie, skarbie, to ja — powiedziała Louisa przeciągle, z wyraźnym akcentem z zachodu.

— Myślałam, że to może ona. — Westchnęła ciężko. Ogarnęła ją rozpacz głębsza niż kiedykolwiek.

— Policja się nie odezwała?

— Nie mogą jej znaleźć. — Daisy zacisnęła powieki. Podejrzanie, że córka zmierza na farmę, przerodziło się u niej w pewność, ale policjantów nie zdołała przekonać. — Nie wiem nawet, czy naprawdę szukają. Gdyby tylko zadzwoniła...

— Właśnie, właśnie. Sama żyję tą nadzieją. Ze podniesie słuchawkę, wykręci numer, porozmawia z tobą i może wróci do domu.

— Boże, jak strasznie tego pragnę. Żeby tylko się odezwała, do mnie albo do Jamesa... przecież wiem, że do niego jedzie...

Milczały przez chwilę i nagle Daisy wyobraziła sobie życie bez córki: czarną pustkę tak straszną, że aż nie do zniesienia. Przed laty, kiedy znikł Jake, było jej ciężko, tym razem ciężar byłby ponad jej siły.

— Słuchaj, od chwili kiedy zadzwoniłaś do Jamesa, nie mogę przestać myśleć. Byłyśmy sobie kiedyś bliskie i...

Daisy zacisnęła dłoń na słuchawce. Louisa mówiła spokojnie, z namysłem, sympatią i może nawet czymś w rodzaju tęsknoty, ale jej nie stać było na rozpamiętywanie przeszłości. Sage... Sage może zadzwonić, linia powinna być wolna, to nie czas ani miejsce na rozmowę o dawnych dobrych czasach.

— Nie... nie mogę rozmawiać.

— Ale...

— Słuchaj! — Nie wytrzymała, krzyknęła i pochyliła się w fotelu tak gwałtownie, że zrzuciła ze stołu miseczkę z czerwonymi kamykami, które miała polerować. — Czekam na telefon od córki!

— Nie, to ty posłuchaj! — Louisa wypowiedziała te słowa tak stanowczo, że Daisy umilkła, zdumiona.

Hathaway, która przyjechała dosłownie przed chwilą i nie zdążyła jeszcze zdjąć kurtki, wpadła do pracowni. Widząc siostrę bladą, wstrząśniętą, pomyślała chyba, że może ona zemdleć w każdej chwili, podbiegła bowiem, złapała ją wpół i posadziła na fotelu.

— To Louisa — szepnęła jej do ucha siostra.

— Aha. — Hathaway wyglądała, jakby przez ostatnie kilka dni postarzała się o dziesięć lat.

— Jest z tobą siostra? — spytała Louisa. — Doskonale. Nie powinnaś być teraz sama, a kiedy usłyszysz, co mam ci do powiedzenia, zechcesz zapewne zasięgnąć jej rady. Poza tym będziesz chyba miała ochotę wydrapać mi oczy, więc wolałabym, żeby cię od tego odwiodła.

— Co takiego masz zamiar mi powiedzieć? — spytała Daisy, ściskając kurczowo dłoń siostry.

— To proste. Chcę, żebyś przyjechała na ranczo.

Bicie serca odbijało się echem w jej głowie. Może źle usłyszała? Czy Louisa rzeczywiście powiedziała to, co — jak jej się wydawało — usłyszała?

— Żartujesz.

— Nie, młoda damo. Jeśli naprawdę sądzisz, że potrafiłabym żartować w takiej sytuacji, to nie znasz mnie tak dobrze, jak przypuszczałam.

— Przecież nie mogę... — zająknęła się. Od przeszło dziesięciu lat jej stopa nie postąpiła na ziemiach rancza DR. To tam przeżyła najgorszy koszmar swego życia. Nie potrafi znów spojrzeć na postrzępione skały, nie zniesie zapachu szałwi i myśli o małym Jake'u. Na ranczu mieszkał James; po tym wszystkim, co się między nimi zdarzyło, pozostała tylko zła krew. A poza tym, co to właściwie ma wspólnego z Sage? — Nie mogę. Nie przyjadę.

— Nie chcesz pomóc córce? — zdziwiła się Louisa.

— Pomóc córce? — Co za bezczelność! — Czy dobrze cię zrozumiałam? Jak śmiesz!

— Owszem. Powiedziałam „pomóc córce”. Dobrze mnie usłyszałaś.

— Louiso... — głos Daisy drżał — ...byłyśmy kiedyś przyjaciółkami i nadal cię kocham. Byłaś częścią naszej rodziny,

a teraz... — Wyrwała dłoń z ręki Hathaway, mocniej ścisnęła słuchawkę. Siostra sprawiała wrażenie mocno przestraszonej.

— Uspokój się. Szalejesz ze strachu, kochanie, i nie myśl, że tego nie rozumiem. Ze mną nie byłoby inaczej. Noszę twoją „Matkę Niedźwiedzicę”, myślę o niej, zastrzelonej przez Jamesa, i zastanawiam się, co bym zrobiła, gdyby kiedykolwiek cokolwiek oddaliło mnie od dziecka.

— Ja straciłam dwoje! Dwoje!

— Spokojnie, Daisy. — Nie wiedząc, o co chodzi, widząc tylko rozpacz siostry, Hathaway próbowała odebrać jej słuchawkę.

— Mój Boże. — Daisy drżała na całym ciele.

— Rozumiem, kochanie — pocieszała ją Louisa. — Och, jak dobrze to rozumiem.

— Dwoje!

— Dlatego... — zaczęła Louisa, ale Daisy już jej nie słuchała. Myślała o dwójce swych dzieci. Kołysała je do snu, każde na jednym ręku. Jake zasypiał później, gaworzył wpatrzony w oczy matki, podczas gdy jego siostra dawno już spała, przytulona do jej piersi.

— Co powiedziałaś? „Dlatego...”? Nie rozumiem.

— Dlatego musisz przyjechać na ranczo.

W sercu Daisy pękła jakaś tama i nagle nie czuła już gniewu, spłynął jak rzeka uchodząca do morza. Pozostało tylko zmęczenie i jakaś bezbrzeżna pustka. Wspomnienie dzieci sprawiło, że bolały ją piersi i ramiona. Hathaway masowała jej skronie, ale w tej chwili ważne było tylko to, co miała do powiedzenia Louisa.

— Muszę? Dlaczego?

— Bo tu jest twoje miejsce. Może nie na zawsze, ale teraz — tak. To na ranczu urodziłaś dzieci. To pierwszy dom, który pamięta twoja córka. Przyciąga ją tu jakaś siła, jakaś potężna siła. Nie wiem, co to jest i skąd się wzięło, ale moim zdaniem Sage nie zatrzyma się — i nie pozwoli się zatrzymać — póki tu nie dotrze.

— Ale po drodze czyha na nią tyle niebezpieczeństw...

— Wiem, kochanie. — Głos Louisy był ciepły, pewny. — Nic jej nie będzie. Jest silną kobietą, jak jej matka. Do tej pory świat też nie był dla niej przyjazny, a popatrz, jak świetnie sobie radziła.

— Chcę tylko, żeby wróciła do domu.

— Wiem. I w końcu wróci. Ale najpierw przyjedzie tutaj, a ty powinnaś już na nią czekać.

— Nie zniosę pobytu na ranczu!

— Moim zdaniem nie ma to akurat wielkiego znaczenia.

Przecież mówimy o Sage, prawda?

— A niby w czym jej pomogę, przyjeżdżając do was?

— Pokażesz jej, że jest tego warta.

— Warta? Czego warta?

— Tego, byście z Jamesem zapomnieli dla niej o tym, co was różni. Musicie postawić ją na pierwszym miejscu. Kiedy przejdzie przez bramę rancza, oboje musicie powitać ją z szeroko otwartymi ramionami. Jest przecież młodą dziewczyną, zmagającą się z wielkimi problemami. Potrzebuje rodziców, obojga rodziców.

— Jest w ciąży — powiedziała Daisy. Nie potrafiła zapamiętać nad tymi słowami, podobnie jak nad łzami. Pragnęła zachować sekret, strzec prywatności córki przynajmniej do chwili, kiedy będą miały okazję pogadać, zdecydować, co powinna zrobić, ale Louisa przemawiała tak pewnie, tak ciepło. Jak matka. Przez chwilę miała nawet wrażenie, że rozmawia z matką.

— No, tak. Tego się właśnie spodziewałam. Tak szybko podjęła decyzję i okoliczności były takie dramatyczne. Zrobiła dokładnie to co ja kiedyś.

— Ty? Ale co...?

— Co zrobiłam? Młodo zaszłam w ciążę.

— Młodo?

— Bardzo. Mniej więcej w wieku Sage. Miałam siedemnaście lat.

— Nie wiedziałam...

— Ojciec zmarł kilka lat wcześniej. Nie twierdzą, że przez to zaszłam w ciążę, ale z pewnością miało to jakiś wpływ na sytuację. Tęskniłam za nim tak strasznie, tak bardzo pragnęłam jego miłości, że uciekłam z pierwszym chłopcem, który mi się trafił. Potrzebowałam miłości w sercu; mam nadzieję, że rozumiesz, o czym mówię.

— Ale przecież Ruthie urodziłaś, będąc mężatką! — Daisy pamiętała opowieść o Earlu i o tym, jak zmarł zaraz po narodzinach dziecka.

— W każdym razie tak mówiłam ludziom.

— Twierdziłaś, że Earl nie żyje i...

— Bo w moim sercu nie żył. Zabiłam go w sercu, kiedy okazało się, że się ze mną nie ożeni i nie da nazwiska dziecku. Kiedy zdałam sobie sprawę, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Jeśli o mnie chodzi, facet jest martwy jak dinozaury.

— Ale...

— Słuchaj, kłamstwo o Earlu nie ma nic wspólnego z niczym. Po prostu chroniłam Ruthie. Chodzi mi tylko o to, że zaszłam w ciążę, mając siedemnaście lat, i jedyne, czego pragnęłam, to mieć dom. Tata nie żył. Mama wyszła za nafciarza z Cheyenne, ale ich dom nie był moim domem. Potrzebowałam swojego, własnego miejsca na świecie.

Ojciec Louisy nie żył, ojciec Sage żył i córka tęskniła za nim tak bardzo, że w sypialni zrobiła mu coś w rodzaju ołtarza. Daisy zamknęła oczy. Zdjęcie Jamesa jej córka powiesiła na jelenich rogach.

— Ranczo. Jej pierwszy dom.

— Więcej. Jedyne dom, w którym byliście rodziną.

— Rodzina...

— Ty i Sage, tata, brat.

Zabytkowy zegar stojący w rogu pracowni wybił godzinę. Ta rozmowa telefoniczna trwała długo, być może za długo. Daisy potrząsnęła głową. Louisa mówiła do rzeczy, ale... wrócić na ranczo? Spojrzała na swe najnowsze dzieło, „Samotną Dziewczynę”. Włożyła w nie miłość, którą nosiła w sercu... i nagle zdała sobie sprawę, dlaczego wybrała właśnie ten tytuł.

Louisa wypowiedziała wielką, ukrytą prawdę. Sage chciała przede wszystkim mieć pełną rodzinę. Niegdyś był przy niej brat bliźniak, był kochający ojciec, kochający dziadek, była kochająca... babcia. Przenosząc się na wschód, matka zabrała jej to, co dziewczyna kochała najmocniej. Jak straszne musiało się jej to wydawać! Pograżona w bólu Daisy, starając się przeżyć, podję-

ła szereg egoistycznych decyzji. Chroniła jedyne żyjące dziecko przed losem zmarłego... pozbawiając je ojca.

— Dziękuję — powiedziała z wysiłkiem. — Dziękuję, że byłaś wobec mnie uczciwa. Pomyślę o tym. Naprawdę.

— Tylko o to cię proszę.

— Słuchaj, proszę, niech to pozostanie między nami. Nie mów Jamesowi, że Sage jest w ciąży. Dobrze?

— Nigdy bym jej tego nie zrobiła.

Daisy powoli odwiesiła słuchawkę. Spojrzała na siostrę i nagle zapomniała o ranczu, które miała przed oczami jeszcze przed chwilą. Przecież była w domu, swoim i córki. Nie musi ruszać się z Pumpkin Lane, może czekać, aż policja odnajdzie jej dziecko.

— Louisa powiedziała mi, że powinnam być teraz w Wyoming — powiedziała, spodziewając się, że siostra będzie się śmiać albo może potrząśnie głową z niedowierzaniem.

Tymczasem Hathaway milczała. Położyła rękę na jej ramieniu, przechyliła głowę, jakby chciała usłyszeć coś więcej. Włożyła dziś czerwoną kowbojską koszulę, na szyi miała naszyjnik z turkusów, w uszach srebrne kolczyki, na przegubie ręki bransoletkę Siuksów — wszystko to można było kupić w jej sklepie „Rodeo Kowbojki”.

— Jej zdaniem, Sage tęskni do ojca, i w tym rzecz.

— W tym...?

— Chodzi o jej ciążę, ucieczkę z domu i w ogóle.

— Tęsknota za ojcem to nie byle co. Ja nadal tęsknię za tatą, choć minęło tyle czasu. Pamiętam jego uśmiech, poczucie humoru, książki, które nam czytał...

— Tata... — Daisy zawahała się. Ich ojciec umarł na atak serca. Nie zapomniała jego serdecznego śmiechu i tego, jak uważnie, powoli czytał książki, zakładając przedtem okulary na swój arystokratyczny, prosty nos. Pamiętała zapach biblioteki: skóry, pasty do drewna, kwiatów, które matka stawiała na jego biurku. Tak, brakowało jej go i czując łzy napływające do oczu, Daisy pojęła część sekretu, jakim była dla niej ucieczka córki.

— Nigdy nie wątpiłam, że Sage kocha Jamesa — powiedziała cicho, ważąc słowa. — I nie wątpię, że chce się z nim zobaczyć.



Problem w tym, że nie wiem, po co miałabym tam pojechać. Tego właśnie nie potrafię pojąć.

— Chodzi o ciebie. — Spojrzenie Hathaway pełne było ciepła i miłości.

— O mnie?

Siostra ścisnęła jej dłoń.

— Przekonasz się. Moim zdaniem, Louisa ma rację.

— Ale o co jej chodzi?

— O to, żebyś przywitała Sage. Przecież wiesz, że próbuje dotrzeć na ranczo. Ma swoje powody, żeby wrócić do domu. Ty też.

— Ja? Nie znam żadnych takich powodów i w ogóle nie rozumiem, o czym mówisz. Urodziłam się w Connecticut. Bardzo mi się tu podoba. Mam ciebie...

— Będę z tobą, dokądkolwiek pojedziesz — odpowiedziała Hathaway. — Po tylu latach nie masz chyba co do tego żadnych wątpliwości. Żyjesz w moim sercu, a ja w twoim.

— Nie chcę jechać na ranczo. — Jej własne słowa wracały do niej jak echo z górskiego kanionu.

— Ale moim zdaniem i tak pojedziesz. — Hath uścisnęła jej dłoń, uśmiechając się promiennie.

Jakie to szczęście mieć siostrę — pomyślała Daisy. Zwłaszcza starszą siostrę i zwłaszcza taką jak ta.

— Doprawdy? — spytała głośno.

— Tak. Naprawdę tak myślę.

— Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego.

— Ponieważ takie jest twoje przeznaczenie. Ponieważ kochasz Zachód znacznie bardziej, niż ci się wydaje. Sądzisz, że masz we krwi Nową Anglię, ale tak naprawdę jesteś kowbojką, do której nie umywałyby się sama Annie Oakley\*<sup>2</sup>.

— Skąd wiesz?

— Ponieważ jestem twoją starszą siostrą. — Hathaway uśmiechnęła się wesoło i pocałowała Daisy w czubek głowy. — Wiem wszystko.

---

<sup>2</sup> \* Annie Oakley — właściwie: Phoebe Anne Oakley Mozee (1860-1926), bohaterka opowieści z Dzikiego Zachodu, słynąca z celnego strzału.

Jedenaście godzin po opuszczeniu pociągu Sage zatrzymała się, żeby sprawdzić mapę. Była zmęczona, uznała, że odpoczynek dobrze jej zrobi. Odszukała w plecaku specjalny zestaw podróży, który przygotowała sobie przed opuszczeniem domu, a który zawierał: latarkę, zapalki, zdjęcie ojca i rancza oraz, oczywiście, mapę.

Rozłożyła atlas drogowy Rand-McNally, który kupiła przed wieloma laty. Przez długi czas wisiał na ścianie jej pokoju — jedna kolorowa pineska wbita była w punkt w Connecticut, druga w punkt w Wyoming. Wielokrotnie studiowała drogę między tymi dwoma punktami.

Wtedy marzyła, a teraz marzenie stało się rzeczywistością. Udało się jej dotrzeć do Iowy. Na szczęście szosy były tu proste i wiedziała, że dopóki kieruje się w stronę zachodzącego słońca, nie zabłądzi. Jechała jednak wiejskimi drogami ciągnącymi się wzdłuż pól, bo na otwartej przestrzeni czuła się zagrożona. Pomyślała o skałach, wzgórzach i kanionach, o dębach i sosnach — krajobrazie domu, gdzie kryjówkę można było znaleźć praktycznie wszędzie.

Zdawała sobie oczywiście sprawę, że omal jej nie złapano i nie wysłano do domu; uratowała się właściwie tylko dzięki temu, że miała szczęście. W jakiś sposób żałowała nawet, że jej nie schwytano. Pedalowała równo, myśląc o Benie i zastanawiając się, gdzie teraz jest. Doskonale pamiętała, jak załamał mu się głos, gdy wyznał jej, że pragnie powrócić do Silver Bay. Wspomnienie to spowodowało, że aż się skuliła, czując samotność i wstyd tak wielki, jakiego nie czuła nigdy przedtem. Teraz bowiem Sage wiedziała już, że prędzej czy później Ben i tak by ją porzucił. Wyobraziła sobie samą siebie jako samotną matkę z dzieckiem. Czy władze zawiadomiły już matkę Bena o odnalezieniu go, czy wsadziły go w samolot do domu? A może został aresztowany? Mijała po drodze kolejne strachy na wróble i przy każdym wypowiadała życzenie: „Niech nic mu się nie stanie”. Ból, który czuła, był przejmujący, piekący, jakby przed chwilą zdarła sobie do żywego skórę z kolana. Miała wrażenie, że byli ca-

łością, że całość tę rozerwano siłą, i jeszcze nie do końca wierzyła w rozstanie.

A przecież wiedziała, że Ben pragnął rozstania. To tylko pogarszało sytuację. Pamiętała chwilę, w której zorientowała się, że marzył o powrocie: przytulił ją wtedy, w pociągu, ale było już inaczej niż zawsze i zupełnie inaczej niż w ich magicznym łożu. Tulił ją, owszem, ale miała wrażenie, że wolałby ją raczej odepchnąć. Nie musiał nawet nic mówić.

Jechała wzdłuż pól kukurydzy — zebranej już, pozostało po niej trzydziestocentymetrowej wysokości rżysko — i nagle poczuła, jak burczy jej w żołądku. Kilka kilometrów wcześniej znalazła parę kaczanów i zjadła suche nasiona, udając przed samą sobą, że to po prostu surowy popcorn. Patrzyła na niskie chmury przewiewane po nieskończone wielkim niebie i próbowała dodać sobie otuchy, powtarzając dziecku, że wkrótce będą na miejscu.

„Na miejscu”. Określenie to fascynuje małe dzieci. Pamiętała, jak mama powtarzała jej przy różnych okazjach: „Wkrótce będziemy na miejscu”. Oczywiście nie chodziło o to, co powiedziała matka, lecz co usłyszało dziecko. Od dnia, w którym skończyła cztery lata, Sage miała nadzieję, że owym miejscem jest ranczo. Kiedy jechały na przykład na pocztę albo do zoo, na nabrzeże lub z wizytą do ciotki Hathaway i mama mówiła: „Zaraz będziemy na miejscu”, coś przeskakiwało jej w głowie i oczekiwała — a przynajmniej taką miała nadzieję — że miejscem tym jest ranczo.

Na miejscu — myślała teraz. Na miejscu.

Minęła ją półciężarówka; dostrzegła, że kierowca spogląda we wsteczne lusterko. Rozbłysły światła stopu i samochód zwolnił. Sage poczuła nagły niepokój. Co ma zrobić, jeśli zacznie się cofać? Była sama pośród obcej, otwartej przestrzeni, no i doskonale zdawała sobie sprawę, jak niebezpieczni są nieznajomi oferujący dziewczynom podwiezienie. Jednocześnie czuła potworne zmęczenie, wkrótce miał zapaść zmrok, nie wiedziała, gdzie będzie spała tej nocy. I w dodatku zanosilo się na deszcz.

Czerwone światełka zgasły nagle. Półciężarówka przyspieszyła i wkrótce znikła jej z oczu.

Wiał wiatr, sypiąc jej pyłem w oczy. Widziała stojące na polach traktory, na żółtych, wielkich jak oczy kołach, przyglądające się jej, póki ich nie minęła. Przywodziły na myśl polujące sowy i Sage poczuła nagle zimno wzdłuż kręgosłupa. Sowy symbolizowały najgorszy koszmar jej dzieciństwa — sen o sowie rzucającej się na Jake'a, unoszącej go do dziupli, rozdzierającej niczym wieiórkę.

— Już prawie jesteśmy na miejscu — powiedziała do dziecka. Niech wie, że są bezpieczni, że wkrótce pójdą spać. — Obiecuję.

Na tej drodze nie było zakrętów, nie było wzgórz. Przed sobą widziała dwa domy. Przy obu stały budynki gospodarcze. Koło jednego z nich, oparty o latarnię, stał trójkołowy rowerek. Podwórko otaczał porządnie przystrzyżony żywopłot. Rozpięta na maszcie stojącym wśród kępy chryzantem amerykańska flaga powiewała na wietrze. Ciotka Hathaway uwielbiała flagę, zawsze rozpiniała ją nad białym gankiem swojego sklepu.

Oczywiście na ranczu też była flaga. Przez te wszystkie lata nie pamiętała o niej — przypomniwała sobie dopiero w tej chwili, jak dziadek wziął ją na barana, a Jake wciągał flagę na maszt. Zatrzymała rower, wzięła głęboki oddech. Może wejdzie, zapuka do drzwi, poprosi o nocleg?

Nie. Natychmiast zawiadomią policję.

Sage podjechała więc do stajni, obserwując przy tym dokładnie okna domu, upewniając się, czy nikt jej nie widzi. Nadchodziła noc, niebo było już ciemne. Na brązowe podwórko padały delikatne cienie. Otwierając ciężkie drzwi stodoły, Sage pomyślała o znajomych cieniach domu: sosnach, pergoli oplecionej winnym gronem. Od czasu gdy zaczęła widywać się z Benem, często zdarzało się jej wślizgiwać do domu nocą, ale nigdy nie umiała docenić tego cudownego poczucia bezpieczeństwa, jakie daje świadomość, że matka jest tuż obok, w sąsiednim pokoju.

A teraz, w Iowie, niczym przestępczyni kryła się w stajni należącej do całkowicie obcych jej ludzi, zmarznięta, nieszczęśliwa, samotna. Oparła rower o rdzewiejący traktor, rozejrzała się dookoła. Przez szpary w deskach ścian przenikały ostatnie promienie gasnącego dnia.

Zarżał koń i Sage aż podskoczyła ze strachu.

Był to kucyk, na jakim zwykle jeżdżą dzieci. Mały, włochaty, podrzucał łbem, kiedy się do niego zbliżyła. Na jednej z półek zobaczyła stos jabłek i marchewki. Jadła żarłocznie. Kucyk ploszył się, więc dała mu jabłko. Zmordowana do ostatnich granic, bardzo pragnęła położyć się w stajni, poczuć ciepło zwierzęcia, przytulić brzuch do jego grzbietu. Dała mu drugie jabłko, z nadzieją, że zostaną przyjaciółmi, i wtedy konik wierzgnął energicznie. Uderzył kopytem w s'ciankę z desek, rozległ się głośny huk. Sage odskoczyła, w oczach zakręciły się jej łzy. Poczowała się odrzucona, nie pragnął jej przy sobie nawet mały kosmaty kuc. Przyglądał się jej ze stulonymi uszami; wiedziała, że nie jest to dobry znak. Z końmi obeznana była od dziecka, ojciec zabierał ją na przejażdżki codziennie, oczywiście przed czwartym rokiem życia, pozwalał jej siadać w siodle, trzymać wodze. Twierdził, że miała talent do koni. Te jego słowa doskonale zapamiętała.

Pod czujnym spojrzeniem kuczka wspięła się na sásiek. Było tu ciemniej i cieplej niż na dole, jakby siano wydzielalo ciepło. Zbyt zmęczona, by szukać jedzenia, wpełzła w największą kupkę i przykryła się sianem jak kocem. Skuliła się, podciągając kolana pod brodę, dłońmi objęła brzuch.

— Jesteśmy bezpieczni — szepnęła dziecku. — Nie dotarliśmy jeszcze na miejsce, ale dziś jesteśmy bezpieczni.

Usłyszała ryk przejeżdżającej obok domu ciężarówka. Odezwwał się jakiś ptak. Gdzieś, wysoko, przeleciał odrzutowiec; przez chwilę zastanawiała się, czy leci na wschód czy na zachód. Wyobraziła sobie twarz ojca, a potem twarz matki. Miała wrażenie, że dziecko w jej łonie uspokoiło się, jakby zasypiało. Było już zupełnie ciemno. Być może nie byli jeszcze „na miejscu”, ale przecież ta stodoła to też jakieś miejsce.

Sage zasnęła.

David Smith kochał samochód, ponieważ dzięki samochodowi mógł odjechać. Przyspieszył. Zmierzał na wschód. Jego samochód był bardzo stary, przerdzewiały na wylot, a chromowane listwy odpadły z karoserii już dawno. Amortyzatory zdążyły

przebić tapicerkę, a biała pianka, którą wypchane były siedzenia, leżała na podłodze. Samochód pachniał wilgotną sierścią.

I cały wypełniony był zwierzętami. Oczy miały szeroko otwarte, czujne mimo nocy. Błyszczały w świetle reflektorów mijających ich samochodów — małe kropki żółtego światła.

Przejechał przez Black Hills w Wyoming, zbliżał się do granicy Nebraski. Zawahał się, otworzył okno, żeby wsłuchać się w wiatr. Sosny panderosy rosły tu gęsto, ich gałęzie ocierały się o siebie, mówiły mu, gdzie jechać. „Skręć w lewo”, „wjedź na autostradę”, „pospiesz się” — ich instrukcje były bardzo dokładne.

To natura podpowiadała mu, co powinien robić. Słońce, księżyc, gwiazdy, wiatr — to one go uczyły, tak jak innych uczą matki. Otrzymywał sygnały, których nie rozumiał, stosował się do nich jednak, nie zadając pytań, a sygnały te kierowały go przede wszystkim do zwierząt, do stworzeń potrzebujących pomocy.

Jeden z psów szczeknął. Czas na spacer.

— Spacer? — spytał.

Dwa psy pisnęły w odpowiedzi.

David zerknął we wsteczne lusterko. Zbliżała się do nich wielka ciężarówka. Zjechał na skraj drogi, by ją przepuścić, po czym otworzył drzwi bagażnika i wypuścił psy. Wpadły między drzewa, ale nie manifestowały radości właściwej psom na spacerze. Załatwiały się blisko, nie spuszczając oczu z pana.

Kiedy skończyły, David zagwizdał, nisko i cicho, jak sowa polująca wśród drzew. Psy posłusznie pomaszerowały do samochodu. Głowy miały zwieszane, jeden z nich nie wypuszczał z zębów pluszowej zabawki.

— Wchodź, Petal — powiedział i klepnął go lekko. — Dobra suka.

Petal była pierwszym psem, którego uratował, i kochał ją najmocniej ze wszystkich stworzeń na ziemi. Biało-czarno-brązowa jak pitbull, w masywnych szczękach trzymała zabawkę, dokumentnie zaślinioną. Dostała ją od niego, jego własną przytulankę z zapomnianego już dzieciństwa; dzięki niej czuła się bezpiecznie.

Psy siedziały już w samochodzie. David otworzył samochodową skrytkę. Szkołę rzucił bardzo dawno temu, jeśli w ogóle na-



prawdę do niej chodził. Nigdy nic dla niego nie znaczyła, liczyły się tylko podróże. Natura uczyła lepiej niż jakikolwiek nauczyciel. W tej chwili rządziła nim tak stanowczo, że aż trudno mu było oddychać.

W Wyoming trzymało go głównie jego zajęcie — ratowanie zwierząt. Nie brakowało tu stodół, w których gnieździły się zdziczałe koty, nie brakowało hodowli, prowadzonych przez okrutnych właścicieli. W tej chwili jednak coś go ciągnęło do Nebraski. Nigdy jeszcze nie czuł takiego przymusu. Oczy mu łzawiły, usta miał suche.

Ktoś go potrzebował. Szperał w schowku i wreszcie znalazł zestaw, który zawsze woził ze sobą; igły, pióro z cienką stalówką, atrament. Igły nie były mu w tej chwili potrzebne. Umoczył pióro w atramencie, strząsnął kilka kropel na brudną podłogę samochodu. Odczekał, aż stalówka trochę wyschnie, i poprawił wsteczne lusterko. Było ciemno, ale jemu wystarczało światło księżyca, przeświecające przez gałęzie sosen. Bardzo uważnie wymalował kropkę na lewym policzku, a następnie drugą — na prawym, po czym obwiódł je kołami. Znaki te miały wielkie znaczenie, choć nie wiedział, skąd wziął się pomysł na taką właśnie symbolikę.

Były to symbole obrony i pomocy. David wiedział, że czeka go coś wielkiego. Ranny pies, pozbawione opieki kocięta, sowa ze złamanym skrzydłem; nie wiedział co, musi poczekać, aż dotrze na miejsce.

Ruszył przez Back Hill w stronę Nebraski, wiedząc, że jedzie na spotkanie niebezpieczeństwa, że to, co go czeka, jest znacznie większe i bardziej znaczące niż wszystko, co poznał do tej pory.

Dalton Tucker umiał przewidywać pogodę. Deszcz rzeczywiście spadł, a kiedy już spadł, było tak, jakby w niebie runęła tama. Strugi srebrzystego deszczu zasłoniły góry Wind River, wypełniły jeziora i koryta strumieni. Bizony, łosie, jelenie i antylopy piły w jednym szeregu z bydłem. Woda przelewała się przez krawędzie skalnych szczelin, armie grzechotników uciekały wyżej. Pył zmienił się w błoto, na którym trudno było utrzymać równowagę.

James spędzał bydło z letnich pastwisk wysoko w górach. Na głowie miał kapelusz, na nogach ochraniacze, włożył też podgumowany płaszcz opadający mu aż na buty, wokół szyi obwiązał chustę, ale nic to nie pomogło. Był przemoczony do suchej nitki. Rondo kapelusza działało jak rynna, strumienie wody spływały mu poniżej pasa. Ale miał przynajmniej zajęcie, choć na chwilę uwolnił się od jednej prześladowującej go myśli: jego córka znikła sześć dni temu.

Cielęta ślizgały się i przewracały w błocie w szaleńczej pogoni za matkami. Młodsze piszczwały rozpaczliwie, matki przyzywały je głośnym muczeniem. James Tucker i jego ludzie pracowali przez sześć godzin bez przerwy; podczas spędu rodziny często się rozdzielały. Cielęta najchętniej pozostałyby z matkami do końca życia, gdyby tylko im na to pozwolić, i korzystałyby z ich mleka i ich ochrony.

James troszczył się o swoje stado i nie mógł znieść myśli, że może cierpieć, ale cierpienie jest przecież nieodłączną częścią procesu nauki. Także cielęta musiały się nauczyć, jak samodziel-

nie zdobywać pożywienie, jak dotrzeć do wody. Każda sztuka miała swą wymierną wartość i dni takie jak ten przypominały mu, że jest hodowcą bydła, a nie weterynarzem. Były w pracy ranczera rzeczy, których nienawidził, i to była właśnie jedna z nich.

— Uważaj! — zawołał Paul March, goniąc dwie sztuki uciekające ze stada. — Jeden utkwiał, o, tam!

James obejrzał się przez ramię. Deszcz wyłobił w ziemi pastwiska liczne dziury wypełnione błotem i jedno z cieląt złapało się w tę pułapkę. Podjechał do niego natychmiast. Zwierzę zapadło się po brzuch, patrzyło na nich oczami dziecka zagubionego w hipermarkecie — bezradnymi i przerażonymi. Nie wolno mi czuć! — pomyślał. Zrzucił mu lasso na szyję, próbując ocenić sytuację.

— Ugrzązł na dobre — stwierdził Paul, podjeżdżając bliżej.

— Wydostaniemy go. — James owinął linkę na łąku, uderzył konia piętami. Cieleń ani drgnęło.

— Kiedy tu pada, to już pada.

— Dziś nikt nie cierpi z powodu pragnienia. — Koń mocniej zaparł się kopytami w rozmiękłą ziemię i cielak zaczął powoli wynurzać się z błota. Wyskoczył z niego wreszcie jak korek z butelki, stanął na nogach i natychmiast pobiegł do matki.

— Słyszałem, że Daisy ma przyjechać. To prawda?

— Tak twierdzi Louisa. — Sam dowiedział się o tym dopiero wczoraj.

Zdaje się — pomyślał — że Louisa postanowiła wtrącić swoje trzy grosze. Zadzwoiła do Daisy, by porozmawiać z nią od serca. Podczas ich rozmowy Daisy ani słowem nie wspomniała przecież, że ma zamiar przyjechać. Raczej odwrotnie — mogło się wydawać, że nienawidzi rancza jak niczego na świecie i chce trzymać się od niego jak najdalej.

— No bo... — Paul próbował coś powiedzieć.

James odchrząknął, przerywając mu. Zwężonymi oczami przyglądał się ojcu. Widział go po przeciwnej stronie pastwiska, dumnie wyprężonego w siodle. Deszcz mu nie przeszkadzał, wy-

dawało się nawet, iż nie zdaje sobie sprawy z tego, że siedzi na koniu w strugach lejącej się z nieba wody. Powoli kręcił głową, jakby obserwował przesuwany się przed jego oczami świat.

— Sporo czasu minęło od jej ostatniej wizyty. — Paul nie zrozumiał jego intencji.

— Hmmm. Tak... — James nie chciał myśleć o Daisy. Ilekroć ją wspominał, zawsze łączyło się to z jakimiś emocjami. Dawno, dawno temu wiązało się, być może, z nadzieją. Teraz tylko ze strachem.

— Skąd wiesz? — spytał Paula.

— Chłopcy Rydellów rozmawiali o tym wczoraj w barze.

Bratankowie Louisy. Musiała im powiedzieć, rozgłosić wiadomość. Ciekawe, czy dowiedzieli się też o ucieczce Sage. Paul March był zarządcą rancza, dobrym przyjacielem, prawdziwym przyjacielem, ale niby dlaczego o Daisy i Sage ma gadać taki Todd Rydell?

— Nic nie zostało jeszcze ustalone. Może przyjedzie, może nie. Nie sądzę, żeby podjęła decyzję.

— Słuchaj, wiem, że twoja córka uciekła. — Teraz nie było już żadnych wątpliwości, Louisa powiedziała wszystko. — Wiem, że chce tu przyjechać. Musisz się cholernie denerwować.

— „Cholernie” to zbyt łagodne słowo.

— Przyjedzie.

— Pewnie. — James otarł mokrą twarz grzbietem dłoni.

— Jestem pewien, że przyjedzie.

James skinął głową. Przyglądał się krowom i cielętom, które skupiły się w ciasne koło, dla bezpieczeństwa. Pomyślał o cielęciu, którego omal nie pochłonęła ziemia. Mogła przecież pochłoniąć także jego dziecko.

— Człowieku, rozmawiaj ze mną, dobrze? Ja tam byłem, pamiętaj.

— Tam?

— Byłem z tobą, kiedy odszedł Jake.

— Odszedł... — Słowo to, nie wiadomo dlaczego, skojarzyło mu się z Daisy. Ciekawe, co powiedziałyby, gdyby w stosunku do niej użył tego słowa, w takim sensie, w jakim Paul powiedział:

„Jake odszedł”. Jakie to łagodne słowo na określenie przyczyny, dla której rozpadł się cały świat.

— Zaczynasz chyba tracić zmysły. Dlaczego nic nie powie-  
działeś?

James spojrział Paulowi prosto w jasnobrązowe oczy, oczy ko-  
loru ziemi. Zarządca był wysokim potężnie zbudowanym męż-  
czyzną z pierwszymi oznakami łysienia. Obaj dorastali właśnie  
tu, na ranchu DR; ojciec Paula był nadzorcą u Daltona, a dziadek

— u ojca Daltona, Asy. Razem chodzili do szkoły: on, Paul i  
jego

rodzeństwo — siostra June i brat Luke. W barze w Lander razem  
wypili pierwsze piwo. Razem grali w drużynie Małej Ligi, razem  
łowili na muchę w potoku Torero. Byli świadkami na swoich we-  
selach. Paul z żoną często opiekowali się bliźniakami. James był  
jedynakiem, uważał go za najbliższego z przyjaciół... jeśli w ogóle  
miał przyjaciół. A jednak do głowy by mu nie przyszło zwierzyć  
się Marchom z ucieczki Sage i z zamiarów Daisy.

— Nie było nic do powiedzenia — powiedział po dłuższej  
chwili.

— No, nie wiem. — Paul potrząsnął głową. — Wygląda mi na  
to, że powinieneś zrzucić z serca spory ciężar.

— Serce mi nie dolega.

— Skoro tak twierdzisz... — Oczy Paula zabłyśły, wydawało  
się, że coś jeszcze powie, ale nie, zawrócił konia w miejscu i od-  
jechał.

„Niełatwo być twoim przyjacielem”. Daisy nieraz powtarzała  
mu te słowa. I nie chodziło o to, żeby James nie umiał dawać. To  
przychodziło mu z łatwością. Potrafił godzinami siedzieć przy og-  
nisku, słuchając, jak jego ludzie skarżą się na żonę, na dzieci, na  
długi, na zerwany przez wiatr dach domu. Nie potrafił natomiast  
przyjmować dowodów sympatii. Nie wiedział, dlaczego tak się  
dzieje, ale miłość, przyjaźń, czułość — jakkolwiek by to nazwać

— żenowały go tak, że miał ochotę zapaść się pod ziemię.

— Pilnuj własnego nosa — powiedział półgłosem, kiedy był  
już pewien, że Paul go nie usłyszy. I natychmiast uczył ból ser-  
ca, dobrze mu znany, bo powtarzający się codziennie, a nawet  
wiele razy dziennie. Pojawiał się, ilekroć zdarzyło mu się po

myśleć o dzieciach i Daisy. „Zrzucić ciężar z piersi” — powiedział Paul. Może to i dobry pomysł, tylko gdzie ma ten ciężar zrzucić?

Jego koń nagle stanął dęba. Jeden z grzechotników nie posłuchał głosu natury, nie znalazł sobie kryjówki, leżał zwinięty na środku ścieżki. Ogon mu drgał, paszczę miał otwartą. Był gotów do ataku.

— Ty cholero!

Koń wspiął się znowu, zarżał. James ścisnął mu boki łydkami, pchnął o krok. Przednie kopyta opadły wprost na głowę węża. Odcięły ją od ciała, które wyprostowało się i zadrżało. Klacz znów stanęła dęba, znów uderzyła kopytami, aż zatrzęsła się ziemia. Dbam o to, co moje — pomyślał James. Zabijam węża, który mógłby zabić konia.

Był taki czas, kiedy pragnął zabić każdego grzechotnika w górach Wind River, zastrzelić każdego niedźwiedzia, osuszyć każdy głęboki zbiornik wodny, czyli zlikwidować wszystkie zagrożenia dla rodziny. Po zniknięciu Jake'a przez kilka miesięcy nie spał nocami, myśląc tylko o tym, co jeszcze może mu się zdarzyć. Daisy obwiniała go o utratę syna. Mógł przynajmniej próbować zniszczyć wszystkie drapieżniki.

Właśnie zniszczył jednego grzechotnika.

Może Daisy przyjedzie na zachód?

Daisy Tucker. Wielkie oczy, wpatrzone w cuda natury — góry, zwierzęta, wysokie błękitne niebo — i ręce, dzięki którym cuda te ożywały w biżuterii. W tych rękach kryła się magia i miłość. Kiedy objęła go po raz pierwszy, poczuł, że żyje, jego ciało przeszedł jakby prąd elektryczny. Całowała go, sprawiała, że czuł się całością. Pieściła go, a on zaczynał wierzyć w niebo.

Niebo było jej darem dla niego. Przez pięć lat, które przeżyli wspólnie, James zaznał więcej spokoju i rozkoszy, niż kiedykolwiek mogło mu się marzyć. Góry były chmurami, ziemia niekończącym się niebem. James i Daisy żyli ponad królestwem ziemi, poza problemami i cierpieniami, jakie przypadają w udziale ludziom. Nie musieli walczyć o szczęście, o miłość, o dobre małżeństwo. W niebie nie trzeba walczyć o nic.



Nagle usłyszał rozpaczliwy krzyk ojca i jego słowa: „Jestem mokry!”.

— Dalton, hej...

— Cały przemokłem!

Wyrwany z zamyślenia, James rozejrzał się dookoła. Jego ojciec zsiadł z konia pośrodku stada. Próbował wytrzeć się czerwona chustą, stał wśród dezorientowanych, potracających go krów.

— Przecież pada, Dalton — powiedział Paul. — Wszyscy przemokliśmy.

— Dlaczego cały jestem mokry? — Stary zachowywał się tak, jakby go nie słyszał.

Niektórzy młodszy kowboje śmiali się, choć próbowali to ukryć. James odwrócił głowę — nie chciał wiedzieć którzy, nie chciał ich zapamiętać, nienawidzić za to, że kpili z jego ojca. Zwariowany stary kowboj. Żaden z nich nie myślał o tym, że sam będzie kiedyś stary.

Śmiech był coraz głośniejszy i James nie wytrzymał.

— Zamknijcie się, do kurwy nędzy! — krzyknął.

— James...

— Przepraszam...

— Macie ojców? — spytał gniewnie. — Któryś z was ma ojca?

— Szefie, przepraszam...

Ale on już ich nie słuchał. Przecisnął się przez stado. Jego ojciec nie powinien tu być. Wyjechał sam, z własnej woli, już po tym, gdy on i kowboje pojechali do pracy, a teraz usilnie próbował ściągnąć z siebie przemoknięte ubranie; zrzucił płaszcz i właśnie rozpiął koszulę. Do wszystkich trosk Jamesa: Sage, Daisy, doszła jeszcze troska o ojca. Miał ochotę wybuchnąć, nawrzeszczyć na niego za to, że pojawił się tu nieproszony i teraz przeszkadza im w pracy.

— Jezu Chryste, tato! — krzyknął.

— Cały jestem mokry. — Starzec patrzył na niego szeroko otwartymi oczami dziecka.

— Wiem. Przecież pada deszcz. — James zaczerwienił się.

— Mokry... cały mokry...

James pochylił głowę. Miał wrażenie, że słyszy głos syna. Jake powtarzał te słowa za każdym razem, gdy ojciec go kąpał, i mówił je z identyczną nutą żalu i przerażenia w głosie. Patrzył ufnie na swojego tatę, mówiąc: „Jestem mokry... cały mokry...”.

— Nic ci nie będzie. — James powiedział swojemu ojcu te same słowa, które niegdyś powtarzał synowi. Zeskoczył z konia; stali razem wśród stada. Zwierzęta potrącały ich, deptały im kopytami po nogach. — Nie martw się, tato.

— Nie podoba mi się to. — Dalton zdążył ściągnąć z siebie całe ubranie, był nagi.

James podniósł żółty płaszcz przeciwdeszczowy i otulił nim Daltona, chudego i lekkiego niczym ptak, drżącego, o starczej, pomarszczonej twarzy wyrażającej dziecinne przerażenie, James znów pomyślał o Jake'u. Pragnąc wychować go na twardego mężczyznę, początkowo nie zważał na jego krzyki. To Daisy dopomogła mu znaleźć słowa, którymi można go było uspokoić. Użył ich teraz.

— To tylko woda — powiedział, trzymając ojca w ramionach. Zwierzęta napierały na nich, deszcz ani myślał przestać padać.

— Nie ma się czego bać, przecież to tylko woda.

Nie minęło południe, a Daisy zdążyła już zadzwonić do domu Davisów chyba ze dwadzieścia razy. Telefon albo był zajęty, albo zgłaszała się automatyczna sekretarka. Gdy nieznany był jeszcze los obojga ich dzieci, Paulina podnosiła słuchawkę i natychmiast zaczynała krzyczeć, że zabije Sage, że zorientowała się, jaka z niej zła dziewczyna, już wtedy, kiedy Ben zaprosił ją do domu po raz pierwszy. Daisy odkładała wówczas słuchawkę na widełki.

A teraz to ona dzwoniła. Rodzice muszą przecież pozostawać w kontakcie, informować się nawzajem o najnowszych wydarzeniach. Ben wracał, więc jego matka zrobiła się wyniosła i zimna. Obiecywała zatelefonować, lecz nie dzwoniła. Cóż, jej dziecko było bezpieczne.

Daisy spróbowała jeszcze raz. Nagrywała się na sekretarkę trzykrotnie, prosząc Bena o telefon, gdy tylko zjawi się w domu. Podejrzewała, że Paulina ją oszukała, nie poinformowała syna

o rozmowie, więc dzwoniła do niego raz za razem. Martwiło ją to, linia powinna być wolna, na wypadek gdyby Sage próbowała zadzwonić, ale po prostu musiała wiedzieć, gdzie jest jej córka i co się z nią dzieje. Już miała spróbować ponownie, kiedy usłyszała stukanie do kuchennych drzwi. Otworzyła je ze słuchawką w ręku.

Na progu stał Ben. Miał na sobie kurtkę, w której jego ramiona wydawały się bardzo szerokie. Widać było, że jest speszony, być może nawet przestraszony. Daisy spojrzała na niego ze zdumieniem i powoli odłożyła słuchawkę na widełki.

— Mama powiedziała mi, że pani dzwoniła — powiedział niepewnie chłopak. — Wydawało mi się, że będzie lepiej, jeśli porozmawiamy w cztery oczy, nie przez telefon.

Daisy skinęła głową.

— Wejdź, proszę.

— Pani pewnie wcale nie chciała się ze mną zobaczyć. — Ben miał przekrwione oczy i bladą twarz świadczącą wyraźnie, że się boi. Patrzyła na tego chłopca, starszego o rok od jej córki, i myślała o tym, że to przez niego Sage zaszła w ciążę, że to on pomógł jej uciec z domu. Poczowała napływające do oczu łzy.

— Chciałam się z tobą zobaczyć.

— Bardzo mi przykro...

— Ben, powiedz mi... powiedz mi, gdzie jest Sage?

Chłopak wpatrywał się w podłogę z sosnowych desek, czystą i błyszczącą. Przed wielu laty matka i córka ozdobiły deski na krawędziach ornamentem: białymi stokrotkami i srebrzystymi listkami szałwi\*<sup>3</sup> splecionymi na pnączu dzikiego wina.

— Ben?

— Nie wiem.

— Musisz mi powiedzieć.

— Nie, ja naprawdę nie wiem. Szczerze. Byliśmy razem aż do...

Na blacie kuchennym stał ciemnozielony szklany dzbanek z pękiem żółtych chryzantem. Sage zebrała je przed tygodniem,

---

<sup>3</sup> \* Aluzja do imion bohaterek: Daisy (stokrotka) i Sage (szałwia).

w przeddzień uciezki. Daisy obiecała sobie, że nie wyrzuci ich, póki jej córka nie wróci do domu, lecz teraz jednym ruchem zmiotła dzbanek z blatu. Uderzył w lodówkę, rozpadając się na tysiąc kawałków.

— Nie waż się kłamać! — krzyknęła. — Okłamałeś' policję, okłamałeś matkę, ale niech cię diabli, Ben, nie uda ci się okłamać mnie. — Tłumiąc szloch, spojrzała najpierw na suche kwiaty, leżące na podłodze w kałuży wody, a potem w zdumione oczy wstrząśniętego Bena.

— Powiedz mi — powiedziała cicho, całą siłą woli próbując się opanować. — Masz mi wszystko powiedzieć.

Ben próbował pozbierać co większe kawałki szkła, ale powstrzymała go.

— Przepraszam. Rzadko się denerwuję, no i nie miałam zamiaru cię przestraszyć. Ale muszę wiedzieć. Muszę usłyszeć od ciebie, co się dzieje z Sage.

— Sage... — zaczął Ben, ale usta miał tak suche, że nie mógł mówić.

— Mów — ponagliła go. — Masz mi wszystko powiedzieć.

— Po raz ostatni widziałem ją w Iowa, pani Tucker. Dokładnie tak, jak opowiedziałem policji...

— To było po tym, jak wmawiałeś we wszystkich, że wysiadła w Chicago? Nic z tego nie rozumiem. Nie pojmuję.

— Kazała mi tak powiedzieć.

Daisy czuła, jak mocno wali jej serce. Głos Bena drżał, oczy miał podkrążone, zmęczone.

— Sage kazała ci kłamać policji?

— Tak.

— Dlaczego?

— Potrzebowała czasu na uciezkę...

— Uciezkę od czego? — Po policzkach Daisy pociekły łzy. Czyżby jej dom był aż tak zły? Czy ona okazała się tak straszną matką?

— Uciezkę z pociągu.

— Ale kiedy widziałeś ją po raz ostatni? Co robiła? Co powiedziała?

— Wypychała rower z pociągu. Miała zamiar przejechać przez pole kukurydzy i znaleźć jakąś kryjówkę. Oczywiście policjanci od razu zorientowali się, że kłamie. Przeszukali pola wokół pociągu, ale nie znaleźli jej. Moim zdaniem, najpierw cofnęła się trochę, a potem ruszyła przed siebie. Sage nie chce, aby ją znaleziono, więc, moim zdaniem, nie znajdą jej, póki...

— Póki co? — Z drżeniem serca czekała na odpowiedź.

— Póki nie dojedzie do Wyoming.

Daisy odetchnęła. Wyoming. Poczowała ulgę tak wielką, że aż się zachwiała; teraz wiedziała na pewno. A więc instynkt nie mylił jej: córka jechała do ojca. Daisy wytarła oczy grzbietem dłoni.

— O to jej chodziło? Od początku chciała pojechać do Wyoming?

— Ma nawet mapę z zaznaczoną trasą, bocznymi drogami i tak dalej.

— Wiesz, jakie to drogi? — Zadając to pytanie, patrzyła Benowi prosto w oczy. Musiała wiedzieć, czy jej nie skłamię. I nim zdążył odpowiedzieć, wiedziała, że mówi prawdę.

— Nie mam pojęcia. Nigdy nie widziałem tej mapy.

Daisy zadrżała. Podeszła do telefonu, modliła się w milczeniu, by zadzwonił. Kobiety z Silver Bay uważały, że umie zakłócić miłość w martwą kość, a nie potrafiła utrzymać w domu córki. I nawet nie potrafi sprawić, by córka zadzwoniła, choć tak bardzo się koncentrowała.

— Nie znajdzie jej pani, póki nie dojedzie na miejsce — powtórzył Ben. — Przyszedłem, bo chciałem to pani powiedzieć. Nie mam pojęcia, dlaczego jestem tego taki pewny, ale wiem, że nikt jej nie znajdzie. Postanowiła dojechać do Wyoming, na rancho, i nie mam wątpliwości, że dotrze na miejsce.

— Jest w ciąży?

— Tak.

Daisy jęknęła, nie zdając sobie z tego sprawy. Dłonie zacisnęła w pięści, oczami duszy zobaczyła pudełko na biżuterię i niebieską pałeczkę testu ciążowego. Przecież Ben potwierdził tylko to, co już wiedziała.

— Jak się czuje?

— Ciagle ją mdli.

— A więc to wczesna...

— Szósty miesiąc — powiedział Ben i pod Daisy znów ugięły się nogi.

— Szósty...? — powtórzyła bezmyślnie. Jak to się stało, że nic nie zauważyła? Po sześciu miesiącach ciąża jest przecież wyraźnie widoczna. A nagi brzuch córki oglądała wystarczająco często.

— Wymiotowała od samego początku — dodał Ben i pociągnął nosem. — Tak strasznie mi przykro. Nie chciałem jej zranić...

— Och, Ben... — Daisy chciała znieawidzić tego chłopca co najmniej tak, jak jego matka znieawidziła Sage, ale nie potrafiła. Bo przecież sprawiał wrażenie tak zawstydzonego, tak przygnębionego tym, co stało się z Sage. O jej złym samopoczuciu mówił tak, że nie sposób było podejrzewać go o obojętność.

— Prosiła, żebym z nią został — powiedział i głos mu się załamał. — Nie mogłem. Chcę się uczyć, a nie mieszkać na ranchu w Wyoming.

Przerwał. Słuchała go bardzo uważnie.

— Mama nie chciała, żebym do pani przyszedł. Jest wściekła jak nie wiem co. Wiem, że jej zdaniem Sage powinna była przerwać ciążę.

— A chciała tego? — Ale Daisy знаła oczywiście odpowiedź na to pytanie. Dziwna, wręcz niesamowita była ta rozmowa z Benem Davisem. Sage ma szesnaście lat, powinna grać w piłkę nożną, robić maski z dyni, planować zabawę na Halloween i myśleć o studiach.

— Nie. Jest pewna, że to będzie chłopiec.

Błękitna pałeczka — pomyślała Daisy. To znak.

— Kocham ją — wyznał Ben i głos znów mu zadrzał.

Skinęła głową. Wierzyła w jego słowa, ale co on może wiedzieć o miłości? Sam przecież jest jeszcze dzieckiem, a nawet dorośli nie potrafią wytrwać w miłości, udźwignąć ciężaru wspólnego życia. Cieszyło ją, że nie udało się im wziąć ślubu w tajemnicy. To ona wraz z córką postanowią, co robić dalej. Przyjmie, co los przyniesie, i zadba, by Sage i dziecko mieli dobrą opiekę.



— Co pani teraz robi? — spytał Ben.

— Jadę do Wyoming — zdecydowała Daisy, choć jeszcze przed chwilą uważała, że powinna zostać w domu i czekać na telefon. Mimo rozmowy z Louisa, mimo argumentów Hathaway była pewna, że tu jest jej miejsce. Ale rewelacje Bena, pewność, z jaką powiedział, że Sage dojedzie na ranczo, wiadomość, że w szóstym miesiącu jej córka nadal wymiotuje, zmieniły jej postanowienie. Powinna wyjechać i to natychmiast, bez zwłoki.

— Bardzo mi przykro — powtórzył chłopak.

— Wiem. — Uścisnęła jego dłoń. Była zimna. Przez okno dostrzegła rower.

— Mama nie chciała pożyczyć mi samochodu. — Ben zauważył jej spojrzenie. — Policja zapowiedziała, że mnie aresztuje, ale jakoś nie aresztowała. Uwierzyli chyba, że wcale nie miałem zamiaru jej porywać.

— Ja też ci wierzę.

— Nikt nie byłby w stanie porwać Sage — oznajmił, jakby miał nadzieję, że skłoni ją choćby do uśmiechu. — Jest po prostu niesamowita, bardzo silna, no i doskonale wie, czego chce. Nic jej nie będzie, pani Tucker. Przysięgam. Nie zginie.

Daisy cofnęła rękę. Opuściła wzrok na podłogę, błyszczącą w promieniach popołudniowego październikowego słońca. Podłogę ozdobioną ornamentem splecionych ze sobą białych kwiatów i srebrno-zielonych liści. To ona wpadła na pomysł ozdobienia jej, było to w rok po przeprowadzce z Wyoming. Dała córce do ręki pędzel, pokazała, jak nim poruszać podczas malowania liścia szałwi. Pracowały razem trzy, może nawet cztery dni i przez ten cały czas Sage nie odstępowała jej nawet na krok.

Daisy wspomniała Jake'a — to on był przyczyną ich przeprowadzki na wschód.

Spojrzała Benowi prosto w oczy.

— Każdy może zginąć — powiedziała. — I każdego można porwać.

***Ojcowie i matki, matki i ojcowie. Och, jakże doskonały jest nasz świat. Przytul mnie, a zasnę i spać będę całą noc.***

*Spać będę całą noc, całą noc, całą noc.  
Słodkich snów, śpij mocno, karaluchy pod poduchy...*

Szczęśliwe rodziny. Kiepski żart. Czyścił paznokcie myśliwskim nożem, dłoń mu drgnęła, skaleczył się. Pocięła krew. Wyssał ranę, splunął. Krew nie robiła na nim wrażenia. Przyzwyczał się do niej dawno temu, w końcu mieszkał tu, gdzie mieszkał, wychował się w pobliżu rancza. Kiedy jako dziecko zdierał sobie skórę z kolan, mama zawsze była zbyt zajęta, by uzalić się nad nim, pocałować bolące miejsce.

No więc przyzwyczał się do samodzielnego opatrywania własnych ran. Można powiedzieć, że zawsze wiedział, gdzie znaleźć apteczkę. Sam grzebał pod zlewem w poszukiwaniu wody utlenionej i gazy nawet wtedy, kiedy przeraził się najbardziej, bo rozciął sobie skórę na pupie o zardzewiały gwóźdź. Jezu, spróbujcie opatrzyć sobie ranę w tym miejscu, oglądając się przez ramię i kręcąc w kółko. Mama spała w sąsiednim pokoju. Ojciec? Kto wie, gdzie podziewał się wówczas ojciec?

Kto wie, gdzie w ogóle podziewał się ojciec. „Całą noc...”

„Mój biedny baranku” — powiedziała matka, kiedy zobaczyła pośladek rozorany aż do uda. „Biedny baranku”.

Powinna powiedzieć „biedny cielaczku” — pomyślał. Widział przed sobą olbrzymie, ciągnące się niemal bez końca pastwisko, nakrapiane stadami bydła. Bydło pasło się na ziemi tak rozległej, że aż trudno to sobie wyobrazić, a jednak zbyt małej, by pasło się na niej coś jeszcze. Na przykład owce. Biedne baranki.

Nóż był duży, ostry. Ostrzył go sam, używając tradycyjnej metody: śliny, tłuszczu, kamienia. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Człowiek, który się ukrywa, musi się także nudzić. Jednym ze sposobów walki z nudą jest ciągła troska o ekwipunek. A innym — podsłuchiwanie. Ze swych kryjówek mógł obserwować kowbojów. Znał szlaki, którymi się poruszali, i miejsca, w których zatrzymywali się na odpoczynek. Czasami rozmawiali. Wystarczająco głośno, by słyszał ich rozmowy.

Dziewczyna zmierzała na zachód. Drogą wozów osadników. Tam, na tych ich wzgórzach, znaleziono złoto. Jest trawa dla zwie-

rząt, ziemia pod zasiew, lasy, z których da się wyrąbać bale na piękne domy. Tam spełniają się marzenia; ludzie jechali na zachód właśnie po to, by spełnić marzenia. Szczęśliwe rodziny, same szczęśliwe rodziny. Gdziekolwiek spojrzeć.

Nóż był już ostry, deszcz przestał padać, krowy pasły się spokojnie, a dziewczyna, sama, jechała na zachód. Dziki, Dziki Zachód.

*Słodkich snów, biedny baranku.*

RS

Przez okno lecącego na zachód samolotu Daisy widziała, jak ocean i miasta Wschodu przechodzą w rolniczą równinę Środkowego Zachodu. Widziała toczącą lśniące wody Missisipi, Góry Skaliste, fantastyczne formacje skalne w promieniach zachodzącego słońca.

Przyglądała się ziemi z bólem serca. I ona, i Sage miały ten sam cel. Czy to prawda, że nie były tu od dwunastu lat? „Niech będzie bezpieczna” — powtarzała z czołem przyciśniętym do szyby.

Czuła w piersi ciężar, jakby ktoś przygniół jej serce ciężką dłonią. Oczami wyobraźni widziała córkę jadącą na rowerze, śledzącą wzrokiem smugi kondensacyjne samolotów lecących do Wyoming.

Louisa zaproponowała, że będzie czekać na nią na lotnisku w Riverton, ale Daisy odmówiła. Pragnęła być tak niezależna, jak to tylko możliwe, postanowiła więc wynająć samochód i na własną rękę dojechać na ranczo. Samolot krążył nad lotniskiem, pod niebem, które wydawało się opierać o szczyty gór. Ziemia była czerwona, rdzawobrazowa i fioletowa, kolorowa niczym zachód słońca na wschodzie, piękna dla wszystkich, prawdziwe natchnienie dla artystów. Daisy zamknęła oczy, głęboko poruszona jej widokiem. Obudziła się jakaś część jej duszy, do tej pory głęboko uśpiona.

Niebo jest ogromne — pomyślała. Pamiętała, że w Wyoming otaczało ją właśnie takie ogromne niebo, rozpostarte nad ich ma-

łym domkiem. Wierzyła wówczas, że ona i James znaleźli się w samym środku tego nieba.

— Każdy ma swoje miejsce — powiedziała do Jamesa pewnej zimnej nocy, pod takim właśnie granatowym, nieskończonym niebem, gdy zorza polarna malowała gwiazdy lodem — a to miejsce jest nasze. — Tego dnia miała wrażenie, że potrafi złapać wiatr.

Miała ochotę wyć. Wcale nie pragnęła, by znów uwiodły ją to niebo i ta ziemia.

Sage wkrótce tu przyjedzie — myślała. Nasza wizyta w Wyoming nie potrwa długo. Przed wielu laty Daisy przyjechała na zachód, szukając natchnienia, a znalazła prawdziwą miłość, urodziła dwójkę dzieci. A potem Wyoming wszystko jej zabrał.

Czekając przy stanowisku Hertza, rozglądała się po lotnisku, które wydawało się jej pełne kobiet w ciąży. Zatrzymywała wzrok na każdej, próbowała odgadnąć, który to miesiąc. Zwróciła uwagę na sąsiadkę w kolejce, która stała wpatrzona w sufit, podczas gdy jej mąż rozmawiał z kimś o łowieniu pstrągów.

— Kiedy pani rodzi? — spytała, mając nadzieję, że jej głos brzmi normalnie.

— W końcu grudnia. — Kobieta ubrana była w dzinsy i obszerną kraciatą kurtkę. Daisy oceniła, że jest mniej więcej w jej wieku. Miała kręcone rude włosy, wokół jej ust i nosa widać było delikatne zmarszczki.

— To... siódmy miesiąc, prawda? — Daisy nie potrafiła po prostu wyobrazić sobie córki z takim brzuchem. Czy to z tego powodu Sage kupowała sobie luźne ciuchy? Czy dlatego w lecie nie chciała chodzić na plażę?

— Mniej więcej.

— To pani pierwsze dziecko? — Dlaczego kolejka nie przesuwa się szybciej, jeszcze chwila i zrobię jakieś głupstwo — pomyślała. Nagle przyszła jej ochota, by wyciągnąć rękę, dotknąć brzucha sąsiadki, poczuła wręcz mrowienie w palcach.

— Owszem. W moim wieku, proszę sobie wyobrazić! A pani ma dzieci?

— Bliźniaki — odpowiedziała Daisy, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi. Na szczęście stojący bezpośrednio przed nią mężczyzna dostał już kluczyki i poszedł na parking.

— Dwa naraz! — kobieta roześmiała się. — Mam nadzieję, że wcześniej pani zaczęła.

Daisy uśmiechała się sztucznie uprzejmym uśmiechem. Myślała, że lada chwila oszaleje. Podeszła do stanowiska, położyła na ładzie kwit potwierdzenia rezerwacji.

— Wcześniej — powiedziała.

Podczas gdy pracownik Hertza załatwiał formalności, Daisy dostrzegła kolejną kobietę w ciąży, pchającą dziecienny wózek. Odprowadziła ją wzrokiem. Miała się nad czym zastanawiać: Sage w ciąży, Sage jako młoda mama.

Wzięła mapę samochodową okolicy. Nie była w Wyoming od wielu lat, nie miała zamiaru tracić czasu na błądzenie albo wypytywanie o drogę. Przyjechać i zaraz wyjechać — pomyślała. Wyszła z terminalu na świeże, chłodne powietrze.

Znalazła swego niedużego forda, wrzuciła bagaże do środka i wyjechała z parkingu. Prowadziła, trzymając obie ręce na kierownicy i uważnie przyglądając się drodze. Chciała zachować spokój i koncentrację. Ilekroć podniosła wzrok, widziała wokół siebie góry, pasmo Wind River, majestatyczne i surowe na tle nieba. Natychmiast powracała spojrzeniem na drogę i obiecywała sobie, że już nigdy więcej nie będzie się rozglądać.

Pomiędzy górami i drogą nie było nic oprócz pastwisk, na których pasły się owce i bydło. Pokręcone przez wiatr cedry rosły w równych rzędach na wierzchołkach wzgórz, doliny i zbocza pokrywała srebrna szałwia. Mimo że na dworze było zimno, nie zamknęła okna. Wiatr wypełnił samochód zapachem zachodu: szałwi, ziół, futer, pyłu.

Serce rwało się jej do tej krainy, choć próbowała zdusić w sobie emocje. Powróciły wspomnienia z czasów, kiedy po raz pierwszy przyjechała do Wyoming. Urodzona i wychowana w Nowej Anglii, okazała się zupełnie nieprzygotowana na to, co tu zobaczy. Wszystko ją zdumiewało, budziło zachwyt, tu znalazła natchnienie. Gigantyczne góry, gigantyczne niebo; miała wrażenie, że tu



wszystko jest większe, i wiedziała, że miłość jest tu zbyt głęboka, zbyt zaborcza, zbyt silna, by dziewczyna taka jak ona mogła ją zrozumieć.

Mijała właśnie skalną ścianę, na której ktoś wypisał sprayem jedno słowo: „Sacagawea”. Graffiti a la Wyoming, hołd złożony Indiance z plemienia Szoszonów, pojmanej podczas napadu. Daisy przycisnęła hamulec i zjechała na bok. Wpatrywała się w skałę, w znajome imię. Sacagawea fascynowała ją od momentu, gdy tu przyjechała. Pierwsze naszyjniki wykonane na zachodzie poświęciła jej: rzeźby opisywały odwagę, macierzyńską miłość, życie na łonie natury, podróż w nieznane.

Sacagawea, którą odebrano jej ludowi, która straciła wszystko, co było jej bliskie, wykazała się niezwykłym bohaterstwem. Porwano ją i sprzedano handlarzowi futer. Daisy nie potrafiła wyobrazić sobie niczego obrzydliwszego od zmuszenia kobiety do małżeństwa z kimś nie znanym jej i nie kochanym i do urodzenia mu dziecka.

Ale Sacagawea kochała to dziecko. I ona, i maleńki Baptiste przeżyli liczącą blisko pięć tysięcy kilometrów wędrówkę z wyprawą Lewisa i Clarka. Broniła syna, niezależnie od okoliczności. Ludzie sądzili powszechnie, że Daisy dała córce imię od pięknych szalwi rosnących w Wyoming, i częściowo była to prawda, ale dała je także na cześć Sacagawei, Indianki dzielnej i wytrwałej.

To imię, wypisane na skale, dodało jej odwagi. Pojechała dalej. Teraz rozglądała się już dookoła. Nie da się ignorować gór, przede wszystkim tych gór — powiedziała do siebie. Szczyty Wind River pokryte były wczesnym śniegiem. Przyglądała się fioletowym skałom, brązowym zboczom kanionów. Nie potrafiła oderwać od nich wzroku. Czuła ich tajemniczą magię, wiatr, duchy...

Do wrót rancza DR dotarła o zmroku. Przejechała aleję wysadzaną topolami. Przez opuszczone szyby samochodu słyszała szum strumienia płynącego po głazach i pniach przewróconych drzew.

Z okien wielkiego domu rancza biło ciepłe światło, drewno i kamień błyszcząły w nim niczym klejnoty. Z wielkiego komina

dym unosił się wprost w purpurowe niebo. Konie w korralu przyglądały się jej ciekawie.

Louisa stała w oknie i gdy tylko ją zobaczyła, wyszła na ganek. Wiatr powiewał jej czerwonym szalem. Daisy zatrzymała samochód. Serce podeszło jej do gardła, miała gęsią skórkę, zupełnie jakby bezprawnie wkroczyła na cudzy teren. Powróciła na ranczo po raz pierwszy od czasu, gdy opuściła je z małą Sage, przeniosła się na wschód i teraz, przyglądając się stodołom, padokom i same-mu domowi, nagle poczuła się niesamowicie, jakby odbyła podróż w czasie.

— Witam cię, obcy przybyszu! — Louisa zbiegła po schodach na jej powitanie.

— Cześć, Louiso.

— A więc jednak przyjechałaś.

Daisy skinęła głową. Już miała zamiar powiedzieć coś o lo-cie, drodze, rzucić jakąś nieważną uwagę zaczynającą nieważną rozmowę, kiedy starsza kobieta po prostu chwyciła ją w ramiona. Pachniała dymem palonego drewna i Wind Song. Tulila ją tak, jakby nigdy nie miała puścić. I Daisy przyłgnęła do niej z całej siły.

Jake i Sage — pomyślała. Moje dzieci mieszkały właśnie tu. Kiedy Louisa zrobiła krok w tył, Daisy dostrzegła, że ma na szyi naszyjnik z „Matką Niedźwiedzicą”.

— Są jakieś wiadomości? — spytała. — Od wczesnego po-południa nie miałam kontaktu ze światem. Poprosiłam Hathaway, żeby dzwoniła do was, jeśli Sage się odezwie. Dałam też wasz numer detektyw LaRosie, ona koordynuje poszukiwania...

— Nie było żadnych wiadomości.

Daisy skinęła głową. Nagle poczuła się słabo. Powiew wiatru, wiejącego od stodoły, przyniósł strzępy siana. Osiadały na szalu Louisy, a kiedy otulała się nim dokładniej, dotknęła palcami kości i metalu naszyjnika.

— Włożyłam go dla Sage. — Louisa spojrzała Daisy w oczy.

— Dziękuję.

Na podwórko wjechała grupa kowbojów. Daisy zamarła, spodziewając się zobaczyć Jamesa, ale nie było go pomiędzy nimi.

Rozpoznała za to Paula Marcha, Victora Lansinga i kilku innych starszych pracowników. Patrzyła, jak omijają stodołę i jadą na tylne pastwisko.

— Marchowie i Lansingowie nadal tu pracują? — spytała.

— Oczywiście. James prowadzi ranczo równie dobrze jak jego ojciec, to muszę mu przyznać.

— Jak tam Dalton?

— Jest moim oparciem. Jest, był i będzie.

Daisy skinęła głową, zastanawiając się, co oznaczał krótki błysk bólu w oczach Louisy, która nie zmieniła się nic a nic przez dwanaście lat, a tyle się przecież nie widziały. Włosy nadal miała ciemne i lśniące, skórę gładką i niezmiernie mocny makijaż. Pod szalem ubrana była w czarną aksamitną bluzkę i spódnicę w jaszkrawy wzór. Być może miała dziś wieczorem śpiewać.

— Nie zabraknie nam czasu na rozmowy — powiedziała. — Założę się, że jesteś teraz śmiertelnie zmęczona. Zaprowadzę cię do twojego domku. Zgadzasz się?

— Oczywiście, że tak. — I rzeczywiście, teraz pragnęła przede wszystkim gorącej kąpieli i chwili odpoczynku, dzięki czemu mogłaby przyzwycząić się do myśli, że oto znów tu jest. Ciagle nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że cofnęła się w czasie: w każdej chwili spodziewała się zobaczyć męża jadącego szlakiem, z bliźniakami w siodle.

— Przygotowałam ci ten domek z tyłu, nad rzeką. Pamiętasz go? Miał zielone okiennice.

Serce podeszło jej do gardła.

— Tak, pamiętam.

— No więc, jest gotowy na twoje przyjęcie. Z tymi starymi okiennicami przypominał domek nad brzegiem morza. Jakby stał na klifach Nantucket czy coś takiego. Ale wiesz, ktoś zdjął je do pomalowania i nie założył z powrotem.

Daisy doskonale знаła mały domek. Choć mieszkali tam z Jamesem dość krótko, wiązały się z nim wspomnienia o rzeczach bardzo, bardzo ważnych. Miała ochotę poprosić o inne miejsce, niechby to był nawet strych czy piwnica, mogła spać gdziekolwiek. Zapagnęła nagle wskoczyć do samochodu i pojechać do motelu

w Lander albo ruszyć w drogę, poszukać Sage. Była jednak uprzejma, a Louisa bardzo się starała.

— Nie martw się o okiennice — powiedziała tylko.

— Dobrze. Nie będę się martwiła — odparła Louisa.

Być może sen w tym małym domku po tak długiej przerwie okaże się koszmarem, ale Daisy było gotowa znieść nawet koszmary. Przyjechała tu dla Sage, nie pozwoli, by przeszłość stanęła jej na drodze.

— Czy James...?

— Wie, że przyleciałaś. — Louisa przerwała na chwilę, jakby zbierała odwagę, by powiedzieć coś więcej. — Jeden z ludzi przyjechał po pomoc, ma problemy na wiosennym pastwisku, więc...

— Nie musisz za niego przepraszać. Nie spodziewałam się, że mnie powita.

— Umieściłam cię tak daleko od Jamesa, jak to tylko możliwe. — Louisa objęła Daisy ramieniem. — Wiesz, mieszka na drugim końcu rancza.

— W naszym starym domu...

— Tak. Tam. Wybrałam ten stary domek, żebyście nie wpadali na siebie co chwila. Rozumiem, spotykacie się po latach, ale w tych okolicznościach nie jest to łatwe dla żadnego z was.

— Bardzo ci dziękuję. — Przez krzaki przebiegło jakieś zwierzątko i Daisy drgnęła. Czuła się tu tak niezręcznie, jakby nagle przestała być sobą. Jutro będzie lepiej — pomyślała. Jutro minie to straszne uczucie.

Bo uczucia zawsze mijały, wiedziała o tym z doświadczenia. Nad ich głowami kołował jastrząb, krążąc leniwie ponad zachodzącym słońcem. Podniosła głowę, przyglądała mu się przez długą chwilę. Żałowała, że sama nie może wzlecieć nad ziemię, z wysokości poszukać córki. Czekwała z nadzieją, że Sage przejdzie przez bramę rancza zaraz, dziś, może jutro, ale wkrótce, wkrótce.

Stojąc obok Louisy na ziemi, która była kiedyś jej ziemią, wpatrując się w oświetlone słońcem niebo nad górami Wind River, Daisy czekała z nadzieją na coś, czego nie potrafiła nawet nazwać.

\*

Sage cały czas posuwała się naprzód. Przejechała czterdzieści kilometrów przez niezliczone pola kukurydzy. Iowa wydawała się jej nieskończona. Poprzednią noc przespała w oborze, jedząc zboże i warzywa przeznaczone dla zwierząt. Dwukrotnie doła krowę, czerpiąc z na wpół zapomnianych doświadczeń dzieciństwa; dziadek zabierał czasami ją i Jake'a do obory, dawał im w kubkach ciepłe mleko. Samotna na pustej drodze, nie umiała wyobrazić sobie pożywienia lepszego niż to.

Wjechała do małego miasteczka: trzy sklepy, poczta, kregielnia. Parking był zatłoczony. Nie jadła od świtu, była tak głodna i zmęczona, że nie wierzyła, by zdołała wykonać jeszcze choćby jeden obrót pedałami.

W kregielni były dzieci, świętujące po szkole czyjeś urodziny. Wokół nich stały matki, pomagały im wiązać buciki, pokazywały, jak trzyma się kule. Sage poczuła, że coś ściskają w gardle; dziewięć urodziny mama urządziła jej właśnie w kregielni. Przełknęła z wysiłkiem. Nie potrafiła oderwać wzroku od urodzinowego tortu ozdobionego grubą warstwą bitej śmietany.

Dzieci ustawiły się w koło, obserwując małą, siedmioletnią może dziewczynkę otwierającą prezenty. Lunch już zjadły, przed nimi był jeszcze tort, z boku stołu stała taca z niedojedzonymi hot dogami i frytkami. Sage zbliżała się do niej powoli. Słyszała, jak burczy jej w brzuchu. Frytki były złotobrązowe, kruche, przypieczone na brzegach — dokładnie takie, jakie lubiła. Mama zawsze przysmażała dla niej mrożone frytki dłużej, niż podawał przepis na opakowaniu.

Wpatrzona w tacę, już miała podnieść frytkę do ust, kiedy usłyszała czyjś głos.

— Dzień dobry — powiedziała jedna z matek. Była niewiele starsza od niej, na rękę trzymała dziecko.

— Dzień dobry.

— Któryś jest twój?

— Mój? — Przez chwilę Sage sądziła, że kobiecie chodzi o hot doga, i serce zabiło jej mocno; przestraszyła się, że została przyłapana na gorącym uczynku.

— Masz chłopaka czy dziewczynkę? Przyszłaś na przyjęcie Jenny?

— Nie. — Sage wskazała na chłopców, grających w kręgle nieco dalej. — Jestem z nimi. Ma na imię... — zawahała się — ...Jake.

— Więc to twoje drugie?

Sage stała nieruchomo. Ta kobieta mówiła do niej jakimś niezrozumiałym językiem. Ale... tak, patrzyła na jej brzuch, uśmiechała się, skinęła głową, wskazując na jej ciążę. Sage zaczerwieniła się — po raz pierwszy ktoś to zauważył.

— Och — powiedziała, dziwnie podniecona i dumna. — Tak. — I spojrzała na frytki.

— Prawie nieruszone. — Obca kobieta bez skrupowania wzięła całą garść. — Moja Megan jest tam, koło solenizantki. Je może sześć frytek za jednym posiedzeniem, więcej nie daje rady, a i tak zabiera jej to pół godziny. Słodka mała. Poczęstuj się. Musisz jeść za dwoje.

— Oczywiście. — Sage zjadła kilka frytek i dwa niemal nieruszone hot dogi, chociaż oba były z keczupem. Nigdy go nie lubiła, ale teraz smakował tak wspaniale, że aż zakreśliło się jej w głowie. Po raz pierwszy od opuszczenia domu poczuła się najejdzona.

— Jestem Deenie — przedstawiła się kobieta.

— Ja mam na imię Sage.

Uśmiechnęły się do siebie serdecznie. Deenie była bardzo ładna, miała wielkie piwne oczy i jaskrawą szminkę na ustach, a jej ciąża była bardziej zaawansowana. Ubrana była w dzinsy z naszywkami na nogawkach i jaskrawofioletową bluzę ozdobioną wzorem ze słońc i księżyców.

— Mieszkasz w okolicy? — spytała.

— Niespecjalnie — odparła Sage, mając nadzieję, że nie brzmi to zbyt dziwnie. Ale była to chyba płonna nadzieja, bo Deenie zaczęła się jej przyglądać. Rzeczywiście, bo niby skąd wzięłaby się w kręgielni miasteczka leżącego pośrodku niczego, gdyby tu nie mieszkała? Jeśli choć trochę przypominało Silver Bay, wszyscy znali tu wszystkich. Dzieci bawiły się razem, rodzice na zmianę



wozili je do szkoły... nie było obcych, wyłącznie sąsiedzi. Poczula, jak jej twarz oblewa się rumieńcem.

— Aha, przyjechałaś do krewnych?

— No... mniej więcej.

— Ach, krewni! — Deenie roześmiała się. — Na szczęście moi mieszkają aż w Des Moines, więc oboje z Harleyem mamy przeważnie spokój. A kto jest twoim mężem?

— Ben Davis. — Ta dziewczyna była taka szczęśliwa, kiedy mówiła „oboje z Harleyem”, a jej serce, kiedy wymieniła nazwisko Bena, przeszła strzała bólu. Schowała głowę w ramiona, poczuła napływające do oczu łzy. Deenie przeniosła dziecko na drugie biodro, pochyliła się w jej kierunku.

— Dobrze się czujesz?

Sage próbowała skinąć głową, ale nie mogła. Trzaskały przewracane kręgle, dzieci krzyczały wesoło, bawiły się w zapamiętaniu. Przełknęła z wysiłkiem, by powstrzymać szloch. Zemdliło ją, a ponieważ nie wiedziała, gdzie jest damska toaleta, pobiegła w stronę wyjścia z kręgielni. Zwymiotowała na parkingu, pomiędzy dwiema półciązarówkami.

Deenie poszła za nią.

— Podobno to poranne mdłości, a bywa, że trwają cały dzień — powiedziała współczująco.

Sage skinęła głowę, powstrzymując szloch; tęskniła za mamą i Benem tak strasznie, że przez chwilę myślała, że umrze.

— Ben cię rozumie?

— To najlepszy z mężów — wyszeptała Sage, patrząc w ziemię. Dziewczyna nosiła stare buty, dostrzegła nawet krople kleju, którym przykleiła oderwaną podeszwę.

— Megan pewnie właśnie się zastanawia, gdzie jestem.

Sage skinęła głowę.

— Jake też pewnie się za tobą rozgląda. Wchodzisz?

Sage znów opuściła wzrok. Zauważyła wjeżdżający na parking jasnoniebieski samochód z żółtym napisem „Piekarnia «Kopciuszek». Obsługujemy zachodnią Iowę”. Kierowca przywitał się wesoło z kucharzem baru z kręgielni i poskarżył się, że wraca do Nebraski i ma opóźnienie. Serce zabiło jej mocniej.

— Chyba jednak zostanę tu jeszcze chwilę.

— Poodychaj świeżym powietrzem. Lepiej się poczujesz.

— Wiem.

— Kiedy wrócisz, przysiądź się do mnie. Sama jestem tu obca. Pochodzę z Macksburga, Harley wpadł tam w kłopoty... och, nie ma o czym mówić. W każdym razie mieszkamy za farmą ciotki, przy tej drodze. Inne matki znają się od wieków, więc siadź obok mnie. Dobrze?

— Jasne. — Sage nagle zrobiło się bardzo smutno. Wiedziała przecież, że już się nie spotkają. Gdy tylko Deenie znikła w kręgielni, natychmiast podeszła do swego roweru. Zabrała też paczkę, którą ukryła w krzakach. Dostawca zostawił ciężarówkę otwartą, z wysuniętą rampą załadunkową, nie było więc problemu z wepchnięciem do środka roweru. Nebraska. Jestem o stan bliżej Wyoming.

Ciężarówka załadowana była ułożonym na stelażach pieczywem. Półki były szerokie i głębokie. Od razu spostrzegła dobrą kryjówkę — pod tą najniższą. Miejsca nie było tam wiele, musiała zdjąć przednie koło. Napracowała się nad tym, ale w końcu udało się jej dobrze ukryć rower. Odsunęła się trochę, sprawdziła, czy rzeczywiście go nie widać, po czym rozejrzała się dookoła.

I zobaczyła wokół siebie ciasteczka, babeczki, pączki, chleb, bułki. Jej organizm potrzebował przede wszystkim cukru. Sięgnęła po czekoladową babeczkę z truskawkami i... cofnęła rękę. Nie wiedziała, jak długo będzie podróżować tym samochodem, i oczywiście nie miała też pojęcia, czy uda się jej utrzymać coś w żołądku. Ale... dziecko też musiało jeść. Wzięła słodką bułeczkę posypaną cukrem, wstrzymała oddech i wczołgała się pod półkę naprzeciw tej, pod którą ukryła rower.

W kilka minut później trzasnęły drzwi i ciężarówka ruszyła w drogę. Sage leżała na wznak na twardej zimnej podłodze, otoczona stalową klatką. Tęskniła, choć z całej siły próbowała bronić się przed tym uczuciem. Także za Deenie, choć przecież poznała ją zaledwie parę minut temu i знаła tylko parę minut. Po jej spojrzeniu poznała, jak bardzo samotna była ta dziewczyna; ciekawe, czy patrzy tak zawsze i na wszystkich?

Skubała bułeczkę, myślała o matce i całym sercem tęskniła do niej.

David siedział skulony, rozpaczliwie próbując się rozgrzać. Noc była tak zimna, że na szyszkach rosnących przy drodze drzew osiadał szron. Oddech wydobywał mu się z ust białą chmurą, powieki miał ciężkie. Kropki, które wymalował na policzkach, zbladły, ale nadał je miał. Tatuaż towarzyszył mu zawsze. Psy spały obok, przytulone do siebie na przednim siedzeniu. Wiedział, że powinien się zatrzymać, odpocząć, ale gnała go myśl o czymś strasznym, czemu miał zapobiec.

Coś strasznego; te dwa słowa prześladowały go nieustannie. Coś brutalnego, jakiś stwór groził, że zrobi mu coś, skrzywdzi go, a może nawet zabije, jeśli nie zdąży dojechać na miejsce. Nigdy przedtem nie doznawał uczucia takiego niepokoju, nie ośmielił się więc zatrzymać samochodu. Wiedział, że nie dotarł jeszcze tam, gdzie powinien dotrzeć.

Nebraska była znacznie bardziej płaska niż Wyoming. Cała wydawała się składać z farm, każda ze stodołą i oczywiście domem. Miał listę fabryk zwierząt, zabrał ją z biura rodziców, i przez pewien czas sądził, że jego celem jest któraś z nich, ale instynkt mówił mu co innego.

Jechał na południowy wschód z nadzieją, że rozpozna swój cel, kiedy go już zobaczy. Nie zamknął okien samochodu, zimne powietrze pomagało mu nie zasnąć.

Petal również nie spała. Trzymała w pysku zabawkę, lizła ją i przygryzała nieustannie. David wiedział, że tego potrzebuje, że to pluszowe zwierzątko zastępuje jej wszystkie utracone szczeniaki.

Mijał farmę za farmą. Nagle przy drodze zobaczył w światłach reflektorów coś białego. Małe białe kropeczki, jedna za drugą, tuż przy ziemi — co to mogło być: nakrapiany wąż, wielka biała gąsienica? Z całej siły wcisnął hamulce i zjechał na pobocze, by nie przejechać przypadkiem tego przedziwnego stworzenia. Psy wyczuły niebezpieczeństwo, zeskoczyły na podłogę. Przez otwarte okno usłyszał łopot skrzydeł. Może chodzi właśnie o to — pomyślał. Może to coś ma za zadanie ocalić?

Wyskoczył z samochodu i pobiegł w pole. Istota, którą ścigał, przemykała się wśród połamanych pędów kukurydzy, próbowała ukryć się w korzeniach, dziurach w ziemi. David znów usłyszał łopot skrzydeł, dostrzegł też żółte ślepie. Polująca sowa. Atakowała już swą ofiarę, spadała na nią i podrywała się w powietrze.

Kiedy jego wzrok przyzwyczył się już do niemal absolutnej ciemności, zauważył, że białe kropki w rzeczywistości były łapkami. Gonił rodzinę czarnych kotów. Matka prowadziła sześć kociąt o białych łapkach, broniąc ich przed atakami sowy.

— Hej! — krzyknął, próbując przstraszyć drapieżnika. — Heeeej!

Sowa leciała tak nisko, że otarła się o jego głowę. Jej oczy lśniły w mroku nocy jak płomienie. Znał te ptaki, kochał je, choć nie wiedział dlaczego, rozumiał jednak, że są drapieżnikami, niebezpiecznymi dla małych zwierząt.

— Wynoś się stąd! — krzyczał, goniąc ją. Biegał po okręgu, którego środkiem była kocia rodzina, chronił ją jak mógł najlepiej. Usłyszał krzyk ptaka, przez chwilę nawet myślał, że mu się udało, że uratował wielką rodzinę małych stworzeń. Matka wystawiła łepkę z kryjówki, by sprawdzić, co się dzieje. Jedno z kociąt pisnęło i dostało łapę — wszystkie miały siedzieć cicho, w ukryciu.

Ale sowa wróciła. Pojawiła się znikąd, znurkowała z wyciągniętymi szponami. Chwyliła matkę, uniosła ją w niebo. Kocica wiała się i prychała, unoszona na wierzchołki drzew; umierając, wydała z siebie krzyk strasznego żalu.

David wspomniął jaskinię. W mroku pełno było sów, żółte oczy wpatrywały się w niego, a on był sam. Wołały do niego, spokojne, mądre, obiecywały mu, że wkrótce zostanie znaleziony.

Uczcił to wspomnienie tatuażem.

A teraz rozplakał się — głośny, rozpaczliwy szloch wydarł mu się z piersi. Padł na kolana, ukrył głowę w dłoniach. Łzy zmyły mu z policzków blade kropki. Widok matki odebranej dzieciom przypomniawszy mu o nim samym: przez niemal cały czas czuł się ostatnio rozdarty na dwoje. Krzyk kocicy nadal brzmiał mu w uszach.

Mimo dzinsów poczuł na nodze drapnięcie. Coś puchatego otarło mu się o twarz. Nagle zorientował się, że to kocięta wypełzły z kryjówki, wspinają się po jego nogach, próbują wejść mu za koszulę. Czarne kulki na białych łapkach, szukające ciepła.

Usłyszał w górze trzepot skrzydeł. Para sów krążyła nad polem, szukała kotków, które jeden po drugim tuliły się do niego w poszukiwaniu ciepła i pożywienia. Szczypały go pyszczkami, tęskniąc za mlekiem matki.

— W porządku — powiedział, ocierając oczy. — Znajdę gdzieś dla was jakąś butelkę. — W sklepie z zabawkami — pomyślał. Butelka dla lalek, odżywki dla dzieci. Nowo narodzone kocięta przeżyją. Nie zawiedzie ich matki.

Nie mógł nienawidzić sów za to, że są sowami, ale serce go bolało i był taki smutny, tak strasznie smutny. Nie potrafił przestać myśleć o kotce — słyszał jej krzyk rozpaczony, że oderwano ją od dzieci, widział, jak ich bohatersko broniła.

Może dlatego przyjechał do Nebraski?

Kocięta potrzebowały go, a on znalazł się we właściwym miejscu i właściwym czasie, i zdołał je uratować. Wytarł oczy, zapalił papierosa i wracając do samochodu, powtarzał w myślach, że to było to. Z pewnością. Przyjechał na wschód, by uratować kocięta.

Petal wystawiła łeb spod siedzenia, powąchała jego koszulę, ciekawa, co się pod nią ukrywa. Nadal trzymała w pysku pluszową zabawkę, podartą i zaślinioną.

Dawno, dawno temu David Smith zabierał ją ze sobą, gdziekolwiek jechał. Czasami myślał, że podczas tej podróży musi odnaleźć uczucie, jakie kiedyś dawała mu przytulanka. Wychowywał się w nieszczęśliwej rodzinie, w której awantury były na porządku dziennym; to ona właśnie pocieszała go, dawała mu poczucie bezpieczeństwa. No cóż, na świecie nie ma nic bardziej miękkiego i bardziej uroczego niż małe kocięta ukryte pod koszulą, mrużące tak głośno, że zagłuszają bicie serca.

Więc co, u diabła, kazało mu jechać dalej na wschód? Jeśli spełnił zadanie, dlaczego nadal się bał? Bo przecież bał się tak, że w głowie mu huczało, że puls wydawał się rozsadzać mu żyły,

a wewnętrzny głos powtarzał: jedź szybciej, musisz dojechać na czas albo...

Gdzie ma dojechać?

Nie wiedział, nie potrafił nawet wyobrazić sobie swego celu. Próbował zapomnieć o kocicy i o tym, co wyprawiała z nią teraz sowa. Palił, zastanawiając się, gdzie znajdzie najbliższy sklep. Według mapy o świcie powinien dotrzeć do Twin Lakes. Tam kupi wszystko, co mu potrzebne. Dorastał w fabryce zwierząt, wiedział, czego potrzebują małe, by przeżyć bez matki. Z nimi radził sobie doskonale.

Tymczasem musiał ruszać. Czuł wielki niepokój, wiedział, że powinien się pospieszyć. Miał coraz mniej czasu.

RS



W dniu przyjazdu Daisy James sprawdzał wodopoje i przy jednym z nich trafił na martwe ciele. Tuż nad nim kołowały majestatycznie myszołowy, a na jego łbie siedziały dwie wrony. Zsiadł z konia i podszedł bliżej. Spodziewał się śladów zębów i pazurów, ale nie było ich, za to w karku zwierzęcia znalazł ślad od kuli. Na jego skórze ktoś wyciął znak „X”.

— Co o tym sądzisz? — spytał Paul March, kucając obok szefa.

— Nie wiem. — James nie odrywał wzroku od cielaka.

— Jakiś chory sukinsyn zboczył z drogi, żeby się zabawić?

— Z całą pewnością chory i sukinsyn. — Jego ranczo klinem wbijało się w góry Wind River. Czubek klina wskazywał na zachód, ale wąska przełęcz wiodła przez nie ku wschodowi do rezerwatu indiańskiego. Tę jednopasmową „drogą” prowadzącą do Dubois jeździli turyści i to ich Paul miał na myśli.

Sam James miał nadzieję, że ciele zastrzelił jakiś przyjezdny, ale nie mógł być tego pewny. Wiele wzajemnej niechęci było w tych stronach, poląła się tu kiedyś krew. Zaledwie kilka pokoleń temu dziadowie i pradziadowie dzisiejszych rodzin walczyli ze sobą na śmierć i życie o prawa do wypasu. Brat dziadka Paula dostał kulę w bok, broniąc ziemi przed owcami Rydellów. Owce jedzą więcej i szybciej niż bydło, wystarczyłby rok, by zrujnowały pastwiska na zboczach wzgórz. To właśnie było powodem wojny przed wielu laty.

— Nie wygląda ci to na ostrzeżenie?

— Szczerze mówiąc, myślałem o czymś takim — przyznał Paul.

— Zabicie cielaka to jedno. Porznięcie go w ten sposób to coś zupełnie innego — zauważył James.

— Zostawiono go, żeby został znaleziony, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Ale w porównaniu z tym, co mieliśmy wcześniej, są jednak pewne różnice.

— Niewielkie. — A taką miał nadzieję, że to, co działo się tu kiedyś, nigdy się nie powtórzy. W końcu minęło już sporo czasu.

Powiódł wzrokiem po górskim paśmie i zboczach wzgórz. Tym szlakiem jeździł najczęściej, przez przełęcz prowadzącą wprost do domu. O tym wiedzieli wszyscy miejscowi kowboje. Zaraz za wzgórzem, w czerwonym kanionie, zginął Jake. I Daisy miała dziś przyjechać ze wschodu. Ktokolwiek zabił cielę, mógł o tym wiedzieć, mógł też nie wiedzieć; w końcu nie był to przecież pierwszy taki przypadek.

Pewnego ranka, przed niemal rokiem, u stóp zbocza, którym właśnie zjeżdżał, zobaczył przerażający widok: krowi łeb nadziany na słupek ogrodzeniowy. Trzech kowbojów, wśród nich Paul, podjechali chwilę później, by powiedzieć mu, że znaleźli trzy podobne łby. W sumie zginęły cztery sztuki.

W lipcu ktoś zatrzał zbiornik. Zbiornik o powierzchni ponad czterech tysięcy metrów kwadratowych, wypełniony krystalicznie czystą wodą. Dwadzieścia sztuk bydła napiło się tej wody i zachorowało. Jedenaście sztuk padło przed zmierzchem, pozostałe trzeba było zastrzelić. Ten przypadek zbadała policja miejska, powiatowa i stanowa. Grono podejrzanych było liczne: od wojujących wegetarian po ludzi, którzy mieli zadawnione urazy do Tuckerów, a tych nie brakowało. Dzieje rodziny obejmowały sto pięćdziesiąt lat i przez te sto pięćdziesiąt lat walczyła ona ze złodziejami bydła. Ludzie chcieli ziemi Tuckerów dla owiec, złota, bydła, a teraz także pod budowę, ale Tuckerowie jakoś się trzymali. Byli i tacy, którzy mówili coś o spłacie długów, rekompensacie i o tym, że ta rodzina zasłużyła na wszystko, co ją spotkało. James myślał teraz o Daisy, która właśnie przyjechała, o Sage, która zamierzała przyjechać, i poczuł, jak sztywnieją mu mięśnie.

— Gdzie Todd Rydell? — spytał.

— Jak to gdzie? — zdziwił się Paul. — Przypuszczam, że pracuje.

— Nadal jeździ ciężarówką?

Paul skinął głową.

— Chyba tak. Ostatnio woził paczki dla którejś z firm kurierskich. Tego nie da się robić konno, więc przesiadł się do samochodu. Nie widziałem żałośniejszego kowboja, ale chyba nie sądzisz, że jest do tego zdolny?

— Nie wiem, kto jest do czego zdolny. — James nie lubił przypadków i niepokoiło go, że ktoś zabił cielę dokładnie w dniu przyjazdu Daisy. Wiedział, że Todd ma do niego żal o to, że przesłuchiowano go niezbyt łagodnie po zaginięciu Jake'a, a do wszystkich Tuckerów pretensje o to, że nadal mieszkali na ranczu, podczas gdy jego rodzina straciła ziemię... no i wstydził się, bo został kiedyś przyłapany na podglądaniu Daisy przez okno.

— Todd nie jest aż tak zły — powiedział Paul.

— Ale chowa urazę. Zbiera pretensje i składa je do banku, niech się mnożą jak rodzinna fortuna.

— Bo przecież tylko to pozostało jego rodzinie. Z Rydellów na ranczu mieszka jedynie Louisa... i to nie na swoim, tylko na twoim.

— Miej go na oku, kiedy następnym razem będziesz w mieście. O nic więcej nie proszę.

— To mogę zrobić. — Paul stał przy cielaku i przyglądał mu się uważnie. James wiedział, że zapamiętuje miejsce na wypadek przyszłych kłopotów albo po prostu dlatego, że lubił wiedzieć, co dzieje się w DR. Potem podniósł głowę i osłonił ręką oczy przed słońcem.

— Widziałeś się z Daisy? — spytał.

— Jeszcze nie — odparł James.

— A masz zamiar?

— Nie wiem, jak mógłbym tego uniknąć. W końcu zamieszkała na ranczu.

— Aha.

— Coś bardzo interesujesz się tym, czy ją widziałem, czy nie. Ciekawe dlaczego?

Paul zmarszczył brwi. Spojrzał w słońce, marszcząc się jeszcze bardziej. Splunął przez ramię, znów zerknął na cielaka. Z wielkim smutkiem, jakby patrzył na martwe dziecko. Kiedy wreszcie zwrócił się do Jamesa, wzrok miał przenikliwy, ale głos cichy i spokojny.

— Może dlatego, że mi zależy.

— Na Daisy?

— Na was wszystkich.

Oto dwaj starzy kowboje stoją nad martwym cielakiem i opowiadają sobie o tym, na czym komu „zależy”. James chciał się uśmiechnąć, potraktować to jako żart, ale nie potrafił. Skinął tylko głową w podziękowaniu, ponieważ wiedział, że jego przyjaciel mówi szczerze.

O tym właśnie myślał, kiedy kilka godzin później pędził galopem w stronę domu. Ranczo DR rozciągało się szeroko wśród topoli i zagajników. Wielki kamienny dom, mniejsze domki, duża stara stodoła i zbiorniki na wodę znajdowały się w samym środku rancza.

Louisa poinformowała go, że przygotowała dla Daisy biały domek. Słyszając to, James stanął jak wryty. Miał ochotę zaproponować inne rozwiązanie, ale ugryzł się w język w ostatniej chwili. Daisy najprawdopodobniej lepiej poradziła sobie z przeszłością niż on.

Słońce zaszło za góry, w domu zapalano światła. Czuł w kościach chłód wieczoru, już dwa razy w tym tygodniu temperatura w nocy spadała poniżej zera. Podjechał do korrala, w którym zazwyczaj zostawiał konia, ale zmienił zdanie. Objechał zabudowania od tyłu.

Niewiele działo się w tej części rancza, za wielkim domem. Znajdował się tu ogród Louisy, w którym uprawiała kwiaty i warzywa. Teraz rosły tu kabaczki i dynie, pomarańczowe jak wschodzący księżyc. Poszukał wzrokiem kwiatu, który mógłby zerwać — dopiero teraz naprawdę uświadomił sobie, że jedzie przywitać się z Daisy — ale wszystkie przemarzły, były brązowe i suche.

Koń stapał po twardej ziemi; James słyszał donośny stuk podkówek i niemal równie głośne bicie swego serca. Dwanaście lat to długo, nawet bardzo długo — żyli z dala od siebie dwa razy dłużej niż ze sobą. Nie wiedząc, co ma zrobić, najpierw skierował konia ku wąskiej rzece. Księżyc, zbliżający się ku ostatniej jesiennej pełni, błyszczał między dwoma szczytami, oświetlając mu drogę.

Obejrzał się przez ramię na biały domek i dostrzegł ją. Ściągnął wodze; koń zatrzymał się w cieniu, opuścił łeb i zaczął pić wodę z rzeki. Daisy wychodziła właśnie na ganek, poruszając się z gracją sarny. Jej kasztanowate włosy lśniły w blasku księżyca niczym ciemna miedz. Podeszła do poręczy, uniosła głowę i spojrzała na księżyc. Jej blada twarz i smukła szyja miały szlachetność rzeźby z kości słoniowej.

James doskonale pamiętał tę jej pozę. Dłonie mocno ścisnęły poręcz ganku, jakby Daisy bała się zapaść w świat, poza którym musi przecież istnieć coś lepszego. I zawsze wpatrywała się w księżyc, jakby się z nim mierzyła. Ciało ukryte pod cienkim płaszczem było takie kobiece, takie piękne.

Poprawił się w siodle. Nie miał zamiaru odjeżdżać, wolał na nią patrzeć.

Wyciągnęła rękę, wyprostowała wskazujący palec, jakby wydawała księżycowi rozkaz. Tak, miała magiczną władzę nad światem natury; wystarczyło tylko spojrzeć na to, co potrafi wyczarować z kamieni i kości, znać jej biżuterię, by nie mieć co do tego żadnych wątpliwości. Potrafiła zmusić ten świat do posłuszeństwa. Mimo że rozstali się już tyle lat temu, James znał ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, jakie polecenie wydaje teraz księżycowi.

Oświetl drogę Sage — zdawała się mówić. Gdziekolwiek jest, jakkolwiek ciemną porusza się ścieżką, oświetl jej drogę do domu.

James przymknął oczy, zupełnie jakby słowa, które w myśli włożył w usta byłej żony, miały moc modlitwy. Powtarzał ją w myślach: „Weź ją w ramiona, otul swym światłem. Niech jej dni będą długie, a noce krótkie. Prostuj jej ścieżki. Przeprowadź bezpiecznie do domu”.

Daisy opuściła rękę. Wpatrywała się w księżyc jeszcze kilka sekund, a potem nagle rozluźniła się, zmalala, przygarbiła. Usłyszał jej płacz. Jakże pragnął zeskoczyć z konia, przytulić ją mocno, ale oczywiście nie miał już prawa tulić jej i pocieszać. Stracił to prawo bardzo dawno temu.

Zeszła z ganku, przystanąła w progu, zawahała się. Zdawało się, że patrzy na jakiś znak w drewnie, z którego zbudowany był dom, i James wiedział oczywiście, jaki to znak. Widział, jak unosi rękę, przesuwa palcem po desce. Serce biło mu mocno, czuł, że Daisy wie o tym, iż on ukrywa się w mroku. Koń też to wyczuł i zarżał cicho, a kiedy odwróciła się i spojrzała w mrok, wydało mu się, że spojrzeniem dotyka jego ciała. Zadrżał pod tym dotknięciem tak, jak zadrżałby pod dotknięciem jej dłoni, ale nie zdobył się na to, by wyjechać w księżycowe światło.

Daisy znów dotknęła drewna. Ten mały domek był bardzo stary, pochodził z czasów pierwotnej zabudowy rancza. Służył jako jednoklasowa szkoła, warsztat garncarski, studio muzyczne matki. Powstał sto lat wcześniej niż dom z bali, który James wybudował dla rodziny. Jego ściany kryły mnóstwo sekretów i część z tych sekretów znali on i Daisy.

Daisy stała na progu, znów wpatrzona w księżyc. Po chwili powiodła wzrokiem po górach, czarniejszych od ciemnego nieba, po równie czarnych cedrach. Zza rzeki dobiegł ich krzyk sowy, cichy, lecz przejmujący. Daisy zdawała się mu przysłuchiwać, a potem przyłożyła dłonie do ust — znał ją, i wiedział, co teraz będzie.

— Washakie! — krzyknęła Daisy głośno, tak głośno, jak mogło krzyknąć każde zwierzę zamieszkujące te góry. Jej głos był jak błyskawica godząca w serce Jamesa.

— Washakie — odpowiedział wystarczająco cicho, by go nie usłyszała. To słowo sięgało także jego serca.

Daisy weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Z komina sypnęły zmieszane z dymem iskry, zapewne wrzuciła w ogień suche gałęzie. Zasunęła zasłony, zgasiła światło. James przyglądał się jeszcze chwilę czarnym oknom, a potem trącił konia i pojechał do siebie.

\*



Rozbił namiot niedaleko zabudowań rancza. Miał zamiar zaczekać na dziewczynę. Był świadkiem przyjazdu kobiety, ładnej, seksownej, ale nie takiej znowu młodej. Postawiła Tuckera na baczność: zaczął wściekać się na pracowników, przyjechał do domu kilka godzin wcześniej niż zazwyczaj, choć przecież DR poniosło dziś dotkliwie straty.

### *Matki i ojcowie. Owce i bydło.*

Ten świat kręcił się zupełnie inaczej niż reszta świata. Coś go ciągnęło w to miejsce. Wzbogacił swój brązowy skórzany pas o kolejne nacięcie, dowód, że stado rancza DR było od dziś odrobinę mniejsze. Jego nóż wykonał swe zadanie, przeciął skórę cielaka, dał mu jej pas; przyszła pora na naostrzenie go.

Wyjął kamień, zwilżył go śliną i olejem. Ostrze załśniło w blasku padającym od piecyka naftowego. Przesuwał nim po kamieniu tam i z powrotem, tam i z powrotem. Lubił ten rytm, lubił ten dźwięk, cichy syk. Prawdziwa kowbojska kołysanka.

Na podłodze namiotu leżała strzelba, ciemna i złowroga. Lubił na nią patrzeć. Namiot odgradzał go od świata, w nim mógł czuć się bezpiecznie. Był uzbrojony, potrafił się bronić. W razie ataku czekała kogoś niemiła niespodzianka.

Washakie. To imię coś mu przypominało. Czy to nie baśń, opowieść o wodzu Szoszonów? Potrząsnął głową jak pies, któremu woda wpadła do ucha. To bez znaczenia — powiedział do siebie.

W uszach brzmiał mu nadal głos kobiety. Boże, jak on nienawidził rozpaczających kobiet! Kobiet zajmujących się tylko sobą i swymi krzywdami, podczas gdy wokół nich cierpią inni. Mężczyźni walczą w obronie tego, co do nich należy — swoich rodzin — a kobiety szlochają w bezpiecznych domach.

Szczęśliwe rodziny, dom na zboczu.

Daisy obudziła się o świcie. Stary dom miał tylko jeden niewielki pokój; przez okna we wszystkich czterech ścianach zagłędały do środka góry. Po szarym niebie płynęły wysoko cienkie postrzępione chmurki, na północy, daleko, dostrzegła czarny klucz gęsi. Usiadła, powoli stawiając stopy na zimnej podłodze, i rozejrzała się dookoła.

W świetle dnia pokój wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. Ściany miał z jasnych nieheblowanych desek, pochodzących ze starej stodoły. Przed kamiennym kominkiem leżała niedźwiedzia skóra, kanapę i fotel pokrywały jaskrawe indiańskie koce. Drżąc z zimna, otworzyła walizkę i wyjęła z niej czyste ubranie. Marzyła o kawie i choć mogła zaparzyć ją sobie sama, korzystając ze stojącej w kącie małej kuchenki, nie chciała siedzieć tu samotnie ani minuty dłużej, niż naprawdę musiała. W dużym domu Louisa z pewnością będzie coś dla niej miała.

Rzeczywiście, czekała na nią kawa... i nie tylko. Kiedy przeszła już ścieżką wśród szalwi, ominęła korral i weszła do kuchni, zastała Louise przy przygotowywaniu śniadania. Ogień pod kuchnią trząskał wesoło, w ciemnym ekspresie parzyła się kawa, a Louisa, seksowna nawet podczas pracy, ubrana w satynowy szlafrok, smażyła jajka na boczku.

— Proszę, proszę, ktoś wyczuł smakowity zapach — powiedziała wesoło, nie odwracając się od kuchni. — Wcześniej wstajesz. Jak zawsze.

„Stokrotko, Stokrotko, odpowiedz mi szczerze...” — zaśpiewał Dalton, który siedział przy wielkim stole, ubrany jak do pracy, w ochraniaczach na spodniach i wełnianej kurtce. Daisy poczuła, jak coś dławi ją w gardle. Wyglądał tak staro!

— Dalton... — powiedziała i łzy napłynęły jej do oczu. Nie wiedziała, czego właściwie powinna się spodziewać, ale kiedy zobaczyła Daltona, siedzącego na swym zwykłym miejscu u szczytu stołu, zdała sobie sprawę z tego, że nadal uważa go za teścia. Rozwód był prywatną sprawą jej i Jamesa. Podeszła szybko do starego i pocałowała go w pomarszczony policzek. — Jak się...? — Nie zdążyła dokończyć pytania.

— Co zatrzymało Jamesa? — przerwał jej stary mężczyzna, odstawiając kubek z kawą i patrząc jej w oczy.

— Jamesa? — zdumiała się Daisy.

— Zjedz jajka — powiedziała spokojnie Louisa, stawiając przed nim talerz. — Póki są gorące, a boczek chrupiący. Posmarowałam ci grzankę masłem, możesz już jeść. A co dla ciebie, Daisy?

— Tylko grzanka. Sama ją sobie zrobię.

— Lepiej zaczekaj na Jamesa. — Dalton sięgnął po glinianą miseczkę z dżemem jagodowym. — Przecież wiesz, że lubi, kiedy jecie razem, niezależnie od okoliczności. Kiedyś grodziliśmy państwisko. Chciał zostawić robotę i dziurę, w której zmieściłby się niedźwiedź, żeby tylko zdążyć na obiad. Musiałem...

— To było bardzo dawno temu — przerwała mu Daisy zdziwiona. Nie pojmowała, dlaczego Dalton postanowił przypomnieć jej dawne dobre czasy.

— Bardzo dawno temu? — Dalton zachichotał. — Wczoraj, dziś, jutro... czas nie ma znaczenia, prawda, Śnieżna Gąsko?

— Śnieżna Gąsko? — Daisy właśnie nalewała kawę do kubka i gdy usłyszała swój przydomek sprzed lat, zalała nią blat w kuchni. Louisa natychmiast zajęła się wycieraniem, ale jednocześnie chwyciła ją za przegub ręki i ścisnęła mocno. Spojrzały sobie w oczy — we wzroku Louisy było tyle bólu, że Daisy natychmiast odwróciła głowę. Nie wiedziała, co się dzieje. Ten stary człowiek nie mógł przecież być aż tak okrutny.

„Oszałeli z miłości, poślubieni sobie do końca życia, zupełnie jak śnieżne gęsi” — mówił o nich kiedyś, a jej bardzo podobało się to porównanie. Widziała pary gęsi, przybywające na rancho co roku, i wiedziała, że zawsze są to te same pary. Ona i James wzięli ślub w styczniu, podczas pierwszej pełni nowego roku, w porze śniegu. Jej przyjaciel, Louis Łopatka, szaman Szoszonów, opowiadał kiedyś, że ptaki te poważnie traktują miłość, że łączą się w pary i są sobie wierne do śmierci... ona wtedy tak właśnie pojmowała życie...

— Gdzie on się podziewa? — spytał Dalton z ustami pełnymi chleba. — Któreś z dzieci zachorowało?

— Dzieci... — Daisy gwałtownie odstawiła kubek. Odwróciła się.

Louisa siedziała przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach. Dalton trzymał w ręku napoczętą grzanekę i patrzył na nią ze strachem. Gniew Daisy ustąpił nagle miejsca trosce.

Wiek pomarszczył twarz starego mężczyzny, a jego niebieskie oczy zmętniały. Zapewne wrócił sercem do czasów, gdy miał szczęśliwą rodzinę, a jego syn i synowa byli śnieżnymi gęsiami.

Przegrywał walkę ze starością.

— Stokrotko, Stokrotko, odpowiedz mi szczerze... — zaśpiewał starą piosenkę. Daisy wpatrywała się w opiekacz, czekając, aż wyskoczy z niego grzanek. Louisa odsunęła talerz z jedzeniem; piła kawę, bębniąc palcami po stole, a strach znaczył się głęboką bruzdą między jej brwiami.

— Kiedy to się zaczęło? — spytała Daisy, kiedy sprzątały po śniadaniu.

— Dwa lata temu — odparła Louisa, zajęta myciem kubka po kawie. — Mniej więcej.

— On chyba myśli...

— Czasami jest bystry jak za młodu — przerwała jej starsza kobieta, jakby nie słuchała pytania. — Pamięta najdrobniejsze szczegóły jakiegoś rodeo sprzed dziesięciu lat, których mnie w ogóle nie udało się zauważyć. Ten człowiek umie patrzeć, mówię ci... niczego nie przeoczy. Pamięta zdarzenia z dzieciństwa,

kiedy jego ojciec i mój próbowali sobie nawzajem poprzegryzać gardła...

— Ale dziś...

— Dziś to i owo mu się pomieszało. Zobaczył ciebie... i w ogóle. Oczywiście powiedziałam mu wcześniej, że przyjeżdżasz, wie też, że Sage uciekła z domu, ale kiedy cię zobaczył...

— I kiedy ja zobaczyłam jego... — Daisy wzięła się do wycierania talerzy. — Też miałam wrażenie, że tych lat rozstania po prostu nie było.

— Jemu lata mylą się przez cały czas. — Louisa patrzyła przez okno na jastrzębia, zataczającego szerokie koła nad polem. — Ale jest, kim jest, i mój stosunek do niego nie zmienił się ani odrobinę.

— Oczywiście, wiem przecież.

— Ty tak. Ale jego syn kwestionuje kierujące mną motywy.

— No, tak... — Daisy bała się powiedzieć za wiele, ale pomyślała: „Zawsze je kwestionował”. Młodo stracił matkę, od samego początku nie lubił Louisy i nie ufał jej.

— Śnieżne gęsi. — Louisa próbowała roześmiać się. — Jaka byłam zazdrosna, kiedy tak o was mówił! Jakbyście w tej rodzinie kochali się tylko wy. Dorastałam, słuchając wszystkich tych indiańskich opowieści. Wiem oczywiście o totemie śnieżnej gęsi, symbolu płodności i wierności małżeńskiej. O tym, jak wspólnie latają daleko, jak należą do siebie nawzajem...

Daisy pomyślała o Jamesie, o tym, co udało się im wspólnie osiągnąć, o tym, jak to się skończyło... i poczuła dławienie w gardle. Ta kuchnia przypominała jej wspólne śniadania. Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz się rozpłacze.

— Myliliśmy się, sądząc, że należymy do siebie nawzajem. Popatrz, do czego nas to doprowadziło.

— Los był dla was okrutny, ale wiesz... ja nadal sędzę, że byliście dla siebie stworzeni. Żałuję, że wyjechałaś.

— Zrobiłam to, co uważałam za słuszne. Nie chciałam wychowywać córki tam, gdzie straciłam syna.

— Wiem, wiem. Nie mam prawa cię krytykować i nawet nie mam zamiaru. Ale tęskniłam za tobą, Daisy. Niełatwo jest być

kobietą w domu dwóch Tuckerów. Ty wprowadzałaś równowagę do rodziny.

Daisy wytarła oczy.

— Tak bardzo tęskniłam za matką — przyznała. — To ty pomagałaś mi włożyć ślubną suknię. Ty byłaś moją teściową i babcią naszych dzieci. Dla Sage nadal nią jesteś.

— Śnieżne gęsi nie potrzebują papierów. — Louisa próbowała uśmiechnąć się, ale w jej głosie pobrzmiwała gorycz. — Nie potrzebują aktu ślubu jako dowodu na to, że związały się na całe życie, więc chyba mogą być babcią Sage, choć jej dziadek nie jest moim mężem.

— Tak, możesz. — Imię córki trafiło do serca Daisy, ogrzało Je.

— Cieszę się, że wróciłaś — powiedziała Louisa.

Stajnie rancza DR były wielkie i ciemne; nad głową idącej przez nie Daisy krążyły jaskółki, cienie w mroku. Konie witały ją rzeniem, a ona czuła, jak mocno bije jej serce — niektóre z nich znała przecież i pamiętała! Ranger, Chiquita, Piccolo... Zatrzymywała się przy boksie każdego z nich, witała się z nimi, gładziła aksamitne łby. Konie patrzyły na nią szeroko rozwartymi, uważnymi oczami; czyżby i one ją rozpoznawały?

— Cześć, przyjacielu — powiedziała do Rangera. — Byłeś największy i jesteś największy. Dlaczego nie pracujesz z kowbojami? — Wielki gnadosz potrząsnął łbem, a potem opuścił go, jakby zawstydzony pytaniem. Zawsze był koniem Jamesa, jego ulubionym. Widziała białe wąsy na jego pysku, suchą skórę za uszami. Ranger pozostał największym koniem w stajni, ale był już stary. Zauważyła to z przykrością, lecz jednocześnie zdała sobie sprawę z tego, że przecież nie spodziewała się zobaczyć ani jego... ani żadnego z tych, które tu kiedyś były.

Przywitała także te nowe, których nigdy przedtem nie spotkała. Czarny kot zeskoczył z jednej z krokwi, spod sterty siana rozległ się pisk zabijanej myszy. W ciemności poderwały się nietoperze; Daisy podskoczyła, jakby otarł się o nią duch. Serce biło jej mocno, z trudem łapała oddech. Nagle zapragnęła zaczerpnąć



świeżego powietrza na otwartej przestrzeni, odpędzić demony przeszłości, zappełnić pustkę, którą powinna przecież zappełnić Sage.

Lata spędzone na wschodzie odebrały jej jeździecką pewność, lecz teraz najbardziej ze wszystkiego zapagnęła osiodłać konia i pogalopować na wzgórze. Przed laty James trzymał kilka wyjątkowo łagodnych koni, dla niej i dla dzieci. Pamiętała Silver Star i...

— Scout! — krzyknęła głośno.

Czy to możliwe? Izabelowata ćwierciaczka\*<sup>4</sup> zajmowała swoje stare stanowisko, mniej więcej w połowie stajni. Sierść miała splątana i brudna, jakby nie czesano jej od bardzo dawna. Stała smutno, ze spuszczoneym łbem.

— Scout... — próbowała powtórzyć szeptem, ale nie zdołała wydobyć głosu z gardła. Scout była jej koniem. Sage i Jake jako dzieci jeździły na oklep właśnie na niej, prowadzone stępa wśród dzikiej szafli. Jazda na tej lśniącózłotej, izabelowatej klaczy była prawdziwym powodem do dumy. Silna, zręczna, potrafiła zejść stromą górską ścieżką, przejść po zamarznętej rzece, nie bała się przepaści. Dzięki niej Daisy wracała do domu z nocnych wypraw, długich wycieczek, spędów. Daisy wyczesała ją zgrzebłem, myła i pielęgnowała tak, jak nauczył ją tego mąż.

A teraz najwyraźniej nikt się o nią nie troszczył. Biała grzywa i ogon były brązowe od unoszącego się w stajni pyłu. Klacz trzymała głowę nisko; Daisy odebrała to jako dowód jej zubożenia. Jak James mógł pozwolić, by do tego doszło. A może był to zupełnie inny koń, inna izabelowata klacz w stajni jej klaczy?

— Scout — powtórzyła, wysuwając rękę między pręty. — Hej, Scout. Pamiętasz mnie?

Większość koni miała boksy stojące, tak wąskie, że nie mogły się w nich położyć. Konie rodzinne, nie przeznaczone do pracy, miały do dyspozycji większe boksy, w których mogły się poruszać. Ta stara klacz stała jednak jak przymurowana do miejsca.

---

<sup>4</sup> \* *Ćwierciak* (ang. *quarter horse*) — amerykańska rasa drobnych silnych koni, bardzo popularnych w hodowli, wystawianych w wyścigach na dystansie ćwierć mili (ok. 400 metrów) — stąd nazwa (przyp. tłum.).

— Washakie — szepnęła Daisy.

Czy jej się zdawało, czy Scout jednak poruszyła łbem? Tak, popatrzyła w lewą stronę, po czym powróciła do pierwotnej pozycji. Daisy przyglądała się jej poprzez mrok i pył, starając się rozpoznać w niej swego konia z dawnych czasów. Mogła już mówić i jej głos stawał się coraz silniejszy.

— Pamiętasz rzekę? Jeździłyśmy jej brzegiem, wysoko, w góry. Lubiłaś zimną wodę, im była zimniejsza, tym lepiej, zwłaszcza kiedy topniały śniegi...

Wstrzymała oddech, sięgając głębiej do boksu. Mówiła dalej.

— Pamiętasz mnie? Pamiętasz nas? Mnie, Sage, Jake'a? James jeździł na Rangerze... pamiętasz swego przyjaciela Range-ra? Washakie, Scout. Washakie.

Kiedy wypowiedziała to imię, poczuła się mocniejsza. Opowiadała starej klaczy o górskich ścieżkach, o słońcu na niebie, krokusach przebijających śnieg, błękitnym lodzie na czerwonych głazach.

Koń przestąpił z nogi na nogę, Daisy usłyszała szelest słomy deptanej podkowami. I nagle, z tupotem kopyt po deskach, klacz odwróciła się. Łeb nadal trzymała opuszczony, jakby przegrała walkę z siłą grawitacji. Przeszła przez swój duży boks. Daisy wyciągnęła ku niej drżącą rękę. Klacz powoli podniosła łeb i powąchała ją; kobieta poczuła jej ciepły oddech na palcach. A potem koń spojrzał jej prosto w oczy.

— To jednak ty... — szepnęła.

Pasmo posiwiałej grzywy opadało na oczy Scout. Daisy odsunęła je na bok. Brązowe oczy klaczy wpatrywały się w nią mądrze, z miłością, widać było, że ją poznaje. Klacz potrząsnęła głową i zarżała cicho. Daisy otworzyła bramkę boksu. Mosiężne zawiasy zgrzytnęły; nie oliwiono ich od bardzo dawna.

Daisy przytuliła się do swego starego konia. Otoczyła ramionami jego potężną szyję, przytknęła twarz do łba. Czowała drżenie, jakby jej dotyk przywołał starą klacz do życia. To, że płakała, nie było dla niej niczym nieoczekiwanym; pani płakała w jej grzywę pierwszego dnia po zniknięciu Jake'a i każdego następnego. Scout знаła jej zapach, głos i łzy.

Daisy wyprowadziła konia z boksu. Chciała wyczesać go, rozplatać piękną grzywę, oczyścić brudną sierść, ale najpierw obie powinny zrobić coś znacznie ważniejszego. Wyprowadziła Scout na jasne światło dnia. Zatrzymały się przy korralu; Daisy odbiła się od jednego z bali ogrodzenia i dosiadła jej. Ruszyły przed siebie, wiatr wiał jej w twarz.

Nie dosiadała konia od dwunastu lat, na wschodzie ani razu nie jeździła konno. Bała się, pewna, że będzie jej potrzebne siodło i uzda, i ktoś, kto udzielałby jej rad. Kobieta tak niedbała, że aż straciła dziecko, potrzebuje oczywiście wodzy, strzemion, jakiegoś uchwytu. Ale Scout była zupełnie innego zdania.

Stary koń nie miał ochoty zaczynać ostro. Poruszał się jak łódź na spokojnych wodach, majestatycznie kołysząca się z dziobu na rufę. Daisy wczepiła się palcami w grzywę, pozwalając mu biec, gdzie chce. Scout potknęła się raz, omal nie przerzucając jej przez łeb. Daisy utrzymała się jednak na jej grzbiecie. Doskonale знаła tę starą klacz o łagodnym, spokojnym chodzie.

Przejechały obok stajni i budynku dla pracowników, dotarły na tylne złotobrazowe pastwisko. Po szarym niebie przemykały białe chmury. Stado szpaków opadło na ziemię jak czarny płaszcz i zaraz znów wzbilo się w powietrze. Daisy przylgnęła do końskiego grzbietu, oczekując, że Scout się spłoszy, ale stara klacz spokojnie kłusowała przed siebie.

Jechały na wzgórza. Daisy omal jej nie wstrzymała — gdzieś tam był James, a ona nie była jeszcze gotowa, by się z nim spotkać. Wolą nie oddalać się od telefonu, detektyw LaRosa mogła przecież zadzwonić w każdej chwili, Sage mogła przecież w każdej chwili wejść na rancho. Coś jednak kazało jej zapomnieć o problemach, przestać rozpaczać, drzeć ze strachu i pozwolić sta-remu koniowi nieść się gdzieś, gdziekolwiek, byle dalej.

Po raz pierwszy od lat przyjrzała się ranczu w jasnych promieniach słońca. Niektóre budynki i fragmenty ogrodzenia domagały się pomalowania. Z pobliskiego pastwiska nie wywieziono przewróconego przez wiatr drzewa. Teren zabaw dla dzieci wysprzątno za to porządnie: po huśtawkach, zjeżdżalni, drabinkach i innych przyrządach nie pozostał nawet ślad.

Z nieba spadło kilka płatków śniegu. Scout potrząsnęła łbem, a kiedy była już na wysypanej żwirem ścieżce, zawahała się, bo jej prawa tylna noga poślizgnęła się na kamieniu. Daisy poklepała ją po szyi, koń szybko odzyskał równowagę i pocieszony kilkoma słowami pewnie ruszył dalej.

— Grzeczna, grzeczna dziewczynka.

Scout ufała Daisy, łatwo było wyczytać to z jej chodu, z tego, jak pewnie stawiała nogi. A Daisy ufała Scout, głęboko i bez reszty. Jechała na swojej klaczy w górę łagodnym zboczem pagórka, wprost w niebo. Na ranczu zmieniło się wiele rzeczy, ale niebo nie. Palce miała zimne. Serce biło jej równo; pochyliła się i otoczyła ramionami szyję konia, chłonąc bijące z jego ciała ciepło. Zamknęła oczy. Jechała konno. Na swoim koniu.

Gdzieś na granicy Nebraski Sage złapała gumę. Nad jej głową gromadziły się chmury, a ona złapała gumę! I nic nie mogła na to poradzić. Kiedy pompowała oponę, powietrze natychmiast uchodziło z niej z sykiem.

Poprzedniej nocy, po kilku godzinach spędzonych w drodze, ciężarówka z pieczywem podjechała pod szpital. Kierowca dostarczył szpitalnej kuchni bułki, a tymczasem Sage wy dostała się z kryjówki z plecakiem pełnym wczorajszych babeczek. Wyciągnęła rower i sprowadziła go po metalowej rampie.

Wstawiła rower w stojak, zabezpieczyła go przed kradzieżą i weszła do środka. Pomieszczenia szpitala były jasno oświetlone, ciepłe; nagle poczuła się bezpiecznie. I pełno tu było łazienek: w każdym korytarzu znajdowała się co najmniej jedna dla gości, pacjenci mieli do dyspozycji po jednej na dwie sale, a dla niepełnosprawnych wydzielone były osobne pomieszczenia z prysznicami. Skorzystała z tego, by wziąć porządny prysznic. Wytarła się papierowymi ręcznikami.

Poczuła się o wiele, wiele lepiej. Po krótkich poszukiwaniach znalazła szpitalną kafeterię i za trzy dolary, odliczone z bardzo niewielkiego zapasu pieniędzy, kupiła sobie potężną porcję gulaszu wołowego z makaronem, a na deser galaretkę.

W windzie nacisnęła przez pomyłkę zły przycisk i zamiast na parterze znalazła się w piwnicy. Usłyszała szum pracujących pralek. Na wózkach piętrzyły się stosy brudnej pościeli. Rozejrzała się, ale nie zauważyła nikogo. Zatrzymała jedną z suszarek, wyłożyła ręczniki na pusty wózek, wśliznęła się pomiędzy nie — ciepłe i świeże — i zasnęła, nim zaczęły stygnąć. Śniła o rodzicach i dzieciach, rozdzielonych szklaną ścianą; w tych snach była zarówno matką, jak i dzieckiem. I ktoś zawsze się nią opiekował.

A teraz stała na pustej szosie. Musiała najechać gdzieś na gwóźdź. W oponie znalazła dziurę wielkości palca. Podróżowała bocznymi drogami, a teraz jeszcze nad jej głową zbierały się burzowe chmury. Na obrzeżach małego miasta kierowała się drogowskazami na Maine.

Wiedziała, że w okolicy nie znajdzie żadnego sklepu. Bała się tej chwili, choć zdawała sobie sprawę z tego, że mogła przecież nadejść — by dojechać do Wyoming, spotkać się z ojcem, będzie musiała korzystać z okazji.

Minęło ją zaledwie kilka samochodów. Sage zostawiła rower wśród niskich jałowców. Gardło miała ściśnięte — mama dała jej połowę pieniędzy na kupno tego nowego Treka, był to jej prezent pod choinkę. Miała wówczas trzynaście lat. Resztę pieniędzy zarobiła, opiekując się dziećmi i sprzątając śnieg z podjazdów. Ciężko jej było zostawić rower, bo mama pobłogosławiła go i wszystkie jej wycieczki, wyciągając ręce nad kierownicą.

— Bądź bezpieczna, kochanie — powiedziała. — Niech drogi będą równe i gładkie, wzgórza niskie... i zawsze wróc do domu.

— Zawsze wróc do domu — powiedziała teraz głośno w pustkę chłodnego listopadowego dnia. W oczach miała łzy.

Odprowadziła wzrokiem przejeżdżający obok niej poobijany, stary samochód. Skulona nad ukrytym rowerem, dotknęła amuletu, który zrobiła dla niej matka. Cokolwiek miało się zdarzyć, został jej naszyjnik. Przesunęła palcami po wyrzeźbionej na nim twarzy chłopca i po twarzy dziewczyny.

Pożegnanie z rowerem było najtrudniejszym momentem w jej wędrówce od chwili pożegnania z Billem. W pewien sposób okazało się trudniejsze niż rozstanie.

Sage wstała, zachwiała się lekko i rozejrzała dookoła. Ciemne chmury zdążyły już zasłonić słońce. Wysokie sosny na horyzoncie wyglądały jak strażnicy wrogiej armii. Zadrżała. Rower, przyjaciel, którego nagle zabrakło, wszystko, co jest dzieciństwem, pozostało pod krzakami jałowca.

Zawsze wróć do domu — pomyślała.

Pod sercem poczuła delikatne kopnięcie dziecka. Potrzebowało pożywienia i schronienia; musiała mu je zapewnić. Miała wrażenie, że pyta: „Czy jesteśmy na miejscu?”.

— Już niedługo — odpowiedziała głośno. Dostrzegła błysk samochodowych świateł — na tej prostej, równej drodze były z pewnością bardzo daleko. Odetchnęła głęboko, podniosła rękę. Samochód był coraz bliżej. Serce się jej ścisnęło. Poczuła kopnięcie dziecka.

— Już niedługo — powiedziała głośno.

RS



Od chwili jej przyjazdu na ranczo minęła niemal doba, a James nie zamienił z Daisy nawet jednego słowa. I bardzo się starał, by uniknąć okazji do rozmowy; sam narzucił sobie tyle pracy, żeby być jak najdalej od domu. Mimo mrozu i padającego śniegu pojechał nad północną granicę sprawdzić, co z bydłem.

Górskie pasmo, nagie i groźne, wznosiło się w niebo tysiącem odcieni szarości. Deszcze padające w zeszłym tygodniu zakończyły suszę, lecz wyglądało na to, że druga część przepowiedni Daltona sprawdzi się również: nadchodziła wczesna i ciężka zima. Bydło skupiało się w ciasne grupki, gryząc zbrązowiałą trawę. Zbliżał się czas sprzedania pięciuset sztuk, już wkrótce mieli z Paulem spędzić je w tym celu do specjalnie przygotowanej zagrody.

Próbował liczyć napotkane po drodze cieleta, ale nie potrafił się skupić.

Daisy przyjechała na ranczo.

Jej obecność wyczuwał w powietrzu, zupełnie jakby przyleciała do Wyoming na własnych skrzydłach, pozostawiając po sobie wyraźny ślad. Nie widział jej od poprzedniej nocy, kiedy ukryty w cieniu obserwował jej zachowanie na ganku domu niczym jakiś podglądacz. Całym ciałem i duszą wyczuwał jednak jej obecność i nadal słyszał, jak woła w noc imię „Washakie” mrozącym krew w żyłach głosem osaczonego dzikiego zwierzęcia. Rozumiał jej wściekłość, gniew i rozpacz, sam przecież odczuwał to samo.

Paulowi powiedział, że objedzie granice rancza w poszukiwaniu śladów człowieka lub ludzi, którzy zabili cielaka. Na razie jedynymi śladami, które udało mu się znaleźć, były puszki po piwie, zadeptane ognisko, odciski butów na ziemi, biegnące wzdłuż grzbietu jednego ze wzgórz. James miał ochotę dorwać winnego i rozszarpać go na kawałki własnymi rękami.

Na ogół potrafił panować nad emocjami, ale obecność Daisy wytrąciła go z równowagi. Czuł, że gdyby udało mu się dopaść choć jednego z winnych, zmusić go, żeby zapłacił za to, co zrobił, poczułby się w jakiś sposób wolny. Mógłby kontrolować płonący w jego duszy ogień. Ogień podsycany tym, co stało się z jego synem. Podsycany tym, co stało się z jego życiem. Odetchnął głęboko, choć z trudem; nawet pod wysokim niebem Wyoming, tu, w czystym, świeżym powietrzu czuł ucisk w piersi. Uderzył konia piętami raz, a potem drugi. Ruszyli w dół zbocza niczym żywa lawina, a za nimi posypały się kamienie. Szybciej, szybciej! Może ześlizgną się, wzleczą w powietrze nad przepaścią.

James spojrzął na czarną grzywę konia — nazywał się Wódz. Sam nadał mu to imię cztery lata temu, na pamiątkę pewnej swojej tajemnicy, ale od dawna nawet w myślach nie nazywał koni imionami. Były tylko narzędziami, dzięki którym mógł wykonywać swą pracę, niczym więcej. Louisa powiedziała mu, jaki wstrząs przeżyła Daisy na widok zaniedbanej Scout, swej ukochanej izabelowatej klaczy; wiedział od niej, że po południu przeszło godzinę wyczesywała rzepy z jej ogona i grzywy. Całe lata minęły od czasu, gdy on sam poświęcał czas i okazywał koniom troskę, jaką niegdyś okazywał rodzinie.

Zjechał ze wzgórza i teraz pędził po płaskim pastwisku. W tej ziemi zakłute były wszystkie sekrety wszechświata, odpowiedzi na wszystkie zagadki, tu leżały trupy ludzi, którzy — gdyby żyli — mogliby opowiedzieć wiele fascynujących historii. Wódz pędził tak szybko, że wydawał się wzlatywać w bezbrzeżne niebo.

Wjechali w kanion o czerwonych zboczach. Oczy Jamesa płonęły. Skóra paliła go nadal, serce biło mocno. Tu właśnie stało się to, tu znikł jego syn. Musiał tu przyjechać, musiał sprawdzić... na wszelki wypadek. Matka Jake'a przyjechała na ranczo, zamiesz-

kała w domku, w którym wszystko się zaczęło. Więc nie mógł przecież nie odwiedzić kanionu, nie obejrzeć go jeszcze raz.

Obejrzał. Pomiedzy skałami rosła szalwia, w czerwonych ścianach kanionu widać było pasma bursztynu i jaspisu. Chmury sprawiły, że w środku panował mrok, jakby zapadła tu noc. Po twardej ziemi przesuwały się cienie.

Ze szczytu zachodniego zbocza spadł kamień, pociągając za sobą inne kamienie.

— Kto tam jest?! — krzyknął.

Przyjrzał się uważnie zboczu, zatrzymując wzrok na każdym podejrzanym kształcie. Ciemny i cichy, kanion ten był prawdziwym labiryntem, od którego odchodziły niezliczone mniejsze kaniony i szczeliny skalne. Mimo iż starał się nie przeoczyć niczego, nie dostrzegł najmniejszego ruchu. Ale włosy pod kapeluszem zjeżyły mu się ze strachu. Miał wrażenie, że czarne cienie żyją.

Podjechał bliżej ścian kanionu i nagle zdało mu się, że z góry dobiegł go jakiś dźwięk. Miał też wrażenie, że ktoś go obserwuje. Pod kopyta Wodza potoczył się jeszcze jeden kamień, po czym zapadła cisza. Ktoś szedł wzdłuż zbocza. Próbował nie zdradzić swej obecności, zachować ciszę, oddalić się tak, by nie zostać zauważonym. James poszukał wzrokiem drogi, aby wspiąć się w górę. Karłowate cedry i jałowce wyrastały wprost ze ściany, mógłby się ich uchwycić, znaleźć szczeliny, w które dałoby się wcisnąć nogę.

— Pokaż się! — krzyknął. Czuł, jak ogarnia go szaleństwo, tak jak wtedy, w pierwszym roku po zniknięciu Jake'a. Bywał tu wówczas codziennie, zaglądał w każdą, najmniejszą nawet skalną szczelinę. Wtedy również wyczuwał ludzką obecność, widział duchy przemykające na wietrze.

Spadł kolejny kamyk i na krawędzi ściany kanionu pojawił się wielki kruk, kracząc niczym piła mechaniczna. Być może słyszał właśnie jego... Kruk wzleciał, zatoczył krąg i znikł w szczelinie. James ścisnął konia kolanami. Ruszyli stępa.

Przy stosie kamieni leżały kości. Pochylił się nad nimi, czując suchość w ustach. Życie na zachodzie polegało między innymi na tym, że znajdowało się trupy: zajęcy, jeleni, bydła. Kruki żywią

się padliną. Mimo iż doskonale zdawał sobie z tego sprawę, martwe stworzenie znalezione właśnie tu napawało go niepokojem.

Pochylił się nad wyczyszczonymi do białości kośćmi, przy których pozostały kawałki futra, szarego z czerwono-brązowymi pasmami. Widział kły w szczękach wilka. Dopadło go jakieś większe zwierzę, być może niedźwiedź grizzly.

Zsiadł z konia i pochylił się nad kośćmi. Nie czuł woni zgnilizny — przed nim były tu już jastrzębie, kruki, a także inne wilki. Mógł pozostawić kości w spokoju i w normalnej sytuacji tak by zapewne postąpił, teraz jednak coś kazało mu sięgnąć po nóż i wyciąć kawałek futra. Następnie odciął lewą przednią łapę martwego zwierzęcia, objedzoną do kości, oraz kawałek kręgosłupa. Cieszył się, że to kości drapieżnika. Myślał o wspaniałym duchu wilka. Nie czuł się już obserwowany.

Usłyszał łopot skrzydeł. Spojrzał w górę i dostrzegł lecący na południe klucz gęsi: para za parą, para za parą. Bywało, że widząc je czuł się opuszczony, pozostawiony samemu sobie, ale teraz było inaczej. Przecież Daisy jest w pobliżu.

Schował nóż do pochwy. Pomyślał o pewnym miejscu nad Wind River, Crowhart Butte, gdzie półtora wieku temu wodzowie Szoszonów i Kruków stoczyli walkę na śmierć i życie. Silni mężczyźni zabijający się dla ziemi; typowa opowieść z Wyoming. Zwyciężył wódz Washakie... i uczcił bohaterstwo swego przeciwnika, wycinając jego serce i zjadając je.

Wczoraj wieczorem Daisy wykrzyczała właśnie jego imię. Kochała opowieść o Washakie, mit o pozyskaniu siły od innych stworzeń i o szacunku dla przeciwnika tak wielkim, że zjada się jego serce. Czerpała z niego siłę podczas licznych wypraw w dzikie góry, łącznie z tą, podczas której niedźwiedzica omal nie zaatakowała jej i dzieci. Nauczyła je wymawiać to imię, odpędzające strach przed ciemnością. Jej biżuteria, prawdziwe dzieła sztuki, wywodziła się przecież z tej samej głębokiej wiary, która daje życie potężnym duchom.

Słuchając dźwięku własnego głosu, odbijającego się ciągle echem od ścian kanionu, James włożył kości i futro do torby przy siodle. Prezent pojednania — pomyślał i ogień płonący w jego

duszy zgasł nagle. Znikła gdzieś' wściekłość, uleciała z wiatrem, odpędzona imieniem Washakie.

Wódz napił się chłodnej czystej wody z wąskiego strumienia.

James Tucker rozejrzał się dookoła. Nie potrafił uwierzyć, że w ścianach tego pięknego, spokojnego kanionu zakłute jest źródło nieszczęść, jakie spotkały jego rodzinę. Woda szemrała, omywając złote kamienie. Koń skończył pić, James oddychał swobodnie, nie czując, jak poprzednio, że lada chwila umrze. Echo jego głosu ucichło wśród szemrzących na wietrze cedrów. Na ziemię, na której Jake czekał kiedyś, by ojciec zabrał go do domu, spadły rzadkie płatki śniegu.

Ból i ogień powróciły.

Po skalnym zboczu potoczył się jeden kamień, potem drugi.

Tucker spojrział w górę, więc Strażnik cofnął się od krawędzi klifu. Tak właśnie zaczął sam siebie nazywać — Strażnikiem, i tak o sobie myślał. Był strażnikiem tego, co winno należeć do niego i do jego rodziny.

— Pokaż się! — krzyknął ranczer.

Ja ci pokażę — pomyślał Strażnik, wyciągając w niebo wyprostowany środkowy palec. Pół metra od krawędzi zbocza dostrzegł kamień, okrągły, wielkości samochodowego koła. Podczas gdy James Tucker odcinał łapę głupiemu martwemu wilkowi, podtoczył go czubkiem buta do krawędzi.

Miał nowe buty. Kupił je w sklepie w Lander. Kosztowały przeszło sto dolarów; jeszcze nigdy nie miał niczego tak ładnego. Jako dziecko nosił darowane ubrania, jego buty zawsze ktoś przed nim nosił. I właśnie dlatego — choć już wsunął czubek buta pod kamień, by go zrzucić — zawahał się w ostatniej chwili.

Zarysował skórę.

— Kurwa mać — zaklął, pochylił się, napluł na rysę i roztarł ślinę kciukiem. W tym czasie Tucker zdążył odjechać. Strażnik oddychał ciężko. Stracił doskonałą okazję, mógł przerazić bydłaka na śmierć.

Spóźnił się, niestety.

Spakował aparat fotograficzny, nóż, Kuchenkę oraz broń i ruszył w drogę.

Sage podwozili kolejno: kobieta wracająca z pracy, kierowca ciężarówki przewożący drób oraz komiwojażer sprzedający ubezpieczenia na życie, podróżujący fordem. Zatrzymywał się mniej więcej co dziesiąty samochód. Ludzie, którzy decydowali się jej pomóc, sprawiali wrażenie przyjaznych, choć nieufnych. Nie mówili wiele, ograniczali się praktycznie do stwierdzenia, że zimy w Nebrasce są ciężkie.

Wyjątkiem był komiwojażer, wyglądający i zachowujący się dziwnie. Po pierwsze, miał na sobie garnitur, co wydało się Sage raczej pretensjonalne, zwłaszcza że nieliczni spotkani po drodze ludzie nosili bez wyjątku dżinsy, sztruksy lub robocze kombinezony. Poza tym farbował włosy na nienaturalny żółtawy kolor, i to niedbale, ślady siwizny widać było na przedziałku i skroniach. Był jednocześnie żaloszny i próżny; nie wiedziała, czy powinna się z niego śmiać, czy też mu współczuć.

Prawdziwe jego „ja” wyszło na jaw podczas zwykłej rozmowy o pogodzie i o śniegu w Nebrasce, gęściejszym niż w jakimkolwiek innym stanie. Sage zauważyła nagle, że prowadzi z ręką na kroczu. Wszelkie wątpliwości znikły i dziewczyna aż podskoczyła na siedzeniu — trafiła oto na zboczeńca z gatunku tych, przed którymi ostrzegała ją matka. Boże! — pomyślała. Chciała tylko poruszyć klamką, upewnić się, że istnieje jakaś droga ucieczki, ale w zdenerwowaniu otworzyła boczne drzwi przy pełnej szybkości. Rozległ się cichy sygnał dźwiękowy informujący, że mimo uruchomienia silnika któreś z drzwi samochodu nie zostały domknięte, na przykład po włożeniu do środka zakupów. Komiwojażer przestraszył się chyba nawet bardziej od niej, a kiedy kazała mu się zatrzymać przy następnym słupku milowym, zmyślając na poczekaniu, że za dziesięć minut umówiła się tu z ojcem, natychmiast spełnił jej prośbę.

I tu właśnie stała od co najmniej dziesięciu minut. Minęła ósma, na horyzoncie nie pojawił się żaden samochód. Po drugiej stronie rozjeżdżonego kołami pola, na którym stała rozlatująca się



stodoła z czerwonej cegły, biegło pasmo o przeciwnym kierunku ruchu i tamtędy jechały samochody jeden za drugim. Obserwując je z odległości mniejszej niż pół kilometra Sage wyobrażała sobie, że widzi szczęśliwe rodziny wracające do domu na kolację, niemal słyszała rozradowane głosy, niemal czuła zapach dobrego jedzenia.

Oddech wydobywał się z jej ust białą chmurą. Przez cały dzień niebo było ciemne, lada chwila mógł spaść deszcz lub śnieg. Zmarzły jej bardzo stopy, straciła czucie w palcach dłoni.

Zobaczyła zbliżające się światła, zeszywniała ze strachu. Czyżby komiwojażer wracał po nią? Dziecko dwukrotnie mocno kopnęło ją w pęcherz. Boże, musi zrobić siusiu!

Na szczęście samochód — i nie był to ford minął ją i pojechał dalej. Sage rozejrzała się dookoła, niedaleko walącej się stodoły zauważyła rząd topoli i nieco dalej zardzewiały samochód, pewnie wrak. Miała się gdzie ukryć. Zrobiła krok w tamtą stronę i nagle zdała sobie sprawę, że nie ma szansy zdążyć. Ciemność to dobra rzecz — pomyślała. Pozbawiona jakiegokolwiek osłony, tak że równie dobrze mogłaby być naga, przykucnęła z opuszczonymi majteczkami.

Kiedy skończyła siusiać, sięgnęła do kieszeni, starając się cały czas zachować równowagę. Nie znalazła chusteczki. Czy życie kiedyś dla niej znormalnieje?

Nie zdążyła się jeszcze podnieść, czuła już drętwienie nóg od długiego kucania, kiedy usłyszała nadjeżdżający samochód. Co za radość dla oczu zboczeńca — pomyślała i wstała z wysiłkiem. Po co w ogóle uciekałam z domu? — pomyślała. Tylko zobaczcie, do czego mnie to doprowadziło. Jestem sama, w ciąży, czekam beznadziejnie, aż ktoś zechce mnie podwieźć, siusiam pośrodku drogi... a ojciec pewnie i tak nie będzie chciał mnie widzieć, odeśle do Silver Bay i powie matce, żeby mnie lepiej pilnowała.

Na tę myśl przygryzła wargi, a jej oczy napełniły się łzami. I znów poczuła ucisk na pęcherz. Dziecko poruszyło się energicznie, jakby uznało to wszystko za dobry żart.

Samochód zwolnił. Nie widziała go jeszcze wyraźnie, ale już wiedziała, że tak, to zboczeniec.

— Nie mogłem zostawić cię tu samej — powiedział przez otwarte okno i uśmiechnął się. Miał piękne, białe i równe zęby. Krawat ścisnął mu szyję tak mocno, że twarz mu podpuchła i szczyrniała. — Pomyślałem sobie tak: „Tatuś na pewno jej tu nie znajdzie”. Wsiadaj, panienko, podrzucę cię gdzieś, gdzie są ludzie.

— Dziękuję bardzo, ale to niepotrzebne — odpowiedziała grzecznie Sage. — Ojciec wie, gdzie na niego czekam.

Komiwojażer otworzył drzwi forda i wysiadł powoli. Wykorzystał czas, żeby popracować ręką — choć krawat miał zawiązany, a koszulę zapiętą na wszystkie guziki, jej poły wystawały ze spodni, a spodnie... tak, rozporek był częściowo rozchylony.

— Jesteś w ciąży — raczej stwierdził, niż zapytał.

— Tata zaraz przyjedzie... — Sage rozpaczliwie rozejrzała się dookoła. Czy zdoła uciec przed nim przez pole? Będzie musiała zostawić plecak. Być może zsiusia się, biegnąc, ale nie ma to przecież żadnego znaczenia!

— Wcześniej zaczęłaś się kochać. Ile masz lat? Piętnaście, najwyżej szesnaście. No ile?

Sage rzuciła plecak i odwróciła się, ale komiwojażer zdążył złapać ją za ramię. Poczowała, że obmacuje ją grubymi paluchami, zupełnie jak maca się kure, by sprawdzić, czy jest odpowiednio tłusta. Zaczął ciągnąć ją do samochodu. Sage krzyknęła. Próbowała kopnąć go w krocze, ale poślizgnęła się na cienkiej warstwie leżącego na asfalcie piasku. Słyszała ciężki oddech napastnika, czuła, jak próbuje ją przytulić. Wrzeszczała jak szalona, wierzgała, ale nie umiała się obronić.

Skądś z dala dobiegł ją ryk silnika. Rozejrzała się, szarpnęła. Zboczeniec wyteżył wszystkie siły i udało mu się pociągnąć ją w kierunku forda. Stękał z wysiłku, usiłując wrzucić ją na przednie siedzenie.

W tym momencie rozległ się pisk opon na zasypanym piaskiem asfalcie.

— Tatuś! — wykrzyknęła Sage, nadal próbując się wyrwać. Komiwojażer szarpnął ją za włosy. Podniosła głowę, ale nie wi-

działa żadnego samochodu, pewnie tylko się jej wydawało, choć ryk silnika musiał być prawdziwy, bo nie cichł. — Tatuś przyjechał!

— W cholere z nim! — Mężczyzna nadal mocno trzymał ją za włosy.

Na polu pojawił się jakiś ciemny cień — duży czarny wóz z wyłączonymi światłami, długi, podobny do nowych džipów, ale stary, nisko zawieszony, zupełnie jak samochody robotników naprawiających drogi. Karoserię miał w kilku miejscach przerdzewiałą na wylot... tak, to przecież wrak, który jeszcze przed chwilą widziała obok starej ruiny stodoły. Przednie drzwi otworzyły się i kierowca wyskoczył z niego w biegu, przewrócił się, poderwał na równe nogi, otrzepał i podszedł do nich. Samochód potoczył się jeszcze kawałek i stanął, opierając się zderzakiem o kępę trawy.

— Sprawa rodzinna — powiedział komiwojażer.

Sage chciała zaprotestować, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu, tylko szczekała zębami. Okazało się zresztą, że nie musi nic mówić. Kierowca starego samochodu, nie czekając na wyjaśnienia, mocno uderzył napastnika w twarz. Usłyszała odgłos uderzenia i łamiących się zębów.

— Sssukinsynnnuu... — zabełkotał komiwojażer, przyciskając dłoń do ust. Krew pociekła mu po brodzie.

— Koniec zabawy!

— Sssukinsynnnuu... — powtórzył mężczyzna, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Takie miał piękne zęby — pomyślała Sage, obserwując, jak wskakuje do forda i odjeżdża, wciskając gaz do dechy. Nie zamierzała mu jednak współczuć. Odwróciła się, by podziękować wybawcy, który jednak, nie czekając na podziękowania, pobiegł do swego samochodu.

Spodziewała się kogoś starszego i potężniej zbudowanego, a tymczasem zobaczyła chłopca mającego około metra siedemdziesięciu centymetrów wzrostu — zaledwie kilka centymetrów wyższego od niej! — i chudego. Miał brązowe włosy, ubrany był w dzinsy. Usłyszała szczekanie, lecz nie od razu zorientowała się, że dobiega z wnętrza samochodu. Chłopak zajrzał do środka,

a potem odwrócił się, by do niej podejść, i wtedy zauważyła, że jest niewiele starszy od niej, ma najwyżej dziewiętnaście lat.

Chciała mu podziękować, ale tylko się na niego gapiła.

— Nic ci nie jest?

— Chyba nie — odparła z wysiłkiem.

— Nie skrzywdził cię ten facet?

— Próbował. — Sage cały czas szczekała zębami.

— Słyszałem. — Chłopak machnął ręką w stronę zrujnowanej stodoły. — Siedziałem tam, kiedy zaczęłaś krzyżeć. Przeraziłaś wszystkie ptaki mieszkające wśród krokwi dachu. Widziałaś, jak odlatywały?

— Nie. Miałam co innego do roboty. To twoja stodoła?

— Skąd. — Chłopak sięgnął do kieszeni koszuli na piersiach.

Wyciągnął z niej pogniecioną paczkę papierosów. — Zapalisz?

Potrząsnęła głową i zrobiła krok w jego kierunku. Miał głos, którego przyjemnie było słuchać, niski, cichy, lekko schrypnięty; był to głos dorosłego człowieka. Czekala, aż zapali zapałkę, chciała zobaczyć jego oczy. Okazało się, że są bladozielone, przykryte podpuchniętymi powiekami; jakby ktoś go kiedyś skrzywdził, jakby miał coś do ukrycia, a może jedno i drugie? Zaciągnął się głęboko, z wprawą, zupełnie jakby palił od dwudziestu lat.

— Dokąd jedziesz? — spytał przez chmurę dymu.

— Do Wyoming.

— Tak?

— Łapię okazję — powiedziała podnosząc rękę. Chciała się roześmiać, ale on patrzył na nią bez uśmiechu, jego zielone oczy błyszczały dziwnie w świetle papierosa i Sage poczuła, że łatwiej byłoby jej rozplakać się.

— Podwożę cię — powiedział. — Sam tam jadę.

— Do Wyoming?

— No... w tym kierunku. Na zachód. Mam na imię David.

— A ja Sage.

Zapomniała na chwilę, że chce się jej siusiu, ale teraz nie była już w stanie ignorować naturalnej potrzeby. Dziecko poruszało się energicznie w jej łonie, zupełnie jakby bawiło się hula-hoop.

— Posłuchaj... — Sage zawahała się. Nie wiedziała, jak grzecznie powiedzieć mu, że musi zrobić siusiu.

— Nie krępuj się — powiedział David. — Nie będę podglądał. — Odwrócił się; Sage miała wrażenie, że czyta w jej myślach. Kucnęła, podpierając się ręką. Jeden z zamkniętych w samochodzie psów zawył przeraźliwie żałośnie. Widziała go, jak skacze z przedniego siedzenia na tylne i z powrotem, z nosem cały czas przyciśniętym do szyby, jakby próbował dostać się jak najbliżej pana.

David dotknął szyby palcem i zwierzę natychmiast się uspokoiło. Zamarło, przytykając przez szybę nos do palca chłopaka, jakby czerpało odwagę z jego zapachu. Sage skończyła i ruszyła ku samochodowi. Marzyła tylko o jednym: jak najszybciej schronić się w ciepłym wnętrzu, znowu usłyszeć głos Davida.

RS

Louisa i Dalton pojechali do „Stagecoach” zjeść kolację i posłuchać nowego gitarzysty, który miał zastąpić Marty'ego Hamlina. Marty wrócił do więzienia. Złamał warunki zwolnienia.

Louisa siedziała na scenie, światła świeciły jej prosto w oczy. Śpiewała cicho, podczas gdy młody człowiek grał „Gentle on my Mind”, znakomicie, miękko i czysto. Cieszyła się, że przynajmniej ten problem został rozwiązany, że nie będzie musiała przerywać występów i że teraz będą jeszcze lepsze; Marty grał ostro, gniewnie, a ona uważała gitarę za instrument romantyczny...

Z tych rozmyślań wyrwał ją głośny trzask.

Ludzie otaczali Daltona, leżącego na podłodze i jęczącego z bólu. Louisa przedarła się przez ich krąg, przyklękła przy nim. Pomyślała najpierw, że to atak serca, ale starzec oczy miał otwarte i oddychał bez trudności, tylko wił się z bólu, a twarz miał bladą jak śmierć.

— Co się stało, kochanie? Co się stało? — spytała.

— Ktoś do mnie strzelał.

— Strzelał? Boże...! — Louisa rozejrzała się, szukając śladów krwi.

— On upadł — szepnęła jej do ucha jedna z kelnerek. — Szedł do toalety i nagle upadł, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Mój dziadek w zeszłym roku złamał sobie biodro, wyglądało to identycznie...



— Wezwijcie karetkę — przerwała jej Louisa. Głos miała zdumiewająco spokojny.

— Wezwaliśmy, już jest w drodze. — Ale Louisa już jej nie słuchała.

Chwyliła Daltona za rękę. Widziała jego oczy, otwarte tak szeroko, że widać było białka wokół tęczówek. Starzec był przeżony, więc przykryła go szalem, pochyliła się i pocałowała w usta. Były zimne; przestraszyła się, że może to oznaczać szok.

— Postrzelili mnie — poskarżył się Dalton. — Strzelanina w barze, jak za czasów taty...

— Jesteś bezpieczny — próbowała go uspokoić. Słyszała rozmowy otaczających ich ludzi, współczujących, lecz także podśmiewających się trochę ze zmieszania starego. By odgrodzić go od tych śmiechów, zapewnić mu spokój, przykryła jego ciało swym ciałem.

— Postrzelili mnie. — Dalton patrzył jej prosto w oczy, jakby szukał w nich prawdy. —<sup>L</sup> Nikt mi nie wierzy, ale to przecież prawda. Postrzelili, mnie, prawda? Prawda?

— Skoro tak mówisz, kochanie... wierzę ci.

W godzinę później Dalton znalazł się w nowym centrum medycznym, wybudowanym przy autostradzie. Louisa rzuciła palenie przed wielu laty, ale w tej chwili marzyła o papierosie. Czekanie nigdy nie było jej mocną stroną. Zadzwoiła na ranczo. Słuchawkę podniósł James; po jego głosie poznała, że jest rozczarowany — z pewnością myślał, że to telefon od Sage. Kiedy opowiedziała mu o ojcu, poderwał się na baczność.

— Jak to się stało?

— Nikt nie wie. Przez cały dzień, od samego rana, był zdrowy i przytomny, a po kolacji po prostu upadł. Wygląda to dość poważnie. Z pewnością coś sobie złamał, ale jeszcze nie wiemy co.

— Lekarze nic nie powiedzieli?

— Robią badania i próbują jakoś mu ulżyć.

Cisza. James spacerował po pokoju; słyszała odgłos jego kroków.

— Cudem mnie złapałaś — powiedział w końcu. — Podjechałem tylko na chwilę, sprawdzić, czy nie ma jakichś wiadomości o Sage.

— Spęd, wiem.

— Owszem, spęd. Nie mogę opuścić rancza.

— Nie musisz. Będę przy nim.

— Ale to mój ojciec...

— Będę przy nim — powtórzyła Louisa.

— Dziękuję. Powiedz mu, że przyjadę do szpitala, gdy tylko będę mógł, dobrze?

— Oczywiście.

Kiedy odłożyła słuchawkę, coś ją ścisnęło za gardło. James podziękował jej, jakby uznawał, że ojciec jest w dobrych rękach. I za to, że jest przy jego boku... a przecież zawsze była. Wściekła się na niego i tak kipiała wewnątrz, że nie zauważyła nawet wejścia swego bratanka Todda. Todd miał na sobie granatowy mundur doręczyciela, jakby do szpitala wezwali go obowiązki zawodowe.

— Ciociu — powiedział, stając obok niej. Widać było, że jest bardzo zaniepokojony. — Mel ze „Stagecoach” powiedziała mi, co się stało. Przyjechałem od razu, nie wypilem piwa, nawet nie odstawiłem samochodu.

— Och, Todd! — Objęła go, pocałowała w policzek. Tak bardzo ucieszyła się, że ma przy sobie kogoś z rodziny, iż złapała chłopaka za rękę i nie chciała jej puścić. — Dalton upadł. Właśnie robią prześwietlenie i...

— O rany! Upadł? Nic mu się nie stało?

— Nie wiem. Nie chcieli mi nic powiedzieć. — Spojrzała gniewnie na pokój zabiegowy, ale przez zasłonę nic nie było widać. — Próbowałam wejść tam razem z nim, ale mi nie pozwolili.

Ojciec zwykł był powtarzać jej, że krew jest gęściejsza od wody. Nie potrafiła mu uwierzyć, nie do końca. Kiedy zaszła w ciążę, jej stosunki z rodzicami znacznie się pogorszyły, a ostatnio córka też prawie jej nie odwiedzała; mąż chciał ją mieć na własność, był człowiekiem głupim i egoistycznym. Obecność Todda, jego mocny uścisk przyjęła z wdzięcznością, czerpiąc otuchę z tej zwykłej rodzinnej serdeczności.

— Pani Tucker? Młody mężczyzna w białym fartuchu podszedł do nich. Przedstawił się jako doktor Middleton.

— Jestem Louisa...

— Tak, to pani Tucker — przerwał jej Todd.

— Doskonale. — Lekarz nie zwrócił uwagi na wyraz zdumienia na twarzy Louisy. — Pani mąż ma złamaną kość udową. Kość udową prawej nogi.

— To tak jak z biodrem, prawda? Coś takiego zdarza się wszystkim starszym ludziom. Mnie też czeka...

— Niestety, mamy do czynienia ze znacznie bardziej skomplikowanym przypadkiem. Złamanie kości udowej jest o wiele boleśniejsze i w przypadku pani męża o wiele poważniejsze. Cierpi na znaczny ubytek tkanki kostnej, a ta kość... przepraszam, ale po prostu się rozsypała.

— Rozsypała? — Przerażona Louisa wyobraziła sobie kość rozsypującą się w proch.

— Niestety tak. Proszę wyobrazić sobie starą ścianę, w której zaprawa...

— Hej! — zdenerwował się Todd. — Naprawdę musi pan zachowywać się tak... tak bezdusznie?

— Bardzo mi przykro. — Lekarz lekko skłonił głowę, uniósł dłoń w przeproszającym geście. — Pragnę tylko, by pani Tucker dobrze mnie zrozumiała. Rekonwalescencja będzie długa i trudna, jej mąż musi mieć opiekę przez całą dobę. Sam nie zdoła wstać z łóżka, pójść do łazienki... a jeśli weźmiemy pod uwagę, że nie jest w pełni sprawny umysłowo...

— O mój Boże! — Louisa nie była w stanie ukryć przygnębienia. — Pewnie inaczej by się pan zachowywał, gdyby był pan ordynatorem przyzwoitego szpitala, a nie pracownikiem tego obozu koncentracyjnego... — Lekarz patrzył na nią z wyraźnym współczuciem i to tylko pogorszyło jej samopoczucie.

— Potrzebujemy chyba trochę czasu, parę spraw musimy sobie przemyśleć — wtrącił Todd.

— Oczywiście. Całkowicie się z państwem zgadzam. Wyślę pana Tuckera do szpitala w Dubois, póki jego stan się nie ustabilizuje. A potem...

— Nad „potem” zastanowimy się później — przerwał mu szorstko Todd.

Doktor Middleton pożegnał się i odszedł.

— Dziękuję, że przyjechałeś — powiedziała Louisa. — James ma spęd.

— Cieszę się, że mogłem pomóc.

— Jestem ci głęboko wdzięczna za to, co powiedziałeś na początku. Że jestem panią Tucker.

— Bo dla mnie jesteś.

Skinęła głową. Nie znośiła tracić panowania nad sobą w miejscach publicznych, nienawidziła sytuacji, w których ludzie widzieli jej słabość, i nienawidziła łez, rujnujących jej makijaż.

— Mam tylko nadzieję, że Dalton cię zabezpieczył — mówił dalej Todd. — Oczywiście chodzi mi o przyszłość. Że zostawił dokumenty świadczące, że uważa cię za żonę, którą zawsze dla niego byłaś.

— Nie powinieneś nawet wspominać o jakichś testamentach — powiedziała Louisa groźnie, stanowczo. — Jeśli usłyszę kiedyś kogoś, kto wypowiada słowa „Dalton” i „testament” w jednym zdaniu, to on będzie potrzebował testamentu.

— Chodzi mi tylko o to, że powinnaś być jakoś zabezpieczona.

— Nie martw się. Mówimy o przyzwoitym człowieku, który zawsze postępuje tak jak powinien. — Louisa przygładziła włosy. Doktor wiedział, co się stało, a więc koniec z badaniami. Może zobaczyć Daltona.

— W to nie wątpiłem nigdy — powiedział Todd.

— Aha!

— We wszystkim ci pomogę. Siostra Tammy jest wykwalifikowaną pielęgniarką. Pracuje w domu opieki niedaleko Dubois. Przyjmuje zlecenia prywatne. Zadzwoń do niej, zapytam, jak to jest przy złamaniach kości udowych.

— Dziękuję... bardzo ci dziękuję. — Louisa poczuła się nagle stara i zmęczona, zupełnie jakby popekała zaprawa muru jej duszy. Usiadła i zapatrzyła się na swe stopy w czerwonych szpileczkach. Rano gotowa była tańczyć w deszczu, a teraz mężczyzna, który

był miłością jej życia, leżał w szpitalu, a jego kości obracały się w proch.

Słowa Todda skłoniły ją do myślenia. Na ranchu DR — a litery te oznaczały imiona Daltona i jego jedynej żony, Rosalindy — była przecież wyłącznie gościem. Dalton kochał ją, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości, ale... nigdy przecież nie zmienił nazwy rancha, nigdy się z nią nie ożenił. Postąpił tak z powodu Jamesa, który nie chciał jej zaakceptować, a liczył się bardziej niż ktokolwiek inny; ojciec nie chciał ryzykować konfliktu z synem.

Gdzie się podzieje, jeśli ten stary człowiek... gdy... — potrzęsła głową. Nie wypowie tego ostatecznego słowa nawet w myślach. Rancho jest jej domem. Dalton tak chciał, Dalton nie zostawi jej samej, opuszczonej, bez środków do życia. Nie jest tego rodzaju człowiekiem.

Westchnęła głęboko. Wstała. Pożegnała się z Toddem i na wysokich czerwonych szpilkach, dumnie wyprostowana, poszła białym szpitalnym korytarzem, by stanąć przy boku mężczyzny, którego kocha.

Siedząca w starej przerdzewiałej terenówce Sage czuła przede wszystkim zmęczenie, lecz także ulgę. Rozciętą o zęby komiwojajera krwawiącą rękę David obwiązał sobie gazą; miał całą rolkę w imponująco wyposażonej apteczce. Księżyc oświetlał srebrem oszronione pola Nebraski. David prowadził powoli, jakby się bał, że jego stary samochód nie zniesie szybszej jazdy.

Sage pragnęła podziękować mu, szukała słów, które mogłyby opisać cud, jakim była jego interwencja, ale nie potrafiła zmusić się do rozmowy o tym, co zdarzyło się przed chwilą. Nadal szczykała zębami; marzyła wyłącznie o kąpieli, o zmyciu z siebie obrzydliwego dotyku zboczeńca, który nadal czuła na ciele.

Rozejrzała się dookoła.

Stary samochód zgrzytał i trzeszczał, i w ogóle wyglądał tak, jakby należał do epoki czarno-białego filmu. Siedzenia były podarte, przez dziury wyłaziła z nich biała wata. I nic dziwnego, biorąc pod uwagę liczbę podróżujących nim zwierząt. Popatrzyła na psa zwiniętego w kłębek, psa z obandażowanym łbem, psa ściska-

jącego w pysku podartą zabawkę i na sześć kociąt szalejących po całym wnętrzu, biegających po siedzeniach i oparciach, czepiających się staroświeckich klamek i postrzępionej białej podsufitki.

— Teraz czują się najlepiej — powiedział David. — Ożywiają się po zmroku.

— Po co ci sześć kotów w samochodzie? — spytała, czując niewytłumaczalną ulgę; wolala rozmawiać o kotach niż o swych przeżyciach. — Nie lepiej byłoby im w domu?

— Nie w takim domu, z jakiego pochodzą.

Sage obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Ciekawa odpowiedź. Czyżby David uciekał z jakiegoś straszego domu, czyli miał problem dokładnie odwrotny niż ona, bo przecież ona ma dwa dobre domy, tylko że bardzo od siebie oddalone.

— Uciekłeś? — spytała.

— Nie myślę o tym w ten sposób. Po prostu nie mieszkam z rodzicami.

— Interesujące sformułowanie.

— A ty? Uciekasz z domu?

— Raczej do domu.

— Interesujące sformułowanie. — David uśmiechnął się. Zapalił papierosa; trzymał go w prawej, nie uszkodzonej ręce. I wtedy rzuciły się jej w oczy tatuaże na jego przedramieniu: jastrząb, sowa, gwiazda, księżyc i trzy faliste linie; tak małe dzieci często rysują rzekę.

Rozejrzała się po samochodzie licząc zwierzęta. Kiedy jej spojrzenie skrzyżowało się na ułamek sekundy ze spojrzeniem tęgiego trzykolorowego psa, natychmiast uciekł on w kąt siedzenia, zwinął się wokół zabawki i próbował ukryć łeb.

— Spokojnie — powiedziała, wyciągając rękę.

David spojrział we wsteczne lusterko.

— To Petal — wyjaśnił. — Pitbull.

— Przecież to psy bojowe. — Sage natychmiast cofnęła rękę.

— Tak mówią wyłącznie ignoranci. Petal pochodzi z fabryki zwierząt. Wiesz, co to jest?

— Nie.



— Miejsce, gdzie zwierzęta trzyma się w klatkach dla rozmnażania, póki nie zdechną. Matki całe życie spędzają rodząc szczeniaki, miot za miotem. Dzieci zabiera się im, nim skończą karmić, i natychmiast pokrywa się je znowu. Matki stale tęsknią za szczeniętami. Złe miejsce.

— I Petal tam żyła?

— Owszem. Była jedną z matek. Teraz myśli, że przez cały czas jest w ciąży, chociaż wcale nie jest. Zachowuje się tak od czasu, kiedy ją uwolniłem.

— O mój Boże. — Sage dokładniej przyjrzała się suce, która cały czas trzymała zabawkę między przednimi łapami i lizała ją delikatnie. — Lubi tę zabawkę, prawda?

— Myśli, że to jej szczeniak. Sądzi, że jest w ciąży. I karmi.

Sage oparła dłoń na brzuchu. Dziecko było spokojne, odpoczywało. Dziwne wydawało się jej, że młody w końcu chłopak tak wiele wie o psach i szczeniakach, ale w równym stopniu dziwiła się, że sama jest w tak zaawansowanej ciąży. Za trzy miesiące urodzi i będzie wiedziała o dzieciach tyle co Petal.

— Zabrałeś ją z tej... fabryki?

— Zabrałem. Reszta psów też pochodzi z takich hodowli. Sage znów obróciła głowę, tym razem przyglądając się dwóm innym psom, równie spokojnym jak pitbull. Ten z obandażowanym łbem, biało-rudy spaniel, leżał w drugim kącie siedzenia. Jego i Petal rozdzielał zwinięty w kłębek szkocki terier. Mama i ciocia miały w młodości psy tej rasy i Sage wiedziała, że są one pogodne i szalenie ciekawskie. Ale ten do tej pory nie podniósł nawet łba.

Dopiero teraz uderzyło ją to dziwne zachowanie zwierząt. Sześć kociąt szalało po całym samochodzie, odbijało się od psich grzbietów i łbów jak od trampolin, a psy zamiast ganiać koty, przyjmowały to z całkowitym spokojem. Prawdę mówiąc, ożywiły się tylko wtedy, gdy David wysiadł z samochodu, żeby jej pomóc.

— Co się z nimi dzieje? — spytała. — Dlaczego są takie spokojne?

— Utraciły duszę. Jak wszystkie psy trzymane w fabrykach zwierząt.

Sage zawahała się. Nie miała pojęcia, dlaczego tak trudno przychodzi jej zadanie kolejnego pytania.

— Skąd tyle o nich wiesz?

— W Nebrasce i Wyoming jest ich mnóstwo. — David zreć nie uniknął bezpośredniej odpowiedzi na to pytanie. Nad ich głowami świecił księżyc, zalewając drogę srebrnym światłem. Sage przyglądała się jego twarzy; zauważyła, że nie wyjmuje papierosa z ust, jakby chciał się ukryć za chmurą dymu.

— Mają szczęście, że są z tobą — powiedziała — a nie w tej fabryce.

David nie odpowiedział.

— Dlaczego wozisz je ze sobą?

Znowu milczenie. Chłopak wpatrywał się w oświetloną księżycowym blaskiem drogę przez chmurę papierosowego dymu. Sage na ogół nie lubiła przebywać w zamkniętym pomieszczeniu z ludźmi, którzy palą. Dopóki ciocia Hathaway nie rzuciła palenia, otwierała wszystkie okna, kiedy miały razem wsiąść do samochodu. Teraz jednak dym jakoś jej nie przeszkadzał. W starym samochodzie czuło się zapach tytoniowego dymu, gazów wydechowych, mokrej sierści i kociej uryny, a jednak wcale nie robiło się jej niedobrze. Myślała już, że David zapomniał o jej pytaniu albo postanowił na nie nie odpowiadać, kiedy usłyszała jego głos.

— Ratuje stworzenia potrzebujące ratunku. To moje zajęcie.

— Uratowałeś mnie.

Czując ucisk w gardle, zerknęła na chłopaka i dostrzegła, że skinął głową. Patrzyli na siebie przez chwilę. Uśmiechnęła się do niego, ale on nie odpowiedział jej uśmiechem. Wyglądał na zagniewanego, jakby powiedziała coś, co doprowadziło go do wściekłości. Trzy kocięta skakały na przednim siedzeniu, miaucząc przeraźliwie; być może były głodne, a być może pragnęły po prostu, by ktoś je pogłaskał.

— Ten facet... — powiedziała i znów zaczęła szcekać zębami.

— Bywają źli ludzie.

Skinęła głową, przygryzając kostki palców. Odczuwała skutki szoku — pozornie najzupełniej normalny mężczyzna zaczął ją niespodziewanie napastować, pośrodku niczego w Nebrasce.

— Nic ci nie jest?

Udało się jej skinąć głową.

— Nie myśl o nim. Jeśli tylko potrafisz. Zajmij się czymkolwiek innym. Na przykład — podał jej jedno z kociąt — o nim.

Sage wzięła kociaka na kolana. Po chwili wyrwał się jej i wskoczył Davidowi na ramię. Cała szóstka znalazła się przy nim, miaucząc głośno.

— Przerwa obiadowa — powiedział i zatrzymał samochód. Stanęli na poboczu prostej pustej drogi. Chmury płynęły po niebie z zachodu na wschód, zasłaniając księżyc. David otworzył przednie i tylne drzwi po swojej stronie. Zagwizdał cienko, przeraźliwie. Sage skulona na siedzeniu patrzyła, jak dziewięć zwierzątek posłusznie wychodzi na dwór.

Otworzył bagażnik. Sucha karma wpadała do misek — cisza była tak wielka, że dźwięk ten budził echo. Blade światło księżyca z trudem przebijało się przez chmury. To, co się działo, było tak ciekawe, że Sage postanowiła wysiąść z samochodu.

Terier i spaniel jadły łączywie z oddzielnych misek. David nalał wody z plastikowego kanistra do trzech innych. Następnie zabrał Petal zabawkę, by mogła coś zjeść. W końcu wyciągnął z bagażnika plastikową torbę.

Poczęstował Sage prasowanymi owocami; drugą porcję wziął dla siebie. Sage ziała je, wspominając wycieczki z mamą. Tymczasem David nappełnił dwie małe butelki odżywką dla niemowląt. Przykucnął wśród gromady kociąt, walczących o pierwszeństwo do butelki.

— Wolałyby ciepłe — wyjaśnił. — Ale nie chciałem włączać kuchenki.

— Mogę ci jakoś pomóc?

— Mam jeszcze kilka butelek.

Czuła, że obserwuje ją, kiedy otwierała jego torbę. Odżywek miał tyle, że wystarczyłoby dla armii głodnych kociąt. Nappełniła dwie butelki i usiadła na zimnej ziemi obok niego. Wydobywające

się z ich ust chmury oddechów mieszały się ze sobą, białe, ulotne. Cztery kociaki łąziły po Sage — podała butelki dwóm z nich i żał się jej zrobiło dwóch pozostałych, które musiały czekać na swoją kolej.

— Doczekają się, nie ma strachu — uspokoił ją David. — Ja za to tęsknię do chwili, kiedy będą normalnie jeść.

— Co robiłeś w tej starej stodole?

— Tam, gdzie się spotkaliśmy?

Sage skinęła głową. Otoczona sytymi i najwyraźniej zadowolonymi zwierzętami odważyła się wrócić do drażliwego tematu.

— Nie spodziewałam się nikogo. Myślałam, że zaciągnie mnie do tego samochodu...

— Z pewnością by mu się udało — powiedział David obojętnym tonem, jakby stwierdzał po prostu fakt.

— Nagle ty pojawiłeś się... jechałeś przez pole z wyłączonymi światłami... słyszałam ryk silnika... miałam nadzieję, modliłam się... Modliłam się z nadzieją, że ktoś mnie ocali.

David milczał, wpatrzony w dwa kociaki, które trzymał na kolanach. Najedzone, leniwie trącały łapkami butelki. Odłożył je łagodnie na zamarzniętą ziemię i przygarnął dwa ostatnie, które już prawie umierały z głodu. Butelki były ciągle do połowy pełne.

— Potrafiłam myśleć wyłącznie o ojcu — powiedziała Sage.

— Po co?

— Chciałam, żeby wiedział. Żeby w jakiś sposób mnie uratował.

— Rodzice nie są wszechmocni.

— Wiem — zgodziła się dziewczyna. — Ale mimo to myślałam o tacie.

— Czasami rodzice nie są w stanie pomóc. Przeszkadzają bardziej, niż pomagają.

— Bywa, że odwrotnie.

David znów umilkł. Sage przyglądała się jego dłoniom. Przez gazę przeciekała krew, ale prawie nie zwróciła na nią uwagi, fascynowały ją bowiem tatuaże na jego prawym przedramieniu. Były piękne, istne dzieła sztuki. Sowa miała żółte, bystre i czujne

oczy. Były jak żywe, zupełnie jakby ptak lada chwila miał wzlecieć w powietrze.

Sage spędziła większość życia na przedmieściu miasteczka w Connecticut, gdzie ludzi noszących tatuaże obawiano się, a je same uważano za obrzydliwe. Ilekroć w sklepie spotykała dziewczynę z tatuażem na ramieniu lub kostce, to choćby przedstawiał on różę lub motyla, uważała ją za nieprzystępną. Ale... tatuaże Davida wzruszały ją. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego tak jest.

— Co robiłeś w tej starej stodole? — zapytała po raz drugi.

— Zatrzymałem się na postój.

— Mieszkasz w niej?

— Nie.

— Miałeś zamiar przenocować?

— Tak. Psy nie powinny spędzać zbyt wiele czasu zamknięte w samochodzie. Zbyt przypomina klatki, w których żyły do tej pory.

Sage uniosła głowę. Dwa psy skończyły jeść i chleptały teraz wodę z misek. Petal z zabawką w pysku szła wzdłuż drogi, pilnie obwąchując ziemię. Bała się odejść za daleko, cały czas odwracała łeb, wzrokiem szukała Davida. Chmury zasłoniły księżyc, zrobiło się jeszcze ciemniej i ledwie co było widać.

— Spadnie śnieg. — David patrzył w niebo.

— W październiku? — zdziwiła się Sage. — A może mamy już listopad? — Rzeczywiście, nie wiedziała, jaka dziś data. Uciekła z domu przed tygodniem.

— Mamy czwarty listopada. Zima często zaczyna się o tej porze.

— Nie u mnie w domu, w Connecticut.

— Wydawało mi się, że twoim domem jest Wyoming.

— Jedno i drugie. Mama mieszka na wschodzie, tata na zachodzie. — Sage stłumiła ziewnięcie. Robiło się późno, a ona nie spała od bardzo długiego czasu.

— Jedziesz do ojca?

Skinęła głową. Dwa karmione przez nią kotki oderwały się od butelek. Mruczały, bawiąc się smoczkami. Kiedy była mała, miała lalkę i sama bawiła się butelką, tak jak one teraz.

— Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

— To dobrze. A dlaczego odeszłaś z tego drugiego domu? Domu twojej matki?

— Nie mam pojęcia. — Dziecko poruszyło się w jej łonie, ale Sage nie miała odwagi przyznać się przed Davidem, że jest w ciąży. Pomyślała o Benie, próbowała wyobrazić go sobie, jak karmi koty z butelki dla dzieci. Nie potrafiła; Ben mógł tylko spacerować z plecakiem po korytarzach szkoły, siedzieć na boisku w otoczeniu przyjaciół.

— To twój samochód? — spytała.

— Wuja. Ma napęd na cztery koła, przejedzie przez błoto, śnieg, przez wszystko.

— Dał ci go?

— Nie mnie. Matce. Powinniśmy znaleźć miejsce na nocleg.

— David zmienił temat. — Robi się późno.

Sage skinęła głową i ziewnęła szeroko. Nigdzie nie widać było żadnej stodoły, tylko wyschnięte pole po zżętej kukurydzy. Kotki, które karmiła, zasnęły na jej kolanach, pozostałe cztery bawiły się wesoło. Psy wędrowały pomiędzy nimi z nosami przy ziemi. Petal cały czas nosiła w pysku zabawkę.

— Nie boisz się, że te twoje zwierzaki zaczną uciekać? I że już nigdy ich nie znajdziesz?

— Nie — odparł po prostu chłopak. — Nie uciekną.

Wstał powoli i wyprostował się. Był szczupły, więcej nawet, chudy; koszula wysunęła mu się ze spodni i Sage mogła dosłownie policzyć mu żebra. Na brzuchu także miał tatuaże. Widziała ich zarys, ale nie potrafiła powiedzieć, co przedstawiają. Ich widok ją poruszył, uświadomiła sobie nagle, że chętnie przyjrzałaby się im bliżej.

David otworzył drzwi samochodu i zagwizdał jak poprzednio. Ten gwizd przypomniawszy jej głos sowy, polującej nad nadmorską równiną przy Pumpkin Lane; nagle zatęskniła za domem. Tymczasem psy i koty przybiegły pędem i wskoczyły do samochodu, jakby bały się, że pan może odjechać bez nich.

Spróbowała wstać, ale nogi jej zdrętwiały. Czuła w sobie ciężar dziecka, nawet siedząc, chwiała się w tył i w przód. Widziała,



że David obserwuje ją uważnie, słyszała, jak piasek chrzęści pod jego stopami, kiedy obchodził samochód i zbliżał się do niej, żeby podać jej rękę. Tylko dzięki temu udało się jej wstać.

— Dzięki — powiedziała.

— Nie ma sprawy.

Wsiedli do samochodu. Sage przede wszystkim przeliczyła zwierzęta, tak dla pewności; David nie obejrzał się nawet, wiedział, że w środku są wszystkie. Serce biło jej mocno. Ręka chłopca była szorstka i sucha jak niewyprawiona skóra; przywołała wspomnienia, których nie była nawet świadoma. Dotyk dłoni ojca, stwardniałej od pracy, poznaczonej bliznami, był niemal identyczny. Ojciec ściągał wodze, czyścił boksy, napinał konopne liny, wspinał się na skały, kopał doły w ziemi. Ludzie zachodu naprawdę mieli twarde ręce. A dłonie mamy były gładkie; taką wykonywała pracę, tworzyła dzieła sztuki z kości, kamieni, metalu. Spytała ją kiedyś, dlaczego ręce mężczyzn są inne.

— Dowiesz się tego, kiedy dorośniesz — tłumaczyła jej mama. — I pewnie bardzo się zdziwisz, ale dziewczyny mogą być równie dobrymi kowbojami jak chłopcy. Niektóre też mają szorstkie ręce. Nigdy nic nie wiadomo.

— Nigdy nic nie wiadomo — powiedziała głośno.

— Co? — zdziwił się David.

— Nie, nic.

Skinał głową, nie nalegając, by odpowiedziała. Prowadził powoli prostą drogą wiodącą w głęboką noc. Księżyc znikł za chmurami, spadł śnieg. Czy te ciemne kształty na horyzoncie to pasmo gór, czy też może jadą prosto w chmury? Sage wtuliła się w siedzenie. Wzrokiem szukała stodoły, w której mogliby spędzić noc.

Nadszedł poranek trzeciego dnia jej pobytu na ranchu. Daisy odsunęła firanki i wyjrzała na zewnątrz. Całą noc padał śnieg, ziemia pokryta była cienką warstwą bieli. Przejeżdżający akurat obok Paul March dostrzegł ją, podniósł rękę gestem powitania.

Stanęła w progu.

— Cześć, Daisy — powiedział Paul. — Sporo czasu minęło... Daisy skuliła się i zadrżała. „Sporo czasu minęło...” — od kiedy wyjechałam z rancha, od zniknięcia Jake'a — dodała w myśli.

— Miło znów cię zobaczyć, Paul — powiedziała głośno.

— I nawzajem. Sage się nie odezwała?

— Na razie nie. — Serce jej zamarło, a potem znów zaczęło bić. Ranchu nie zmieniło się nic a nic. Plotki nadal rozchodziły się błyskawicznie.

— Nie martw się na zapas. Wszystko się ułoży.

Daisy znieruchomiała. Skąd może wiedzieć? Opuściła wzrok, próbując się opanować, i dostrzegła leżącą na progu paczuszkę.

— Wiesz o Daltonie? — spytał Paul.

— Nie. A co się stało?

— Upadł. Złamał nogę czy coś takiego... na razie nic nie wiemy. Louisa jest z nim w szpitalu.

— Boże, nie... — Daisy przygryzła wargę.

— Przykro mi, przynoszę same złe wieści — zmartwił się Paul i przez chwilę wyglądało na to, że zejdzie z konia i spróbu-

je ją pocieszyć. Powróciły wspomnienia tych strasznych dni po zniknięciu Jake'a, kiedy nieraz płakała na jego ramieniu. Paul był dobrym przyjacielem i z pewnością nadal się o nią troszczył.

— To nie twoja wina — powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

— Trzymaj się, Daisy. Jeśli będę mógł coś dla ciebie zrobić...

— Dzięki, Paul.

Paul March odjechał, machając jej na pożegnanie; spod kopyt konia pryskał śnieg. Daisy podniosła leżącą na progu paczkę. Nie przeoczyła śladów wielkich stóp, prowadzących od domu do korrala. Drżąc, schroniła się w środku.

W paczce — owiniętej kawałkiem starego czerwonego płótna — znalazła kości. Usiadła przy dębowym stole, przyjrzała im się uważnie. Były to kości łapy... psa, kojota, lisa, może wilka? Większość ludzi poczułaby niepokój, nawet przerażenie; otrzymując taki dar, nie byłaby pewna intencji ofiarodawcy... Większość być może tak, ale nie ona.

Na widok kości Daisy natychmiast się uspokoiła. Wiedziała, że to prezent od Jamesa, i choć nie знаła jego intencji, zrozumiała, że są darem. W nocy nie mogła zmrużyć oka, przez cały czas wsłuchiwała się w odgłosy śniegu uderzającego o szyby okien. Myśl o córce, podróżującej gdzieś tam, samotnej, pozbawionej jakiegokolwiek ochrony, doprowadzała ją po prostu do szaleństwa. Spacerowała tam i z powrotem po jedynym pokoju domku, podsycala ogień na kominku, wyglądała przez okno, próbowała poprzez śnieg i ciemność dostrzec czarne grzbiety wzgórz i rosnące na nich sosny.

W nocy rozmyślała o przyszłości Sage... i nie były to rozmyślenia przyjemne. Jej córka samotna wśród uczniów, inna, wytykana palcami, oplotkowywana... Daisy tak bardzo kochała swoją córkę, że zaczynała już nie lubić jej dziecka, które miało ukraść Sage szczęśliwe dzieciństwo.

Zdecydowała się nagle poszukać materiałów do nowego dzieła. Założyła ciepłe buty i kurtkę. Cieszyła się na myśl o wyjściu z domku. Samotne zmaganie się z niesłychanie żywymi wspomnieniami nie mogło doprowadzić do niczego dobrego. W dREW-

nianych ścianach zakłęte były wspomnienia, o których oprócz niej wiedział tylko James.

Postanowiła sprawdzić, czy Louisa wróciła do domu. W kuchni nie było nikogo. Zadzwoiła do Hathaway.

— Jest coś nowego? — spytała, gdy tylko usłyszała w słuchawce głos siostry.

— Nie. A u ciebie?

— Nic.

— Już myślałam, że nigdy nie zadzwonisz. — Hathaway westchnęła z ulgą.

— Minęły zaledwie trzy dni.

— Trzy dni? Proszę, proszę, a mnie wydawało się, że znacznie więcej. Jak tam James?

— Nie widziałam go jeszcze. Tu wszyscy chronią nas przed sobą nawzajem.

— Powiedziałabym, że dobrze robią. Zadzwoń natychmiast, gdybyś mnie potrzebowała.

— Zawsze cię potrzebuję.

— To właśnie chciałam usłyszeć — powiedziała cicho Hathaway.

Rześkie powietrze ożywiło Daisy, idącą szybko przez pastwisko. Z kominów budynków na ranchu biły w niebo smugi dymu. Szła z opuszczoną głową, chroniąc się przed wiatrem, dłonie trzymała głęboko w kieszeniach. Ślady końskich kopyt na śniegu nie pozostawiały wątpliwości — mężczyźni pojechali na górskie pastwiska, nawet w taką pogodę nie chcieli im się siedzieć w domu. Postanowiła odwiedzić Scout w stajni, wyciąć jej z ogona kilka włosów. Kiedy ją wczoraj czesała, z przyjemnością stwierdziła, że izabelowata sierść znowu nabiera połysku.

Rozsunęła drzwi, weszła do środka. Widząc ją, konie zaczęły potrząsać łbami. Wzrok przyzwyczał się jej już do ciemności. Ruszyła przejściem między boksami. Witała się z każdym koniem, niektóre gładziła i poklepywała.

W stajni było chłodno, widziała parę wydobywającą się z jej ust przy każdym oddechu. Skądś, z dala, dobiegły ją dźwięki muzyki. Rozpoznała country and western. Uśmiechnęła się na myśl

o Louisie, która dawała koniom możliwość posłuchania Patsy Cline, żeby poczuły się lepiej.

Stajnia przypominała kościół, zbudowana była na planie krzyża. Kiedy Daisy dotarła do poprzecznego ramienia, poczuła podmuch ciepłego powietrza. Ktoś pracował, grzejąc się przy naftowym piecyku.

Scout stała przywiązana do kołków, pośrodku korytarza; dwie długie liny prowadziły od ogłowia do obu bocznych ścian; Daisy czyściła ją wczoraj w tym samym miejscu. Aż trudno było uwierzyć, że to ten sam koń! Boki mu lśniły, biały ogon i grzywa były starannie wyczesane.

Przystanąła w mroku.

James stał tyłem do niej. Rękami obejmował boki Scout i pracowicie czesał ją zgrzebłem. Pod zakurzonymi ochraniaczami miał obcisłe dzinsy. Pracował szybko, spocony w ciepłe bijącym od piecyka. Płócienną koszulę zrzucił na posypaną słomą ziemię, pod starym czarnym podkoszulkiem widać było jego napięte mięśnie. Daisy patrzyła na jego szerokie bary, potężne ramiona.

Dawno, dawno temu obejmował ją tymi ramionami, teraz czyścił konia, którego dał jej w prezencie, gdy zamieszkała na ranchu. Pracował ciężko, ale — co widać było wyraźnie — z miłością. Naprawiał błąd, jeden z tych, które popełnił pod jej nieobecność.

— Piękny koń — powiedziała Daisy.

— Jabłkowita klacz — odparł James po długiej chwili ciszy, nie odwracając się. — Rasowy ćwierciak.

— I silny. — Zrobiła krok w jego kierunku. — Bardzo silny.

— Wiem.

Stali obok siebie. Daisy poklepała Scout po karku, pogładziła ucho. Klacz zarżała, pochyliła łeb. Kobieta sięgnęła po zgrzebło, ale James złapał ją za rękę.

— Musiałam przyjechać — powiedziała Daisy, patrząc mu prosto w oczy.

— Nie chce mi się wierzyć, że jesteś. — James nie puszczał jej ręki. Potrząsnął głową, jakby próbował obudzić się ze snu.

— Mnie też. — Głos nawet jej nie zadrżał, choć kosztowało ją to sporo wysiłku. — Jamesie Tucker...

— Daisy Tucker...

— Scout jest taka stara. — Powoli cofnęła rękę, gładząc gładką skórę klaczy.

— Nic jej nie będzie. Wyjdzie z tego — powiedział James. Wiedziała, że nie ma na myśli konia.

— Sage... — powiedziała i głos się jej załamał. Przestała gładzić konia.

— Powiedziałaś, że Scout jest silna? Sage też jest silna. Wysyłała mi zdjęcia, listy. Dobrze czuje się poza domem, robi długie wycieczki, pływa kajakiem. Potrafi o siebie zadbać. — Kiedy mówił o córce, widać było, jaki jest z niej dumny. Oczy mu błyszczały.

— Ma zaledwie szesnaście lat.

— Daisy...

Daisy oddychała szybko, urywanie. Cofnęła się, a kiedy dotknął jej policzka, drgnęła.

— Temu też jestem winny, prawda? Tak myślisz.

— Nie myślę o niczym. Pragnę tylko, żeby była bezpieczna.

— Ja również.

Stali przodem do siebie. Daisy widziała zmarszczki, bruzdy, które wyłobił strach wokół jego błękitnych oczu. Włosy przyprószone miał siwizną. Oczekiwała spotkania z dumnym, młodym ranczerem, którego kiedyś kochała, ale jego tu nie było.

— Twój ojciec...

— Sage — przerwał jej. Wyszeptał to imię.

— Och, James!

Przytulił ją tak mocno, że aż poczuła ból. Rozpłakała się, a on<sup>1</sup> nie wypuszczał jej z ramion. Wiedziała, że chce ją uspokoić, pocieszyć, ale w tej chwili potrafiła tylko nienawidzić samej siebie za to, że przez trzynaście długich lat nie umiała wybaczyć.

— Myślałam... myślałam...

— Co myślałaś?

— Myślałam, że czas leczy rany — powiedziała cicho, z głową wtuloną w jego pierś.

— Daisy... nie, nie myślałaś tak.

— Myślałam.



— Nie ty. Przecież wiesz, że czas je tylko rozdrapuje. Kamienie i kości. Pracujesz z nimi każdego dnia. Taka jest prawda i ja ją znam. Nie chcę, żebyś uważała, że się oszukuję. Wiem, dlaczego przyjechałaś.

— Nasza córka... — Daisy kurczowo ścisnęła materiał starego podkoszulka.

— Wiem.

James jechał przez pastwisko, pokrzykując na stado. On, Paul i kilku kowbojów pędzili je w kierunku domu. O tej porze roku ranczo zarabiało na sobie, a ludzi cieszyła czekająca ich robota. Dopiero jesienią mężczyźni naprawdę wiedzieli, dlaczego zostali kowbojami. Po deszczach ziemia była błotnista i śliska. Niektóre krowy próbowały uciekać, konie stawały dęba, a oni byli panami świata.

Próbując ominąć upartego byka, James upadł wraz z koniem, uderzając udem o kamień tak ostry, że rozciął skórę ochraniaczy jak nóż, ale głębokie, miękkie błoto sprawiło, że nikomu nie stała się krzywda. Wskoczył zaraz na konia i pojechał dalej.

Walczył z rozpraszającymi go myślami o Daisy, Sage i ojcu, który nadal był w szpitalu. Musiał się skoncentrować. Bydło napierało na nich ze wszystkich stron. Paul kluczył wśród stada; podczas spędu młodniał o dziesięć lat i widać to było na jego twarzy.

— Nic ci nie jest? — spytał.

— Wszystko w porządku. — James odpowiedział mu wymownym spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: „O co ci właściwie chodzi?”

— Daisy świetnie wygląda.

— Widziałeś ją? — Poderwał głowę, ale opanował się i dalej udawał, że obchodzi go wyłącznie stado.

— Śnieżyca przed nami. — Paul wskazał ukryte we mgle, fioletowe szczyty wzgórz.

— To czeka nas jeszcze lepsza zabawa.

— W tym tygodniu spadnie metr. Jestem tego pewien.

— Nie tylko ty. Ojciec też.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Zapowiada „wczesną zimę” ód dobrego miesiąca. I dobrze, możemy wywieźć bydło w ciężarówkach i podczas zamieci. Odrobinę podniesie to stawkę.

— Dalton powtarza pewnie teraz: „A nie mówiłem?”. Wygląda przez szpitalne okno, widzi chmury i śmieje się, bo wie, że nim wyślemy ten transport, zmienimy się w śnieżne bałwany.

Byk oderwał się od stada, ale pies dostrzegł go natychmiast i pogonił za nim, szczekając zajadle. James odjechał, nie odpowiadając przyjacielowi. Myślał o ojcu, przykutym do szpitalnego łóżka, cierpiącym ze strzaskaną nogą. Ruszył przed siebie galopem. Jesienne spędy były ulubionym zajęciem Daltona. Nauczył syna wszystkiego, co wiedział o hodowli, a na jesieni był z nim zawsze. Nawet teraz James czuł jego obecność.

Osiki i topole ozłociły się, ich liście drżały na wietrze. Wyglądały jak złote monety; wiatr zwiewał je z gałęzi. Przez pastwisko przeszło stado jeleni. Pola północne były już po trzecich sianokosach, ale siana jeszcze nie zwieziono; leżało w błocie, czekając na śnieg, który by je przykrył. James nie myślał jednak o wilgotniejącym sianie, tak jak nie myślał już o leżącym w szpitalu ojcu. Ranczerzy nie powinni upadać na prostej drodze, nie powinni leżeć unieruchomieni w sterylnym, białym pokoju z oknami, których nie można otworzyć.

Pognał za uciekającym bykiem. Oczy łzawiły mu od zimnego wiatru. Mięśnie pracowały ciężko, jeździec i koń zrosli się w jedno. Mknęli w błocie, rozgrywający i pędzący za nim obrońca. Kogoś czekał ciężki upadek, ale jego nie obchodziło, kogo. Do takiej pracy przyzwyczał się, dorastając na ranczu. Nie miał ochoty myśleć. W domu Daisy czekała na ich córkę; od tego faktu nie był w stanie uciec, choćby nie wiem jak próbował.

Zagonił byka do kanionu. Przy jego końcu zwierzę skreśliło. James przygotował już łąso, trzymał je gotowe do rzutu. Koń wydawał się świeży, jakby zaledwie przed chwilą wyszedł ze stajni, on jednak oddychał ciężko. Kanion, szeroki u wejścia, zwęźał się następnie i kończył labiryntem wąskich szczelin skalnych. Był w nim zaledwie wczoraj, to tu obciął łapę martwemu wilkowi.

Czy uda mu się złapać byka?

Kanion był pusty. Zwierzę znikło.

James Tucker zatrzymał konia i rozejrzył się dookoła. Drżał na całym ciele, ale próbował wytłumaczyć sobie, że to tylko objaw napięcia podczas spędu, choć wiedział, że okłamuje sam siebie, że wszystkiemu winien jest ten kanion, którego ściany pożerają ofiary: dzieci, bydło...

Znieruchomiał w siodle, wyteżył słuch. Daleko, na wschodzie, w niebo wleciał jastrząb, mocno bijąc powietrze ostrymi skrzydłami. Panowała tu absolutna, niesamowita wręcz cisza, mógłby przysiąc, że słyszy szum płynącej w jego żyłach krwi. Byki nie znikają — powiedział do siebie. Kanion to kanion, miejsce na ziemi jak każde inne, ani złe, ani dobre. Chociaż spędził lata wśród ludzi wierzących w duchy, takich jak chociażby wódz Louis Łopatka i jego rodzina, i takich jak Daisy, która zaklinała w dzieło sztuki tajemnicę zamkniętą w kości i kamieniu, choć był tylko prostym ranczerem, poczuł dziwny dreszcz.

Usłyszał dobiegający z odległości jakichś pięćdziesięciu metrów chrzęst kamieni. Zwierzę szło teraz najprawdopodobniej którąś ze skalnych szczelin, tworzących tu prawdziwy labirynt. Już miał ruszyć w tym kierunku, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Zerknął na ziemię, na ślady odbite w błocie. Było ich wiele: jelenie, wilcze, ptasie, krowie... a także ludzkie.

Kanion nie był miejscem, w które zapuszczaliby się turyści; nie wytyczono tu szlaków ani placyków na kemping. Pochylił się w siodle, by lepiej je obejrzeć. Duże buty, dziesiątka. Byk biegł prosto w głąb kanionu, człowiek skręcił w prawo. Trzymał się blisko ściany, zapewne szukał ochrony przed deszczem. Choć błoto nie było zbyt głębokie, ślady intruza odznaczały się wyraźnie.

James ruszył obok nich, czując się tak, jakby jechał w towarzystwie ducha. Były świeże, pochodziły sprzed kilku godzin raczej niż kilku dni, ich krawędzi nie zatarł czas ani pogoda. To, jak głęboko odbiły się we względnie suchej ziemi, świadczyło, że człowiek, który je zostawił, niósł coś ciężkiego.

Kanion skręcał w tym miejscu wokół dużej skalnej ściany i rozgałęział się na pięć węższych szczelin. Każda z nich była wy-

starczająco szeroka, by zmieścić się w niej człowiek, ale panujący w nich mrok nie pozwalał dostrzec z zewnątrz niczego. Jednocześnie, niemal w pół kroku, znikły ślady i James szybko odkrył dlaczego. Zaledwie pięć minut zabrało mu znalezienie cedru, z którego oberwana została jedna z wiszących niżej gałęzi. Żywi- ca nie zdołała jeszcze zaschnąć. Człowiek, którego tropił, zszedł z ziemi na skalną półkę i zatarł ślady próbując ukryć kierunek, w którym się udał. A miał do wyboru pięć szczelin.

Mięśnie szczupłego ciała Jamesa Tuckera były tak napięte, że lada chwila groziły pęknięciem. Nasłuchiwał. Gdzieś przed nim zagrzechotały kamyki, jakby ktoś próbował wspiąć się po skalnej ścianie, trwało to jednak za krótko, by mógł dokładnie określić kierunek. Napłynęły niskie chmury, grożące śnieżycą, w kaniu- nie zrobiło się ciemno niemal jak w nocy. Ranczer czuł w ustach smak zwykłego, prymitywnego strachu.

Wiedział, że ktoś tu jest, wręcz czuł obecność tego kogoś. I nagle w jego duszy otworzyła się czarna pustka w miejscu prze- znaczonego niegdyś dla dwójki ukochanych dzieci. W tym kaniu- nie zaginął syn, córka wkrótce miała dotrzeć na ranczo. A może już dotarła?

Czyżby ślady były tak głębokie, ponieważ mężczyzna, który je zostawił, niósł na rękach szesnastoletnią dziewczynę? Nagle ogar- neła go panika. Dyszał ciężko, starając się tylko, by jego oddech nie był zbyt głośny. Zeskoczył z konia i zaczął wspinać się na ska- ły. Miał bardzo małą szansę złapania intruza, ale uznał, że nad tym nie może się zastanawiać. Gotów był rozerwać go na strzępy gołymi rękami.

Rozkrwawił sobie dłonie podczas wspinaczki na najniższe skały. Huknął grzmot; z miejsca, w którym stał, widział nad- chodzące znad doliny ciężkie chmury. Paul wiódł stado w kie- runku domu, spora część była już niewidoczna za zasłoną śniegu. Ludzie uganiali się wokół zwierząt, wykonując pracę, którą on miał obowiązek nadzorować. Odwrócił się, stanął pewnie na wą- skiej skalnej półce i zagłębił się w wąwóz.

Nieprawdopodobne, ale udało mu się znaleźć ślad intru- za. Miotła z gałęzi cedru ominęła odcisnięty w ziemi zarys ze-

wewnętrznej krawędzi lewego buta. Dysząc ciężko, James zaczął biec, lewym ramieniem ocierając się o zbocze. Szczelina znów się zwężyła, ścieżka miała w tym miejscu najwyżej półtora metra szerokości. Po lewej stronie rozwarła się pięćdziesięciometrowa przepaść. Biegając z ugiętymi kolanami, dotknął dłonią kolby pistoletu.

Ścieżka skręcała; jej dalszy bieg zasłaniała skała. Przepaść jeszcze się pogłębiła, strącone kamyczki spadały długo, nim dotarły do jej dna. Wyciągnął pistolet, nie miał zamiaru ryzykować, wychylać się zza zasłony z pustymi rękami. Okrążył ją ostrożnie, po czym wyskoczył na otwartą przestrzeń.

Dotarł do końca ścieżki. I znalazł ślady obozu: popiół pozostały po ognisku rozpalonym pod skalnym nawisem, jeszcze ciepły; z ogniska poprzez otwór w skale wznosiły się w niebo wąskie pasemka dymu. Nie spaliły się też trzy zdjęcia zrobione polaroidem; mimo iż były nadpalone i przyczernione dymem, zobaczył na nich swe stada. Poza tym znalazł także pustą puszkę po fasoli i mapę drogową, jakie czasami rozdają gratis na stacjach benzynowych, złożoną na tej części, która pokazywała teren rancza oraz otaczające je drogi.

— Jezu Chryste! — westchnął głośno. Intruz bardzo starał się, by jego obecność pozostała tajemnicą: zacierał ślady, rozpałił ognisko w miejscu, w którym uchodzący z niego dym był niewidoczny. A jednak coś po sobie pozostawił i James gorączkowo szukał teraz dowodów na to, że w tym miejscu obozowała więcej niż jedna osoba. Gwałtownie, w rozpaczy, przewracał kamienie. Czy znajdzie gdzieś ślad Sage? Jeszcze raz spojrzął na zdjęcia; szukał na nich córki.

Gdzieś z dołu dobiegł go ryk byka. No tak, zapomniał o spędzie, a także o tym, co sprowadziło go do tego kanionu. Przerazone zwierzę utknęło pewnie w ciemnej szczelinie, zbyt ciasnej, by mogło obrócić się i uciec.

Zamieć dotarła wreszcie do miejsca, w którym się znajdował, gęsty śnieg padał z nieba wielkimi płatkami. Grzmot huknął tak głośno, jakby w górach pękały skały. Ale on, zajęty zdjęciami, prawie go nie słyszał.

— Cholera! — krzyknął tak głośno, że ściany wąwozu odpowiedziały mu echem. — Tylko nie śnieg! Jeszcze nie!

Schował pistolet do kabury, padł na kolana. Śnieg sypał nieprzerwanie, coraz gęściej. Zmiał go, wpatrywał się w ziemię. Wkrótce pokryje kanion, ścieżkę, opuszczony obóz, pozbawiając go szansy na znalezienie intruza.

„Wczesna zima” — powtarzał Dalton. „Metr w tym tygodniu” — powiedział Paul. Z pokaleczonych dłoni Jamesa padały na ziemię krople krwi, udo bolało go w miejscu, w którym przygniótł go wcześniej Wódz, ale on nadal klęczał, rozpaczliwie szukając jakichś śladów.

RS



Daisy siedziała skulona nad zaimprovizowanym warsztatem, otoczona palącymi się świecami. Czasami miała świadomość, że po prostu produkuje biżuterię: łączy elementy i zdombluje na zamówienie jakiejś kobiety, ale czasami wyczuwała, że w jej dziele zaklęta jest magia. Rzeźbiła w kości szybko, pewnie.

Na zewnątrz padał śnieg, wiatr wył w krokwiach dachu, z paleniska tryskały iskry. Przed wielu laty, kiedy na ranchu mieszkała na stałe, nagrała na kasetę pieśni Szoszonów i teraz słuchała ich z przenośnego magnetofonu; muzykę zagłuszały coraz częstsze grzmoty.

Spała mało, ale wpatrywanie się w kość hipnotyzowało ją. Pracuj — powtarzała sobie. Zrób coś, daj zajęcie rękóm, nie myśl. Wczoraj wybierała rzepy z ogona Scout — ta mozolna, bezmyślna, lecz i przyjemna praca pomogła jej przeżyć kolejny dzień.

Zdawała sobie sprawę z tego, jakie to dziwne, ale jednak... rzeźbiąc w kości zachowywała wielką ostrożność, jakby nie chciała przysparzać zwierzęciu dodatkowych cierpień. Teraz próbowała je sobie wyobrazić; sądząc po rozmiarach miała do czynienia z wilkiem. Myśląc o „Matce Niedźwiedzicy”, którą zrobiła kiedyś dla Louisy, próbowała teraz zakląć w tę swoją pracę ducha wilka.

Przywiozła ze sobą wszystkie niezbędne narzędzia. Najpierw skalpelem oddzieliła od kości resztkę ścięgien, potem pazury, wreszcie dotarła do miejsca, w którym łapa łączyła się kością

strzałkową. Kochała wilka i pracując, modliła się o uwolnienie jego ducha z martwego ciała.

Tu, w tej części Wyoming, było mnóstwo opowieści o wilkach i kojotach. Wilka uważano za stworzenie dobre: to wilk miał stworzyć człowieka oraz gwiazdy, kojot zaś był zły, krzywdził ludzi i krzyżował wilcze plany. Louis Łopatka powiedział jej kiedyś, że wilki rodzą się pod Długim Śnieżnym Księżycem, że są poważne, zręczne i bardzo troszczą się o swe małe.

Bardzo troszczą się o swe małe...

Podczas pracy przypominała sobie mity Szoszonów. Opowiadały one o czasach, kiedy ludzie posiadali jeszcze magiczne zdolności przybierania kształtów zwierząt. Przed pojawieniem się pisma ozdobna biżuteria pełniła wśród społeczności indiańskich ważną rolę w przekazywaniu informacji. Daisy siedziała za stołem skulona, napięta, z włosami opadającymi na oczy, błyszczące czerwono w blasku płomienia. Myślała wyłącznie o duchu wilka, o wędrówkach na wielkie odległości, pragnieniu powrotu do gniazda, do szczeniąt i o czci, jaką były otaczane.

Rylcem rzeźbiła znaki w kości: „S” wpisane w serce oznaczało Sage, „J” wpisane w gwiazdę — Jake'a. Miała zamiar wypełnić te wzory tuszem, potem dodać gładkie kamyki ze strumienia, a wszystko razem połączyć włosami z ogona Scout, konia, który niósł ją i jej dzieci na tyle szczęśliwych wypraw...

Na innych kawałkach kości wyryła twarze kobiety i mężczyzny; ich powierzchnia paliła jej palce. W Silver Bay tworzyła dzieła, które przynosiły miłość ich właścicielom. Głęboką, mocną, tak że można by rzeczywiście nazwać ją magiczną. Miłość ona sama dostała w darze najpierw od rodziców, potem od siostry. Ona i Hathaway, córki dwojga filologów, czytały Szekspira, Austen i Bronte — słynne opowieści o wielkich uczuciach — i coś z tych lektur pozostało na zawsze w ich sercach. Potem Daisy przyjechała do Wyoming, poznała Jamesa i opowieści o miłości zmieniły się w rzeczywistość miłości.

Płomienie świec chwiały się na wietrze. Na chwilę przerwała pracę, ciaśniej otuliła się swetrem. Przez moment pomyślała

o tym, czy mężczyźni skończyli już przypadającą na ten dzień pracę. Wstała, podeszła do okna. Padał śnieg, tak gęsty, że Louisa postanowiła zostać w szpitalu także na tę noc.

Daisy pomyślała o Sage, zagubionej w tak straszną pogodę gdzieś w świecie, a potem o Jamesie. Powróciła do pracy, ale zdolność zaklinania magii w wykonywane właśnie dzieło opuściła ją nagle.

Z głową podpartą na dłoniach wsłuchiwała się w indiańską muzykę. Wróciła pamięcią do swych pierwszych dni w Wyoming, kiedy szukała natchnienia wśród dzikiej przyrody, która wydawała się jej wówczas wielka, wspaniała, przytłaczająca. Opowieść o Sacagawei poruszyła jej serce i duszę. Nasiąkała indiańską kulturą, odwiedzała rezerваты Kruków i Szoszonów.

Córki znanych rodzin ze wschodu podróżują autostopem po Europie, opiekują się dziećmi w Kalifornii lub Nantucket, zaciągają się na żaglowce pływające wzdłuż wybrzeży Maine, ona jednak prowadziła spokojne, bezpieczne życie. Kochająca się rodzina to coś wspaniałego, dawno jednak zdała sobie sprawę, że miłość ta może ją czegoś pozbawić. Do dwudziestego drugiego roku życia nie poznała uroków samotności. W szkole sztuk pięknych w Providence dzieliła sypialnię z dwudziestoma dziewczętami, a niemal wszystkie weekendy spędzała z rodziną. Wiedziała, że coś musi zmienić.

Z temperamentu i wykształcenia była artystką. W sąsiedztwie — w Rockport, Newport, Old Lyme — nie brakowało artystów, ale ją coś ciągnęło na zachód, samą. Zabrała ze sobą mnóstwo bagażu: strój jezdziecki, ciepłą pikowaną kurtkę, lornetki, aparaty fotograficzne, dłuto, papier rysunkowy najwyższej jakości, narzędzia do wyrobu biżuterii. Ale... nie miała przynajmniej towarzystwa, opieki. Kiedy dotarła do Wyoming, czuła się jak ptak, który po raz pierwszy wyfrunął z gniazda.

Kamienie zaskoczyły ją: czarna mika, zielony chalcedon, szkarłatny piaskowiec, różowy kwarc, kruchy biały wapń. Pasma Wind River górowało nad płaską wyżyną; gdy zobaczyła je po raz pierwszy, postanowiła lepiej poznać ten świat. Chciała tworzyć biżuterię jak Indianie; wiedziała, że w jej duszy drzemia jakieś pier-

wotne siły, których nie zdoła wyzwolić, jeśli wróci do Connecticut zbyt wcześnie.

Postanowiła poszukać złota. Znalazła turystyczne rancho niedaleko Lander; nauczyła się tam kowbojskiego stylu jazdy konnej, dzięki czemu poczuła się choć trochę kowbojką. Jej elegancka marynarka do jazdy konnej, bryczesy i aksamitny toczek pozostały w torbie — ubierała się teraz w dżinsy i flanelową koszulę, które nosili tu wszyscy. Odzwyczaiła się od anglezowania, nauczyła dośiadać w westernowym siodle. Po dwóch tygodniach nauki poczuła; się wystarczająco pewnie, by rozpocząć samodzielne wycieczki. Spakowała prowiant na dzień, znalazła przypadkowy punkt na mapie i pojechała nad Midsummer Creek.

Ochraniacze na dżinsach i kapelusz stetson na głowie sprawiły, że poczuła się swojsko. Czerwoną bawełnianą koszulę bez rękawów kupiła w miejscowym sklepie z pamiątkami. Jadąc szlakiem, uważnie obserwowała niebo; powiedziano jej, że w górach Wind River burze nadchodzą błyskawicznie, więc choć w torbie przy siodle miała poncho, wołała zachować ostrożność.

Jechała przez łąki porośnięte łubinem i szczawiem; wszędzie widziała jaskry i pierwiosniki. Koń przystanął i zaczął skubać trawę, ale Daisy wiedziała już wystarczająco wiele, by oderwać go od tego zajęcia i zmusić do stępa. Nad nimi rozciągało się wielkie błękitne niebo, poznaczone śnieżnobiałymi chmurami. Znalazła się w raju, a imię jego Wyoming.

Poszukiwanie złota okazało się przyjemnym zajęciem. Klęczała nad bystrym, zimnym strumieniem z kapeluszem nasuniętym nisko na oczy dla ochrony od słońca. W torbach przy siodle miała już kilka kości zwierzęcia, które upolowała sowa, poza tym byczy róg i parę kawałków kwarcu, ale dopiero teraz poczuła dreszcz podniecenia. Ludzie wschodu od stu lat przyjeżdżali na zachód w nadziei, że się wzbogacą. Być może znajdzie się wśród tych, którym los rzeczywiście...

Charakterystyczny dźwięk grzechotki usłyszała w ostatniej chwili. Kiedy jedną ręką sięgała do strumienia, by napełnić siatkę kamykami z jego dna, drugą omal nie przycisnęła sporego grzechotnika, który grzał się na kamieniu, idealnie zamaskowany. Zło-

tobrażowy wzór na jego skórze doskonale upodabniał go do tła z kamyków; nie miała pojęcia, jak długo przebywała tuż obok niego.

— Nie ruszaj się! — rozkazał niski męski głos.

Wąż poruszył ogonem. Daisy zamarła, myśląc tylko o tym, czym grzechocze. Miała wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, jakby złota poszukiwała inna, odważniejsza od niej dziewczyna, a ona przyglądała się temu z daleka.

— Nie ruszę — powiedziała cicho.

— I nie przestrasz się huku.

— Dobrze.

Wąż otworzył paszczę, głęboką i czarną, z wygiętymi, ostrymi jak igła zębami. Huk strzału omal nie rozerwał jej bębenków. Leb grzechotnika dosłownie znikł, pozostało tylko obrzydliwe, długie cielsko wijące się na kamieniu.

Daisy poderwała obie dłonie do twarzy. Drgnęła i z sitka posypał się wyłowiony z dna strumienia żwir, w którym spodziewała się znaleźć złoto. Z cienia po drugiej stronie ścieżki wyszedł mężczyzna. Poczula zapach spalonego prochu, zobaczyła, jak chowa pistolet do kabury.

Przyglądali się sobie przez wąski strumyk.

— Nie krzyknęłaś — powiedział mężczyzna.

— A pan co tu robił? Obserwował mnie?

— Owszem. Choć raczej krótko.

Daisy uniosła głowę, by lepiej mu się przyjrzeć. Zobaczyła kowboja, wysokiego i tak szczupłego, że wyglądał jak narysowana na kartce papieru prosta linia. Miał na sobie dżinsy i przykurzony biały podkoszulek z wykonanym czerwonymi literami napisem „Powder River Rodeo”. W dłoni trzymał czarny kapelusz — brązowe włosy wypływały mu w słońcu na jasny blond. Choć najwyraźniej niewiele od niej starszy, wokół ust i oczu miał głębokie zmarszczki.

— Dziękuję za zabicie tego węża — powiedziała.

— Mógł zaatakować lada chwila. Mam nadzieję, że strzał nie przeraził pani za bardzo?

Skinęła głową. Przeżywała doświadczenie niemal nadnaturalne; podziwiała otaczające ją piękno — słońce, błękitne niebo,

przystojny mężczyzna — i jednocześnie próbowała zapomnieć o rzeczywistości — oto przed chwilą omal nie została ukąszona przez jadowitego węża. Mogła ją także ugodzić odbita rykoszetem kula. Dłonie zaczęły jej drżeć; splotła je, by drżenie było mniej widoczne.

— No, nie... — powiedziała.

— Czasami tak bywa — pocieszył ją kowboj. — Reakcja następuje później, kiedy człowiek zda sobie sprawę, co by było, gdyby...

Skinęła głową i ukryła twarz w dłoniach. Nie chciała, by nieznajomy widział, jak płacze. Ku jej wstydomi, często się to zdarzało. Nie umiała ukrywać uczuć, a większość z nich wywoływała łązy: szczęście, smutek, strach, rozczarowanie, ból.

Po jej stronie strumienia rosły wierzby, po jego — sosny, cedry i karłowate jałowce. Wiatr niósł ostry, świeży zapach żywicy. Kowboj obserwował ją uważnie, a kiedy opuściła głowę, przeszedł po prostu przez strumień, nawet nie zdejmując butów. Woda okazała się chyba głębsza, niż przypuszczał, bo przelała się przez wysokie cholewy i omal nie zerwała butów z nóg. Ale to go nie powstrzymało.

— Już w porządku — powiedział, obejmując ją. — Nie bój się.

— Nie widziałam go. — Daisy nie mogła się uspokoić. — Patrzyłam na ten kamień, ale wcale go nie widziałam.

— Nic w tym niezwykłego. Bywa, że i ja ich nie zauważam.

— Naprawdę?

— Oczywiście.

— Pochodzisz stąd? — Nie potrafiła uwierzyć, by mieszkaniec zachodu naprawdę mógł być tak ślepy.

— Owszem. Jesteś na mojej ziemi.

Daisy drgnęła. Teraz czuła się naprawdę zawstydzona.

— To niemożliwe! Mieszkam na tym turystycznym ranczu. Oni mnie tu przysłali, dali mapę, wskazali miejsca, gdzie mogę znaleźć złoto.

Kowboj roześmiał się.



— Zawsze tak robią. Mają zaledwie kilka akrów i uznali, że turyści zbierający kamienie nie będą nam za bardzo przeszkadzać. Przykro mi cię rozczarować, ale to nie jest złoto.

— Bardzo przepraszam. Naprawdę, nie sądziłam, że są do tego zdolni...

— Nic się nie stało. Nazywam się James Tucker, a ty znajdujesz się w tej chwili na ziemi rancza DR.

Daisy poderwała się na równe nogi i cofnęła o krok.

— Zaraz odjadę...

— Nie, zostań, proszę. Jak się nazywasz?

— Daisy Lambert. Mieszkam w Silver Bay, w Connecticut.

— A tu poszukujesz złota?

Ani się obejrzała, jak opowiedziała mu o szkole sztuk pięknych, o projektach biżuterii, o fascynacji materiałami i symboliką Zachodu. Zdradziła swe zainteresowanie grzechotką węża, a on po prostu obciął ją nożem i włożył do torby przy jej siodle. Obiecał nawet, że jeśli zostanie wykorzystana w którejś z jej prac, kupi ją. Pozwolił jej także zatrzymać kamyki, które wyłowiała z dna strumienia. Pokazała mu je, a on od razu zwrócił uwagę na jeden z nich.

— Cofam to, co powiedziałem wcześniej. Znalazłaś prawdziwe złoto — oznajmił.

— Naprawdę?

Wspólnie przyglądali się nieforemnemu okruchowi, ciemnemu, matowemu, właściwie niczym nie różniącemu się od wszystkich pozostałych, choć kowboj dostrzegł błysk metalu pod obrastającą go warstwą wodorostów. Daisy od razu zdecydowała, że zabierze ten okruch złota ze sobą, użyje w pierwszej swej pracy inspirowanej atmosferą Zachodu. Poczowała na twarzy powiew wiatru, a w duszy natchnienie... takie właśnie, jakiego spodziewała się po wyprawie do Wyoming.

— Och. — Siła tego odkrycia sprawiła, że aż zakreśliło się jej w głowie.

James, trzymając w dłoni swój kapelusz, zdjął jej z głowy stetsona; wiatr rozwiały kasztanowate włosy dziewczyny. Położył dłoń na jej karku, rzucił oba kapelusze na ziemię i pocałował ją, długo

i mocno, rozkosznie. Daisy miała w palcach bryłkę złota; wolną ręką chwyciła mężczyznę za ramię. Nie miała pojęcia, że ciało może być tak twarde. Wstrząsnęło nią to bardziej nawet niż wąż, do tego stopnia, że złoto wypadło jej z ręki.

Pocałunek trwał bardzo długo. Był jednocześnie zmysłowy i delikatny. Czują palce wplątane we włosy, wargi przesuwające się z ust na szyję. Słońce ogrzewało ich obnażone głowy i nagie ramiona, a Daisy, czując pod palcami napięte mięśnie ranczera, słała się na nogach i gdyby miała więcej złota, je także by upuściła.

Każdy pocałunek kiedyś się kończy. Mężczyzna przyklęknął i podniósł z ziemi bryłkę złota. Daisy, która stała tuż obok, zwróciła uwagę na to, jaki jest szczupły i zgrabny w obcisłych dżinsach, i zdziwiła się, bo nigdy przedtem nie patrzyła na mężczyznę w ten sposób. Biorąc zgubę z jego rąk, poczuła, jak szorstkie odciski drapią jej delikatną skórę.

— Dłonie kowboja — powiedziała cicho.

— Słucham?

— Nie, nic... — Usiłowała wymyślić jakiś temat do rozmowy, nie dopuścić, by James odszedł. — Chciałam powiedzieć, że... że bardzo mi się tu podoba. Lubię jeździć konno... i w ogóle.

— Dłonie kowboja. — Mężczyzna uśmiechnął się wesoło. — Możesz je sobie wyrobić. Wystarczy, że pozostaniesz na tym tam ranczu. Że pojeździsz po okolicy, poszukasz złota, no, wiesz...

— Mieszkam na ranczu, które nie jest ranczem. To wyłącznie sypialnia, stajnia i mapa cudzej ziemi.

— To przenieś się do DR. Mamy wolne pokoje.

— Dziękuję, ale doprawdy nie mogę.

— Dlaczego? Będiesz pracować nad swoją biżuterią i wyjeżdżać, kiedy chcesz. Powitamy cię z prawdziwą przyjemnością. Aż tak spieszysz się z powrotem do Connecticut?

— Nie...

— No to o co chodzi?

Daisy wzruszyła ramionami, pokręciła głową. Za wiele przygód — pomyślała. To przecież niemożliwe. Ale James znów ją całował, odwrócił jej twarz ku słońcu, przykrył jej usta swymi

miękkimi wargami. Znowu upuściła bryłkę złota, a on znowu ją podniósł.

No i przeniosła się do DR. James ulokował ją właśnie tu, w stojącym na uboczu domku, w którym zamieszkała teraz. Pełen szacunku dystans udało mu się zachować przez długi czas... co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Jako gość posiłki jadła w głównym domu, wraz z nim, Daltonem i Louisa. Zaprzyjaźniła się z Paulem Marchem oraz z innymi kowbojami. Był wśród nich także bratanek Louisy, Todd. Przyniósł jej kiedyś bukiet polnych stokrotek, zajrzał do domku przez okno. Pamiętała, że James omal go za to nie zabił.

Daisy podniosła głowę i rozejrzała się dookoła. Zdumiał ją widok za oknem — pogrążona w marzeniach spodziewała się zobaczyć raczej letnie słońce niż padający gęsto śnieg. Domek nie zmienił się nic a nic, za to wspomnienie Jamesa i ich pierwszego spotkania przełamało jakąś barierę w jej duszy. Znowu była w stanie pracować tak, by jej dzieło oddziaływało magią. Więcej, chciała pracować. Płomienie świec kołysały się, jakby w pokoju unosił się czyjś duch. Być może to duch grzechotnika — pomyślała — obrzydliwego stworzenia, któremu przez wiele lat tak bardzo była wdzięczna.

Jej biżuteria umożliwiała ludziom kontakt ze światem duchów. Było w niej słońce i był księżyc, zimowy sen ziemi pod pokrywą śniegu i jej przebudzenie wiosną, i powrót śnieżnych gęsi do opuszczonych dawno gniazd. Podział na świat rzeczywisty i duchowy zawsze wydawał się Daisy zbyt trudny do zrozumienia. Wiedziała tylko tyle: chce pracować, a świece już się prawie wypalają. Nadal słuchała pieśni Szoszonów. Nie wiedziała, czy James wrócił ze spędu. Jej serce wypełniali Sage i Jake, i na razie to musiało wystarczyć. Przypływy natchnienia uspokajały ją, godziły ze światem... póki trwały.

Gdy tylko dotknęła kości, usłyszała głos wilka. Ciche, jęklive skomlenie przerodziło się w tęskne wycie. Wstrząsnęło nią, przywołało ducha nieżyjącego od dawna grzechotnika, dzięki któremu poznała prawdziwą miłość. Drgnęła, rozejrzała się, słysząc trzask, lecz to tylko szyba w oknie zadrżała pod smagnięciem wiatru.

Wiatr wdzierał się do małego domku przez komin, rozwiewał węgle, wywoływał migotanie świec. Daisy pracowała, magia i natchnienie uwalniały ją od strachu. Sage była coraz bliżej. Wędrowała na zachód, tak jak jej matka dawno, dawno temu. Miłość rodziców i duch zaklęty w kościach naszyjnika miały zapewnić jej bezpieczeństwo. I wskazać właściwą drogę.

David i Sage schronili się przed burzą w kolejnej opuszczonej szopie. Spędzili wspólnie w drodze dwa dni; wyglądało na to, że weszło im to w zwyczaj.

Padał śnieg. Spadło go już prawie dziesięć centymetrów. David stwierdził, że będzie jeszcze więcej.

— Jedziemy w góry, a tam napada z pewnością dużo — powiedział. — W Wyoming nawet metr.

— Przecież Dzień Dziękczynienia<sup>5</sup> jest jeszcze przed nami. — Sage pomyślała, że o takiej pogodzie stacje narciarskie w Nowej Anglii mogą tylko marzyć.

— Ten śnieg stopnieje równie szybko jak spadł — stwierdził David. — Prawdziwe śnieżyce przyjdą później. W grudniu, może nawet w styczniu.

Ulokowali się wygodnie w kącie stodoły. Psy i koty spały na ich kolanach. Petal nadal gryzła wypchaną zabawkę, wpatrując się z oddaniem w twarz Davida. Sage próbowała ułożyć się wygodnie na sianie; dziecko było dziś wyjątkowo ożywione i niezależnie od tego, jaką przyjęła pozycję, kopało ją energicznie. David przyjrzał się jej uważnie, jakby chciał sprawdzić, czy rzeczywiście jest w ciąży, czy też po prostu ma duży brzuch, był jednak zbyt uprzejmy, by cokolwiek powiedzieć.

— Wiele wiesz o Wyoming — zauważyła Sage.

— Owszem.

— I co, podoba ci się tam?

— Miejsce jak każde inne. Gdzieniegdzie miłe, gdzieniegdzie niemiłe.

---

<sup>5</sup> \* Święto obchodzone w USA w czwarty czwartek listopada.

Sage usłyszała muczenie krów. Rozejrzała się dookoła. Zapach zwierząt, szelest, z jakim ocierały się o słomę, przypomniawszy jej ranczo. Znów napotkała żywe stado; ciekawe — pomyślała — czy przypomina ojcowskie.

— Hodujemy bydło — powiedziała głośno.

— Naprawdę?

— Na ranczu ojca.

David prychnął kpiąco.

— Twój ojciec jest ranczerem?

— Owszem.

— Nienawidzę ranczerów.

Sage drgnęła, zdumiona. Czowała się tak, jakby splunął jej pod nogi.

— Cholernie ich nienawidzę — dodał chłopak.

— Nie rozumiem, jak możesz tak mówić. Zwłaszcza biorąc pod uwagę miejsce, które wybrałeś na nocleg. Jeśli aż tak nienawidzisz ranczerów, dlaczego nocujesz w ich obejściach?

— Tu trzyma się krowy na mleko. To nie ranczo. Różnica jest ogromna.

— Krowy i krowy. — Daisy rozłożyła ręce. — Też mi różnica.

— Mleko i hamburgery. Ranczerzy zdobywają zaufanie bydła, a potem podrzynają mu gardła.

— No, tak... — Sage wiedziała oczywiście, skąd się bierze wołowina: między innymi z rancza ojca. Nigdy jednak nie lubiła wdawać się zbyt w szczegóły. Wolała wybielić rzeczywistość w delikatnym świetle: góry, zachód słońca.

Na myśl o hamburgerze zrobiło się jej niedobrze. Zadławiła się, przykryła usta dłonią.

— Przepraszam — powiedział David.

— Tata wcale się tym nie zajmuje.

— Jesteś pewna?

— Oczywiście — odpowiedziała Sage, chociaż wcale nie była pewna.

— Prawdę mówiąc, to żadna różnica. Tak czy inaczej mamy do czynienia z okrucieństwem wobec zwierząt. Najpierw robisz

wszystko, żeby cię pokochały, karmisz je z ręki, a potem sprawiasz, że cierpią. Śmierdząca sprawa. Nienawidzę ludzi, którzy w ten sposób zarabiają na życie.

Sage obserwowała uważnie wygłaszającego tę przemowę Davida. Widziała grymas na jego nagle poczerwieniałej twarzy. Wyjął papierosa z paczki i trzymał go w zdrowej dłoni, zaciskając szczęki niczym zły pies. Przez chwilę nawet się go bała, nie miała wątpliwości, że to, co czuje, jest szczere.

— Mieszkałeś na ranchu? — spytała go, kiedy nieco się uspokoił.

— Nie.

— Więc dlaczego tak bardzo nienawidzisz ranczerów?

— Bo ich dobrze znam.

— A właściwie to gdzie się wychowałeś? — Uznała, że lepiej będzie zmienić temat.

— W Hollywood.

— Naprawdę?

— Nie.

Poczuła się urażona, ale nie miała zamiaru mu tego pokazać. Kocięta zasnęły słodko na sianie, pomiędzy nimi. Terier i spaniel gapiły się na krowy, a Petal lizła zabawkę jak szczeniaka.

— Dlaczego nie zapalisz papierosa, skoro tak bardzo go potrzebujesz? — spytała.

— Bo siedzimy w stodole, wokół jest mnóstwo siana, a ja nie chcę spalić ani nas, ani krów. Powinnaś nauczyć się, co wolno, a czego nie wolno, jeśli masz zamiar mieszkać na ranchu.

Udało mu się okrutnie urazić jej uczucia. Poczuła ucisk w gardle i płynące po policzkach łzy. Pod tym względem z pewnością przypominała matkę, łatwo było skłonić ją do płaczu.

— O, cholera! — powiedział David.

Sage żałowała, że w ogóle się spotkali. Jej dolna warga drżała; przygryzła ją i całym wysiłkiem woli spróbowała powstrzymać łzy. Niewiele ponad pięć centymetrów śniegu... bez problemu wróci na drogę, znajdzie sposób, by dostać się do Wyoming. Nie potrzebuje okazji, nogi ma silne, doniosą ją na miejsce.

Pójdę pieszo — pomyślała, szlochając.



— Sage? Hej, dziewczyno! — David zrobił kilka kroków w jej kierunku.

— Daj mi spokój — odparła, potrząsając głową. Wdepnęła w wielki krowi placek; płacząc próbowała oczyścić but. — Nie muszę jechać z tobą. Sama sobie poradzę.

— W tym śniegu?

— Oczywiście.

Chłopak stał, przyglądając się jej nieruchomym wzrokiem. Sage bez powodzenia czyściła but; im bardziej się starała, tym mocniej nawóz zdawał się do niego przylegać. Poczowała ucisk w żołądku, wiedziała, że za chwilę dostanie mdłości. Nie wątpiła, że potrafi odczytać myśli Davida: uważał, że ciąża czyni ją obrzydliwą, że jej ojciec jest bezdusznym, okrutnym ranczerem, że śmierdzi łajnem, w które wdepnęła. A teraz jeszcze będzie wymiotować...

Zwymiotowała. Wprost na buty.

David nawet się nie poruszył, nie odwrócił, nie zdradził gestem ani wyrazem twarzy, że odczuwa obrzydzenie. Sage wymiotowała długo, płacząc głośno pomiędzy kolejnymi skurczami. Oparta o szorstkie deski, odczuwała wyłącznie przygnębienie i samotność.

— Spokojnie — powiedział chłopak, ujął jej dłoń, oparł na swym ramieniu i podtrzymał ją. Wiązkami słomy wytarł oba jej buty. Sage kurczowo ścisnęła jego wąskie ramiona, próbując opamnować wstrząsające ją łkanie. Potem pomógł jej wstać.

— Nie płacz — poprosił, patrząc jej w oczy.

Stali, przyglądając się sobie wzajemnie. Sage drżała, serce przepełniało jej gorące uczucie. David wytarł łzy z jej policzków; miała okazję jeszcze raz przyjrzeć się tatuażowi przedstawiającemu sowę. Jego kolor był żywy, naturalny, jakby twórca tatuażu użył magicznych pigmentów, by ożywić ptaka. Patrzyła w żółte oczy, unikając wzroku towarzysza podróży.

— Słuchaj... — powiedział David.

— Co?

— Hej...

Czekał, by na niego spojrzała. Sage czuła, jak mocno bije jej serce; przez chwilę była pewna, że David zaraz ją pocałuje.

Teraz, kiedy stała tuż obok niego, miała wrażenie, że się z nim całuje; twarz zarumieniła się jej, skóra szyi i ud była jak naelektryzowana, czuła, że lada chwila zdarzy się coś bardzo ważnego. Ale kiedy podniosła wzrok, natychmiast się zorientowała, że była w błędzie.

Twarz Davida nie wyrażała nic, jakby był lunatykiem. Oczy i usta miał na wpół otwarte, wyglądał tak, jakby czekał, aż to ona coś powie, a ponieważ milczała, on podjął wysiłek powiedzenia kilku słów i po dłuższej chwili to mu się udało.

— Nie pozwoliłbym temu człowiekowi cię skrzywdzić.

Przygryzła wargi, bojąc się, że zaraz znów się rozpłacze.

— Niezależnie od wszystkiego, nie pozwalałam krzywdzić nikogo i niczego: psów, kotów, bydła, ludzi. Nie pozwoliłbym mu cię skrzywdzić.

— Wiem. Ocaliłeś mnie.

— Ratowałem psy żyjące w fabrykach zwierząt — powiedział chłopak, jakby chciał przypomnieć o tym jej i sobie. — Pamiętam Petal, kiedy była jeszcze szczeniakiem, ulubionym psem matki.

— Mieszkałeś w takim miejscu?

David skinął głową. Zdrową dłonią sięgnął do jej policzka, jakby pragnął wytrzeć nieistniejącą łzę. W jego spojrzeniu nie odbijało się żadne uczucie, jakby dawno temu zdecydował, że lepiej jest nie czuć nic, niż pamiętać szczegóły.

— Co cię... — przerwała, nie kończąc pytania o to, co skłoniło go do ucieczki.

— Właśnie dlatego ratuję wszystkich potrzebujących pomocy. I nie pozwalałam, by komukolwiek stała się krzywda, niezależnie od okoliczności. Rozumiesz?

Sage skinęła głową.

— Więc przestań się martwić.

— Oczywiście.

— Musisz coś zjeść. — I choć David ani słowem nie wspominał o jej ciąży, Sage zorientowała się, że wie; był zaledwie drugą osobą — po Deenie — która to zauważyła. Nie przeszkadzało jej to, wręcz przeciwnie, była nawet zadowolona, ponieważ czuła się bliska chłopakowi w sposób, który nie do końca rozumiała

— było to tak ważne jak pocałunek, ale nie wymagało pocałunku. Przyjaciele, być może nawet najlepsi przyjaciele — pomyślała. Przyjaciele, którzy przetrwali złe chwile, karmiąc kocięta z butelek dla lalek. Przyjaciele, którzy nawzajem ochraniali siebie podczas burzy.

— Wiem — powiedziała i poklepała się po brzuchu. — Muszę jeść.

— Usiądź. — David podprowadził ją do miejsca, gdzie siedziały zwierzęta. — Zaraz wracam.

Sage usiadła w gniazdku, które umościła sobie już wcześniej. Psy i koty zebrały się wokół niej. Grzała je swym ciepłem, spokojna, czuła bowiem bicie ich serc. Zamknęła oczy. Było jej niemal dobrze.

Zabrzącało naczynie, do którego lano płyn. Najpierw pomyślała, że ktoś polewa z węża dach, ale potem, mniej więcej w połowie obory, dostrzegła Davida. W słabym świetle bijącym ze świetlówek pod sufitem widziała, że kuca na słomie i doi krowę. I umiał to robić; małe wiadro napełniło się w niespełna minutę. Kiedy szedł w jej kierunku, nie widziała wyraźnie jego twarzy i z jakiegoś powodu obawiała się, że jest ona martwa, nieruchoma, jak podczas rozmowy, ale kiedy pochylił się nad nią, zauważyła jego spokojne, pełne troski spojrzenie.

— Dobrze? — spytał.

— Bardzo dobre. — Podała mu wiaderko, ale nie przyjął go, chciał, żeby wypić wszystko. A ona nagle poczuła głód, bardzo chciała wypić wszystko naraz, choć wiedziała, że musi być ostrożna.

Zwierzęta zwęszyły mleko. Budziły się powoli z głębokiego snu. David otworzył torbę, którą przyniósł z samochodu, napełnił ich miski jedzeniem i wodą, zaczął karmić kocięta.

Sage dopiła mleko. Gdzieś głęboko w jej duszy pojawiło się uczucie zadowolenia, tłumiące zdenerwowanie i strach, które czuła codziennie od wielu miesięcy.

Louisa żałowała, że nie ma przy niej Emmy i Ruthie. Kobieta w jej wieku, siedząca w szpitalu przy łóżku chorego ukochanego, pragnie mieć przy sobie rodzinę, pragnie czuć się szanowana i kochana, pragnie wiedzieć, że pozostawia po sobie jakiś ślad w tym świecie, że jej dusza będzie żyć wiecznie. Choroby uświadamiają człowiekowi, że nie jest wieczny, że życie, tak wspaniałe i cenne, może zakończyć się w każdej chwili. Dzieci powinny być wówczas przy rodzicach, by wiedzieli oni, że ktoś będzie kochał ich i opiekował się nimi aż do końca.

Od wypadku minęły dwa dni. Dalton spał. Wyglądał bardzo źle. Przyglądając mu się znad kartek magazynu „People” Louisa pomyślała, że jego stan znów uległ pogorszeniu. Leżał na wznak z szeroko otwartymi ustami, w których tkwiły rurki kroplówki, prowadzące do igieł wbitych w chude ręce. Pielęgniarka wyjęła mu mostek, przez co wyglądał niczym bezzębny włóczęga. Widok ten wstrząsnął Louisą.

— Kochanie...? — Potrząsnęła jego ramieniem, obudziła go.  
— Kochanie...

— Co? — spytał, nie otwierając oczu.

— Kochanie, to ja.

Dalton zacharczał.

— To takie straszne miejsce. Wiem, że go nienawidzisz i... — Rozejrzała się po pokoju. Rzeczywiście, był obrzydliwy

z tymi pomalowanymi na okropny żółty kolor ścianami, nylonową zasłoną wokół łóżka, urządzeniami do monitorowania akcji serca i ciśnienia krwi i wyciągiem, w którym tkwiły obydwie jego nogi. Gdyby tylko nie dawali mu tak wielu lekarstw! Bardzo pragnęła usłyszeć, że on też, tak jak ona, nienawidzi szpitala. Chętnie oddałaby wszystko, by zobaczyć, jak się wścieka, grozi, żąda, żeby zabrać go do domu.

Rano nie został ogolony. Wczoraj zaczął padać śnieg, wiele sawlowych i pielęgniarek albo spóźniło się do pracy, albo w ogóle do niej nie dotarło. Gdyby Dalton mógł wcześniej wyjść do domu, życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Zrobiłaby wszystko, żeby czuł się jak najlepiej: umyła go, ubrała, zmieniła pościel, nakarmiła i położyła przy wielkim oknie, skąd miałby widok na swoje rancho — śnieg zasypujący korrale, stajnie i wodopoje, skąd widziałby jelenie i bizona schodzące z gór w poszukiwaniu pożywienia, i jastrzębie wlatujące w niebo na codzienne polowanie. Leżałby sobie zadbany, czysty i obserwował wszystko dookoła. Patrząc na siwy zarost na jego zapadniętej twarzy, Louisa zrozumiała, co powinna zrobić.

Podwinęła rękawy wiśniowej wełnianej sukienki w drobny wzór, wciętej w talii, rozszerzającej się ku dołowi, tak że układała się jak w tańcu. Otworzyła szufladę nocnej szafki — obrzydliwej, tandetnej, wykonanej z plastiku oraz płyty paździerzowej — i wyjęła z niej miskę, mydło, ręcznik i brzytwę...

Doskonale wiedziała, jak sprawić, by mężczyzna poczuł się dobrze. Poszła do łazienki, odkręciła kran z ciepłą wodą i porządnie zmoczyła ręczniki. Wróciwszy do pokoju, delikatnie, ostrożnie, obłożyła nimi twarz Daltona, by zmiękczyły zarost, a także ogrzały starca, dały mu poczucie komfortu. I co z tego, że miał osiemdziesiąt dwa lata — pozostał mężczyzną, w tej chwili poważnie chorym mężczyzną. Wiedziała, że najlepszym lekarstwem dla najtwardszych kowbojów jest... traktować ich jak nowo narodzone dzieci.

— No już, kochanie — szepnęła mu do ucha. Tylko uszu i nosa nie zasłaniała aparatura medyczna. — Odpręż się, skarbie. Ogolę cię lepiej niż niejedna młodziutka pielęgniarka.

Odwinęła ręczniki i zaczęła przygotowywać pianę; ponieważ miała do dyspozycji tylko tanie szpitalne mydło, zabrało jej to trochę czasu, zwłaszcza że wiedziała, jak bardzo wrażliwa jest skóra Daltona. Unikał jej dotyku i choć mogło się wydawać, że śpi, to przecież próbował coś powiedzieć.

— Ciii... kochanie — uspokoiła go, namydlając mu twarz.  
— Jestem przy tobie, zaraz cię ogolę. Choć doprawdy nie wiem, dlaczego tak się staram. Zawsze najbardziej podobałeś mi się po nocy spędzonej na szlaku, zmordowany, blady i zarośnięty...

— Chrrrr...

Louisa zabrała się wreszcie do golenia Daltona. Niegdyś goliła mężczyzn, wiele lat temu, kiedy była młoda, nim się jeszcze spotkali. Pracowała wówczas jako tancerka i występowała wraz z trupą podczas rodeo w Cheyenne. Była biedna, załamana, miała pracę tymczasową i nie przynoszącą zaszczytu, a musiała utrzymać siebie i dziecko. Imiała się więc także innych zajęć. W męskim klubie „Rod and Rifle” była masażystką, ale goliła też mężczyzn. Nie miało to nic wspólnego z seksem. Nauczyła się myśleć o brzytwie jak o piórku, o twarzy mężczyzny jak o balonie. Dostawała napiwki większe niż inne dziewczyny, ponieważ była najdelikatniejsza.

— Dobrze ci, skarbie? — spytała, przystępując do golenia. Po każdym pociągnięciu płukała brzytwę w misce.

— Bardzo dobrze — odpowiedział Dalton.

Louisa drgnęła, omal nie wylewając wody.

— Jak się czujesz?

— Fatalnie — odparł, ale jego oczy błyszczały w pokrytej pianą twarzy. Patrzył wprost na nią. Upuściła brzytwę, złapała go za rękę.

— Cierpisz?

— Trochę boli, ale właściwie prawie nic nie czuję. Zupełnie jakbym wypił wannę bourbona. Gdzie Jamey?

— Jesienny spęd. Poprosił, żebym ci powiedziała, że przyjdzie, jak tylko wyśle bydło.

— Jesienny spęd. — Dalton przymknął oczy. — Powinienem być przy nim.



— Sam sobie poradzi. Ty leż spokojnie i nie przeszkadzaj swej kobiecie, kiedy cię goli.

— Moja kobieta. Rosalind.

Louisa westchnęła. Potrafiła miskę z wodą, rozlewając ją na łóżko. Podobny błąd popełnił już po raz drugi od czasu, kiedy się spotkali. Powiedziała mu kiedyś, że jeśli chce, by z nim została, **nie wolno** mu nazywać jej imieniem zmarłej żony. Obiecał, że więcej tego nie zrobi, i dotrzymywał słowa przez przeszło dwadzieścia lat. A teraz... Poczowała smutek, a także gniew, tak wielki, że musiała odejść od łóżka.

— Jezu Chryste, Louiso, jestem cały mokry.

— Teraz potrzebna ci Louisa, co? — powiedziała bardziej ze smutkiem niż z gniewem.

— O czym ty mówisz?

Lekarz i pielęgniarka wybrali sobie tę właśnie chwilę, by wejść do pokoju. Pielęgniarka krzyknęła, widząc mokrą pościel. Doktor podszedł do Louisy, doskonale zdającej sobie sprawę, że wraz ze łzami na jej policzki spłynął i zastygł na nich makijaż. Mówił coś o terminie wypisania ze szpitala, o stabilnym stanie chorego, który potrzebuje już tylko spokojnego miejsca, gdzie mógłby dojść do siebie, nabrać sił. I że trzeba się będzie do tego przygotować.

Louisa oblizwała wargi. Miała ochotę rozplakać się i doskonale wiedziała dlaczego. Podejmowanie decyzji dotyczących zdrowia Daltona było dla niej jak spacer po bardzo cienkim lodzie. Nigdy nie rozmawiali ze sobą na temat chorób, ich skutków i tak dalej. Raz wspomniała coś o przygotowaniu testamentu — sądziła, że wykonując tak ryzykowną pracę, pomyślał być może raz i drugi, że może chociażby spaść w przepaść — ale Dalton urządził jej taką awanturę, że nigdy już nie wrócili do tego tematu. A fakt pozostawał faktem: nie była jego żoną, nie sformalizowali też swego związku w żaden inny sposób. Pociągnęła nosem, powstrzymując szloch.

— Proszę pani — powiedział lekarz. — Rozumiem, jakie to dla pani trudne. Czy mogę coś poradzić?

— Bardzo proszę — odparła cicho.

— Z pewnością dobrze zrobiłoby mu kilka tygodni w sanatorium. Podleczyłby się tam, wzięłby kilka zabiegów fizykoterapeu-

tycznych. Jeśli stać panią na to, by zabrać go potem do domu, nie będzie już pani tak ciężko. Można też wynająć opiekę prywatną, niektóre ubezpieczenia pokrywają jej koszty, ale nie wszystkie. W pobliżu jest rezerwat Kruków, mnóstwo ludzi stamtąd szuka pracy.

— Poleca mi ich pan, bo są tani?

— Po prostu stwierdzam fakt — odparł lekarz. — Wielu naszych pracowników pochodzi stamtąd.

— Dziękuję panu bardzo za troskę.

— On jest silny. Jego mięśnie są w doskonałym stanie...

— Dziękuję — powtórzyła Louisa, przerywając lekarzowi w pół zdania. Stała skulona, obejmując się ramionami, żałując, że nie ma przy niej Jamesa, który mógłby jej pomóc podjąć właściwą decyzję. Młoda, ładna pielęgniarka przebierała Daltona w suchą piżamę i zmieniała przemoczoną pościel. Słyszała, jak stary mężczyzna próbuje z nią flirtować, i nagle poczuła ostry ból w sercu.

— Do zobaczenia jutro — powiedział lekarz.

Skinęła głową. „Rosalinda”. Jakże łatwo przyszło Daltonowi wypowiedzieć to imię. Czyżby przez cały ten czas myślał o żonie? Jeśli tak, to kim była dla niego ona? Nigdy nie zaproponował jej małżeństwa. Bolało ją to, kiedy w ogóle o tym myślała, ale aż do tej pory naprawdę nie zdawała sobie sprawy, jak głęboka jest ta rana.

Rosalinda z rancza DR.

Co będzie, jeśli Dalton nic jej nie zapisał? James wyrzuci ją z domu w jednej chwili, bez zastanowienia. Potrząsnęła głową; nie powinna snuć takich myśli, mając przy sobie Daltona, który wkrótce zostanie wypisany ze szpitala. Sanatorium, fizykoterapia... w każdym razie młody lekarz nie wspomniał dziś nic o starczej demencji i nie najlepszym stanie psychicznym.

Czy Todd przypadkiem nie wspomniał czegoś o kimś, kto zna się na opiece nad chorym i przyjmującym zlecenia prywatne... kuzynka, krewna, opiekująca się chorymi w ich domu? Musi jak najszybciej do niego zadzwonić. Poczeka, aż Dalton znowu zaśnie, a potem pójdzie do telefonu. Widziała automat niedaleko pokoju pielęgniarek.

Daisy pochłonięta była całkowicie rzeźbieniem w kości wilka. Tymczasem na ranczu zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Padał śnieg, było go znacznie więcej niż w listopadzie jakiegokolwiek innego roku. Wilki zeszły na dół ze swych górskich kryjówek i wyły pod oknami domku, jakby czuły obecność ducha swego nieżyjącego brata. Jaskółki opuściły stajnie, chroniąc się pod dachem. Nocą, gdy ustawała zamieć, polowały sowy i puszczyki, latając tuż nad wysokimi zaspami.

Wycie wilków słychać było coraz bliżej. Wyczerpany ciężką pracą podczas zamieci James zastanawiał się, co do cholery robią tak blisko domu. Stada zostały już spędzone, przyszła pora na oddzielenie cieląt. Mimo iż wilki kryły się przed oczami ludzi, czuł ich obecność i rozpoznawał ją po zachowaniu bydła.

Przykryte warstwą śniegu błoto utrudniało poruszanie się. Przy bramie stały zaparkowane ciężarówki, czekające na załadunek. W jednej kabinie siedziało dwóch kierowców, paląc i rozmawiając. Od wielu lat prowadzili samochody służące do przewozu bydła, od wielu lat zabierali je z rancza DR.

James czuł w kieszeni ciężar zdjęć. Komu chciało się robić zdjęcia jego bydła? Od czasu do czasu zerkał na nie, spalone po brzegach na popiół, jakby oczekiwał, że pojawi się na nich coś nowego. Louis Łopatka i Daisy rozmawiali niegdyś o zdjęciach duchów, kiedy to na zrobionych dawno fotografiach pojawiały się duchy i wskazówki wyjaśniające zagadki przeszłości. Jedno-

cześnie obawiał się i miał nadzieję, że na swoich polaroidach zobaczy twarz Sage.

— Widziałeś może w kanionach kogoś obcego? — zagadnął Paula.

— Nie. Dlaczego pytasz?

Pokazał mu zdjęcia i spytał przyjaciela, czy jego zdaniem mogą one mieć coś wspólnego z martwym bydłem. Paul przyjrzał się im uważnie i poradził, żeby pokazać je szeryfowi, choć pewnie to tylko jakiś turysta mieszkający na sąsiednim ranchu robił sobie na pamiątkę zdjęcia życia na Dzikim Zachodzie.

James skupił się na pracy, którą trzeba było przecież wykonać. Nadszedł czas oddzielania cieląt od matek i matki już to wyczuwały. Od rana zachowywały się nerwowo, a teraz zaczęły płakać. Bo James Tucker wierzył, że zwierzęta mają te same uczucia co ludzie. Nienawidził tej części swojej pracy.

Psy pasterskie były czarne, śliskie, ubłocone. Podgryzały cielęta w nogi, kierując je w lewo do specjalnych zagród. Krowy powinny skręcić w prawo. Panowało straszliwe zamieszanie. Matki sądziły początkowo, że po prostu straciły dzieci z pola widzenia, że nie stało się nic naprawdę złego, nieodwracalnego. Rozglądały się niepewnie to w jedną, to w drugą stronę, i wpadały w coraz większą panikę.

Śnieg przestał padać. Na ziemi leżało ponad osiemdziesiąt centymetrów, ale ciepło wydzielane przez zwierzęta stłoczone na małej przestrzeni stopiło go niemal natychmiast. James jechał na karym koniu wśród stada, krzykiem kierując matkami.

— Jah, jah, jah! — pokrzykiwał, machając rękami. — Ruszajcie się!

Kierowcy ciężarówek wyrzucili niedopałki, podeszli do samochodów, otworzyli je, opuścili rampy załadunkowe... i nagle nastrój w stadzie zmienił się. Tymi samochodami przewieziono już wiele zwierząt do rzeźni, przesiąkły one zapachem strachu i śmierci, a wiatr niósł go daleko. Matki wiedziały już wszystko.

Zaczęły ryczeć. Tłoczyły się przy ogrodzeniu, wyciągając szyje. Wielkie smutne mordy wyciągały ku ciężarówkom. W ich głosach słychać było teraz przeraźliwy smutek.

James, który znajdował się pośrodku stada, omal nie spadł z konia. Wódz poślizgnął się w błocie, oparł o ciała krów. Widział, jak matki wspinały się jedna na drugą, opierały o ogrodzenie, gniotły i zadeptywały nawzajem, rycząc z nieznośnym wręcz bólem.

Trzydzieści razy. James Tucker już trzydzieści razy oddzielał cieleta od krów i wysyłał je do rzeźni. Nigdy nie było mu łatwo, nie pamiętał jednak, by kiedykolwiek było aż tak trudno jak dziś. Coś go ścisnęło w dołku na dźwięk ryku matek. W towarzystwie Daltona skupiał się przede wszystkim na tym, by być dobrym ranczerem, synem, z którego ojciec mógłby być dumny, prawdziwym Tuckerem z długiej linii Tuckerów z Wyoming. Ostatnim z nich.

Dziś miał mdłości. Nie do końca potrafił powiedzieć, skąd wzięła się ta zmiana. Może stąd, że nie było przy nim ojca, za to wróciła Daisy? Nieznośna była dla niego myśl, że ona wszystko słyszy. Przebiegła przed nim jedna z krów, mucząc żałośnie. Uderzyła w zwartą masę ciał, poślizgnęła się, upadła. Inne deptały po niej bezmyślnie, jakby wcale jej nie widziały.

Zeskoczył z konia i podbiegł do niej, przebijając się przez stado. Otoczył ramionami jej łeb.

— Rusz się! — krzyczał. — Wstawaj! Wstań!

Krowa ryczała, dziko przewracała ślepiaini, a wokół niej kłębiły się zwierzęta. James znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie, ale był mężczyzną twardym, no i w jego zawodzie zwierzę było oczywiście najważniejsze. Natychmiast zorientował się, że nie uda mu się podnieść krowy, owinał ją więc lassem. Wskoczył na konia, gubiąc przy tym but, który ugrzązł w błocie. Drugi koniec lassa przywiązał do łąku. Cofnął Wodza głębiej w stado, stawiając nieszczęsne zwierzę na nogi.

Hałas panował tak straszny, że nie od razu usłyszał kobiecy głos, wysoki, przepelniony strachem i żalem matki tracącej dziecko. Siedział już na koniu, wysoko nad kotłującym się stadem; w pierwszej chwili miał wrażenie, że to głos ptaka.

Ubrana w ciemnozieloną kurtkę, Daisy była niemal niewidoczna wśród cedrów i sosen, rosnących po przeciwnej stronie zagrody dla bydła. Wspięła się na belkę ogrodzenia, patrzyła na

krowy i na ciężarówki. Obserwowała setki kierowanych do rzeźni cieląt i czterysta żegnających je matek.

James poczuł, jak serce wypełnia mu straszny smutek i gniew. Próbował ukryć te uczucia, trącił boki konia i wjechał w środek stada. Pragnął rozdzielić je, by krowy z tyłu nie pchały się i nie tratowały tych, które znajdowały się przy ogrodzeniu.

Daisy krzyczała, jej głos niósł się nad ranczem. James Tucker nie wytrzymał. Ruszył galopem, czując, jak błoto spod końskich kopyt pryska mu na ubranie i twarz. Wódz zarył kopytami przed Daisy, ale ona zdawała się go nie widzieć. Stała z rozwartymi ramionami, jakby chciała przygarnąć do serca wszystkie matki i wszystkie cielęta.

— Jezu Chryste! Wracaj do domu! — krzyknął James.

— Posłuchaj ich. — Daisy płakała.

— Oddzielamy cielęta od krów. Nic więcej. Robimy to co roku.

— Płaczą. Czy ty tego nie słyszysz?

— Mamy spęd. Podczas spędu zawsze ryczą. Wracaj do domu i zamknij drzwi. Wkrótce wszystko się skończy i już nie będziesz ich słyszała.

Daisy zamknęła oczy. Jej blada twarz wydawała się świecić. Odrzuciła głowę, jakby miała wizję. James zadrżał. Patrzył na jej nagie dłonie, kruche i delikatne; na przegubach widać było przez skórę niebieskie żyłki. Zawsze uważał ją za najdelikatniejsze stworzenie na świecie, a teraz do szaleństwa doprowadzała go świadomość, że to ona musi nieść na barkach tak straszny ciężar.

— Daisy, na litość boską! — krzyknął, tracąc cierpliwość.

— Wracaj do domu.

— Nie mogę.

— Po co się na to skazujesz? Czy nie wystarczy ci, że nie wiemy, gdzie jest Sage? Musisz jeszcze słuchać...

— Wiem, co one czują... wiem, przez co przechodzą.

— I obserwowanie ich poprawia ci nastrój, tak?

— Nic nie poprawi mi nastroju, póki Sage nie wróci do domu.

— Daisy przełknęła z trudem. — Ale nie mam zamiaru zostawić ich samych. Zostanę, póki nie odjedzie ostatni cielak. Póki...



— Póki nie stracą nadziei? — James cierpiał, nie wiedział, co kazało mu wypowiedzieć te słowa. — O to ci chodzi?

— Po prostu chcę z nimi zostać. I tyle. Nie potrafię tego wytłumaczyć. — Odetchnęła głęboko i nagle przestała płakać. Spłynął na nią wielki spokój. Spojrzała Jamesowi prosto w oczy. — To nie ma nic wspólnego z tobą. Nic mi nie jest. Naprawdę. Wracaj do pracy.

— Nic wspólnego ze mną...! — James zawrócił Wodza w miejscu i pognał galopem. Zauważył, że Paul go obserwuje, ale nic go to nie obchodziło. Jego naga stopa — but został w błocie — była zimna i mokra. Krowy hałasowały jak nigdy. Nie rozumiał kobiety, która była niegdyś' jego żoną, i po prostu musiał się zastanowić, czy kiedykolwiek ją rozumiał.

Cieleta wchodziły po rampach do ciężarówek powoli, niechętnie, becząc jak owce. Nie wiedziały, co je czeka. Jak w życiu, pomyślał James. Młodzi ufają, że rodzice będą się o nich troszczyć.

— Cholera! — zaklął, nim Paul zdążył do niego podjechać. Nietrudno było się domyślić, że będzie zadawał pytania.

— Galeria zajęta — powiedział Paul. — Wielbiciele żyć bez nas nie mogą.

— Nie mamy wielbicieli.

— Nie? Wygląda na zafascynowaną.

— Nie powiem, żeby była zafascynowana. I nie jest wielbicelką.

— Damy rzeczywiście nie lubią tej części naszej roboty.

— Nie spodobałoby się jej i to, że nazywasz ją damą. Nie jest przesadnie szczęśliwa.

— Już prawie skończyliśmy — westchnął Paul. — Krowy zaraz się uspokoją, zapomną o tym, co się zdarzyło. Czeka je teraz długi, miły zimowy odpoczynek. A potem znów będą rodzić.

— Wiesz, mam do ciebie prośbę — warknął James.

— Tak? Jaką?

— Zamknij się. — James Tucker odjechał, by wyciągnąć z błota kolejną tratowaną krowę.

\*

Louisa pojawiła się na ranchu w trakcie oddzielania cieląt; prowadziła pikapa Daltona, z napędem na cztery koła, najlepiej nadającego się do jazdy po gęstym mokrym śniegu. Przez wiele spędzonych na ranchu lat przyzwyczała się do niesamowitego ryku krów, ale dziś ranił on ją wręcz fizycznie. James i Paul prowadzili kowbojów oddzielających cielęta... a Daisy przyglądała się im z drugiego końca głównego korrala.

Louisa potrzęsła głową. Pomyślała, że tę dziewczynę życie nauczyło, co to strata, nie powinna zajmować się krowami ryczącymi wniebogłosy z żalu po cielętach. Przez chwilę chciała nawet przemocą zaciągnąć ją do domu, no ale jeśli ktoś z własnej woli decyduje się zostać męczennikiem, nie jej zadaniem jest mu przeszkadzać. Ludzie powinni wiedzieć, co jest dla nich najlepsze, powinni kierować się w życiu własnym rozsądkiem. Louisa nigdy nie twierdziła, że wie, dlaczego ktoś robi akurat to, co robi, ale starała się szanować decyzje innych, niezależnie od tego, czy je pojmowała czy nie.

Weszła do domu i odetchnęła głęboko, z zadowoleniem. Jak dobrze jest wrócić do siebie, zwłaszcza po długiej wizycie w tym okropnym szpitalu. Dalton, nafaszerowany lekarstwami, co chwilę wzywał Rosalindę i był pewien, że postrzelili go hodowcy owiec. Potem nagle oprzytomniał, zwrócił się do niej jej właściwym imieniem i spytał, kiedy mógłby wrócić do domu.

Coś takiego każdego doprowadziłoby do szaleństwa. Podeszła do kredensu, nalała sobie do szklanki czystej whisky. Ojciec dawno temu nauczył ją pić. Pij jak mężczyzna — mówił — nic słodkiego, nic gęstego, a to, co pijesz, pij bez dodatków. Nie wierzyła w popijanie do lustra albo przed zachodem słońca, ale dzisiejszy dzień wyjątkowo dobrze nadawał się do łamania zasad.

Padła na kanapę w dużym pokoju i rozejrzała się dookoła. Pokolenia Tuckerów gapiły się na nią ze ścian obwieszonych całym przyzwoitymi portretami. Mamusie i tatusiowie. Wypiła łyk whisky. Jej wzrok spoczął na srebrnym serwisie do herbaty, który żona Daltona odziedziczyła po swym ukochanym, dawno zmarłym dziadku.

Tę historię znała doskonale. Rosalinda była kobietą „rasową”. Pochodziła z Bostonu, urodziła się w jednej z tych starych rodzin, których przodkowie przyплыли na „Mayflower”<sup>6</sup> czy innej cholerniej „Santa Marii”<sup>7</sup>. Ukończyła dobre szkoły, wiedziała, którego widelca używa się do jakiego dania, i mówiła z akcentem z Nowej Anglii. Ale Dalton zakochał się w niej do szaleństwa bynajmniej nie z tego powodu. Rosalinda wspaniale strzelała do celu. Brała udział w turnieju w Bostonie, przeszła do następnej rundy, pobiła wszystkich nowojorczyków, przyjechała pociągiem do Cheyenne, gdzie zestrzeliła jabłko z końskiego łba, wygrała pierwszą nagrodę, podbiła publiczność i zdobyła serce właściciela rancza DR.

— Złoty medal — syknęła Louisa. Usłyszała swój głos, zorientowała się, ile w nim jadu, i wypła kolejny łyk whisky. Kiedy podeszła do gablotki, w której znajdował się ten złoty medal, uspokoiła się trochę. — Pierwsza nagroda — dodała łagodnie.

Mogła sobie pozwolić na łagodność — Rosalinda zginęła, nie żyła od wielu lat. W dniu jej śmierci James miał piętnaście lat. Matka i syn odwiedzali w stajni kuca podczas zamieci podobnej do dzisiejszej. Pod ciężkim śniegiem dach zawalił się prosto na nich. James, sam ranny, wyciągnął matkę. Louisa wielokrotnie wyobrażała sobie, jak to musiało wyglądać: chłopiec ze złamaną nogą trzymał w ramionach konającą matkę, której krew powoli wsiąkała w śnieg. Wiedziała nawet, w którym miejscu to się stało, ponieważ Dalton postawił tam krzyż.

Dotknęła szkła, odgradzającego jej palce od medalu. Rosalinda miała wiele zalet, których jej brakowało: pochodziła ze wschodu, z dobrej rodziny, była bogata, umiała wygrywać. Ona nie trafiłaby w stodołę nawet grubym śrutem. Miała seksapil, Rosalinda zaś klasę. Ona była kochanką, Rosalinda żoną.

---

<sup>6</sup> \* Mayflower — nazwa statku tzw. „Pielgrzymów” — angielskich purytanów, którzy w 1620 roku założyli kolonie w Plymouth, w Massachusetts. Amerykańskim szczytem snobizmu jest posiadanie przodka, którzy przyплыli na „Mayflower” (przyp. tłum.).

<sup>7</sup> \* Santa Maria — nazwa flagowego statku floty Krzysztofa Kolumba, który odkrył Amerykę w 1492 roku (przyp. tłum.).

Podeszła do biurka Daltona i zaczęła machinalnie porządkować rozrzucone na nim papiery. Uspokoiło ją to, wprowadziło w atmosferę pokoju, który urządziła sama, korzystając z kolorowych magazynów. Przejrzała uważnie stare numery „House and Garden”, studiowała zdjęcia zrobione na wielkich ranczach Teksasu, Montany i Kolumbii Brytyjskiej.

Przede wszystkim pragnęła zachować tu atmosferę Dzikiego Zachodu. Posłużyła się w tym celu przedmiotami odziedziczonymi przez Daltona po rodzicach. Zatrzymała klasyczny stół z lat dwudziestych, w stylu hiszpańskich misji w Kalifornii, stare pokryte skórą fotele, portrety i biurko z otwieranym blatem, a także wschodni dywan, zdobiący jadalnię domu rodziców Rosalindy w Back Bay. Po czym zdała się na własny gust.

Kanapę i taborety kazała pokryć eleganckim ciemnozielonym aksamitem. Sama wybrała ciężkie, również zielone, sięgające ziemi zasłony obramowane na kremowo. Sama wybrała mosiężne lampy, kryształowe kieliszki, niezwykle również mahoniowy bar ze starego saloonu w Lander. Do dekoracji pokoju wykorzystowała także kolekcję drutów kolczastych pochodzących ze zbiorów ojca Daltona, który zachował kawałki ze wszystkich postawionych przez niego ogrodzeń. Nie czuła przy tym ani odrobiny dumy; ogrodzenia te stawiano, by nie dopuścić do ziemi jej rodziny i jej owiec.

Westchnęła ciężko, zdając sobie sprawę z tego, co naprawdę robi. Szukała testamentu. Oszalała, zwariowała, zaczęła się przejmować nie wiadomo czym. Przecież nie wątpiła, że Dalton się nią zajmie. Znała go, wierzyła mu, kochała z całego serca. Owszem, zwracał się do niej imieniem żony, ale z pewnością działa się to pod wpływem lekarstw i strachu.

Skoro pomyślała już o rodzinie, podniosła słuchawkę telefonu i zadzwoniła do żony Todda. Tammy była sympatyczną dziewczyną, kochającą męża i mu oddaną.

— Cześć, witaj, pani Rydell. Żono Todda.

— Cześć, ciociu Louiso. — Tammy roześmiała się z tego zabawnego początku rozmowy. Spytała o Daltona; kilka minut poświęciły rozmowie o stanie jego zdrowia i prognozach na przyszłość.

— Słuchaj, twój niesłuchanie przystojny mąż powiedział mi, że masz siostrę, która zajmuje się chorymi. Chciałabym ją zaangażować.

— Jest dobra, troskliwa i bardzo potrzebuje pracy.

— A która to? Ta z dziećmi czy ta bez? — Bardzo trudno było zorientować się w subtelnych zawilościach licznej rodziny Tammy.

— Obie mają dzieci.

Doszły w końcu do porozumienia — chodziło o Almę Jackson. Mąż do niczego, dwóch chłopców na utrzymaniu. Alma pracowała w szpitalach i domach opieki, a także w prywatnym domu, gdzieś na północy. Louisa podziękowała Tammy i natychmiast zadzwoniła do Almy. Odpowiedziała jej automatyczna sekretarka niczym się nie wyróżniającym, choć całkiem sympatycznym głosem. Zostawiła wiadomość.

Następnie Louisa zadzwoniła do córki. Słyszała ryk krów, którym odbierano cielęta, zapragnęła więc porozmawiać z dzieckiem, ale nikt nie podniósł słuchawki. Ma o czym myśleć i czym się zajmować — pomyślała. Zupełnie jak jej matka. Kłopoty z mężczyzną, i to kłopoty przez duże K. Odwiesiła słuchawkę i rozejrzała się dookoła. Bez Daltona dom sprawiał dziwne wrażenie.

Zupełnie jakby należał do Rosalindy.

Dzieciaki bez przerwy uciekają z domu. Tego Daisy dowiedziała się od detektyw LaRosy, to mówili też przez telefon policjanci z posterunków, do których zdołała się dodzwonić. Mając przed oczami mapę Stanów Zjednoczonych, Daisy przeprowadziła linię prostą pomiędzy miasteczkiem w Iowa, gdzie Sage wysiadła z pociągu, a ranczem. W informacji telefonicznej zdobyła numery lokalnych posterunków policji na tej linii. Dzwoniła do wszystkich po kolei. W niektórych wiedziano o ucieczce jej córki z wewnętrznych biuletynów policyjnych. W większości nikt nie miał o niej pojęcia.

Daisy nie potrafiła zapomnieć ryku krów. Wykręcała numery posterunków policji jeden po drugim, rozmawiała, odkładała słu-

chawkę. Zapadła noc, w większości z nich nikt nic nie wiedział. „Nie” — słyszała w odpowiedzi. „Nie widzieliśmy pani córki”. Dzieci bez przerwy uciekają z domów.

Na dworze panowała cisza. Ciężarówki odjechały, wyładowane cielećkami przeznaczonymi do rzeźni. Matki w zagrodzie uci-chły, powoli zapominały o nich i o żalu, któremu jeszcze niedaw-no dawały tak głośny wyraz. Daisy była kompletnie wyczerpana, jakby płakała od wielu dni. Śnieg znów zaczął padać. Aż skuliła się na myśl o tym, że być może pada w tej chwili także na ie- córke.

Kolejny telefon, kolejny posterunek. Obsługujący centr- kę policjant okazał się bardzo nieuprzejmy. Następny; odłożyła słuchawkę, słysząc nagranie: „Z powodu burzy połączenia tele- foniczne nie mogą zostać zrealizowane...”. Drżąc na całym cie- le, usiadła przy stole, na którym leżała kość wilka. Rzeźby były pra- wie ukończone, twarze mężczyzny i kobiety zyskały już niemal swój właściwy wyraz.

Wilki znów zaczęły wyć. Czyżby to ona je przywołała? Daisy czuła, że podczas pracy dysponuje magiczną niemal mocą: jest w stanie dać miłość, nawet tego nie pragnąc, w każdym razie nieświadomie, może więc także potrafi sprowadzić wilki z gór? Pamiętając krowy, którym przemocą odebrano cielećka, tak zrozpa- czone, że niezdolne troszczyć się o siebie, pomyślała, że wołałaby mieć dar odstraszenia drapieżników.

Usłyszała pukanie do drzwi i drgnęła, zaskoczona. Przeszła przez pokój; płomień świec pochylili się od podmuchu powie- trza. Uświadomiła sobie, że może to być jakaś wiadomość o Sage, i podbiegła.

Otworzyła drzwi. I westchnęła ze zdumienia.

Na progu stał James, otrząsając śnieg z butów. Poczowała na- pływające do oczu łzy. James był poważny, usta miał zaciśnię- te.

— Co tu robisz? — spytała.

— Właśnie chciałem zapytać cię o to samo. Mogę wejść?

Odsunęła się na bok, wpuszczając go do pokoju. Stała skulo- na. Przypadkowo opuściła wzrok na jego buty; jeden z nich cały



pokryty był błotem. Oczywiście, kiedy podjechał do niej, zauważyła bosą stopę. Nie roześmiała się wówczas i nie śmiała się teraz.

— Co ty wyprawiasz, do diabła? — spytał James.

— W tej chwili? Właśnie skończyłam telefonować na policję — odparła, wskazując mapę. Przesunęła palcem po wykreślonej przez siebie linii, wyjaśniła, do których posterunków już dzwoniła. Nie widzieli Sage, ale może po jej telefonie będą bardziej zwracać na nią uwagę?

— Mogłaś to zrobić z domu — przerwał jej James,  
— Co?

— Mogłaś dzwonić do wszystkich tych pipidówek od siebie, ze wschodu. Z własnego domu. Wracaj tam, Daisy.

Wyprostowała się i spojrzała w jego poznaczoną głębokimi zmarszczkami twarz o mocno zaciśniętych ustach. Przypomina swą ziemię — pomyślała. Twardą jak skała. W tej zmęczonej twarzy wyraźnie odznaczały się wydatne kości policzkowe i zmęczone, zapadnięte oczy. Ach, te oczy — pomyślała jeszcze. Piwne, w kolorze szałwi oświetlonej październikowym słońcem.

Kiedy odwracała wzrok, James chwycił ją za rękę.

— Nie pasujesz tu!

Szarpnęła się, usiłując uwolnić się z jego uścisku.

— W tej chwili to moje miejsce na ziemi!

— Słyszałem cię. Wszyscy cię słyszeliśmy.

— Krzyczałam. I co z tego?

— Ja prowadzę ranczo, Daisy, a nie zoo i nie park, gdzie prowadzi się na spacer dzieci, żeby klepały cielątka i ganiały za kaczkami. Nie rozumiesz? Boże, ty nigdy się z tym nie pogodziłaś! Zawsze chciałaś, żeby było czym innym, niż jest.

Daisy potrząsnęła głową.

— Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

— Cieleńta. Dziś pojechały do rzeźni. Słyszałaś ich matki.

— Ty także.

James wziął głęboki oddech i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. Jego obecność w tym miejscu, gdzie dawno temu kochali się po raz pierwszy, teraz wydawała się Daisy nieznoś-

na. Próbowwała się uspokoić, oddychała głęboko, ale nie spuszczała z niego wzroku.

— Do diabła z tym — powiedział w końcu. — Wracaj do domu.

— Czekam na Sage.

Trzasnęło drewno w kominku. James spojrział w tamtą stronę, potrząsnął głową.

— Nie chcę cię skrzywdzić — powiedział w końcu — ale nie tu jest twoje miejsce.

— Czekam na córkę. Moje miejsce jest tutaj.

— Gdzie dzieją się takie straszne rzeczy? Nie uwierzysz, jak straszne. Nie zniesiesz tego, moim zdaniem nie powinnaś nawet próbować. Po co w ogóle tam stałaś i słuchałaś ryczących krów?

Daisy poczuła nagle, że dzieje się coś niezwykłego. Czasami, kiedy siadała do pracy, kiedy przesuwała dłoń po powierzchni kości, czubkami palców wyczuwała obecność ducha zwierzęcia. Gotowa przyjąć go, otwierała przed nim swe serce, i cień miłości, którą czuło kiedyś to stworzenie, wypełniał jej duszę. Teraz odczuwała coś bardzo podobnego. Patrzyła na Jamesa, słyszała gorycz w jego głosie i miała wrażenie, że w duszy pęka jej jakaś tama.

— A po co ty robisz to, co robisz? — spytała.

Zaskoczył go jej łagodny ton. Spojrział na nią, wytarł jakiś nieistniejący brud z policzka i kącików oczu. Patrzył na Daisy z goryczą, ale przez chwilę sprawiał też wrażenie zrozpaczonego, niepewnego, jakby przeżywał jakiś konflikt, zmagał się z problemem życia i śmierci.

— Po co wysyłasz cielęta do rzeźni? Przecież widzę, że sprawia ci to ból. I proszę, nie karm mnie tymi bzdurami o zawodzie ranczera.

— Przecież jestem ranczerem! To najważniejsza część mojej pracy.

— Nie — powiedziała Daisy przez ściśnięte gardło. — Najważniejszą częścią twojej pracy jest mierzenie cielętom temperatury, kiedy zachorują. Karmienie ich z butelek po śmierci matki.

Gonienie ich po cienkim lodzie, żeby nie utonęły, gdyby się załamał. Pojenie własną wodą podczas groźnej suszy...

— Muszę utrzymać je przy życiu, aż będą wystarczająco duże, by umrzeć.

— Kochasz je i troszczysz się o nie.

— To nie ma najmniejszego znaczenia.

— Nie sędzę.

— O co ci chodzi?

— To ci rozdziera serce. — Daisy bardzo pragnęła dotknąć jego policzka, pójść z nim do lekarza, sprawdzić czy to, co w nim pękło, nie może zostać złączone. Kiedyś, zaraz po zniknięciu Jake'a, to ona pragnęła odegrać rolę lekarza. Dziś wiedziała, że jej moc do tego nie wystarczy.

— Nic mi nie jest — powiedział James.

Daisy potrząsnęła głową.

— To nieprawda.

Patrzył na nią, nadal sztywny, spięty. W wyrazie jego twarzy nie zmieniło się nic, miała wrażenie, że spogląda przez nią na wylot, jakby jej nienawidził, jakby miał uśmiechnąć się dopiero wówczas, gdy ona stąd wyjedzie. A przecież widziała, jak czyścił Scout; pracował przy tej starej kłaczce, aż lśniła jak czyste złoto.

— Musisz wyjechać — powiedział. — Kiedy Sage pojawi się na ranczu, natychmiast odwiozę ją do ciebie. Nie wierzysz mi?

— Zawsze ci wierzyłam.

— Nieprawda. Nie potrafiłaś uwierzyć mi po tym, co zdarzyło się z Jakiem. I uważasz, że teraz jest tak samo.

— Nie...

— Tak właśnie myślisz. Musisz myśleć, że...

— Dzieci bez przerwy uciekają z domu — powiedziała Daisy i zdumiała się, że te słowa tak gładko przeszły jej przez gardło. Jeszcze przed chwilą gotowa była udusić policjantkę, która je wypowiedziała, a teraz sama je powtarza, jakby były największą wypowiedzianą kiedykolwiek przez człowieka mądrością. Sage nagle uciekła z domu, więc brzmiało to rozsądnie i pocieszająco. Zbuntowana szesnastolatka, przerażona, w ciąży... nic wyjątkowego. Tęskniła za ojcem, więc postanowiła go odwiedzić.

Nic z tego, co się stało, nie było winą Jamesa.

— Nie winię cię — powiedziała cicho. — Nie winię cię o nic.

— Do diabła z tym. Ja sam siebie winię.

— Wiem. — Bardzo pragnęła ująć jego rękę, ale jakoś nie mogła się na to zdobyć. Czula mrowienie skóry, jakby płynął przez nią silny prąd elektryczny; obawiała się, że on także to czuje. — Zawsze się obwiniałeś.

— Twierdzisz, że dzieci bez przerwy uciekają z domu. I co z tego? Nawet jeśli jest to najnormalniejsza rzecz pod słońcem, to co z tego? Coś złego zawsze może się im przytrafić i nie masz na to najmniejszego wpływu.

— Wiem. Próbuję zachować wiarę.

— Wiara. — W jego głosie dosłyszała kpinę, a nawet sarkazm.

— I nadzieję.

— To jeszcze gorsze. Nadzieja! Widziałem cię przy zagrodzie dla bydła. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, jak to jest, kiedy traci się nadzieję. Dlatego płakałaś, patrząc na krowy.

— Zachowałam nadzieję, James — powiedziała cicho. — I oczekiwałam... — urwała. Pragnęła powiedzieć: „I oczekiwałam, że ty też”. Żałowała, że nie może dać mu tej nadziei: przytulić go, poczuć, jak ich serca biją wspólnym rytmem, tak jak niegdyś. Był taki przystojny, ten mężczyzna, w którym się zakochała. Przeraziła ją tylko to jego pozbawione jakiegokolwiek wyrazu spojrzenie. I on, i ona stracili nadzieję na odzyskanie Jake'a, ale ona nigdy, przenigdy nie straci nadziei na odzyskanie Sage. — Sage jedzie tu i jest bezpieczna. Gdziekolwiek w tej chwili przebywa, nie stoi na śniegu. Jest bezpieczna, nie marznie i dojedzie na ranczo...

„Żywa”. Słowo to zawisło pomiędzy nimi, a potem uleciało niby ptak. Czula, jak znika. Tej nocy czula się jak podczas seansu: przywoływała duchy różnych stworzeń, wypełniając nimi powietrze. Zamknęła oczy, łzy popłynęły jej po policzkach. Usłyszała bicie ptasich skrzydeł, podeszła do okna.

Noc pełna była żółtych ślepi. Patrzyły na nią z każdej gałęzi, z każdego ogrodzeniowego słupka. Migotały, kiedy sowy przela-

tywały pod oknem, prowadząc niekończące się polowanie. Bo to sowy opuściły swe gniazda na drzewach i ziemi — na pokrytym śniegiem ranczu polowały na myszy. Aż westchnęła ze zdumienia. Patrzyła przed siebie, marząc, by James podszedł i obejrzał ten spektakl wraz z nią. Ale nie była w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa.

— Proszę cię jeszcze raz — powiedział James łamiącym się głosem. — Wyjedź, Daisy. Wróc do domu. Wiem, wierzysz, że Sage jest bezpieczna, i ja też w to wierzę. Nie mam wyboru. Ale co będzie, kiedy dotrze na ranczo? To tu zdarza się najgorsze, nie gdzieś tam, w świecie.

— Jesteśmy tu oboje. Jej rodzice — szepnęła Daisy.

— Przedtem też byliśmy... i nie zrobiliśmy nic. — James sprawiał wrażenie człowieka, dla którego życie się skończyło... dla którego życie skończyło się dawno temu.

— Zrobiliśmy, co mogliśmy... jak najlepiej mogliśmy — odpowiedziała szeptem.

Obróciła się i spojrzała w twarz Jamesa Tuckera. Ich oczy spotkały się. Widziała, jak rozluźniają się mięśnie jego twarzy, jak znika z niej napięcie. Wiedziała, że musi się uspokoić, pragnęła pomóc mu w tym, rozmasować barki, wyszeptać do ucha to, co przedtem szeptała do kości. Pragnęła znów go pokochać i to przeraziło ją bardziej niż jego spojrzenie sprzed chwili. Ale tylko wskazała ręką za okno, na sowy.

Tymczasem sowy znikły. Noc znów była ciemna i pusta. Gdzieś daleko, na wzgórzach, zawył wilk. Krowy się uspokoiły. Sowy znikły, Sage ciągle była daleko.

W sercu Daisy nadal była jednak magia, a więc także nadzieja. Zamknęła oczy, pragnąc, by James wziął ją w ramiona. Serce biło jej mocno, czuła go całym ciałem. Potrzebowała pociechy od ojca swych dzieci, ale nie umiała o to poprosić. James stał obok niej, lecz ich ciała się nie dotykały.

Dłonie Daisy drżały. Noc była taka ciemna, a Sage taka samotna, gdzieś pośród tej ciemności.

Śnieg przestał padać. Na niebie pojawiły się gwiazdy, drobne iskierki widoczne wśród przewiewanych wiatrem chmur. James siedział na ogrodzeniu korrala, obserwując je. Od krów dzieliło go tylko kilka kawałków drewna, ale zachowywały się tak cicho, że prawie zapomniał o ich obecności. Sowy latały nisko nad dekoracyjną kępą krzaków.

Czuł się wewnętrznie rozdarty. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Gdy stał blisko Daisy, całą siłą woli musiał powstrzymać się, by nie pochwycić jej w ramiona. Pachniała słodko, egzotycznie, a jej skóra wydawała się płonąć; nadal była tą dziewczyną, w której zakochał się dawno temu.

Była nią tam, w małym domku. To tam po raz pierwszy kochali się po kilku dniach wspólnych wycieczek na wzgórza i nad strumień, podczas których całowali się do utraty tchu. Wówczas niemal oszalał z pożądania, pragnął ją rozebrać, dotknąć jej, kochać się z nią, być w niej już, natychmiast, tu i teraz... i pożądanie powróciło tej nocy.

Lecz rozum podpowiadał, że mu nie wolno. Dotknął ręką kieszeni, w której trzymał nadpalone zdjęcia. Omal nie pokazał ich Daisy; pragnął wstrząsnąć nią na tyle, by posłuchała głosu rozsądku i opuściła ranczo. Czyżby nie wiedziała, że na świecie dzieją się złe rzeczy? Jak przez te wszystkie lata tłumaczyła sobie zniknięcie Jake'a? Bo przecież niezależnie od tego, czy zawinił tu kaprys natury, czy ludzka złość, nie wolno było dopuścić, by coś



takiego zdarzyło się po raz drugi. Pragnął, by Daisy i Sage trzymały się jak najdalej od rancza.

Po wyjściu z domu pojechał do wewnętrznej granicy rancza — ogrodzenia otaczającego budynki. Szukał śladów stóp i w ogóle śladów, których nie powinno tam być. Bardzo pragnął zdobyć jakiś dowód, że się myli, że zdjęcia nie oznaczały, iż ktoś chce skrzywdzić jego rodzinę, że Paul miał rację, zrobił je jakiś turysta na pamiątkę z wycieczki do „typowego rancza w Wyoming”. Że ślady w kanionie zatarł wiatr i fruujące liście.

Wypatrywał oczy, ale nie znalazł nic. W piersiach bolało go od oddychania zimnym powietrzem. Nie potrafił oderwać spojrzenia od domku, w którym mieszkała Daisy i który opuścił zaledwie przed godziną; to także na pewno mu nie pomagało. Zgasiła światło, ale widział płomień w kominku i blask świec tańczący po suficie, doprowadzający go do szaleństwa.

Zeskoczył z ogrodzenia i ruszył w kierunku dużego domu. Stał na progu, gotów otworzyć drzwi, wejść do środka, obudzić ojca i pokazać mu zdjęcia, kiedy przypomniał sobie, że Dalton jest w szpitalu. Spęd i oddzielanie cieląt od matek uniemożliwiły mu zobaczenie się z ojcem... drobny podarek od losu, bo wzdragał się przed perspektywą spotkania z ojcem bezradnym, leżącym w szpitalnym łóżku.

Poszedł więc obudzić Paula. Uprzedziwszy jego żonę, że zdarzył się wypadek, usiadł w dużym pokoju, czekając, aż przyjaciel się ubierze. Rozejrzał się dookoła i nagle uświadomił sobie, że nie odwiedzał domu Marchów od wielu lat. Pokój gościnny wydał mu się mniejszy, niż go zapamiętał, niewiele większy od pokoju w domku, w którym zatrzymała się Daisy. Dawno, dawno temu podrzucał tu dzieci, by Marchowie zajęli się nimi, gdy on wyjeżdżał gdzieś z Daisy. Dawno, dawno temu.

Na pianinie stały zdjęcia czwórki dzieci Marchów, urodzonych już po wyjeździe Daisy i Sage na wschód. Przyglądał się im, kiedy do pokoju wszedł Paul.

— Co się stało? — spytał od progu. — Chodzi o Sage?

— Nie — odparł zdumiony James.

— Więc o co?

— O zdjęcia. Komu chciałoby się robić zdjęcia stada bydła?

— Chodź. Przespacerujemy się.

Wyszli na dwór. Wiatr przewiał chmury. Nad górami wstał księżyc. Kiedy szli przez podwórko, James opowiedział o swych podejrzeniach i podzielił się spostrzeżeniami, że zdjęcia są dziwne, że oznaczają, iż ranczu grozi niebezpieczeństwo. Powiedział też, że chce, by Daisy jutro wróciła do domu.

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — stwierdził stanowczo Paul. — Te zdjęcia zrobił jakiś turysta.

— Ale ona nie powinna tu być!

— Sama zadecyduje.

James skrzywił się i potrząsnął głową.

— Chcesz, żebym stanął po twojej stronie — powiedział Paul, chwytając go za ramię. — I stoję, tylko ty nie chcesz tego zobaczyć.

— Po mojej stronie?

— Tak. Jestem po twojej stronie. Daisy przyjechała tu, ponieważ czegoś potrzebuje. Czegoś, co straciła dawno temu.

— Przeze mnie — stwierdził James, myśląc o Jake'u.

— I tu się mylisz. Nie skrzywdziłeś świadomie ani jej, ani w ogóle nikogo. Ja też tam byłem, pamiętasz? Szukałeś chłopca, dopóki...

Ale James już go nie słuchał. Z nieba spadała sowa, lecąc z wysuniętymi szponami. Złapała świstaka i odleciała w niebo, ale na nią także nie zwrócił uwagi. Widział Daisy sprzed trzynastu lat, leżącą na ziemi w miejscu, gdzie po raz ostatni widziano jej syna.

— Porozmawiaj z nią — powiedział cicho Paul. — Potrzebuje cię teraz, kiedy czeka na przyjazd Sage.

James zamknął oczy.

— Nie słuchasz mnie, prawda?

— Mówisz tak, jakbyś uważał, że nie robię dla niej czegoś, co powinienem zrobić.

— Bo tak chyba jest.

— Rozeszliśmy się, każde odpowiada za siebie. Nie można anulować rozwodu.

— Hej! — Paul klepnął przyjaciela w ramię. — Kiedy następnym razem zdecydujesz się obudzić mnie o północy, udawaj przynajmniej, że obchodzi cię to, co mówię.

„Dzieci bez przerwy uciekają z domów” — powiedziała Daisy.

— Nic ci nie jest? — spytał Paul.

— Moja córka jedzie na ranczo.

— Jak myślisz, gdzie jest teraz Sage? — Paul rozejrzał się dookoła, jakby był w stanie rzeczywiście dostrzec coś w tych ciemnościach.

— To właśnie chciałbym wiedzieć.

— Ja też.

— Kiedy już przyjedzie, Daisy będzie mogła wrócić do domu.

— Pochodzisz z Wyoming, więc co właściwie robisz w Nebrasce? — spytała Sage.

— Pochodzisz z Connecticut, więc co właściwie robisz w Nebrasce? — odparł David z szatańskim uśmieszkiem. Zapalił papierosa, wyrzucił zapalniczkę przez otwarte okno.

— Przecież ci mówiłam. Jadę do...

— Do Szmaragdowego Grodu\*<sup>8</sup> — dokończył David.

— A ty jesteś okropny. — Sage karmiła właśnie jedno z kociąt. — Ja szukam ojca, ty szukasz miłości.

— Pewnie myślisz, że jestem złośliwy.

— Tylko w stosunku do mnie. — Dziewczyna uśmiechnęła się. — Bo nie chcesz mi powiedzieć, co robisz w Nebrasce.

— W porządku, powiem. Mam do spełnienia misję.

— Naprawdę? A to ci nowina! Chyba żartujesz!

— Sama się tego domyśliłaś?

— No pewnie. — Tym razem Sage roześmiała się głośno. Nakarmione kocię położyła na siedzeniu między sobą a Davidem, po czym wzięła na kolana następne, tak głodne, że zaczęło ssać, nim

---

<sup>8</sup> \* Aluzja do słynnej książki L. Franka Bauma *Czarnoksiężnik ze Szmaragdowego Grodu* (Wizard of Oz). Szmaragdowy Gród jest miejscem, w którym otrzymuje się odpowiedzi na zadane pytania (przyp. tłum.)

podala mu butelkę. — Samo to, że nastolatek jeździ po Nebrasce samochodem pełnym zwierząt, zamiast chodzić do szkoły, dobitnie świadczy o tym, że ma do wypełnienia misję.

— Jak myślisz, ile mam lat?

— Siedemnaście? Szesnaście?

— No tak, szesnaście. Podobno wyglądam na więcej.

— Oczywiście. Trochę. Na siedemnaście.

David wypuścił ustami smugę dymu.

— Niech ci będzie, trochę. Ale obsługują mnie w barach.

Mogę kupić... prowadziłem samochód, kiedy miałem czternaście lat, i nigdy nie zostałem zatrzymany. Przejeżdżałem obok policjantów, ale oni nie zaszczycili mnie nawet jednym spojrzeniem.

— Policjanci! Gdzie są policjanci, kiedy człowiek ich potrzebuje? Wszędzie tylko kruki, kukurydza i zboczeni komiwojażerzy handlujący ubezpieczeniami. Uważam, że naprawdę jesteś okropny.

— Traktuj mnie z szacunkiem — ostrzegł ją poważnie David.

— Wszystko przez te tatuaże. Każdego by postarzyły.

Od dawna nie czuła się tak dobrze, a wszystko przez to, że z Davidem mogła pożartować. Pola dookoła nich zasypane były śniegiem, z którego sterczały łodygi zżętej kukurydzy, wyglądające jak szpeciniasty zarost. Rozśmieszyło ją to porównanie, ale kiedy podzieliła się tą uwagą z Davidem, on tylko się skrzywił.

— Jesteś dziś w dobrym humorze — zauważył.

— Bo zbliżam się do domu.

— Domu? **Rancza.**

— Wiem, że nie wyrzucisz mnie z samochodu, więc przestań znęcać się nad tatą.

— Jak sobie życzysz.

Jechali przed siebie, zatrzymując się od czasu do czasu, by psy, koty — i Sage — mogły załatwić naturalne potrzeby. Zwierzęta jeszcze nigdy nie widziały śniegu; po zimnym puchu stapały niepewnie, ostrożnie, przystając co krok i obwąchując go.

— Pierwszy śnieg. — Dziewczyna ulepiła kulę gołymi rękami.

— Pierwsze wszystko — powiedział David. — Szkoda, że nie widziałaś Tartanki, kiedy pierwszy raz postawiła łapy na ziemi. Całe życie spędziła w klatce; kiedy ją uwolniłem, czuła się zupełnie jak na innej planecie.

Sage przyjrzała się maszerującym wzdłuż drogi psom. Wszystkie miały krzywe nogi i skrzywione kręgosłupy. Życie w klatkach okaleczyło je na zawsze. Kiedy David wspomniał o „innej planecie”, spróbowała wyobrazić sobie roślinność bez odrobiny wolnej przestrzeni, bez światła. Podobało się jej, że David tak troskliwie opiekuje się zwierzętami. Terierkę nazwał Tartanką od pledu w szkocką kratę, a spanielkę Rzeczką, bo ta rasa uwielbia wodę.

— Co się stało z pyskiem Rzeczką? — spytała.

— Przestała rodzić. Nie dopuszczała do siebie psów. Właściciel wściekł się i oblał ją gorącą wodą. Wówczas zabrałem ją ze sobą.

— Ty ją opatrzyłeś?

— Oczywiście.

— Powiedz mi, skąd wiesz, gdzie są fabryki zwierząt?

— Mam listę. Właściciele znają się doskonale. Zabrałem ją z biurka matki.

— I to jest ta twoja misja?

— Dajmy spokój temu tematowi.

Sage skinęła głową. Była ciekawa, owszem, chciała uzyskać odpowiedzi na wiele pytań, ale zależało jej przede wszystkim na zachowaniu dobrego samopoczucia. Zasypani śniegiem, spędzili w stodole dziesięć godzin i teraz od świeżego powietrza kręciło się jej w głowie. Wyczuła, że David przygląda się jej uważnie.

— W przyszłym roku o tej porze ona lub on zobaczą swój pierwszy śnieg. — Chłopak skinieniem głowy wskazał na jej brzuch.

— On. Urodzę chłopca i dam mu na imię Jake.

— Kiedy masz termin?

— W końcu stycznia.

— Więc nie będzie musiał czekać cały rok na swój pierwszy śnieg.

— Zobaczy go za trzy miesiące.

David skinął głową. Wyrzucił niedopałek, który wytopił dziurę w śniegu. Zwierzęta wyczuły, że pora wracać do samochodu; wszystkie zawróciły jednocześnie. Patrzyła, jak idą gęsiego, jak kręcą się wokół Davida, otwierającego drzwi samochodu. Nie spuszczały go z oka, nawet na sekundę, a pod tym względem ona miała zamiar wziąć z nich przykład.

Louisa przywitała Alnę Jackson przy kuchennych drzwiach i przede wszystkim podziękowała jej, że przyjechała na ranczo mimo śniegu.

— Trudno było — powiedziała Alma głosem bez wyrazu. Louisa nie bardzo wiedziała, jak powinna zareagować na to stwierdzenie.

— No cóż, mogłyśmy przełożyć spotkanie. Dalton nie wrócił jeszcze do domu.

— Dalton?

— Pan Dalton Tucker. To nim będziesz się opiekowała. Dobrze opiekowała... sądząc z tego, co mówi twoja siostra.

— No tak. — Alma Jackson w żaden sposób nie zareagowała na ten komplement. Oblizwała wargi, rozejrzała się dookoła. Sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej. Louisa próbowała się do niej uśmiechnąć, ale po prostu nie była w stanie. Trudno przecież wyobrazić sobie mniej entuzjazmu wobec propozycji pracy. I czy to możliwe, by ta szara myszka spokrewniona była z rodziną Tammy, zawsze roześmianej, zawsze gotowej do splątania komuś figła? Czy Alma pragnie tej pracy, czy też może niepotrzebnie zabiera ludziom czas?

Postanowiła od razu przejść do interesów.

— Opiekowałaś się chorymi w domach?

— Oczywiście.

— Proszę, powiedz mi coś o sobie.

Usiadły przy małym kuchennym stole. Louisa przyjrzała się Alnie dokładniej. Była to kobieta w wieku około czterdziestu lat, o bladej cerze, włosach ufarbowanych na nijaki kolor, ni to kasztanowaty, ni to rudy, zapewne tylko po to, by pokryć siwiznę.



Czyżby nie miała męża, nikogo, komu chciałaby wydawać się interesująca?

Kobieta opowiedziała o pracy w szpitalach w Laramie i Lander, sanatoriach w Cheyenne, Dubois i Three Peaks, wspomniała także o sześciu prywatnych domach, w których opiekowała się pacjentami po udarach, zawałach, złamaniach bioder i odmrożeniach.

— Więc widzi pani — powiedziała w końcu — że mam doskonałe kwalifikacje.

— Na to wygląda. — Louisa uspokoiła się nieco.

— Cieszę się, że Todd mnie zarekomendował. — Alma rozejrzała się po kuchni. — Miło będzie się tu pracowało.

— Od swoich pracowników wymagam bardzo wiele — ostrzegła Louisa. — Być może nie brzmi to zbyt uprzejmie, ale sądzę, że powinnaś o tym wiedzieć. Płacę dobrze za dobrą pracę.

— Dobrą?

— Taka już jestem, że cenię pracowitość. Muszę wiedzieć, na co wydaję pieniądze. Poza tym będziesz opiekowała się moim mężczyzną. Całe złoto Fort Knox... — Ku swemu wielkiemu żenowaniu poczuła, że przez zaciśnięte usta nie jest w stanie wykrztusić ani słowa więcej. Nie potrafiłaby po prostu wytłumaczyć nikomu obcemu, kim jest dla niej Dalton.

Alma patrzyła na nią dziwnym wzrokiem, ale widząc, co dzieje się z Louisą, nieoczekiwanie poklepała ją po dłoni.

— Ludzie ciężko przeżywają choroby bliskich — powiedziała. — Nie chcemy, żeby ci, których kochamy, chorowali.

— To prawda — westchnęła przez łzy Louisa. — Tak, to prawda.

— Tammy i Todd bardzo panią cenią.

Podziękowała jej i wytarła oczy. Porozmawiały o wynagrodzeniu; oczy pielęgniarki rozbłysły, kiedy usłyszała sumę. Miała mieszkać na ranchu przynajmniej do czasu, aż Dalton stanie na nogi. Pewnie jest bardzo nieśmiała — pomyślała Louisa. To wyjaśnia jej pełne rezerwy zachowanie na początku, bo teraz nagle stała się ciepła i bardzo przyjacielska. Ciemnymi oczami wodziła po kuchni, notując każdy szczegół.

— Nie wymieniłaś żadnego znanego mi nazwiska — powiedziała w końcu Louisa. — Mam nadzieję, że nie przeszkodzi ci, jeśli sprawdzę twoje referencje. To nic osobistego, rozumiesz...

— Oczywiście, rozumiem. Ale prawie nikogo tu nie znam. Mieszkam po drugiej stronie Dubois. Tu prawie wcale nie przyjeżdżałam, nawet z wizytą.

— Przecież odwiedzałaś siostrę?

— Tak. Tammy i Todd mają taki ładny dom. Prześliczny, zwłaszcza w porównaniu z moim starym... och, nie ma o czym mówić. Nie mam zamiaru skarżyć się na życie. Jest w porządku, naprawdę w porządku.

— Więc przyjmiesz pracę, oczywiście po potwierdzeniu referencji?

— Tak, przyjmę. — Tym razem Alma niemal się uśmiechnęła. Podały sobie dłonie, po czym Louisa wyjaśniła jej sytuację: Dalton wróci do domu za kilka dni, będzie też potrzebował fizykoterapii, ale tym zajmie się już ktoś inny.

Na dworze pojawiła się Daisy na Scout; stara klacz stąpała zwawo, co nie zdarzyło się od wielu, wielu lat. Twarz Daisy promieniała, a jej kasztanowate włosy rozwiewał wiatr. Śnieg był głęboki, ale James oczyścił z niego ścieżki, co umożliwiło jazdę konno.

Alma też dostrzegła Daisy. Zmarszczyła brwi.

— Ta pani tu mieszka? — spytała.

— Przyjechała w odwiedziny. — Louisa nie miała zamiaru wdawać się w szczegóły. Czułaby zażenowanie, nawet ból, gdyby musiała powiedzieć, że Daisy jest synową Daltona, ale nie jej. — Nie obawiaj się, ty masz tylko opiekować się Daltonem. Po to cię zatrudniam, a nie po to, byś wtykała nos w nie swoje sprawy.

— Chodzi mi tylko o to, że wygląda znajomo.

Louisa pominęła te słowa milczeniem. Zniknięcie Jake'a odbiło się szerokim echem, budząc zainteresowanie dziennikarzy. Być może Alma zapamiętała jej twarz z gazet lub telewizji; przez dłuższy czas poświęcały one Daisy sporo uwagi. Minęło trzynaście lat, ale ona prawie się nie zmieniła. Do tego stopnia, że na twarzy

miała nawet ten sam wyraz strachu, tylko że tym razem bała się o Sage.

Daisy pomachała im ręką i pojechała w stronę stajni. Alma patrzyła, jak zeskakuje z konia i wchodzi do środka, a kiedy znów spojrzała na Louise, z jej oczu można było wyczytać obawę. Oznajmiła, że musi wracać, żeby przygotować mężowi kolację.

Louisa pożegnała ją, wdzięczna losowi za to, że w jej życiu nie ma mężczyzny, którego musiałaby się bać. Miała dziwne wrażenie, że Alma zaczęła się zastanawiać, czy powinna podjąć tę pracę. I że gdyby mogła, wycofałaby się z tego i z opieki nad Daltonem Tuckerem.

A najbardziej zdumiewające było to, że przyglądając się odjeżdżającej Almie, Louisa zrozumiała, że Daisy ma z tym wszystkim coś wspólnego.

RS

Po śnieżycy nastąpiło kilka dni przepięknej pogody i kiedy lekarze zdecydowali się wreszcie wypisać Daltona ze szpitala na rekonwalescencję w domu, śnieg zdążył już stopnieć. Przywieźli go James i Louisa. Kiedy James po nią podjechał, zobaczył Daisy stojącą na ganku, ubraną w obcisłe dżinsy i miękki żółty sweter, machającą do nich wesoło. Gapiąc się na nią, James omal nie wjechał swoim suburbanem w ogrodzenie.

— Miło jest znowu ją tu widzieć — zauważyła Louisa.

Z trudem przychodziło mu skoncentrować się na jeździe. Przed oczami zamiast drogi miał obraz Daisy, pięknej i zmysłowej w jasnym blasku słońca, stojącej z uniesioną ręką.

— Jesteś pewna, że tata może wrócić do domu? — spytał.

— Oczywiście, że jestem pewna. Myślisz, że zabierałabym go ze szpitala, gdyby coś mu to groziło?

— Nie. Nie sędzę. — James zachowywał olimpijski spokój.

— Bardzo ci dziękuję. Mój Boże...!

James po prostu musiał się uśmiechnąć. Kiedy byli razem, on stawał się prawdziwym diabłem, a ona ujawniała najgorsze cechy swego charakteru. Jechali drogą biegnącą przez ranczo DR. Na zachodzie wznosiły się w niebo ośnieżone szczyty gór Wind River. Miał nadzieję, że Sage, gdziekolwiek jest, widzi dzień tak piękny jak ten. Lepiej wyobrazić ją sobie w słońcu niż w śnieżycy.

Już po raz trzeci Louisa przypomniała mu, że powinien zająć się papierami w imieniu Daltona. „Ja nie mam prawa” — mówi-

la. „Tylko żona i członkowie rodziny mogą podpisywać dokumenty”.

— A tata? — spytał James, nie wiedząc, o co tu właściwie chodzi. — Sam może je podpisać, prawda?

— Na drogę dadzą mu środki uspokajające. Może powinniśmy zamówić karetkę? Nie chciałabym, żeby się obijał na tylnym siedzeniu.

— Ja odwiozę ojca do domu.

Louisa westchnęła, ale nie miała zamiaru się spierać. Wiedziała, że James nie lubi opuszczać rancza, niezależnie od powodu. Piwo w „Stagecoach”, wizyta w hurtowni pasz — to wystarczało mu do szczęścia. Jednak tego ranka on i Paul wymyli wielki samochód, złożyli tylne siedzenia i wyłożyli bagażnik dużymi miękkimi materacami. Daisy przyniosła pierzyny oraz poduszki. Kiedy wrzucała je do bagażnika, zadbała, by jej dłoń otarła się o dłoń Jamesa.

Zastanawiał się, czy przypadkiem nie myśleli o tym samym: o wyprawie z dziećmi na rodeo w Cheyenne. Na to dwudniowe święto przyjechały tłumy rodziców z dziećmi. Rozbili obóz wspólnie, wspólnie robili barbecue, wspólnie przyglądali się, jak Paul i James walczą w zawodach w przeciąganiu liny. W drodze powrotnej do domu bliźnięta spały na materacach z tyłu starego forda.

James trzymał Daisy za rękę przez całą drogę do domu; na kolanach miał wygraną na rodeo nagrodę. W połowie drogi — minęła właśnie północ, a księżyc w pełni oświetlał góry srebrnym blaskiem — zatrzymał samochód. Otworzył drzwi od strony pasażera, wziął żonę w ramiona. Było lato, suche, upalne, a on — w tę jasną księżycową noc — przeniósł żonę, stąpając pośród krzaczków szałwi, jakieś pięć metrów dalej.

— Nie powinniśmy zostawiać dzieci — szepnęła Daisy z ustami przytulonymi do jego szyi.

— Usłyszymy je, jeśli się obudzą.

— A one usłyszą nas...

— Zwyciężyłem w rodeo, nikt nie jest w stanie mi się oprzeć.

— Roześmiał się, przeciągnął dłonią po jej pięknym ciele.

— Ja nie. — Daisy odpięła pas, zapinany na wielką mosiężną sprzączkę. Padli na ziemię, rozbierając się w pośpiechu. Ziemia była sucha, lecz James położył na niej koszulę, by Daisy się nie ubrudziła. Wówczas, dawno temu, kochali się tak namiętnie, że poświęciliby wszystko, żeby tylko być razem. Jej ciało w srebrnym blasku księżyca wydawało się białe jak szlachetna perła, sutki piersi były ciemne, twarde i słodkie.

Mięśnie Jamesa napięły się, kiedy myślał o tej nocy. Bliźnięta nie obudziły się. Przez resztę drogi, którą odbyli przy otwartych oknach, trzymał żonę za rękę. Czuł ostry zapach ich ciał zmieszany z zapachem dzikiej szałwi. Bolały go mięśnie ud i cały czas myślał wyłącznie o tym, by kochać się z nią znowu, gdy tylko dojadą do domu.

Do dziś, ilekroć spojrzął na nagrodę z rodeo — złotą plakietkę przedstawiającą kowboja na stojącym dęba koniu — pamiętał zapach tej nocy i oczy Daisy, wesole i lśniące w mroku.

— Zajmiesz się wypisaniem ojca ze szpitala — powiedziała Louisa, kiedy wjeżdżali na szpitalny parking. — Ja sprawdzę, czy jest gotowy do drogi.

— Skoro tak mówisz...

James przede wszystkim pragnął jak najszybciej wrócić do domu, ulokować ojca bezpiecznie w łóżku i znaleźć się przy Daisy...

na wszelki wypadek. Rozumiał gorycz Louisy, jej niemą skargę, że jest tylko kochanką Daltona, a nie jego żoną, ale on sam nigdy nie uważał, by była to jego sprawa. Dał wyraz swoim uczuciom dawno temu, kiedy był zaledwie chłopcem i bardzo tęsknił za matką. Dalton wiedział, co robi; miał sporo czasu, żeby się jej oświadczyć, gdyby tego chciał. Zapominając o tym, co Louisa powiedziała przed chwilą, James wszedł do biura szpitalnej administracji.

Wszystkie formalności zajęły im trochę czasu, ale w końcu Dalton zasiadł w wózku inwalidzkim i byli już gotowi do drogi. Louisa trzymała starca za rękę, James pchał przed sobą wózek. Zszokowała go bladość ojca i to, że tak bardzo stracił na wadze. Kiedy przemówił, głos miał drżący, prawie piskliwy.

— Dobry syn. Przyjechał z tak daleka, żeby odwieźć ojca do domu.



— Głupio się czuję, że cię nie odwiedziłem, ale...

— Wiem, wiem. Miałeś spęd, a poza tym musisz przecież czekać na Sage.

Louisa westchnęła i puściła jego dłoń.

— Hej, co się stało? — Ale jego towarzyszka życia nie odwróciła nawet głowy. — Na co ona się wścieka?

— Nie wiem — powiedział szczerze James.

— Słuchaj...

Louisa tylko przyspieszyła kroku. James rzeczywiście nie miał pojęcia, o co może jej chodzić i dlaczego w takiej chwili daje się ponieść emocjom. Szła szybko, oddalała się od nich, skulona, obejmując się ramionami, jakby obawiała się, że lada chwila może się rozpaść. Siedzący na wózku Dalton tylko kręcił głową — miał wrócić wreszcie do domu i to, w połączeniu z humorami Louisy, stanowiło zbyt wielkie obciążenie dla jego delikatnej psychiki.

Tylne drzwi samochodu były już otwarte. James pochylił się i po raz pierwszy w życiu wziął ojca na ręce. Dalton oparł głowę o jego skroń. Przypomniało mu to małego Jake'a, który przytulał się do niego w identyczny sposób.

— Gotów? — spytał. — Nie chciałbym zrobić ci krzywdy.

— Nie martw się — odparł Dalton, ale jego głos brzmiał słabo.

James ostrożnie przeniósł ojca z wózka na ułożone z tyłu samochodu materace. Stary mężczyzna zacisnął zęby, ale nie krzyknął. Leżał blady, z nieruchomą twarzą, a syn okrywał go przygotowanymi wcześniej kołdrami. Zasnął, nim wyjechali na autostradę. Siedzący za kierownicą James milczał jakiś czas. Louisa rozczesywała włosy.

— O co ci chodziło tam, na parkingu? — spytał, przerywając milczenie.

— O nic.

— Jak to o „nic”? Narobiłaś niezłego zamieszania. O czym myślałaś, denerwując go przed podróżą do domu?

— Denerwując go...

— No właśnie. O czym...

— Czyś ty nigdy nie pomyślał, że ja też mogę się czasami zdenerwować?

— To o n właśnie wyszedł ze szpitala.

— On... ona... — Louisa próbowała się roześmiać, ale w jej oczach błyszczały łzy. — Tak o nas myślisz, prawda? Ona to, on tamto...

James zacisnął palce na kierownicy. Starał się nie słyszeć jej słów.

— W rodzinie nie ma „on” i „ona”. Kiedy ktoś cierpi, cierpią wszyscy. Cierpienie twojego ojca jest moim cierpieniem.

— Nigdy nie wątpiłem, że ci na nim zależy.

— Nie. Wątpiłeś tylko, czy jestem wystarczająco dobra, by zostać jego żoną. A teraz zachorował na Alzheimera i zapomina powoli, kim jestem. Nie pamięta mojego imienia, sądzi, że twoja matka ciągle żyje. Myślisz, że mnie to nie rani?

— Naprawdę? — zdumiał się James.

— Czasami. Od niedawna. Ciągle wie, oczywiście, kim jest jego słodka Louisa. I w głębi serca zawsze będzie wiedział.

James spojrział we wsteczne lustro. Dalton leżał na wznak z kołdrą naciągniętą pod brodę. Nie poruszył się, a kołdra wyglądała jak śnieżna zaspą.

James przypomniał sobie śnieg padający na ciało matki, kiedy rozpaczliwie wyciągał ją z ruin stajni. Tyle lat minęło; słowa Louisy naprawdę go zaskoczyły.

— Nazywa cię imieniem matki?

— Owszem. Od czasu do czasu. Ale ty przecież nie chcesz wiedzieć, co mam ci do powiedzenia.

— Mów. — James postanowił uzbroić się w cierpliwość. — Obiecuję, że cię wysłucham.

— Rzeczywiście, to on wraca ze szpitala. Ale dla mnie nie jest to obojętne. Kocham go.

— Wiem.

— Będę musiała patrzeć, jak od nowa uczy się chodzić. Zatrudniłam pielęgniarkę i będę musiała przyzwyczaić się, że przy rodzinnym stole zasiądzie obca osoba. A podczas występów w „Stagecoach”... — przerwała, mnąc nerwowo chusteczkę w ręk-

kach — ...nie będę widziała go na sali. Chcę, żeby mnie tulił. James... ja nadal tak bardzo go pragnę.

Wstrząsnęło nim jej uczucie.

— Bardzo mi przykro — wyjąkał.

— Do diabła ze starością! — krzyknęła Louisa.

Dalton zachrapał przez sen.

— Przecież nie jesteś stara — powiedział James.

— Wystarczająco stara, by wiedzieć więcej od ciebie. Więc słuchaj mnie... i wyteż słuch. Wyrzuć ze swojego durnego łba te idiotyzmy „to moja sprawa”, „to twoja sprawa”, „ja to”, „ona tamto”.

— Chodzi ci o...

— O Daisy! Stanowicie jedność! Kochałeś dzieci i ona kochała dzieci. Umierasz ze strachu o Sage i ona umiera ze strachu o Sage. Przynajmniej na razie, póki wasza córka nie wróci do domu, jesteście z Daisy rodziną. To wasza wspólna sprawa.

James mocno ścisnął kierownicę. Ostre słowa cisnęły mu się na usta; chciał powiedzieć Louisie, żeby się od nich odczepiła, chciał jej powiedzieć o nadpalonych polaroidach i o tym, że próbuje chronić Daisy i Sage, tak jak zawsze próbował je chronić. Ale Louisa nie przestawała mówić.

— Nie masz pojęcia, co to znaczy „być razem”.

— Co?

— Po zniknięciu Jake'a zrobiłeś wszystko, by rozwalić swój świat.

— Nie wiesz, o czym mówisz.

— Uznałeś się za niegodnego. — Louisa poczuła, jak nagle ogarnia ją potworne zmęczenie. — Widziałam to... wszyscy widzieli. Myślałeś, że skoro straciłeś syna, to możesz równie dobrze odepchnąć od siebie całą rodzinę. Z nikim nie chciałeś wówczas rozmawiać. Postanowiłeś wziąć cały ciężar na swoje barki.

— Jezu Chryste... — James z wściekłością wpatrywał się w drogę.

— A to nie był tylko twój ciężar — dokończyła Louisa.

Umilkła. Za oknami samochodu przemykał szeroki świat, pokryte śniegiem góry, pastwiska, skały, błoto. Z nieba spadał sznur

dzikich gęsi szykujących się do lądowania — strzała skierowana w ziemię. Dalej było wielkie błękitne jezioro, pokryte cienką warstwą lodu, ale gęsi, jedna po drugiej, wylądowały na nim bezpiecznie.

— Rosalinda! — zawołał Dalton.

James zerknął na Louise ciekaw, co zrobi. Jeszcze godzinę temu byłby szczęśliwy, słysząc ojca wołającego matkę, ale teraz żał mu było siedzącej obok niego kobiety.

— Rosalinda! — Głos starego mężczyzny zdradzał obawę, wręcz strach.

Louisa obróciła się, odpięła pas, uklękła na siedzeniu i ujęła go za rękę.

— Jestem przy tobie, kochanie — szepnęła. — Nie bój się. Zawsze będę przy tobie.

James obserwował gęsi na jeziorze, póki nie znikły mu z oczu. Potem skupił się na prowadzeniu samochodu. Musiał odwieźć ojca i Louise do domu, na ranczo DR.

Davidowi i Sage zabrakło pieniędzy, więc zatrzymali się przy knajpie dla kierowców pośrodku niczego i najęli się do zmywania naczyń przez kilka nocy. Dostali za to minimalne wynagrodzenie i mieszkanie w zrujnowanym baraku na zapleczu. Sage była zdumiona — nikt nie zadawał żadnych pytań, nie musieli podawać nazwisk, adresów, numerów ubezpieczenia. Zaprowadzono ich po prostu do kuchni i przykazano, żeby niczego nie stukli.

David czyścił wielkie patelnie, Sage ładowała talerze i szklanki do zmywarki. Cieszyła się z tej przerwy w podróży. Dostała fartuch i sama przed sobą udawała, że jest matką dużej rodziny, robiącą właśnie porządki w kuchni. Wyobraziła sobie, że nadszedł dzień świąteczny, powiedzmy Dzień Dziękczynienia, a ona właśnie przygotowała indyka dla Bena, dla ich syna, brata Jake'a, rodziców i cioci Hathaway.

Przypomniało jej to dom i nagle zatęskniła za nim tak mocno, jak jeszcze nigdy od początku podróży. Na ścianie wisiał telefon; ile razy przechodziła obok niego po nową porcję brudnych naczyń, serce się jej ścisnęło. Do tej pory nie zadzwoniła do domu.

Samo myślenie o nim zbyt ją bolało — gdyby usłyszała głos matki w słuchawce, po prostu by się rozsypała. Mama z pewnością skłoniłaby ją do powrotu na wschód i wówczas straciłaby ostatnią szansę na spotkanie z ojcem. Nie spotkałaby się z mężczyzną, który dał jej życie.

— Jaki jest twój ojciec? — spytała Davida.

— Bardzo miły. Wesoly. Całe dni spędza, gładząc psy i paląc fajkę. Bardzo go kocham.

— Naprawdę? — ucieszyła się dziewczyna.

— Nie.

Poczuła, jak ściska się jej serce. Nigdy nie wiedziała, kiedy David z niej kpi, ale jeśli chodziło o jego rodzinę, należało założyć, że gdy mówi o niej ciepło, to kpi. Zależało jej jednak na tym, by poznać prawdę.

— Pytałam poważnie. Jaki jest n a p r a w d ę ?

— Mam nadzieję, że twój chłopak będzie miał dobrego ojca. Bo ja nienawidziłem swojego. To chciałaś usłyszeć?

— Ja nic nie chcę usłyszeć — powiedziała łagodnie. — Nie mam żadnego powodu, żeby prowokować cię do zwierzeń. Ale jeśli chcesz, mów. Zamieniam się w słuch.

— Nie. To ja zamieniam się w słuch. — David zapamiętałe czyścił brytfannę stalową szczotką. — Opowiedz mi wszystko o obojgu twoich wspaniałych rodzicach, z których jedno mieszka na wschodzie, a drugie na zachodzie. Jeśli rzeczywiście są tacy wspaniali, dlaczego nie żyją razem?

— To przez śmierć mojego brata. Nie potrafili się z nią pogodzić. Załamali się.

— Straciłaś brata?

— Tak. Bliźniaka. Mieliśmy po trzy lata. Miał na imię Jake.

— Jak twoje dziecko...

— Oczywiście. Dostanie imię na pamiątkę po wujku. Jego ojciec zgodził się na to. Ben. Ojciec mojego dziecka ma na imię Ben.

— A jeśli to będzie dziewczynka?

— Może ją też nazwę Jake? Podoba mi się to imię. Kochałam brata. Nie pozwalaliśmy się rozdzielić. Siostry lubią mieszkać

w jednym pokoju, prawda? Ja chciałam nawet spać z nim w jednym łóżku! Naprawdę. Byliśmy przyjaciółmi, przyjaciółmi, przyjaciółmi! A ty...

— Chcesz wiedzieć, czy mam rodzeństwo? Tak, brata. Ale wolałbym o tym nie rozmawiać. Lepiej skończmy zmywać te naczynia, bo jeśli nam nie zapłacą, nie będziemy mieli za co kupić jedzenia dla zwierząt. Pewnie denerwują się teraz, nie wiedzą, gdzie jesteście. A w ogóle to chciałbym wyjechać dziś wieczorem.

— Tak? Szefowi mówiłeś chyba, że jutro rano...

— Wyjedziemy, kiedy tylko skończymy tę robotę. Jest coś, co musimy zrobić.

Sage skinęła głową. Zachowała kilka kawałków befsztyka dla Petal, Tartanki i Rzeczki. Nie miała pojęcia, dlaczego David nie chce rozmawiać o domu, ale ta jego tajemniczość nie złościła jej. Są ludzie, którzy nie lubią mówić o sobie — powtarzała jej mama, kiedy mówiła o ojcu. Nie zmusisz ich do zwierzeń, póki nie będą gotowi, ale zawsze bądź cierpliwa i słuchaj. Nigdy nie wiadomo, co usłyszysz.

Ciekawe, co też David zaplanował na później.

Miał listę. Rzeczy, które powinien zrobić, rzeczy, które powinien kupić. Ale nadal czekał na dziewczynę. Rodzina była gotowa ją przyjąć, co bardzo mu się podobało. Właśnie tak powinna się zachowywać: zewrzeć szeregi, strzec się nawzajem. Widział jej matkę, jak chodzi po pokoju małego białego domku, obserwował ojca, jak przemierza góry, czekając na córkę.

Z nim nigdy tak nie było.

Dom. Jak wspaniale to brzmi.

Na niego nikt nigdy nie czekał, nie rozpałał ognia pod kuchnią. Znał tylko krzyk lub ciszę, jedno albo drugie. Śmiech był rzadkością, ciepła miłości nie doświadczył nigdy. Nie, nie czuł żalu do nikogo. Dorośli też mają swoje problemy, bez wątplenia. Trudno jest wychowywać dzieci, kiedy człowiek boi się, że dach zacznie przeciekać, że spiżarnia jest pusta, że wyłączono ogrzewanie.



Hodowcy bydła — tych stać było na szczęśliwe rodziny. Dachy ich domów pokrywała nowa dachówka, półki ich spiżarni uginały się pod ciężarem jedzenia, z kranów w ich łazienkach leciała ciepła woda. Ich dzieci miały nowe zabawki i konie, na których mogły jeździć. Kiedy się skaleczyły, matki opatrywały im rany. Nie zmuszały maluchów, by same się tym zajmowały.

Strażnika swędziała stara blizna. Przesunął palcami po dżinsach na siedzeniu. Wyczuwał ją nawet przez materiał spodni — wypukła, gruba niczym kawałek sznurka, biegła przez lewy pośladek aż do uda. Do oczu napłynęły mu łzy. Kiedy był mały, próbował przeleźć przez ogrodzenie i skaleczył się zardzewiałym gwoździem.

Ta rana nie bolała go, nie myślał o niej od wielu lat. Ale mimo to czasami drapał ją, tłumił szloch, a po policzkach płynęły mu łzy. Człowiek bywa tak strasznie samotny, niezależnie od tego, czy jest małym dzieckiem, czy dorosłym mężczyzną. Czujesz się opuszczony zawsze tak samo, niezależnie od wieku. Bywa, że samotność doskwiera ci najbardziej wtedy, gdy wokół jest pełno ludzi.

Płakał i jego łzy padały na śnieg. Był samotny — teraz i zawsze.

Przez okno domku wpadały do środka promienie jasnego słońca. Daisy, która właśnie skończyła telefonować na kolejne posterunki policji na „trasie Sage”, siedziała w bujanym fotelu i zastanawiała się, co robić dalej. Nagle usłyszała gwizdanie. Otworzyła drzwi i zobaczyła Jamesa siedzącego na koniu i prowadzącego Scout.

— Ubieraj się — powiedział. — Włóż buty.

Zawahała się; istniało przecież mnóstwo powodów, dla których nie powinna pojechać, jeden lepszy od drugiego. Ale James uśmiechał się uśmiechem tak szczerym i pełnym nadziei, że przypomniał jej tego młodego kowboja, który kiedyś poprosił ją, by zamieszkała u niego, na ranczu.

— Zaraz będę gotowa.

Zawróciła, pobiegła do pokoju, szybko włożyła buty do jazdy konnej i kurtkę. Zabrała także okulary, bo leżący jeszcze na ziemi śnieg odbijał jaskrawe promienie słońca.

James pomógł jej wsiąść na Scout. I sam nałożył jej na głowę biały kapelusz, kapelusz z dawnych lat, dziś zakurzony i nieodwracalnie przyszarzały — tego stetsona kupił jej w pierwszym roku jej pobytu na ranczu. Pozostawiła go na wieszaku w holu dużego domu. Zaskoczyło ją i poruszyło to, że zachował go aż do dziś.

— Osłoni ci oczy od słońca — wyjaśnił po prostu.

— Dziękuję.

Włożyła nogę w strzemień, a on uniósł ją na siodło. Scout zarżała, zadrobiła w miejscu. Daisy pochyliła się, poklepała klacz po szyi, szepnęła jej coś do ucha. James wskoczył na Wodza i oboje ruszyli na wycieczkę.

Daisy jechała jakieś dziesięć metrów za Jamesem. Znała doskonale wszystkie ścieżki rancza i teraz koncentrowała się raczej na pięknie krajobrazu niż przyczynach, dla których zgodziła się z nim pojechać. I dlaczego James zaprosił ją na tę wyprawę? Odsunęła od siebie te myśli, skupiła uwagę na otaczających ich górach i niebie — ostrych skalnych szczytach na tle niepokalanego błękitu.

Jechali wzdłuż strumienia, gdzie sosny i jałowce zdawały się wrastać korzeniami wprost w skałę tuż nad powierzchnią wody, która spadała małym wodospadem, a jej pył w słońcu zmieniał się w tęczę. Żłota trawa wyglądała spod topniejącego śniegu, kołysząc się na wietrze. Było ciepło, więc Daisy rozpięła kurtkę.

Przejechali pod Zboczem Rydellów, nazwanym tak, ponieważ według legendy dziadek Jamesa zepchnął z niego kiedyś stado owiec Rydellów wprost w kilkudziesięciometrową przepaść. Wierzyła w tę legendę, wielokrotnie przyjeżdżała tu, by znaleźć kości potrzebne jej do pracy. Nie podobało się jej okrucieństwo przodków męża i teraz przynagliła Scout do klusa. James także ruszył klusem, by być bliżej niej. Zmierzali otwartą drogą ku ulubionemu szlakowi Daisy. Czując pod sobą Scout, a na twarzy wiatr, zapomniała o nękającym ją niepokoju. Jazda konna... to zawsze najbardziej podobało się jej w życiu na ranczu: ogromna przestrzeń wokół, wobec której złe myśli wydają się nieważne, pozostaje tylko dzika przyroda i poczucie nieograniczonej swobody.

Podjechali do kępy osik. James skierował Wodza na zbocze.

— Tędy? — zdziwiła się Daisy. Zazwyczaj jechali nieco dalej i wyjeżdżali w góry przez kaniony o czerwonych zboczach. Nim zdążył odpowiedzieć, zorientowała się, o co mu chodzi — nie chciał, by przejeżdżali obok miejsca, gdzie zaginął Jake. Więc tylko skinęła głową i pojechała za nim.

Na szlaku w poprzek drogi leżała powalona ogromna topola z uschniętymi liśćmi. Przed laty przeskoczyłaby tę przeszkodę,

dzisiaj jednak objechała ją, nadkładając drogi. James skoczył; w wyobraźni zachowała obraz jeźdźca i konia, wyciągniętych kopyt, rąk ściągających wodze; wiedziała, że kiedyś to wyrzeźbi.

James odwrócił się. Liście osiki rzucały cień na jego twarz, tworząc wzór przypominający kręgi i kropki, które szamani malowali sobie czasem na policzkach, będące symbolem nadnaturalnych wizji. Zmrużyła oczy, ale James wyjechał już z cienia i złudzenie znikło.

— Co się stało? — spytał, podjeżdżając bliżej.

— Nic, tylko... nie, nie ma o czym mówić.

— Jesteś zdenerwowana.

— Cienie na twojej twarzy przypomniały mi Louisa. Żyje jeszcze?

— Nie. Zmarł zeszłej zimy.

Daisy pokiwała głową. Była to dla niej smutna nowina. Louis był

szamanem, wierzył w cykle natury, wierzył, że śmierć jest ukoronowaniem życia człowieka, umożliwia mu kontakt z duszami tych, których kochał. Zaprzyjaźnił się z Daisy przed zniknięciem Jake'a, pomagał jej odnaleźć duchy w kamieniach i kościach. „Śmierć obdarza nas oczami, które widzą wszystko” — powtarzał.

James przyglądał się jej uważnie, jakby pragnął się upewnić, czy chce jechać dalej. Skinęła głową i skierowała Scout na szlak. Słońce świeciło mocno, roztopiając śnieg. Wjeżdżali coraz wyżej, w pewnym momencie James zwolnił tempo. Pnącą się ostro w górę ścieżką jechali obok siebie.

— Nie znam tej drogi — powiedziała Daisy. — Nigdy chyba tędy nie jechaliśmy.

— Tam, niżej, wjeżdżają na ranczo jacyś ludzie. Wolę trzymać się z dala od tego miejsca. A poza tym chciałem pokazać ci coś nowego.

Skinęła głową. Widok zapierał dech w piersiach, dziki i romantyczny, z malowniczymi skałami sięgającymi błękitnego nieba. Daisy jednak nie zwracała nań uwagi. Wstrząsnęła nią wiadomość o śmierci Louisa, nie potrafiła przestać o nim myśleć. To on przecież pomagał jej i to on był jej duchowym przewodnikiem w tych ciężkich chwilach po zniknięciu Jake'a.

Ich kolana zetknęły się na wąskiej ścieżce; poczuła, jak przez jej ciało przebiega fala pożądania, lecz nie chciała o tym myśleć. Kolejne zetknięcie wstrząsnęło nią tak, że omal nie spadła z konia. Nie potrafiła już myśleć, cała składała się wyłącznie z uczuć.

Jazda na Scout zawsze dziwnie na nią działała, spychała ją na jakiś prymitywniejszy poziom. Zapominała o tym, co powinna robić, czego nie powinna, i o wszystkich „co by było, gdyby...”. Patyna trwającej od tysiący lat cywilizacji, kryjąca duszę, zniknęła, gdy siadało się na znajomy, ciepły koński grzbiet i wąskimi, niebezpiecznymi ścieżkami wjeżdżało wśród skał w wysokie góry. Więc gdy James wziął ją za rękę, przestała myśleć, a jej ciało stało się jak rzeka lawy. Doskonale pamiętała jego twardą, pokrytą odciśkami i zadrapaniami rękę. Wyrwała dłoń z jej uścisku. Pragnęła krzyknąć: Dlaczego? Dlaczego zdarzyło się to wszystko, przez co musieli przejść? Dlaczego porzucił ją i Sage?

Droga stawała się coraz bardziej stroma, więc nie mogli już jechać blisko siebie. Daisy usłyszała huk spadającej wody, nim jeszcze cokolwiek zobaczyła. Po chwili, poprzez poskręcane gałęzie cedrów kurczowo czepiających się skał, dostrzegła cienki strumień wody spadający w przepaść. Coś ją ścisnęło w gardle, a serce zaczęło bić szybko, mocno.

Wyjeżdżając zza zakrętu, wystraszyli parę bizonów. Widziała, jak uciekają ze skalnej półki i znikają w szczelinie. Na przeciwnym zboczu dostrzegła orle gniazdo — tu, w miejscu, gdzie początek brała jakaś rzeka, orzeł miał wymarzony teren do polowań. Błyszczał teraz w ich stronę żółtymi ślepiami, po czym wzbił się w powietrze i znikł wśród wierzchołków drzew.

Daisy zeskoczyła ze Scout i podciągnęła się wąskim skalnym kominem. James pokonał już tę drogę i teraz wyciągnął do niej rękę. Zdyszana lekko, zupełnie nie zmęczona, pozwoliła wciągnąć się na szczyt. Obawiała się spojrzeć w dół, nie dlatego, by bała się zawrotu głowy, ale z powodu tego, co wypełniało jej serce. U stóp miała małe jezioro zimnej wody, tak czystej, że widziała każdy kamyczek na jego dnie.

I na nim kończył się sielankowy spokój krajobrazu, dalej bowiem zaczynał się wodospad wysoki na dobre sto metrów.

W powietrze biła potężna mgła drobniutkich kropelek, lekko różowa od wznoszących się wokół pionowych, czerwonych skalnych ścian.

Ostrożnie podeszła do krawędzi, by spojrzeć w dół. Poślizgnęła się, ale odzyskała równowagę, chwytając się jałowca, którego korzenie zdawały się wrastać w litą skałę. Musiała podejść za blisko przepaści, bo poczuła, jak James obejmuje ją mocno w pasie. Twarz miała wilgotną, nie od wody jednak, lecz od łez.

— Washakie — powiedziała.

— Dlaczego to mówisz?

— Pamiętasz, jak nauczyliśmy dzieci tego imienia? — spytała, jakby nie słysząc jego słów.

— Pamiętam.

Daisy zamknęła oczy. W wyobraźni widziała dzieci stojące przed nią, trzymające się za ręce, próbujące prawidłowo wymówić indiańskie imię. Szybko się go nauczyły, jakby wypełnił je jego duch. „Washakie, Washakie”. Słyszała głosy obojga: Sage i Jake'a.

— Przecież ty płaczesz — powiedział James, dotykając jej policzka. — Myślałem, że uznasz ten wodospad za piękny.

— Myślę o tym wszystkim, co straciłam — odparła cicho.

— Sage dotrze na ranczo. Nie poddawaj się.

— Nigdy się nie poddam.

— Dziś, jutro... jestem pewien, że jest już blisko.

— Tęskniła za tobą każdego dnia. Potrzebowała cię, tak bardzo cię potrzebowała... a ja nie mogłam pozwolić jej pojechać do ciebie.

— Przykro mi. Żałuję...

— A teraz tak się boję... — skoro zaczęła już mówić, nie potrafiła przestać.

— Sage jest silna, wszystko...

— Ona jest w ciąży!

— W ciąży? — James zamarł, wstrząśnięty. Twarz miał błądą jak śnieg, cofnął się o kilka kroków, byle dalej od wodospadu.

— Przecież ma zaledwie...

— Szesnaście lat. Jest dojrzała.



Stali obok siebie w milczeniu, wsłuchani w huk spadającego wodospadu. Daisy widziała w oczach Jamesa pełne zdumienia niedowierzanie.

— A mnie przy niej nie było. Nie mogłem jej chronić — powiedział po długiej chwili.

— Potrzebowała cię... — Daisy przełknęła z wysiłkiem. Pytał ją o coś, a ona chciała mu odpowiedzieć. Opowiedzieć o nieprzespanych nocach, podczas których Sage płakała z tęsknoty, a ona płakała, widząc jej cierpienie. Huk spadającej wody brzmiał jak krzyk gniewu, bólu, grozy.

— Czy zrujnowałem jej życie?

— Nie.... — Daisy przygryzła wargi.

— Odpowiedz mi, Daisy. Czy...?

— Jeszcze nie wiem! — krzyknęła. — Jeszcze jej tu nie ma! I nie wiem, czy przyjedzie!

— To wszystko moja wina. Wiem...

— Powiedz mi, dlaczego nigdy do niej nie przyjechałeś. Przez te wszystkie lata nie odwiedziłeś jej ani razu.

— Nie...

— Nie chcesz mi powiedzieć.

Widziała, jak twarz mu nieruchomieje, staje się zamknięta, nieprzystępna. Wokół oczu koloru szalwi miał głębokie zmarszczki. Daisy nie wątpiła, że wiele zapłacił za samotność, za tłumienie w sobie uczuć, za to, że nigdy nie szukał niczyjej pomocy. Bardzo dawno temu przestała marzyć o tym, by wyrwać go z tej samotności, ale teraz ta potrzeba powróciła.

— Powiedz mi! — krzyczała. — Jestem jej matką, mam prawo wiedzieć!

Złapał ją za ramiona tak mocno, jakby chciał je zmiażdżyć. Nie zwróciła na to uwagi. W oczach miał nienawiść i przez chwilę Daisy była niemal pewna, że zepchnie ją do wodospadu.

— Zostałem — powiedział przez zaciśnięte zęby — żeby zabić człowieka, który zabrał nam syna.

— Zabić...?

— Tak, Daisy. Zabić własnymi rękami.

— Przecież nie wiemy...

— Ja wiem.

— To niemożliwe! Policja nigdy nie twierdziła, że ktoś... nie znaleźli żadnych śladów... przecież on po prostu zniknął! Z pewnością umarł... tak, właśnie, umarł... i tylko... tylko...

— Nie znaleźliśmy jego ciała! — Teraz James krzyczał, nadal ściskając ją za ramiona. — Nie miał pogrzebu!

Daisy stała jak sparaliżowana, nie miała siły, by mu się wyrwać. Widziała jego oczy, w których płonęła iskra szaleństwa.

Skinęła głową, bo wreszcie zrozumiała, co ten mężczyzna czuje. Płakała nadal, tym razem za jedynymi kośćmi, które się naprawdę liczyły, kośćmi trzyletniego chłopca, ich syna. James tłumaczył jej wielokrotnie, że nie rusza się z rancza właśnie z powodu Jake'a. Przedtem uważała to za wymówkę. Teraz, stojąc tu, niespełna dwa kilometry od miejsca, w którym zaginął ich synek, jego słowa brzmiały szczerze.

Nagle na jej duszę spłynął spokój... i potrafiła już przebaczyć. Musiał dostrzec, jak zmieniło się jej spojrzenie, ponieważ stało się z nim coś dziwnego. Ten wysoki szczupły mężczyzna, trzydzieści centymetrów wyższy od niej, puścił nagle jej ramiona, zgarbił się i pochylił, tak że ich twarze znalazły się na tym samym poziomie.

Oboje przez jakiś czas patrzyli na spokojny strumień, zmieniający się w jednej chwili w huczący, groźny wodospad. James odwrócił Daisy twarzą do siebie; teraz mogli spojrzeć sobie w oczy. Przytulił ją, a ona wtuliła twarz w koszulę na jego piersiach, czując ramiona, zaciskające się jak stalowe obręcze na jej ciele. Mieli dwójkę dzieci, teraz nie mieli żadnego. Uniosła głowę i dostrzegła, że James płacze.

— Przepraszam cię, Daisy — powiedział cichym, załamującym się głosem. — Powinnaś mieć przy boku dwójkę dzieci... a ja nic nie mogłem zrobić.

— Nigdy cię o nic nie oskarżałam. Nigdy!

— A nie masz obydwójga. — W głosie Jamesa zabrzmiało jakby niedowierzanie.

Woda nieprzerwanie spadała w przepaść, porywając ze sobą wszystko, co znalazło się w jej zasięgu. Żółty liść zakreślił się na

jej powierzchni i znikł w głębinie. W uszach Daisy huk wodospadu brzmiał teraz niewysłowionym smutkiem.

Żalu trzeba się uczyć, a ona i James nigdy się go nie nauczyli. Oboje wiedzieli, co to czarna dziura w duszy, gdzie modlitwy nie docierają i nie przynoszą pocieszenia. Tu, na szczycie góry, otoczeni skałami, wsłuchani w szum spadającej wody, rodzice Jake'a i Sage — James i Daisy Tucker — zrobili to, czego nie byli w stanie zrobić wcześniej. Płakali wspólnie nad swą stratą, opłakiwali to, co im zabrano: szansę bycia rodziną. Płakali długo, nawet orzeł spokojnie wrócił do gniazda, nie zauważając ich, byli bowiem nieruchomi jak drzewa.

Paul March spotkał Jamesa w stajniach. W rękę trzymał plik papierów: rachunki za paszę i świadczenia oraz czek, które trzeba było podpisać. James właśnie skończył oporządzać konie i teraz lał im wodę do koryt.

— Miła wycieczka? — spytał Paul.

— Owszem.

— Gdzie byliście?

— Nad wodospadami.

— Wodospadami Przesilenia?

James skinął głową. Nie miał ochoty rozmawiać na ten temat. Ciągle jeszcze nie do końca rozumiał, co zdarzyło się między nim i Daisy, i wcale nie był pewien, czy kiedykolwiek to zrozumie. Nadal czuł ciepło jej policzka na swojej piersi; odczuwał w tym miejscu wręcz ból, jak po skaleczeniu czy oparzeniu. Mimo ostrych woni rancza pamiętał tylko jej zapach. Oczy piekły go od wylanych łez, lecz serce miał lżejsze niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich trzynastu lat.

Sage jest w ciąży...

— Myślałem, że się obawiasz, no wiesz, intruzów na ranczu. To dziwne, że zdecydowałaś się zabrać ją na wycieczkę. Przecież chciałaś, żeby wyjechała. — Paul podał mu pierwszy czek i długopis.

— Trzymaliśmy się z dala od kanionów. — James podpisał czek dla rymarzy, firmy Thompson i Syn.

— Bo tam kryją się źli faceci?

Paul najwyraźniej miał ochotę pożartować, ale ta wycieczka wydawała się Jamesowi sprawą zbyt poważną, nie zaleconą raną. Nie miał ochoty nie tylko na żarty, ale nawet na rozmowę.

— Daj spokój — powiedział cicho.

— Po prostu cieszę się, że byliście razem. To zrobi dobrze wam obojgu.

— W porządku. Jeszcze coś?

Paul wręczył mu arkusz papieru. Działo się tak od lat: zarządca rancza łapał Jamesa gdziekolwiek mu się udało — w siodle, w stajni, w korralach — i dosłownie zmuszał go do wykonania papierkowej roboty. James nienawidził jej, zresztą obaj nie lubili gabinetów i biur.

Tym razem poszło szybko, jednak Paul najwyraźniej miał ochotę powiedzieć coś jeszcze.

— Co się dzieje? O co ci chodzi? — spytał James.

— Nic, tylko... — urwał. Stał, marszcząc czoło i mrużąc oczy; przypominał policjanta zmagającego się z zagadką zbrodni. Skupił się i myślał, starając się odczytać nastrój przyjaciela. Może chciał tylko okazać życzliwość, ale bardziej prawdopodobne było to, że wystąpi z kolejną dobrą radą, najpewniej dotyczącą Daisy. James nie miał zamiaru jej słuchać.

— Daj sobie spokój — poprosił. — Przynajmniej na dziś.

Paul wahał się przez chwilę, ale potem skinął głową. Odszedł, zabierając ze sobą papiery. James podszedł powoli do wrót stajni i przez ciemne podwórko spojrzął na domek Daisy. Stał przez chwilę, a potem gwałtownym ruchem zamknął drzwi.

O zachodzie słońca David i Sage zjechali z głównej drogi w boczną, gruntową; stary czarny samochód mocno trząsał na wybojach. Sage przyglądała się mapie, świecąc na nią latarką. Widziała duży „X”, postawiony przez Davida, ale chłopak nie chciał jej powiedzieć, dokąd jadą. Im bardziej zbliżali się do tego punktu, tym bardziej wydawał się wściekły.

Zahamował nagle, bez uprzedzenia, po czym wysiadł i podszedł do bagażnika. Podniecone psy zaczęły piszczeć, koty pomiaukiwa-

ły cicho. Sage obróciła się w siedzeniu, chciała zobaczyć, co robi David. Błysnęło światło, usłyszała dźwięk rozpinanego zamka błyskawicznego, po czym rozległy się jakieś tajemnicze szумы i szelesty. Trwało to bardzo długo, co najmniej piętnaście minut. Kiedy wreszcie chłopiec usiadł z powrotem za kierownicą, odwracał głowę, jakby z jakiegoś powodu nie chciał, by widziała jego twarz.

— Nie będę cię pilotować, skoro nie chcesz rozmawiać — powiedziała Sage.

— Nie bądź głupia!

— Nie ja jestem głupia, tylko ty. Czy chodzi o tę twoją misję? Co masz zamiar zrobić?

— Sage...

Dziewczyna włączyła latarkę, oświetliła jego twarz i aż westchnęła ze zdumienia. Zobaczyła siedem czarnych kropek w jednej linii, biegnącej przez oba policzki, koncentryczne kręgi i kropki na czole i brodzie, cztery cienkie linie na szyi. Wyglądał jak wytatuowany.

— David, coś ty zrobił...?

— To tradycja — powiedział chłopak dziwnym, jakby nie swoim głosem. Gnane wiatrem suche liście szeleściły niesamowicie. Sage poczuła, jak jeżą się jej włosy.

— Jaka tradycja?

— Wiesz coś o pośrednikach między światami?

Sage już miała potrząsnąć głową, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Mama często o tym mówiła. Kiedy rzeźbiła w kości, wyobrażała sobie, że przywołuje z krainy śmierci duchy owiec, ptaków, bydła, jeleni. Sage trzęsącymi się palcami wyjęła spod bluzki swój dwustronny amulet. Przejechała palcami po twarzach bliźniąt — chłopca i dziewczyny.

— Wiem — przyznała.

— Wiesz, co oznaczają te kropki?

Potrząsnęła głową.

— Uratowane stworzenia.

— Uratowane...?

— Dodaję kropkę za każdym razem, kiedy uda mi się uratować jakieś stworzenie. Jedną z tych kropek jesteś ty.

Sage wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. Pociągnęła palcem po linii kropek, licząc je: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem. Była to najdziwniejsza chwila w całym jej życiu, ale w jakiś sposób rozumiała, co się dzieje, i nie bała się. Była siódmą kropką, siódmą uratowaną przez Davida istotą. I nikt nie musiał jej mówić, co oznacza sześć innych.

— Jedziemy do fabryki zwierząt, prawda?

— Tak.

— Mogę tam iść z tobą?

David zawahał się. Włączył silnik samochodu, próbując zyskać na czasie. Sage trzymała na kolanach kocięta, zwinięte w kulki i smacznie śpiące. Psy, równie spokojne, leżały na tylnym siedzeniu; jedynym słyszalnym dźwiękiem był odgłos mlaskania — to Petal lizała zabawkę.

Jechali jeszcze pół godziny. Droga biegła wprost na północ. Na zachodzie pojawiły się cienie, przysłaniające gwiazdy; wiedziała, że to podgórze górskiego pasma, wyglądające niczym długa, płytka, czarna dziura w dole nieba. Usłyszała cichy syk i nie od razu zdała sobie sprawę z tego, że to ona westchnęła, że tak długo wstrzymywała oddech.

Nagle przed nimi ukazały się światła. David wyłączył reflektory samochodu. Patrzył na mapę, trzymając nisko latarkę, tak by jej blask nie był widoczny na zewnątrz. Spod siedzenia wyjął starą piłkę do metalu.

— Możesz iść — powiedział, patrząc na Sage.

— Dziękuję — odparła niepewna, czy rzeczywiście ma ochotę na tę przygodę.

— Ale musisz nosić znak.

— Co?

— Sowę.

Dziewczyna przyglądała mu się, zdziwiona. Jaki znak miał na myśli, jaką sowę? Tymczasem David wyjął z samochodowej skrytki małą skórzaną walizeczkę, którą ledwie widziała w słabym świetle latarki. Miał w niej igły, nici i atrament. Z biciem serca przyglądała się, jak wyjmuje kolorowe ołówki. Ujął jej dłoń.



— Skąd się wzięły te twoje tatuaże? — spytała cichym cieniem głosem.

— Sam je robię.

— I teraz... i teraz chcesz je zrobić mnie? — spytała, próbując wyrwać dłoń.

— Ani teraz, ani nigdy... chyba że sama chcesz.

Polizał czubek brązowego ołówka, a potem, delikatnie, skórę na grzbiecie jej prawej dłoni. Język miał miękki, ciepły; zamknęła oczy, pragnąc, by nie przerywał. Lecz nie trwało to długo, bo zaraz zaczął rysować. Cienko zaostrzony ołówek drażnił jej skórę; miała wrażenie, że pragnie narysować nie tylko ptaka, ale wszystkie jego pióra.

— Dlaczego sowa? — spytała. — Jakie to ma znaczenie?

— Ona widzi.

Zmienił ołówek na żółty i narysował nim wielkie sówie oczy. Sage przyjrzała się ukończonemu dziełu — było małe, doskonałe, oddawało całą drapieżność ptaka, i identyczne jak to, które miał na przegubie dłoni David. Patrząc na nie, poczuła nagły przypływ odwagi; tak dzielna nie czuła się jeszcze nigdy. Było w tym coś z magii, takiej, jaką matka zaklinała w swą biżuterię. Choć Sage nigdy tego nie robiła, teraz zdjęła z szyi jej naszyjnik i podała go Davidowi.

Przyglądał się rzeźbie w kości, obracając wisior w palcach. Skinął głową, jakby akceptował jego moc. Dotknął obydwoma stronami — obydwoma twarzami — najpierw czoła, potem serca, a wreszcie wyjętego z kieszeni noża.

— Kto to zrobił? — spytał.

— Matka.

— Jest Szoszonką?

— Nie. A ty jesteś Szoszonem?

— Może. — Chłopak uśmiechnął się. — A może wilkiem?

Gotowa?

Sage wyciągnęła rękę po naszyjnik, ale on jej go nie oddawał.

— Chcesz wiedzieć, czyje to twarze? — spytała. — To jedyne jej dzieło, które wyrzeźbiła po obu stronach.

— Przecież wiem. Twoja i twojego brata. No dobra, idziemy.

Oddał jej naszyjnik.

Sage odetchnęła głęboko. Czowała potrzebę wypowiedzenia modlitwy, wyśpiewania zaklęcia, pobłogosławienia w jakiś sposób samej siebie, dziecka, Davida i wszystkich zwierząt. Nie znała właściwych słów, w każdym razie słów, które mogłyby mieć jakikolwiek sens. Próbowała przypomnieć sobie słowo, którego używała matka, indiańskie imię oznaczające odwagę, wręcz bohaterstwo. Miała je na końcu języka, ale uciekło niczym piórko na wietrze, więc tylko skrzyżowała palce.

Po obu stronach drogi gruntowej stały najwyraźniej dwie farmy. Jedna sprawiała wrażenie dobrze prosperującej — dom mieszkalny schludnie pomalowano na biało, stodołę na czerwono, w pobliżu stał też srebrny silos na zboże. Na drugą składał się stary podniszczony dom, przed którym stał przerdzewiały pikap i kilka szop z surowego drewna. Sage usłyszała szczekanie; im bliżej podchodzili, tym było głośniejsze.

David posuwał się do przodu przygarbiony, na ugiętych kolanach, niczym indiański zwiadowca. Przez pewien czas trzymał Sage za rękę, ale potem puścił ją i zaczął biec. Ona tymczasem poczuła klucie w boku, musiała zatrzymać się, odpocząć. David zawrócił. Był wściekły.

— O co chodzi?

— Zmęczyłam się. — Dziecko wybrało sobie ten moment, by się poruszyć. Podtrzymała brzuch rękami, prosząc w myśli dziecko, by przynajmniej nie kopało jej w pęcherz.

— Może zaczekasz tutaj. Bo kiedy skończymy tam, w środku, trzeba będzie szybko uciekać.

— Nie możesz mi powiedzieć, co właściwie mamy zrobić? Żebym mogła się przygotować? Noszę tatuaż sowy i...

David przyglądał się jej uważnie. Nie widziała jego twarzy w ciemności, wyczuła jednak, że jest poważny i że nie ma zamiaru choćby się uśmiechnąć.

— Przecież wiesz.

Ruszyli przed siebie. Niemal w całym domu było ciemno — świeciło się tylko w kuchni, a w oknie dużego pokoju widać było sinawą poświatę od telewizora. Na koślawym obdrapanym znaku

przy drodze przedstawiony był pies, stojący dumnie nad martwym bażantem. „Rasowe setery angielskie” — głosił napis.

Nagle Sage usłyszała dobiegające z domu wrzaski — gniewny kobiecy głos i odpowiadający mu równie gniewny głos męski. Wtórował im płacz dziecka, do którego natychmiast dołączyło drugie. Ktoś kogoś uderzył, trzasnęły drzwi, a potem zapadła cisza. Zamknięte w szopie psy szczekały donośnie jak przedtem, jakby nic się nie stało.

— To chore... — szepnął David.

— Setery angielskie... — Sage zrobiła kilka kroków w kierunku domu. Pragnęła ocalić każde, jakiegokolwiek stworzenie, które byłaby w stanie ocalić.

— Nie, mam na myśli ludzi. Wszyscy właściciele fabryk zwierząt są tacy sami. Zwierzęta, po prostu zwierzęta. Koszmar. Biją żony i razem z żonami biją dzieci. To im zapewnia rozrywkę nocą. Drobiazg, nic więcej. No, idziemy...

— Drobiazg, nic więcej... — Sage przełknęła. Widziała, jak w oknie na piętrze zapala się światło i przenika przez różowe zasłony. Dobiegł ich stamtąd szloch małej dziewczynki. Przez szparę w zasłonach Sage dostrzegła plakat Arielki, Syrenki Disneya.

— Uderzył ją i pewnie także ją gwałci. — Wściekły, David pociągnął Sage za sobą. Szli przez błotniste podwórko. — Nie bój się, nie wdepniesz w psie gówienko — powiedział. — Psom nie wolno wychodzić na dwór.

— W ogóle?

— Oczywiście.

Chłopak sięgnął po wetkniętą za pas, niczym miecz, piłkę do metalu, by przepiłować kiepski rygiel. Chwilę później powoli otworzył skrzypiące drzwi; Sage szła tuż za nim.

W środku było ciemno i bardzo zimno. Nie widziała nic oprócz własnej pary z ust. Psy, które szczekały przez cały czas, poczuły ludzi i zaczęły ujadać jeszcze głośniejsze. David gdzieś znikł. Sage stała nieruchomo, przerażona, jakby nagle, zupełnie sama, znalazła się w jakiejś głębokiej jaskini, po chwili jednak jej oczy przyzwyczały się do ciemności i zaczęła widzieć.

Szopa miała rozmiar mniej więcej cztery i pół na dziewięć metrów. Wzdłuż dłuższej ściany stały klatki z drewna i cienkiej siatki, każda o powierzchni jednej piątej metra kwadratowego. David szedł wzdłuż nich i kolejno otwierał wszystkie. W jednej ręce trzymał latarkę, a drugą, obandażowaną, osłaniał promień światła.

Sage podeszła do niego. Dostrzegła psy, tulące się do tylnej ściany klatek. Choć zbudowane prawidłowo, siedziały zwinięte w kłębki jak ślimaki. Niektóre karmiły szczenięta. Smród odchodów był tak straszny, że dziewczyna zakryła sobie ręką nos i usta.

W kilku klatkach matki zamknięte były z martwymi szczeniakami, których nikt nie pofatygował się usunąć.

— Biedactwa. — Sage wyciągnęła rękę, by pogłaskać jedną z suk. Ta natychmiast wyszczerzyła zęby i kłapnęła pyskiem tuż obok jej dłoni.

Dziewczyna cofnęła się, potknęła i usiadła na górze futer, zimnej i potwornie śmierdzącej. David pomógł jej wstać; obejrzała się i przerażona zobaczyła, że były to ciała martwych psów.

— Boże, nie! — krzyknęła.

— Cicho! Uspokój się!

Sage, drżąc na całym ciele, obserwowała Davida, który chodził tam i z powrotem między klatkami, najwyraźniej czegoś szukając. Część zamkniętych w klatkach psów próbowała się z nich wydostać. Najdzielniejsze wystawiały pyski na zewnątrz, łowiąc nie znany im zapach wolności. Zeskakiwały na ziemię, przeciągały się rozkosznie, prostowały łapy i grzbiety — być może po raz pierwszy w życiu. Sage widziała, jak próbują się poruszać, niezdarne niczym nowo narodzone źrebięta.

David miał zamiar uwolnić je wszystkie!

— Nie możesz! — krzyknęła, łapiąc go za ramię. — Dokąd pójda? Co będą jeść?

— To psy myśliwskie. Poradzą sobie.

— Nie umieją polować! Zdechną!

— I myślisz, że to będzie gorsze od takiego życia? — warknął David, jakby sam był spragnionym wolności zwierzęciem.

Sage rozejrzała się dookoła. Powoli, ostrożnie, jeden po drugim psy wyszły w końcu ze swych klatek. Niemal wszystkie próbowały też uwolnić szczenięta — wynosiły je w pyskach, trzymając je za kark, czym przypominały Petal, bez reszty zajęta swą zabawką. Dziewczyna sprawdziła klatki tych, które zostawiły swoje małe, i z przerażeniem stwierdziła, że większość z nich nie żyła.

Ale jedno, owszem, tak. Zobaczyła szczeniaka stojącego na czterech zdrowych łapach, wesoło machającego ogonem, niewiele większego od jej dłoni, łaciatego, brązowo-białego, z wywieszonym różowym językiem.

— Cześć — powiedziała do niego.

Szczeniaczek podskoczył i zaszczekał z nadzieją.

— Tu jesteś! — David stał przy najdalszej z klatek. — Szukałem cię.

Uwolnione z klatek psy właściwie przestały szczekać. Zapadła martwa cisza, prawdziwie przerażająca, oznaczała bowiem, że właściciel tej „hodowli” zaraz się tu pojawi.

Sage wyciągnęła rękę do szczeniaka, policzyła do trzech, złapała go i schowała do kieszeni. „Szybko” — szepnęła do Davida, ale on i tak wyprzedzał ją o kilka kroków. Widziała, jak owija kurtkę jakiegoś siedzącego jeszcze w klatce psa, bierze go na ręce, podchodzi do drzwi szopy i otwiera je ostrożnie. W domu znów ktoś kogoś uderzył, ktoś krzyknął przeraźliwie. David podszedł do starego pikapu i nożem przeciął wszystkie opony.

Psy uciekały przez otwarte drzwi szopy. Niektóre zatrzymywały się za drzwiami, wachały trawę, ale większość, kulejąc i zataczając się, pospieszyła w stronę wzgórz, niosąc w pyskach szczenięta. Nic nie było w stanie ich zatrzymać, pędziły przed siebie, jak potrafiły najszybciej. Nogi miały krzywe, grzbiety wygięte, nie umiały biec, ale pragnienie wolności było silniejsze.

— Pospiesz się! — szepnął David, dźwigając owinięty w kurtkę ciężar.

Sage została z tyłu. Na przegubie dłoni narysowaną miała sowę, dzięki której widziała wszystkie duchy świata. Zawdzięczała jej bystry wzrok i teraz potrafiła, niemal potrafiła, przeniknąć ściany domu. Mała dziewczynka siedziała skulona w zgniecionej pościeli,

broniąc się przed razami ojca. Ona i David ratowali stworzenia potrzebujące pomocy, czemu nie mieliby uratować także jej?

— Pomóżmy jej. Przecież możemy zabrać ją ze sobą! — prosiła.

— Nie. Idziemy.

— David, proszę...

— Mam do spełnienia misję. Psy. Ona musi ocalić sama siebie.

— A jeśli nie potrafi?

— Jeśli chce, potrafi. Wiem z doświadczenia. Szybko.

Nim dotarli do samochodu, właściciel „fabryki zwierząt” zauważył nienaturalną ciszę. Na ganku zapaliły się jaskrawe światła, trzasnęły drzwi. David nie próbował nawet położyć owiniętego w kurtkę psiaka na tylnym siedzeniu, spieszył się i wskoczył do samochodu, kładąc go sobie na kolanach. Włączył silnik, zawrócił tak, żeby maska samochodu skierowana była na drogę, wcisnął hamulec i czekał.

Właściciel „fabryki” wrzeszczał na rodzinę; krzyczał, żeby wszyscy wybiegli na drogę i łapali psy. Za nim na próg wybiegła żona i dwójka dzieci — jednym z nich była mała dziewczynka. Sage poczuła, jak coś ścisną ją za gardło; wyobraziła sobie, że mała jest szczęśliwa, ponieważ matkom udało się uciec.

David podał jej swojego szczeniaka, otworzył drzwi i wcisnął klakson.

— Hej! — krzyknął. — Słyszysz mnie, dupku?

— Co? Ty złodzieju psów! — Farmer podbiegł do swojego samochodu. — Zabiję cię!

— Będziesz się smażył w piekle! W miejscu, gdzie zwierzęta będą się znęcać nad tobą! Własne dzieci cię znienawidzą! Uciekną z domu i opowiedzą wszystkim, kim jesteś i jak zarabiałeś na życie. Spróbuj z tym żyć, dupku!

Farmer wskoczył za kierownicę samochodu, włączył silnik i spróbował ruszyć, ale nie ujechał daleko na czterech kapciach. Uzbrojony w obrzyna, zaczął biec w ich kierunku.

David wskoczył za kierownicę i mocno wcisnął gaz. Opony zapiszczały głośno. Sage skuliła się na siedzeniu, licząc strzały



ze strzelby: jeden, drugi, trzeci. Byli już poza zasięgiem strzałów, które brzmiały teraz jak fajerwerki. Spodziewała się, że David będzie próbował wrócić drogą, którą przyjechali, i bała się, że zostaną zatrzymani przez policję, ale gdy przejechali niespełna kilometr, skręcił w prawo. Pojechali na zachód.

Gruntowa droga nie była w ogóle oznakowana. Sosny rosły na samym jej brzegu, niskie gałęzie tarły o dach samochodu. Sage obejrzała się. Drzewa za nimi wydawały się zamykać ją szczelnie. Szczeniak wy dostał się z kieszeni jej kurtki; wskoczył na tylne siedzenie, by poszukać przyjaciół. Psy zawarczały ostrzegawczo, kociaki syknęły gniewnie.

— Wiesz, gdzie jedziemy? — spytała.

— Oczywiście.

— A niby skąd...

— Bywałem wcześniej na tej farmie. Matka wymieniła tu raz sukę na psa, kiedy jeszcze trzymaliśmy setery.

— Czy to... — Sage czuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

— Czy to suka, którą oddała twoja matka?

— Nie. Tamta zdechła przed wielu laty. Nie żyją długo. Ta jest nowa. Wypuść ją.

Sage odwinęła wełnianą kurtkę Davida, jakby odchyłała kocyk, którym przykryto dziecko. Owinięty nią pies trząsł się jak liść, grzbiet miał ostry, ze sterczącym kręgosłupem, pokręconym jak korkociąg. Miał tylko trzy łapy; próbował szczyrzyć zęby, ale nie miał ani jednego.

— Co jej zrobili? — spytała przerażona.

— Była torturowana. Jak wszystkie.

— Dlaczego ona? — Dziewczyna gładziła zmierzwioną, rzadką sierść.

David nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się uważnie w drogę; dopiero teraz Sage zorientowała się, że to szlak używany wyłącznie przy zwózce drewna. Spojrzała na niego, widziała, że walczy, by zachować obojętny wyraz twarzy. Tatuaze na jego policzkach i czole pozostały nienaruszone, czarne, precyzyjne.

— Dlaczego ona? Dlaczego ze wszystkich tych psów wybrałeś właśnie ją?

— Ponieważ jest w najgorszym stanie — wyjaśnił chłopak. Głos mu się łamał. — Nie mogła uciekać. Zabieram zawsze tę najbiedniejszą.

— Jak ją nazwiesz?

— Ty ją nazwij. Ja nadałem imiona wszystkim poprzednim.

— Jamie — powiedziała bez wahania, myśląc o ojcu czekającym na nią w Wyoming, i o tym, jak drogo zapłaciła, by kiedyś się z nim spotkać. Jamie to zdrobnienie od James, ale brzmiało nieźle jako imię dla suki. Głaskała okaleczonego psa, myśląc o dziewczynce z fabryki zwierząt — modliła się, by udało się jej uciec tam, gdzie być może czekał na nią prawdziwy, lepszy dom. — Niech się nazywa Jamie.

RS

Daisy wybrała się do wielkiego domu, żeby odwiedzić Daltona, i w kuchni spotkała się oko w oko z obcą kobietą, mniej więcej czterdziestoletnią, o brązowych oczach i takich samych włosach, ubraną w różową bluzę nałożoną na biały fartuch. Niosła na tacy herbatę i grzanki, a kiedy ją zobaczyła, drgnęła i zawartość tacy znalazła się na podłodze.

— Bardzo mi przykro. — Daisy przykucnęła, aby pomóc jej posprzątać.

— Nie pani wina. — Kobieta odwracała głowę, jakby się bała, że zostanie rozpoznana. Nad prawym okiem miała bliznę, po wewnętrznej stronie ramienia wyraźnie widoczne sińce.

Kiedy skończyły sprzątać, nieznajoma zaczęła przygotowywać nowe grzanki. Woda właśnie się zagotowała, mogła więc zaparzyć świeżą herbatę.

— Jestem Daisy Tucker.

— A ja Alma Jackson.

— Spotkałyśmy się kiedyś? — Kobieta wyglądała znajomo — miała szeroką twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi, rozbiegane oczy, wysokie czoło. Wyglądała zwyczajnie, ale Daisy była przekonana, że kiedyś już ją widziała.

— Nie. Dopiero zaczęłam tu pracę. Louisa zatrudniła mnie w tym tygodniu.

— Jestem pewna... no, prawie pewna... och, nie ma o czym mówić. — Daisy uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. — Miło mi było cię spotkać.

— Dziękuję bardzo. — Kobieta odwróciła się i zabrała się do pracy.

Daisy weszła do dużego pokoju, zastanawiając się, skąd wzięły się sińce na rękach Almy. Dalton siedział na ustawionym przy oknie wózku inwalidzkim, obserwując stado antylop wspinających się na zbocze wzgórza. Kiedy zobaczył Daisy, odłożył lornetkę i podniósł głowę, by ją pocałować.

— Jesteś lekiem na moje zbolące oczy — oznajmił.

— Nawzajem.

— Zostaniesz z nami?

— Na razie tak — odparła Daisy. Nie była pewna, o co mu chodzi, ile pamięta z tego, co zaszło, ale tak naprawdę wcale się tym nie przejęła. Zawsze bardzo lubiła Daltona Tuckera, cieszyła się więc, że może choćby posiedzieć przy nim, potrzymać go za rękę.

— Spotkałaś Hunkę?

— Hunkę?

— Starą jakąś -tam. Urzęduje w kuchni. Louisa znalazła ją gdzieś w najgłębszych głębiach rodziny Rydellów. Obrzydliwa baba, prawda?

Daisy uśmiechnęła się.

— Sprawia wrażenie zmęczonej. Pewnie każesz jej za ciężko pracować.

— Szpieguje dla Todda. Nie myśl, że nie wiem. Skąd Rosalinda wzięła się w tym klanie...

— Chyba miałaś na myśli Louise.

Dalton spojrział na nią, wstrząśnięty.

— Powiedziałem Rosalinda?

Skinęła głową.

— Jezu, jeśli to się powtórzy, daj mi w łeb, dobrze? Ty jesteś Daisy, prawda? Przynajmniej to mi się nie pomyliło?

— Owszem, ale ja się przecież nie liczę. — Daisy roześmiała się.

— Co prawda, to prawda. Pojechała do miasta na próbę z gitarzystą. Chce, żebym był zazdrosny. Jak myślisz, powinienem?

— Nie widziałam tego gitarzysty, ale Louisa jest wspaniała. Im starsza, tym piękniejsza. Moje imię możesz zapomnieć, jej imienia nie zapominaj.

— To będzie trudne, Daisy. Jesteś' moją jedyną synową.

— A ty jesteś moim jedynym teściem.

— Muszę przyznać, że zalazłaś Jamesowi za skórę. Od kiedy wyjechałaś, nie zaprosił na ranczo żadnej kobiety.

— Naprawdę? — Daisy wiedziała, że to nie jej sprawa, niemniej jednak była ciekawa.

— Naprawdę. Nigdy. Ty byłaś tą jedyną i być może nadal nią jesteś. Nie wiem. On niewiele mówi. Jeździ, zagania bydło, pracuje. Być może rozmawia z Paulem. Jego zapytaj.

— To nieważne. — Daisy rozejrzała się po pokoju. Zobaczyła medal Rosalindy, który dostała za strzelanie, jej skrzypce i rodzinne zdjęcia, ustawione na szerokiej kamiennej półce nad kominkiem. Była tam ślubna fotografia jej i Jamesa, fotografie bliźniąt zaraz po urodzeniu: Sage w czerwonym kowbojskim kapeluszu i uśmiechniętego Jake'a siedzącego na Scout.

Dalton podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

— Moje wnuki — szepnął. — Tęsknię za nimi. Każdego dnia bardziej.

— Nie pozwoliłam Sage na odwiedzinę. Chciała przyjechać, ale jak mogłam dopuścić, by znalazła się w pobliżu...

— Kiedyś dałem im takie zabawki. Krówki. Czy swoją jeszcze ma?

— Oczywiście.

— Doskonale.

Daisy skinęła głową. Patrzyła na fotografie swych dzieci. Wydawały się takie szczęśliwe. Uśmiechały się do aparatu, uwielbiały życie na ranczu. Pragnęły dorastać wśród koni, krów, psów, w towarzystwie dziadka, mieszkającego w sąsiednim domu. Życie było wówczas tak piękne, tak bliskie rajowi, jak tylko jest to możliwe dla ludzkiej rodziny. Nie potrafiła znieść uśmiechu Jake'a, jego zdjęcie odwróciła twarzą do dołu.

— Podejź — powiedział Dalton.

Obróciła się powoli i zaczęła iść w jego stronę.

Dalton na wózku inwalidzkim, z nogami przykrytymi kraciatym kocem, wydawał się taki stary, taki słaby, ale kiedy ujął jej rękę, okazało się, że dłonie ciągle ma silne.

— Nie wymażesz przeszłości — powiedział. — Nie odetniesz się od niej. Nie powinnaś nawet próbować. Wiesz, jak zginęła moja Rosalinda?

— Ciii... Nie chcę o tym rozmawiać.

— Dach się na nią zawalił. Przyszła śnieżycą, a ona i James byli akurat w stajni kuców. Zanieśli im tam siano i wodę. Karmili je. Padał śnieg, mokry, szybko zamarzał. Spadło go przeszło pół metra, był tak ciężki, że dach nie wytrzymał.

— Przestań, proszę.

— Uwięził ich w środku. Oboje. Moją żonę i synka... o czym to ja mówiłem?

Daisy zatkała sobie uszy. Myślała o dniu, w którym zginął Jake. Bawiła się wówczas z Sage, pokazywała jej, jak malować łąkę akwarelą.

— Ściągałem jakiegoś głupiego cielaka z cienkiego lodu. Nie chciałem, żeby się utopił. Myślisz, że teraz coś mnie obchodzą cielaki? James miał piętnaście lat. Złamał nogę, ale sam się wyczołgał i wyciągnął matkę. Jeszcze żyła. I żyła dość długo, dobrą godzinę, a on wzywał pomocy. Wykrwawiła się na śmierć.

Daisy siedziała w milczeniu. Pamiętała, jak trzymała w dłoni pędzel, jak pokazywała córce sposób na rysowanie maków i stokrotek, pamiętała złote płatki, słupki, pręciki... Pamiętała, jak tłumaczyła jej, że natchnienie można znaleźć wszędzie, nawet blisko, w ziemi pod nogami. Malowały, gdy Jake zniknął, jakby rozplynał się w powietrzu.

— Myślisz, że nie wolałbym, żeby to cholerne ciele utoneło? O życiu i śmierci zdecydowała jedna godzina. Nienawidziłem zwierzaka i nienawidziłem siebie za to, że pozwoliłem żonie umrzeć, a synowi siedzieć tam i patrzeć, jak umiera.

— Nie przez ciebie zginęła. Nie zrobiłeś nic złego.

— Oczywiście. — Dalton skinął głową. — Teraz to wiem. Ale wiele czasu minęło, zanim to zrozumiałem. Widocznie Bóg



potrzebował jej bardziej niż James i ja. Nazywała go Jamey... wiedziałś o tym? Ale przestałem używać tego zdrobnienia, bo nie wyobrażasz sobie, co wtedy o niej myślałem. Ustaw to zdjęcie z powrotem, dobrze?

Daisy zdjęła fotografię Jake'a z kominka, przyglądała jej się przez długą chwilę, a potem postawiła ją na miejscu tak, by starzec mógł na nią patrzeć.

— Dobra dziewczynka. — Oczy Daltona, choć załzawione, wpatrywały się w nią tak, jakby widziały jej duszę. — Nie zamykaj drzwi do przeszłości.

— Nie zamknę.

— Dlatego zatrzymałem medal Rosalindy, chociaż Kocham Louisę.

Daisy skinęła głową.

— Louisa ma dziś występ w „Stagecoach”. Zrób mi przysługę i pojedź tam, dobrze? Zabierz Jamesa, niech bije jej brawo, niech gwizdże. Ona uwielbia, kiedy młodzi ludzie szaleją na jej punkcie.

— Nie jesteś zazdrosny? — Daisy uśmiechnęła się.

— Zielenieję z zazdrości. Ale nie przeszkadzam jej, nigdy nie przeszkadzałem. Na scenie jest taka szczęśliwa.

— Ja też sądzę, że daje jej to szczęście.

— Powiedz Jamesowi, żeby gwizdał głośno. Powiedz mu, że twój teść o to prosi.

— Zgoda, powiem.

W tej chwili do pokoju weszła Alma. Postawiła tacę obok Daltona. Starzec mrugnął do Daisy, przykładając palec do ust. Wiedziała, że nie chce rozmawiać o sprawach Tuckerów w obecności Rydellów, i domyśliła się, że pewnie pozwolił Louisie zatrudnić Almę tylko dlatego, żeby sprawić jej przyjemność.

Kobieta dostrzegła zdjęcia na kominku. Drgnęła, zdumiona, i omal nie wylała herbaty po raz drugi. Daisy zauważyła to, ale zupełnie nie wiedziała, o co chodzi. Jednego tylko była pewna: sińce na jej ramionach pozostawiły palce mężczyzny.

— To mój wnuk — powiedział Dalton, widząc, na które zdjęcie zwróciła przede wszystkim uwagę.

— Patrzyłam na dziewczynkę — powiedziała szybko Alma.

— Tę w czerwonym kapeluszu.

— A to wnuczka.

— Och! Jaka śliczna!

Starzec skinął głową, zapytał ją o dzieci, a kiedy okazało się, że Alma ma dwóch chłopców, zaczął o nich wypytywać: czy lubią polować, a może łowić ryby i tak dalej. Wywiązała się rozmowa, ale Daisy ledwie jej słuchała. **Widziała**, że ta kobieta nie może oderwać wzroku od zdjęcia Jake'a.

Więc dlaczego kłamała?

— Choćbym nie wiem jak chciała — powiedziała Daisy — jakoś nie widzę siebie bawiącej się w „Stagecoach”, podczas gdy samotna Sage próbuje dotrzeć do Wyoming. Owszem, chciałabym posłuchać występu i to nie tylko dlatego, że prosił mnie o to Dalton. Zawsze kochałam twoją muzykę, twój śpiew, lubiłam podniecenie towarzyszące występom. Ale wolę być blisko telefonu, a w każdym razie na ranchu. Sage może zadzwonić w każdej chwili.

Louisa słuchała, wzruszona jej słowami. A także tym, że inicjatywa wyszła od Daltona. Była już Uczesana i umalowana, na jej paznokciach schła trzecia warstwa lakieru w fascynującym kolorze jesieni, zwanym „Pumpkin Frost”. Stała w barze przy automacie, próbując nie zwracać uwagi na facetów, którzy właśnie dostarczyli piwo.

— Powinnaś posłuchać Daltona — powiedziała do słuchawki.

— Przyjeżdżaj.

— Nie wątpię, że bar pęknie w szwach i beze mnie.

— Oczywiście. — Louisa nie zamierzała się przechwalać, po prostu powiedziała prawdę. Z doświadczenia wiedziała, że podczas jej występów bar rzeczywiście pęka w szwach.

— Dalton był taki ożywiony. Chyba miał dobry dzień.

— Zdarzają mu się od czasu do czasu. Nie tak często jak kiedyś, ale kiedy już przychodzą, jestem wdzięczna losowi.

— Chciałam zapytać cię o coś w związku z Alną.

Louisa zmarszczyła brwi.

— Czy to kolejna inicjatywa Daltona? Naprawdę, tylko dlatego, że jej siostra wyszła za Todda...

— Chodzi mi o to, jak patrzyła na zdjęcie Jake'a. Nie wiesz przypadkiem, dlaczego w ogóle zwróciła na niego uwagę?

— No cóż... — Louisa przerwała. Ugryzła się w język. Czyżby Daisy nie wiedziała, ile było wówczas gadania? Zniknięcie Jake'a wywołało ogromne zamieszanie. Tu, w Wyoming, wszyscy wszystkich znali. Lokalna społeczność była niezwykle poruszona, wszyscy żałowali chłopca — na drzwiach sklepów pojawiły się plakaty, napływały informacje od ludzi, którzy podobno gdzieś go widzieli od Lander po Salt Lake City. Oczywiście plotkowano też, oskarżano się nawzajem, a najbardziej obciążano Daisy i Jamesa. Rodzice byli zawsze pierwszymi podejrzanymi, Daisy musi przecież o tym wiedzieć.

— Proszę, powiedz mi coś!

— No cóż... — Louisa starannie dobierała słowa. — Z tego, co mówiła mi Tammy, wynika, że chłopcy Almy są mniej więcej w wieku bliźniąt. Jestem pewna, że pamięta zniknięcie Jake'a i kiedy teraz patrzyła na jego słodką buzię, dziękowała prawdopodobnie swej szczęśliwej gwiazdzie... za to, że jej dzieciom nie przydarzyło się nic złego. Ze zginął on, a nie któreś z nich.

Daisy westchnęła ciężko.

— Alma jest prostą kobietą. — Louisa pragnęła być teraz blisko Daisy, przytulić ją, odpędzić od niej przynajmniej te nowe cierpienia. — Nie zamierza cię skrzywdzić. Ma nieciekawie życie rodzinne: mieszkają w jakiejś ruderze gdzieś na północy, mają dużo zwierząt, których nie są nawet w stanie wykarmić. Jej mąż pije, cała rodzina cierpi; jak ktoś ma takie życie, nic dziwnego, że czasami zachowuje się nieprzyjemnie.

— Dziękuję, że mi to wszystko powiedziałaś.

— Szkoda, że nie przyjedziesz. — Louisa usłyszała nowego gitarzystę strojącego gitarę. Perkusista musnął talerze. Próba miała rozpocząć się lada chwila. Czuła podniecenie, a jednocześnie smutek.

— Mnie też jest przykro.

— Powiedz Daltonowi, że ten wieczór dedykuję jemu. —  
Louisa zawahała się, pomyślała, że Dalton być może już nigdy nie znajdzie się wśród jej publiczności. Owszem, jego stan fizyczny poprawiał się, ale psychiczny pogarszał z dnia na dzień. Przed starością nie ma ucieczki.

— Oczywiście.

— Powiedz, że to wieczór dla tego, którego kocham. Powiesz mu to?

Do baru wszedł Todd, uśmiechnął się do niej, pomachał wesoło. Odwróciła się, udała, że go nie widzi. Czyżby otworzył puszkę Pandory, pytając ją o testament Daltona? Bo przecież teraz zajmowała się papierami, zaglądała do szuflad, porządkowała biurko i całą siłą woli musiała powstrzymać się od sprawdzenia jedyne miejsce, w którym mógł się znajdować: sejfu. Kiedy starzec prosił ją o pocałunek, zastanawiała się, czy ją kiedykolwiek kochał. Powinna była skłonić go do ślubu przed laty, zamiast po prostu wprowadzić się na ranczo, ale wówczas sądziła, że miłość prostą drogą prowadzi do małżeństwa. Dalton wolał oszczędzić synowi wstrząsu, jaki przeżyłby niewątpliwie, gdyby ktoś zajął miejsce jego matki. A teraz niczego nie pragnęła bardziej, niż mieć na ręku pierścionek.

— Powodzenia — powiedziała Daisy głosem bez wyrazu.

— Ja zawsze mam powodzenie — odparła Louisa, siląc się na wesołość. Wykręcała sobie palce lewej ręki. Pierścionek z brylantem wyglądałby przepięknie. I jak doskonale pasowałby do lakieru „Pumpkin Frost”.

James długo stał w ciemności. W końcu nie było w tym nic dziwnego, wiele czasu spędzał przecież poza tymi budynkami, chodząc od jednego do drugiego, prowadząc konie, powożąc wozami z sianem, czekając na Daisy, na dzieci, na ojca. Tym razem jednak było inaczej. Wykąpał się, przyczesał włosy, kapelusz zostawił na krześle w domu.

Patrzył w okno domku Daisy. Widział tańczące na ścianach światło świec. Pracowała. Obiecując sobie, że wpadnie na minutkę, nie więcej, ruszył w kierunku drzwi. Myślał o lecie sprzed wielu lat, o dniu, w którym przyjechała na ranczo. Letniczka — to słowo pasowało do niej wówczas najlepiej. Byli obcymi sobie ludźmi, którzy całowali się nad brzegiem rzeki.

Dawno, dawno temu.

Już miał odwrócić się i odejść, kiedy zobaczył, że Daisy podchodzi do okna. Wyjrzała w ciemność. Miała na sobie dzinsową koszulę — tylko tyle zdołał dostrzec.

Zasłona opadła.

Istniało tysiące pretekstów do odwiedzenia jej w domku. Ojciec powiedział mu, że chciała obejrzyć występ Louisy; mógł na przykład zaproponować, że pożyczy jej samochód lub nawet sam ją odwiezie. Mógł zapytać o Sage albo zaoferować pomoc w dzwonieniu na posterunki, na które jeszcze nie telefonowała. Nie byłoby bynajmniej dziwne, gdyby teraz zapukał do drzwi.

Zapukał więc oczywiście i oczywiście zapomniał o wszystkich pretekstach. W ogóle nie myślał. Serce biło mu tak mocno, że — mógłby przysiąc — przegoniło myśli z głowy.

— Witaj — powiedziała Daisy, otwierając drzwi. Nie wydawała się niezadowolona z jego wizyty, choć nie wątpił, że w pierwszym odruchu pomyślała o Sage.

— Witaj — odparł.

— Wejdz, proszę.

Uśmiechała się, otwierając szerzej drzwi. James skinął głową. Podobne sceny odbywały się w tym miejscu wiele razy.

— Przypomina mi się to lato — powiedział.

— Jakie lato?

— No to, kiedy byłaś naszą letniczką.

— Letniczką... — powtórzyła z uśmiechem. — A więc uważałeś mnie za letniczkę.

— Owszem... dawno temu. — Był wówczas młodszy i nie taki nieśmiały. Łatwiej mu było znaleźć odpowiednie słowa. Wiedział, kim jest: zuchwałym młodym kowbojem. A dziś...

— Tego lata wszystko się zaczęło — powiedziała Daisy. Podeszła do stołu, przy którym pracowała, spojrzała na coś... chyba na kości, które jej przywiózł.

— Wszystko? — powtórzył za nią i delikatnie musnął palcami jej włosy. Nie wiedział, czy mówi o nich — o sobie i o nim.

— Praca. Tworzenie biżuterii z tego, co znalazłam na ranczu. Mój talent obudził się, kiedy tu przyjechałam.

— Zrobiłaś to dla mnie. — James wyjął z kieszeni mały portfel ozdobiony bryłką złota, tą, którą znalazła, kiedy poszukiwała złota w strumieniu.

— Nadal go masz!

— Oczywiście.

— Ludzie sądzą, że przynoszę im miłość. — Daisy uśmiechnęła się, ale jej uśmiech zbladł równie szybko jak się pojawił.

— Jak to robisz?

Wzruszyła ramionami. Miała szczupłe ramiona, długie, śliczne dłonie. James podeszedł do biurka i przyjrzał się jej najnowszej pracy, twarzom wyrzeźbionym w kości. Przedstawiła je z profilu



— patrzyły na siebie. Jedna należała prawdopodobnie do mężczyzny, druga do kobiety.

— Kto to? — spytał.

— Nie wiem. Ale to zaledwie drugie moje dzieło, na którym widnieją dwie twarze.

— A to pierwsze? Dla kogo je zrobiłaś?

— Dla Sage. Przedstawia bliźnięta.

James skinął głową. Przesunął kciukiem po kości. Wydała mu się taka gładka. Kiedy przyjrzał się jej dokładniej, dostrzegł, że przedstawione na niej postaci patrzą na siebie z niewypowiedzianą tęsknotą, i już nie wątpił, że to on i ona.

— Czego pragną?

— Siebie.

— Dlaczego nie mogą siebie mieć?

— Nie wiem.

— To my, prawda? — Podszedł i zatrzymał się tuż przy niej. Daisy uśmiechnęła się.

— To by tłumaczyło siłę moich rzeźb. Każdy widzi w nich siebie.

Patrzył, jak machinalnie zgarnia ze stołu kamyki, i wiedział, że go unika; nie odpowiedziała nawet na jego pytanie. Ruchome płomyki świec rzuciły na ściany domku tajemnicze cienie. Gdzieś blisko zawył wilk. Louis Łopatka twierdził, że Daisy ma w sobie moc, że to szczęście mieć przy sobie kogoś takiego. James nie był pewien, czy wierzy w moce, nie mógł jednak zaprzeczyć, że ostatnio, po tym, jak dał jej kości, wilki na ranczu słyszy częściej niż kiedykolwiek.

Daisy stała nieruchomo, ściskając w dłoni kamyki. Wypowiedział głośno jej imię i wtedy spojrzała mu prosto w oczy. Wziął ją w ramiona, słyszał, jak kamyki spadają na podłogę. Było zupełnie jak wtedy, kiedy pocałował ją przy strumieniu, a ona upuściła bryłkę złota. Całował ją teraz.

— James, nie...

— Pamiętasz tamto miejsce? — spytał z ustami przy jej ustach. — Jestem pewien, że nie byłoby cię tu teraz, gdybyś nadal nie myślała o nas, gdybyś nie miała dobrych wspomnień...

— Tamto miejsce... — Daisy potrząsnęła głową. Odsunęła się od niego, zerknęła na wąskie łóżko. Ciekawe, czy pamięta, jak to było, kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy — pomyślał James. Byliśmy młodzi, byliśmy namiętni, miłość traktowaliśmy jak... jak... letnią przygodę.

— Pamiętasz tamte chwile, pierwszy raz? — spytał. — A może to, co było potem, kiedy...

— Przestań!

Rok i kilka miesięcy później byli po ślubie, jeszcze bardziej gorący, namiętni, małżeńskie łóżce wydawało się im za wielkie, więc wrócili do wąskiego łóżka w małym domku, gdzie wszystko się zaczęło...

— Pamiętasz? — Trzymał ją za rękę, całował w szyję. — Uciekliśmy z domu...

— Małżeńskie łóżce wydawało się nam za wielkie. — Daisy próbowała mu się oprzeć, ale te słowa, a być może wywołane nimi obrazy, przełamały jakąś tamę w jej duszy. — Małżeńskie łóżce wydawało się nam zbyt wielkie — powtórzyła. Uścisnęła dłoń Jamesa; całował jej ciepły, gładki policzek. Wygięła się, pragnąc poczuć jego usta na szyi, na ramionach.

— To nie było za wielkie — powiedział, prowadząc ją do łóżka.

— To nie. — Uniosła głowę, podając mu usta. James oparł się o ścianę, pochylił się, żeby ją pocałować. Daisy smakowała niczym egzotyczna przyprawa, której nigdy nie ma się dość. Rozpinał jej bluzkę drżącymi palcami.

— Powiedz mi — szepnął. — Te twarze to my, prawda? Twoje rzeźby...

— Tak, to my.

— Kobieta wygląda dokładnie tak jak ty. Ta twarz w kości jest taka piękna, taka delikatna.

Wystarczyło, że dotknął Daisy, i zakręciło mu się w głowie. Przyznała, że wyrzeźbiła ich — jego i siebie — w jednym ze swych dzieł przepelnionych magią miłości. Łączyła ich bowiem zawsze magiczna miłość, odebrana im przez los. Kiedy stanęli nad wodospadem, James zrozumiał, że chce tę miłość odzyskać.

— Pamiętam cię — powiedziała Daisy, wodząc palcem po jego ramieniu. Przytuliła go mocno; przywarli do siebie, patrzyli sobie w oczy. Serce waliło mu w piersi jak młotem; wiedział, że dałby się za nią zabić w każdej chwili przez ostatnie trzynaście lat i przedtem, i że wszystkie jego błędy, nawet te najgorsze, wynikały z jego wielkiej miłości.

— Nie przestałem... — powiedział, kładąc się obok niej na wąskim łóżku i całując ją. — Nigdy nie przestałem cię kochać.

— Ty... — szepnęła — ty byłeś we wszystkim, co robiłam. We wszystkich moich naszyjnikach... — Przesunęła palcami po jego nagiej skórze na brzuchu, w pasie, na plecach. — Naszyjnikach, które przynosiły ludziom miłość...

— Daisy...

Daisy już rozpięła mu spodnie.

— Jesteś w nich ty. Nikt inny.

Rozbierali się, nie przestając się całować. James pragnął odsunąć się od niej, przyjrzeć się jej alabastrowej skórze w blasku świec, jeszcze bardziej jednak pożądał bliskości ciała. Dwa serca biły w jednym rytmie, jakby obydwójce stali się jednym ciałem.

— Ci ludzie... — szeptała Daisy — ...dawałam im moją miłość, ponieważ nie mogłam mieć ciebie. Ponieważ straciliśmy to, co mieliśmy.

— Odzyskaj dla nas naszą miłość. Odbierz ją.

— To nie tak...

— A jak?

— Musimy... — Daisy rozplakała się. — Musielibyśmy zacząć od początku. Rozpocząć od nowa.

Odsunął się od niej odrobinę, oparł na łokciu, przyjrzał się jej i zaczął całować jej piersi, pełne i piękne. Mimo rozstępów, które tak dobrze pamiętał — pojawiły się, kiedy urodziła bliźnięta. Karmiła piersią dzieci, które poczęli tu, na tym wąskim łóżku, lepszym niż małżeńskie łóżko, bo nie mogli się w nim nie tulić. Czasami Daisy przynosiła tu dzieci, by karmić je w miejscu, w którym obdarowane zostały życiem.

— Sądzę, że się mylisz. Sądzę, że możemy odzyskać miłość. Tę, którą zakłęsał w swoje rzeźby.

— James... — Daisy dotknęła jego członka, twardego jak kość, jej ukochane tworzywo, a on poczuł, że płonie. Ugryzła go w ramię, nie mocno, po prostu nie pozwoliła mu o sobie zapomnieć. Wszedł w nią, jakby wchodził w rzekę miękkiego ognia.

— Wierzysz mi? — spytał, tuląc ją mocno. Musiał usłyszeć „tak”, musiał wiedzieć, że mu wierzy, jej wiara znaczyła dla niego tyle samo, co widok dwóch twarzy zaklętych w kość.

— Wierzę — powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. Porwał ich wspólny rytm, wspólny taniec tu, na łóżku, gdzie wszystko się zaczęło, gdzie powstała ich rodzina.

Porwał go prąd silny, niepowstrzymywany niczym prąd Wodospadów Przesilenia. Aż do najdrobniejszej cząstki oddał jej miłość, której zapasy gromadził przez trzynaście lat. Płynęli wspólnie rzeką czasu, burzliwą jak Wind River, dla której kamienie, głązy, obalone drzewa, sama skała nawet nie były żadną przeszkodą.

— James...

— Jesteś moja...

Płynęli tą rzeką, trzymając się w ramionach. Prąd niósł ich bystro z wysokich gór, krainy wiecznego śniegu. Rzeka płynęła starym korytem, wygładzając na swej drodze wszystko, co było ostre, co mogło ranić.

— Teraz. Odzyskaj ją dla nas.

James tulił ją do swojej szerokiej piersi. Był w stanie obronić ją przed wszystkim. Zbliżali się do brzegu; tu, w małym domku rancza DR odzyskiwali właśnie to, co kiedyś stracili. Jak długo byli razem, Daisy nie mogło przydarzyć się nic złego. Całowała go, powtarzała jego imię, coraz częściej, coraz głośniej. Paznokciami orała mu plecy, wbijała się w nie jakby w obawie, że ktoś zechce go jej odebrać.

— Jestem tu. Mam ciebie, kochanie.

— Nie pozwól mi odejść! — krzyknęła.

— Nigdy. Nigdy na to nie pozwolę.

Była taka wspaniała, ciepła i miękka; James zatracił się w niej, tu, gdzie wszystko się skończyło i wszystko zaczęło. Na swej piersi czuł jej piersi, całował je, pieścił wargami, ssał sutki. Wyślizgnął się z niej, ale ona natychmiast naprowadziła go z powrotem.

Wstrzymał oddech, uniósł się na kolanach. Widział, że Daisy patrzy mu prosto w oczy. Zamarli na długą chwilę, a potem wiedział już, że wszystko się skończyło.

— Kocham cię — usłyszał w tej najwspanialszej chwili spełnienia. Słowa te odbijały się echem w jego głowie, płynęły mu z ust nieprzerwanym strumieniem.

— Kocham cię, Daisy, kocham cię, kocham, kocham... Zawył wilk, ale i on czuł się w tej chwili wilkiem. Przywarli do siebie, a ich spojrzenia wyrażały dawne — choć można byłoby

nazwać je także nowym — zrozumienie. Słuchali głosów natury i bicia własnych serc, razem, wspólnie, tak bardzo pragnąc jeszcze przez kilka chwil być jedną rzeką.

Matka i ojciec, ojciec i matka.

Byli tam razem, w miłym ciepłym domu, na którego ścianach tańczyły płomienie oświetlających wnętrza świec. Towarzystwa dotrzymywał im ogień; jakież to sielankowe, jakie romantyczne. On tymczasem obserwował ich z zewnątrz, samotny na pokrytej śniegiem ścieżce, zamierzając powoli, czując ból w piersiach przy każdym oddechu.

Co robili? Przyłożył lornetkę do oczu. Kobieta zasunęła zasłony, ale pozostała między nimi wąska szpara. Widział przez nią cienie i ciała tak blisko siebie, że musieli się całować. I z pewnością zaraz zaczną się pieprzyć.

Strażnik podszedł bliżej. Chciał widzieć lepiej. Zależało mu przede wszystkim na informacjach i kiedy uświadomił sobie, że jest zwykłym podglądaczem, zaczął się śmiać. Czy nie tak bawią się dzieci? Czy nie tak starają się podejrzeć rodziców w sypialni? No cóż, on w dzieciństwie stracił tę szansę. Rodzice, którym się nie układa, niewiele czasu spędzają we wspólnej sypialni.

Zamarł, słysząc zbliżające się kroki. Ktoś szedł ścieżką. Strażnik szybko uciekł i ukrył się w krzakach. Wstrzymał oddech. Widział swe ślady na śniegu i miał tylko nadzieję, że w panującej tu ciemności nikt ich nie dostrzeże. Z oczywistych powodów nie miał przy sobie latarki, ale ten ktoś, kto nadchodził, nie miał jej również.

Śnieg skrzypiał pod jego nogami, ale po chwili kroki ucichły. Zaledwie metr, może dwa metry dalej; tak blisko, że strażnik słyszał oddech intruza, który przystanął dokładnie w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał on sam, w miejscu znakomicie nadającym się do podglądania kobiety przez okno.

Podglądacz — pomyślał z pogardą Strażnik. On miał swoje powody, żeby zbierać informacje, ten nowy tylko podniecał się widokiem w sypialni.

Trwało to krótko; intruz wrócił tą samą drogą, którą przyszedł, tak przejęty widokiem, że nie zwrócił uwagi na prowadzące w krzaki ślady. Jakie to typowe — pomyślał Strażnik. Pozostawiał ślady i dowody swej obecności, gdzie mu się podobało, tuż pod ich nosem, a oni znajdowali wyłącznie ich drobną część. Przyjdzie czas, że znajdą więcej.

Drżał z zimna. Zdawał sobie sprawę z tego, że pora ruszać. Czasami sypiał w stajni, czasami w piwnicy dużego domu, ale właściwy obóz rozbił na pobliskim zboczach. Czekwały tam na niego namioty i piecyki. Zaledwie dziesięć metrów wyżej, w miejscu, do którego prowadziła niezbyt stroma ścieżka, miał najlepszy punkt widokowy, jaki tylko człowiek może sobie wymarzyć. Widział stamtąd ranczo, stada, ludzi.

Była to jego galeria.

Wieczne czuwanie.

Lubił odwiedzać galerię. Ta kolekcja wydawała mu się bardzo ważna. Odrobina tego, odrobina tamtego. Z kryjówki był w stanie obserwować ją całą. A oni widzieliby jego... gdyby zdecydowali się podnieść wzrok.

Ziewnął. Był zmęczony, głodny, a przede wszystkim śpiący. Miał jednak do wykonania jeszcze jedno zadanie. Musi pójść za tropem tego drugiego, intruza. Musiał być to ktoś, kto mieszkał w pobliżu rancza; z pewnością warto odkryć, kto to taki. Kto taki poświęca czas na podglądanie naszego dobrego ranczera i jego ślicznej eksmałżonki?

***Dobranoc, mamo i tato. Dobranoc, szczęśliwa rodzinco.  
Czasami warto podnieść wzrok, dupki.***



Droga wiodła przez sosnowy las. Miejscami wypadała spomiędzy drzew, pięła się w górę; z grzbietu wzgórza lasy zdawały się ciągnąć bez końca, czarne i pełne tajemnic. Początkowo jechali drogą gruntową, potem żwirową, a teraz pokrytą zniszczonym asfaltem; koła z hałasem zapadały się w dziury na jego powierzchni. Nocą, podczas której David prowadził, a Sage spała z głową opartą o drzwi, przekroczyli granicę pomiędzy Nebraską i Wyoming.

Sage musiała w jakiś sposób o tym wiedzieć, nawet we śnie. Śniła o domu, o rodzicach i bracie; przepelniała ją niewypowiedziana radość. Jechali konno, galopowali po górskim zboczach, trzymając się za ręce. Kiedy się obudziła, przez gałęzie sosen dostrzegła promienie słońca. Z głową nadal opartą o słupek drzwi, spojrzała na Davida.

— Jesteśmy już prawie na miejscu, prawda?

— Wyoming to wielki stan.

— Jesteśmy w Wyoming?

— Tak, jesteśmy w Wyoming.

Sage, nie całkiem jeszcze rozbudzona, spojrzała za okno. Dziśniejszy krajobraz niczym nie różnił się od wczorajszego, wszędzie dookoła rosły wielkie drzewa. David musiał jechać już kiedyś tą drogą; większość ludzi zgubiłaby się na niej po pierwszych pięćdziesięciu kilometrach. Sage czuła suchość w ustach; żałowała, że nie mają niczego do picia. Dziecko musiało wyczuć, że czegoś

oczekuje, że wiąże jakieś nadzieje z ziemią ojca i swych narodzin, bo nagle bardzo się ożywiło.

— Hej! — krzyknęła Sage, łapiąc się za brzuch.

— Coś nie tak? — zaniepokoił się David.

— Nic. Mały chce się pobawić.

— Nie bawią się.

— Dzieci?

— Nie przed urodzeniem.

— Skąd wiesz?

David nie odpowiedział, ale jego milczenie było bardzo wymowne. Sage z przyjemnością zauważyła, że umył twarz. Poprzedniej nocy, po ucieczce trwającej jakieś pół godziny, zatrzymał się i dodał ósmą kropkę symbolizującą Jamiego, ostatnie z uratowanych przez niego stworzeń. Ale tatuaże znikły, kiedy spała.

Prowadził wpatrzony w drogę, z ramionami napiętymi, jakby dźwigał na nich jakiś wielki ciężar.

— Jesteś zły?

— Nie. Zostaw mnie w spokoju.

— Będzie trudno, biorąc pod uwagę... Och! — Dziecko kopnęło ją mocno, chyba obiema nóżkami. David spojrzał nieprzyjaźnie na jej brzuch, jakby chciał, by znikł, choć jego życzenie mogło dotyczyć także jej. Sage zadrżała ze strachu. Na pustej drodze w głębi lasu znalazła się z kimś, kto wczoraj wymalował sobie na twarzy kręgi i kropki.

— Gdzie leży ranczo twojego ojca? — spytał David tonem świadczącym o tym, że marzy, by znaleźć je tuż za najbliższym zakrętem i wreszcie się jej pozbyć.

— Koło miasteczka, które nazywa się Wodospad Przesileń. Mam dokładny adres...

— Znam te wodospady. Jeździłem tam z namiotem.

— Dlaczego się wściekasz? — spytała Sage. — W nocy byliśmy przecież przyjaciółmi. Pozwoliłeś mi nadać imię psu. Co się stało?

David tylko potrząsnął głową. Przyjrzała mu się dokładniej i dostrzegła ślad po wczorajszym tatuażu. Twarz miał nieruchomą, ale linie te biegingy ukośnie ku dołowi, nadając jej ponury, wręcz

groźny wyraz. Zapewne patrzyła na niego za długo, bo nagle odwrócił głowę.

— Co?

— O czym myślałeś wczoraj? — spytała cicho.

— Jak to „o czym”?

— Powiedziałaś coś o „pośrednikach między światami”.

— Sage wypowiedziała te dziwne słowa i nagle poczuła niepokój.

— Co to właściwie miało znaczyć?

— Było, minęło.

— Dobrze, zgoda, ale zastanawiam się, o co ci właściwie chodziło. O jakie światy.

— Cicho bądź. — Chłopak przyhamował i objechał leżącą na drodze grubą gałąź.

— O jaką tradycję?

— Nie rozmawiajmy o tym teraz. Nie kiedy świeci słońce. Zaczekajmy do zmroku.

Sage przygarnęła kocięta. Bała się teraz, choć chyba trochę za późno, powinna była raczej bać się wczoraj w nocy. Bo to przecież wczoraj podjechała samochodem — prowadził go szaleniak z wymalowaną twarzą — pod dom zupełnie obcego człowieka, który strzelał do niej, bo uwolniła jego psy. Problem tkwił w tym, że wczoraj to wszystko miało jakiś sens. Spełniali dobry uczynek, ratowali bezradne zwierzęta. Wczoraj wieczorem tatuaże na twarzy Davida przypominały jej motywy indiańskie, tak chętnie stosowane przez matkę.

Dziś jednak David był taki zdenerwowany. Prowadził za szybko, samochód wpadał w poślizg za każdym razem, kiedy omijali zwalone drzewo. Nawet zwierzęta były niespokojne. Sage myślała o matce, o indiańskich wzorach, po które tak chętnie sięgała, przywołując duchy niedźwiedzi, sów, wilków, karibu.

— Kiedy wczoraj wymalowałeś sobie twarz, przywoływałeś duchy zmarłych? — spytała.

David drgnął, zdumiony i trochę przestraszony.

— Skąd wiesz?

— Mama jest artystką. Też to robi. Rozpoznałam kropki i w ogóle wzory.

— No, może i tak...

— Ale które? Które duchy?

David rozejrzał się dookoła, jakby chciał dać do zrozumienia, że ktoś obserwuje ich podczas drogi przez las. Drżał, zaraził ją swym strachem. Poczowała, jak jeżą się jej włoski na rękach. Dwa psy zapiszczały przejmująco; czyżby w samochodzie podróżował z nimi upiór?

— Nie będziemy rozmawiać o tym w ciągu dnia — powiedział poważnie chłopak. — Przecież mówiłem ci, że one tego nie lubią.

— Zaczekamy do nocy? — Sage bała się, ale jedną z najbardziej charakterystycznych cech jej charakteru była ciekawość. Potrafiła zaryzykować wiele, by uzyskać odpowiedź na pytanie.

— Przecież i tak odejdziesz. Co to dla ciebie za różnica, dlaczego robię to, co robię? Dlaczego pytasz?

— Przecież nadal możemy być przyjaciółmi, prawda?

David prychnął i machnął ręką.

— Nie ma o czym mówić. Zamieszkaż na ranchu, a ja będę jeździł po świecie. Nie zamierzam założyć telefonu w samochodzie. Co zrobisz? Będziesz pisać w przestrzeń?

— Utrzymałam kontakt z ojcem, choć ostatni raz widziałam go, kiedy miałam cztery lata. Nie zapominam ludzi tak łatwo.

— Niedługo się znamy. Zapomnisz.

Sage wyjęła naszyjnik spod bluzki, pochyliła się i przyłożyła mu go do policzka. David dotknął go, przesunął palcem po obu twarzach.

— Nie pokazuję go nikomu — powiedziała dziewczyna. — Ale tobie tak. Pamiętasz? Dałam ci go do ręki.

— Ludzie robią różne rzeczy.

Jeden z psów szczeknął, jakby sygnalizował, że jest bardzo głodny albo bardzo potrzebuje spaceru. David zjechał na polanę. Rozpoczął się rytuał karmienia zwierząt. Sage obserwowała go przez chwilę, a potem zaczęła mu pomagać. Chłopak patrzył wprost przed siebie, a kiedy siadał z kociakami, widać było, że porusza się sztywno, jak automat.

— Ja naprawdę nie pokazuję tego naszyjnika nikomu — powiedziała Sage, siadając obok niego na twardej zimnej ziemi i biorąc do karmienia dwa koty. — Widziały go może cztery osoby.

— Cztery? — zdziwił się David, jakby to było bardzo dużo.

— Ty, mama, ciocia i Ben.

— Ojciec, tak?

Sage skinęła głową. Oczyszczyła smoczek, by kotu łatwiej było pić z butelki. Czowała, że David obserwuje ją uważnie. Jak na wędrowca poświęcającego się ratowaniu zwierząt wydawał się jej bardzo młody i bardzo kruchy, porzucony. Wiedziała, co to znaczy zostać porzuconym; najpierw był przecież ojciec, później Ben. Było to coś więcej niż fakt, który się wydarzył w życiu — porzucenie oddziaływało na całego człowieka, określało jego sposób życia, to, kim jest. David został porzucony, założyłaby się nawet o swój bezcenny naszyjnik, że tak jest.

— Możemy zostać przyjaciółmi nawet po tym, jak odwieziesz mnie na ranczo — powiedziała, obserwując jego twarz.

— Skąd niby wiesz, że ja tego zechcę? — spytał David nieuprzejmie, ale już bez napastliwości w głosie.

— Jestem twoją kropką.

— O co ci chodzi?

— Oznaczyłeś mnie kropką na twarzy. Wczoraj, w nocy; jestem stworzeniem, które ocaliłeś.

— No, właściwie...

— Możemy zostać przyjaciółmi. Nie porzuca się ocalonych stworzeń.

— Niektórzy to robią.

— Nie ty. — Sage zawahała się, po czym wyciągnęła rękę, dotknęła jego ramienia, ujęła jego szorstką dłoń. Nie wyrwał jej; siedzieli, trzymając się za ręce i karmili kocięta.

— Nie?

— Nie jesteś tego rodzaju człowiekiem.

David prychnął. Z nosa ciekły mu smarki, z oczu łzy. Wyglądał okropnie i najwyraźniej nie potrafił się opanować. Psy skończyły już jeść, jeden po drugim wchodziły do samochodu. Sage

sięgnęła do kieszeni, ale nie znalazła chusteczki. zaproponowała mu rękaw bluzki z nadzieją, że go rozbawi, ale David nawet się nie uśmiechnął. Po prostu siedział na zimnej ziemi, a jego łzy kapały na kocie futerko. Sage nadal ścisnęła mu dłoń i nie puściłaby jej za żadne skarby świata. Słońce skryło się za drzewami; próbowała ocenić, ile czasu mają, nim zajdzie. Co najmniej kilka godzin. W normalnej sytuacji nigdy by nie marzyła o końcu dnia, ale w tej chwili nie mogła po prostu doczekać się nocy. Do wieczora bowiem przejadą jeszcze wiele kilometrów i o tyle bliżej będą rancza ojca. A kiedy zajdzie słońce, kiedy zapadnie noc, David być może opowie jej coś o tradycji pośredników między światami. Może opowie jej też o duchu, którego próbował przywołać, malując znaki na twarzy. Ona zaś mogłaby opowiedzieć mu więcej o rodzinie: matce, ojcu, bracie bliźniaku.

— Powinniśmy ruszać — powiedział David, patrząc na ciągnącą się przed nimi drogę.

— Musimy jechać — powiedziała Sage w tej samej chwili.

Słowa te padły z ich ust jednocześnie, jakby oboje grali według tego samego scenariusza, jakby kierował nimi i dawał im duchowe wsparcie ktoś trzeci. Dziewczynie wydało się to zabawne, ale David nawet się nie uśmiechnął. Podał jej rękę, pomógł wstać. Podziękowała mu, ale nie odpowiedział. Promienie słońca z trudem przeciskały się przez gałęzie sosen i Sage zadrżała, czując, że w duszy Davida rodzi się coś przerażającego. Ostatniej nocy nastąpiła w nim jakaś przemiana, której nie rozumiała. Oczy miał nieruchome, spojrzenie ponure, jakby wizyta w fabryce zwierząt przywołała jakieś straszne wspomnienia.

Sage skrzyżowała palce. Próbowała przypomnieć sobie indiańskie imię, którego nauczyła ją matka; było to tak dawno temu, że nie pamiętała go, choć miała je wypowiadać, ilekroć najbardziej ze wszystkiego potrzebować będzie odwagi. Miała je na końcu języka.

— Wesh... Wash...

Nie. Westchnęła. Bawiła się z kociakami, David zaś, skupiony, prowadził samochód pustą leśną drogą. Przekroczyli granicę Wyoming, każdy obrót kół zbliżał ich do rancza ojca.



— Jesteśmy niemal na miejscu — powiedziała szeptem do dziecka. David prowadził w milczeniu, kurczowo ściskając kierownicę. — Niemal na miejscu.

Daisy i James siedzieli przy stole w małym domku, pijąc kawę. Rozsunęli zasłony, podziwiali widok gór za oknami, śnieżne chmury napływające z północy. Stada migrujących danieli i jeleni wędrowały szlakami na południe, zaledwie wyprzedzając zimę. Obserwowanie przyrody obojgu wydawało się bezpieczniejsze od rozmowy, siedzieli więc przy kominku w milczeniu.

— Jak myślisz, gdzie ona jest? — spytała Daisy, kiedy już milczenie wydało się jej nieznośne.

— Gdzieś, gdzie nic jej nie grozi. W autobusie?

Daisy przygryzła wargi. Bardzo chciała, by tak rzeczywiście było.

— Zaczęła od pociągu towarowego. A w dzień przed ucieczką przewróciła kajak. Ryzykuje.

— My też. — James uścisnął jej dłoń. — Zawsze ryzykowaliśmy.

— Wiem. — Ale z jakiegoś powodu wcale jej to nie pocieszyło.

— Kiedy zorientowałaś się, że jest w ciąży?

— Po ucieczce. Znalazłam test.

— Nie powiedziała ci?

— Nie — szepnęła Daisy.

— To dlatego właśnie uciekła?

— Chciała spotkać się z tobą.

— Wiem. Ale ja przecież byłem tu przez cały czas. Dlaczego uciekła właśnie teraz?

— Kłóciłyśmy się. Nie za bardzo, ale czasami, owszem. Chciała, żebym się zmieniła w kogoś, kim jej zdaniem byłam. Weselszego, żadnego przygód... Chciała też pojechać na zachód...

James czekał, bez mrugnięcia wpatrując się w porysowany blat drewnianego stołu.

— ...pragnęła, żebym ja też chciała. Wychodziła przed dom, patrzyła na ogródek i mówiła: „Czyż może być coś bardziej mieszczchańskiego?”.

— Nie chciałaś przyjechać? — James przesunął palcem po jej dłoni. Od ich wycieczki nad wodospady Daisy nie potrafiła powstrzymać pożądania i nie zanosilo się, by miała szybko odzyskać panowanie nad sobą.

— Staralam się być dobrą matką. Uważalam, że nasze miejsce jest w domu.

— Tu jest twój dom. Po wyjeździe nigdy nie myślałaś o ran-  
czu w ten sposób?

— Bałam się — przyznała Daisy, zamykając oczy.

— Czego się bałaś?

— Że będziemy musiały wrócić. Że za bardzo będę za nim tęsknić.

— Nie chciałaś?

Potrząsnęła głową.

— Nie.

— Kiedyś niczego się nie bałaś. — James ujął jej rękę w swoje dłonie. Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Siedział naprzeciw niej w podkoszulku, widziała jego muskularną pierś, szerokie ramiona. Nie ogolił się rano, wśród czarnego zarostu dostrzegła siwe włosy, twarz miał jednak szczupłą i przystojną jak niegdyś. Daisy wydało się dziwne, wręcz wstrząsające i w jakiś sposób nienaturalne prowadzenie takiej rozmowy z mężczyzną, który był jej mężem.

— Wiem.

— W pierwszym tygodniu pobytu pojechałaś w góry szukać kamyków. Ani tata, ani ja wcale się o ciebie nie martwiliśmy.

Uznaliśmy, że jesteś nieustraszona.

— Nieustraszona... — powtórzyła. Słowo to brzmiało pięknie, ale jej wydało się obce. Pasowało do innych ludzi: byłego męża, byłego teścia, córki, ale do niej nie. Już nie. Nadal wyprawiała się w góry, nadal jeździła na Scout po stromych wąskich ścieżkach, ale nieustraszona już nie była.

— Powiedziałem ojcu, że jesteś jak kowboj. Tata mnie poprawił: „Jak kowbojka”. Ale nie mieliśmy racji. To określenie jak

z rodeo albo czegoś w tym rodzaju. „Kowbojki” zawsze kojarzyły mi się z dziewczętami w czerwonych sukienkach z białymi frędzlami, tańczącymi na scenie i kręcącymi lassem. Ty jesteś inna.

— James wstał, obszedł stół, stanął za Daisy i położył jej dłonie na ramionach.

— Rzeczywiście, nie tańczę z lassem.

— Więc nie byłaś kowbojem. — James ujął ją pod pachy i uniósł z krzesła. Stanęli, patrząc sobie w oczy. — Ani kowbojką. Jesteś dziewczyną kowbojem.

— Dziewczyną kowbojem. — Daisy pamiętała to dziwne określenie. James nazwał tak ją, ona — Sage.

— Myślisz, że nadal nią jestem? — Z drżeniem serca oczekiwała odpowiedzi na to pytanie.

— Jesteś wystarczająco twarda, żeby jeździć konno po górach, ale pozostałaś piękną dziewczyną.

— Jednak nie nieustraszoną... — westchnęła. Nie po Jake'u.

— Wiem. — James przytulił ją mocno. — Ale odwaga wcale nie oznacza, że nie czuje się strachu.

Na dworze zaczął padać śnieg. Zamięć przyszła szybko, gęsta, niesiona silnym wiatrem. James tulił Daisy z całej siły, jakby próbował chronić ją przed wszelkimi niebezpieczeństwami świata.

— Chcę, żeby wróciła do domu. — Daisy poczuła, że ogarnia ją panika. — James, chcę, żeby moja córka wróciła do domu!

— Jesteś dziewczyną kowbojem — odparł, gładząc ją po głowie. — A Sage to twoja córka. Wróci. Już wkrótce tu będzie.

Louisa musiała przyznać Almie jedno: choć wyglądała byle jak, Daltonem opiekowała się z wprawą prawdziwego eksperta. Przenosiła go z łóżka na wózek inwalidzki, a z wózka na sofę. Usztywnienie całej prawej nogi gipsem wyjątkowo utrudniało to zadanie.

Alma pracowała bez słowa skargi, nie zadając zbędnych pytań. Louisa obserwowała ją uważnie i widziała, jak delikatne są ręce pielęgniarki. Kiedy rano myła go i czesała, jedną rękę podkładała mu pod plecy; w ten sposób matki podpierają dzieci. Przycinała mu paznokcie u rąk i nóg, nie spiesząc się i bardzo uważając, żeby nie zadrasnąć skóry.

Rano zawsze podwoziła go na wózku do szafy, by sam mógł wybrać sobie ubranie. Jej cierpliwość była doprawdy zdumiewająca. Chorego traktowała z szacunkiem. No, ale gdyby zachowywała się inaczej, Louisa nie tolerowałaby jej obecności.

Dalton spał w fotelu. Padał coraz gęstszy śnieg. Louisa czekała, aż Alma zrobi sobie kawę i zabierze się do ulubionego zajęcia — rozwiązywania krzyżówek. Uznała, że pora lepiej poznać kobietę, która nawiązała tak bliski kontakt z jej ukochanym. Nalała sobie kawy i rozpoczęła rozmowę.

— Dalton śpi jak dziecko.

— Nie zostawiłabym go samego, gdyby było inaczej — odparła Alma, uznając, że musi się bronić.

— Oczywiście. Widzę, że jesteś bardzo odpowiedzialna. Mogę usiąść?

— Oczywiście. — Ale wzrok i ton głosu pielęgniarzki świadczyły, że nie powiedziała tego szczerze.

Udając obojętną, Louisa przysunęła sobie krzesło i usiadła. Kupiła książkę o żywieniu i chorobie Alzheimera, którą właśnie przeglądała. Pragnęła znaleźć opisy zachowań chorych, wyznajdowała te, które były inne niż u Daltona; bardzo pragnęła, by diagnoza okazała się błędna. „Postępujący zanik funkcji w części mózgu odpowiedzialnej za pamięć i zachowania”. Postępujący.

Zamknęła książkę.

— Opowiedz mi o sobie — poprosiła.

— Ja? — zdziwiła się Alma, jakby sam pomysł opowiadania o sobie był jej zupełnie obcy.

— Dlaczego wybrałaś tę właśnie pracę?

Alma wzruszyła ramionami.

— Długo opiekowałam się matką — wyjaśniła. — Szło mi bardzo dobrze, a robiłam to za darmo. Więc pomyślałam: „Dlaczego mam nie zarabiać w ten sposób na życie?”.

— Mądra decyzja. Świat jest tak urządzony, że kobiety muszą cenić się wysoko.

— Bo nikt inny ich nie ceni — dokończyła Alma. — Chyba że któraś ma szczęście i dobrze trafi.

— Tak jak ja. Mój Dalton traktuje mnie jak królową — powiedziała Louisa, lecz tak naprawdę ciężko jej było na sercu. Jej słowa były prawdziwe, oczywiście, ale wiedziała, że gdy tylko odejdzie od stołu, natychmiast zacznie szukać testamentu Daltona.

— Tammy powiedziała mi kiedyś... — Alma zawahała się — ...a zresztą nie, nic.

— O czym mówisz?

— Nie chciałabym wtrącać się w sprawy osobiste.

— Wszystko w porządku. Przecież właściwie jesteśmy rodziną, twoja siostra wyszła za mąż za mojego bratanka i w ogóle...

— Nie, nic, tylko powiedziała, że w domu będą dwaj Tuckero-  
wie. Ani słowem nie wspomniała o szwagierce.

— Daisy? Co za różnica, czy Daisy tu jest, czy nie.

— Nie ma żadnej różnicy. — Alma zamilkła i udała, że całkowicie pochłania ją krzyżówka.

— Przecież nie wspomniałaś o niej ot tak, bez powodu.

— Chodzi o to... — pielęgniarzka nie podniosła głowy — że ona ma jakieś problemy z dziećmi. Zabili jej syna, a teraz jeszcze córka od niej uciekła. Jest bogata, a jej dzieci wcale nie miały lepiej niż... niż gdziekolwiek indziej.

— Życie jest ciężkie dla każdej matki.

Alma tylko zacisnęła wargi i spojrzała na nią cynicznie.

— Matkom nigdy nie jest łatwo — ciągnęła Louisa. — Mówi się tylko o radości i o miłości, myślisz sobie, że jeśli masz pieniądze na tapetę w króliczki i ładną białą kołyskę, wszyskajgdzie dobrze. A przecież znasz bajki. Wszystkie dzieją się w magicznych pałacach pełnych skarbów i drogich kamieni, a mieszkające w nich księżniczki padają ofiarą nieszczęść jak każda z nas.

— Tapety w króliczki — powtórzyła Alma. — Moje dzieci takich nie miały.

— Ale kochasz je mimo wszystko, prawda?

— Teraz i zawsze. Ale ostatnio wystawiają moją cierpliwość na ciężką próbę.

— Synowie?

— Jeden siedzi w więzieniu, drugi stąpa po bardzo cienkim lodzie. Gdyby wiedział, że pracuję w tym domu, wyciągnąłby mnie stąd choćby i siłą. Tatusiny synek nie waha się przed użyciem siły.

— Dlaczego miałby się sprzeciwiać twojej pracy u nas?

— Nasłuchał się historii opowiadanych przez wujka Todda, jak to Tuckerowie ze swoim bydłem zrujnowali Rydellów i owce. Pewnie uważa, że bylibyśmy teraz wielkimi ranczerami, gdyby Tuckerowie nie trzymali się tak kurczowo swej ziemi.

— Ta wojna skończyła się bardzo dawno temu.

— Niektórzy mężczyźni lubią dorzucać do ognia.

— Todd jest jednym z nich — zgodziła się Louisa. — Przyjaźni się z twoimi synami?

— Owszem.

— Tammy musiała o tym wiedzieć, kiedy cię nam rekomendowała — zauważyła Louisa. Coś w tej rozmowie denerwowało ją, ale nie była do końca pewna, co. — Ciekawe, dlaczego nama-



wiała cię do przyjęcia tej pracy, skoro wiedziała, że będzie krepująca dla twojej rodziny.

— Wiedziała, że potrzebuję pracy. Nikt nie musi nic o tym wiedzieć.

— Nie powiedziałaś synom, co robisz?

Alma potrząsnęła głową.

— Jak miałabym to zrobić? Przecież mówiłam, że jeden odsiaduje karę za zdemolowanie baru podczas bójki, a drugi praktycznie nie wraca do domu. Rzucił szkołę. Pije jak jego ojciec i mieszka w górach.

— W górach?

— Gdzieś u podnóża pasma Wind River. — Na jej policzki wystąpiły ceglaste rumieńce, w oczach zabłyśły łzy. — Jest zwykłym nastolatkiem, ale uważa się za człowieka gór. Kult siły, szkoła przetrwania. Uważa, że cały ten przeklęty świat sprzysiągł się przeciwko niemu. Nie troszczyłam się o niego wystarczająco, kiedy był mały, więc odpłaca mi się teraz, żyjąc jak zwierzę. Czasami żałuję, że...

— To rzeczywiście przykre. A mąż?

— O nim nie ma nawet co mówić. — Alma potrząsnęła głową, jakby była zła na siebie, że okazała uczucia. Kiedy podniosła głowę, wzrok miała bez wyrazu, jak poprzednio. — Potrafię sama o siebie zadbać.

Louisa zapatrzyła się na stojące na stole solniczkę i pieprzniczkę — tandetne, jaskrawo pomalowane, ceramiczne figurki jadących konno chłopca i dziewczyny. Niepokoiło ją, że Alma potrafi tak doskonale panować nad wyrazem twarzy, nie ujawniać emocji, jeśli to dla niej niewygodne. Niepokojące było jeszcze coś, coś, co zdarzyło się dziś rano. Aha...

— Jedna rzecz mnie zastanawia. Dlaczego powiedziałaś, że syn Daisy został zabity. Przecież nikt nie wie tego na pewno. Ciągle uważa się, że zaginął.

— Zaginął? Poszukiwania nadal trwają? — Na policzkach Almy znów pojawiły się rumieńce.

— No, nie. W każdym razie policja z pewnością już go nie szuka.

— Jestem pewna, że nie żyje — powiedziała szybko pielęgniarka. — Todd był z nim tamtego dnia. Mówił nam, że nie znaleźli żadnego śladu, że ekipy ratownicze odszukałyby go na pewno, gdyby po prostu gdzieś sobie odszedł.

— Czasami zapominam o Toddzie... o tym, że pracował wówczas na ranczu. Dalton dał mu tę pracę pewnie po to, żeby sprawić mi przyjemność.

— Rozmawialiśmy z nim wielokrotnie. Twierdzi, że chłopca odciągnął pewnie na bok wilk, a może niedźwiedź, albo może mały trafił w którymś z kanionów na jakąś nikomu nieznaną jaskinię. Wpadł w nią i nie był w stanie wydostać się o własnych siłach. Mogło mu się zdarzyć z milion nieszczęść. Ale z pewnością nie żyje. Nie może żyć.

— Powiedz to Jamesowi. Przez te wszystkie lata praktycznie nie opuszczał rancza. Czekał, że pewnego dnia jego syn po prostu wejdzie do domu.

— Nie wejdzie! — powiedziała Alma donośnie, ostro i drgnęła, jakby ją samą te słowa zaskoczyły. — Rodzina powinna dać mu spoczywać w spokoju. Czasami trzeba się poddać.

— Nie sądzę, by ta rodzina wierzyła, że czasami trzeba się poddać.

— Rodzice i tak mają ciężkie życie. Po co torturować się wiarą w to, co niemożliwe? — W głosie Almy brzmiała złość.

Louisa milczała. Splecione dłonie złożyła na leżącej na stole książce o chorobie Alzheimera. Jeden syn w więzieniu, drugi, zwiedziony fantastycznymi opowieściami, koczuje w górach... nic dziwnego, że życie Almy było jedną wielką torturą. I może właśnie dlatego wybuchła? Ale z drugiej strony... dlaczego tak gwałtownie upierała się, że Jake nie żyje?

Za oknem śnieg padał nadal. Musiała cierpieć, wiedząc, że jej syn jest w tej chwili gdzieś w górach Wind River. Wyglądała przez okno; ciekawe — pomyślała Louisa — czy jest on gdzieś blisko, być może wystarczająco blisko, by nas obserwować? Może mieszka gdzieś wśród szczytów otaczających ranczo DR ze wszystkich stron? „Podsycać płomienie” — powiedziała Alma. Może właśnie to, ta wściekłość, pozwala mu przeżyć?

\*

James wcale nie miał ochoty opuszczać Daisy, zwłaszcza podczas zamieci. Kolejne noce spędzał w jej domku; odgłos śniegu uderzającego o szyby sprawiał, że pragnął tylko przytulić ją mocniej, głębiej zagrzebać się w pościeli i przez cały dzień nie wychodzić z łóżka. Zmusił się jednak, by wstać i pójść do pracy jak każdego innego dnia. Sage pojawi się na ranczu już niedługo i obie z Daisy wyjadą.

A może nie wyjadą?

Jechał wzdłuż rzeki, przyglądając się przez lornetkę szczytom wzgórz. Chciał odnaleźć córkę, a także dowiedzieć się czegoś więcej o człowieku, który pozostawił po sobie nadpalone polaroidy. Od wielu lat jego życie składało się niemal wyłącznie z tajemnic. Teraz, kiedy Daisy wróciła, powiedział sobie, że odnajdzie dla niej Sage, a także odpowiedzi na kilka pytań, i wówczas być może zostanie z nim na zawsze.

Ptaki zobaczył o trzeciej po południu. Śnieg właśnie przestał padać, zza zasłony szarych chmur błysnęło blade niebo. Ptaki latały w koło nad jednym z kanionów, promienie słońca padały na ich czarne skrzydła. James poczuł, że serce przestaje mu bić. Ptaki padlinożerne kręciły się wokół rancza, była to rzecz najzupełniej normalna, ale on szukał przecież Sage i na ich widok zadrżał.

Spiął konia i pogalopował przez trzydziestocentymetrową warstwę śniegu. Paul wraz z kilkoma kowbojami naprawiali ogrodzenia; przemknął obok nich, nie zamieniając z nimi słowa. Kierował się na zachód. Zewsząd otaczały go wysokie góry, ich szczyty płonęły w niesamowitym, zimowym słońcu, ale kiedy znalazł się w kanionie, zrobiło się niemal zupełnie ciemno.

Ptaki skrzeczały jak upiory, cienie ich czarnych skrzydeł padały mu na twarz. Kilka siedziało na ziemi, jakieś sto metrów dalej; wielkie, obrzydliwe, ze złożonymi skrzydłami przypominały garbate potwory. James krzyczał i machał rękami, by je odpędzić. Echo jego głosu odbijało się od skalnych ścian. Ptaszyska krążyły mu nad głową, głośno łopocząc skrzydłami.

Właśnie tu, w tym kanionie, znalazł kości wilka, na których ucztowały kruki, tu szukał ptaków, które mogłyby zaprowadzić go

do Jake'a. Podjechał bliżej padliny; w głowie mu się kręciło, serce wydawało się niemal rozsadzać mu piersi.

Znalazł zaginionego byka. Zwierzę leżało pośrodku kanionu, jakieś dziesięć metrów od najbliższej ściany. Musiało paść kilka dni temu, ścierwojady długo na nim ucztowały — powyrywały mu dziury w bokach, poszarpały skórę.

Byk nie miał głowy.

James zeskoczył z konia i pochylił się nad martwym zwierzęciem. Śnieg dookoła pokryty był strzępami czarnej skóry, w miejscu gdzie powinna być głowa, widniała wielka plama krwi. Usłyszał tętent konia, obejrzał się i dostrzegł Paula, pędzącego w jego kierunku, machającego rękami.

— Jezu! — westchnął Paul.

— Widziałeś ptaki?

— Oczywiście, ale nie zwróciłem na nie uwagi. Zawsze ich tu pełno. Znalazłeś byka...

— One znalazły go w zeszłym tygodniu.

— No tak. — Paul przyjrzał się rozciętej potężnej szyi. — Jezu — powtórzył.

— Ktoś zrobił to już po spędzie. Cholerny rzeźnik.

— Łby...

James skinął głową. Pamiętał, jak kiedyś, objeżdżając pastwiska, znalazł krowie łby nadziane na słupki ogrodzeniowe.

— Ten człowiek jest niepoczytalny — powiedział. Widział, że łeb ucięto zwierzęciu albo nożem o ząbkowanym ostrzu, albo tępą piłą. Brzegi rany były nierówne, na zakrwawionym śniegu leżały płatki rdzy.

— To wielki byk. — Paul, jako zarządca rancza, liczył w pamięci straty, jakie w związku z tym ponieśli.

James tymczasem zastanawiał się, ile czasu trwało obcinanie potężnego łba dwutonowego byka. Padał śnieg, a ten ktoś siedział tu, na otwartej przestrzeni. Ktoś przecież mógł go zobaczyć! Zwierzę zostało zastrzelone i choć ranę rozdziobały ptaki, można było rozpoznać, że to był karabin, trzydziestka.

— Kto to zrobił? — spytał Paul.

— Nie wiem.

— Ale z pewnością ten sam gość co przedtem.

James rozejrzał się dookoła. Ktoś fotografował jego bydło. Ktoś je zabijał. Drażnił, kazał zgadywać: gdzie się teraz pojawię? Daisy twierdziła, że ziemia jest domem duchów, ten kanion był jednak domem rzeźnika. W powietrzu unosił się zapach krwi i sosny; ciekawe, czy duchy umieją używać noży?

— Nienawidzi zwierząt — zauważył Paul.

— Nienawidzi mnie — powiedział James.

Testament musiał znajdować się w sejfie Daltona. Louisa walczyła z pokusą, by do niego zajrzeć. Grzebanie w szufladach biurka to jedna sprawa, otwarcie sejfu inna, znacznie poważniejsza. Stała w sypialni, patrząc na portret Rosalindy, stary i piękny, namalowany przez słynnego na wschodzie malarza. Dalton powtarzał często, że jego miejsce jest w muzeum, że kiedy James będzie gotowy, przekaze go Muzeum Sztuk Pięknych w Laramie; ten pomysł bardzo się jej podobał.

Dalton spał w wózku inwalidzkim w gabinecie, który znajdował się w drugim końcu korytarza. Louisa spojrzała w oczy kobiety na obrazie — patrzyły na nią z arogancką wyższością. Jej kasztanowate włosy upięte były wysoko, obnażając zachwycającą długą szyję, a niebieskie oczy przypominały bezcenne egzotyczne szafiry. Od lat obie, ona i Rosalinda, były rywalkami, swymi odwiecznymi wrogami. Przez lata spała pod spojrzeniem snobki ze wschodu i teraz czuła się tak, jakby było ono w stanie zajrzeć w głąb jej duszy.

— Nic nie znaczysz — powiedziała Louisa głośno. Oczy jej błyszczały. — Teraz to mój dom.

Miała wrażenie, że portret jej odpowiedział: „Nie, nie twój. Mogę ci to udowodnić. Zajrzyj do środka”.

Dalton chrapał i pokrzykiwał przez sen. Alma przygotowywała obiad, była na dole, w kuchni. Louisa wpatrywała się w portret. Rosalinda zmarła młodo, w wieku trzydziestu paru lat, wkrótce po tym, jak pozowała do tego portretu. Żyła z Daltonem znacznie krócej niż ona, nie opiekowała się nim podczas choroby, nie pa-

trzyła, jak niszczy go choroba Alzheimerera. Nie było jej tu, kiedy znikł jej wnuk.

— Zasłużyłam sobie — powiedziała, dotykając złoconej ramy obrazu.

„Zobaczysz, co dostaniesz” — zdawała się kpić Rosalinda.

Louisa usunęła jej dumną twarz jednym ruchem ręki, przesu-  
wając obraz, za którym znajdował się sejf. Ręce jej drżały, zupeł-  
nie jakby rzeczywiście była złodziejką, za którą uważała ją kobieta  
z portretu. Westchnęła, próbując przypomnieć sobie kombinację  
cyfr. Dalton wtajemniczył ją wiele lat temu, po tym, jak kiedyś  
spadł ze skały. „Na wypadek, gdyby cokolwiek mi się stało” —  
powiedział wówczas. 53-43-82 i pół obrotu wstecz. Odetchnęła  
głęboko i otworzyła sejf.

Był pełen. Znajdowały się w nim dokumenty hipoteczne, plany  
budynków rancza, mapy geodezyjne, odpis aktu urodzenia Jame-  
sa, medale z rodeo, colt czterdziestka piątka z rękojeścią wykła-  
daną macicą perłową, pudełko nabojów karabinowych, aksamitna  
szkatuła z biżuterią Rosalindy, która miała być prezentem Daltona  
dla Sage, oraz ostatnia wola, testament Daltona Tuckera.

— O cholera. — Dłonie Louisy drżały tak, że omal nie upuś-  
ciła arkusza papieru. Szukała go od miesiąca i oto ma przed sobą  
ostatnią wolę Daltona, którą zaraz przeczyta. Skończy się niepew-  
ność; niezależnie od tego, czego się dowie, będzie **wiedziała**.

Przecież nic to nie zmieni — powiedziała sobie, wpatrując się  
w dokument. Niezależnie od tego, co w nim jest lub czego nie  
ma, nadal będę kochać Daltona. Nadal będzie on mym rycerzem  
w lśniącej zbroi. Nadal będę najszcześliwszą kobietą na świe-  
cie. W piątek jak zwykle pojedę do „Stagecoach”, dam występ,  
prosto w twarz Todda wyśpiewam piosenkę miłosną dla Daltona  
Tuckera...

— Co tam masz? — spytał Dalton.

— Och! — Louisa aż podskoczyła ze strachu. Dalton podje-  
chał wózkiem i zaskoczył ją; gruby orientalny dywan w koryta-  
rze doskonale tłumiał dźwięki. — Przeraziłeś mnie. Myślałam, że  
śpisz...

— Co trzymasz w ręku, Louiso?



— Co? Nie, nic takiego...

— Czego szukałaś w sejfie?

— Właściwie... No, pomyślałam, że zajrzę sobie do środka...

— To mój testament, prawda?

— Tak.

— Ktoś ci podpowiedział, że powinnaś się nim zainteresować?

— No... Daisy przyjechała, tyle się zmieniło, zaczęłam myśleć o rodzinie, o przyszłości, no bo przyjedzie jeszcze do nas mała Sage...

— Do diabła! — krzyknął Dalton tak głośno, że Louisa, zaskoczona, cofnęła się o krok. Mogłaby przysiąc, że od tego krzyku rozdzwoniły się kryształowe żyrandole. Ciężko pracując ramionami, żałośnie powoli, Dalton przejechał przez pokój. Mimo że głową zaledwie sięgał jej piersi, Louisa miała wrażenie, że nad nią góruje.

— Do diabła! — krzyknął jeszcze raz, głośniejszym głosem. Wyrwał jej testament z drżących dłoni.

— Dalton...

— Co piątek... — zaczął drżącym z wściekłości głosem. Oczy mu płonęły. — Co piątek jeździsz do tego baru. Jesteś tam co piątek, od kiedy cię poznałem, a bywasz i częściej.

— Oczywiście. — Chciała dodać: „Śpiewam dla ciebie”, ale starzec nie dał jej dojść do słowa, mówił dalej, jakby nie usłyszał, że mu przerwała, jakby to, co ona ma do powiedzenia, w ogóle się nie liczyło.

— Zlatują się do ciebie jak sępy, z wywieszonymi jęczorami. Gapią się na twoje ciało, marzą tylko o tym, by go dotknąć... myślisz, że ja tego nie widzę?

— Ale ja nie chcę, żeby...

— Każdy, dosłownie każdy, chce z tobą tańczyć. W każdy piątek, przez tyle lat, czy byłem z tobą, czy nie, czy stałem przy twym boku, czy czekałem na ranczu. Nim upadłem... — Uderzył się po biodrze, jakby mógł sam spoić swe kruche kości. — Zapominam, ale przecież mam uczucia. Nadal jestem mężczyzną!

— Wiem. — Louisa poczuła, jak do oczu napływają jej łzy.

— Ufam ci! — Oczy starca płonęły. — Patrzę, jak wychodzisz do baru, myślę o wszystkich tych kowbojach, ale ufam ci, bez względu na okoliczności.

— Dalton...!

— A to... — Potrząsnął testamentem, który ścisnął w chudej dłoni. — Tak okazujesz, że masz do mnie zaufanie?

— Musiałam zobaczyć...

— Zobaczyć na własne oczy to, czego nie jesteś w stanie dostrzec sercem? Tak?

— Kiedy poszedłeś do szpitala — Louisa rozpaczliwie próbowała wszystko mu wyjaśnić — Todd spytał mnie, gdzie będę mieszkać, jeśli coś się stanie...

— Todd Rydell? — warknął Dalton.

— Jest moim bratankiem. Troszczy się o mnie...

— Ten głupi sukinsyn. Ten dupek, ten wypierdek... posłuchałaś jego, a nie... do cholery, dlaczego mnie nie zapytałaś? Dlaczego wolałaś szperać w sejfie, szukać papierów przygotowanych przez prawników? Uznałaś, że nie warto już ze mną rozmawiać?

— Och, kochanie, jesteś wart wszystkiego...

— Uważasz mnie za kompletnie bezwartościowego. Stare zero. Nogi do niczego, głowa do niczego, miłość do niczego...

— Kocham cię — powiedziała po prostu.

— I tak to okazujesz. — Starzec pochylił głowę. Alma usłyszała hałas, przybiegła na górę, stanęła w drzwiach, ale Louisa powstrzymała ją gestem. Pielęgniarka zatrzymała się, nie wiedząc, co ma zrobić.

— Kocham cię — powtórzyła Louisa.

Dalton opuścił głowę. Testament ścisnął w rękę tak mocno, że zmiażdżył w kulkę grubo czerpany papier. Ramiona mu drżały. Płakał.

— Spójrz na mnie. Dalton, błagam...

— Rosalindo...

Louisa zeszywniała. Odezwała się ta straszna choroba, choroba, przez którą zaczęło się wszystko, co złe. Nie mogła zaufać sercu starca, bo znów nazwał ją imieniem zmarłej żony. Dalton oddychał, owszem, ale jego mózg był już martwy. Musiała zaszło-

chać, bo podniósł głowę. Spojrzenie miał bystre, lecz przeraźliwie smutne.

— Chciałem powiedzieć: Louisa..

— Wiem, co chciałeś powiedzieć — uspokoiła go, ujmując jego rękę.

— Nazwałem cię złym imieniem.

Louisa skinęła głową. Rosalinda patrzyła na nich z portretu; to ona śmiała się ostatnia, ale Dalton zdawał się tego nie rozumieć. Złapał Louise za rękę, upuszczając zgnieciony testament na kolana. Był taki chudy, taki kruchy.

— Przepraszam, że pomyliłem imiona.

— Nie przepraszaj, kochanie. Nigdy mnie nie przepraszaj.

— Nie zostawiaj mnie, Louiso — poprosił starzec łamiącym się głosem. Oczy przesłaniały mu łzy i katarakta.

— Nigdy — szepnęła, kładąc mu głowę na kolanach. Kolana przykryte miał kocem, testament spadł na podłogę. Nie podniosła go, nie była w stanie się poruszyć. Tak dobrze jej było z ręką Daltona na włosach.

W kominie gwizdał wiatr, za oknem padał gęsty śnieg. Stojąca w korytarzu Alma przestąpiła z nogi na nogę i w końcu wycofała się do kuchni. Luisa słyszała, jak Daisy wita się z nią i cicho rozmawia. Dalton niczego chyba nie zauważył. Siedział nieruchomo w wózku inwalidzkim, gładząc Louise po włosach, jakby gest ten dawał mu poczucie bezpieczeństwa.

— Nie opuszczaj mnie — szepnęła.

Starzec nie odpowiedział, ale nie przestał jej głaskać.

Daisy żałowała, że uczuciami nie da się sterować. Teraz, kiedy zdecydowała się wybaczyć, zapomnieć o krzywdzie i bólu, pragnęła, by uczucia posłuchały jej i dostosowały się do jej decyzji. Życie byłoby wówczas jak świąteczna kartka przedstawiająca zachód słońca, zapisana wykaligrafowanymi starannie słodkimi słowami miłości. Ona i James trzymaliby się za ręce i patrzyli sobie w oczy. I tak rzeczywiście było... przez kilka ostatnich nocy. Dzień dzisiejszy to już zupełnie inna sprawa.

Siedziała przy stole wytrącona z równowagi, niezdolna do pracy.

Padał mokry śnieg. Słyszała, jak jego ciężkie płatki uderzają o dach. Drewno, którym paliła w kominku, najprawdopodobniej było mokre, ponieważ dym miał ostry bagienny zapach. Nic jej to nie obchodziło. James pocałował ją rano, spojrzenie miał szczere, pogodne, wiele obiecujące. Wówczas mu wierzyła. Teraz, siedząc skulona przy stole, zastanawiała się, co było nie tak.

Postanowiła zrobić to, co pomagało jej jeszcze w Connecticut, gdy czuła się źle, popadała w depresję albo była wytrącona z równowagi. Zadzwoiła do siostry do sklepu, ale odpowiedziała jej automatyczna sekretarka. Doczekała do końca nagrania, po czym odłożyła słuchawkę. Mogła złapać Hathaway w domu, ale nie zdecydowała się na to.

Na drutach ogrodzenia i drzewach gromadził się lód, nadając im niezwykły połysk. Daisy siedziała nieruchomo, patrząc przez okno, przekonana, że jeśli się poruszy, coś w niej pęknie.

\*

Tej nocy, podczas której nad całym Wyoming szalała śnieżycą, David, Sage i zwierzęta znaleźli schronienie w opuszczonej stacji biologicznej, znajdującej się około osiemdziesięciu kilometrów od rancza. Jej ściany były cienkie, nie izolowane, w środku panowały wilgoć i przeraźliwe zimno. Śnieg był jednak tak mokry, że przylegał do drewna, tworząc coś w rodzaju naturalnej warstwy izolacyjnej.

Jak igloo — pomyślała Sage, kiedy wsunęła palec w dziurę po sęku i trafiła na prawie dziesięciocentymetrową warstwę śniegu po drugiej stronie. Tulące się do niej psy i koty oddawały jej swe ciepło. Dziecko w jej łonie poruszyło się delikatnie. Siedziała cicho, obserwując Davida, który rozpałił ogień w żeliwnym piecyku.

— Czas na kolację — powiedziała.

— Wiem. Na przykład befsztyk z ziemniakami puree.

— Nie, nie — roześmiała się Sage. — Myślałam raczej o homarze z frytkami. — Przyglądała się, jak chłopak sypie jedzenie psom i karmi koty. Wyjęła paczkę płatków śniadaniowych, które kupili w sklepie przy parkingu dla ciężarówek.

Usiedli przy piecyku. Zwierzęta jadły hałaśliwie i te odgłosy dodawały jej otuchy, mimo że apetyt zaspokoić musiała suchymi płatkami. Koty mruczały, szczęśliwe, najedzone.

Po kolacji David podszedł do opartego o ścianę plecaka. Wyjął z niego papierosy oraz pióro. Zabrał się do rysowania linii na prawej dłoni. Dopiero teraz zauważyła, że zdjął bandaż; a przecież była to dłoń, którą pokaleczył sobie o zęby zboczeńca.

— Zagoiła się?

— Już prawie.

Sage uniosła ją do ognia. Siniaki bladły już, skaleczenia rzeczywiście się goiły. Zadrzała, pamiętając, jak obmacywał ją ten komiwojażer. Przeniosła spojrzenie na tatuaż; miała wrażenie, że sowa mrugnęła do niej żółtymi oczami.

— Co rysujesz? — spytała, dotykając pióra.

— Obrazki. Chcesz, to tobie też narysuję.

— Nie, raczej nie.

Na skórze dłoni pojawiły się małe pióra, a po nich rząd kropek i kręgów. Przez chwilę Sage i David siedzieli w milczeniu; chłopak rysował spokojnie, dziewczyna przysunęła się bliżej, aż zetknęły się ich kolana. Piecyk promieniował ciepłem.

— Krag — powiedział cicho David, nie przerywając pracy — chroni kropkę. — Narysował kolejny krag. — A większy krag chroni mniejszy.

— Lubisz bronić bezbronnych.

— Ktoś to musi robić.

— Kto był pierwszy?

— Nie człowiek. Pies, a właściwie suka. Ciotka Thelma, tak na nią wołaliśmy. Bronilem jej przed ojcem.

Słowo „ojciec” wypowiedział z taką złością, że Sage aż drgnęła.

— Dlaczego mówisz o nim w ten sposób? Jakby nie był twoim prawdziwym ojcem?

— Bo nie był. Jestem adoptowanym dzieckiem.

— Och! — Sage przez chwilę myślała o tym, jak to jest być adoptowanym. — Ale przecież po adopcji ma się już prawdziwą rodzinę...

— Gadanie.

— A więc to nieprawda?

— Jeśli prawdziwa rodzina traktuje cię gównianie...

Sage przypomniała sobie coś, co widziała w fabryce zwierząt, z której uratowali Jamie. Sage upierała się, żeby uratować dziewczynkę, a David stwierdził, że musi poradzić sobie sama. Wiedziała, że mówił wówczas o sobie, że jego zajęcie, tatuaże oraz cała ta przedziwna magia i wzywanie duchów ma wiele wspólnego z tym, co przeżył jako dziecko w miejscu identycznym z tym, w którym wychowywała się dziewczynka.

— Co ci robili? — spytała.

David wzruszył ramionami i pochylił się nad tatuażem. Z torebki wyjął igłę i nici, nawlókł nić i umoczył ją w czarnym tuszu.

— Co ci zrobiła ta twoja rodzina?

— Ciii... Oddasz dziecko do adopcji? — zmienił temat.

Sage objęła brzuch dłońmi, jakby osłaniała istotkę, która miała się dopiero narodzić. Sama miała zaledwie szesnaście lat, nie



miała pracy ani własnych pieniędzy, ale wiedziała, że nie odda jej nigdy, nikomu. Oboje — ona i dziecko — należeli do siebie nawzajem.

— Nie oddam.

David zmarszczył czoło, ale jednocześnie skinął głową z aprobatą.

— Sądzę...

— Co?

Ale David nie odpowiedział. Podwinął lewą nogawkę spodni, opuścił skarpetkę. Prawą ręką zebrał skórę na nodze, lewą przebił ją igłą i przeciągnął przez nią umoczoną w tuszu nitkę. Ani drgnął, zdawał się nie odczuwać bólu. Sage skrzywiła się przeraźliwie, chłopak jednak kontynuował „szycie”, aż na skórze powstały trzy nakładające się na siebie czarne zygzakowate linie, każda długości ponad dwóch centymetrów

— Rzeka — wyjaśnił.

— Ale dlaczego...

— Obok naszego domu płynęła rzeka. Strugałem łódki z pni powalonych drzew. Wyobrażałem sobie, że płynę nimi do swej prawdziwej rodziny.

— Przestań! — Sage dotknęła czerwonej rozpalonej skóry na jego nodze. Ze zrobionych igłą dziurek płynęły krople krwi. — Co masz na myśli, mówiąc „prawdziwa rodzina”? Chodzi ci o ludzi, którzy cię oddali?

— Tęsknię za nimi. — Nie odpowiedział na jej pytanie. Może w ogóle go nie usłyszał? — Wcale ich nie znam, ale tęsknię. — Roześmiał się dziwnie, krótko, potrząsnął głową. — Nie potrafisz tego zrozumieć, prawda? Przecież masz dwoje wspaniałych rodziców. Mieszkających w dwóch różnych miejscach.

— Rozumiem — powiedziała Sage zduszonym głosem. — O tęsknocie nikt nie wie tyle co ja. — W tej chwili pojęła coś bardzo ważnego: tatuaże dotrzymywały Davidowi towarzystwa. Jego towarzystwem były obrazy, symbole i, tak, nawet ból. Sięgnęła pod bluzkę, mocno ścisnęła naszyjnik, przymknęła oczy. — Dzielłam z bratem łono matki. Jesteśmy tej samej krwi.

— Brakowało ci go, kiedy odszedł...

— Czułam się na wpół umarła.

— Na wpół umarła. — David przyjrzał się tatuażom na rękę i na nodze, jakby wiedział dokładnie, co Sage miała na myśli. To było jego towarzystwo, ona miała do towarzystwa dziecko. Sage zakołysała się lekko. Miała wrażenie, że czuje bicie jego serca.

— Gdzie...? — powiedzieli jednocześnie. Sage roześmiała się i dokończyła: — Gdzie mieszka twoja prawdziwa rodzina? W Wyoming?

— Chyba tak. Ludzie, wśród których dorastałem... moja, rodzina... prawie nie opuszczali stanu, chyba że jechali zahandlować psami w Nebrasce. Na pół umarły... tak, wiem doskonale, o co ci chodzi. Tęsknisz za kimś tak, że nie możesz już normalnie żyć. Jak Petal z tą swoją zabawką... ona tęskni za szczeniakami tak mocno, że zwariowała.

— Tak sądzisz?

— Na wpół umarła. Jak ja.

— Za kim tęsknisz? Za prawdziwą rodziną?

David nie odpowiedział. Podrzucił trochę drewna do ognia, tyle, by piec nadal grzał. Petal leżała obok niego z łbem złożonym na zabawce. Ciekawe, czym ta zabawka kiedyś była — pomyślała Sage. Wypchanym misiem? Pieskiem? Brązowy materiał popękał w wielu miejscach, oczka też zostały wyrwane.

Reszta psów i koty rozlokowały się po kątach. Sage przypomniała sobie, że przerwała Davidowi.

— O co chciałeś spytać?

— Gdzie się podział twój brat? Jak myślisz?

— Nie wiem. — Poczwała na ciele gęsią skórę. — Znikł w ziemi.

— W jaskini?

— Skąd ci to przyszło do głowy?

David wzruszył ramionami.

— W tych górach jest mnóstwo jaskiń. Mógł wpełznąć do którejś z nich. Ja też raz się zgubiłem. Wpadłem w szczelinę, głową w dół. Wyciągnęli mnie za nogę. Została mi pamiątka. — Rozczesał palcami kasztanowate włosy, odsłaniając białą bliznę.

— Ile miałeś lat, kiedy to się stało?

— Niewiele. Cztery, może pięć. W każdym razie byłem na tyle mały, że wpadłem w tę szczelinę.

Sage przymknęła oczy. Obraz, który zobaczyła pod powiekami, był straszny: mały chłopiec, ciekawski i odważny, wpęła do jaskini, by zbadać jej sekrety, może udaje nawet, że jest lwem, wilkiem lub Indianinem, Szoszonem. Oczy błyszczą mu w oczekiwaniu cudów... i nagle wpada w piekielną jamę. Wołała nie myśleć, co stało się Jakiem. Davida ktoś przynajmniej uratował.

— Kto cię uratował? — spytała cicho, głaszcząc Petal.

— Wuj. To znaczy, przyszywany wuj. Brat mojej przybranej matki. Wyciągnął mnie, zawiózł, żeby zszyli mi ranę na głowie.

— To dobrze, że był w pobliżu.

— Jasne. Jest w porządku... to chyba najlepszy człowiek w rodzinie. Kiedyś, kiedy ojciec chciał mnie zmusić, żebym siekierą pozabijał szczeniaki, omal sam go nie zamordował. Dał mu w pysk, znokautował...

— Ojciec kazał ci zabijać szczeniaki? — spytała dziewczyna, przerażona.

— Pewnie. W mojej rodzinie to norma. Ale wuj jest inny. Całkiem dobry, zwłaszcza w porównaniu z resztą. Obiecał, że mnie stamtąd wyciągnie, zabierze gdzieś, gdzie będzie mi lepiej. Słyszałem, jak wrzeszczał, że żałuje, że w ogóle wyciągnął mnie z tej jaskini, przywodził na farmę. Ze nie wolno im tak mnie traktować.

— Nie mógł cię zabrać? Do siebie?

David wzruszył ramionami.

— Już go potem nie widziałem. Nie spotykał się z rodzicami.

— Znajdź go. Zamieszkać z nim.

Chłopak pokiwał głową i skupił się na tatuażach. Na prawym ramieniu narysował kolejną sowę. Kropki, kreski, kręgi, sowy — to były jego ulubione motywy. Obserwowała go, przysłuchując się jednocześnie odgłosom zamieci szalejącej na zewnątrz.

— W jaskini widziałem sowy — powiedział cicho David.

— Jak żółte, wpatrzone we mnie ślepia.

— Bałeś się?

— Nie. Wiedziałem, że są moimi przyjaciółmi.

— Ładnie rysujesz. — Sage nagle zatęskniła za matką. — Musiałeś odziedziczyć talent po kimś ze swojej prawdziwej rodziny.  
— Może? W każdym razie brat nigdy niczego nie narysował.  
— A on... on jest z twojej prawdziwej rodziny?  
— Nie. To ich dziecko. Ich rodzony syn. Mój przyszywany brat.

Dziewczyna skinęła głową. Dziecko poruszyło się w niej, a ona nagle źle się poczuła, jakby miała za chwilę zwymiotować. Wiatr wył, mała chata drżała w posadach, jakby poruszała się, jakby lada chwila miała runąć w przepaść. Sage przytuliła Jamie i Petal. Bała się.

David złapał ją za rękę. Bez pytania zaczął rysować na niej ptaka, a ona nie miała zamiaru protestować. Dotyk jego palców wywoływał u niej gęsią skórę.

Na dach spadła ułamana gałąź. Sage drgnęła.

— Typowa zamieć z Wyoming — uspokoił ją. — Nie ma się czego bać.

— Nic nie poradzę na to, że się boję.

— Nie marzniemy. I mamy co jeść.

Wiatr wył coraz głośniejsze. Wpadł w komin, z paleniska pieca posypały się iskry. David mocniej ścisnął jej dłoń.

— Dziecko — szepnęła dziewczyna. — A jeśli coś się stanie... a my nie będziemy w stanie się stąd wydostać? Boję się.

— Zawsze możemy wezwać pomoc — powiedział poważnie, rysując na jej ramieniu kropki i kręgi. — Duchy.

— Pośredników między światami? — spytała, drżąc na całym ciele. Obiecał jej, że porozmawiają na ten temat w nocy, a noc zapadła już dawno.

— Tak.

Szyby drżały od silnego wiatru. Sage bała się, ale jednocześnie to, co mówił David, w jakiś sposób ją pocieszało. Wspomniała matkę, pracownię wypełnioną piórami, kośćmi, kamykami i złotym drutem. Z sufitu zwisały splecione z nich siatki, chroniące niegdyś jej kołyskę, chwytające dobre sny. Mama była osobą bardzo uduchowioną. Wierzyła, że duchy zsyłają sny, wizje, że są w stanie pomóc.

— O jakim duchu mówiłeś'?

— Tym najdzielniejszym. To magiczne imię, zapewniające bezpieczeństwo. Kiedy je wypowiesz, nic nie jest w stanie ci zaszkodzić.

I teraz z najgłębszych zakamarków pamięci Sage wypłynęło imię indiańskiego wodza, które tak często powtarzała matka. Mimo iż zapomniane, nie dziwiło już, bo teraz wydawało się takie znajome.

— Jakie imię? — szepnęła.

— Washakie — powiedział David cicho, a potem powtórzył je głośno.

Sage przymknęła oczy. Kolejne wspomnienie: na czerwonym pyłe szlaku odciski dwóch par małych stóp — jej i brata. Trzymali się za ręce. Brat miał oczy tego samego koloru co David i jak to często zdarza się bliźniętom, razem zaczęli zdanie. Słyszała głos matki i ojca; opowiadali im o wodzu, którego imię było symbolem męstwa.

— O mój Boże!

David spojrział na nią, spokojny, choć niewątpliwie zaciękwiony.

— Jake — szepnęła załamującym się głosem.

— Co?

— Czy to możliwe? — Kurczowo ścisnęła dłonie chłopca i po policzkach popłynęły jej łzy. — Czy to możliwe? Bo sędzę, że jesteś moim bratem...

Tuż przed świtem ranczo spało spokojnie pod pokrywą zamrażającego śniegu. Gwiazdy jasno świeciły na niebieskoczarnym, wiszącym nisko nad górami niebie, prześwitując wśród gałęzi karłowatych cedrów. W nocy temperatura spadła nagle i pokrywający wszystko mokry śnieg zamarzał w błyskawicznym tempie. James wiedział, że bydło nie będzie w stanie przebić się przez pokrywę lodu. Poszedł do stajni osiodłać konia.

Zastał tam Daisy, która wyprowadziła Scout z boksu i właśnie ją wyczesywała. Nie zauważyła go, więc zatrzymał się w cieniu, by na nią popatrzeć. Poprzedniego wieczoru poszedł do jej domku, jak zwykle od czasu, gdy znów byli razem, ale w oknach było ciemno. Pomyślał, że wcześniej się położyła, wyobraził ją sobie ciepłą, senną, czekającą na niego w łóżku, i na tę myśl poczuł ogromne podniecenie.

Stał na ganku, gotów zapukać do drzwi, kiedy jego spojrzenie padło przypadkowo na frontowe okno. Daisy nie spała bynajmniej, lecz siedziała skulona przy kominku, obejmując kolana dłońmi. Włosy zasłaniały jej twarz, lecz drżące ramiona nie pozostawiały wątpliwości — płakała. Pragnął jej pomóc, położył już dłoń na klamce, ale w tym momencie spotkały się ich oczy — w jej wzroku dostrzegł cierpienie. Pokręciła głową; tym drobnym gestem oddaliła go od siebie.

Teraz, tak wcześnie rano, pielęgnowała konia. James zawahał się. Nie chciał jej do niczego zmuszać, nie chciał jej denerwować,



stawiać w niezręcznej sytuacji. Natomiast bardzo chciał ją przytulić. Tylko tyle i nic więcej — obiecał sobie. Pragnął tylko objąć ją. Poczuć zapach jej włosów, pocałować w czoło, otoczyć ramionami. Pocieszyć ją jakoś, zadośćuczynić za te wszystkie lata, które spędzili z dala od siebie.

Ale nie podszedł do Daisy. Odchrząknął głośno, a kiedy odwróciła się, obszedł Scout tak, by znalazła się pomiędzy nimi.

— Wcześniej wstałaś — powiedział.

— Nie mogłam spać.

— Śnieżycy ci przeszkadzała?

Skinęła głową, ale usta miała zaciśnięte, a oczy zmrużone. Kryła w sercu coś, co — ujawnione — mogło doprowadzić ją do rozpaczki. Policzki miała jednak zaróżowione i to pocieszyło go nieco; świeże powietrze Wyoming z pewnością nie szkodziło jej zdrowiu.

— Przyszedłem do ciebie wczoraj w nocy — powiedział, obserwując ją uważnie.

— Wiem. Ale było mi bardzo źle.

— Widziałaś mnie.

Daisy skinęła głową.

— Co się stało? Myślałem, że... — umilkł, zbyt dotknięty, by ubrać to w słowa.

— Chodzi o Sage. Zamieć... po prostu nie jestem w stanie tego znieść. Myślę tylko o niej. Przez całą noc modliłam się i patrzyłam, jak pada śnieg...

— Mogliśmy być razem.

Daisy skrzywiła się, jakby cierpiała straszliwie.

— Razem...

— Czy to coś złego?

Potrząsnęła głową.

— Nie. Ale od dawna modłę się w samotności.

— Ja też. — Obszedł Scout i zatrzymał się, czekając, co Daisy teraz zrobi, ale ona nie poruszyła się, tylko na niego patrzyła. W stajni było zimno, z ust leciała im para obłokiem białej mgły, rozplywającym się w powietrzu. Daisy ubrana była w dżinsy i skórzane ochraniacze, bladożółty sweter i ciemnozieloną kurt-

kę. James patrzył na jej zaróżowione policzki i powtarzał sobie: prowadzi zdrowy tryb życia, na ranchu jest jej dobrze, naprawdę bardzo dobrze.

— Tyle się zdarzyło — odezwała się Daisy, patrząc w ziemię i potrząsając głową. — W nocy siedziałam w domku, rozmyślałam o tym, co było. Pamiętam, że kiedy miałam już pewność, że jestem w ciąży, pomyślałam przede wszystkim o tym, jacy jesteśmy szczęśliwi.

— Byliśmy szczęśliwi — szepnął. Pragnął dotknąć jej, ale zrozumiał, jak fałszywy byłby to gest w tej sytuacji, więc tylko patrząc jej prosto w oczy, położył dłoń na aksamitnych nozdrzach Scout.

— Dzieci miały dorastać na ranchu. Mieszkałam w tak pięknym miejscu. Byliśmy razem...

— Przecież nadal możemy tu żyć. Sage przyjedzie, urodzi dziecko...

— Będziemy dziadkami. — Daisy próbowała się uśmiechnąć.

— Będziemy dziadkami — powtórzył głośno, po raz pierwszy zdając sobie z tego sprawę. — Nieprawdopodobne.

Zauważył, że wyniosła z siodłami uzdę i siodło.

— Chyba nie zamierzasz wybrać się na wycieczkę?

— Zamierzam. Nie wytrzymam w czterech ścianach, oszaleję.

— Ziemia jest oblodzona. Moim zdaniem nie powinnaś jechać. To zbyt niebezpieczne.

— Sage też jest w niebezpieczeństwie. Pojadę.

Osiadłali konie. James dał jej ciepłą kurtkę z koca i wziął drugą dla siebie. Śnieg pokrywał ziemię blisko półmetrową warstwą, mocno zamarznięty na powierzchni. Kopyta koni przebijały go z łatwością, za jeźdźcami pozostawał wyraźnie widoczny ślad.

Pierwotnie James miał zamiar pojechać na północ, sprawdzić stada. Najkrótsza droga prowadziła przez przełęcz Rock Springs. Uznał jednak, że byłoby to zbyt niebezpieczne dla Daisy, więc wybrał dłuższy, okrężny szlak. Słońce dopiero wschodziło,

czerń nocy ustępowała szarości poranka. Gwiazdy bladły, znikły; widoczne pozostały tylko najjaśniejsze konstelacje i planety.

Daisy wydawała się uspokajać, w miarę jak oddalali się od rancza; zawdzięczała to częściowo łagodnemu chodowi Scout, a częściowo przekonaniu, że wreszcie robi coś, by odnaleźć Sage. Obracała głowę to w prawo, to w lewo, cały czas zachowywała czujność, choć było jeszcze zbyt ciemno, by zauważyć cokolwiek. Oczy i nos zakryła maską z grubej wełny, chroniącą twarz przed odmrożeniem.

Jechali stępą wzdłuż łożyska rzeki. Śnieg pokrywał wszystko w zasięgu wzroku, gałęzie wierzb i jałowców uginały się pod jego ciężarem. Miejscami woda była zamrznięta, ale tu, na zakręcie, mknęła szybko po oblodzonych gładkach. Po prawej stronie mieli zamrznięte, pokryte niepokalanie białym śniegiem jezioro Crystal. Jego powierzchnia powinna być gładka, ale kiedy podjechali bliżej, zobaczyli na niej jakieś wybrzuszenia.

— Popatrz — powiedział James, chwytając Daisy za rękę.

— Gdzie?

— Tam. — Wskazał na jezioro.

Konie stały nieruchomo, z ich nozdrzy uchodziły w mroźne powietrze białe obłoczki pary. Daisy zmrużyła oczy, starając się rozpoznać, co to jest. Powierzchnia jeziora przypominała wymuldzony stok narciarski.

— Co to takiego? — spytała.

Promienie wschodzącego słońca odbijały się od czerwonych skał, zabarwiając śnieg na jeziorze na różowo. James trzymał Daisy za rękę dłuższą chwilę, czekając, aż słońce wzejdzie trochę wyżej. Modlił się, żeby konie stały nieruchomo, żeby nie zaskrzypiał śnieg pod ich kopytami i nie spłoszył ptaków. Serce biło mu szybko; wiedział, co teraz będzie, i ilekroć widział je na jeziorze, marzył, by Daisy była razem z nim.

— Wierzysz w znaki? — spytał przez ściśnięte gardło.

— Przecież wiesz, że wierzę. — Musiała uśmiechnąć się pod maską, bo jej oczy zabłyśły.

— Co jest totemem małżeństwa?

— Louis powiedział mi, że według Szoszonów to śnieżna gęś. Bo gęsi dobierają się w pary na całe życie.

— A gdybym sprawił, że pojawią się tu śnieżne gęsi, czy poślubiłabyś mnie powtórnie?

Daisy nie odpowiedziała, ale i nie przestała się uśmiechać; był tego pewien, bo bardzo dokładnie obserwował jej oczy. Drobne zmarszczki w ich zewnętrznych kąciach pogłębiły się lekko, a w spojrzeniu odczytał radość i głębokie uczucie. Słońce wschodziło szybko, plama czerwonego światła od jego promieni odbitych w skałach obejmowała już prawie całe jezioro. Postanowił nie czekać dłużej. Uderzył konia piętami, ruszył galopem w stronę jeziora. Wódz, kary, sprężysty, uszczęśliwiony biegiem i humorem jeźdźca wydawał się frunąć w powietrzu. Zimne powietrze wypełniało płuca konia i jeźdźca, aż zdawało się im, że zaraz pękną.

James wymachiwał rękami.

— Iiii...jah! — krzyczał. — Iiiii-jah!

Kształty na lodzie zaczęły się poruszać niczym tysiące kotów wychodzących spod niepokalanie białego koca. Śnieg pękał, ukazały się łebki i szyje, jakby ptaki wykluwały się wraz z porankiem. I nagle gęsi rozwinęły skrzydła, wzleciały w powietrze; jedna, po niej druga, a kiedy James dojechał do brzegu jeziora, na jego powierzchni nie pozostała już ani jedna.

Uśmiechnął się i obrócił, by zobaczyć reakcję Daisy. Przyglądała się gęsiom z zachwytem zmieszonym ze zdumieniem, dłonie podniosła do okrytych maską ust. Przestraszone gęsi wzleciały w powietrze chaotycznie, ale szybko uformowały klucz w kształcie gigantycznej litery V i skierowały się na południe. Daisy stanęła w strzemionach. Wyciągnęła ręce, jakby wierzyła, że może złapać jedną z nich.

A może pragnie pochwycić to, co w nich jest? — pomyślał James. Może wierzy, że dadzą jej swą wytrzymałość, odporność i miłość, dzięki którym wskrzesi małżeństwo? A może to on tego chciał? Przepelnione miłością serce biło mu tak mocno, że z trudem utrzymywał się w siodle.

— Wyjdź za mnie! — krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił, ponad niezmierną powierzchnią różowego śniegu, na którym pozostał pojedynczy ślad kopyt Wodza.

Daisy nie odpowiedziała. Ruszyła w jego kierunku. Scout była już stara i powolna, ale zawsze lubiła biec i biegła teraz ku niemu powolnym klusem. James widział, jak ślady jej kopyt mieszają się ze śladami pozostawionymi przez Wodza. Jeszcze chwila i Daisy znalazła się przy jego boku.

— Wyjdź za mnie — powtórzył ciszej.

— Kocham cię, James.

Śnieżne gęsi znikły za horyzontem, ale nadal słyszeli bicie tysięcy skrzydeł, dźwięk odbijający się echem od skał.

— Łączą się na całe życie. To właśnie chcę ci dać.

— Ja też tego pragnę.

— Byłaś tak daleko... nie mogłaś tego czuć — powiedział James. Gardło miał ściśnięte, czuł tak mocno i głęboko jak jeszcze nigdy. — Ale ja nigdy, nigdy nie przestałem cię kochać.

Skinęła głową. Jej oczy lśniły. Ujęła jego prawą rękę i ścisnęła ją mocno.

— Wiem.

— Ciebie, Sage i... i Jake'a też. Kochałem rodzinę. Wyjdź za mnie, Daisy.

— Byśmy znowu byli rodziną.

— Powiedz „tak”...

— Będziesz musiał poprosić mnie o rękę jeszcze raz. Kiedy Sage wróci do domu. — Daisy płakała, łzy zamarzały jej na rzęsach. — Kiedy nasza córka będzie bezpieczna.

— Rozumiem. — W oczach Jamesa też pojawiły się łzy.

O tak, rozumiał bardzo dobrze.

Pozostali na brzegu jeziora Crystal jeszcze kilka minut. Nie rozmawiali, nasłuchując śnieżnych gęsi. Klucz znikł jednak bezpowrotnie w drodze do ciepłych, bezpieczniejszych miejsc. James trzymał Daisy za rękę, czekając, aż serce zacznie mu bić w normalnym rytmie. Nie stało się tak jednak i zapewne nie stanie, przynajmniej dopóty, dopóki on a tu jest.

Słońce wypłynęło zza gór na pogodne błękitne niebo. Nie mogli pozostać nad jeziorem na wieki.

Ruszyli w stronę głównej drogi, oddalając się od rzeki i jeziora Crystal, od wzgórz i gór. Krowy były głodne; czekały, aż ktoś

przebiję dla nich warstwę lodu, by mogły znów się paść. James zdecydował, że mogą jeszcze trochę poczekać. Z pewnością dotrze do nich Paul w towarzystwie kilku poganiaczy.

On i Daisy skierowali się w stronę drogi, gdzie nie było nawet jednej sztuki bydła. Prawdopodobnie minie ich kilka samochodów, parę pikapów — zwykle ranczerzy mieli sporo roboty po zamieci. Zaczekają na ten wiozący Sage i odprowadzą ją do domu.

Rodzina Tuckerów znów będzie jedną całością.

Dalton widział ze swojego łóżka Daisy i syna, wyjeżdżających gdzieś razem przed wschodem słońca. Teraz siedział na wózku inwalidzkim, z rękami ułożonymi na przykrywającym kolana kocu, drzemał i śnił o tym, że znów jest młody. I silny, taki silny! Mógł jeździć cały dzień, mięśnie miał jak postronki, jechał przez okolicę skąpaną w kolorach, każdy liść błyszczał setką odcieni zieleni, każda ściana kanionu odbijała światło setką odcieni czerwieni, ale potem, błyskawicznie — tyle ile potrzeba na zaczerpnięcie jednego oddechu — w jego śnie przyszła zima, spadł ciężki śnieg, zdolny powalać domy. Zawalił się dach, musiał przesunąć krokwie i podpory, by uratować Rosalindę i syna...

— O Boże! — jęknął, budząc się. — Święty Boże, Rosalindo. Moja Rosalindo!

— Co się stało, panie Tucker? — spytała jego pielęgniarka, Alma.

— Nic — mruknął, ocierając oczy.

Było w jego śnie coś nieprawdopodobnie rzeczywistego — owo poczucie siły, dzięki której był w stanie uratować najbliższych i najukochańszych. Tego zadania nie zostawił niedoroślemu jeszcze synowi, to nie na jego barki spadło ratowanie matki. On, Dalton Tucker, był we śnie prawdziwym mężczyzną, prawdziwym mężem i ojcem, zdolnym gołymi rękami przerzucać ciężkie drewniane bale, przygniatające ciało żony.

— Chce pan chusteczkę? — Alma wyciągnęła do niego rękę z pudełkiem papierowych chusteczek do nosa.



— A po co mi one?

— Oczy panu łzawią i cieknie panu z nosa. — Wytarła mu twarz, zupełnie jak matka małemu dziecku.

— Masz przestać, młoda damo. Natychmiast.

— Dlaczego pan płacze?

— Powtórz to pytanie, a wylecisz z roboty! — Świat zszedł na psy, byle pielęgniarza rządzi się jak chce na ranczu Tuckerów i jeszcze pyta Daltona Tuckera, dlaczego płacze?

Sen sprzed chwili rozmazywał się. Starzec wpatrywał się w kościste dłonie o chudych powykręcanych palcach, próbując przywołać to wspaniałe wrażenie siły — i swoją młodość. Wyglądając przez okno, przez które do pokoju wlewały się promienie wschodzącego słońca, nie mógł nie zastanawiać się, jak szybko ucieka życie. Jak kończy się w mgnieniu oka.

Miał w sobie ogrom miłości — najpierw dla Rosalindy, potem dla Louisy — a mimo to, mimo takiej siły namiętności i uczuć, nie był w stanie zatrzymać młodości. Jakim cudem to wszystko mogło przeminąć tak szybko! Złamana noga, stercząca sztywno z wózka, zdawała się z niego kpić. Była dowodem na to, że nie ma szczęśliwych zakończeń.

Będzie się starzał coraz bardziej, zapewne złamie jeszcze niejedną kruchą kość. Coraz częściej będzie zapominał imienia Louisy. Miał już za sobą dni, kiedy był w stanie się kochać, dziś liczyć mógł już tylko na przytulenie się do kochanej kobiety, pocałunek od czasu do czasu. Pozostała czułość — coś, czym pogardzał bez granic, gdy był jeszcze młodym dziarskim człowiekiem. Wyłącznie czułość. A i tak dostał więcej, niż zasługiwał.

— Dzień dobry, kochanie.

Obejrzał się, słysząc głos Louisy, rankiem bardziej seksowny, bardziej podniecający niż o jakiegokolwiek innej porze dnia. Stała przed nim, bujna niczym tropikalna roślinność, otulona zielonym jedwabiem i w miękkich płóciennych rannych pantofelkach, z rozpuszczonymi kasztanowatymi włosami. Alma natychmiast zorientowała się, że jest tu niepotrzebna, i cicho wyszła.

— Dzień dobry — odparł Dalton.

— Co kazało ci obudzić się o świcie? — Louisa pochyliła się nad nim, pocałowała go w szyję. Usta miała tak ciepłe i miękkie; pragnął, by pocałunek ten trwał wiecznie.

— Obserwowałem Jamesa i Daisy, jak wyjeżdżają na wycieczkę.

— Wcześniej zaczynają. Może pojechali wziąć w sekrecie ślub?

— To by dopiero było, prawda?

— Miło, że tak dobrze się ze sobą zgadzają. Nie byłam pewna, jak się to wszystko ułoży, Daisy przyjechała tak nieoczekiwanie... i w ogóle. — Louisa potarła policzkiem o jego policzek.

Nagle, w tej słodkiej i rozkosznej atmosferze, Dalton przypomniał sobie, że powinien być na nią wściekły. Szperała w jego papierach, szukała testamentu. Nie ufała mu, chciała upewnić się, czy będzie miała z czego żyć, kiedy on kopnie w kalendarz. Przypomniał sobie, jak to nim wstrząsnęło, odsunął się.

— Co się stało?

— Cholernie nieprzyjemna sprawa, taki brak zaufania.

Louisa drgnęła.

— Chcesz zacząć wszystko od początku?

— Dopiero teraz sobie przypomniałem.

— Przeprosiłam — powiedziała. — Jesteś w takim dobrym nastroju, że będziesz się na mnie wściekał aż do śmierci?

Dalton patrzył przez okno, oczy miał zwężone. Przyglądał się pokrytym śniegiem polom. Konie wyglądały jak czarne kropki na tle wielkiej białej przestrzeni. Nie wiedział, kiedy wróca. „Aż do śmierci"... ciekawe, ile to czasu? Czuł się rześki, przytomny, ale nim minie godzina, znowu zaśnie. Chciał coś powiedzieć, nie wiedział co...

— Do śmierci? — powtórzył, gdyż dzięki temu zyskiwał na czasie.

— Tak. Nie masz zamiaru przestać się na mnie wściekać?

— Może — warknął. — Może i tak.

Louisa westchnęła głęboko. Odeszła. Dalton potrzebował czasu, nad paroma sprawami powinien się zastanowić. Co właściwie chciał powiedzieć? Nad skutą lodem równiną leciał na południe

klucz śnieżnych gęsi — ciemne punkty na tle niebieskiego nieba; Dalton wiedział, że gdyby teraz był blisko nich, w siodle, łopot skrzydeł słyszałby jako grom.

Śnieżne gęsi.

Przypomniał sobie swego starego przyjaciela, Louisa Łopatkę. Twierdził on, że śnieżne gęsi są najszcześniejszymi stworzeniami spośród wszystkich istot świata: łączyły się w pary raz w życiu, nigdy więcej. Dalton wziął to sobie głęboko do serca. Louisa sądziła, że nie oświadczył się jej z powodu Jamesa i jego uczuć do matki, ale powód był inny: jak śnieżna gęś ten stary dziś człowiek wierzył, że w życiu mężczyzna może prawdziwie kochać raz i tylko raz.

Dla Daltona Rosalinda była pierwszą i jedyną prawdziwą miłością. Całe życie powtarzał sobie tę prostą prawdę. Nie zdjął jej portretu wiszącego na ścianie, zachował medal w dużym pokoju i nazwę rancza: DR.

Dalton — Rosalinda.

Śnieżne gęsi. Dalton patrzył w okno, myśląc o Jamesie i Daisy. Czy okażą się wystarczająco mądry, by rozpoznać szansę, którą dał im los? Los, który zetknął ich ze sobą po latach, jakby wystawiał na próbę ich miłość? Czy mieli jej wystarczająco wiele, by podjąć decyzję o wspólnym życiu?

W bogactwie i nędzy, w zdrowiu i chorobie, na dobre i złe...

Dalton poruszył się. Bardzo pragnął nadal myśleć jasno, obrońić się jakoś przed ciężarem starości. Choroba i zdrowie... czy Rosalinda opiekowałaby się nim tak czule i z taką miłością jak Louisa, mimo jego żalosego upadku? Musiał przyznać, że kiedy dziś spojrział Louisie w oczy, odczytał z nich to samo szalone pożądanie, jakie budził w niej, kiedy był zdrowym młodym byczkiem. Oczywiście nie mogła go już chcieć, ale z pewnością umiała traktować go jak mężczyznę.

Śnieżne gęsi.

Widział, jak całe stado ląduje na polu. Ciekawe, ile mają lat, ile migracji już odbyły? Gdyby był gąsiorem, mógłby powiedzieć, że z gęsią z sąsiedniego pokoju przeżył dwadzieścia osiem zim. On i Louisa przetrwali o wiele więcej migracji niż on i Rosalinda.

— Louisa! — zawołał.

Długo na nią czekał. Musiała być wściekła, kazała mu czekać, aż się uspokoi i będzie mogła dokonać wielkiego wejścia. Minęły trzy, może cztery długie minuty, a życie mijało przecież z każdą sekundą.

— Louisa!

Pokazała się wreszcie. Nadal otulona zielonym jedwabiem, nadal z rozpuszczonymi włosami, nadal z tymi wielkimi namiętymi oczami. Pewnie robiła sobie makijaż, bo przedtem oczy miała nie umalowane, a teraz — owszem.

— Wołałeś mnie? — spytała zimno.

— Chodź tu. — Starzec wyciągnął ku niej kościstą rękę. Zignorowała ją, co zrobiłaby każda prawdziwa dama. Ale on nie cofnął ręki, choć z wysiłku jakiego wymagało utrzymanie jej w powietrzu, omal nie wypadł z fotela. Pomyślał o testamencie i poczuł, jak oblewa go fala wstydu. Na szczęście powstrzymał Louise, nim zdążyła go przeczytać. Za nic nie chciałby skrzywdzić jej aż tak.

— Weź mnie za rękę, kochanie.

— A niby czemu miałabym to zrobić?

— Ponieważ jesteś miłością mojego życia.

Louisa patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem. Odpowiedział jej podobnym spojrzeniem, modląc się w duchu, by nie zapomnieć zadzwonić do Wayne'a Hardinga, prawnika, punktualnie o dziewiątej, gdy tylko otworzy on swą kancelarię. Może nie chciał po prostu zastanawiać się nad własną śmiercią i nad tym, że kiedy jego nie stanie, Louisa będzie żyła jak przedtem. Tylko nie zastanowił się nad tym, gdzie będzie żyła.

— Życie jest długie — powiedział — ale kończy się w mgnieniu oka.

— Twoje jeszcze się przecież nie zakończyło.

— Jestem starym, zmęczonym ranczerem.

— Jestem starą, zmęczoną piosenkarką z barów.

— Jesteś moją piękną Louisa.

Potrząsnęła głową, ale zauważył, że udało mu się sprawić jej przyjemność. Uśmiechała się, choć bardzo się starała ukryć ten uśmiech. Dalton pomyślał o synu i jego byłej żonie, o ich wyciecz-

ce... niech oni będą śnieżnymi gęśmi. Niektórzy ludzie dostają od losu więcej niż jedną miłość w życiu; oby nie byli za głupi, by rozpoznać swą szansę.

Louisa ujęła jego rękę i Dalton poczuł ogarniający go spokój. Wszystko będzie dobrze... wszystko, jeśli tylko nie zapomni zadzwonić do prawnika. James i Daisy to jednak zupełnie inna sprawa. Stary mężczyzna przyglądał się ranczu, ziemi, którą wraz z synem utrzymał przez tyle lat. Miał nadzieję, że jego rodzina przetrwa: James, Daisy i Sage.

I dziecko, pierwsze w nowym pokoleniu.

RS

Dalsza jazda miała być trudna, być może nawet niebezpieczna, ale David przekonał Sage, że powinni wydostać się ze stacji obserwacyjnej i spróbować wyjechać na główną drogę. Urodził się i wychował w Wyoming, i choć pogoda była piękna, nie dał się oszukać — kolejna zamieć mogła przyjść lada chwila. Świadczyły o tym srebrzyste pasma cienkich chmur na błękitnym niebie.

W schowku znaleźli łopaty. Sage pomagała chłopakowi jak potrafiła najlepiej, ale za każdym razem, gdy podnosiła ciężką łopatę, czuła skurcz w żołądku. Po chwili usiadła, by odpocząć, pozwalając Davidowi dokończyć tę ciężką robotę. Nie przyszło jej to łatwo, pragnęła zadać mu chyba z milion pytań, by udowodnić jemu i sobie, że rzeczywiście jest Jakiem.

Tymczasem chłopak odkopał samochód, po czym załadował do niego zwierzęta. Następnie wrócił, by pomóc Sage. Piecyk grzał mocno, promieniując ciepłem. David sprawdził wskaźnik paliwa; od ostatniego tankowania minęło sporo czasu, wkrótce będą musieli znaleźć stację benzynową. Sage powstrzymała się od zadawania pytań, kiedy cofał się na leśną drogę — ugrzązł, włączył napęd na cztery koła, po czym ruszył spokojnie. I dopiero teraz wróciła do interesującej ją kwestii.

— Wszystko się zgadza — powiedziała. — Mam kasztanowate włosy i ty masz kasztanowate włosy. Mam zielone oczy i ty masz zielone oczy.

— Masz dwie nogi i ja mam dwie nogi — zażartował David.



— No i widzisz! — roześmiała się. — Mamy nawet identyczne poczucie humoru.

Zapalił papierosa, krzywiąc się.

— Jesteś moim bratem. Im uważniej go obserwowала, tym bardziej była o tym przekonana. Uwielbiała go, całego: jego oczy, nos, bliznę na policzku, długie palce, chude ramiona, nawet tatuaże. Czy odczuwałaby coś podobnego wobec kogoś, kto nie byłby jej bratem?

— Dlaczego się na mnie gapisz? — spytał David.

— Bo jesteś moim bratem. Jesteś nim. — Dotknęła jego rękawa, grzbietu dłoni.

— Oszalałaś.

— Zaczęło się od przypadku. Jaka jest szansa, że dwoje ludzi w tym samym wieku spotka się na odludnej szosie w Nebrasce, gdzie jedno z nich jest napastowane? A ty pojawiłeś się znikąd i uratowałeś mnie.

— Przez co stałem się twoim bratem?

— Nie tylko przez to.

Chłopak wydmuchnął dym i potrząsnął głową, jakby marzył wyłącznie o tym, by przestała gadać. A jednak zainteresowała go, bo po chwili spytał:

— A przez co?

— Tatuaże...

— Twoja rodzina się tatuuje?

— Nie. Po prostu przypominają mi prace matki. Poczekaj, aż je zobaczysz. Robi naszyjniki, które kupują od niej dosłownie wszyscy. Są z kości, mają mistyczne znaczenie...

— Widziałem.

— No właśnie. — Sięgnęła pod bluzkę, by pokazać mu swój naszyjnik jeszcze raz, ale w tej chwili obudziły się dwa kocięta, które spały w fałdach kurtki, i zaczęły łązić jej po ręce, domagając się pieszczot. — Mama lubi indiańskie legendy, najczęściej używa właśnie motywu kropek i kręgów. Sowa na przykład... ona też rzeźbi sowy, takie same jak twoje. Oczy, skrzydła, pióra... ale się zdziwisz, jak je zobaczysz.

— Rzeźbi sowy?

— Kropki, kręgi, sowy, jastrzębie. Ma magiczne zdolności. Wiem, pomyślisz, że to dziwnie brzmi, ale tak twierdzą wszystkie kobiety w naszym miasteczku. Potrafi sprawić, że ludzie zaznają miłości, po prostu koncentrując się nad kośćmi.

— Miłości? — David skrzywił się z niedowierzaniem.

— A owszem. Daje miłość innym ludziom. — Sage posmutniała na chwilę. — Dla niej i dla taty już jej zabrakło. Skończyła się, kiedy... kiedy znikłeś. O mój Boże! — zdumiona, podniosła dłoń do ust. — Te twoje tatuaże... to dzięki nim miała z tobą łączność.

— Co?

— Ależ to prawda! — Dziewczyna poczuła, że magia dostępna jest także jej. — Gdybyś znał ludzi, których mamie udało się połączyć... więc dlaczego sama nie połączyła się z synem? A jednak, mimo że mieliśmy cię za zmarłego, mama słała ci sowy, jastrzębie i wzory z kropek i kręgów.

David skrzywił się jeszcze bardziej, energicznie potrząsając głową.

— Jak nauczyłeś się rysować? Chodziłeś na lekcje do jakiejś szkoły sztuk pięknych?

— Nie. Biorę pióro do ręki i po prostu wiem, co z nim robić. Nic wielkiego.

— Ale dlaczego rysujesz sowy? I kropki otoczone kręgami? Nie wiesz? To ja ci powiem: bo to pośrednicy między tobą a nią.

— Pośrednicy... — Tym razem David wykazał wyraźne zainteresowanie.

— Między światami. Twoim światem i jej światem.

— Oszalałaś. Przecież ja jej nawet nie znam.

— Ależ znasz, znasz.

Chłopak zmarszczył czoło, potrząsnął głową. Zręcznym ruchem kierownicy opanował niebezpieczny poślizg, w który wpadli, omijając warstwę czystego, błękitnego lodu.

— Skąd oboje wiemy o Washakie? — spytała Sage. Drżała, przestraszona poślizgiem, ale przede wszystkim dlatego, że tak głęboko czuła, iż ma rację. — To imię pozostało ci w pamięci z najwcześniejszych, dziecinnych lat.

— I co z tego?

— Nasi rodzice rozmawiali o Washakie. Ojciec ma wielkie zdolności duchowe, ale o nich nie wie, tak przynajmniej zawsze twierdziła mama. Po prostu pracuje na ziemi, prowadzi ranczo i czeka na ciebie. Opowiadał jej indiańskie legendy, ona mu też. Były dla niej inspiracją, kiedy pracowała nad biżuterią, a dla ciebie — w twoich tatuażach. Kiedy się spotkacie, zobaczysz, jak podobne są wasze wzory.

— Jakby miało się to kiedyś zdarzyć.

— Zdarzy się, zdarzy — powiedziała z wielką pewnością siebie i tak ułożyła kocięta, by móc ująć jego dłoń. — Och, Jake, Jake...

— Nie nazywaj mnie tak.

— Mam twoje dziecinne kapcie. Niebieskie. Wiszą na ścianie w moim pokoju. Boże mój, Boże! — Opuściła wzrok na podłogę samochodu. — Miałeś je na nogach, widzę teraz te nogi... nieprawdopodobne !

— Zachowałeś dziecinne kapcie brata? — spytał z niedowierzaniem; wydawało mu się to zbyt sentymentalne... zbyt staroświeckie, by znaleźć odpowiednie słowa.

— Jake — powtórzyła Sage. — Czy to imię nie wydaje ci się znajome? Czy nie pamiętasz, jak cię tak nazywaliśmy? Jake... to było pierwsze słowo, które wypowiedziałam. Twoje imię.

— Przestań!

Dziewczyna przymknęła oczy. Radość i ból były tak wielkie, że z trudem to znosiła. Spotkała oto chłopca, którego tak bardzo kochała. Co się z nim stało? Jakim cudem pozostał przy życiu, lecz nigdy nie wrócił do domu? Była pewna, że się nie myli — matka magiczną drogą przesłała mu talent i obrazy, ojciec uczył ich o Washakie, ponieważ w życiu tak bardzo będzie im potrzebna odwaga.

Łzy cisnęły się jej do oczu, ale udało się jej opanować. Położyła dłoń na piersi, przez skórę wyczuła bicie serca. Szczęśliwego serca... czy komuś potrzebny jest lepszy dowód? Po wielu, tak wielu latach była całością.

— Tak bardzo za tobą tęskniłam — powiedziała ochryłym głosem.

— Nie mów, że tęskniłaś za mną, mów, że tęsknisz za nim.  
Za bratem...

— Byłam na wpół martwa.

— Na pół... — powtórzył. W oczach miał ból.

— Ty też to czujesz, prawda? — spytała i uśmiechnęła się przez łzy.

David nie odpowiedział, ale zaczerwienił się wyraźnie, od szyi aż po uszy. Widziała, że zaczyna rozumieć to, co ona wyczuwała w najgłębszych pokładach duszy: byli razem jeszcze przed urodzeniem. Należeli do siebie niczym dwie części tej samej całości, niegdyś rozdzielone, teraz połączone na nowo. Oboje żyli cali, nie w połowie.

Wyjęła naszyjnik spod bluzki, przyjrzała się wyrzeźbionym na nim twarzom, najpierw dziewczyny, potem, po drugiej stronie, chłopca. I spojrzała na siedzącego obok niej Davida: na jego piękny, wyrazisty profil, szlachetne rysy. To samo czoło, te same kości policzkowe, ten sam nos, ta sama broda.

— To ty — powiedziała. — Ty jesteś Jake.

— Chcesz w to uwierzyć...

— Nie...

— Oczywiście, że tak. — Jego czerwona twarz sprawiała wrażenie gniewnej, wręcz wścieklej. — Prawdziwa z ciebie marzycielka. Cholerna marzycielka.

— Jake...

— Zamknij się! Nie nazywaj mnie tak!

— Ty jesteś Jake! Przysięgam! Spójrz tylko na rzeźbę mamy... wyglądasz identycznie. A w ogóle to wcale nie jestem marzycielką, tylko osobą bardzo praktyczną. Masz dowód!

— Praktyczną! Cholerna marzycielka. Łapiąc okazję, próbujesz przejechać przez cały pieprzony kraj, żeby zobaczyć się z ojcem, któremu wcale na tym nie zależy.

— Jak to... — westchnęła dziewczyna.

— A tak! Pozwolił odejść tobie i matce tak, jak moi naturalni rodzice pozwolili odejść mnie! Jeśli wierzysz, że ktoś taki będzie cię chciał, to po prostu zwariowałaś.

— On mnie chce!

— Nie. Oboje chcą tylko, żebyś tak myślała, bo przez to czują się mniej winni. Rodzice troszczą się wyłącznie o siebie. Oszukujesz sama siebie tak, jak próbujesz oszukać mnie. Daj sobie spokój.

— Nie. — Poczula, że drży na całym ciele.

— Czy ojciec zaprosił cię do siebie? Czy ten twój cudowny, wspaniały tata poprosił cię, żebyś do niego przyjechała? Lepiej wracaj do domu, nim on każe ci wrócić.

— Kocha mnie!

— Oczywiście. Dlatego nie chciał się z tobą spotkać.

— Kocha mnie! — krzyknęła Sage, uderzając pięścią w siedzenie. — Uwielbia! Został na ranchu tylko dlatego, że czekał na ciebie... na Jake'a. Taki z niego wspaniały człowiek! Wspaniały tata!

— Wspaniały tata, a stracił dwójkę dzieci! — David również podniósł głos.

— Stracił nas? Nigdy! Ktoś cię zabrał... porwał... to jedyne wyjaśnienie! — Dziewczyna drżała jak liść na wietrze.

— Nie mnie — powiedział chłopak tonem ostrzeżenia.

— Porwał! On nigdy by nas nie „stracił”. Pozwolił mi odjechać tylko dlatego, że mama nie mogła już znieść rancha, miejsca, gdzie ktoś odebrał jej syna... — Sage zdenerwowała się tak bardzo, że zaczęła płakać. Szlochała rozpaczliwie, przywołując z pamięci obraz mamy i ojca, niewyraźne, dziecinne wspomnienie tych strasznych dni, które nastąpiły po zniknięciu brata.

— Sage, uspokój się.

— Mam się uspokoić? Mówisz takie rzeczy o moim ojcu, a potem każesz mi się uspokoić...

— Denerwujesz zwierzęta. Petal schowała się pod siedzeniem.

— Prze... przepraszam — zaszlochała. Obróciła się i wyciągnęła rękę, pragnąc pogłaskać psa. Petal zapiszczała rozpaczliwie. Oczywiście i ona, i reszta psów z pewnością dość się nasłuchiwała krzyków i płaczu ludzi; to normalne w miejscach takich jak fabryki zwierząt, a do jednej z nich ktoś podrzucił Jake'a. Poczula wielki żal, współczuła im i przez to rozszołała się jeszcze bardziej.

Droga, którą jechali, okazała się bardzo niebezpieczna. Napęd na cztery koła był błogosławieństwem, samochód bez większych problemów pokonywał półmetrową warstwę śniegu pokrytego lodem, wzdłuż drogi pojawiły się jednak głębokie przepaści. Sage wtuliła się w siedzenie; dopiero teraz zauważyła, że są w górach i że miejscami pionowe zbocza zaczynają się tu, gdzie niegdyś było pobocze.

— Nic ci nie jest? — spytał David.

— Nic mi nie jest, Jake — odparła. W jej głosie brzmiało wyzwanie.

— Mów mi David, dobrze? Tak mam na imię. Muszę skoncentrować się na prowadzeniu samochodu, a cała ta sprawa z Jakiem tylko mnie rozprasza.

— Jake — szepnęła tak cicho, że nie mógł jej usłyszeć.

— Mówiłaś coś?

— Zgoda. Niech ci będzie, Davidzie. — Nie wypuściła jednak naszyjnika z dłoni, pocierała kciukiem wyrzeźbioną w kości chłopięcą twarz, tylko po to, by nie zapomnieć o prawdzie. Samochód poślizgnął się lekko. Złapała kocięta. Ta część podróży nie wydawała się jej zabawna. Nie miała zamiaru denerwować go bardziej, był wystarczająco zdenerwowany.

— Dziękuję — powiedział David.

Jechali w milczeniu. Chłopak prowadził powoli, ostrożnie, z dłońmi mocno zaciśniętymi na kierownicy. Strzałka wskaźnika poziomu paliwa opadła poniżej jednej trzeciej pojemności baku, a nadal nie natknęli się na żadną przyzwoitą szosę; kręta leśna droga, którą jechali, wydawała się nie mieć końca i choć biegła równiną, dookoła otaczały ich strome szczyty.

— Co to za góry? — spytała, przyglądając się strzelistym czerwonym skałom i smukłym fioletowym szczytom. Na ścianie jej pokoju wisiał plakat z identycznym krajobrazem; dostała go w prezencie od ojca.

— Pasma Wind River.

— Daleko jeszcze?

— Trzydzieści, może czterdzieści kilometrów. Nie jestem pewien.



— Ranczo DR — szepnęła Sage, zwracając się do dziecka.  
— Jesteśmy już niemal na miejscu. Niemal na miejscu!

Jeśli David jest jej zaginionym bratem, jak nazwie synka? Być może Jake, nic przecież nie stoi temu na przeszkodzie. A może James? Nagle uświadomiła sobie, że wcale nie jest aż tak pewna, że urodzi chłopca. A jeśli dziewczynkę? Rosalinda — imię po niesamowitej babce snajperce wcale nie byłoby takie złe.

— Och! — westchnęła. — Co za dziwny zbieg okoliczności.

— Znowu zaczynasz? — David spojrzał na nią zaczerwienionymi, zmęczonymi od wpatrywania się w oślepiająco biały śnieg oczami. Nad górami gromadziły się ciemne chmury, uderzały w zbocza, kotłowały się. Szykowała się kolejna zamieć. — Ani słowa więcej o tym, że jestem twoim bratem.

— Nie o to mi chodzi. — Sage dotknęła dłonią siedzenia.  
Było mokre.

— Więc o co?

— Myślałam właśnie o dziecku, o tym, jakie dam mu imię, i że jesteśmy tak blisko rancza, prawie w domu... i jestem całkiem pewna, że odeszły mi wody.

James i Daisy jeździli wzdłuż drogi przez dobrą godzinę, wypatrując Sage. Minał ich pług, wyrzucając mokry śnieg na jakieś trzy metry w górę i tworząc zasy na półtora piętra wysokie. James pomachał do kierowcy, którego kiedyś — jak wielu innych mężczyzn z najbliższej okolicy — zatrudnił na ranczu.

Daisy nie spieszyła się, nie poganiała Scout. Często zatrzymywała się, by stara klacz mogła odpocząć. Zsiadała wówczas i rozglądała się dookoła, osłaniając oczy dłonią.

Patrzyła i słuchała, obserwowała wzory rysowane przez chmury na niebie i cedry na zboczach z piaskowca. Wiatr kołyszący gałęziami sosen przynosił jej spokój... i nadzieję. Biały księżyc na niebie, widoczny w dzień, oznaczał czujność i ochronę. Podniosła patyk; rysowała nim na śniegu kręgi, każdy z kropką pośrodku. James wiedział, że symbolizują one członków rodziny. Daisy miała w duszy magię, nigdy się nie poddała; żałował, że nie może powiedzieć tego o sobie. Właściwie nie wiedział, w co wierzy. Przez

lata zachowywał się jak automat. Nie potrafił odczytać niczego z chmur ani śniegu, prawdopodobnie nigdy nie miał tej umiejętności. Od przeszło dziesięciu lat udawał, że żyje; prowadził ranczo, ale inne sprawy pozostawiał Paulowi Marchowi.

Tego ranka zdarzyło się jednak coś ważnego. Na widok śnieżnych gęsi coś w nim pękło. To on poderwał je do lotu, ale sam pomysł nie narodził się w jego sercu, lecz przyszedł z zewnątrz. Czyżby ktoś: Bóg, Wielki Duch, wyższa moc, duch Louisa Łopatki kazał mu się obudzić? James Tucker nie umiał się modlić. Kiedy był mały, matka zabierała go do kościoła, ale w Boga, jakiegokolwiek Boga, przestał wierzyć mniej więcej w tym samym czasie, gdy ona zmarła, przygnieciona dachem w stajni.

Nie zamierzał oświadczyć się Daisy, słowa te po prostu same wypłynęły z jego ust, tyle że ich nie powstrzymał. W tej chwili, obserwując ją rysującą na śniegu koncentryczne kręgi, znaki symbolizujące Jake'a i Sage czuł, jak serce wypełnia mu nadzieja.

Minął ich niebieski pikap jadący w stronę rancza. Przejechał jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów, błysnęły światła stopu, i samochód zawrócił. James wyczuł niebezpieczeństwo; instynktownie, nawet o tym nie myśląc, uderzył konia piętami. Wielki kary ruszył powoli, po czym James zatrzymał go niedaleko Daisy.

Samochód jechał szybko, jakby miał ich minąć, ale kiedy zrównał się z nimi, zahamował. Szyba po stronie kierowcy opadła powoli. Wyjrzał przez nią Todd Rydell. James nie wiedział, czy powinien rozluźnić napięte mięśnie, czy raczej przygotować się do walki.

— Cześć — powiedział Todd.

Daisy przyłożyła dłoń do czoła. Uśmiechnęła się.

— Cześć.

— Co tu robisz? — spytał James. — Myślałem, że jesteś doręczycielem w jakiejś firmie w Lander.

Todd wysiadł. Uwagę Jamesa zwrócił jego nieodpowiedni ubiór, biorąc pod uwagę pogodę; w tym stroju nie powinien nawet prowadzić samochodu. Niskie półbuty nie nadawały się na śnieg, w lekkiej kurtce zamarzłby z pewnością, gdyby jego samochód

popsuł się gdzieś, gdzie nie było ruchu. Nic dziwnego, że nie zrobił furory jako kowboj na ranczu, zresztą nigdzie nie zostałby przyzwoitym ranczerem. Po prostu brakowało mu zdrowego rozsądku.

Przede wszystkim jednak wyglądał dziwnie — był blady, garbił się i w ogóle sprawiał wrażenie przygnębionego.

— Chyba powinniśmy porozmawiać — powiedział niepewnie, niczym mały chłopiec, który zrobił coś złego.

— O czym?

— Odejźmy na bok... — urwał. Chciał porozmawiać z Jamesem, ale tak, by Daisy nie była w stanie usłyszeć tej rozmowy.

Jednak James potrząsnął głową.

— Cokolwiek masz do powiedzenia, powiesz nam obojgu.

— Słuchaj — wtrąciła Daisy. — Nic się nie stało. Mogę...

— O co ci chodzi, Todd?

— Niech to diabli. — Młody człowiek zawahał się. Sytuacja nie rozwinęła się po jego myśli. — Chodzi o Almę.

— Almę?

— Siostrę Tammy. Pielęgniarkę. Louisa wzięła ją do opieki nad Daltonem, póki nie wyzdrowieje.

— Mieszka w wielkim domu — powiedziała Daisy.

— Alma. Rozumiem. — James zachował spokój, choć wcale nie podobało mu się, że pod dachem domu jego rodziny zamieszkał ktoś z klanu Rydellów; choćby tylko z nimi spowinowacony.

— Wiem, o kim mówisz. O co ci chodzi?

— No więc... — Mimo zimna po twarzy Todda spływały strużki potu. Otarł czoło rękawem. Nigdy nie lubił patrzeć rozmówcy w oczy, ale tym razem wzrok miał nieprzyjemnie rozbiegany; robił wszystko, by nie spojrzeć na Jamesa. — Ty i ja... nie zawsze się nam układało. Bydło przeciw owcom, poza tym wiem, że mnie nie lubisz...

— Nie zawsze się nam układało — powtórzył James. Lada chwila dowie się czegoś złego; czuł to w sercu. Todd mówił tak niepewnie, jakby próbował uwolnić się od poczucia winy; przed laty, gdy znikł Jake, bez przerwy usprawiedliwiał się przecież, że go nie znalazł. Był wówczas na miejscu, pracował przy spędzie,

dołączył do drużyny ratowniczej, szukał chłopca przez dwa dni bez przerwy.

Błagał Jamesa o wybaczenie, Tammy dzwoniła do Daisy. Wydało im się to dziwne, niecodzienne; od tej pory oboje robili wszystko, by trzymać się z dala od Rydellów.

Pewnego razu, mniej więcej w rok po wyjeździe Daisy, pojechał do „Stagecoach” i tam wpadł na Todda. Wszystko zaczęło się od początku. „Gdybym tylko bardziej przyłożył się do poszukiwań. Przepraszam. Czy będziesz w stanie kiedykolwiek mi wybaczyć?”

James Tucker nie wytrzymał. Poniosło go. Spytał: „Jeśli nie jesteś odpowiedzialny za to, co się stało, czemu ciągle przepraszasz?”. I podczas gdy Louisa na scenie śpiewała pięknie jak zwykle, James dał Toddowi w pysk i znokautował go. Doszło do bójki, posypało się szkło. I wtedy Todd zadał to pytanie: „Jak możesz żyć, skoro straciłeś dziecko?”. To skończyło walkę — James oszalał, zmienił się w zwierzę i próbował zabić przeciwnika gołymi rękami.

— Słuchaj... — Daisy wyczuła, że szykują się kłopoty. — Co chciałeś nam powiedzieć?

— Alma Jackson ma dwóch synów.

— I co z tego? — zirytował się James.

— Są źli. Obaj bracia. Siedzieli w poprawczaku za narkotyki i kradzieże; jeden z nich właśnie trafił tam z powrotem. Alma twierdzi, że ten drugi czci szatana. Chce być człowiekiem gór. Kiedy przyjęła pracę... opiekę nad Daltonem, powiedziałem jej... powiedziałem, że on nie może się o tej pracy dowiedzieć. Alma bardzo potrzebuje pieniędzy. Inaczej nie namawiałbym Louisy, żeby ją zatrudniła.

— Ile lat mają ci jej synowie? — spytała Daisy.

— To nastolatki. — Todd nie patrzył jej w oczy. Był tak blady, że aż wydawał się żółty niczym brudny śnieg.

— Tacy młodzi...

— No więc, on dowiedział się, że matka pracuje na ranczu.

Pewnie ojciec się wygadał. Zadzwoił do niej, a ona opowiedziała o wszystkim Tammy.

— A co to ma wspólnego z nami? — warknął James, patrząc na niego ponad głową Daisy.

— Ten mały od bardzo dawna wierzy, że wasza ziemia powinna należeć do Rydellów. Nie należy do rodziny z urodzenia, ale ponieważ ożeniłem się z Tammy, uważa, że jej kawałek należy się także jemu. Sam siebie nazywa Strażnikiem... strażnikiem ziemi Rydellów.

— Skąd wpadł na ten pomysł? — James zadrżał, wyobrażając sobie niedzielny obiad u Rydellów, jak cały ten nędzny klan siedzi wokół indyka, jak jego członkowie przekonują się nawzajem o tym, że dwa pokolenia temu Tuckerowie wygnali ich z ich ziemi, i jak planują zemstę.

— To akurat nieważne. — Todd otarł czoło rękawem. — Najważniejsze, że on tu jest.

— Tu? — James Tucker przypomniał sobie nadpalone polarydy, ślady, pozostałości po obozie, martwego byka.

— Gdzieś na ranczu. Pewnie się ukrywa.

— Od jak dawna? — Problemy zaczęły się wiosną i trwały przez całe lato.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko to, co Alma powiedziała Tammy. Jej chłopak — ma na imię Richard — pewnej nocy zapukał do drzwi kuchni w domu twojego ojca.

— Czego chciał?

— Pewnie jedzenia. A także wejść, rozejrzeć się.

— Pozwoliła? — spytała cicho Daisy.

— Na co pozwoliła?

— Czy go wpuściła? Dała mu jedzenie?

— Nie. — Todd energicznie potrząsnął głową. — Absolutnie nie. Kazała mu iść do diabła.

— Wolałabym, żeby pozwoliła mu wejść. — Daisy przyglądała się górskiemu szczytom. — Ile on ma lat?

— Nie wiem. Szesnaście? Siedemnaście?

— Nie mogę znieść myśli, że jest głodny.

James był innego zdania, widział przecież dowody — jeśli ten dzieciak zabił cielaka i byka, nie warto było martwić się, że jest

głodny. Troskę należało okazać Daisy. Już w tej chwili nie podobało mu się, że stoi ona na otwartej przestrzeni. A Sage? Skoro jego rodzina ma wroga, wolalby, żeby siedziały w domu, gdzie mógłby ich pilnować, póki intruz nie zostanie złapany.

— No więc tak... — Todd cofnął się o krok, niepewny siebie i zdenerwowany jak przedtem. Najwyraźniej pragnął, by to spotkanie skończyło się jak najszybciej. — No, tak... chciałem tylko, żebyście wiedzieli. To nie moja wina... to syn Almy, zawsze były z nim problemy... gdybym wiedział...

— Nie twoja wina — powtórzył James, przyglądając mu się nieprzyjaźnie.

Todd potknął się o własną nogę, zachwiał się i upadł na kolano. Noga w tym bezsensownym bucie zapadła mu się w śnieg. Wstał z wysiłkiem, wskoczył do samochodu i odjechał. James odprowadzał go wzrokiem. Słyszał syk opon na oczyszczonej przez pług nawierzchni.

— Dziwne — powiedział. — Czy to tylko moja wyobraźnia, czy też ten chłopak czuje się bardziej winny, niż powinien?

— Tak się zastanawiam... — Daisy wyciągnęła rękę do Scout, która podeszła bliżej, jakby pragnęła zasłonić ją swym ciałem. Biały dym z rury wydechowej samochodu Todda rozwiewał się powoli.

— Ten chłopak jest gdzieś na ranczu. Nienawidzi nas, chce odebrać nam to, co nasze. Strażnik dóbr Rydellów... mój Boże! Czy to wystarczający powód, by Todd czuł się aż tak winny?

— Alma gapiała się na zdjęcie Jake'a. Widziałam to na własne oczy.

— Co?

— Nie mogła się napatrzeć.

— To nic nie znaczy. — Ciekawe, pomyślał, dlaczego Daisy o tym wspomina?

— Pamiętasz, podejrzewaliśmy Todda, kiedy Jake...

Nie spodobał mu się ani wyraz jej oczu, ani to, w jakim kierunku zmierzała rozmowa.

— Daisy...

— Pamiętasz?



— Po prostu nic nie wiemy — powiedział spokojnie. — Nic a nic. Nie lubię Todda, Todd nie lubi mnie... łatwo było winić właśnie jego. Dlaczego miałby zabrać nam syna?

A jednak... — pomyślał. A jednak...

Przypomniawszy sobie dziury po kulach, krew. Tylko w tym miesiącu ktoś zabił cielę i byka z jego stada. James Tucker wiele wiedział o nienawiści, rozumiał, że właśnie jej potrzeba, by pociągnąć za spust, zadać cios nożem. Byle nie była to prawda — pomyślał. Byle nie było prawdą, że zdarzyło się to właśnie tak...

— Myślę o czymś szalonym. — Daisy patrzyła mu w oczy. Drżała na całym ciele.

— Przestań. Już raczej myśl o Sage. Wkrótce tu będzie...

— A jeśli...? Tylko o to mi chodzi. A jeśli...?

— Daisy, przestań.

— Wiek się zgadza.

— Przestań!

— A jeśli?

James przytulił ją mocno. Czekał, aż przestanie mówić... i wówczas sam sobie zaczął zadawać pytania. A jeśli...? A jeśli...?

A jeśli Daisy ma rację? A jeśli Alma rzeczywiście nie mogła napatrzyć się na zdjęcie Jake'a? A jeśli Todd tylko udawał, że szuka, a tak naprawdę zabrał małego? A jeśli przyczyną jego zdenerwowania i poczucia winy, które dostrzegł w jego oczach, był czyn popełniony przed trzynastoma laty? A jeśli żal i nienawiść, które nosił w duszy, przelał w duszę tego chłopca, który był w tej chwili gdzieś na ranczu?

Daisy drżała, jakby przez jej ciało przepływał prąd elektryczny. James przesunął dłońmi po jej ramionach i plecach. Płonęła nadzieją, że jej syn żyje... być może żyje. Ta niezwykła myśl wstrząsnęła nią, zagnieździła się w jej sercu tak mocno, że nie potrafiła jej z niego wyrzucić.

James wiedział, co czuje — w każdej sekundzie przez ostatnie trzynaście lat żył myślą, nadzieją, że pewnego dnia ich syn zejdzie z gór. Wróci do domu.

A jeśli Jake Tucker żyje? I nienawidzi ich?

David mocno ścisnął kierownicę. Próbował skupić się na prowadzeniu samochodu, tylko na tym. Kociaki miauczały, były głodne, a on nie mógł znieść samej myśli o tym, że zwierzęta są głodne. Petal popiskiwała, nadal przestraszona ich wcześniejszą kłótnią. Nie mógł zatrzymać się, nakarmić kotów, pocieszyć psa, bo obok niego siedziała dziewczyna w ciąży, nadchodziła kolejna śnieżycy, nie miał pojęcia, czy drogi przed nim w ogóle są przejezdne, i w dodatku Sage właśnie odeszły wody.

— Może tylko zrobiłam siusiu? — powiedziała Sage piskliwym głosem. — Taka byłam podniecona, że nawet nie zauważyłam, a przecież mogłam poprosić, żebyś się zatrzymał.

— Nie zrobiłaś siusiu.

— Jesteś pewien? Skąd możesz wiedzieć... może...

— Jestem pewien.

Dorastanie w fabryce zwierząt nauczyło Davida niejednego, między innymi tego, jak pachną wody owocowe. Stodoły, w których trzymano zwierzęta, były przesiąknięte tym zapachem, jeszcze długo po ucieczce z domu śnił mu się on po nocach.

— To niemożliwe. — Sage podtrzymywała brzuch obiema dłońmi. — Jeszcze za wcześnie...

— Wiem — powiedział, przyspieszając nieco, oblodzona droga była bardzo niebezpieczna.

— Co będzie, jeśli dziecko urodzi się za wcześnie? — W jej głosie wyraźnie słychać było lęk.

— Nie myśl o tym. — David sięgnął po omacku na tylne siedzenie. Szukał torby, w której trzymał wszystko, co potrzebne było kotom. Wiedział, że jeśli zdoła odwrócić uwagę dziewczyny od tego, co się z nią działo, mają szansę dojechać na czas. W tej chwili znajdowali się bliżej rancza DR niż jakiegokolwiek szpitala. Miał tylko nadzieję, że na ranczu znajdzie się ktoś, kto będzie wiedział, co robić.

— Chodźcie. — Sage cmoknęła na koty. Próbowwała napełnić ich butelki, ale ze zdenerwowania większość odżywkki dla dzieci wylała sobie na kolana. Kociakom to nie przeszkadzało, jadły wprost z ubrania.

— Dobrze się czujesz?

— Doskonale. Przykro mi, ale musiałeś się pomylić. Wody wcale mi nie odeszły, to musiało być coś innego. Więc wróćmy do rozmowy, Jake. Pamiętasz...

— Daj spokój. — David znów lekko przyspieszył. Promienie słońca odbijały się od śniegu i lodu, rażąc go w oczy. Po prawej stronie góry wznosiły się wysoko w niebo, za godzinę zaczną rzucać cień na drogę i warunki jazdy znacznie się pogorszą. Wprost nad ich głowami gromadziły się chmury. Sage oddychała ciężko, z wysiłkiem, jakby coś się z nią działo; jej ciało wiedziało to, czego mózg nie chciał przyjąć do wiadomości.

— Jake, tak sobie myślałam...

— Nie nazywaj mnie Jake!

— Posłuchaj przez chwilę, dobrze? Jesteś dzieckiem adoptowanym, prawda? A kiedy miałeś trzy, może cztery lata, zgubiłeś się w jaskini?

— Owszem. I co z tego?

Nadal doskonale pamiętał jaskinię: mrok i żółte ślepie, i własny głos odbijający się echem od ścian, gdy wołał „mamo!”, „tato!”.

— A jeśli to jest jedno wspomnienie? Jeśli wszystko stało się w tym samym czasie?

— Niemożliwe. — Nie zamierzał dłużej wysłuchiwać jej głupich teorii. Pomysł, że pochodzi z dobrej rodziny, wydał mu się zbyt piękny, by w ogóle go rozważać; gdyby teraz zaczął ludzić

się nadzieją, a potem się rozczarował, chyba runąłby swym starym samochodem w przepaść. Z drugiej strony, im więcej ona będzie gadać, tym łatwiej choć na chwilę zapomni o tym, co się dzieje.

— A jeśli jest to możliwe? Na przykład: nie zostałeś adoptowany jako niemowlę, tylko kiedy miałeś te trzy czy cztery lata?

— Zamieszkałem tam jako dziecko. Oni... — chciał powiedzieć: „oni mi powiedzieli”, ale urwał, bo uświadomił sobie ciekawą rzecz. W jaskini krzyczał „mamo!”, „tato!”, ale swych przybranych rodziców nigdy tak nie nazywał. Zawsze mówił im po imieniu.

— Czemu milczysz? — spytała Sage. — Wiem, że coś sobie przypominałeś.

— Nie, nic.

— Jesteśmy bliźniętami. Potrafię wyczuć, kiedy coś sobie przypominasz.

Umilkła. Zajął się kociakami, próbowała je karmić. Nagle wyprostowała się, przestraszona.

— Och...

— Co się stało?

— Oooooch...! — krzyknęła i pochyliła się, omal nie miażdżąc zwierząt, które w panice uciekły na tylne siedzenie. Kołysała się w przód i w tył, jęcząc z bólu. David spojrzął na drogę, zerknął w niebo, dodał gazu. Sage oddychała chrapliwie, jęczała cicho. Nie mógł nawet wyciągnąć do niej ręki, jakoś jej pocieszyć, bo bał się puścić kierownicę.

— Oddychaj — powiedział.

— Przecież oddycham — odparła z płaczem.

Wreszcie zobaczyli przed sobą prawdziwą szosę. David widział jadące nią samochody, poruszały się wprawdzie powoli, ale przecież dokądś zmierzały. Musiał jeszcze zjechać ze wzgórza, które rzucało cień na leśną dróżkę. Delikatnie wcisnął hamulec. Udało mu się zmniejszyć prędkość, chociaż samochód zarzucił. Wszystko będzie w porządku, musi tylko uważać i nie wpadać w panikę.

— Jake! — krzyknęła dziewczyna.

— Jesteśmy prawie na miejscu. — Jeszcze mocniej ścisnął kierownicę samochodu wuja. Wujowi powodziło się nieźle, zwłaszcza w porównaniu z jego rodziną, czasami mogło się nawet wydawać, że ich nędza budzi w nim poczucie winy. Od czasu, kiedy zagroził, że zabierze Davida, nie odwiedzał ich już, ale przysyłał pieniądze, ubrania, no i dał im swoją starą terenówkę.

— Oooooch!

Pamiętał, jak pewnego dnia wyjrzał przed dom i zobaczył zaparkowany na podjeździe samochód. Był taki uradowany, cieszył się nadzieją na wizytę wujka. W fabryce zwierząt nadzieja była czymś rzadko spotykanym, David pamiętał go jednak jako człowieka miłego i wesołego, który bawił się z nim, pytał, co u niego, próbował go chronić przed złem. No i ocalił mu życie w jaskini.

David sam nauczył się prowadzić ten samochód. Miał wówczas czternaście lat, był o wiele za młody, by dostać prawo jazdy, ale tu, na zapadłej prowincji, kto miał o tym wiedzieć? Rodziców nic to nie obchodziło, cieszyli się tylko, że może wywozić chore i umierające zwierzęta na pole, gdzie były zakopywane, że może późnym wieczorem dostarczać psy klientom, jeździć tam, gdzie nie powinien zostać przyłapany przez policję. Drogi były często błotniste lub oblodzone; nauczył się prowadzić terenowy samochód, tak jak inne dzieci ucza się jeździć na nartach.

Kazali mu zabijać chore szczeniaki i matki zbyt stare lub wysłużone, by nadal mogły rodzić. Do dziś, ilekroć zamykał oczy, widział smutne pyski, słyszał ciche skomlenie i stuk siekiery o pień. Rodzice wyznaczyli mu rolę kata, zabił więcej psów, niż był w stanie policzyć.

Gdy tylko zdołał zgromadzić wystarczająco dużo pieniędzy i jedzenia — było to w sierpniu — i wykradł Petal z jej klatki, ukradł samochód wuja i uciekł. Z początku nie planował kruczaty, wiedział tylko, że nigdy nie wróci do rodziny. Im dłużej jednak jeździł po kraju, im częściej przyglądał się psu, tak niesamowicie wdzięcznemu za ocalenie, tym głębiej wierzył, że jego życiową misją jest ratowanie psich matek.

I kobiet matek — pomyślał, patrząc na Sage.

— Boli. — Dziewczyna siedziała zgięta we dwoje. — Jeszcze nigdy brzuch nie bolał mnie tak strasznie.

— To skurcze.

— Niemożliwe! — Twarz miała wykrzywioną z bólu... i ze strachu. — Przecież jest za wcześnie. Cięża trwa dziewięć miesięcy! Brzuch mnie boli, bardzo boli, pewnie zjadłam coś niedobrego. Te płatki...

— Rodzisz dziecko. — David nie spuszczał wzroku z szosy; jechał ostrożnie, lecz dość szybko, w dół oblodzonego nierównego zbocza. Niespełna pół kilometra i wyjechali z dzikich lasów środkowego Wyoming. „Mamo!” „Tato!” Dziwne, ale ten głos sprzed lat brzmiał mu w głowie coraz donośniej.

Dalton przypominał sobie stare westerny, w których bohater naszpikowany strzałami, ociekający krwią, pełznie górskim kanionem, przewala się przez szczyt wzgórze i w ogóle dokonuje nadludzkich wysiłków, by uratować jakąś nędzną rodzinną farmę. On sam czuł się dziś właśnie jak taki bohater. Jego pamięć praktycznie nie funkcjonowała już, ale czepiał się jej jakimś cudem ocalałych resztek, powtarzając sobie, że musi zadzwonić do prawnika, skontaktować się z nim o dziewiątej rano, naprawić wyrządzoną Louisie krzywdę, doczekać jakoś tej godziny, choć minuty wlokły się powoli jak jeszcze nigdy.

Myśli przypominały mu węże — im bardziej starał się je utrzymać, tym łatwiej się wyślizgiwały, na zawsze znikwały w ciemnych kątach. I wydawały się równie obrzydliwe jak myśli o śmierci, utracie pamięci, testamencie. Ale jeśli nie załatwi tej sprawy dziś, być może nie zdoła jej załatwić nigdy.

Alma cicho weszła do pokoju, niosąc miskę z wodą. Dalton wyprostował się w wózku, tak wściekły, że mu przeszkadza, że omal nie zapomniał, co postanowił zrobić. Trzymał w ręku kartkę papieru, na której drżącą ręką napisał jedno słowo: „Prawnik”. Kiedy Alma przygotowywała się do ogolenia go, spojrzawszy na kartkę, nie pamiętając, co oznacza to słowo.



— Co to w ogóle jest! — warknął. Alma chciała przeczytać je, ale cofnął rękę. — Nieważne — powiedział i nagle pamięć mu wróciła. — Poproszę telefon.

— Muszę pana ogolić...

— To bardzo miło z twojej strony, ale najpierw muszę załatwić pewną sprawę, młoda damo.

Alma przygryzła wargę jakoś' dziwnie, od środka, a usta ściągnęła w cienką linię. Biednej kobiecie los poskąpił urody, a z tą dziwną miną wyglądała jeszcze gorzej. Była chorobliwie blada, brwi miała wyskubane za bardzo i bynajmniej nie wyglądała sympatycznie. Dalton miał nadzieję, że bliskość Louisy wpłynie korzystnie na jej wygląd, bo w tej chwili mogło się wydawać, że lada chwila zemdleje.

— Chodzi o to... — szepnęła, wyłamując sobie rękę — że zdarzyło się coś nieoczekiwanego, muszę wrócić do rodziny, a przedtem chciałabym zająć się panem i...

— Najpierw daj mi ten cholerny telefon. Jeśli chcesz zobaczyć coś nieoczekiwanego, zobaczysz, kiedy nie dostanę telefonu!

Alma przygryzła wargi jeszcze mocniej, westchnęła ciężko i poszła po telefon do gabinetu. Dalton wpatrywał się w kartkę papieru, starając się nie myśleć o niczym, tylko pamiętać. Noga w gipsie sterczała sztywno, symbolizując strzały z westernów; uświadamiała mu, że liczy się każda chwila. Ostatni akt musi odegrać z klasą.

Kiedy Alma wróciła z telefonem, wysłał ją natychmiast z powrotem po notes z adresami. Kazał jej znaleźć numer do kancelarii Harding & Powell; jeśli wiedziała, że to najlepsza firma prawnicza w Dubois, ukrywała tę wiedzę doskonale. Wykręciła numer. Wziął słuchawkę i czekał, aż się wyniesie.

— Woda stygnie — powiedziała, sprawdzając temperaturę w misce z wodą do golenia.

— To zagrzej ją, dobrze? — Udało mu się załatwić naraz dwie sprawy: pozbył się jej i zapewnił sobie przyjemne golenie. — Dobra dziewczynka.

Wayne Harding i Dalton Tucker robili razem interesy przez pół wieku, a pół wieku wcześniej wspólne interesy robili ich ojcowie.

Testamenty, ustanawianie funduszy, umowy, transakcje handlowe, wszystko załatwiane było w ten sam sposób: Tuckerowie dzwoniли do Hardingów. Podobnie sprawa przedstawiała się z zarządcami rancza, którymi zawsze byli Marchowie: Paul, a przed nim ojciec Paula. Niektóre związki trwały długo. Wayne wybrany został ostatnio na sędziego spadkowego, ale nadal pracował dla Daltona.

— Miło mi usłyszeć twój głos — powiedział do słuchawki.

— I nawzajem. — Porozmawiali chwilę o pogodzie, bydle i rodzinach. Potem Dalton wyjaśnił, o co mu chodzi. Prawnik słuchał uważnie, nie przerywając. Wiedział, jak bardzo lojalny wobec syna jest jego przyjaciel, wiedział, że kocha Louise, znał skomplikowane stosunki łączące Tuckerów i Rydellów.

— Sprawdźmy, czy dobrze to zrozumiałem. — Wayne robił notatki podczas rozmowy i teraz z nich korzystał. — Chcesz dać Louise prawo do mieszkania na ranczu. Do końca życia.

— Tak. — Stary ranczer nie potrafił już myśleć jasno, ufał jednak przyjacielowi i wiedział, że spełni on jego życzenia co do joty. Wiedział, że może się już odprężyć, że nie musi myśleć o wszystkich szczegółach.

— Nie zostanie jego właścicielką, nie będzie miała prawa sprzedać go ani przekazać spadkobiercom... — Wayne zachichotał. — No, Todd i Tammy z pewnością się z tego ucieszą.

— Twoja sprawa, jak to załatwisz, ale żadni Rydellowie nie mają prawa uśmiechać się przy czytaniu mojego testamentu.

— Żadni?

— Żadni! — Starzec walnął pięścią w oparcie fotela.

— Jak by ci to powiedzieć... Louisa jest z Rydellów.

— Cholera! — Dalton kochał ją tak bardzo, że zupełnie o tym zapomniał.

— Możesz to przecież zmienić. Zrób z niej uczciwą kobietę. Ożeń się z nią.

Przez wszystkie spędzone wspólnie lata Daltonowi Tuckerowi myśl ta przechodziła przez głowę z pięćdziesiąt milionów razy. Rzeczywiście, tym by ją uszczęśliwił: pierścionek na palcu, uroczystość... i jaka piękna byłaby z niej panna młoda! A on: zwiędły

starzec z nogą w gipsie, siedzący na wózku inwalidzkim, okryty szlafrokiem, z cylindrem na głowie. Skrzywiony James stoi nieco z boku, na czerwonej poduszce trzyma obrączki i sztuczną szczękę ojca.

— Gównno. Musiałeś o tym wspomnieć?

— A co, zacząłeś się zastanawiać?

— Pieprz się! — zaklął starzec soczyście. Rosalinda patrzyła na niego z portretu wiszącego na ścianie sypialni, znajdującej się po przeciwnej stronie korytarza — drzwi były otwarte, żałował, że nie może wstać i ich zamknąć.

— Jesteś starym romantykiem — powiedział prawnik. — Jenny nie kryje się z tą opinią, co roku czuje się coraz bardziej rozczarowana, bo nie mogła się doczekać zaproszenia na ślub. Tak chciała zobaczyć was jako małżeństwo.

— Czekala dwadzieścia osiem lat. Wytrzyma dwadzieścia dziewięć.

— W porządku — roześmiał się Wayne. — Przygotuję nowy testament i podrzucę ci go w tym tygodniu.

— Niech to będzie raczej wtorek niż piątek. Nie robię się przecież coraz młodszy. I jest jeszcze jedna sprawa.

Starzec zniżył głos, przekazując wszystkie konieczne szczegóły. Jego przyjaciel zrobił bardzo dokładne notatki. Obiecał, że skontaktuje się z właściwym człowiekiem i przygotowuje dokumenty do podpisania razem z testamentem.

Skończyli rozmowę. Teraz Dalton Tucker był gotów do golenia. Na dole dostrzegł jakieś postaci, Alma była z kimś... z młodym mężczyzną. Błagała go o coś, stała z wyciągniętymi rękami. Kłopoty w rodzinie przyprowadziła ze sobą — pomyślał Dalton. Postać mężczyzny wydała mu się znajoma: śmiała, wręcz arogancka; ten człowiek był zbyt zajęty sobą, by słuchać. Odepchnął ją, chciał odejść. I jemu wiele razy zdarzyło się odpychać kobiety i odchodzić od nich.

— Młody człowieku! — zawołał.

Mężczyzna obrócił się.

— Podejdz!

— Richard. — Alma złapała go za rękaw.

— W moim domu rządzą ja. Podejdź, kiedy cię wołam. Młody mężczyzna był szczupły, wysoki. Nawet z odległości dziesięciu metrów widać było jego chudą twarz i nieprzyjemny uśmiech. Włosy miał długie, brązowe, brudne, ubrany był w obrzydliwe strzępy wełnianej tkaniny. W ręku trzymał broń.

— Czego chcesz? — spytał.

— Kim jesteś?

— Panie Tucker — wyjąkała Alma — to rodzinna sprawa... między mną i moim synem.

Richard odepchnął matkę. Pochylił się nad starcem.

— Jestem Strażnikiem. Wiesz, co to znaczy?

— Nie. A powinienem?

— Zabrałeś coś, co nie należy do ciebie. — Młody człowiek zachowywał się jak szaleniec, jego zielone oczy błyszczały. Dalton pochylił się, chcąc wyrwać mu broń, ale uwięziony w wózku z usztywnioną nogą nie był w stanie jej dosięgnąć. Usłyszał kpiący śmiech. — Ty stary głupcze! Mógłbym cię zabić, gdybym chciał, ale szkoda na ciebie dobrej kuli.

Odwrócił się. Alma krzyknęła „Richard!”. Z okrzykiem „wracaj!” Dalton rzucił się z fotela i złapał go w pasie. Noga bolała go, jakby była przypalana żywym ogniem, ale musiał przecież bronić domu, rodziny. Potoczyli się po podłodze. Zdołał złapać intruza za ramię, ale nie wystarczająco mocno. Richard zaklął i uderzył go w głowę kolbą rewolweru.

Sage nie pamiętała zakończenia podróży. Nawet w najgorszych koszmarach nie wyobrażała sobie tak straszego bólu. Zogniskowany w brzuchu, rozchodził się po ciele gigantycznymi falami. Natura nie mogła stworzyć czegoś, czego ludzie nie byliby w stanie znieść, ale choć to, co przeżywała, było straszne, nie zapomniała, o ile straszniejsze musi być dla dziecka. Jakim cudem płód zdoła przeżyć taką burzę? Próbowwała uchwycić klamkę u drzwi, tylko po to, by się czegoś przytrzymać, ale nie była w stanie nawet zacisnąć palców. Próbowwała powiedzieć: „Jake!”, ale tylko jęknęła przeraźliwie.

— Wytrzymaj. — David prowadził tak szybko, jak to tylko było możliwe.

— Nie dam rady... nie potrafię!

— Oddychaj głęboko.

— Mój Boże — syknęła dziewczyna przez zaciśnięte zęby.

Czuła ból tego, co Jake nazywał skurczem, i w tej chwili była skłonna przyznać mu rację. Miała wrażenie, że wielki niedźwiedź rozrywa jej ciało, ale od środka. — Pamiętasz niedźwiedzia? — wyrzeźbiła niemal nieprzytomna.

— Mówiłaś coś?

Zacisnęła zęby. Czuła łzy spływające po policzkach. Nie była w stanie wypowiedzieć jednego słowa, ale pamięcią sięgnęła po najstraszniejsze przeżycie z dzieciństwa: pewnego razu ona, brat i rodzice pojechali na wycieczkę w góry. Obozowali pod namiotem. Ojciec poszedł po wodę czy coś takiego, a wówczas zaatakowała ich niedźwiedzica grizzly. Była malutka, ale nadal pamiętała jej zęby: wielkie, ociekające śliną, rozrywające płachtę namiotu. Teraz czuła je w sobie, rozrywające jej wnętrzności.

— Wspomniałaś coś o niedźwiedziu?

Owszem — pomyślała i zacisnęła zęby na rękawie kurtki, bo samochód podskoczył na zamarzniętym śniegu.

— Aaaaa...!

— Widziałaś kiedyś grizzly? — spytał chłopak. Mówił szybko, jakby pragnął odwrócić jej uwagę od bólu. — Jeden kiedyś mnie zaatakował. No, prawie zaatakował. Niewiele pamiętam, ale to była niedźwiedzica z małymi. Straszna jak nie wiem co. Pazury miała wielkości bananów. O zębach lepiej nie mówić.

— Byłam taaaaam! — krzyknęła Sage. Doskonale pamiętała ten obraz. Oboje go pamiętali, to oczywiste. Trzyletnie bliźnięta zaatakowane przez rozwścieczonego niedźwiedzia... w ich koszmarach przeżycie to miało pozostać na zawsze.

David nie zrozumiał, a w każdym razie nie miał czasu odpowiedzieć. Jechał szybko, wyprzedzał większość samochodów na drodze. Sage wydawało się, że pędzą, że wręcz spadają kanionem wśród skalnych ścian. Pomyślała o Benie i rozplakała się, że go z nią nie ma. A przecież rodziło się ich dziecko, powinien trzymać

ją za rękę, odgarniać włosy ze spoconego czoła, jak to jest z rodzinami w telewizji: tata martwi się, kiedy mama płacze, ale mama nigdy nie płacze naprawdę, bo przecież na świecie jest tyle rzeczy, z których warto się cieszyć.

— Beee... — jęknęła.

— Nazywasz mnie „Ben”? — próbował zażartować David.  
— Lepsze to niż „Jake”.

Skurcz minął, znikł niczym echo kopyt tabuna koni, cichnące za górskim grzbietem. Podtrzymała brzuch, nie wiedząc, co się teraz w nim dzieje. Czuła ból, ale już nie tak straszny jak przed chwilą. Mimo niskiej temperatury i zasp śniegu za oknem samochodu spływała potem. I nie mogła przestać płakać.

— Ben to ojciec dziecka — wyjaśniła. — Chciałabym, żeby tu był.

— Przykro mi, że go nie ma.

— Nie zdążyliśmy pójść do szkoły rodzenia.

— A co to takiego?

— Szkoła. Rodzice uczą się, jak rodzić dzieci.

— Co?

— Chciałam, żebyśmy byli razem. — Dziewczyna płakała, kołysząc się na siedzeniu. — Chciałam, żeby przeprowadził mnie przez poród.

— Jak to?

— Przeprowadził przez poród. Jeśli to rzeczywiście były skurcze, mierzyłby czas ich trwania i powtarzał, że świetnie się trzymam. Jest ojcem, na dziecku zależy mu najbardziej ze wszystkich rzeczy na świecie. Och! — zacisnęła zęby. Wszystko zaczęło się od nowa.

— To rzeczywiście były skurcze — powiedział poważnie David. Zerknęła na niego i zobaczyła, że koncentruje się niemal tak mocno jak ona, nie odrywa oczu od drogi, a gaz wciska do dechy.

— Szkoda... szkoda, że go tu nie ma. Wszystko dzieje się tak strasznie szybko. Chcę do taty. Potrzebuję go.

— Jesteśmy prawie na miejscu. Spójrz...

Mrugnęła, aż łzy skapnęły jej z rzęs i mimo powracającego bólu rozpoznała bramę wjazdową na ranchu DR. Na kamiennych



słupach wisiała biała brama, szeroko otwarta dla świata. Rozejrzała się, ale nie dostrzegła domu, tylko drzewa i skały. Wiedziała, że ranczo jest ogromne, ale teraz musiała, po prostu musiała znaleźć się w domu.

— Pomocy! — jęknęła, po omacku szukając na siedzeniu czegoś, czego mogłaby się chwycić.

— Pomogę ci.

— Nie możesz. — Drugi skurcz był tuż-tuż. — Nie wiesz, co to jest szkoła rodzenia. Nie wiesz, co to znaczy „przeprowadzić przez poród”. Nie wierzysz, że jesteś Jakiem. Chcę do taty!

Błądząc ręką po siedzeniu, trafiła na jego dłoń. Chwycił ją natychmiast.

— Ściśnij. Ściśnij mocno!

— Oooo! — krzyknęła. — Co będzie, jeśli nie zdążymy dojechać na miejsce? — Przerzązał ją skurcz, być może tak straszny jak ten poprzedni, a może nawet silniejszy. Ścisnęła jego rękę z całej siły; dziwne, ale jakoś jej to pomogło. Psy siedziały cicho, sześć kociąt przywarło do tylnego siedzenia, równym szeregiem, niczym grupa zorganizowanych kibiców.

— Dowiozłem cię aż tu, myślisz, że cię teraz porzucę? Na Boga, dziewczyno! Trzymaj się. Jesteśmy...

— Prawie na miejscu?

— Nie „prawie”. — Wcisnął pedał do dechy. — Jesteśmy na miejscu.

Sage cierpiała tak potwornie i tak potwornie się bała, że nie potrafiła okazać mu wdzięczności za to, że był z nią. Wspomnienia z dzieciństwa — pomyślała — czyżby oboje pamiętali tego samego niedźwiedzia? Nagle, to zdumiewające, przestało ją obchodzić, czy David jest Jakiem, czy też dziwnym, obcym człowiekiem. Okazało się to po prostu nieważne. Kochał zwierzęta, wzywał dobre duchy, przywiózł ją do domu. Anioły pojawiają się w różnych przebraniach. I dlatego, kiedy na niego spojrzała, wiedziała, że wszystko jakoś się ułoży.

— Nie dojadę — powiedziała.

— Ale przecież...

— Teraz. — Poczula, jak w jej ciele coś się przesuwa. To, co miało się zdarzyć, zdarzy się za chwilę, nie, dzieje się już. — Zda-  
je się, że rodzę.

David zatrzymał samochód. Spojrzał na nią, a Sage, jakby robiła to już wielokrotnie, wyczuła skurcz i rozstawiła nogi.

RS

James odprowadził Daisy do jej małego domku i pojechał z powrotem na ranczo. Z dłonią przy czole rozglądał się dookoła, szukając chłopaka, o którym mówił mu Todd. Był teraz w kanionie, w którym dwukrotnie znalazł jego ślady.

Przejeżdżając pod Klifem Rydella, zatrzymał się i spojrział w górę. Próbował wyobrazić sobie dziadka, zaganiającego tu stado owiec na pewną śmierć. Wiosną zwierzęta uwielbiały paść się w tym właśnie miejscu, jakby tu rosła trawa smaczniejsza niż gdziekolwiek indziej na ranczu. Kości owiec nasyciły ją wapniem, a bydło bardzo to smakowało. Będąc małym chłopcem, Dalton pomagał swemu ojcu w dokonaniu tego dzieła. Był z nimi także ojciec Paula, Asa.

James Tucker siedział w siodle wyprostowany, wpatrując się w skalną ścianę, czerwoną, poszarpaną, porytą półkami, kominami, pionowymi szczelinami. Oczami wyobraźni widział spadające owce i zastanawiał się, jak dziadek mógł to zrobić. A ojciec... widział przecież przerażenie w oczach zwierząt, słyszał ich śmiertelny krzyk.

I wówczas zobaczył łeb byka.

Łeb byka nadziany na pień uschłego cedru, jakieś pięć metrów nad jego głową. Ptaki dobrały się do niego, widział, jak zlatują się zewsząd, pewne, że znalazły gniazdo. W połowie oczyszczony przez kruki czerep gapił się na ranczo DR pustymi oczodołami. Prześledził drogę, którą musiał przejść samozwańczy Strażnik:

starą owczą ścieżką na wschodnie zbocze, przez wąski skalny mostek, w dół stromą półką, do drzewa. Doskonale miejsce.

Potrząsnął głową. Pomyślał, że mógłby zdjąć łeb, ale musiałby wspinać się po oblodzonych głazach jak po szkłe. Obok łba zauważył kilka innych rzeczy: przywiązane do gałęzi pasmo cielej skóry, dwie duże zwierzęce czaszki, poroże i znak „Rancho DR — wstęp wzbroniony”, którego braku nawet nie zauważył.

— Jezu Chryste — powiedział głośno. Mały musiał się bardzo starać, żeby urządzić taką wystawę. Ciekawe, ile razy on, Paul i kowboje przejeżdżali tędy, nie podnosząc wzroku. Pomyślał też o krwawej historii tych ziem: wojny indiańskie, zabijane masowo owce, zemsta Rydellów. Mały miał broń palną, z niej zabił cielaka i byka; James Tucker poczuł się nagle niepewnie, odsłonięty, łatwy łup na swojej ziemi.

Bolały go mięśnie brzucha — nie tylko dlatego, że ktoś mordował jego zwierzęta. Nie potrafił zapomnieć oczu Daisy, szeroko rozwartych, pełnych nadziei. Pamiętał też pytanie, które zadawała raz po raz: „A jeśli...?”.

Zadawał sobie to samo pytanie, nie był jednak pewien, czy zdoła znieść odpowiedź. A jeśli tym chłopcem rzeczywiście był Jake? Nie potrafił wyobrazić sobie, by jego syn mógł umieścić na ranchu coś podobnego. Ile wysiłku kosztować musiało zabicie zwierząt, kradzież znaku, przygotowanie galerii — całe godziny wyteżonej pracy. Karmiony nienawiścią, sączoną mu w serce przez Rydellów, nienawidzący Tuckerów i ich rancha przez tak wiele długich lat...

— Pomocy!

Głos odbijał się echem od skał, w pierwszej chwili James nie potrafił określić, skąd pochodzi.

— Ludzie, pomocy!

Chłopięcy głos, mocny, choć pełen rozpacz. I kontrapunktujący go krzyk, który James najpierw wziął za głos dzikiego zwierzęcia, ale po chwili zorientował się, że krzyczała młoda dziewczyna. Rozpoznał go na jakimś podstawowym, prymitywnym poziomie; tak krzyczeć mogła tylko jego córka. Sage! Uderzył konia pięta-

mi, objechał skalną ścianę i popędził galopem ku głównej drodze rancza.

Pośrodku drogi stał znajomy, stary czarny samochód; szyby miał zaparowane, drzwi od strony pasażera były otwarte. Pędził po zamarzniętym śniegu, z sercem bijącym głośniejsze niż kopyta Wodza. Przy tylnych drzwiach zgromadziły się małe zwierzęta, psy i koty. Pomiedzy rozłożonymi nogami dziewczyny stał chłopiec, spoglądający przez ramię z rozpaczą w oczach... tak mógł wyglądać tylko lekarz lub gwałciciel. James zacisnął zęby i wyciągnął z kabury pistolet.

Daisy była zbyt podniecona, zbyt ożywiona, by miała spokojnie czekać na Jamesa, zamknięta w czterech ścianach. Po prostu musiała porozmawiać z kimś o przekazanym im przez Todda ostrzeżeniu i o nadziei, która narodziła się w jej sercu. Pobiegnęła do dużego domu. W kuchni Alma Jackson rozmawiała z jakimś młodym człowiekiem.

— Przepraszam — powiedziała, zatrzymując się gwałtownie.

— Richard, odejdz.

Chłopak zamarł, szukając oczyma miejsca, gdzie mógłby się skryć. Szybko jednak zorientował się, że na to jest już za późno, więc spojrzał wprost na nią.

Daisy stała jak sparaliżowana. Patrzyła na niego, serce biło jej mocno. Chłopak miał niespełna metr osiemdziesiąt wzrostu, chudą twarz okoloną rzadką rudawą bródką, tłuste rozczochrane włosy — najwyraźniej niedawno przycięte, bo wyglądały tak, jakby sam je obciął. Zniszczonego ubrania nie prał od bardzo dawna, spod brązowej sztruksowej kurtki wyglądały postrzępione rękawy kilku podkoszulków.

— Właśnie wychodzi — powiedziała Alma.

— Nie musi. — Daisy weszła do kuchni. — Na dworze jest bardzo zimno.

— Już idę, mamó.

— Jestem Daisy Tucker. — Daisy wyciągnęła do niego rękę. Powiedziała sobie, że rozpozna go po dotyku. Czekwała na to, czując serce w gardle.

Chłopak spojrział jej prosto w twarz ciemnozielonymi oczami bez wyrazu. Bała się ich, ale uśmiechała się i nie cofnęła dłoni. Szukała jakichś śladów, po których mogłaby rozpoznać syna. Miała nadzieję, że uśmiechnie się, obnaży coś ze swej prawdziwej natury. Ale nie, Richard patrzył na nią ponury, nieprzejednany.

— Tucker — powiedział, ignorując wyciągniętą dłoń.

— Pewnie marzłeś tam, w górach. — Daisy opuściła wreszcie wyciągniętą rękę. — Twój wuj powiedział nam, że mieszkasz w namiocie. Jesteś Strażnikiem, prawda?

— Kim?

— Strażnikiem. Przed chwilą rozmawialiśmy z Toddem.

— Z wujem... — Młody człowiek ożywił się nagle, martwe oczy rozbłysły wściekłością. Na Almę.

— Rozmawiałaś z Tammy!

— Kiedy przyszedł tu w zeszłym tygodniu, byłam po prostu wstrząśnięta. Nie wiedziałam, że kryje się w górach, przy tej pogodzie... — tłumaczyła chaotycznie Alma Jackson. — Pozwoliłam mu spać w piwnicy, nie miał wstępu do reszty domu. Tylko kilka razy!

— Ty głupia, głupia kobieto! — Richard potrząsał matką mocno. — Mówiłem ci, żebyś siedziała cicho. A ty wszystko wygadałaś Tammy. Mamo!

Daisy zrobiła krok do przodu, chciała oderwać go od matki, ale w końcu się cofnęła. Chłopak miał twarz czerwoną, napięte ścięgna szyi dosłownie wychodziły mu spod skóry.

— Matki troszczą się o dzieci — powiedziała Daisy i przełknęła z wysiłkiem. — To ich pierwsze, główne zadanie.

— Gówno wiesz. — Odwrócił się tak gwałtownie, że przewrócił stolik.

— A jednak. — Spojrzała prosto w jego przerażające, martwe zielone oczy. Dlaczego są właśnie takie? W tej chwili pragnęła jedynie dotknąć go, jeśli istniał tu jakiś związek, jeśli istniały więzy krwi, była pewna, że to wyczuje. — Mam syna tam, w górach.

— Proszę pani — wtrąciła błagalnie Alma. — Niech pani nas zostawi, wróci...



Daisy nie zwracała na nią uwagi. Cała skupiła się na jej synu. Próbowwała zapomnieć o jego martwych oczach i o tym, co w jego życiu spowodowało tę śmierć duszy. Był wściekły, świadczyła o tym cała mowa ciała: napięte mięśnie, postawa, ale jego oczy pozostawały martwe. Powtarzała sobie: to może być twój syn, twoje dziecko, będziesz je kochać niezależnie od wszystkiego, miłość zwycięży każdą przeszkodę. A jeśli...

— Mój syn zaginał w górach — powiedziała. — Myślę o nim każdego dnia.

— Wiem. Straciłaś go. Wuj Todd opowiedział mi całą tę historię.

— Nie zrobiłam nic złego. Oddałabym wszystko za to, żeby się znalazł. Kochałam go z całego serca... i nadal kocham.

— Tuckerowie kochają forszę i bydło. Prawda, mamó?

— Richard!

— Rydellowie i Jacksonowie wiedzą, jak się o siebie troszczyć. Nam nie zginęłoby żadne dziecko.

— Nie! — Alma zaprotestowała gwałtownie, przerażona, zaczerwieniona z podniecenia. Stała między synem i Daisy. — On tylko tak mówi. Potrzebuję tej pracy. Tammy mi ją załatwiła, ja naprawdę potrafię to docenić. Dla niego nie ma tu miejsca. Już idzie. Jego ojciec pije przez cały czas, to on zniszczył rodzinę. Ale nic nie usprawiedliwia...

— Na dworze jest zimno — powiedziała cicho Daisy. — Doskonale to rozumiem. — Spojrzała w oczy Richarda. — Jesteś głodny? Zjesz coś?

— Nie zjem niczego u Tuckerów. A tata wcale nie zniszczył rodziny. Przy nim nie ośmieliłabyś się obszcze kiwać rodziny. — Pchnął matkę, uderzył ją mocno palcem w pierś.

— Przestań! — Daisy interweniowała. Nie zniosłaby znęcania się nad kimkolwiek, nawet nad kimś, kogo, jak Almy, nie potrafiła polubić.

— Przestań! Masz natychmiast przestać!

Dotknęła jego ramienia i poczuła chłód. Przeszył on jej ciało niczym sople lodu. W twarzy Richarda szukała jakiegokolwiek śladu świadczącego o tym, że może być jej synem. Nie znalazła

żadnego ani w wyrazie, ani w rysach. Jej trzyletnie bliźniaki były identyczne, ale nic w nim nie przypominało Sage, nie wskazywało na to, by miała do czynienia z Jakiem Tuckerem.

— Odczep się od mojej rodziny — warknął chłopak.

— Co ja takiego zrobiłam? — rozpaczła Alma. — Usypiałam cię w kołysce, śpiewałam ci na dobranoc.

— Kołysanek nie pamiętam. Zamknij się, mamo.

— Kochałam cię od dnia, kiedy pojawiłeś się na świecie.

— Nie spodziewałem się tu ciebie. To nielojalne w stosunku do wujka Todda.

— Jesteś tylko Jacksonem, nie Rydellem. — Alma potrząsnęła głową. — I w żadnym razie nie tu jest twoje miejsce. Wracaj do domu, bo skończysz gorzej niż brat. — Broda zaczęła jej drżeć. — Jestem w tym domu pielęgniarką, staram się pomóc człowiekowi w potrzebie...

— A co ze mną? — wybuchnął Richard. — Kto opiekował się mną, kiedy byłem w potrzebie? Krwawiłem, byłem ranny i sam musiałem się opatrywać. Mam bliznę tak okropną, że nikt nie jest w stanie na nią patrzeć.

— Wiem, skarbie. Żałuję...

— Jest jak wąż, gruba i ohydna, biegnie przez pośladek aż do uda. Nie miałem szansy jej oczyścić, nikt nie zszył rany. Gdzie wówczas byłaś?

— Powinnam być z tobą.

— Pewnie że tak. Ale miałaś lepsze rzeczy do zrobienia.

— Popeliłam błędy — powiedziała kobieta cicho, jakby nie chciała, by Daisy słyszała historię jej rodziny. — Powinnam być przy tobie wówczas i w wielu innych sytuacjach. Życie z twoim ojcem... czasami musiałam wyrwać się na wolność, Richardzie. Przepraszam cię.

— Nie zrzucaj winy na niego. — Twarz chłopaka wykrzywił grymas wściekłości. — Gdybyś stworzyła mu lepszy dom, to może by został.

Daisy przyglądała się im obojgu i resztki podejrzeń, że Richard może być Jakiem, znikły bez śladu. Potrafiła rozpoznać miłość macierzyńską, a teraz widziała ją w czystej postaci w smutku

Almy, która zawiiodła swe dzieci. Ten chłopak musiał być jej synem. Spojrzała w jego martwe oczy i zadrżała.

— Został... — Alma zwróciła się bezpośrednio do niej. — Pół życia spędził w więzieniu, przez drugie pół pił na umór. Todd pełnił rolę ojca. Pozwoliłam Richardowi bardzo się z nim zaprzyjaźnić i proszę, do czego to doprowadziło.

— Twój wuj bardzo się o ciebie martwi. — Daisy nadal próbowała się uśmiechnąć. — Powiedział nam o tym.

— Nam? Tobie i ranczerowi?

— Tak. Chcemy wam pomóc, James i ja...

— Nie przyjąłbym waszej pomocy, nawet gdybym umierał.

— Richard chwycił kurtkę i ruszył ku wyjściu.

Alma rozplakała się, chwyciła go za rękaw.

— Nie umieraj!

Syn odepchnął ją brutalnie.

— Nie obawiaj się, nie umrę.

Odszedł i Daisy powinna była odczuć ulgę, był przecież groźnym, gwałtownym młodym człowiekiem. Jednak odprowadzała go wzrokiem z ciężkim sercem. Mógł przecież okazać się Jakim. Pragnęła, by tak było. Mimo że miał swoje problemy, wierzyła głęboko, że — jako Jake'a — potrafiłaby go uleczyć, zadośćuczynić niesprawiedliwości i okrucieństwu świata, z którymi musiał się zetknąć w dzieciństwie. Miłość leczy... miłość leczy wszystko.

Miłość potrafi wyleczyć krzywdy, smutki, cierpienia, stratę, brak bliskich, nieznośny ból. Miłość leczy wszystko. Proces leczenia nie byłby z pewnością ani prosty, ani szybki, nie mogłaby liczyć na natychmiastowy tryumf i zadośćuczynienie. Daisy Tucker była jednak kobietą cierpliwą i wytrzymałą, a także głęboko wierzącą w magię miłości; gdyby Richard Jackson był jej synem, z pewnością któregoś dnia zobaczyłaby uśmiech w jego martwych zielonych oczach.

Richard Jackson nie był jednak jej synem.

— Pomocy! Niech mi pan pomoże, proszę pana.

Dziewczyna krzyczała cienko, przeraźliwie. James dał Wodzowi ostrogę, kary niemal frunął ponad śniegiem. Chłopiec po-

chylił się, skupiony na tym, co musiał zrobić. Wołając o pomoc, odwracał się, ale kiedy zobaczył, że James pędzi w jego kierunku, pochylił się, całą swą uwagę poświęcając rodzącemu się dziecku.

Wiedział, że ranczer zbliża się szybko, nie on jednak był obiektem jego zainteresowania. Na farmie wielokrotnie widział porody u zwierząt, był przy matce, kiedy rodziła jego brata, i ostatnie skurcze uświadomiły mu oczywisty fakt: Sage rodziła, nie mieli najmniejszej szansy, by dotrzeć do zabudowań farmy.

— Aaaa...! — jęczała dziewczyna. — Boli!

— Rodzisz. Przyj. Słyszysz mnie, Sage? Stać cię na ten wysiłek?

Sage nie marnowała energii na słowa. Spocona, z czerwoną skrzywioną twarzą, parła z całej siły, marząc o tym, by urodzić dziecko jak najszybciej. David rzucił na bok rękawiczki, w których prowadził, wyciągnął ręce. Chwycił oburącz małą główkę. Dziecko było maleńkie jak szczeniak, znacznie drobniejsze, niż powinien być ludzki noworodek.

Stukot kopyt uderzających o lód ucichł. Mężczyzna zeskoczył z siodła, podszedł i syknął cicho, widząc, co się dzieje.

— Sage...?! — zawołał załamującym się głosem.

Sage nie słyszała go, a jeśli nawet słyszała, nie podniosła głowy. Na pół siedząc w samochodowym fotelu, rodziła. David czuł, że serce bije mu mocno. Nie lubił ranczerów i nie ufał im, z samej swej natury ranczo przypominało przecież fabryki zwierząt. Ranczerzy zdobywali zaufanie zwierząt, a potem wykorzystywali je, by zarobić pieniądze. Znaleźli się jednak na terenie rancza DR, a ten człowiek był ojcem dziewczyny, która przewędrowała blisko pięć tysięcy kilometrów, by się z nim zobaczyć.

— Potrzebuje pomocy — powiedział, nie odwracając się. Nadal trzymał w dłoniach główkę dziecka.

— Więc pozwól mi jej pomóc. — Ranczer rzucił na ziemię skórzane rękawice i stanął obok. Wyciągnął ręce... drżące ręce... i wielkimi dłońmi ujął dłonie chłopca.

— Boże! — jęknęła Sage przez zaciśnięte zęby. — O mój Boże!

— Wszystko będzie dobrze, kochanie. Jeszcze chwilka.

O, właśnie tak.

— Boli, tato. Boli!

— Wiem, kochanie. Jeśli możesz, przyj. Jeszcze chwilka. Tak, doskonale. Bardzo dobrze.

David cofnął się o krok. Jego zwierzęta skupiły się przy tylnym kole samochodu, ogrzewały się nawzajem, nie oddalając się od Sage. Przykucnął; psy wskoczyły mu na kolana, kocięta pod kurtkę. Kręciły się przez chwilę, szukając najwygodniejszej pozycji do drzemki. Chłopiec przymknął oczy.

— Oooch...! — krzyknęła dziewczyna. — Ooooch...!

— Jeszcze raz — powiedział James głosem łagodnym, pełnym miłości. David nie wiedział, że ranczerzy — i ojcowie — mówią do dzieci w ten sposób. Przemawiał do córki, a córka do niego, jakby całe życie przeżyli razem, a nie na przeciwnych krańcach kontynentu.

— Dziecko! — krzyknęła Sage, wyciągając ręce. — Urodziło się? Zdrowe? Proszę...

— Mój Boże — szepnął mężczyzna.

— Dziecko! — krzyknęła przez łzy dziewczyna, wyciągając ręce. — Dajcie mi dziecko. Tatusiu, tatusiu! Jake, dajcie mi dziecko.

David obejrzał się. Ranczer trzymał w ramionach noworodka i teraz chłopiec dostrzegł wyraźnie to, co wyczuł, kiedy obejmował jego główkę. Dziecko Sage urodziło się martwe. Serce mu zamarło; widywał wprawdzie martwe psy, ale nic nie przygotowało go na taki widok. Sage wyciągała ręce, a on nie był w stanie nawet na nią spojrzeć. Po ogorzałych od słońca policzkach ranczera płynęły łzy. Tulił dziecko, by je ogrzać, próbował ożywić je sztucznym oddychaniem. Niemowlę było zupełnie bezwładne, ale nie zwracał na to uwagi. Zrzucił kurtkę i sweter, podał je Davidowi, by owinął nimi Sage, i nadal próbował ożywić martwe dziecko.

— Żyj, proszę — powtarzał. — Proszę.

— Tatusiu, daj mi dziecko.

David wstał. Pragnął pomóc im obojgu, ale nie wiedział, jak to zrobić. Dziewczyna i jej ojciec sprawiali w tej chwili wrażenie

szaleńców. Mężczyzna ściągał flanelową koszulę, przez chwilę nie mógł wyjąć dłoni z rękawa, ale w końcu jakoś sobie poradził. Sięgnął po nóż przy pasie i przeciął pepowinę.

— Urodziłam chłopca? Czy to dziewczynka?

Nie odpowiedział. Otulił noworodka koszulą i nadal stosował sztuczne oddychanie; podtrzymywał je potężnym ramieniem. Oczy płonęły mu dziko. Przykleknął na śniegu.

— Córeczko... — powiedział cicho.

Bliska hysterii Sage na jego widok zaczęła się powoli uspokajać. David widział, jak spotkały się ich spojrzenia i jak w oczach dziewczyny pojawiło się światło, radość.

— Tato — szepnęła — to naprawdę ty.

— Miałaś syna, kochanie.

— Miałam? — spytała wysokim przestraszonym głosem.

Wyciągnęła ręce spod kożuszka, którym ją przykrył.

— Był taki mały. — Dłonie ranczera drżały. David stał za nim, widział napięte mięśnie jego ramion. Było bardzo zimno, ale on chyba nie odczuwał mrozu. Mówił powoli, równym, spokojnym głosem. — Za mały. Nie dał rady.

— Nie dał rady? — spytała z niedowierzaniem.

James Tucker potrząsnął głową. David zadrżał. Pamiętał swojego pierwszego szczeniaka; kiedy zdechł, ojciec kazał mu wyrzucić go do śmieci i nie chciał więcej o nim słyszeć, bo akurat oglądał w telewizji mecz rozgrywany przez Nebraska Cornhuskers. David przyglądał się teraz ranczerowi, półnagiemu na trzaskającym mrozie, którego nawet nie zauważał, i zastanowił się nad sensem życia.

— Jest piękny — powiedział James. — Podobny do ciebie.

— Mogę go potrzymać?

Mężczyzna skinął głową, pochylił się i włożył martwe ciało wnuka w ramiona córki. I wówczas uszła z niego cała energia. Pocałował córkę w czubek głowy, objął ją i dziecko, a kiedy się od nich oderwał, po policzkach spływały mu łzy. Odsunął się, pozwalając, by jego dziecko mogło choć przez chwilę być sam na sam z niemowlęciem.

— Ona potrzebuje pomocy — powtórzył David.



— Wiem. — Ranczer zgubił kapelusz, wiatr przewiał go po śliskim lodzie. Patrzył na chłopca, jakby go oceniał. — Jeździsz konno?

— Prowadzę samochód. Swoją samochód.

— Nie zostawię jej, żeby sama wracała do domu. Weź konia, ja poprowadzę.

— Mowy nie ma. — Chłopak nie miał zamiaru powierzyć swych zwierząt jakiemuś ranczerowi. — Tu jestem potrzebny. Ja poprowadzę, a pan może pojechać ze mną. Czy to daleko?

— Pięć kilometrów.

Załadowali zwierzęta do środka, ojciec usiadł przy córce i ruszyli. Podróż dobiegła końca; Sage zostanie z rodziną, a on, David, będzie mógł ruszyć w dalszą drogę.

RS

Louisa uwielbiała próby w towarzystwie wielkich artystów. Wybierała płytę którejś ze swych faworytek: Patsy Cline, Loretty Lynn, Reby McEntire i śpiewała wraz z nią, słuchając muzyki przez słuchawki. Czasami towarzyszyła Garthowi Brooksowi, czasami Waylonowi Jenningsowi, od czasu do czasu samej sobie. Muzyka ożywiała ją, poprawiała jej humor, ale po kłótni z Daltonem była tak przygnębiona, że nawet ona nie była w stanie jej pomóc. Przerwała więc próbę, poszła do kuchni zrobić sobie kawę i wpadła wprost na Almę i Daisy.

— Kto jest z Daltonem? — zapytała natychmiast.

Alma zawahała się, ale tylko na chwilę. Bardziej od starca zajmowało ją to, co widziała za oknem.

— Dokąd teraz pójdzie? Boże, żałuję, że nie potrafiłam skłonić go, by wrócił do domu, gdzie przynajmniej jest ciepło!

Daisy podeszła do pielęgniarzki i objęła ją. Teraz obie patrzyły na dwór. Alma stała sztywno, jakby odrzucała jakąkolwiek pomoc czy pociechę, ale Daisy nie rezygnowała.

— Jest za młody — powiedziała. — Za młody, by być samemu tam, w górach. Doskonale wiem, co czujesz.

— Serce mnie boli. Nic więcej nie potrafię powiedzieć. Człowiek robi, co może, zaharowuje się na śmierć, a jednak i to za mało. Podziwia ojca brutalą i to mu wystarcza. Przepraszam, muszę iść do pana Tuckera...

Zostały same.

- Co się dzieje? — spytała Louisa.  
— Był tu jej syn.  
— Nie podniosło jej to chyba na duchu.  
— Nie.  
— I ciebie też.  
— Nie.

Daisy sprawiała wrażenie kruchej, bardzo delikatnej, kiedy tak stała przy oknie na tle niebosiężnych gór. Był w niej jakiś smutek, widać było, że tęskni, czeka na coś, co nastąpić nie może... słowem, była ideałem bohaterki piosenek country and western.

— Zazwyczaj lubię śnieg — powiedziała Louisa — ale dziś jest taki przygnębiający dzień. Ćwiczyłam, śpiewałam... nic nie pomaga.

— Zabawne. Na wycieczce z Jamesem czułam się szczęśliwsza niż... — Daisy zawahała się, jakby liczyła lata. — Znow miałam nadzieję.

- Na wspólne życie?  
— Na wszystko.

Starsza kobieta skinęła głową. O nadziei — Dalton nazywał ją „myśleniem życzeniowym” — wiedziała wszystko. Zawsze spodziewała się najlepszego, nie dostrzegając faktów. Planowała piknik z nadzieją na czyste niebo... niezależnie od tego, co mówiła mapa pogody.

— Oczekiwałam cudu — ciągnęła Daisy. — Spodziewałam się, że Jake...

— Jake?

— Dajmy temu spokój. Moim cudem jest Sage. Zawsze nim była. Nie wiem, jak radziłam sobie bez niej przez ten cały czas, i nie wiem, czy będę w stanie czekać na nią choćby jeszcze jeden dzień. Chyba nie...

W tym momencie Louisa dostrzegła duży czarny samochód, stary, zardzewiały, ze wzmocnionym zderzakiem podwiązany drutem, podjeżdżający szybko pod dom. Samochód wpadł w poślizg i omal nie uderzył w topolę. Daisy przyglądała mu się, nie mogąc się ruszyć z miejsca.

Kierowca wyskoczył, obiegł maskę i szarpnął klamkę drzwi po stronie pasażera. Daisy obserwowała tę scenę szeroko otwartymi oczami. Był drobny, miał brązowe włosy, nosił czarne dżinsy i robocze buty.

Z samochodu wysiadł James, nagi do pasa, trzymając w ręku mały pakunek. Ostrożnie wręczył go chłopcu i z siedzenia dla pasażera z niezwykłą wręcz delikatnością, niczym motyla, uniósł dziewczynę. Tuląc ją do piersi, ruszył w kierunku domu. Dziewczyna wyciągnęła ręce i wzięła paczuszkę od chłopca. Na końcu z samochodu wyskoczyła gromadka zwierząt.

— Być może nie będzie takiej konieczności — pocieszyła Daisy Louisa. — Może nie będziesz musiała czekać jeszcze jednego dnia.

Ale Daisy znikła. Wybiegła przez kuchenne drzwi w chwili, kiedy dostrzegła dziewczynę. Louisa pamiętała Sage jako ma-lutkie dziecko, potem widziała wiele jej zdjęć, szkolnych i robio-nych na wakacjach, i rozpoznałaby to dziecko wszędzie.

Widziała, jak Daisy podbiega do Jamesa, tuli się do niego, by być jak najbliższej córki. Całowała jej twarz, ręce, wtulała się w by-łego męża, jakby spodziewała się, że je obie weźmie na ręce. Wi-działa też, jak obcy chłopiec odchodzi od rodzinnej grupy.

— Dalton, twoja wnuczka przyjechała! — krzyknęła Loui-sa, biegnąc do gabinetu. Pokłócili się, owszem, ale co było, a nie jest...

Starzec leżał oparty o wózek inwalidzki. Policzek miał czer-wony, spuchnięty. Podbiegła do niego.

— Kochanie...

— Louiso. — Złapał ją mocno za rękę. — W domu jest sza-leniec.

— Syn Almy... to on ci to zrobił?

— Myślałem tylko o tobie. Chciałem cię chronić. Musiałem dostać się do telefonu, zadzwonić na policję.

— Kochanie. — Usiadła obok niego, przytuliła go do piersi, zbyt wzruszona, by powtórzyć szczęśliwą wiadomość.

Daisy tymczasem przyłgnęła do córki. Po prostu musiała dotykać jej, patrzeć na nią, nawet czuć jej zapach, nasycić się nią wszystkimi zmysłami, może wówczas będzie w stanie uwierzyć, że to prawda, że Sage naprawdę jest tutaj. James nadal trzymał ją na rękach. Ponad jej głową patrzył w oczy Daisy, a jego twarz nie zdradzała radości, lecz smutek.

— Co się stało?

— Porozmawiamy w środku.

Ucieszona powrotem Sage, Daisy właściwie nie zwróciła uwagi na to, że James jest bez koszuli. Temperatura na dworze wynosiła niemal minus dziesięć stopni, a on był półnagi. Otulił Sage swym kożuszkiem, nos dziewczyny zaledwie wyglądał sponad jego zwiniętej flanelowej koszuli.

— Dziecko — szepnęła Daisy.

James skinął głową

Jej serce przestało bić. Stała nieruchomo, patrząc na córkę i jej ojca, marząc o tym, by to, co usłyszała, nie było prawdą. Krew ścieła się mrozem w jej żyłach. Ostatnie kilka dni martwiła się ciężą córką, która dla niej była niechciana, martwiła się nieuniknionymi zmianami, jakie spowoduje ona w życiu Sage. A teraz, widząc córkę we łzach, czuła tylko przeraźliwy smutek.

Ożyła, drgnęła, podbiegła do niej.

— Maleńka...

— Wejdzmy do środka — powiedział spokojnie James.

Ruszyli, ale kiedy doszli do drzwi, nie było ich komu otworzyć; James miał zajęte ręce, a Daisy zajmowała się córką. Nagle podszedł do nich nieznajomy młody człowiek. Otworzył drzwi i mogli już wejść do środka.

Daisy spojrzała chłopcu prosto w twarz. Jego złotozielone oczy były ciepłe i żywe w takim samym stopniu, w jakim oczy Richarda zimne i martwe. Widać było, że szuka Sage, że pragnie opiekować się nią i ją chronić. Ale w tej chwili patrzył na nią, zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Poczowała się dziwnie pod tak bezlitosną obserwacją, ale przecież ona też go obserwowała. Jasnobrazowe włosy, szeroko rozstawione oczy, dziwne znaki na policzkach i czole.

— Jesteś jej matką? — spytał.

— Tak. Nazywam się Daisy Tucker. Dziękuję...

— Mówiła mi o tobie. Dużo.

Daisy stała z otwartymi ustami. Powinna być przy Sage, ale nie mogła oderwać oczu od chłopca, jego poważnej, opalanej od słońca i wiatru twarzy. W pierwszej chwili pomyślała, że jest szamanem. Dotknęła wzoru wymalowanego nad lewą brwią. Poznała go.

— Ochrona — powiedziała.

Zauważyła, że jest zdumiony.

— Sage mówiła mi...

— Co takiego? — Tak, powinna być przy córce, ale musiała dowiedzieć się, dlaczego jest tak zdumiony.

— Nie, nic. Powiedziała, że pani wie.

Cofnął się, gotów odejść. Kiedy wyciągał rękę do klamki, Daisy dostrzegła na jego przegubie rysunek sowy o oczach żółtych, fosforyzujących. Zachwiała się jak zahipnotyzowana.

Z domu słychać było głos Sage. Płakała, raz za razem krzyczała „Jake! Jake!”.

— Takie dała mu imię — wyjaśnił chłopiec.

— Dziękuję ci za to, że z nią byłeś. — Daisy bardzo pragnęła pobiec do córki, ale chciała też zatrzymać chłopca.

— Proszę ją ode mnie pożegnać.

Odeszła, nim usłyszała trzask zamykanych drzwi. James wstał, odsunął się.

— Potrzebuje ciebie — powiedział.

Skinęła głową, złapała go za ramiona.

— A gdzie on? Ten chłopiec? — spytał James.

— Odszedł — powiedziała i z jakiegoś powodu poczuła, że to słowo rani.

— Muszę go złapać. — James porwał kurtkę z wieszaka i wybiegł z domu. Denerwował się, zupełnie jakby ten młody człowiek zabrał mu coś niezbędnego do życia. Daisy chciała, by go zatrzymał, ale w tej chwili obchodziła ją już przede wszystkim córka.

Sage, nadal otulona kożuszką ojca, leżała zwinięta na kanapie stojącej przy piecyku. Tuliała dziecko, szeptała mu coś do



ucha. Daisy usiadła obok niej, nie mówiąc nic, pozwalając jej pożegnać się z synkiem. Dziecko było doskonale ukształtowane w każdym szczególe, choć bardzo małe. Miało śliczne usta, nos i uszy.

— To mój syn — powiedziała Sage.

— Jest taki piękny...

— Wiedziałam, że urodzę chłopca. Od początku.

— Naprawdę?

Sage skinęła głową. Nie odrywała wzroku od niemowlęcia. Dotknęła jego brody, ucałowała miękkie ciemne włoski i przyczesła je delikatnie, jakby przygotowywała się, by komuś go pokazać. Wreszcie podniosła głowę; oczy miała szeroko otwarte, pełne niedowierzania.

— Nie wiedziałam, że tu będziesz.

— Musiałam przyjechać. Musiałam zobaczyć cię, gdy tylko tu dotrzesz.

— Chciałabyś... — dziewczyna zawahała się. — Chciałabyś go potrzymać?

Daisy przełknęła nerwowo. Musiała opanować wstrząs, ale w końcu wyciągnęła rękę.

— Bardzo. Bardzo.

Córka podała dziecko swej matce. Daisy przyłożyła je, nadal otulone koszulą Jamesa, do serca. Boże, było drobne, kruche, a jej wydawało się takie ciężkie. Mały człowiek, prawdziwy chłopiec, istota ludzka. Ich wnuk: jej i Jamesa.

— Kocham go. — Sage pochyliła się i przez ramię matki spojrzała na maleńką buzię.

— Wiem, kochanie.

— Urodził się za wcześnie. Dlatego jest taki mały.

Sage płakała. Daisy zamknęła oczy. Przytuliła Jake'a do piersi, pocałowała w czubek głowy. Powróciły wspomnienia z dawnych czasów, kiedy trzymała na rękach maleńkie bliźniaki. Urodziły się o miesiąc za wcześnie, ważyły niewiele: Daisy dwa kilogramy siedemdziesiąt gramów, Jake dwa kilogramy siedemdziesiąt trzy gramy. Lekarze obawiali się o ich życie. A przecież nie były wiele większe od dziecka, które w tej chwili trzymała w ramionach.

Łzy pociekły jej po policzkach, spadły na jego główkę. Płakała po tym, co mogłoby być. Nie znosiła ciąży córki, ale przecież w najgorszych koszmarach nie wyobrażała sobie takiego jej zakończenia.

Płakała po synach, których utraciły obie.

— Tak strasznie... tak strasznie mi przykro... — powiedziała, oddając dziecko jego matce. — Tak strasznie mi przykro, że nie żyje.

— Tak długo był ze mną, tyle razem przeżyliśmy nocy... myślałam, że nigdy się nie rozstaniemy. Przy nim znów byłam sobą, byłam cała. Nadałam mu imię Jake, ale teraz żałuję, że to zrobiłam.

— Dlaczego? — Matka pogłaskała ją po głowie. — Kocham to imię.

— Bo czuję się tak, jakbym traciła go dwa razy.

Płakały obie, a pomiędzy nimi leżało martwe dziecko. Sage ścisnęła je tak mocno, jakby bała się, że ktoś je jej odbierze.

— Nie masz pojęcia... — Daisy objęła córkę i zaczęła nią potrząsać. Nie był to odpowiedni moment na wyrzuty, powinna być spokojna, dać jej zrozumienie i wsparcie, ale widząc córkę płaczącą po zmarłym dziecku, nie potrafiła się po prostu powstrzymać.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo się o ciebie martwiłam. Myślałam, że cię straciłam. Boże, kochanie, jak ja się denerwowałam. Najpierw Jake...

— Widziałaś go? — spytała przez łzy dziewczyna.

— Kogo, kochanie?

— Jake'a.

Daisy nie wiedziała, co ma powiedzieć. Przecież przed chwilą trzymała go w ramionach, a potem oddała matce. Czyżby Sage nie myślała jasno, może z powodu jej przemowy? Spytała o to, ale córka pokręciła głową.

— Mam na myśli chłopca, z którym przyjechałam.

— Tego, który cię przywiózł?

Skinęła głową.

— Owszem, widziałam. Dlaczego pytasz?

— Nie przypominał ci kogoś?

Daisy zastanawiała się przez długą chwilę. Zielonozłote oczy, brązowe włosy, kształt głowy... Poczula gęsią skórę. Takie piękne oczy, wpatrzone w jej oczy, i drobne ręce na jej policzkach...

— Ma tatuaże. Przypominają twoje rysunki.

Zadrżała. Sowa... pióra, niesamowite oczy. Wyobrazila sobie twarz nieznanego, jego niesamowite oczy. Serce szalało jej w piersi, usta miała suche.

— Powtarzałam sobie raz za razem, że to on, Jake — westchnęła Sage — ale pewnie sama się oszukiwałam. Chciałam w to uwierzyć.

— Ale przypominał ci...

— Mamusiu, nie gniewaj się, ale mogę zostać z nim sama?

— Z dzieckiem?

— Tak.

Głos Sage był obojętny, wyprany z uczuć, świadczył tylko o wielkim zmęczeniu. Nie odrywała wzroku od niemowlęcia.

— Oczywiście. — Daisy pocałowała ją w głowę.

— Bardzo chciałam, żeby David okazał się moim bratem. Teraz nie ma to już znaczenia, ale i tak jest dziwne.

— Co wydaje ci się dziwne?

Obojętnie, spokojnie, tuląc niemowlę do piersi, dziewczyna wyjaśniła:

— Za dużo w tym wszystkim dziwnych przypadków. Jesteśmy w tym samym wieku. Spotkaliśmy się na zachodzie. Czasami mówimy coś równocześnie, jesteśmy do siebie podobni. I on rysuje zupełnie tak jak ty... a ja strasznie za tobą tęskniłam. Chyba po prostu za bardzo chciałam, żeby rzeczywiście okazał się moim bratem. Ale najdziwniejsze, że znał słowo, którego nas nauczyłaś. Mieliśmy wypowiadać je głośno, żeby dodawało nam odwagi...

— Jakie słowo?

— Indiańskie imię. Washakie.

— O mój Boże!

Daisy wybiegła z pokoju.

James podszedł do Davida, gdy ten łądował zwierzęta do samochodu. Jeden z psów obwąchiwał śnieg, znalazł miejsce i wy-

próżnił się. Chłopiec czekał spokojnie, trzymając otwarte drzwi. Mężczyzna rozluźnił się, zwolnił kroku.

Młody człowiek powoli podniósł na niego wzrok. Przyglądał się Jamesowi podejrzliwie, a być może nawet z pogardą.

— Słuchaj, chciałbym z tobą porozmawiać.

— Wyjeżdżamy. Wsiadaj, Petal.

Teraz ranczer spojrzał na psa, trójbarwnego pitbulla: białego, czarnego i brązowego. Skończył, co miał do zrobienia, przysypał odchody, po czym wskoczył do samochodu. W pysku trzymał podartą, zniszczoną zabawkę.

James podszedł do Davida i złapał go za rękę.

— Sage nazwała cię imieniem Jake.

— I co z tego? Rodziła. Wszystko się jej pomyliło.

— Tak się jej przedstawiłeś?

— Mam na imię David.

— I co dalej?

— David wystarczy.

Myśląc o Toddzie Rydellu i o tym, co powiedział o swym siostrzercu ukrywającym się na ranczu, James mocniej ścisnął rękę chłopca. Nie znał okoliczności, w jakich spotkali się on i jego córka. Widział, że jej pomaga, wierzył, że nie chciał jej zaszkodzić. Czyżby próbował wykorzystać szansę, udać, że jest jej bratem? Jego zdaniem nie miało to sensu. Widział jednak, że chłopak za nim nie przepada, a to mogło oznaczać, że w jakiś sposób jest powiązany z Rydellem. Był także pewien, że widział kiedyś ten stary samochód, znał jego poprzedniego właściciela.

David próbował mu się wyrwać.

— Hej, człowieku, o co ci chodzi?

— Lubisz krzywdzić zwierzęta? — spytał James, myśląc o cielaku i byku.

— O czym ty gadasz? Pomagam zwierzętom.

Oprócz przestraszonych psów po samochodzie szalały też małe koty. Na widok obcego człowieka terier i spaniel zaczęły wyć. Pitbull wskoczył pod siedzenie. Ktoś je bił, katował. Inaczej tak by się nie zachowywały.

— Kłamiesz.

— Gówno prawda.

Tego było już za wiele. James poczuł, że może nie wytrzymać. Żałował, że chłopiec nie jest wyższy i starszy, wówczas mógłby mu przyłożyć. Cofnął się o krok, spojrzał chłopakowi w oczy: spokojne, zielone, ze złotymi plamkami. Dzieciak stał spokojnie, ale zachowywał czujność, zupełnie jakby wiedział, co mu grozi.

— Mój syn miał na imię Jake. — Ranczer odetchnął głęboko zimnym powietrzem i spojrzał na góry, by się uspokoić. — Nie lubię, kiedy ludzie używają jego imienia.

— Ja ratuję zwierzęta. I nie lubię, kiedy ranczerzy — mordercy mówią mi, że coś im zrobiłem.

— Zabiłeś byka?

— Byka?

— O to pytam.

— Nie.

— Czy wiosną zastrzeliłeś kilka cieląt?

— Przecież mówiłem, że nie krzywdzę zwierząt. — David roztarł obolały przegub. Kłótliwym dziecięcym głosem dodał:

— Tyje krzywdzisz.

— Ja?

— Oczywiście, Hodujesz bydło, opiekujesz się cielętami, a potem sprzedajesz je na hamburgery.

— Nie przepadam za tą częścią mojej pracy. — James przyjrzał się chłopcu z nowym zainteresowaniem. Mówił jak mężczyzna, miał przekonania, ktoś taki nie obcina głowy wielkiemu martwemu bykowi.

— Kłamiesz. Chcesz tylko zarobić pieniądze. Zwierzęta hoduje się wyłącznie dla pieniędzy. Wiem, bo moja rodzina właśnie tym się zajmowała.

— To samochód rodziców?

— A bo co?

— Wiedzą, że nim jeździsz?

— Oczywiście.

— Nie wiedzą, prawda?

— Właśnie że nieprawda.

— A w ogóle bądź uprzejmy powiedzieć mi, dlaczego jeździsz po kraju zupełnie sam? Mógłbym wezwać policję. Ten twój wóz jest w takim stanie, że z pewnością nie masz rejestracji. A w ogóle ile masz lat? Siedemnaście?

— Szesnaście. — Chłopak uśmiechnął się złośliwie, z wyższością, jakby uważał, że udało mu się zyskać przewagę w dyskusji.

— Masz szesnaście lat, a wozisz moją córkę po trudnych drogach, w śniegu. Cudem uniknęliście wypadku.

— Uratowałem ją.

— Owszem, najprawdopodobniej tak. Ale mogłeś ją zabić.

James obszedł samochód. Chłopak stał z rozchylonymi ustami, zdziwiony i wytrącony z równowagi. Prawdopodobnie szukał słów, argumentów, którymi chciał przekonać ranczera, by nie zawiadamiał policji. Zbyt późno dostrzegł, że otwiera on drzwi od strony pasażera.

— Hej, co robisz! — Skoczył, złapał Jamesa za ramię. — Zostaw to.

Nie przejmując się krzykami, James otworzył schowek i po krótkich poszukiwaniach znalazł w nim dowód rejestracyjny, z całą pewnością stary i nieważny; chłopak jednak walczył o niego jak o życie. To prawda, mógł go puścić, najwyraźniej nie on był rzeźnikiem z rancza, należała mu się wdzięczność za to, co zrobił dla Sage, ale... nie należało przecież zapominać o jej o rodzicach. Kimkolwiek byli, gdziekolwiek mieszkali, z pewnością za nim tęsknili. Prawdopodobnie odchodzili od zmysłów z rozpacz.

— Zabieram cię do domu, chłopcze. — Wsadził dowód rejestracyjny do kieszeni, zabrał kluczyki i wysiadł.

— Nie zgadzam się. — David pobiegł za nim.

— Szesnaście lat to za mało na samodzielność. Powinieneś pomyśleć o rodzicach.

— Nic nie wiesz. — Chłopiec prosił i groził jednocześnie.

— Klucze. Proszę.

— Chodź.

James wszedł do stajni; w siodłami był telefon. Myślał o Daisy i Sage, czekających na niego w domu, ale nie chciał zawracać im



głowy jeszcze i tym. Pragnął do nich dołączyć, ale najpierw chciał załatwić inną ważną sprawę, telefon do rodziców Davida. Jeśli oszczędzi im bezsennych nocy...

— Nie chcę wracać! Nie odsyłaj mnie!

— Wszystko jakoś się ułoży. Przecież możesz z nimi porozmawiać. Z pewnością są wściekli, że wzięłeś samochód, ale...

David szalał, próbował odebrać dowód rejestracyjny, który James trzymał teraz w ręku, ale nie mógł do niego dosięgnąć, uniemożliwiał mu jednak odczytanie nazwiska, bez którego informacja nie poda mu przecież właściwego numeru telefonu. Sytuacja wydawała się bez wyjścia, lecz nagle stało się coś nieoczekiwanego.

Na podwórko wjechał Paul March, rozmawiając przez zainstalowany w pikapie radiotelefon. Gestem przywołał szefa do siebie.

— Oddaj mi dowód. No, dawaj! — krzyczał chłopak.

— James! Mamy kłopoty. Ktoś był w domu. Dalton wezwał policję.

— Kłopoty...?

Musiał mimowolnie opuścić rękę, bo Davidowi udało się wyrwać mu kluczyki i dowód. Pobiegł — prosto w ramiona Paula.

Goniąc go, James pomyślał, że może się nie wysilać, że jego zarządca załatwi sprawę. Tyle się przecież działo wokół rancza dziwnych rzeczy, że zatrzymanie uciekającego młodego człowieka byłoby odruchem najnaturalniejszym w świecie. Ale uciekający miody człowiek nagle zatrzymał się sam. Śnieżyca zbliżała się wielkimi krokami, czas już było znaleźć się wreszcie pod dachem, lecz mimo to James Tucker zamarł, słysząc wypowiedziane przez Davida słowo.

— Wujek Paul? Co ty tu robisz, wujku?

Nie wierzył własnym uszom. Widział, że David wpatruje się jak urzeczony w twarz Paula Marcha, bladą jak prześcieradło, zamarłą w grymasie zdumienia. Paul gapił się na chłopca, choć widać było, że wolałby patrzeć w każdym innym kierunku.

— Ruszamy, James — powiedział w końcu, udając, że nie stało się nic wielkiego. — Musimy przeszukać rancho.

— Jak go nazwałeś? — Chłopak nie odpowiedział, więc James spojrzał na swojego zarządcę i przyjaciela. — Jak on cię nazwał?

— Nie wiem. Nic nie rozumiem.

David milczał. James poczuł, że serce bije mu szybciej... odrobinę szybciej. Im dłużej przyglądał się tej scenie, tym szybciej biło....

— To nieporozumienie. Mały mnie z kimś pomylił. Prawda?

David najwyraźniej ucieszył się na widok Marcha, zaczął się nawet uśmiechać, ale błyskawicznie ściągnął usta. Skrzywił się, po czym przybrał kamienny wyraz twarzy. Wyłączył uczucia; James Tucker wiedział, jak to się robi, miał w tym trzynastoletnią praktykę.

— Pamiętasz swojego starego willysa? — spytał drżącym głosem. — Co z nim zrobiłeś?

— A co mój willys ma wspólnego z tym, co dzieje się na ran-  
czu? Tam gdzieś jest facet, który zabijał nasze bydło. Dalton go widział, ma broń.

— Willys. Dżip. — James miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi. — Oddałeś go siostrze, prawda? Mieszka gdzieś przy drodze do Appleton.

— Słuchaj... — Paul oblizał wargi.

— Ma na imię June. Jej mąż prowadzi farmę czy coś takiego.

— Hoduje psy. Marshall hoduje psy. Nie zajmujmy się jakimś starym samochodem, i tak nie był nic wart. Dzieciak się pomylił. Są ważniejsze...

James położył drżące ręce na ramionach chłopca. Oddychał z trudem, ogień ogarnął całe jego ciało, w tym stanie mógł nawet zabić. Opanował się jednak i spojrzał w zielone oczy Davida. Był pewien, że serce zaraz mu pęknie.

— Jak się nazywa twój ojciec?

— Marshall Crane.

Przez chwilę James nie był w stanie wypowiedzieć słowa. Na twarzy chłopca, który stał nieruchomo, wpatrzony w ziemię, dostrzegł jakieś znaki, kropki i kreski. Wyglądały jak wojenne malowidła Indian.

— Nazwałeś Paula wujem. Nie pomyliłeś się? — wykrztusił w końcu.

— Nie. Jest bratem mojej matki.

Czy to możliwe? James drżał. Myślał o tym, co powiedziała Sage, pamiętał Jake'a w dniu, w którym znikł, siedzącego w kanyoniu, na kamieniu, machającego wesoło, kiedy on pogalopował za uciekającą krową. Nagle kolor oczu, kształt twarzy, wygięcie ust złożyły się w jego wyobraźni w twarz trzylatka... po trzynastu latach.

— Sage sama zaczęła nazywać cię Jake, prawda?

— Owszem.

— Wiedziała...

— Co wiedziała?

— Hej! — Paul był blady jak upiór. — Mały przyznał się przecież do błędu. A my mamy...

— Powiedzieli ci, że zostałeś adoptowany?

— Tak.

Daisy, dwójka dzieci... kim mogli być dla siebie, kim powinni się stać? Ta świadomość była po prostu nie do zniesienia. W oczach Jamesa Tuckera pojawił się błysk szaleństwa.

— Dlaczego! — krzyknął.

— Słuchaj... — Paul próbował mówić spokojnie, rozsądnie. Ileż to razy udawało mu się ugasić wściekły gniew szefa? Był pewien, że teraz też jakoś się wyłga.

— Ukradłeś naszego syna!

— Daj spokój...

— Zabrałeś nam Jake'a. — James chwycił go za gardło, zaczął dusić.

— Przestań! Jezu Chryste... puść! — Paul dusił się, próbował go uderzyć, ale James bez wysiłku odtrącił jego rękę. Pchnął go na ziemię, głową w śnieg. March próbował wydrapać mu oczy, ale nie miał szans. Krwawił pod nawałą ciężkich ciosów padających na twarz, tak często uśmiechniętą, przyjazną, godną zaufania...

— Ty...!

— Przestań! — wybełkotał Paul poprzez zalewającą mu usta krew.

— Zabiłeś mi rodzinę i przysięgam, że ja zabiję ciebie.

W tej walce Paul nie miał szans. Udało mu się jakoś wyprowadzić cios w żebra, ale to był jego jedyny sukces.

James sięgnął po nóż i dostrzegł ściekającą mu po palcach krew. Rękojeść była nią oblepiona; krwią dziecka Sage, które urodziło się martwe, drugiego Jake'a. I tej krwi Paul March zawdzięczał życie. Jeden Jake zmarł, ale drugi żył przecież, był tu.

Wstał. March, ciężko pobity, z zakrwawioną, posiniaczoną twarzą, leżał nieruchomo na śniegu. Kiedyś opowie swą historię, ale w tej chwili były rzeczy ważniejsze.

James spojrzał na Davida, który przyglądał się bójce z grymasem na twarzy. Był twardy, musiał mieszkać w tym swoim starońkim samochodzie od bardzo dawna. Tylko oczy mu biegały, z Paula na góry, na śnieg. Patrzył wszędzie, byle nie patrzeć na niego.

— Jake — wychrypiał James przez ściśnięte gardło.

— Nie.

— Tak.

David potrząsnął głową.

— Twoja siostra wiedziała.

Milczenie.

— Sage wiedziała.

— Tylko się jej wydawało.

— Jake...

Chłopiec wpatrywał się w koryto nieruchomym wzrokiem. Śnieżyca rozpełtała się na dobre, płatki śniegu osiadały na wodzie. Sprawiał wrażenie, jakby ten widok go fascynował, jakby woda była jego wrogiem. James podszedł i napił się jej z ręki. Trzy lata temu Paul zainstalował w korycie natleniacz, żeby nie zamarzała.

— Susza się skończyła...

— Co? — spytał David.

— Szkoda, że nie było cię z nami tego lata. Musieliśmy dowozić wodę ciężarówkami.

— Co?

— Ale susza się skończyła. Skończyła się, Jake.

Położył dłoń na ramieniu chłopca i razem ruszyli w stronę domu.

W tym momencie ze środka wybiegła Daisy. Twarz miała zaróżowioną, rozpuszczone kasztanowate włosy powiewały na wietrze, nie włożyła kurtki ani kapelusza. Ruszyła w ich kierunku, ale zatrzymała się, widząc leżącego bezwładnie na śniegu Paula Marcha. Natychmiast jednak przeniosła wzrok na idących ramie przy ramieniu mężczyznę i chłopca.

— Daisy... — James nie był w stanie powiedzieć nic więcej. W ustach czuł suchość. Patrzył jej w oczy w milczeniu.

— Muszę ci coś powiedzieć. — Oczy Daisy płonęły.

— Ja też. — I wziął ją w ramiona.

— Podobają mi się twoje tatuaże — powiedziała Daisy, patrząc na ramiona Jake'a.

— Tak? — Sądząc po spojrzeniu, nie bardzo w to wierzył, uznał, że to po prostu wstęp do rozmowy. Siedział przy kuchen-

nym stole, koty łąziły mu po ramionach, psy ułożyły się prawie na jego stopach. Denerwowały się wyraźnie w nowym miejscu, pełnym nieznanych woni i dźwięków.

Daisy wyciągnęła rękę. Myślała, że zwierzęta do niej podejda, ale nawet na nią nie spojrzały, skuliły się tylko, szukając schronienia za nogami pana. Sierść miały brudną, zmierzwioną, jakby od miesięcy nie wychodziły ze starego samochodu. Czuła, jak mocno bije jej serce. Zaprzyjaźnić się z nimi nie było łatwo, ale jeszcze trudniej przychodziła jej rozmowa z nastolatkiem, w którym coraz wyraźniej widziała syna. Pytała go, co pamięta, błagała, by opowiedział o swym życiu, ale on nie mówił nic.

— Kiedy byłam mała, miałam teriera — zaczęła Daisy.

— Tak?

— Sage ci nie mówiła? — Dlaczego nie chce nic powiedzieć? Tak bardzo pragnęła posłuchać dźwięku jego głosu, przekonać się, co uczyni z jej sercem. Z bliska bardzo przypominał Sage, tak mógłby wyglądać szesnastoletni Jake, ale to, co się zdarzyło, było zbyt cudowne, zbyt magiczne nawet dla niej.

— Jak się wabi?

— Tartan.

— Tartanka, piesku... — Pies ignorował ją całkowicie.

— Kiedy będę mógł odjechać? — spytał chłopiec. — Kiedy twój mąż odda mi kluczyki?

Tym razem to ona nie odpowiedziała. James pozwolił jej zostać z Davidem... Jakiem... sam na sam; był teraz z Sage, czekając na przyjazd akuszerki. Przedtem zadzwonił na policję, opowiedział, co się stało. Tymczasem ten chłopiec nie chciał z nią rozmawiać. Wpatrywał się w stół gniewnym wzrokiem, palił, od czasu do czasu wzdychał; zachowywał się jak więzień. Daisy pragnęła go przytulić, ale musiała przecież poczekać na jakiś sygnał z jego strony. Cały czas miała gęsią skórę.

— Mówiłam szczerze. Podobają mi się twoje tatuaże.

Wzruszył ramionami, wytrząsnął z paczki kolejnego papierosa. Nie trafił zapalką do popielniczki, ale grzecznie podniósł ją z podłogi. Dostrzegła, że zerknął przy tym na symbol kropki w kręgu, namalowany na prawym nadgarstku.



— Kręgi są bardzo ważne — powiedziała. — To symbol ochrony... ale tego chyba nie muszę ci tłumaczyć?

Wzruszył ramionami, strząsnął popiół z papierosa, uderzając nim lekko o brzeg popielniczki.

— Okrażanie — mówiła dalej. — Indianie często je praktykowali, chroniąc się przed inwazją duchową. Na przykład chodzili wokół obcych, tak by siady ich stóp więziły złe duchy, które mogły pojawić się wraz z nimi.

Chłopiec jeszcze raz przyjrzał się tatuazowi, a potem obrócił ramię tak, że nie mogła już go widzieć. Daisy przymknęła oczy. Opowiedziała mu tę indiańską legendę, jakby nie miała nic wspólnego z nią, a przecież wiele razy żałowała, że nie otoczyła Jake'a magicznym kręgiem, chroniącym go przed zniknięciem. Kiedy znów spojrzała na gościa, w jej oczach błyszczały łzy.

— *Ellam iinga*. W języku Eskimosów oznacza to „oko świadomości”. Obraz kropki w kręgu.

— Doprawdy? — David zmarszczył brwi, przyglądając się swym brudnym ręką. Z pewnością od dawna się nie kąpał. Daisy pamiętała małe bliźnięta, pamiętała, jak kąpała syna, zmywała z jego rączek ziemię. Jeden z psów zawył; David pochylił się, by go pogłaskać.

— Sowa też mi się podoba. Tak precyzyjnie zaznaczyłeś pióra. A oczy wyglądają jak żywe. Jakby zaraz miała zaatakować.

— Nie jest żywa.

— Ale zajmowałeś się sowami. Dokładnie je obserwowałeś. Wiesz o nich wiele, prawda?

Wzruszył ramionami.

— W Wyoming jest ich pełno.

Było to najdłuższe zdanie, jakie wypowiedział do tej pory. Daisy ucieszyła się. Będą rozmawiać, opowie mu, że jest artystką, że według niej odziedziczył po niej talent, że matka i syn nigdy się już nie rozdzielią. Ale w tym momencie spojrzał jej prosto w oczy i spytał:

— Czy mogę już iść?

Ukryła grymas, podnosząc rękę. Miał zaledwie szesnaście lat. Nie odjedzie ot tak, po prostu. Policja będzie zadawać mu pyta-

nia, aresztuje Paula, dowie się od niego, co naprawdę zdarzyło się trzynastu lat temu. Jednak jeśli chłopiec nie zechce zostać, jeśli zechce wrócić do ludzi, z którymi mieszkał, albo wybierze sierociniec, choćby nie wiem jak się starała, nie zdoła go powstrzymać.

Pies, który przed chwilą zawył, rozpaczliwie zaczął drapać podłogę, jakby chciał wykopać sobie kryjówkę, w której nikt by go nie widział. Daisy pochyliła się, wykorzystała tę chwilę, by jakoś odzyskać spokój. Usta miała suche, czuła coś w rodzaju paniki, bo ten siedzący naprzeciw niej nastolatek był i jednocześnie nie był jej synem, i liczył minuty dzielące go od chwili, gdy będzie mógł opuścić ranczo.

Spojrzała na przerażonego psa i wstrzymała oddech. Był to stary trójbarwny pitbull z brązowymi oczami otoczonymi czerwonymi obwódkami. W potężnym pysku trzymał brązową, brudną i pogryzioną zabawkę. Trudno mu było oddychać, drżał za każdym razem, kiedy wydychał powietrze. Ale nie, drżał z powodu tego, co czuł, a czerwone obwódki były oznaką straszego żalu.

— Jak się nazywa ten pies z zabawką? — spytała.

— Petal.

— Dlaczego... dlaczego nigdy się z nią nie rozstaje?

David wzruszył ramionami i zaciągnął się papierosem. Niebieski dym wzniósł się pod sufit.

— Powiedz mi, proszę.

— Musi coś nosić.

— Dlaczego?

Ponowne wzruszenie ramion. Włosy opadły mu na czoło; odgarnął je i wówczas dojrzała bliznę.

— Ty dałeś jej tę zabawkę?

Przez dłuższą chwilę chłopak siedział, marszcząc brwi.

W końcu skinął głową.

— Tak. I co z tego?

— Dlaczego musi coś nosić? — Mówienie sprawiało Daisy ból, tak suche miała gardło. — Czego jej brakuje?

— Nie wiem.

— James powiedział mi, że twój ojciec... to znaczy człowiek, który cię adoptował... prowadził fabrykę zwierząt. Petal brakuje szczeniąt, prawda?

Chłopak wpatrywał się w popielniczkę tak długo, jakby chciał się nią zahipnotyzować. Sięgnął do niej w końcu i roztarł popiół na grzbiecie dłoni. Wiedziała, że gdyby miał igłę i nakłuł skórę w tym miejscu, miałby nowy tatuaż.

Milczenie trwało bardzo długo.

— Może i tak — powiedział w końcu. — I co z tego?

Daisy chciało się płakać, czuła taki ciężar w sercu, że chyba nie zdołałaby wstać od stołu. Zajrzała pod stół. Petal ciągle dra- pała podłogę. Wyciągnęła rękę, ale pies natychmiast ukrył się za nogami Davida. Więc niewiele myśląc, ona też weszła pod stół.

— Petal — szepnęła. — Hej, piesku.

Pitbull zapiszczał.

— Spokojnie. — Wyciągnęła rękę.

— Nie lubi obcych — powiedział chłopiec, zdenerwowany, ale i zaskoczony. — Gryzie.

— Nie sądzę, żeby chciała mnie ugryźć.

Petal patrzyła na nią szeroko otwartymi ślepiami, zaczerwienionymi od straszego żalu. Nie wypuszczała z pyska obślinio- nej zabawki, trzymała ją w potężnych szczękach ostrożnie, jakby niosła szczeniaka. Daisy przypomniała sobie swój pierwszy dzień, kiedy została matką, pomyślała o siedzącej w sąsiednim pokoju Sage. Musiała jednak skupić się na psie.

— Brakuje ci ich — szepnęła. — Prawda?

Petal tylko na nią patrzyła. Nie wypuściła zabawki.

— Tęsknisz za swoimi szczeniętami tak bardzo, że nie mo- żesz znieść tej tęsknoty. Budzisz się w nocy, myśląc, że są przy tobie. Chcesz je karmić, ale nie masz kogo. Przewracasz się w na- dziei, że poczujesz ich ciepłe ciała. Ta jej zabawka... co to właści- wie jest?

— Nie zbliżaj się. Może ugryźć.

— Co to za zabawka?

Dwie matki patrzyły sobie prosto w oczy. Daisy widziała w pitbullu samą siebie. Ciekawe — pomyślała—jak dawno temu

Petal po raz ostatni miała szczenięta, wiedziała jednak, że jest to pytanie bez znaczenia, bo teraz interesowała się wyłącznie zabawką. Nagle serce zabiło jej mocniej.

Zabawka pokryta była brązowym filcem. Widziała miejsca, w których kiedyś miała oczy. Na głowie, w miejscu, gdzie krowa miałaby rogi, pozostały dwa kawałki żółtej tkaniny.

— Pozwól mi zobaczyć — szepnęła. — Proszę. Nie zabiorę ci jej.

Suka pisnęła i mocniej zacisnęła szczęki.

— Widziałam kiedyś taką zabawkę. — Daisy wyciągnęła ku niej drżącą dłoń.

— Nie dotykaj jej! — David, przestraszony, wsunął głowę pod stół. — Nie pozwoli ci.

Daisy przeciągnęła palcem po zniszczonej przytulance przedstawiającej krowę. Pies patrzył na nią, przerażony, ale nie spuszczał z niej wzroku. Tak, na jej zabawce pozostał wyraźny ślad po brązowych ślepiach i żółtych, dumnie niegdyś sterczących rogach.

— Krówka Jake'a — szepnęła. — Dostał ją w prezencie od dziadka, zaraz po urodzeniu. Pluszowe baranki i zajaczki... nie, to nie było wystarczająco dobre dla jego wnuka. Dostał krowę. Tak bardzo ją kochał...

David obserwował tę scenę, bojąc się, że Petal ugryzie Daisy, lecz nagle wyraz jego twarzy zmienił się wyraźnie. Znikł gdzieś niepokój i zdenerwowanie, pojawiło zastanowienie. Coś sobie przypominał.

— Była cała umazana w błocie i galaretce — mówiła dalej Daisy — jeden róg miała skrzywiony. Jake od razu ją pokochał. Łapał ją za rogi i całował w pysk.

Petal zaprzestała prób wykopania dziury w podłodze. Leżała nieruchomo, wpatrując się w Daisy, której serce wyrywało się z piersi; samo dotknięcie zabawki wywołało prawdziwą lawinę wspomnień.

— Krowa Jake'a. Szukałam jej, kiedy znikł, nie znalazłam i zrozumiałam, że musiał ją mieć ze sobą. Pamiętam, jak mnie to pocieszyło. Nie masz pojęcia, jak byłam zadowolona, że miał ze sobą pluszową krówkę.

Chłopak chrząknął niewyraźnie.

— Ale byłam jak Petal. Musiałam mieć coś po synu. Wiec zachowałam jego kocyk.

— Kocyk?

Daisy skinęła głową, nie spuszczać wzroku z Petal.

— Stary dziecinny kocyk. Spał z nim każdej nocy. Ten koc pachniał i smakował moim synem. Zasypiałam trzymając go w rękach, i czasami budziłam się z nim w ustach. Tak bardzo pragnęłam odzyskać syna. Kochałam go najbardziej ze wszystkich istot na świecie... jego i Sage. Mówiłam sobie, że ten kocyk grzeje, czekając, aż wróci do domu.

David oddychał teraz inaczej, szybciej, z trudem, prawie tak jak jego pies. Daisy patrzyła to na sukę, to na niego.

— Tuliłam ten kocyk, bo nie mogłam tulić ciebie — mówiła przez łzy. — Bo to twoja zabawka, prawda? Dałeś jej swoją starą zabawkę.

— Tak. Ale to o niczym...

— Kochałam cię. — Daisy siedziała pod stołem. Gładziła pit-bulla po głowie, patrzyła w zielone oczy syna. — I teraz Kocham cię równie mocno. Nigdy nie przestałam cię kochać.

— Ona gryzie.

— Nigdy nie przestałam!

David patrzył na dłoń Daisy, spoczywającą na psim łbie. Zauważył chyba, że stary pitbull czerpie ulgę z tego dotknięcia, że nie dyszy już ciężko, że — przynajmniej na chwilę — odczuł ulgę, ponieważ spotkał matkę, która też poniosła kiedyś straszną stratę.

— Jake...

— Moim zdaniem to pomyłka.

— Nie sądzę, żebym mogła się mylić.

Chłopiec odchrząknął. Opanował się, zaczął głaskać psy, a kiedy spojrzął na Daisy, oczy miał wielkie, przerażone. Wahał się, zbierał w sobie odwagę, nie od razu udało mu się powiedzieć to, co z pewnością chciał powiedzieć.

— Gdzie... — przerwał, odchrząknął, przełknął dwukrotnie, a kiedy zadał wreszcie pytanie, mówił tak cicho, że ledwie go słyszała. — Gdzie jest ten stary kocyk?

Sam Whitney była najlepszą akuszerką w Wyoming. Miała trzydzieści pięć lat, długie, bardzo jasne włosy i czyste, jasnoniebieskie oczy. Łagodna i pełna współczucia, odbyła praktykę w gettach Baltimore i San Francisco, pomagając matkom, niektórym młodszym nawet od Sage. Świetnie jeździła na nartach i konno, pewnego lata pracowała nawet u Tuckerów jako poganiacz bydła. Ostatnio mieszkała na ranchu w Dubois. Na wezwanie Jamesa stawiała się natychmiast.

Daisy polubiła Sam od pierwszego wejrzenia i bez wahania zaufała jej na tyle, by pozostawić ją sam na sam z córką. Rozmawiała z Jakiem, James zaś stał przy ścianie stajni w towarzystwie Curta Nasha.

Nash był policjantem, któremu przydzielono tę sprawę. Jego ludzie przeszukiwali w tej chwili DR, tropiąc Richarda Jacksona, dwóch pojechało do Appleton, by przesłuchać June i Marshalla Crane'ów. Okazało się, że stary dżip nadał zarejestrowany jest na Paula, który bez oporów opowiedział całą historię. Przyniosło mu to nawet ulgę.

— Wstrząsające — orzekł Curt. — Przecież znacie się z Marchem od tak dawna.

— Od dziecka — przytaknął James.

— Jak to się można pomylić w ocenie ludzi. — Policjant potrząsnął głową. Miał pięćdziesiąt osiem lat, był sprawny i silny,



posiadał wszystkie umiejętności, jakie powinien mieć kowboj. Przed laty, nim został policjantem, pracował nawet w DR; chciał sprawdzić, czy zawód kowboja podoba mu się na tyle, by zrobić z tego karierę. Nie podobał się, ale pozostali z Jamesem przyjaciółmi, przynajmniej do zniknięcia Jake'a. Potem uznał go za głównego podejrzanego.

— Pomyliłeś się w ocenie mnie. Uznałeś, że byłbym w stanie skrzywdzić syna.

— Myliłem się i bardzo mi przykro. Ale, Chryste, tak bardzo chcieliśmy go znaleźć. Trzylatek znika bez śladu; wyobraź sobie, jak wyglądało to w moich oczach.

— Paul go porwał. — James zerknął na mężczyznę siedzącego w policyjnym radiowozie i poczuł nowy przypływ wściekłości. Najlepszy przyjaciel, niemal brat, był przy nim na pogrzebie jego matki, opiekował się bliźniakami, pomagał w poszukiwaniu Jake'a...

— Dowiemy się więcej po przesłuchaniu Crane'ów. Niesamowita historia. Skazał ciebie i Daisy na piekło tylko dlatego, że jego siostra nie mogła mieć dziecka.

Z wyjaśnień Paula wynikało, że porwanie Jake'a Tuckera uważa niemal za przypadek. Od jego zniknięcia minęły trzy dni. Kanion przeszukano chyba ze dwadzieścia, może nawet trzydzieści razy. Odwrócono każdy kamień, zajrzano w każdą szczelinę. Tuż przed zmierzchem, podczas gdy rozszerzano krąg poszukiwań i tylko on został w kanionie, Paul March zdecydował, że spróbuje jeszcze raz.

Usłyszał Jake'a wołającego o pomoc cichym, przerażonym głosem. Krzyknął, że już jedzie, kazał małemu mówić bez przerwy. Jake spełnił to polecenie, recytował tyle liter alfabetu, ile wówczas znał, śpiewał „Old McDonald Had a Farm”. Znalezienie jaskini trwało bardzo długo.

Wejście do niej miało może trzydzieści centymetrów średnicy. Ukryte za kępką szałwi, znajdujące się na poziomie ziemi, biegło w dół, do podstawy wzgórza. Deszcz zmasał ślady pazurów na kamieniu, nikt nie zauważył tak niewielkiej dziury w ziemi. Nikt oprócz Paula Marcha, który usłyszał krzyki przerażonego dziecka,

a kiedy wsunął w otwór swe wielkie dłonie, poczuł, jak chwytają je małe zimne rączki.

Wydostał Jake'a, wziął przed siebie na konia. Mały był strasznie odwodniony, poobijał się o kamienie, oczy miał spuchnięte. Po drodze na rancho mijali dom Marchów. Paul zmusił konia do galopu. Wiedział, jak bardzo ucieszą się Tuckerowie, myślał o dzieciach, o tym, jak to świat kręci się wokół nich i że życie bez nich jest nic niewarte. Na szczęście James i Daisy mieli jeszcze Sage, mieli kogo kochać, czekając na odnalezienie syna.

Z jego siostrą, June, sprawy miały się zupełnie inaczej. Od dziesięciu lat nie mogła donosić ciąży, przeżyła kilka poronień. Małżeństwo rozpadało się, Marshall za wszystkie nieszczęścia winił bezpłodność żony. Paul strasznie przeżywał to, że jego wesoła, śliczna siostrzyczka doznaje w życiu wyłącznie rozczarowań, mieszka w fabryce zwierząt, jest bezpłodna.

Jake stracił przytomność. Paul postanowił przenieść go do samochodu, miał kłopoty z utrzymaniem na koniu bezwładnego ciała.

I wówczas wpadł na pewien pomysł.

Jake, zakrwawiony, ranny, krzyczał przez sen w panicznym strachu. Wydawało mu się, że nadal jest w jaskini. Jakie to głupie ze strony Jamesa — pomyślał — zabrać małego na spęd. Trzylatek — dziecka w tym wieku nie da się posadzić na kamieniu, przykazać, by się nie ruszało, i oczekiwać, że będzie grzeczne. Każdy trzylatek natychmiast zacznie czegoś szukać, wszystko go ciekawi... czego można spodziewać się po dziecku?

Życie — myślał także — zawsze uśmiechało się do Tuckerów. Co do tego Todd Rydell wcale się nie mylił. Ale jego przynajmniej nie czekało życie w cieniu tej rodziny. Ojciec Paula był lojalny wobec Daltona, ale wiele razy wieczorami, po kilku piwach, opowiadał dzieciom, że Tuckerowie oczekują od Marchów, iż ci będą się pożywiać okruchami z pańskiego stołu, i ostrzegał je, że nawet gdyby przyszło im u nich zarabiać, niech cały czas szukają swojej drogi w życiu.

June opuściła DR przy pierwszej nadarżającej się okazji. Przeniosła się pod Appleton, gdzie mieszkali Marshallowie. Paul i jego

żona oczekiwali w tym czasie swego pierwszego potomka; opieka nad bliźniakami uświadomiła im, jak cudowne potrafią być dzieci. Tuckerowie mieli wszystko: ranczo, pieniądze... i córkę. W ich wieku mogli mieć więcej dzieci, jeśli tylko zechcą. Biedna mała June nie miała niczego.

Więc zawiózł Jake'a do Appleton. Jego siostra nie od razu dała się przekonać, powtarzała, że źle postępują, ale Marshall jasno postawił sprawę: chciał syna. Oboje znali zasady pierwszej pomocy, dysponowali też sporą wiedzą w zakresie weterynarii, konieczną w hodowli psów, przyjęli więc chłopca i od pierwszej chwili dbali o niego, jakby był ich dzieckiem. „Kochali go z całego serca” — tak powiedział policji. Oczywiście, jak to się często zdarza, w rok później June urodziła dziecko. Paul poczuł wówczas wyrzuty sumienia, zastanawiał się nawet, czy nie powinien odprowadzić Jake'a do domu.

Ale na to było już za późno. Jake przestał płakać po nocach z tęsknoty za rodzicami, uwierzył, że ma wujka Paula, że naprawdę nazywa się David Crane. Daisy rzuciła męża i zabrała córkę na wschód, z dala od niebezpieczeństw czyhających na dzieci na ranczu DR.

— Był pewien, że tak będzie lepiej dla wszystkich — powiedział Curt.

— Nie wierzę.

— W każdym razie zdołał o tym przekonać samego siebie.

James spojrział na siedzącego w radiowozie Paula. Przez wiele lat obiecywał sobie, że zabije człowieka, który porwał jego syna. Przez jedną krótką chwilę miał nawet ochotę zabić Marcha; pobił go, sięgnął po nóż. Przez trzynaście lat jego duszę trawił rozniecony przez tego człowieka ogień nienawiści.

Aż wreszcie, w jednej chwili, ogień ten zgasł. Wystarczyło pomóc Sage, przygarnąć córkę do serca, wystarczyło spojrzeć w zimne, zielone, nakrapiane złotem oczy Jake'a, wystarczyło być z dziećmi, by osiągnąć spokój, którego James Tucker nie potrafił wręcz pojąć. Nikt nie odda mu straconych lat, ale znikła gdzieś potrzeba zamordowania człowieka, przez którego je stracili.

— Nie było lepiej dla wszystkich — powiedział James.

— Co chyba dobrze wbiłeś mu do głowy.

— Ciesz się mnie to.

— Żebra w porządku? — Policjant skinął w stronę miejsca, w którym Paul zadał jedyny czysty cios. — Chcesz oskarżyć go o pobicie?

— Porwanie mi wystarcza. Doskonale podsumowuje sytuację.

— Daisy pewnie szaleje z radości.

— Oczywiście.

Pamiętał, jak dziś rano obserwowali wspólnie śnieżne gęsi. Poprosił ją, by powtórnie wyszła za niego za męża, a ona odpowiedziała: „tak... kiedy do domu wróci ich córka”. No cóż, do domu wróciła nie tylko Sage, lecz także Jake. Bywa, że spełniają się najbardziej nieprawdopodobne marzenia; Daisy dysponuje magią, której głębi jeszcze sobie nie uświadomiła.

Podziękował Curtowi i jeszcze raz spojrzął na radiowóz, po czym odwrócił się i odszedł. Paula Marcha zobaczy dopiero na jego procesie. Przed sobą miał wielki dom, w którym spędził dzieciństwo i gdzie nadal mieszkał jego ojciec.

W tej chwili pod dachem domu zgromadzili się wszyscy, których kochał. Daisy rozmawiała z Jakiem, Sam pomagała Sage pożegnać się z dzieckiem, ojciec i Louisa czekali na wyjaśnienia. Usłyszał koła radiowozu ślizgające się po lodzie; złapały przyczepność i samochód ruszył powoli. Paul zniknął z jego życia, a wraz z nim ustępowało napięcie, z którego ogromu do tej pory nie zdawał sobie nawet sprawy.

Przyspieszył kroku, pobiegł. Mijając stajnie, pomyślał o Scout, o Rangerze, o Wodzu. Ciekawe, czy dzieci ciągle pamiętają o koniach, czy konie pamiętają o dzieciach. Biegł szybko, pocił się. Daisy pomachała mu z ganku. Pomachał jej także i nagle zdał sobie sprawę z tego, że z trudem przełyka ślinę przez obolałe gardło.

Od dawna był tak strasznie zimny. Odchrząknął. Myślał o Daisy, w wielkim skupieniu pracującej nad biżuterią, rozmawiającej ze światem duchów poprzez kości i złoto. Tego mu brakowało; przestał wierzyć przed bardzo wielu laty.

Zeszła z progu, uniosła ręce w niebo, jakby pragnęła przytulić je do piersi, poruszyła dłońmi. Pisała nimi niewidzialne słowa.

Padał śnieg, ale przez przerwę w chmurach świat zalał jasny blask słońca.

James wyobraził sobie, że gdyby pismo Daisy odczytano w tej chwili z samolotu... z nieba... odkryto by, że informuje świat o swym szczęściu. Córka i syn wrócili do domu. Otworzyła ramiona szeroko, wznosiła je i opuszczała, słońce błyszczało miedzią w jej długich włosach, w twarzy odbijał się blask słońca i śniegu.

Obserwując tę kobietę, którą nadal uważał za żonę, James Tucker poczuł, jak spływa na niego spokój, jak rozchodzi się po całym ciele w strumieniu krwi. Ogrzał go, od czubka głowy po palce nóg. Spłynął na twarz i James uśmiechnął się promiennie. Jakże piękna była Daisy, dziękująca niebiosom za swe szczęście. Znów mieli rodzinę. Dzieci wróciły do domu, zbliża się dzień ślubu. Rozpłynął się w ich wspólnym szczęściu i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów — od chwili gdy zawałony dach zabił matkę, od chwili gdy przyjaciel ukradł mu syna — James Tucker poczuł, że powinien powiedzieć „dziękuję”.

Nie wiedział, jak może to zrobić, nie wiedział, komu powinien dziękować. Daisy z pewnością wiedziała, ale nie chciał jej przerywać, wołać, zadawać pytań. Nie, ich szczęście nie było doskonałe, Sage straciła dziecko, Jake nie wiedział, czy chce z nimi zostać... ale przynajmniej wszyscy byli tutaj. Dziś, może na krótko, lecz jednak, miał przy sobie rodzinę. Wiedział, że nie byłoby mu tak dobrze, gdyby coś miało się nie udać.

Daisy rysowała znaki w powietrzu, krowy pasły się, wydobywając kopytami trawę spod śniegu, a on, James Tucker, odchylił głowę, wystawiając twarz do słońca.

— James! — zawołała niecierpliwie Daisy. — Wracaj do domu.

Dalton siedział na wózku, mając przy boku Louise; przez okno sypialni przyglądali się, jak James biegnie do drzwi. Louisa patrzyła na niego z dumą, jakby cieszyło ją, że potrafi biec tak szybko, jakby patrzyła na ukochanego syna.

Nie wszystko w życiu jest doskonałe — pomyślał James Tucker. Ale pewne rzeczy są.

Podniósł głowę, spojrzął w białe niebo. Szukał właściwych słów na to, co pragnął powiedzieć. Znalazł jedno, mocne, potężne, narodzone w sercu. Wykrzyknął je najgłośniej, jak potrafił, niskim, potężnym głosem, który odbił się echem od ciemnoczerwonych skalistych zboczy pasma gór Wind River.

— Dziękuję!

RS



## EPILOG

Nadeszła wiosna. Konie szły przez łąkę porośniętą wysoką zieloną trawą i jaskrawymi polnymi kwiatami. Zmierzały w stronę tej części rancza, gdzie kiedyś stała stajnia kucyków. Z tą ziemią wiązało się mnóstwo legend, kryła ona mnóstwo tajemnic; z pewnością wspaniale byłoby tu dorastać, ale poznawanie jej od nowa w wieku lat siedemnastu było niemal równie dobre.

— Dziwnie wygląda bez śniegu — zauważyła Sage.

— Owszem — zgodził się Jake.

— Jesteś pewien, że jedziemy w dobrym kierunku?

Brat spojrział na nią z kpiącym uśmiechem.

— Mam ci narysować mapę?

Sage potrząsnęła głową. Myślała o poważnych sprawach, nie zwracała uwagi na kpinki Jake'a. Jechała na Scout, a on na Rangerze, najstarszych koniach rancza. Ojciec uznał, że nie powinni zaczynać zbyt ostro. Jake przysięgał wprawdzie, że całe życie jeździł na koniach z fabryki zwierząt, James jednak postanowił zachować ostrożność, nie ryzykować i dał im konie nie tylko najwolniejsze, ale też znające jeźdźców od dzieciństwa. Jake, który w siodle radził sobie całkiem nieźle, nie protestował zbyt.

Jechali przetartym szlakiem wśród wysokiej trawy. Sage wychylała się z siodła, zbierała kwiaty. Zbocza wzgórz przypominały jeden wielki bukiet, udało się jej nazbierać mnóstwo jaskrów, prymulek i łubinu. Wtuliła nos w kwiaty, chłonąc ich zapach.

— Nie wystarczy ci? — spytał Jake.

- Jeszcze nie.
- Strasznie ci zależy na tych kwiatach.
- No pewnie.
- Zachowujesz się tak, jakby to był ślub stulecia.
- Bo to j e s t ślub stulecia. Przynajmniej dla mnie.

Chłopak zrobił to, co robił zawsze, kiedy jego zdaniem ktoś powiedział lub zrobił coś głupiego albo kiedy nie chciał o czymś

myśleć: zapalił papierosa. Siostra miała ochotę wyrwać mu go z ust. Czegoś, co tolerowała od biedy podczas szalonej jazdy leśną dróżką w Wyoming, kiedy był on zesłanym przez los zbawcą, nie miała zamiaru tolerować teraz, kiedy w obcym zyskała brata, obrzydającego życie wszystkim dookoła powtarzanymi co dziesięć minut groźbami, że przeniesie się do sierocińca.

— Już raz byli małżeństwem — zauważył. — Po co w ogóle ten drugi ślub? Przecież śpią ze sobą...

— Jakby to było najważniejsze!

— To co jest najważniejsze?

— Nie masz zamiaru uczestniczyć w ceremonii, więc co cię to obchodzi?

Jake wydmuchnął kłęb dymu w czyste błękitne niebo i odjechał, milcząc wyniośle. Sage nadal zbierała kwiaty. Miał rację, pod tym względem była lekko stuknięta. W miarę jak zbliżał się dzień ślubu rodziców — a był to dzień dzisiejszy — naciskała na nich coraz mocniej i wreszcie skłoniła matkę do kupienia nieprzeliczonej liczby białych róż w kwiaciarni w Dubois. Przyjechały rano, przed śniadaniem; trzy panie spędziły poranek, układając je w wazonach i rozkładając po całym domu.

Zerknęła na Jake'a. Twarz miał skrzywioną w dobrze jej znanym grymasie oznaczającym: „To nie moje miejsce”, pojawiającym się tak często, że przestał ją nawet denerwować i wyprowadzać z równowagi. Mama wytłumaczyła jej, że choć Jake jest bratem i członkiem rodziny, dorastał osobno w strasznym miejscu i wiele wody upłynie, nim poczuje się i zacznie zachowywać normalnie.

Żałowała jednak, że nie będzie go na ślubie. Jake postanowił zlekceważyć całą uroczystość. Oczywiście wszyscy zdenerwowali się strasznie, uznając, że ma większe kłopoty, niż przypusz-

czali, mówiło się o wizycie u psychologa, co skwitował prostym stwierdzeniem: „Niech mnie psycholog w tyłek pocałuje”. Jake miał możliwość przeprowadzenia się do rodziny zastępczej, jako że ludzie, którzy go wychowywali, a których Sage nazywała „łobuzami i porywaczami”, tak zwana rodzina adopcyjna, siedzieli w więzieniu. Z podziwu godną regularnością powtarzał, że kiedyś z tego wyjścia skorzysta.

Jej brat nie był szczęśliwym nastolatkiem. Szukał samotności; wygospodarował dla psów kącik w stajni i tam się nimi opiekował. Wagarował co drugi dzień, a kiedy już siedział w szkole, nie zaszczycał lekcji uwagą. Zrobił sobie sześć nowych tatuaży; Sage wściekła się, kiedy mama pozwoliła mu także i jej na prawej łopacie wytatuować małego wilka wyjącego do księżyca. W fabryce zwierząt często sypiał w stodole — najpierw za karę, potem z własnego wyboru. Lubił zapach zwierząt i słomy, wolał materac i śpiwór od czystych prześcieradeł, więc przeprowadził się do stajni.

Daisy nie pozwalała mu prowadzić, lecz gdy tylko miał okazję, wsiadał choćby na traktor. James ostatnio pożyczał mu nawet swojego pikapa, lecz wyłącznie po szkole, pod warunkiem, że wszystkie lekcje były odrobione, i poza zasięgiem wzroku matki. Sage przez lata miała matkę wyłącznie dla siebie, ojca zaś uwielbiała z daleka, więc bywało, że niemal nienawidziła tego zbuntowanego, nie mającego szacunku dla nikogo chłopca i żałowała, że rodzice nie potrafią być szczęśliwi i kochać się bez niego. Ale ostatnio zdarzało się to coraz rzadziej.

Teraz, jadąc na Scout przez ukwieconą łąkę, Sage przyglądała mu się uważnie. Wyprzedzał ją o kilka kroków w drodze do stajni kucyków, ponieważ powiedziała mu, że tam właśnie chce jechać. Był jej obrońcą, kiedy spotkali się na pustej drodze w Nebrasce, i choć o tym nie mówił, wiedziała, że nadal uważa się za jej obrońcę.

— Spóźnisz się na ślub! — krzyknął.

— Nie. Mamy czas.

Zaciągnął się, wyrażając tym swoją dezaprobatę, ale nie próbował się z nią spierać. W ogóle zrezygnował z kłótni. Podczas kilku

pierwszych spędzonych wspólnie dni dowiedział się, że dla Sage najczęściej znaczyli: rodzice, brat i dziecko. Nic się nie zmieniło.

Kiedy dojechali do ruin starej stajni, z której pozostało kilka spróchniałych drewnianych bali wbitych w ziemię, Sage ześlizgnęła się z siodła. Jake podszedł do niej i wziął wodze obu koni, ona zaś poprowadziła go na miejsce. Zatrzymała się i milczała przez chwilę, wyobrażając sobie to zdarzenie.

— Tu zginęła nasza babcia — powiedziała.

— Dobrze, że Louisa cię nie słyszy. To ona uważa się za naszą babcie.

Skinęła głową. Wiedziała, że brat uwielbia Louise. Przyłgął do niej pierwszego dnia, spodobało mu się jej bezceremonialne zachowanie, nieparlamentarny język, ekstrawagancki sposób bycia, którym głosiła wszem i wobec: lepiej ze mną nie zadzierajcie. Sage nie miała nic przeciwko niej, czuła, jak delikatne rodzinne więzi rozciągają się na pokolenia, aż do eleganckiej dziewczyny z Bostonu, strzelającej jak sam diabeł; dziewczyny, która dała życie Jamesowi Tuckerowi. Szanowała uczucia łączące matkę i dziecko, z zaciśniętym gardłem przyglądała się połamanym krokwiom dachu.

— To było tu? — spytał Jake.

— Tak. Właśnie tu.

— Tata próbował ją wyciągnąć?

— Próbował uratować jej życie. — Sage przełknęła z wysiłkiem. — Nie udało mu się. Złamał nogę.

— O cholera.

Dziewczyna tymczasem pograżyła się w myślach; myślała o matkach, które odeszły za wcześnie, i dzieciach, które odeszły za wcześnie. Wśród wysokiej trawy znalazła wąską ścieżkę prowadzącą do dwóch niewielkich krzyży. Ścieżkę wykoszono, na małej polance trawa była też starannie koszona. Tata przyjeżdżał tu co tydzień, bardzo dbał o to miejsce.

Na dwóch niewielkich kamiennych krzyżach wryto imiona: na jednym „Rosalinda”, na drugim „Jake”. Uklękła i ucałowała ziemię na grobie synka. Trawa pachniała słodko; wyobraziła sobie, że jest skórą jego ramion.

Mały Jake umarł, nie otwarszy oczu, ale Sage nadal uważała go za swego prawdziwego syna; ta mała istotka doprowadziła ją przecież do domu. Gdyby nie ona, prawdopodobnie nigdy nie wyjechałaby do Wyoming, nie spotkałaby brata nocą, na pustej drodze, nie przywiozłaby go na ranczo, do domu. Mama nie przyjechałaby tu, by na nią czekać, zapewne nie miałyby rodziny i po wielu, wielu latach nie spotkałaby się z ojcem. No i rodzice nie braliby pewnie ślubu dziś po południu.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie twarz ojca, spaloną słońcem, porytą bruzdami, o niebieskich oczach, które bywały takie smutne, zupełnie jakby nie potrafił zapomnieć lub pogodzić się z rzeczywistością długich lat, podczas których, samotny, niezadowolony szukał w kanionach zaginionego syna. Mama strasznie go kochała, córka też i teraz, kiedy zasiadali do śniadania przy świątecznym stole, uśmiechał się czasami promiennie, zapominając o smutku.

— Jake — szepnęła. — To ty nas połączyłeś.

Wysoka trawa kołysała się na łagodnym wiosennym wietrze, szepcząc głosem małego dziecka. Sage odziedziczyła po matce jej dar, słyszała więc głos powtarzający: „Kocham cię, kocham i będę kochał na wieki”.

Pomyślała o akuszerce, Sam Whitney. Wiedziała, że zadaniem akuszerki jest odbieranie dzieci zaczynających nowe życie, ale Sam mądrze i taktownie pomogła jej pożegnać się z dzieckiem, które nie zaczęło nowego życia. Gdyby tylko był przy niej Ben. Sage wiedziała, że jest za młoda na ślub, ale nadal bardzo go kochała.

Myślała o nim z wielkim żalem. Był jej pierwszą miłością i czasami sądziła nawet, że będzie miłością ostatnią. Bywało, że nocą śniła, iż jest tu i pochyla się nad nią, twarz ma smutną, stęsknioną. Wyciągała rękę, by dotknąć jego twarzy, i wówczas zniknął.

— Ben, Ben... — powtarzała we śnie, ale żadne zaklęcie nie było w stanie go sprowadzić.

Napisała do niego, opowiedziała mu o dziecku. Długo czekała na odpowiedź, aż wreszcie uznała, że o niej zapomnieli. Dwa tygodnie temu dostała jednak list.

Ben pisał, że jest mu bardzo przykro. Że nigdy nie chciał jej skrzywdzić, nie chciał, by stało się właśnie tak. Było mu bardzo przykro, że ich syn zmarł, ale „może tak jest lepiej”. Zraniły ją te okrutne słowa, zgmiotła list i wyrzuciła go do śmieci, ale potem wyjęła ukradkiem.

Czasami wracała do jego lektury. Jej imię wypisane było tak doskonałym, eleganckim charakterem pisma. O Jake'u pisał: „to dziecko”, jakby nie potrafił użyć innych, czułych słów. Podpisał się „Ben”. Po prostu „Ben”, ani razu nie użył w liście słowa „miłość”, choć gdy rozkładała kartkę papieru, za każdym razem spodziewała się, że je znajdzie.

Bo ona nadal go kochała. I miłość nie chciała odejść, choć z każdym dniem cierpiała mniej.

— Hej! — Brat dotknął jej ramienia. — Nic ci nie jest?

— Nic — odpowiedziała, ocierając łzy. — Nic mi nie jest.

Kiedy była już gotowa, przyklękła i z wielkiego bukietu polnych kwiatów oddzieliła dwa małe bukietiki. Jeden wręczyła Jake'owi i patrzyła, jak kładzie go na grobie jej syna.

— To twój siostrzeniec — powiedziała.

— Wiem, pamiętam.

Drugi bukiet znalazł swe miejsce na grobie Rosalindy. Sage miała nadzieję, że babcia wie, jak bardzo szczęśliwy jest dziś jej syn.

Śnieg stopniał przed kilkoma tygodniami, niektóre ptaki i zwierzęta Wyoming nie skończyły jednak jeszcze wiosennych migracji. Jelenie i daniele wędrowały ścieżkami wśród gór, stada kosów gromadziły się wśród gałęzi topoli. Sage obserwowała je przez chwilę, a potem sięgnęła pod bluzkę. Nosiła dwa naszyjniki, jeden przedstawiający bliźnięta, drugi „Dziecko Sowy”.

Mama zrobiła go dla małego Jake'a, wyrzeźbiła go w kości wilka, ozdobiła wzorem kręgów ochronnych i rysunkiem sowy identycznym z tym, który duży Jake nosił na ramieniu. Kiedy go kopiowała, chłopak siedział nieruchomo, poddawał się temu zabiegowi z rzadką u niego cierpliwością.

— To sowa dla małego Jake'a — szepnęła córce do ucha dziś rano. Pamiętała o wnuku w dzień własnych urodzin. — Bo jest



mądry i widzi przyszłość jak sowa, bo nasza rodzina zawdzięcza mu tak wiele. Dla mnie zawsze będzie Dzieckiem Sowy.

Sage rozpląkała się i płakała długo. Zaciśnęła dłoń na amulecie. Pamiętała przecież wszystkie te lata, podczas których pocieszała ją i dawała jej szczęście tylko biżuteria mamy. Tak długo, na pół tylko żywa po stracie brata — bliźniaka, szukała pociechy w wyrzeźbionych w kości twarzach. Matka powiedziała jej, że może zatrzymać Dziecko Sowy, nosić je wraz z bliźniętami. Dziewczyna doskonale wiedziała, o co chodziło mamie: amulet był własnością dziecka, miał towarzyszyć jego duchowi, przypominać mu o jego mądrości i o tym, co uczynił dla rodziny.

— Kocham cię — szepnęła, pocałowała amulet i powiesiła go na krzyżu na grobie Jake'a.

— Skończyłaś? — spytał brat. Ze zmarszczonym czołem przyglądał się niebu, jakby uznał, że słońce porusza się za szybko, że wyznaczona godzina jest już blisko.

— Dlaczego pytasz? — Sage wytarła oczy. — Nie chcesz spóźnić się na ślub?

— To tylko ślub.

— Uczestniczyłeś już w jakimś?

— Nie.

— Mogłoby ci się spodobać.

— Myślałem, że znajdę kogoś, kto podrzuci mnie do Lander. Szukam samochodu. Żeby móc się stąd wynieść.

— Do Lander możesz pojechać każdego innego dnia.

— Mogę. — Jake wskoczył na siodło i Ranger ruszył przed siebie różnym kłusem.

Zatoczyli krąg, wrócili na szlak. W blasku słonecznych promieni lśnił złotymi literami nowy znak nad bramą wjazdową. Zastąpił stary, z czasów przed narodzinami jej ojca.

— Ranczo JD — powiedziała głośno.

— Nie wierzę własnym oczom — zdumiał się Jake. — Dziadek się złamał.

— James i Daisy. — Sage chwyciła się lęku siodła. — Tata i mama.

— Louisa musi się cieszyć. Pierwsza litera imienia Rosalindy była jej solą w oku.

— Wyszła za dziadka, potajemnie. We własnym domu!

— Skoro tego chcieli — powiedział z namysłem Jake.

— Przecież wszyscy byliśmy na miejscu. Starej daty roman-tyk z tego dziadka! Wezwał prawnika, kazał mu zmienić nazwę rancza, a podczas podpisywania papierów rzucił od niechcienia: „Może byśmy tak wzięli ślub?”. Skulony nad aktem notarialnym. Biedna Louisa!

— Louisa sobie poradzi — stwierdził Jake. — Obiecała, że zabierze mnie do „Stagecoach”. Napisała o tym własną piosenkę. O sobie, dziadku i nowej nazwie rancza. Nie ma w niej jej imienia, ale jest taka szczęśliwa.

— Jak się nazywa ta piosenka?

— „Jestem panią Tucker”.

— Pojadę z tobą.

— To sprawa między mną i Louisa. Sama tak powiedziała.

— Umiesz postawić na swoim. Wszyscy tak bardzo chcą cię uszczęśliwić, a ty nawet nie chcesz być na ślubie...

— A ciebie to nie uszczęśliwia?

Sage wzruszyła ramionami. Starła się ukryć uśmiech.

— Miło widzieć, jak siedzisz na koniu. Pół roku temu nie miałaś pojęcia o jeździe konnej.

— Gadasz głupstwa. Jeżdżę od dziecka.

— Nie jak ja — prychnął Jake. — Jesteś dziewczyną z przedmieścia.

— Konie mam we krwi!

— Aha. To dlatego dają nam najstarsze konie w stajni, bo ty jesteś ekspertem.

— Przecież wiesz, co mówi tata. Odziedziczyłam talent po mamie, jestem prawdziwą kowbojką.

Jake prychnął, jakby nie był w stanie opanować śmiechu.

— Mama, owszem. Ty nie. Nie kłóć się.

Sage milczała. A niech sobie myśli, co chce, ten jej brat.

\*

Daisy siedziała przy toalecie w sypialni. Hathaway rozczesywała jej gęste włosy. Zbliżała się godzina ślubu, nie byłoby przesadą stwierdzenie, że ma tremę. Siostra wplatała stokrotki w jej zakrecone włosy, ona zaś przyglądała się swemu odbiciu w lustrze.

— Zakreśliłam za mocno? — spytała Hathaway.

— Co? — Daisy siedziała, patrząc nadal w lustro.

— Pytam, czy przypadkiem nie zakreśliłam ci włosów zbyt mocno. Czy nie masz za mocno naciągniętej skóry?

— Nie, wszystko w porządku — roześmiała się Daisy.

— To dobrze. James powinien cię rozpoznać, kiedy będzie mówił „tak”.

— Jak sądzisz, oszaleliśmy, biorąc znowu prawdziwy ślub?

— Prawdziwy w odróżnieniu od czego? Od fałszywego ślubu? Nie, siostrze. Uwierz mi, jeśli ktokolwiek ma prawo pójść na całość, to z pewnością ty i James.

— Też tak myślę. — Daisy spojrzała na stojące na toalecie zdjęcia, które Louisa zrobiła zaledwie trzy tygodnie temu. Przedstawiały ją, Jamesa, Sage i Jake'a stojących przy padoku. Wszyscy z wyjątkiem ich syna uśmiechali się szeroko.

— Mam nadzieję, że przyjdzie.

— Jake?

— Tak. Chciałabym, żeby był przy nas.

— Żyje swym własnym życiem — oznajmiła Hathaway. — To wielki artysta, naprawdę umie robić tatuaże. Kiedy przyjechałam, od razu zaproponował, że mnie wytatuuje.

— I co, skorzystasz z okazji?

— Może tak, może nie.

— Posłuchaj...

Hathaway przerwała czesanie siostry, obeszła krzesło i stanęła na wprost niej. Miała na sobie długą żółtą spódnicę i białą bluzkę, zsuwającą się z ramienia; wyglądała doprawdy przepięknie, będzie wspaniałą pierwszą drużną. Na palce włożyła pierścionki z turkusami, na dłonie bransolety z własnego butik, założyła także jeden z naszyjników Daisy oraz kolczyki z perłami, które należały do matki. Połączenie wyrafinowanego stylu ze wschodu z prymitywną estetyką zachodu pasowało do niej wyjątkowo. Dai-

sy uśmiechnęła się, kiedy siostra uniosła nieco spódnicę pokazując jej wytatuowany kowbojski kapelusz.

— Dzieło Jake'a?

— Owszem. — Hath z podziwem przyglądała się swej kostce.

— Zaproponowałam mu, żeby przyjechał do Silver Bay.

Pewnego

dnia otworzymy salon tatuazu, rodem z westernu. Moi klienci pokochają go, nie ma strachu.

Daisy uśmiechnęła się. Hathaway była wspaniałą siostrą, kochającą ciotką. Kochała Sage, a teraz próbowała pokochać Jake'a.

Kowbojski kapelusz na kostce. Jake tatuował się od stóp do głów, nie chciał chodzić do szkoły, spał w stajni. Potrafiła wyobrazić sobie, jakie życie wiódł w fabryce zwierząt. Wręcz nienawidziła lat, które spędzili osobno. Tyle przez ten czas wycierpieli, i on, i oni. Po tych latach pozostały blizny, musiał nauczyć się z nimi żyć. Matczyzna miłość, choćby największa, nie jest przecież w stanie wymazać przeszłości.

— Mam ochotę zabić Paula Marcha — powiedziała Daisy.

— Nie winię cię za to — odparła Hathaway, zajęta układaniem włosów siostry.

— Tłumaczę Jamesowi, że powinien nauczyć się wybaczać, nic więcej nam nie pozostało, ale czasami jest tak silna... ochota, żeby zamordować Paula.

— Niech sobie będzie silna. — Silne, zręczne dłonie Hath przeczesujące jej włosy przynosiły ukojenie, narzucały dystans.

— Czuj, co chcesz, a potem wybacz.

— Chcę odzyskać te lata!

— I robisz wszystko, by ci się udało. Na przykład bierzesz dziś ślub. Z Jamesem. To uświęcenie wszystkiego, w co wierzyłaś.

— Niby w co?

— Miłość. Otwarte serce.

— Otwarte serce przyjmuje ból. — Daisy otarła oczy.

— Wiem.

— Byłaś ze mną przez wszystkie złe lata. Nie wiem, czy przeżyłabym bez ciebie.

— Przeżyłabyś. — Siostra pogładziła ją po głowie. — Ponieważ wierzysz nie tylko w miłość i otwarte serce.

— A w co jeszcze?

— W nadzieję. We współczucie. Przez wiele lat opowieści o miłości innych ludzi pomagały ci przetrwać trudne chwile.

Czer-

pałaś z nich nadzieję i wiarę, gdy zabrakło ci własnej motywacji. Widać to wyraźnie w twoich pracach.

— Czasami łatwiej jest dawać miłość innym niż wierzyć we własną.

— Zawsze jest jakiś sposób.

— Nadzieja. Moim zdaniem wszystkie małżeństwa opierają się na nadziei. A mnie jej zabrakło.

— Trochę jej zachowałam — powiedziała Hathaway. — Gdybyś nie zachowała, to chyba dziś by cię tu nie było.

Daisy wytarła oczy, siostra zbeształa ją za rozmazywanie makijażu. Poprawiła go, dając jej szansę na opanowanie się, docenienie radości, którą dawała im wzajemna bliskość. Ich twarze niemal się stykały.

— Już za chwilę stanę się obywatelką Dzikiego Zachodu — powiedziała Daisy.

— Aha. — Hathaway nie dała oderwać się od pracy nad jej artystycznym makijażem.

— I znów będę mieszkała na ranczu.

— Wiem.

— Z dała od Silver Bay.

— Chcesz mnie zdenerwować czy co?

— Będziesz nas często odwiedzać, prawda?

— Oczywiście. — Hath przychnęła, jakby krytykowała siostrę za to, że martwi się sprawami oczywistymi.

Daisy patrzyła w swoje odbicie w lustrze. Wspominała Wodospady Przesilenia, Kryształowe Jezioro, szkarłatne klify, karłowate cedry, srebrnozieloną szalwią, przysypane śniegiem łabędzie, nieskończone łańcuchy wzgórz, sięgające nieba pasmo gór Wind River. Na samą myśl o tak pięknym kraju serce zabiło jej szybciej. Był tu James, były ich dzieci. Daisy urodziła się i wychowała w Nowej Anglii, ale dziś nie miała wątpliwości, że tu jest jej dom. Tu chciała żyć, w krainie, która była natchnieniem jej pracy... i snów.

— Kocham cię, Hathaway.

— Kocham cię, Daisy.

— Mogę prosić cię o przysługę?

— Oczywiście.

— Jeśli przed ślubem zobaczysz Jake'a, poproś go, żeby przyszedł. Powiedz mu coś, cokolwiek, tylko upewnij się, czy będzie na ślubie!

— Będzie, będzie — uspokoiła ją Hathaway, pochłonięta zaplataniem włosów siostry. — Wiem, że będzie. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

— Skąd wiesz? — zdumiała się Daisy. W lustrze widziała głębokie, mądre, wesołe oczy Hath, dostrzegła też, że uśmiecha się ona szeroko.

— Ponieważ jestem starszą siostrą. Starsze siostry wiedzą wszystko. Czyżbyś do tej pory się tego nie nauczyła?

W stajni James nerwowymi ruchami poprawiał czarny krawat. Miał przy sobie ojca, siedzącego na wózku inwalidzkim, ubranego w czarny smoking z ciasno zawiązanym krawatem jak sznurwadło, i Todda w jasnoniebieskim fraku.

— O Jezu! — uzalili się nad nim ojciec, widząc, jak synowi drżą ręce. — Czy was, młodych, ten świat nie nauczył niczego? Pochyl się!

— Już w porządku, tato.

— Ten twój porządek to najgorszy nieporządek, jaki w życiu widziałem. Powiedziałem: pochyl się.

James przykucnął przed wózkiem. Chude palce starca kilkanaście wprawnych ruchami doprowadziły krawat do porządku. Spojrzał w pomarszczoną twarz ojca, w jego oczy wpatrzone w jeden punkt, i dziwił się, że starzec nie może być tak przytomny i sprawny przez cały czas.

— Moja wina — orzekł Dalton. — Powinienem być częściej zabierać cię na uroczyste przyjęcia. Matka lepiej zadbałaby o twoje wychowanie.

— Nieźle sobie radziłeś.



— Opowiadała mi o balach w Bostonie. — Ojciec roześmiał się wesoło. — W Wyoming rzadko się odbywają. Nic dziwnego, że nie jesteś przyzwyczajony do fraka i krawatu.

James zerknął na Todda, ciekaw jego reakcji na wzmiankę o pierwszej żonie Daltona, Todd jednak najwyraźniej cieszył się, że został zaproszony, że dopuszczono go do uroczystości. Stał spokojnie, z uśmiechem na twarzy. Kto by uwierzył, że James i Daisy zaproszą na ślub bandę Rydellów? A jednak zaprosili: Todda, Tammy, ich córki Emmę i Ruthie, no i oczywiście Louise.

Pomysł wyszedł od Daisy. Wiedziała o wojnie, którą prowadziły obie rodziny przez długie lata, więc poprosiła o pozwolenie zaproszenia na ślub słynnych rywali Tuckerów, a ponieważ Louisa została oficjalnym członkiem rodu, wspaniałomyślna oferta pokoju wydawała się jak najbardziej na miejscu.

James nie mógł więc odpowiedzieć „nie”. Ojciec chyba czytał w jego myślach, bo zachichotał nagle.

— Tylko popatrz, my i Rydellowie pod jednym dachem i jak dotąd nikt nikogo nie zabił.

— Cuda się zdarzają — zaśmiał się Todd.

— Zwłaszcza kiedy w pobliżu jest Daisy — powiedział James poważnym tonem.

— Przecież wiem, że to nie ty wpadłeś na pomysł, żeby nas tu zaprosić. Ja po prostu bardzo się cieszę z tego zaproszenia.

Louisa i jej zespół rozpoczęły przygotowania do koncertu. Dalton wstał z wózka i poszedł poszukać żony. James zatrzymał Todda Rydella, który ruszył za nim.

— Chwileczkę...

— O co chodzi? — spytał podejrzliwie Todd, jakby nagle w jego duszy ożyły dawne uprzedzenia.

— Mam ci coś do powiedzenia.

— James, posłuchaj... Dalton ma chyba rację. Daisy też. Zapomnijmy o dawnych urazach, przynajmniej na dziś. To uroczysty dzień...

— Jestem ci winien przeprosiny.

— Co? Nie rozumiem.

James odchrząknął. Pamiętał dzień sprzed lat, gdy zniknął Jake. Spośród mnóstwa ludzi biorących udział w poszukiwaniach, spośród wszystkich możliwych podejrzanych wybrał właśnie jego.

— Nie byłem w stosunku do ciebie w porządku. Przepraszam.

Todd przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Przez całe trzynaście lat myślałem, że to ty zabrałeś mi dziecko.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Próbowałem... ale nie potrafiłem przekonać cię, że niczemu nie jestem winien.

— Były i inne rzeczy, które kazały mi tak myśleć.

— Wojna rodowa.

— Tuckerowie i Rydellowie, krowy i owce. Utrzymanie państwisk i niszczenie ich.

— Stara historia — powiedział Todd z odrobiną goryczy.

— Ty sądziłeś po sobie, my po sobie. Sami przyczyniliśmy się do zaostrzenia sporu. Moi dwaj siostrzeńcy siedzą w więzieniu, to chyba najlepszy dowód. Alma chce przeprosić za to, co zrobił Richard, zadośćuczynić...

— Dajmy temu spokój... — James uniósł rękę w pojedynczym geście.

— Nie. Chce koniecznie zapłacić za te sztuki bydła, które on zabił.

— Nie chcę tych pieniędzy. Osobiście współczuję Almie. Straciła syna na ileś lat, wiem, co to znaczy.

— To ja opowiadałem Richardowi o wojnach z dawnych lat. Słuchał mnie, ale nie wiedziałem, że aż tak głęboko zapadły mu w duszę. Chciał waszej ziemi, uznał, że jest jej strażnikiem w imieniu naszej rodziny. Za to pewnie też będziesz mnie winił.

— Żal mi twojego siostrzeńca — powiedział James, najzupełniej szczerze. — Mam nadzieję, że otrzyma konieczną pomoc. Ciebie za nic nie winię, Todd. Problem w tym, że za zbyt wiele cię winię. Byłem przekonany, że porwałś Jake'a. Szczerze mówiąc, odpowiadało mi to, dowodów nie było żadnych, ale kogoś przecież musiałem obciążyć odpowiedzialnością. Widzisz, wie-

rzyłem w te opowieści o wojnach rodowych w takim samym stopniu jak twój siostrzeniec. Musiałem nienawidzić kogoś za krzywdę Jake'a, a ty byłeś najlepszym kandydatem.

Todd milczał.

— Więc teraz przepraszam cię. Przyznaję, że się myliłem.

— W porządku, James. Powiedzmy sobie szczerze, że krzywdziliśmy się nawzajem.

— Zamierzam z tym skończyć. Oboje z Daisy chcemy zrobić dla Richarda wszystko, co w naszej mocy. Wiesz, kiedy nam o nim opowiedziałeś, przez chwilę myśleliśmy, że może być Jake'em. Taką mieliśmy dziwną nadzieję.

— Cieszę się, że odzyskaliście syna.

— Nie bardziej ode mnie.

Dwaj mężczyźni podali sobie ręce. James był zadowolony, że nie musi mówić więcej. Nie lubił dzielić się uczuciami z nikim oprócz Daisy. Widział, że Toddowi także ulżyło. Obaj nie lubili wiele mówić, a teraz wszystko już zostało powiedziane. Atmosfera sprzyjała przebaczeniu z obu stron. Daisy miała rację, doświadczenia życiowe wzmocniły ich wiarę, nadszedł czas przebaczenia.

I nad tym mieli pracować do końca życia.

— A chłopak... cieszy się, że wrócił?

— Jake? — James nie odpowiedział od razu, bo prawdę mówiąc, nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Zdawał sobie sprawę, że Jake kocha siostrę, że po wszystkich tych latach próbuje przystosować się do życia w normalnej rodzinie. A to bynajmniej nie jest proste. James po prostu sam tak czuł. Pozwolić się kochać ludziom, zwłaszcza kobietom tak niezwykłym jak Daisy i Sage, i kochać je, nie jest rzeczą łatwą. On sam miał z tym kłopoty, a dla Jake'a sama idea mogła się wydawać niesłychana, nie do zaakceptowania.

— No tak. Cieszy się, że wrócił?

— Tak sędzę. Mam nadzieję.

— Gdzie jest? Pewnie przygotowuje się na wesele.

James westchnął ciężko. Gardło miał ściśnięte, nie był w stanie wypowiedzieć nawet jednego słowa. Todd patrzył mu w oczy, a on milczał, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

— Jest pewnie bardzo podniecony — powiedział Todd, kiedy wychodzili ze stajni. — W końcu to jego rodzice biorą dziś po raz drugi ślub.

James Tucker pominął tę uwagę milczeniem. Nie miał zamiaru informować Rydella o tym, że jego syn zapowiedział stanowczo, iż nie weźmie udziału w uroczystości. Daisy najwyraźniej zaakceptowała tę decyzję, jak zwykle spokojna, gotowa obdarzać miłością. Próbował pójść w jej ślady, ale nie miał zamiaru powiedzieć nikomu, nawet najbliższemu, że serce ma złamane.

James Tucker był twardym, praktycznym, doświadczonym przez przeciwności losu ranczerem i nic nie mogło złamać mu serca... nawet nieobecność syna na jego ślubie.

Ze szlaku, którym wracali do domu, Sage i Jake widzieli już ranczo, słyszeli wibrującą w powietrzu muzykę. Uroczysty ślub miał się odbyć pod wielkim złoto-błękitnym namiotem w kolorach rancza JD, kształtem przypominającym niebosiężne góry Wind River. Mama pewnie przygotowywała się właśnie do ślubu — Sage miała wrażenie, że w oknie wielkiego domu zobaczyła jej welon, obłok białego tiulu.

— Wszyscy tu są — powiedziała.

— Przecież wiem.

— Ciocia Hathaway, Rydellowie, Louisa z dziadkiem, mama, tata...

— Zrobiłem cioci Hathaway fajny tatuaż.

— To najlepsza ciotka świata — stwierdziła Sage. — Zobaczysz. Dla mnie była jak druga matka i jednocześnie najwspanialsza siostra, jaką można sobie wymarzyć.

— Wiem. — Głos Jake'a był szorstki.

— Zrobiłam coś złego? — zaniepokoiła się dziewczyna.

— Nie, nic. Tylko czasem wkurzasz mnie, bo znasz tych wszystkich ludzi od bardzo, bardzo dawna. Całe życie spędziłaś z mamą i ciotką, a ja dopiero zaczynam. Chcę sam wyrobić sobie zdanie, a ty bez przerwy wszystko mi tłumaczysz.

— Już nie będę.

— Nie chciałem tak się zdenerwować. — Jake skrzywił się, jakby naprawdę był wściekły.

— Musisz przyznać, że przynajmniej jeśli chodzi o tatę, mamy równe szanse. Poznaliśmy go niemal jednocześnie.

— I uważasz, że to dobrze?

Sage tylko potrząsnęła głową. Nie, na pewno nie uważała, że to dobrze. Nie ma mowy!

— Tam są wszyscy — powiedziała w końcu. — Wszyscy oprócz nas.

— Aha.

— To rodzina, Jake. — Dziewczyna wiedziała, że stąpa po cienkim lodzie, że wszystko, co mówi, może doprowadzić jej brata do szału.

— Daj sobie spokój, dobrze?

— Chciałam tylko, żebyś wiedział.

— No i wiem. — Jego głos bynajmniej nie był obojętny.

— Nie przejmuj się, że tak cię pilnuję — powiedziała, bardzo starając się, by zabrzmiało to jak żart. — W końcu jestem twoją siostrą.

— I w dodatku bliźniaczką — dokończył z kpina, co dla niej było dowodem, że czuje się jej bliski, tak jak ona jemu.

Słyszeli muzykę, radosną, świąteczną, lecz Sage ściągnęła nagle wodze Scout.

— Słuchaj!

— Przecież słyszę — powiedział Jake, zatrzymując się obok niej.

Zespół stroił instrumenty, Louisa miała próbę piosenki, którą napisała specjalnie na wesele Jamesa i Daisy. Zatyłowała ją *Na zawsze*. Jake z uśmiechem słuchał jej wspaniałego głosu, niosącego się ponad ranczem.

— Nie, to nie ona... słuchaj!

Wiosna była wyjątkowo ciepła, ale i tak to coś powinno zdarzyć się wcześniej. Sage i Jake nagle unieśli głowy, osłonili oczy od słońca. Na niebie pojawił się klucz gęsi. Śnieżnych gęsi. Słońce odbijało się w ich piórach, nadając im kolor czystego śniegu. Ich głosy i łopot skrzydeł zagłuszył nawet śpiew Louisy.

— Jake! To śnieżne gęsi.

— Przecież widzę.

— Ile ich jest? Sto?

— Tysiące...

Bliźnięta znały legendę o śnieżnych gęsiach, wiedziały, kiedy ojciec oświadczył się matce po raz drugi, że ona odpowiedziała „tak”, patrząc, jak poderwały się do zimowej wędrówki. Obserwując je teraz, Sage czuła, jak napływają jej do oczu łzy. Jake stanął w strzemionach.

— Tysiące — powtórzył.

— Więcej!

— Hej! — krzyknął niespodziewanie. Omal nie spadła z siodła.

— Przecież cię nie usłyszą — zdziwiła się.

— Nie mówię do nich.

— A do kogo?

— Hej! — krzyknął Jake jeszcze głośniej, prostując nogi, by znaleźć się jak najwyżej.

Ich ojciec stał przy padoku, rozmawiając z kupcem, który przywiózł paszę.

— Wróciły!

— Wołasz tate? — zdumiała się Sage. Jej serce biło mocno. Jake nigdy nie dziwił się niczemu, nie chciał z własnej woli rozmawiać ani z matką, ani z ojcem, nie poruszało go to całe dobro, jakie spotkało ich w życiu. Sage wiedziała, że krzywdzi rodziców, a najbardziej właśnie ojca.

— Zespół gra za głośno — poskarżył się Jake. — Nie słyszy mnie.

— Więc musimy się bardziej postarać. Spróbuj, Jake. Głośniej!

— Tato! Mamo! Wróciły!

Ojciec usłyszał go. Obrócił się. Sage dostrzegła uśmiech na jego twarzy. Jake nazwał go tatą!

Mama wychyliła się z okna. W długim welonie sprawiała wrażenie, jakby miała unieść się w powietrze. Uśmiechnięta Sage pomachała ku niej bukietem polnych kwiatów, ale rodzice nie zauważali jej. Wpatrywali się w niebo.



— Wróciły! — krzyknął Jake Tucker co sił w płucach. Śmiał się, machał rękami, cieszył się, bo był członkiem rodziny, która w skarbcu legend miała tę o śnieżnych gęsiach i Washakie. Przywiózł siostrę do domu, jechał z nią na ślub rodziców i nie chciał już odejść teraz, kiedy jego rodzice mieli wreszcie powiedzieć sobie „tak”.

RS